

JONATHAN MABERRY

PACJENT

ZERO



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

Część pierwsza. Sztywny

Część druga. Bohaterowie

Część trzecia. Bestie

Część czwarta. Zabójcy

Epilog

Jonathan Maberry

PACJENT ZERO

Przełożyła Anna Studniarek

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Patient Zero*

Copyright © 2009 by Jonathan Maberry
Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce oraz opracowanie graficzne okładki: Dark Crayon
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II
ISBN 978-83-7480-931-3

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228134743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227213000
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Powieść ta dedykowana jest często niewidocznym i zapomnianym bohaterom, którzy działają w tajnych służbach i w wywiadzie.

Od autora

Większość zawartych w tej powieści informacji dotyczących techniki jest zgodna z obecnym stanem wiedzy. Z bardzo nielicznymi wyjątkami sprzęt szpiegowski, systemy komputerowe i broń wykorzystywane przez fikcyjny Wojskowy Departament Nauki są prawdziwe, choć niektóre z tych sprzętów nie są jeszcze dostępne na rynku.

Choroby prionowe, w tym śmiertelna bezsenność rodzinna, również są prawdziwe. Pasożyty i choroby wykorzystywane przez Gen2000 są jednak całkowicie fikcyjne, choć zainspirowane podobnymi patogenami znanymi obecnej nauce.

Wielu ludzi udzieliło mi pomocy, porad i informacji. Wszelkie błędy, jakie jeszcze pozostały, są moją winą. Poza tym dziękuję: Michaelowi Sicilii z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego; wspaniałej ekipie z Philadelphia Forensic Science Bureau pod kierownictwem głównego inspektora Keitha R. Sadlera i kapitana Daniela Castro; Kenowi Colussi, dowódcy wydziału policji w Lower Makefield; Frankowi Sessie; dr. Bruno Vincentowi z Institut de Pharmacologie Moleculaire et Cellulaire; dr. Kennethowi Storeyowi z Uniwersytetu Carleton; profesorowi Pawłowi P. Liberskiemu z Zakładu Patologii Molekularnej i Neuropatologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi; i dr. Peterowi Lukacsowi.

Część pierwsza

Sztywny

Bohater nie jest odważniejszy od zwykłego człowieka, ale jest odważny pięć minut dłużej.
Ralph Waldo Emerson

Rozdział pierwszy

Jeśli w ciągu tygodnia musiałeś dwa razy zabić tego samego terrorystę, to coś musi być nie tak – z twoimi umiejętnościami albo z twoim światem.

A moim umiejętnościom nie można nic zarzucić.

Rozdział drugi

Ocean City, Maryland, sobota, 27 czerwca, 10:22

Dopadli mnie na plaży. Naprawdę niezła robota. Zostałem otoczony przez trzech facetów – dwaj stanęli z przodu, a jeden wielki z tyłu, dokładnie w chwili, kiedy otwierałem drzwi samochodu. Nie rzucali się w oczy, po prostu trzej masywni goście w szarych garniakach, których nie uszyto na miarę, bardzo pocących się w upale.

Ten na szpicy uniół swobodnie ręce. Był upalny sobotni poranek, a ja miałem na sobie spodenki kąpielowe i hawajską koszulę w syreny narzuconą na podkoszulek z Tomem Pettym. Do tego japonki i ray-bany. Moja spluwa, z założoną osłoną spustu, pozostała w zamkniętej na klucz skrzynce na narzędzia w bagażniku. Poszedłem na plażę, by sprawdzić, jak w tym roku obrodziły plażowe króliczki. Od czasu strzelaniny miałem wolne, w poniedziałek czekała mnie rozmowa w tej sprawie w wydziale wewnętrznym. Sytuacja w magazynie była naprawdę paskudna, więc dostałem przymusowy urlop, żeby wszystko sobie przemyśleć.

Nie spodziewałem się kłopotów, nie powinienem mieć kłopotów, a ci goście otoczyli mnie w sposób, który miał wywołać jak najmniejsze zamieszanie. Sam bym tego lepiej nie zrobił.

– Pan Ledger...?

– Detektyw Ledger – poprawiłem w imię zasad.

Ani śladu uśmiechu na twarzy gościa na szpicy, jedynie minimalne skinienie. Miał głowę jak wiadro.

– Chcielibyśmy, żeby pan z nami poszedł – powiedział.

– Odznaka albo spadajcie.

Wiadrogłowy spiorunował mnie wzrokiem, ale wyciągnął odznakę FBI i uniół ją. Skończyłem czytać na inicjałach.

– O co chodzi?

– Czy mógłby pan pójść z nami?

– Nie jestem w pracy, panowie, o co chodzi?

Żadnej odpowiedzi.

– Macie świadomość, że za trzy tygodnie mam zacząć szkolenie w Quantico?

Żadnej odpowiedzi.

– Chcecie, żebym pojechał za wami swoim samochodem?

Nie zamierzałem spróbować im się wyslizgnąć, ale moja komórka została w schowku terenówki, a miałem wielką ochotę zadzwonić do porucznika i sprawdzić, o co chodzi. Cała sytuacja wydawała mi się dziwna. Nie niebezpieczna, ale dziwna.

– Nie, po wszystkim odwieziemy pana na miejsce.

– Po czym?

Żadnej odpowiedzi.

Spojrzałem na niego, a później na jego towarzysza. Wyczuwałem za plecami gościa z tyłu. Byli masywni i dobrze zbudowani – nawet kątem oka widziałem, że Wiadrogłowy

opiera ciężar na podeszwach stóp i zachowuje doskonałą równowagę.

Drugi facet z przodu przechylił się lekko na prawo. Miał wielkie kostki dłoni, ale żadnych blizn. Raczej boks niż sztuki walki – bokserzy noszą rękawice.

Robili wszystko niemal idealnie, z jednym wyjątkiem – podeszli zbyt blisko mnie. Nie należy podchodzić tak blisko.

Ale wydawali się autentyczni. Trudno jest podrobić ten charakterystyczny wygląd FBI.

– W porządku – powiedziałem.

Rozdział trzeci

Ocean City, Maryland, sobota, 27 czerwca, 10:31

Wiadrogłowy usiadł obok mnie na tylnym siedzeniu, a pozostali dwaj z przodu. Ten, który wcześniej stał z tyłu, teraz prowadził rządowego forda crown victoria. Dwaj na przodzie mówili tak mało, że równie dobrze mogli być mimami. Włączona klimatyzacja, wyłączone radio. Cudownie.

– Mam nadzieję, że nie wracamy do samego Baltimore.

Co by oznaczało ponad trzy godziny jazdy, a ja miałem piasek w kąpielówkach.

– Nie.

Były to jedyne słowa, które Wiadrogłowy powiedział podczas jazdy. Usadowiłem się wygodnie i czekałem.

Wybrzuszenie kabury świadczyło, że jest leworęczny. Usadowił mnie po swojej prawej, przez co poła jego marynarki utrudniłaby mi sięgnięcie po jego spluwę, a on sam mógłby odepchnąć mnie prawą ręką, jednocześnie sięgając po broń. Profesjonalne i dobrze przemyślane. Ja postąpiłbym niemal tak samo.

Ja jednak nie trzymałbym się skórzanego uchwytu nad drzwiami, jak on to robił.

Był to jego drugi niewielki błąd i zastanawiałem się, czy mnie sprawdza, czy też między jego szkoleniem i instynktami jest niewielka luka.

Usadowiłem się wygodnie i próbowałem zrozumieć, co się dzieje. Jeśli to miało coś wspólnego z wydarzeniami w dokach, jeśli z jakiegoś powodu wpakowałem się w tarapaty, na miejscu zamierzałem od razu zadzwonić do prawnika. I przedstawiciela związków zawodowych też. Nie ma mowy, żeby to była standardowa procedura. Chyba że chodziło o Bezpieczeństwo Krajowe, a w takim przypadku wezwałbym prawnika oraz zadzwonił do swojego kongresmena. To, co zrobiłem w magazynie, było całkowicie uzasadnione i nie pozwolę, by ktokolwiek twierdził, że jest inaczej.

Od osiemnastu miesięcy pracowałem dla jednego z tych wspólnych oddziałów specjalnych, które zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu po jedenastym września. Kilku policjantów z Baltimore, paru gości z Filadelfii i D.C., a do tego federalni: FBI, NSA, ATF i parę innych skrótów, które widziałem po raz pierwszy w życiu. Nikt właściwie nic nie robił, ale wszyscy chcieli trzymać palec na pulsie na wypadek, gdyby wydarzyło się coś korzystnego, to znaczy dla kariery.

W pewnym sensie zostałem zwerbowany. Od kiedy przed kilku laty dostałem odznakę, miałem sporo szczęścia i udało mi się zakończyć dochodzenia w ponadprzeciętnej liczbie spraw, w tym dwóch, które miały luźne powiązania z organizacjami terrorystycznymi. Oprócz tego odsłużyłem cztery lata w wojsku, znałem podstawy arabskiego i farskiego. Właściwie znałem podstawy wielu języków. Nie mam problemów z językami, przez co byłem najlepszym kandydatem do inwigilacji. Większość ludzi, których podsłuchiwalimy, posługiwała się mieszaniną angielskiego i różnych języków Bliskiego Wschodu.

Oddział specjalny zapowiadał się nieźle, ale rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej: umieścili mnie w furgonetce z podsłuchami i przez większość ostatniego roku piłem

stanowczo zbyt dużo kawy z Dunkin' Donuts i czułem, że tylek mi wiotczeje.

Grupka niezbyt ważnych gości, podejrzanych o terroryzm i luźno powiązanych z szytami, miała rzekomo planować przemyt potencjalnej broni biologicznej, tak nam w każdym razie powiedziano. Oczywiście nie poznaliśmy żadnych szczegółów, a w takiej sytuacji inwigilacja jest nużąca i zazwyczaj oznacza marnowanie czasu. Kiedy my (to znaczy gliniarze) spytaliśmy ich (to znaczy grube ryby z Bezpieczeństwa Krajowego), czego właściwie szukamy, napotkaliśmy mur milczenia.

Wiecie tylko to, co musicie wiedzieć. Z tego właśnie powodu nie jesteśmy wcale aż tak bezpieczni. Tak naprawdę przyczyna była banalna – gdyby powiedzieli nam coś więcej, moglibyśmy odegrać zbyt istotną rolę przy aresztowaniu, a wtedy oni nie mogliby przypisać sobie tak wielkich zasług.

Przez to wpakowaliśmy się w kłopoty jedenastego września, a na moje oko od tego czasu sytuacja wcale się nie poprawiła.

A później, w poniedziałek, moją uwagę zwróciła pewna rozmowa z komórki, którą podsłuchiwaaliśmy. Pojawiło się w niej jedno nazwisko – Jemeńczyka El Mudżahida, całkiem grubej ryby wśród terrorystów – które znajdowało się też na liście najbardziej poszukiwanych. A gość mówił o nim, jakby El Mudżahid był w jakiś sposób powiązany z tym, co robiła ekipa z magazynu. Nazwisko El Mudżahida znajdowało się na wszystkich listach Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, a w furgonetce miałem tak mało roboty, że przeczytałem je po kilka razy.

Ponieważ to ja przyniosłem wiadomość, mogłem wziąć udział w ataku zaplanowanym na wtorek rano. Trzydziestu gości w czarnych mundurach BDU z kevlarowymi osłonami, kamerami na hełmach i pełnym osprzętem antyterrorystycznym. Cały oddział został podzielony na czteroosobowe drużyny – dwaj goście z MP5, szpica z glockiem kaliber .40 i jeden z remingtonem 870. W mojej drużynie to ja byłem tym ze strzelbą. Błyskawicznie wpadliśmy do portowego magazynu przez wszystkie drzwi i okna. Granaty błyskawiczne, snajperzy na okalających budynkach, liczne punkty wejścia i mnóstwo wrzasku. „Szok i groza” w wydaniu miejscowym – czyli zaskoczenie i przytłoczenie, by ci w środku byli zbyt oszołomieni i zdezorientowani, nie mogąc tym samym stawić oporu. Nikt nie chciał powtórki z OK Corral.

Mojej drużynie przydzielono tylne wejście prowadzące do niewielkiego doku. Stała tam elegancka smukła motorówka. Nie nowa, ale urocza. Kiedy czekaliśmy na sygnał, gość obok mnie – mój kumpel Jerry Spencer z policji DC – cały czas spoglądał na łódź. Nachyliłem się do niego i zanuciłem melodię z *Policjantów z Miami*, a on się uśmiechnął. Wybierał się na emeryturę, a ta motorówka pewnie wyglądała jak bilet do rajju.

Dostaliśmy sygnał i nagle zrobiło się bardzo głośno. Wysadziliśmy stalową zasuwę na tylnych drzwiach i weszliśmy do środka, wrzeszcząc, by wszyscy stanęli nieruchomo i rzucili broń. Podczas służby w policji w Baltimore brałem udział w piętnastu, może osiemnastu tego rodzaju akcjach i tylko dwa razy ktoś był dość głupi, by wyciągnąć broń. Gliniarze się nie popisują, przestępcy przeważnie też nie. Nie chodzi o to, kto ma większe jaja, ale o tak przytłaczającą przewagę, by w ogóle nie trzeba było strzelać. Pamiętam, że kiedy chodziłem na szkolenie jednostek taktycznych, dowódca kazał wygrawerować na płycie cytat z *Silverado* i powiesił go na sali: „Nie chcę cię zabić, a ty nie chcesz umrzeć”. To chyba powiedział Danny Glover. Tak brzmi motto.

Dlatego źli goście zazwyczaj po prostu stoją z oszołomionymi minami i wszyscy jęczą, że są niewinni, bla bla bla.

Nie tym razem.

Jerry, który był najstarszy w jednostce specjalnej, szedł na szpicie, ja tuż za nim, a za mną dwaj inni goście. Kopniakiem wyważyliśmy drzwi, przebiegliśmy krótkim

korytarzem, gdzie na ścianach wisiały oprawione w ramki zaświadczenia, i wpadliśmy do dużej sali konferencyjnej po lewej. Wielki dębowy stół, na nim co najmniej tuzin laptopów. Tuż za drzwiami znajdował się niebieski pojemnik wielkości budki telefonicznej oparty o ścianę. Wokół stołu siedziało ośmiu gości w garniturach.

– Stać! – ryknąłem. – Ręce do góry i...

Więcej nie powiedziałem, bo cała ósemka nagle zerwała się z miejsc i wyciągnęła broń. OK Corral, bez żadnych wątpliwości.

Kiedy ci z wydziału wewnętrznego poprosili mnie, żebym przypomniał sobie, ile pocisków wystrzeliłem i do kogo dokładnie strzelałem, tylko się zaśmiałem.

Dwunastu gości w sali i wszyscy strzelają. Jeśli ten ktoś nie jest ubrany jak twoi kumple – i można z rozsądną dozą pewności stwierdzić, że nie jest też postronnym cywilem – to najpierw się strzela, a później szuka osłony. Wystrzeliłem wszystkie pociski z remingtona, rzuciłem go i wyjąłem glocka. Wiem, że kaliber .40 to standard, ale zawsze sądziłem, że .45 jest bardziej przekonujący.

Powiedzieli, że zabiłem czterech wrogich bojowników. Nie robię nacięć na spluwie, więc wierzę im na słowo. Wspominam o tym, ponieważ jeden z nich był trzynastym mężczyzną na sali.

Tak, wiem, mówiłem, że ich było ośmiu, a nas czterech, ale w czasie wymiany ognia zauważyłem poruszenie po prawej i zobaczyłem, że kłapa dużego niebieskiego pojemnika wisi luźno na zawiasach, a zamek został odstrzelony.

Kłapa otworzyła się i na zewnątrz wytoczył się mężczyzna. Nie był uzbrojony, więc do niego nie strzelałem, skupiłem się na gościu za nim, który siał dookoła z chińskiego karabinu szturmowego QBZ-95 – wcześniej widziałem go jedynie w gazetach. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego go miał i skąd, do diabła, wziął amunicję, ale te pociski przebiły tarczę Jerry'ego, który upadł.

– Skurwysyn! – ryknąłem i wpakowałem dwie kule w pierś napastnika.

I wtedy wpadł na mnie ten drugi gość, ten trzynasty facet. Mimo całego zamieszania od razu pomyślałem sobie „narkoman”. Był blady i spocony, śmierdział szambem i patrzył dookoła szklistym wzrokiem.

Chory sukinsyn próbował mnie ugryźć, ale kevlarowe wzmocnienie uratowało mi rękę.

– Złaź! – krzyknąłem i uderzyłem go lewą ręką z taką siłą, że powinien się przewrócić, ale tylko się zachwiał.

Przepchnął się obok mnie i ruszył w stronę jednego z naszych, który blokował drzwi. Pomyślałem, że kieruje się w stronę uroczej motorówki na zewnątrz, więc odwróciłem się i bez trudu wpakowałem mu dwie kulki w plecy. Krew zalała ściany, a on uderzył o ziemię i przeleciał półtora metra, aż zatrzymał się oparty o tylne drzwi. Wróciłem do sali, położyłem ogień osłonowy i wyciągnąłem Jerry'ego z za stołu. Nadal oddychał. Reszta mojej drużyny wciąż siekała salę ogniem automatycznym.

Usłyszałem strzały dochodzące z innej części magazynu, więc zostawiłem swoich, żeby się rozejrzeć. Natrafiłem na trzech wrogów za całkiem niezłą osłoną, zza której zasypywali ogniem jedną z pozostałych drużyn. Wykorzystałem dwa ostatnie pociski w magazynku na dwóch z nich, trzeciego załatwiłem wręcz i nagle było po wszystkim.

W ostatecznym rozrachunku jedenastu rzekomych terrorystów zostało postrzelonych, w tym sześciu śmiertelnie, wliczając w to kowboja z chińskim karabinem szturmowym i tego, któremu strzeliłem w plecy – według dokumentów nazywał się Javad Mustapha. Właśnie zaczęliśmy przeglądać dokumenty, kiedy do środka wparowała banda federalnych w czarnych mundurach i wykopała nas wszystkich na ulicę. Mnie to nie przeszkadzało. Chciałem zobaczyć, co z Jerry'm.

Okazało się, że nikt z naszych nie zginął, choć ośmiu musiało trafić do szpitala, głównie

z popękkanymi żebrami. Kevlar zatrzymuje pociski, ale nie może powstrzymać siły uderzenia. Jerry miał popękany mostek i czuł się żałośnie. Medycy położyli go na szpitalnym wózku, ale był na tyle przytomny, że pomachał do mnie, zanim go zabrali.

– Jak się czujesz, człowieku? – spytałem, kucając obok niego.

– Stary i obolały. Ale wiesz co... ukradnij dla mnie tę motorówkę, a będę się czuł młody i żwawy.

– Niezły plan. Zaraz się do tego wezmę, staruszk.

Wskazał brodą na moją rękę.

– A jak twoje ramię? Medycy powiedzieli, że ten świr cię pogryzł.

– E tam, nawet nie przebił skóry.

Pokazałem mu, miałem tylko paskudny siniec.

Zabrali Jerry'ego, a ja zacząłem odpowiadać na pytania, niektóre z nich zadawali federalni w mundurach bez insygniów. Javad nie był uzbrojony, ja strzeliłem mu w plecy, więc czekało mnie rutynowe śledztwo, ale porucznik powiedział mi, że sprawa jest oczywista. Wszystko wydarzyło się we wtorek rano, a dziś była sobota.

Dlaczego więc znalazłem się w aucie z trzema federalnymi?

Nie odzywali się.

Dlatego usadowiłem się wygodnie i czekałem.

Rozdział czwarty

Easton, Maryland, sobota, 27 czerwca, 11:58

Posadzili mnie w pomieszczeniu, w którym znajdowały się dwa krzesła, stół i wielkie okno panoramiczne z zaciągniętą zasłoną.

Pokój przesłuchań, choć wedle szyldu znajdowaliśmy się w Archiwum Baylor. Wylądowaliśmy gdzieś w Easton, kawałek w bok od Route 50, ponad sto kilometrów od miejsca, z którego mnie zabrali. Wiadroglowy kazał mi usiąść.

– Mogę dostać szklanę wody?

Zignorował mnie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Czekałem ponad dwie godziny. Nie robiłem zamieszania. Znałem tę metodę. Człowieka zostawia się samego, żeby dojrzał. Wątpliwości i nieczyste sumienie robią się szczególnie dokuczliwe w samotności. Ja nie miałem nieczystego sumienia i absolutnie żadnych wątpliwości. Po prostu brakowało mi informacji, więc uważnie rozejrzałem się po pomieszczeniu, a później czekałem zatopiony w rozmyślaniach na temat liczby skąpych bikini, jakie widziałem tego ranka na plaży. Byłem niemal w stu procentach pewien, że liczba ta wynosiła dwadzieścia dwa, z czego co najmniej osiemnaście użytkowników miało wszelkie prawo nosić stringi. To był udany dzień na plaży.

Facet, który w końcu się pojawił, był potężny, doskonale ubrany, około sześćdziesiątki, choć bez śladu wiążącej się z wiekiem słabości. Z drugiej strony nie wyglądał na twardziela, fanatyka siłowni czy zawodowego sierżanta.

Nie, po prostu robił wrażenie kompetentnego. Na takich gości zwraca się uwagę.

Usiadł naprzeciwko mnie. Miał na sobie granatowy garnitur, czerwony krawat, białą koszulę i przyciemniane okulary, które nie pozwalały odczytać jego spojrzenia. Pewnie celowo. Do tego krótkie włosy, wielkie dłonie i twarz zupełnie bez wyrazu.

Wiadroglowy wszedł do środka z korkową tacą, na której znajdowały się dwie szklanki, dzbanek wody, dwie serwetki oraz ciasteczka. Z tego wszystkiego najbardziej zaskoczyły mnie ciasteczka. W takich sytuacjach człowiek zazwyczaj nie dostaje ciasteczek, to musiała być jakaś sztuczka.

Kiedy Wiadroglowy wyszedł, facet w garniturze się odezwał:

– Nazywam się Church.

– W porządku – powiedziałem.

– A pan to detektyw Joseph Edwin Ledger, policja Baltimore, trzydzieści dwa lata, kawaler.

– Próbuje mnie pan spiknąć ze swoją córką?

– Odbył pan trwającą czterdzieści pięć miesięcy służbę wojskową, po czym odszedł do rezerwy. W czasie służby nie brał pan udziału w żadnych znaczących działaniach i operacjach wojskowych.

– Kiedy byłem w wojsku, nie działo się nic szczególnego, a przynajmniej w mojej części świata.

– A jednak pańscy dowódcy, a szczególnie sierżant prowadzący unitarkę, piszą o panu

w samych superlatywach. Dlaczego?

Nie czytał z akt. Nie miał przy sobie żadnych papierów. Wpatrywał się we mnie zza okularów, nalewając nam obu po szklance wody.

– Może jestem mistrzem wazeliniarstwa.

– Nie – sprzeciwił się. – Proszę się poczęstować ciasteczkami. – Przesunął talerzyk w moją stronę. – W pańskich aktach jest również kilka notatek sugerujących, że jest pan mądrąłą światowej klasy.

– Naprawdę? Chce mi pan powiedzieć, że przeszedłem przez eliminacje na szczeblu krajowym?

– I najwyraźniej uważa się pan za zabawnego.

– Twierdzi pan, że tak nie jest?

– Decyzja wciąż jeszcze nie zapadła. – Wziął ciasteczko, wafelek waniliowy, i odgryzł kawałek. – Pański ojciec zamierza zrezygnować z funkcji komendanta policji, by ubiegać się o stanowisko burmistrza.

– Mam nadzieję, że możemy liczyć na pański głos.

– Pański brat również jest policjantem w Baltimore, detektywem drugiego stopnia w wydziale zabójstw. Jest od pana o rok młodszy, ale przewyższa pana stopniem. Został w domu, gdy pan bawił się w żołnierza.

– Dlaczego tu jestem, panie Church?

– Jest pan tutaj, ponieważ chciałem poznać pana osobiście.

– Mógłby pan to zrobić w poniedziałek na posterunku.

– Nie.

– Mógłby pan do mnie zadzwonić i umówić się ze mną na spotkanie w jakimś neutralnym miejscu. W Starbucksie też mają ciastka.

– Za duże i za miękkie. – Znów odgryzł kawałek wafelka. – Poza tym tu jest wygodniej.

– Żeby...?

Nie odpowiedział.

– Po odejściu do rezerwy zapisał się pan do akademii policyjnej i ukończył ją z trzecią lokatą. Nie pierwszą?

– Było nas dużo.

– Jak sądzę, mógłby pan być pierwszy, gdyby pan zechciał.

Wziąłem ciastko – oreo – i obróciłem je w palcach.

– W ciągu ostatnich kilku tygodni przed egzaminami końcowymi poświęcił pan kilka nocy na pomoc w nauce innym oficerom – powiedział. – W efekcie dwaj z nich poradzili sobie lepiej od pana, a panu nie poszło tak dobrze, jak powinno.

Zjadłem wierzch. Lubię zjadać je warstwami – ciastko, krem, ciastko.

– I co z tego?

– Po prostu to zauważyłem. Wcześniej przestał pan chodzić na patrole, a jeszcze wcześniej został awansowany na detektywa. Otrzymał pan liczne pochwały.

– Owszem, jestem wspaniały. Tłumy wiwatują na mój widok.

– Są też kolejne notatki na temat pańskiego niewyparzonego języka.

Wyszczrzyłem się, ukazując zęby pokryte kremem oreo.

– Został pan zwербowany przez FBI i za dwadzieścia dni ma pan rozpocząć szkolenie.

– Zna pan mój rozmiar buta?

Skończył ciastko i sięgnął po kolejnego wafelka. Nie wiedziałem, czy mogę zaufać komuś, kto od oreo woli waniliowe wafelki. To poważna skaza na charakterze, może nawet oznaka prawdziwego zła.

– Pańscy zwierzchnicy z policji Baltimore mówią, że będzie im pana brakować, a FBI wiąże z panem wielkie nadzieje.

– Spytam ponownie: dlaczego pan do mnie nie zadzwonił, tylko od razu wysłał bandę zbirów?

– Aby coś panu pokazać.

– Co?

Church przyglądał mi się przez chwilę.

– Kim nie powinien się pan stać. Co pan sądzi o agentach, których pan dziś poznał?

Wzruszyłem ramionami.

– Trochę sztywni i pozbawieni poczucia humoru. Ale nieźle mnie otoczyli. Przyzwoite podejście, nie dopuścili do eskalacji, dobre maniery.

– Mógłby pan uciec?

– Nie bez trudu. Mieli broń, ja nie.

– Mógłby pan uciec? – Tym razem spytał wolniej.

– Może.

– Panie Ledger...

– W porządku. Tak, mógłbym uciec, gdybym chciał.

– Jak?

– Nie wiem, nie doszło do tego.

Wydawał się zadowolony z mojej odpowiedzi.

– Zgarnięcie z plaży miało być dla pana swego rodzaju oknem na przyszłość. Agenci Simchek, Andrews i McNeill są dobrzy, proszę nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. W Biurze nie mają lepszych.

– Innymi słowy... powinienem być pod wrażeniem. Gdybym nie sądził, że FBI to dobry krok, nie przyjąłbym pańskiej propozycji.

– To nie moja propozycja, nie jestem z Biura.

– Niech zgadnę... „Firma”?

Pokazał mi zęby, być może w uśmiechu.

– Proszę spróbować raz jeszcze.

– Bezpieczeństwo Krajowe?

– Właściwa liga, zła drużyna.

– W takim razie nie ma sensu, żebym zgadywał. Czy to jedna z tych agencji „jesteśmy tacy tajni, że nawet nie mamy nazwy”?

Church westchnął.

– Mamy nazwę, ale jest rzeczowa i nudna.

– Mógłby mi pan powiedzieć?

– Co by pan powiedział, gdyby odpowiedź brzmiała: „Ale wtedy musiałbym pana zabić”?

– Poprosiłbym o odwiezienie mnie z powrotem do mojego samochodu. – Ponieważ nie zareagował, dodałem: – Proszę posłuchać, spędziłem cztery lata w wojsku i osiem w policji, z czego ostatnie osiemnaście miesięcy jako chłopak na posyłki w nowym oddziale specjalnym. Wiem, że istnieje wiele poziomów dostępu do informacji. I wie pan co, nie muszę wiedzieć. Jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, to proszę przejść do rzeczy albo może mnie pan pocałować w tyłek.

– WDN – powiedział.

Czekałem.

– Wojskowy Departament Nauki.

Przełknąłem resztki ciastka.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Oczywiście, że nie – odparł. Rzeczowo, bez nuty szyderstwa.

– I mam się spodziewać teraz czegoś w stylu pocziwych Facetów w Czerni? Wąskie

krawaty, czarne garnitury i małe świecące urządzonek, które sprawi, że zapomnę o wszystkim?

Prawie się uśmiechnął.

– Żadnych Facetów w Czerni, żadnych prób zrekonstruowania sprzętu z rozbitych UFO, żadnych miotaczy promieni. Jak już mówiłem, nazwa jest rzeczowa. Wojskowy Departament Nauki.

– Banda myślaków grająca w tej samej lidze, co Bezpieczeństwo Krajowe?

– Mniej więcej.

– Żadnych obcych.

– Żadnych.

– Już nie jestem wojskowym, panie Church.

– Owszem.

– I nie jestem naukowcem.

– Wiem.

– Dlaczego więc tu jestem?

Church wpatrywał się we mnie przez prawie minutę.

– Jak na kogoś, kto podobno ma problem z agresją, nie wpada pan łatwo w złość, panie Ledger. Większość ludzi w tym momencie już zaczęłaby wrzeszczeć.

– A czy wrzaski pomogłyby mi szybciej wrócić na plażę?

– Być może. Nie poprosił mnie pan również o skontaktowanie się z pańskim ojcem. Nie zagroził mi pan jego układami jako komendanta policji.

Zjadłem kolejne ciastko. Przyglądał się, jak rozkładałem je na części zgodnie z uświęconym rytuałem oreo.

Kiedy skończyłem, przysunął w moją stronę szklankę z wodą.

– Panie Ledger, chciałem, by pan dziś spotkał agentów FBI, ponieważ muszę wiedzieć, czy tym właśnie pragnie się pan stać.

– To znaczy?

– Kiedy spojrzy pan w głąb siebie, kiedy spojrzy pan w swoją przyszłość, czy widzi pan siebie zajmującego się nużącym śledzeniem rachunków bankowych i przeglądaniem plików z nadzieją na złapanie jednego przestępcy na cztery miesiące?

– Płacą lepiej niż w policji.

– Mógłby pan otworzyć szkołę karate i zarabiać trzy razy więcej.

– Jujitsu.

Uśmiechnął się, jakby udało mu się zdobyć punkt, a ja uświadomiłem sobie, że wykorzystał moją dumę i skłonił mnie, bym go poprawił. Przebiegły sukinsyn.

– Niech pan będzie ze mną szczery, naprawdę chce pan być takim agentem?

– Jeśli to ma prowadzić do jakiejś alternatywnej propozycji, niech mnie pan w końcu przestanie brać pod włos i przejdzie do rzeczy.

– W porządku, panie Ledger. – Pociągnął łyk wody. – WDN rozważa zaproponowanie panu pracy.

– Zaraz, zaraz. Nie jestem wojskowym. Nie jestem naukowcem.

– Nieważne. Mamy mnóstwo naukowców. A z wojskiem jesteśmy powiązani jedynie dla wygody. Nie, to by było coś w rodzaju pracy, z którą tak dobrze pan sobie radzi. Śledztwa, aresztowania, trochę pracy w terenie w rodzaju tej, którą wykonywał pan w magazynie.

– Jest pan agentem federalnym. Czy mówimy o kontrterroryzmie?

Odchylił się do tyłu i opuścił wielkie dłonie na kolana.

– „Terroryzm” to interesujące słowo. Terror, groza... – Chyba smakował jego brzmienie.

– Panie Ledger, my zajmujemy się właśnie powstrzymaniem terroru. Dla tego kraju istnieją zagrożenia większe niż cokolwiek, co dotychczas trafiło do mediów.

– „Dotychczas”.

– Powstrzymaliśmy... a kiedy mówię „my”, mam na myśli współpracowników z co bardziej tajnych agencji... wielokrotnie więcej zagrożeń, niż byłby pan skłonny uwierzyć, od walizkowej bomby jądrowej po broń biologiczną.

– Hip, hip, hurra dla naszej drużyny.

– Staraliśmy się również dopracować naszą definicję terroryzmu. Jeśli spojrzeć szerzej, fundamentalizm religijny i idealizm polityczny w rzeczywistości odgrywają w nim o wiele mniej istotną rolę, niż chciałaby sądzić większość ludzi, włączając w to głowy państw, przyjaznych i nie. – Popatrzył na mnie. – Jak pan uważa, co jest najważniejszym podstawowym motywem wszelkich konfliktów, takich jak terroryzm, wojny, nietolerancja... i cała reszta?

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli spytałby pan dowolnego gliniarza, odpowiedziałby panu, że w ostatecznym rozrachunku zawsze chodzi o pieniądze.

Nie odpowiedział, ale wyczułem zmianę w jego nastawieniu do mnie. Na jego wargach pojawił się najdelikatniejszy cień uśmiechu.

– Wszystko to wydaje się bardzo odległe od Baltimore – powiedziałem. – Dlaczego przywieziono mnie tutaj? Co jest we mnie takiego niezwykłego?

– Proszę sobie nie pochlebiać, panie Ledger, wcześniej odbyły się też inne tego rodzaju rozmowy.

– To gdzie są ci goście? Pozwoliliście im wrócić na plażę?

– Nie, panie Ledger, nie do końca. Nie przeszli przesłuchania.

– Chyba nie podoba mi się to sformułowanie.

– Nie miało być uspokajające.

– Jak sądzę, zamierza mnie pan „przesłuchać” jako następnego?

– Owszem.

– Jak to się będzie odbywać? Sterta zadań i testów psychologicznych?

– Nie, znamy pańską dokumentację medyczną i wyniki testów psychologicznych z ostatnich piętnastu lat. Wiemy, że w ciągu ostatnich dwóch lat przeżył pan kilka osobistych tragedii. Najpierw pańska matka umarła na raka, a później pańska była dziewczyna popełniła samobójstwo. Wiem, że kiedy oboje byliście nastolatkami, zostaliście zaatakowani, i że grupka starszych nastolatków pobiła pana niemal na śmierć, a później zmusiła do patrzenia, kiedy ją gwałcili. Wiemy o tym. Wiemy, że w efekcie przeszedł pan krótką fazę derealizacji i że miał pan sporadyczne problemy z agresją, dlatego też regularnie spotyka się pan z psychoterapeutą. Można by powiedzieć, że rozumie pan, czym jest terror, i umie go rozpoznać.

Miło by było, gdybym mógł mu w tej właśnie chwili zaprezentować cały ten problem z agresją, ale sądziłem, że na to czekał. Zrobiłem znudzoną minę.

– W tym momencie powinienem się chyba oburzyć, że pogwałciliście moją prywatność i tak dalej, czyż nie?

– To nowy świat, panie Ledger. A my robimy, co musimy. I tak, wiem, jak to brzmi.

W tonie jego głosu nie było nawet śladu przeprosin.

– Co mam zrobić?

– To całkiem proste.

Wstał, obszedł stół i podszedł do zasłony zakrywającej panoramiczne okno. Bez śladu teatralności odsunął zasłonę i ukazał mi podobne pomieszczenie. Jeden stół, jedno krzesło, jeden człowiek. Mężczyzna siedział pochylony, odwrócony plecami do okna, być może spał.

– Musi pan jedynie wejść tam, po czym skuć i obezwładnić tego więźnia.

- Żartuje pan?
- Ani trochę. Niech pan tam wejdzie, obezwładni podejrzanego, założy mu kajdanki i przymocuje je do pierścienia przyśrubowanego do stołu.
- Gdzie jest haczyk? To jeden facet. Pańska banda zbirów mogłaby...
- Jestem świadom, czego mogłyby dokonać przeważające siły, panie Ledger. Nie o to chodzi w tym ćwiczeniu. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kajdanki. - Chcę, żeby pan to zrobił.

Rozdział piąty

Easton, Maryland, sobota, 27 czerwca, 14:08

Pierwszym, co zwróciło moją uwagę, kiedy otworzyłem drzwi do pokoju przesłuchań, był smród. Śmierdziało jak w oczyszczalni ścieków. Facet się nie poruszył. Był szczupły, pewnie niższy ode mnie, śniady – Latynos albo Arab. Ciemne włosy, przepocone i wiszące w strąkach. Miał na sobie standardowy pomarańczowy kombinezon więzienny i wydawał się zupełnie nieprzytomny, głowa opadła mu prawie do kolan.

Wszedłem do środka świadom wielkiego lustra po lewej. Pan Church mnie obserwował, pewnie pogryzając kolejnego wafelka. Drzwi zamknęły się za mną, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem Wiadroglowego patrzącego na mnie przez szybę. Sądziłem, że się uśmiecha, ale po chwili do mnie dotarło. Wyraz jego twarzy bardziej przypominał skrzywienie, drgnięcie, jakby spodziewał się, że zaraz rzuci się na niego skorpion. Ten facet przerażał agenta, choć dzieliły ich stalowe drzwi. Cudownie. Trzymałem kajdanki w prawej ręce, a lewą wyciągnąłem lekko do przodu i uniosłem dłoń. Ten gest wydaje się uspokajający, a jednocześnie można szybko zablokować cios, złapać albo uderzyć.

– W porządku, stary – powiedziałem spokojnie. – Potrzebuję pańskiej pomocy. – Uderzenie serca. – Słyszysz mnie pan?

Mężczyzna się nie poruszył.

Ostrożnie okrążyłem stół i podszedłem do niego od lewej.

– Proszę pana? Musi pan wstać z rękami na głowie. Proszę pana... proszę pana!

Nic.

Podszedłem bliżej.

– Proszę pana, musi pan wstać...

I zrobił to. Gwałtownie podniósł głowę, otworzył oczy, poderwał się na równe nogi i odwrócił do mnie. Serce zabiło mi szybciej. Rozpoznałem tego gościa. Tę bladą spoconą twarz, wybałuszone szkliste oczy. To był Javad, terrorysta, którego zastrzeliłem w Baltimore. Zasyczał jak kot i rzucił się na mnie. Miał może metr siedemdziesiąt wzrostu i ważył z siedemdziesiąt kilo, ale uderzył mnie w pierś jak kula armatnia. Polecieliśmy obaj przez pomieszczenie, aż walnąłem plecami w tylną ścianę. Uderzyłem się w głowę i zobaczyłem gwiazdy. Javad rzucił się na mnie jak zwierzę, dziwacznie kłapiąc zębami. Chwycił obiema rękami za moją koszulę, próbując przyciągnąć mnie bliżej.

DVD w mojej głowie odtwarzało zapętloną scenę w magazynie, kiedy strzeliłem mu w plecy. Owszem, to nie ja później sprawdziłem jego stan, ale też wpakowałem w niego dwa pociski kaliber .45 z niecałymi pięciu metrów. To powinno wystarczyć. Jeśli nie, pora sięgnąć po kryptonit. Ale jak na gościa, który powinien być trupem, wydawał się cholernie dziarski.

Choć wszystko działo się bardzo szybko, i tak zwróciłem uwagę na wyraz jego oczu. Mimo wykrzywionej w dzikim grymasie twarzy i kłapiących zębów, jego spojrzenie było zupełnie puste. Żadnego błysku świadomości, śladu samowiedzy, ani nawet płomienia nienawiści. Nie było to martwe spojrzenie rekina, nic w tym rodzaju. Pasowało raczej do

gabinetu osobiwości, bo nie było w nim nic – przypominało spoglądanie przez okno do pustego pokoju.

Chyba przeraziło mnie to bardziej od zębów, które kłapały centymetry od mojej tchawicy. Wtedy właśnie zrozumiałem, dlaczego inni kandydaci nie przeszli przez przesłuchanie. Pewnie byli potężnymi mężczyznami jak ja i może udało im się utrzymać go z dala od siebie – wystarczająco długo, by spojrzeć w to pozbawione duszy spojrzenie. Sądzę, że wtedy zawiedli. Nie wiem, czy Javad rozszarpał im gardła. Nie wiem, czy wtedy zaczęli wołać o pomoc, a Church posłał do środka Wiadroglowego i jego oddział zbirów z taserami i pałkami. Wiem jedynie, że spojrzenie w te oczy niemal odebrało mi duszę. Czuję wręcz, jak zaciska mi się gardło, czuję przeszywające zimno we wnętrzościach.

Widziałem w nich grozę i beznadzieję. Widziałem śmierć.

Ale widzicie, o to właśnie chodzi. Już wcześniej widziałem te rzeczy. Może nie trafiłem na żadne ze światowych pól bitwy, ale Church miał rację, kiedy powiedział, że widziałem oblicze grozy. Ale wszystko sięgało o wiele głębiej. Nie tylko grozę rozumiałem... Znałem twarz śmierci. Byłem u boku mamy, kiedy umierała na raka szyjki macicy. Byłem ostatnim, co widziała, zanim osunęła się w wielką czarną nicość, i widziałem, jak opuszcza ją światło i życie, widziałem, jak jej oczy z żywych stają się oczyma trupa. Tego się nie da zapomnieć, obraz pozostaje wypalony w umyśle. I to ja znalazłem Helen po tym, jak wypila pół butelki środka do udroźniania rur. Pozostawiła wiadomość pożegnalną na mojej poczcie głosowej, a kiedy kopnięciem wyważyłem drzwi, już nie żyła. Jej martwe oczy też widziałem.

Patrzyłem również w martwe oczy ludzi, których zabiłem. Dwóch w ciągu ośmiu lat, nie licząc czterech w magazynie.

Innymi słowy, już wcześniej patrzyłem w martwe oczy i wiem, co tam widziałem. Widziałem śmierć, grozę i beznadzieję. Nie mamy, nie Helen, nie zbrodniarzy, których zabiłem – martwota, którą widzę, jest moja, odbita w oczach, które nie mogą pokazać nic własnego. Nie da się udać tego martwego spojrzenia. Wielu wojowników je ma, bo osiągnęli harmonię ze śmiercią. Church pewnie to wszystko wiedział. Wiedział o mnie całą resztę. Znał mój profil psychologiczny. Ten sukinsyn wiedział.

Javad rzucił się do przodu i rozszarpał mi koszulę, a śmierział jak padlinożerca. Nie... nie tak. Javad śmierział jak padlina. Śmierział jak trup. Ponieważ był martwy. Cały ten ciąg myśli przeleciał przez mój umysł w ciągu ułamka sekundy, a groza sprawiła, że myślałem szybciej i wyraźniej.

Groza to dziwne uczucie. Może odebrać ducha i odsłonić gardło przed wilkami. Może rozpalić i doprowadzić do szału, co zazwyczaj prowadzi do śmierci... albo może zwiększyć opanowanie.

Tak się dzieje z wojownikami – tymi prawdziwymi, których życie definiuje walka. Jak ja.

Dlatego zapanowałem nad sobą. Czas zatrzymał się w miejscu, a w całym pokoju zapanowała cisza, którą przerywało jedynie stłumione bicie mojego serca. Przestałem próbować uciec przed czymś, czego nie mogłem uniknąć – byłem wciśnięty w kąt, a Church nie zamierzał przysłać cholernej kawalerii – więc zrobiłem to, co robił Javad. Zaatakowałem.

Zamachnąłem się prawą ręką i uderzyłem go otwartą dłonią tak mocno, że jego głowa poleciała gwałtownie na prawo i usłyszałem zgrzyt kości. Taki cios powstrzymałby każdego – jego powstrzymał nie bardziej niż dwie kulki. Ale dał mi kilka sekund odpoczynku od tych zębów, a w chwili gdy Javad zaczął odwracać twarz w moją stronę, ugiąłem nogę i uderzyłem go w tył kolana.

Może i nie czuł bólu, ale zgięte kolano to zgięte kolano – kwestia grawitacji. Przechylił

się, a ja wykorzystałem jego własny ciężar, by go obrócić i pchnąć na ścianę. Chwyciłem go za włosy i uderzyłem twarzą w ścianę, raz, drugi, trzeci. Jego szczęka się rozpadła, ale mimo to chwyciłem go za pozostałości policzka, zacisnąłem palce we włosach, a później przekręciłem biodra najszybciej i najmocniej, jak mogłem, cały czas trzymając jego głowę. Moje ciało obracało się szybciej i dalej niż jego szyja.

Rozległ się głośny wilgotny trzask.

I wtedy Javad odszedł. Jego ciało wyłączyło się, jakby ktoś wyrwał wtyczkę z gniazdka. Osunął się na ziemię. Cofnąłem się i pozwoliłem mu upaść.

Z trudem oddychałem, pot zalewał mi twarz i szczypał w oczy. Usłyszałem odgłos za plecami. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Churcha opartego o futrynę otwartych drzwi.

– Przedstawiam nową twarz globalnego terroryzmu – powiedział.

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.

Rozdział szósty

Easton, Maryland | sobota, 27 czerwca, 14:36

– Co to było?

Znów siedzieliśmy przy stole. Pozwolili mi się umyć. Wziąłem prysznic i przebrałem się w pożyczony dres. Dreszcze zaczęły się pod prysznicem. Częściowo mogłem winić adrenalinę, ale chodziło o coś więcej. Po trzydziestu minutach nadal drżały mi ręce i wcale mnie nie obchodziło, czy Church to widzi.

Wzruszył ramionami.

– Wciąż jeszcze nie nadaliśmy nazwy jego chorobie.

– Chorobie?! Ten skurwysyn był martwy!

– Od tej chwili – powiedział Church – być może będziemy musieli uznać „martwy” za określenie relatywne.

Musiałem się nad tym zastanowić. Church mnie nie poganiał.

– To ten sam facet, którego zastrzeliłem w magazynie, tak? To znaczy ciężko go postrzeliłem. Widziałem krew i kości na ścianach...

– Javad Mustapha, obywatel Iraku. – Church pokiwał głową. – Pańskie strzały były śmiertelne, choć nie od razu, w karetce jeszcze żył, ale na miejscu został uznany za zmarłego w drodze do szpitala. „Ożył” wkrótce po przybyciu. – Rozłożył szeroko ręce. –

Opanowaliśmy ten incydent i nie znajdzie pan wzmianki o nim w gazetach ani żadnym oficjalnym raporcie.

– Jezu Chryste... mówimy o zombie?

Church uśmiechnął się słabo.

– Nazywamy ich „sztywnymi”. To z „Żywych trupów”. Szef działu naukowego trochę za bardzo interesuje się popkulturą. I zanim pan spyta, nie chodzi o nic nadnaturalnego.

– Jak do tego doszło? Jakiś toksyczny wyciek... epidemia...?

– Nie wiemy. Może choroba prionowa albo pasożyt, może obie te rzeczy naraz, a z pewnością coś, co powoduje nadmierną aktywność komórek macierzystych. W zgodzie z naturą pasożytów jedynym celem zarażonych jest prokreacja. Naturalnie nie drogą płciową, ale przez ugryzienie, które najwyraźniej jest zakaźne w stu procentach. Dopiero rozpoczęliśmy badania.

– Tylko ugryzienie zakaża? – spytałem.

Miałem wrażenie, że w moich wnętrznościach maszeruje armia lodowatych mrówek.

– Przeprowadziliśmy serię testów na pocie i innych płynach ustrojowych, ale największe stężenie czynnika zakaźnego jest w ślinie. Choroba przenosi się przez ugryzienie.

Spojrzałem na siniec na ręce.

– Nie miałem na sobie kevlaru. Gdybym został ugryziony...

Popatrzył na mnie.

W piersi czułem rozpaloną do białości wściekłość.

– Jest pan stuprocentowym skurwysynem, wie pan?

– Jak już powiedziałem, panie Ledger, to nowa twarz terroryzmu. Straszliwa, niebezpieczna broń biologiczna, której jeszcze nie rozumiemy. Samo opracowanie realnego protokołu badawczego może nam zająć wiele miesięcy, co oznacza, że czas nie działa na naszą korzyść. Sądzymy, że pański przyjaciel Javad był biologicznym odpowiednikiem zamachowca samobójcy, że był „pacjentem zero”, który miał wywołać w Stanach epidemię. Niebieska skrzynia znaleziona w magazynie była pierwotnie zamknięta i najprawdopodobniej miała chronić innych członków komórki przed ich własną bronią. Poza Javadem nikt z obecnych w magazynie nie wykazywał żadnych oznak zakażenia. – Zawahał się. – Sądzymy, że ich powstrzymaliśmy.

– „Sądzicie”? – Słyszałem, z jakim naciskiem wypowiedział to słowo.

– Tak, panie Ledger, ale nie wiemy. A musimy wiedzieć, podobnie jak musimy mieć pewność, że to się nie powtórzy. Jeśli Javad był jedynym nosicielem, to możemy zapisać jeden punkt po naszej stronie i zacząć przygotowywać się na ich kolejną sztuczkę albo na późniejsze wykorzystanie tej samej. Jeśli jednak istnieją inne oddziały gotowe wypuścić kolejnych Javadów... cóż, między innymi w takim celu stworzono WDN.

– W takim razie lepiej niech pan porozmawia z dowódcą oddziału specjalnego, ponieważ wieczorem w dniu poprzedzającym nasz nalot ten magazyn opuściły dwie furgonetki. Jedną śledziliśmy, a drugą zgubiliśmy.

– Tak. Kiepska robota.

Powstrzymałem się przed pokazaniem mu środkowego palca.

– Kto za tym stoi? Al-Kaida? Nasz oddział nie zdołał tego ustalić.

– Nadal nie mamy pewności, jedynie podejrzenia. Inni członkowie komórki to niezła zbieranina. Al-Kaida, szyicy ekstremiści, dwaj sunniccy ekstremiści, a nawet jeden z Egipskiego Dżihadu Islamskiego.

– Szyicy i sunnicy działający razem?

– Interesujące, nieprawdaż? – zauważył oschle Church. – Nazwisko, które wyłapaliście na podsłuchu, El Mudżahid, w pewnym stopniu potwierdza ideę współpracy. Wiemy, że współpracował z kilkoma co bardziej skrajnymi odłamami.

– Zakładam, że przesłuchaliście pozostałych przy życiu członków komórki?

Nie odpowiedział.

– I jak?

– Wszyscy nie żyją. Samobójstwo.

– Jakim cudem? Nie sprawdziliście, czy nie mają w zębach pigułek cyjanku i całej reszty?

Church pokręcił głową.

– To było coś trochę bardziej skomplikowanego. Każdy z nich został zakażony patogenem, którego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Musieli co osiem godzin zażywać lekarstwo, by choroba pozostawała w uśpieniu. Bez leku patogen zaczyna się gwałtownie namnażać i natychmiast uszkadza naczynia krwionośne. Nie wiedzieliśmy o tym do chwili, gdy zaczęli dostawać krwotoków wewnętrznych, a i wtedy z ostatniego udało nam się wycisnąć tylko tyle, by z grubsza zorientować się w sytuacji. Substancja ograniczająca rozwój choroby była ukryta w zwykłej aspirynie. Nie wiedzieliśmy nawet, że mamy jej tam szukać.

– Czy to ta sama choroba, na którą cierpiał mój partner do tańca?

– Nie. I na ile umiemy ocenić, nie jest zakaźna. Dla WDN pracują najlepsi naukowcy na świecie, a jak na razie drapią się po głowach. Niektórzy są wręcz pod wrażeniem.

– Ja również. Mówimy tu o czymś bardzo wyrafinowanym.

– A jednocześnie prostym. Nie potrzeba nawet strażników czy gróźb. Wystarczy jeden człowiek pilnujący buteleczki z antidotum. Łatwo nad nimi zapanować. Taki poziom

wyrafinowania oznacza, że potencjał komórki jest znacznie większy, niż wcześniej sądziliśmy.

– Co się stało z pozostałymi gośćmi? – spytałem. – Tymi, których przesłuchiwaście przede mną? Zostali ugryzieni?

– Z wielką przykrością muszę stwierdzić, że jeden tak. Pozostali dwaj nie.

– Jezu Chryste!

Z trudem powstrzymałem się przed przeskoczeniem stołu i rozszarpaniem mu gardła. Obserwowałem twarz Churcha, widziałem zmianę w jego mowie ciała, gdy dotarła do niego złość w moim głosie. Gdybym przeskoczył stół, on byłby przygotowany na mój atak.

– A co z pozostałymi dwoma? Uratowaliście ich?

– Nie. Obu udało się skuć podejrzanego.

– W takim razie nie rozumiem.

– To nie był jedyny element testu, który się liczył, panie Ledger. Każdy z nich stawiał czoła chwili prawdy, jak pan to robi teraz, i każdy z nich zareagował... – Zawahał się, zacisnął wargi. – Nieadekwatnie.

– W jaki sposób?

– W sposób, który świadczył, że nie są odpowiednimi kandydatami.

Machnął ręką, kończąc tę część rozmowy.

– Dlaczego tu jestem?

– Ach, najważniejsze pytanie. Jest pan tutaj, panie Ledger, ponieważ szukamy kandydatów, by uzupełnić szeregi WDN. Jesteśmy nową agencją, nie narzekamy na brak funduszy i mamy szerokie kryteria naboru. Nasz dział wywiadu skupia się na infiltracji grup terrorystycznych podobnych do tej, którą pański oddział zaatakował w Baltimore. Obserwujemy miejsce, do którego udała się pierwsza furgonetka, i liczymy, że wkrótce zlokalizujemy też drugą.

– I chcecie, żebym się zaciągnął?

Znów pokazał zęby w swoistym uśmiechu.

– Nie, panie Ledger, chcę, by zgodnie z wcześniejszymi planami udał się pan do akademii FBI.

– Nie...

– Teraz jednak będzie pan wiedział, na których częściach szkolenia powinien się pan najbardziej skupić. Kursy medyczne i zarządzania mogą się okazać użyteczne. Pewnie sam się pan domyśli, jakie jeszcze mogą się przydać.

Siedzieliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– A gdy już skończę?

Church rozłożył szeroko ręce.

– Jeśli zagrożenie się skończy, naprawdę skończy, być może nigdy się z panem nie skontaktuję. Jeśli będzie pan szukał dowodów mojego istnienia lub istnienia tej organizacji, nie znajdzie pan niczego użytecznego, a ja nie radzę próbować. Oczywiście nie opowie pan nikomu o tym, co się tu wydarzyło. Proszę nie traktować tego jak groźby, panie Ledger. Wierzę, że w tej kwestii mogę zaufać pańskiej inteligencji i zdrowemu rozsądkowi.

– A jeśli jest więcej tych stworów, tych... sztywnych?

– W takim przypadku jest bardzo prawdopodobne, że się z panem skontaktuję.

– Musi pan wiedzieć, że to nie koniec. To niemożliwe. Nic nie jest takie proste.

– Doceniam pańską współpracę, panie Ledger.

Z tymi słowy podniósł się i podał mi dłoń. Popatrzyłem na nią, a później przez całe dziesięć sekund patrzyłem na niego. W tym czasie ani jego dłoń, ani wzrok nie zdradzały. Wtedy wstałem i uściśnąłem jego rękę. Kiedy wyszedł, Wiadroglowy i jego kumple przyszli

po mnie i odwieźli mnie do mojego samochodu. Nie odezwali się ani słowem, ale w drodze powrotnej od czasu do czasu posyłali mi ostrożne spojrzenia.

Kiedy odjechali, zapamiętałem ich numer rejestracyjny. Później wsiałem do swojej terenówki i siedziałem w niej przez jakieś dwadzieścia minut, patrząc przez okno na plażę i szczęśliwych ludzi bawiących się w słońcu. Znowu dostałem dreszczy i musiałem mocno zacisnąć zęby, żeby powstrzymać je przed szczękaniem. Czuję się jak po jedenastym wrześniu. Świat znowu się zmienił. Wtedy słowo „terror” stało się nam o wiele bliższe, a teraz wydawało się również o wiele bardziej przerażające.

Co miałem zrobić, jeśli Church znowu się do mnie odezwie?

Rozdział siódmy

Sebastian Gault, prowincja Helmand, Afganistan, sześć dni wcześniej

Nazywał się El Mudżahid, co oznaczało „Wojownik w imię Allaha”. Życie na roli uczyniło go silnym, oddanie Koranowi pozwoliło mu się skupić. Miłość do kobiety imieniem Amira dała mu cel i najprawdopodobniej doprowadziła do szaleństwa – choć jego profile psychologiczne, za które zapłacił Sebastian Gault, świadczyły, że Wojownik był nieco nie zrównoważony jeszcze zanim Amira zamieszała mu w głowie.

Na tę myśl Gault się uśmiechnął. Więcej królestw powstało i upadło, więcej ludzi walczyło za sprawę i za nią ginęło z powodu seksu – albo jego obietnicy – niż wszelkich ideologii politycznych i nienawiści religijnej.

Co do Amiry, Gault mógł jedynie współczuć nieokrzesanemu El Mudżahidowi. Amira była twardą kobietą, prawdziwą Ginewrą – mogła zainspirować do bohaterskich czynów, mogła wspierać powstawanie szlachetnych królestw, ale jednocześnie popychała królów i bohaterów do zaiste szalonych czynów.

Gault nalał sobie szklanek wody i opadł na krzesło. A dokładniej na podniszczone składane plastikowe krzeselko ustawione obok zardzewiałego stolika do kart wewnątrz płóciennego namiotu, który śmierdział wielbłądzimi odchodami, benzyną i prochem.

Te natomiast, w połączeniu z miedzianą wonią krwi, tworzyły zapach fanatyzmu, który Gault czuł w setkach miejsc w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. W ostatecznym rozrachunku zawsze był to dla niego zapach pieniędzy. A jak wiedział, pieniądze były jedyną siłą we wszechświecie potężniejszą od seksu.

Gault oparł się wygodniej. Popijał wodę i przez odsuniętą klapę namiotu obserwował El Mudżahida. Wojownik stał tuż przy wejściu i warczał na swoich ludzi. Nawet ci, którzy byli masywniejsi i fizycznie silniejsi od Wojownika, w jego obecności wydawali się skurczeni, jakby ich energia blakła w jego słonecznym blasku. Kiedy wysłał ich na taką czy inną paskudną misję, którą dla nich zaplanował, urosną nagle, a przy ich pomocy pięść El Mudżahida uderzy z boską siłą ponad granicami i dookoła świata.

Gault pomyślał, że mężczyzna dostał stosowne imię – imię, które mogło być przydomkiem, próbą ukrycia tożsamości, choć wcale nim nie było.

Zupełnie jakby jego rodzice – para niemal niepiśmiennych chłopów z jakiegoś zapomnianego przez boga i ludzi zakątka Jemenu – wiedziała, że przeznaczeniem ich jedynego potomka jest zostać wojownikiem. Nie tylko żołnierzem Allaha, ale i generałem. To było potężne imię dla dziecka, a w miarę jak chłopiec dorastał, w pełni zrealizował jego potencjał. W przeciwieństwie do wielu rówieśników nie został zwerbowany przez fundamentalistów – on sam się do nich zgłosił.

Jeszcze przed trzydziestymi urodzinami El Mudżahid był na liście poszukiwanych w ponad czterdziestu krajach i na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez Stany Zjednoczone. Miał związki z Al-Kaidą i dziesiątką innych grup ekstremistów. Był zdeterminowany, nieustępliwy, sprytny – choć nie szczególnie mądry – a kiedy mówił, inni słuchali.

To sprawiało, że się go bano – ale w sposób, w jaki ludzie boją się pocisku sterowanego. Amira... ach, pomyślał Gault, ona to coś zupełnie innego. Jeśli Wojownik był pociskiem, to Księżniczka – gdyż to właśnie znaczyło jej imię – była dłonią na panelu sterowania. Cóż... dzieliła się władzą z Gaultem. Jego zdaniem ich współpraca była najbardziej skuteczna, harmonijna i potencjalnie lukratywna od czasów, kiedy Hannibal spotkał poganiacza słoni. A może nawet i bardziej.

Kłapa namiotu odsunęła się i do środka wkroczył Wojownik. On nigdy po prostu nie szedł – kroczył dumnie jak Fidel Castro, poruszał się przez przestrzeń, jakby chciał pobić cząsteczki powietrza i pokazać im ich miejsce. Gaultowi zawsze przypominała się postać rzymskiego generała Milesa Gloriosusa ze starego broadwayowskiego musicalu *Zabawna historia wydarzyła się w drodze na forum*. Pierwsze słowa Gloriosusa, wykrzykiwane zza sceny, brzmiały „Odsuńcie się wszyscy... ja stawiam duże kroki”. Gault czasami musiał wbijać paznokcie w dłonie, żeby się nie uśmiechać, gdy El Mudżahid wkraczał do środka.

Wojownik chwycił butelkę z wodą, nalał sobie szklanekę, rozlewając połowę na stół, i wypił jednym haustem. Gault zastanawiał się, w którym momencie poza stawała się prawdziwą cechą charakteru.

– Oddziały wyruszają – powiedział Wojownik, podciągnął krzesło i padł na nie.

Tanie siedzisko zatrzeszczało pod jego ciężarem, ale zignorował to. Był przystojnym mężczyzną o urodzie nietypowej dla kogoś urodzonego w Jemenie. Jasnobrązowe, niemal złote oczy i skóra, choć opalona przez bezlitosne słońce, jaśniejsza niż u większości jego rodaków. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy Gault zatrudnił najlepszych chirurgów plastycznych, by nieco podrasowali Wojownika, co obejmowało pomniejszenie uszu, staranne ufarbowanie włosów na całym ciele, operację strun głosowych, by zmienić ton głosu, oraz drobne wygładzenie kości czoła i policzków. Operacje nie były rozległe, ale wszystkie razem sprawiły, że El Mudżahid jeszcze bardziej wyglądał na Europejczyka. Brytyjczyka.

Gdyby go elegancko ostrzyć, pozbawić wąsów i ubrać w garnitur od Armaniego, mógłby uchodzić za Włocha z północy albo nawet Walijszyka, pomyślał Gault. Nietypowy odcień skóry Wojownika i jego umiejętność posługiwania się angielszczyzną, bez naleciałości, za to ze śladem brytyjskiego akcentu, odgrywały dużą rolę w planach Gaulta – dlatego sporo zapłacił, by się upewnić, że we właściwych okolicznościach Wojownik będzie wiarygodny jako nie-Arab. Zorganizował nawet kolekcję kaset, by Wojownik mógł ćwiczyć mówienie z amerykańskim akcentem.

Gault spojrział na zegarek – Tourneau Presidio Arabesque 36, zabrany byłemu współpracownikowi, który już nie musiał sprawdzać czasu.

– Przyjacielu, jak zawsze jesteś punktualny co do minuty.

– Według Koranu...

Gault więcej nie usłyszał. El Mudżahid uwielbiał rozwlekłe cytaty z Pisma, dlatego kiedy potężny mężczyzna się rozkręcał, Gault się wyłączał. Czasami zmuszał się, by w myślach powtarzać „bla, bla, bla”, by zagłuszyć doktrynę. Dobrze mu szło, a do tego nauczył się ponownie skupiać w chwili, gdy Wojownik kończył wywody swoim standardowym podsumowaniem:

– Nie ma boga prócz Allaha, a ja jestem jego gniewem na Ziemi!

Górnotłone, ale chwytiliwe. Gaultowi podobał się zwłaszcza fragment o „gniewie”. Gniew był użyteczny.

– Bardzo stosowne – skomentował fragmenty Pisma, których nawet nie słyszał. – Twoim ludziom należy się pochwała za ich oddanie sprawie i woli Allaha.

Gault był niepraktykującym prezbiterianinem. Nie do końca ateistą – wierzył, że jakiś bóg gdzieś istnieje, po prostu nie sądził, by ludzkość miała gorącą linię do Boskiej Istoty...

a jeśli nawet udało im się dodzwonić, nikt i tak nie odbierał. Dla Gaulta religia była czymś, co należało uwzględnić w każdym równaniu. Jedynie głupiec lekceważył jej potęgę lub ignorował użyteczny potencjał, a jedynie głupiec ze skłonnościami samobójczymi pozwalał, by choć odrobina nieszczerości zabarwiła jego słowa. Sponsor czy nie, Gault zostałby rozrzucony w małych kawałkach po tym regionie Afganistanu, gdyby tylko El Mudżahid doszedł do wniosku, że szydzi z jego wiary. Dumny krok Wojownika być może zaczął się jako poza, ale jego wiara zawsze była absolutna.

Wojownik podziękował za te słowa skinieniem głowy.

– Zostaniesz na kolację? – spytał Gault. – Przywiozłem parę kurczaków. I świeże warzywa.

– Nie. – Wojownik z wyraźnym żalem pokręcił głową. – Jutro zamierzam przedostać się do Iraku. Jeden z moich poruczników ukradł brytyjski pojazd opancerzony. Dopilnuję rozstawienia min przeciwpiechotnych, a później musimy umieścić go gdzieś, gdzie znajdą go Brytyjczycy albo Amerykanie. Dobrze to zainscenizujemy... przód zostanie zniszczony przez minę, a wewnątrz znajdzie się paru rannych Brytyjczyków. Bardzo poważnie rannych, niezdolnych się odezwać, ale z całą pewnością żywych. To się nam udało już wiele razy. Bardziej się przejmują rannymi niż swoją sprawą, co powinno przekonać nawet najgłupszych ludzi, że nie mają Boga w sercach ani świętej sprawy, która kieruje ich czynami.

Gault przytaknął. I podziwiał taktykę El Mudżahida, głównie dlatego, że Wojownik rozumiał, jak myślą wojska sojusznicze. Zawsze preferowali ratunek, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi, co znacznie ułatwiało sabotaż ludziom takim jak El Mudżahid, a Gaultowi dawało wielkie zyski. Zanim jeszcze liczba ofiar wśród Amerykanów stała się czterocyfrowa, trzy ze spółek pośrednio należących do Gaulta podpisały kontrakty na ulepszone plastiki i stopy, zarówno dla pojazdów jak i ludzi. Teraz połowa żołnierzy w terenie nosiła polimerowe koszulki i szorty dla ochrony przed odłamkami. Które nawet ocaliły życie pewnej ich liczbie, co jednak miało znaczenie jedynie podczas negocjowania kontraktów – ale co fakt, to fakt. Dlatego im więcej szkód mógł narobić El Mudżahid swoimi sprytnymi pułapkami, tym więcej kupowano środków ochrony. A choć plastiki, produkty petrochemiczne i stopy stanowiły jedynie jedenaście procent jego interesów, i tak przynosiły mu sześćset trzydzieści milionów rocznie, więc wszyscy byli zadowoleni.

– Rozumiem, przyjacielu – powiedział, starając się, by żal w jego głosie brzmiał szczerze. – Ruszaj bezpiecznie i oby Allah pobłogosławił twoją podróż.

Widział, jak jego słowa podziały na potężnego mężczyznę. El Mudżahid wydawał się wręcz wzruszony. Cudownie.

Amira przed laty uczyła Gaulta, co powinien mówić, gdy rozmowa przechodziła na kwestię wiary, a on był równie dobrym uczniem, jak i aktorem. Po drugim spotkaniu z Wojownikiem – i po tym, jak Gault zauważył subtelne oznaki, że jego bagaż był za każdym razem starannie przeszukiwany – zaczął pakować podniszczony egzemplarz francuskiego wydania *Wprowadzenia do islamu: zrozumieć drogę do prawdziwej wiary*, książki napisanej przez Europejczyka, który później stał się znaczącym i bardzo szczerym głosem w islamskiej polityce. Gault i Amira spędzili wiele godzin nad książką, podkreślając kluczowe fragmenty, upewniając się, że właściwe strony mają zagięte rogi, i starając się, by zakładka nie znajdowała się dwa razy w tym samym miejscu. El Mudżahid nigdy nie odezwał się otwarcie na temat tego, co uważał za trwający właśnie proces nawrócenia Gaulta, ale za każdym razem, kiedy się spotykali, potężny mężczyzna odnosił się do niego ciepło i traktował go teraz jak członka rodziny, choć wcześniej trzymał na dystans.

– Na pewno zdążę przed rozpoczęciem kolejnej fazy planów – powiedział Wojownik. – Mam nadzieję, że się tym nie przejmujesz.

– Wcale. Jeśli nie mógłbym zaufać tobie, to komu miałbym zaufać? – Na te słowa obaj się uśmiechnęli. – Wszystkie etapy transportu są już przygotowane – dodał Gault. – Znajdziesz się w Ameryce drugiego lipca... najpóźniej trzeciego.

– Mało czasu.

Gault pokręcił głową.

– Harmonogram pozostawia mniej czasu na przypadkowe wydarzenia, które mogłyby przeszkodzić. Zaufaj mi, przyjacielu. Jestem w tym bardzo dobry.

Po chwili zastanowienia El Mudżahid pokiwał głową.

– Cóż... muszę iść. Miecz rdzewieje w pochwie.

– A nieużywana strzała robi się krucha. – Gault dokończył starożytny aforyzm.

Wstali i objęli się, Gault cierpliwie znosił entuzjastyczne objęcia i klepanie po plecach przez potężnego mężczyznę.

Wojownik był śmierzącym prostakiem i do tego silnym jak niedźwiedź.

Wymienili kilka grzecznościowych fraz i Wojownik wyszedł z namiotu. Gault zaczął, aż usłyszy warczenie silnika ciężarówki El Mudżahida. Podszedł do wejścia namiotu i patrzył, jak Wojownik i reszta jego ludzi odjeżdżają w chmurze brązowego pyłu i dymu z rur wydechowych. Wspięli się na szczyt wzgórza i zniknęli po drugiej stronie.

Teraz mógł się skupić na swoim prawdziwym zadaniu. Nie plastiki i polimery, nie pancerze osobiste dla Jankesów, którzy nawet przez chwilę go nie obchodzili. Nie, zamierzał spotkać się z Amirą i odwiedzić jej laboratorium, by zobaczyć, co miała na stole roboczym olśniewająca doktor Frankenstein.

Telefon satelitarny zawibrował w jego kieszeni. Gault spojrział na wyświetlacz, uśmiechnął się i nacisnął klawisz.

– Wszystko jest zaszyfrowane?

– Oczywiście – odpowiedział Zabawka.

Zabawka raczej zapomniałby o oddychaniu niż o włączeniu szyfrowania rozmów telefonicznych.

– Dzień dobry, Zabawko.

– Dzień dobry panu. Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje.

– Odwiedzam przyjaciół. Właściwie twój ulubieniec właśnie odjechał.

– A jak się miewa El Mięśniak? Tak mi przykro, że się z nim nie spotkałem – powiedział Zabawka tonem dość zjadliwym, by przepalić pancerz czołgu.

Zabawka, urodzony jako Alexander Chismer w Purfleet – nigdy nie krył pogardy wobec El Mudżahida. Wojownik był szorstki, brudny i wylewny, Zabawka ani trochę. Zabawka był szczupłym, eleganckim młodzieńcem, z natury pedantycznym i, na ile Gault umiał to ocenić, absolutnie nie został obciążony jakąkolwiek moralnością. Lojalnością darzył jedynie dwie rzeczy – pieniądze i Gaulta. Jego miłość do pierwszych graniczyła z namiętnością, a miłość do tego drugiego nie miała w sobie ani trochę zadurzenia. Zabawka był biseksualny, ale gustował w drogich modelach obu płci i czymś, co nazywano kiedyś heroinowym szykiem.

Poza tym Zabawka był skrajnym profesjonalistą, a jego sprawy osobiste i obowiązki osobistego asystenta Gaulta dzielił stalowy mur.

Był również jedynym człowiekiem na całym świecie, któremu Gault ufał.

– Przesyła pozdrowienia – powiedział Gault, na co Zabawka zaśmiał się paskudnie. – Jak idą przygotowania do podróży?

– Wszystko gotowe. Nasz spocony przyjaciel będzie miał wspaniałą podróż dookoła świata bez żadnych incydentów.

Gault uśmiechnął się szeroko.

– Jesteś wspaniały, Zabawko.

- Wiem - wymruczał Zabawka.-A tak na marginesie... już się pan z nią widział?-Jego głos ociekał zimnym jadem.
- Będzie tu za kilka minut.
- Hm, proszę przekazać jej wielkiego mokrego całusa ode mnie.
- Z pewnością będzie zachwycona, gdy jej to powiem. Jakież wieści czy dzwonisz, żeby sobie pogadać?
- Chodzi o to, że ten cholerny Jankes wydzwania dniami i nocami.
- Uśmiech Gaulta zniknął.
- Ach tak? Cóż to za pilna sprawa?
- Nie chciał mi powiedzieć, ale zakładam, że ma to coś wspólnego z naszymi zagranicznymi przyjaciółmi.
- Lepiej do niego zadzwonię.
- Pewnie tak - zgodził się Zabawka, po czym dodał: - Nie jestem do końca pewien, czy Jankes jest... Jak by to określić...? Do końca godny zaufania.
- Znajduje się w dogodnym miejscu.
- Podobnie jak odbył.
- Gault się zaśmiał.
- Nie bądź niemiły. Na razie go potrzebujemy.
- Potrzebuje pan lepszych przyjaciół-stwierdził Zabawka.
- On nie jest przyjacielem, tylko narzędziem.
- A nawet narzędziem.
- Zajmę się nim. A teraz pakuj tyłek do samolotu i spotkaj się ze mną w Bagdadzie.
- A jak pan myśli, skąd do pana dzwonię? - spytał oschle Zabawka.
- Zaczęłeś mi czytać w myślach? - spytał Gault.
- Jak sądzę, mam to w swoich obowiązkach.
- Też tak sądzę.
- Gault rozłączył się z uśmiechem. Wybrał kolejny numer i zaczął na sygnał.
- Departament Bezpieczeństwa Krajowego - usłyszał w końcu.

Rozdział ósmy

Route 50 w stanie Maryland, sobota, 27 czerwca, 16:25

W drodze powrotnej do Baltimore miałem czas pomyśleć, a nie były to przyjemne myśli. Miałem ochotę skopać tyłek Churchowi za to, że wywalił wielką dziurę w moim spokoju umysłu. Kazał mi walczyć z martwym gościem.

Martwy gość.

Przejechałem chyba z sześćdziesiąt kilometrów z tą jedną myślą zapętloną jak zacięta płyta.

Z taką myślą trudno się pogodzić. Ja. Martwy gość. W jednym pokoju. Martwy gość chce mnie rozszarpać. Niełatwe do przetrawienia.

Javad nie żył, kiedy mnie zaatakował. Może i nie jestem naukowcem, ale wszyscy – z Zachodu i ze Wschodu, zwolennicy medycyny alternatywnej, ktokolwiek – zgadzają się z podstawowym faktem, że martwi goście nie próbują gryźć innych. W filmach, rzecz jasna. Nie w Baltimore. Ale Javad był martwy i tyle. Kolejne trzydzieści kilometrów, których prawie nie zarejestrowałem.

Co takiego powiedział Church? Priony. Uznałem, że muszę to sprawdzić, kiedy wrócę do domu. Coś mi się kojarzyło z kanału Discovery. Choroba szalonych krów?

Dobra, Joe... Jeśli to prawda, poszukaj w tym jakiegoś sensu. Szalone krowy i martwi terroryści. Broń biologiczna. Martwi goście. WDN. Wojskowy Departament Nauki, agencja powiązana z Bezpieczeństwem Krajowym. Co z tego wynika? Wrzuciłem do odtwarzacza najnowszą płytę White Stripes i próbowałem o tym nie myśleć.

Działało przez jakieś cztery sekundy.

Zjechałem z autostrady, poszedłem do Starbucksa, zamówiłem kawę venti i ciastko z kawałkami czekolady – do diabła z Churchem, co on wiedział o ciastkach? Zapłaciłem, zostawiłem swoje zamówienie na ladzie, poszedłem do łazienki, ochlapałem twarz zimną wodą, a później wyrzygałem żołądek do sedesu.

Znów poczułem zbliżające się dreszcze, więc obmyłem twarz, przepłukałem usta wodą z kranu, postarałem się zrobić minę „wcale właśnie nie zabiłem zombiaka” i wyszedłem z kawą.

Rozdział dziewiąty

Sebastian Gault, prowincja Helmand, Afganistan, sześć dni wcześniej

- Linia? – odezwał się do słuchawki Sebastian Gault.
 - Czysta – odpowiedział głos, co oznaczało, że jest szyfrowana po obu stronach.
 - Słyszałem, że chciał pan ze mną rozmawiać. Co się dzieje tym razem?
 - Usiłuję się do pana dodzwonić od wielu dni. – Głos po drugiej stronie należał do mężczyzny, Amerykanina z akcentem z Południa. – Chodzi o magazyn w dokach.
 - Tak się domyślałem. Już go zaatakowali?
 - Tak jak pan mówił. Uderzenie pełnymi siłami, straty całkowite. – Amerykanin opowiedział Gaultowi o nalocie oddziału specjalnego.
- Cytował oficjalne raporty, które trafiły do Bezpieczeństwa Krajowego i NSA. Bezpieczeństwo Krajowe określał jako „Wielkie R”.
 - Gault uśmiechnął się, ale postarał się, by w jego głosie brzmiało zmartwienie.
 - Jest pan pewien, że cała komórka została zniszczona? Wszyscy?
 - Według raportu oddziału specjalnego niektórzy zostali zabici podczas ataku, a innych zabiło coś, co nazywali „środkami samobójczymi”. Nikogo nie przesłuchają. Nikt nie zniknie w Guantanamo na pogawędkę.
 - A obiekt? Co z nim?
 - Zabity na miejscu.
 - Zabity? – spytał Gault z wyraźną wątpliwością w głosie.
- Amerykanin od razu to zauważył i dopiero po chwili wahania kontynuował raport.
 - Jeden z gliniarzy z Baltimore go zabił. Trafił do miejscowego szpitala jako zmarły w drodze i podobno leży gdzieś w lodówce.
- Gault rozważył jego słowa. Jeśli obiekt znajdował się w szufladzie w kostnicy, oznaczało to zakłócenie w przebiegu ich planu.
 - Został zakażony trzecią generacją *Seifal Din*, Miecza Wiernych. Nie powinien po prostu leżeć. Gault jednak poważnie wątpił, by tak było.
 - Niech pan się dowie, jak jest naprawdę.
 - Zajmuje się tym jeden z moich najlepszych ludzi, wkrótce to rozpracuje.
 - A co z dwoma pozostałymi ładunkami?
 - Wyjechały furgonetkami dzień przed nalotem.
 - Czy wszystko poszło zgodnie z planem?
 - Pewnie. Skutecznie śledzili tę, którą chcieliśmy, żeby śledzili, a drugą zgubili.
- Wszystko poszło świetnie. Obecnie pilnują wielkiej przetwórnicy, prowadzą obserwację satelitarną i termowizyjną ze śmigłowców. Ale nikt nie wszedł do środka, bo dostali rozkaz siedzieć i czekać.
 - Wydany przez kogo?
- Amerykanin odchrząknął.
 - Oddział Myślaków.
- „Oddział Myślaków” był ich kryptonimem na WDN.

- Doskonale.
- Cieszę się, że tak pan uważa – powiedział Amerykanin – ale sądzę, że igra pan z ogniem.
- Niech pan ma trochę wiary – złązał go Gault.
- Do diabła z wiarą. Ja się pytam, jak ewakuujemy przetrwornię. Myślaki mogą na razie tylko obserwować, ale w każdej chwili może nadejść rozkaz wejścia, a wątpię, bym mógł ich powstrzymać przed...
- Gault mu przerwał.
- Nie proszę pana o to. Proszę jedynie być czujnym, mieć oczy i uszy otwarte. Za jakieś trzy, cztery dni będzie się pan mógł ze mną skontaktować. Na razie proszę wysłać wszystko, w tym oficjalny raport z ataku na magazyn, na mojego palmtopa.
- Rozsunął klapy namiotu i popatrzył na skały i piach, rzadkie kępy traw i uschłe palmy daktylowe. Ta część Afganistanu zawsze wydawała mu się jałowa. Później jego wzrok przyciągnął ruch i zobaczył, jak z niewielkiej jaskini w połowie doliny wylania się troje ludzi – kobieta w towarzystwie dwóch uzbrojonych mężczyzn.
- Amira, która przyszła, by zabrać go do laboratorium. Wypuścił powietrze, które zaczynało go już palić w piersiach.
- Ale jeśli będzie za późno, by ewakuować personel... – powiedział Amerykanin.
- Aż tak się pan nimi przejmuje?
- Amerykanin się zaśmiał.
- Jasne. Myślę raczej o tym, co Oddział Myślaków mógłby zrobić z tym, co tam znajdują.
- Zrobią dokładnie to, czego od nich chcemy. – Zamierzał powiedzieć „czego ja od nich chcę”, ale postanowił rzucić Amerykaninowi ochłap. – Proszę mnie informować. Jeśli nie uda się panu do mnie dodzwonić, proszę regularnie przekazywać wiadomości mojemu asystentowi.
- Amerykanin mruknął coś niegrzecznie. Niezbyt się lubili z Zabawką.
- Jest pan pewien, że to cholerstwo zadziała?
- Zadziała? – powtórzył cicho Gault, patrząc, jak Amira idzie w jego stronę. Kobieta szła energicznym krokiem, wyraźnie podekscytowana, a on wiedział, jakie rzeczy ją ekscytują.
- Już zadziałało.
- Wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

Rozdział dziesiąty

Baltimore, Maryland, sobota, 27 czerwca, 18:19

– Gabinet doktora Sancheza.

– Kittie? Tu Joe. Rudy jest wolny?

– Już skończył pracę. Chyba poszedł na siłownię...

– Dzięki.

Zakończyłem rozmowę i wybrałem numer Gold's na Pratt Street. Zawołali Rudy'ego do telefonu.

– Joe – powiedział. Rudy brzmi jak Raul Julia z czasu *Rodziny Addamsów*. - Myślałem, że jesteś w Ocean City. Wspominałeś coś o opaleniznie, niekończącej się defiladzie lasek w bikini i sześciopaku corony. Czy nie taki był twój wspianiały plan?

– Plany się zmieniają. Posłuchaj, masz czas?

– Kiedy?

– Teraz.

Chwila przerwy, gdy zmieniał tryby.

– Wszystko w porządku?

– Nie do końca.

Kolejna zmiana, tym razem przejście od troski do ostrożności.

– Czy chodzi o to, co wydarzyło się w magazynie?

– W pewnym sensie.

– Czujesz się przygnębiony albo...

– Daj spokój, Rudy, to nie sprawa na terapię.

Zrozumiał. Rudy na długo przed pierwszą próbą samobójczą Helen był moim psychiatrą od czasu do czasu i przyjacielem na pełen etat. Teraz potrzebowałem przyjaciela, ale i jego mózg mógł mi się przydać.

– Ubieraj się i wyjdź na zewnątrz, będę tam za pięć minut.

* * *

Poznałem Rudy'ego Sancheza przed dziesięciu laty, podczas jego stażu w szpitalu Sinai. Zajmował się Helen od czasu, gdy została przyjęta po raz pierwszy, kiedy ze ścian zaczęły wychodzić pająki. Teraz obaj na różny sposób radziliśmy sobie z jej śmiercią. Ja potrzebowałem go ze względu na swój udział, a on na swój.

Poza Helen żaden z pacjentów Rudy'ego nie popełnił samobójstwa, a on zniósł to bardzo ciężko. Jest coś takiego jak zawodowy dystans i jest też zwyczajne człowieczeństwo. Rudy jest świetnym psychiatrą. Sądzę, że ten zawód jest jego powołaniem. Słucha każdą cząsteczką swojego ciała i jest przenikliwy.

Wyszedł z siłowni Gold's ubrany w jaskrawoniebieskie kolarskie spodenki i czarną koszulkę bez rękawów, z torbą Under-Armour na ramieniu.

- Masz tu gdzieś rower? – spytałem, rozglądając się dookoła.
- Nie, przyjechałem samochodem.
- To o co chodzi ze spodenkami?
- Mają nową trenerkę. Dziewczyna z Jamajki... wysoka, olśniewająca.
- I co z tego?
- Spodenki kolarskie podkreślają moją męskość.
- Jezu Chryste.
- Zazdrość to paskudne uczucie, Joe.
- Wsiadaj do pieprzonego samochodu.

Pojechaliśmy do parku stanowego Bellevue, kupiliśmy parę butelek wody i weszliśmy do lasu.

W samochodzie niewiele mówiłem, a Rudy mnie nie poganiał, czekał, aż się otworzę, ale po pięciu minutach marszu odchrząknął.

- Jak na sesję psychoterapii znaleźliśmy się w dość odległym miejscu, kowboju.
- Nie o to chodzi.
- W takim razie o co? FBI chce, żebyś zdobył odznakę znajomości lasu?
- Potrzebuję prywatności.
- Samochód nie wystarczy?
- Nie jestem pewien.

Uśmiechnął się.

- Powinieneś pogadać z terapeutą o tej swojej paranoi.

Zignorowałem go. Leśny szlak doprowadził nas do niedużej polany nad strumieniem. Podeszliśmy do rozrzuconych głazów. Strumień, choć mały, całkiem głośno szemrał. Przydatne. Co prawda nie spodziewałem się mikrofonów kierunkowych, ale lepiej być bezpiecznym niż lekkomyślnym.

- Dobra, nie zrozum tego źle, Rudy, ale zamierzam rozebrać się do naga. Możesz się odwrócić.

Nie chciałem, żebyś utracił wiarę w swoją męskość.

Usiadł na skale i wziął kilka kamyków do rzucania. Ja rozebrałem się do naga i sprawdziłem każdy cal bokserek, szwy i metki. Nic, więc znów je włożyłem.

- Dzięki Bogu – mruknął Rudy.

Pokazałem mu środkowy palec i powtórzyłem ten proces z pożyczonymi ubraniami.

- Czego szukasz?

- Pluskiew.

- Pluskiew w sensie paskudnych robali czy pluskiew w sensie dopadła mnie cholerna paranoja i lepiej, żeby mój przyjaciel psychiatra miał pod ręką chloropromazynę?

- To drugie.

Włożyłem z powrotem dres i usiadłem na głazie oddalonym o jakieś półtora metra.

- Co się dzieje, Joe?

- Na tym polega problem, Rudy... nie wiem.

Wpatrywał się we mnie ciemnymi oczyma.

- Dobra – stwierdził – opowiedz mi.

I tak też zrobiłem.

Kiedy skończyłem, Rudy siedział na skale i przez długi czas wpatrywał się w modliszkę wygrzewającą się na liściu. Słońce było rubinową kulą za odległymi drzewami, a nadchodzący zmierzch sprawił, że popołudniowy upał zaczynał ustępować przyjemnemu chładowi.

- Joe? Popatrz mi w oczy i powiedz, że wszystko, co mi opowiedziałeś, jest prawdą.

Powiedziałem mu.

Obserwował moje źrenice, mięśnie wokół oczu, szukając jakiegokolwiek zmiany skupienia.

Szukając wskazówki.

– Nie ma szans, żeby ten pan Church się z tobą bawił? Nie ma szans, żeby ten Javad brał udział w grze?

– Kilka dni temu strzeliłem mu dwa razy w plecy. Dziś zmiażdżyłem jego twarz, a później skręciłem mu kark.

– Czyli odpowiedź brzmi nie. – Jego skóra nabrała niezdrowego odcienia, gdy wszystko zaczęło do niego docierać.

– Czy priony mogłyby tak działać?

– Przed dzisiejszym dniem powiedziałbym bez wahania, że nie. I nadal tak sądzę.

– A czym w ogóle, do diabła, są te priony? Nie pamiętam, co pamiętam na ich temat.

– Cóż, wiąże się z nimi wiele zagadek. Priony to małe białkowe cząsteczki zakaźne, które nie są rozkładane przez normalne czynniki wpływające na kwasy nukleinowe. Czy to ma sens?

– Ani trochę.

– Niestety, prościej nie będzie. Priony to skomplikowane zagadnienie i jesteśmy całkiem pewni, że więcej nie wiemy, niż wiemy. Choroby prionowe często nazywa się gąbczastą encefalopatią ze względu na obecność charakterystycznych wakuoli w korze mózgowej i mózdzku, przez co mózg wygląda jak szwajcarski ser. Choroby te charakteryzuje utrata kontroli motorycznej, demencja, paraliż, wycieńczenie i w końcu śmierć, zwykle związana z zapaleniem płuc. Choroba szalonych krów to typ gąbczastej encefalopatii. Powstanie z martwych z pewnością nie należy jednak do znanych objawów.

– Czyli... priony nie mogłyby zmienić terrorysty w takiego potwora?

– Nie mam pojęcia w jaki sposób. Powiedziałeś, że Church jedynie się domyślał. Minęło... Ile? Pięć dni od czasu, kiedy zastrzeleś Javada? To zbyt mało jak na takie badania medyczne. Church może się całkowicie mylić co do przyczyny.

– Co nie zmienia faktu, że Javad był martwy.

– *Dios mio.*

– Rudy... wierzysz mi, prawda?

Znów wpatrzył się w modliszkę.

– Tak, kowboju. Wierzę ci. Po prostu nie chcę wierzyć.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

Rozdział jedenasty

Grace Courtland i pan Church, Easton, Maryland | 18:22

Pan Church siedział w pokoju przesłuchań i czekał. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do środka weszła kobieta. Była średniego wzrostu, szczupła i obdarzona urodą, którą niektórzy nazywali „niepokojącą”. Miała na sobie dopasowany szary kostium, czółenka na niezbyt wysokim obcasie i koralową bluzkę.

Krótkie ciemne włosy, brązowe oczy ze złocistymi cętkami. Żadnej obrączki ani biżuterii. Wyglądała jak księgowa z Hollywood albo dyrektor w jednej z tych bardziej wyrafinowanych agencji reklamowych.

– Widziałaś? – spytał Church.

Zamknęła za sobą drzwi i rzuciła okiem na laptopa, który Church trzymał przed sobą, z opuszczonym ekranem, by ukryć zawartość.

– Tak. I nie cieszy mnie, że straciliśmy sztywnego. – Mówiła nisko, gardłowo, z londyńskim akcentem. – Wiem, że mamy inne obiekty, ale...

Church przerwał jej krótkim ruchem głowy.

– Grace, oceń jego zdolności na podstawie tego, co się właśnie wydarzyło.

Usiadła.

– Po stronie plusów: jest twardy, zaradny i zajadły, ale tego już się dowiedzieliśmy z nagrań z magazynu. Jest twardszy niż pozostali kandydaci.

– A minusy?

– Niechlujna robota policyjna. Wczorajem w dniu poprzedzającym atak jego oddziału specjalnego magazyn opuściły dwie furgonetki, jedna śledzona, jedna nie. Ledger miał w tym swój udział.

– Sądzę, że kiedy otrzymamy wszystkie nagrania z oddziału specjalnego, sytuacja może zacząć wyglądać inaczej, jeśli chodzi o udział Ledgera.

Grace patrzyła z powątpiewaniem.

– Co jeszcze masz po stronie minusów? – spytał Church.

– Wątpię, by był stabilny emocjonalnie.

– Czytałaś jego profil psychologiczny?

– Tak.

– W takim razie wiedziałaś o tym już wcześniej.

Zacisnęła wargi.

– To człowiek, dla którego wszystko jest czarne albo białe. Trudno będzie nad nim zapanować.

– Jeśli miałby być członkiem zespołu, to jasne. Ale gdyby został dowódcą?

Grace prychnęła.

– W wojsku był sierżantem bez doświadczenia bojowego. W oddziale specjalnym miał najniższy stopień. Nie sądzą... – Grace urwała, odchyliła się do tyłu i uniosła brew. – Lubisz tego gościa, prawda?

– Sympatia jest bez znaczenia, Grace.

- Naprawdę widzisz w nim materiał na dowódcę?
- To się jeszcze oceni.
- Ale jesteś pod wrażeniem?
- Aty nie?

Grace odwróciła się i zajrzała przez okno do drugiego pokoju. Dwaj agenci w kombinezonach przeciwskażeniowych układali trupa Javada na szpitalnym wózku. Odwróciła się znów do Churcha.

- Co byś zrobił, gdyby został ugryziony?
- Umieścił go w dwunastce razem z pozostałymi.
- Tak po prostu?
- Tak po prostu.

Odwróciła się na chwilę, nie chciała, by Church zobaczył pogardę i przerażenie w jej oczach. Na jej twarzy malowały się przerażenie, szok i smutek, który czuła – podobnie jak wielu innych z WDN. Ten tydzień był koszmarem. Najgorszy w życiu Grace.

- Twoja ocena – przypomniał jej.
- Nie wiem. Musiałabym zobaczyć go w paru innych sytuacjach, zanim chciałabym zobaczyć awansowanego na oficera. Po tym, co wydarzyło się w szpitalu, nie możemy sobie pozwolić, by dowodzenie objął ktoś poza najlepszymi.
- Gdybyś to ty miała zdecydować, zaprosiłabyś go do jednostki?

Postukała palcami w blat.

- Może.

Podsunał jej talerz.

- Ciasteczko?

Spojrzała na talerz z oreo i wafelkami waniliowymi. Uprzejmie pokręciła głową.

Church podniósł ekran laptopa tak, by oboje go widzieli.

- Patrz – powiedział i nacisnął przycisk odtwarzania.

Na ekranie pojawił się obraz w dużej rozdzielczości, przedstawiający grupę mężczyzn w czarnych mundurach bojowych poruszających się szybko w korytarzu biura.

- Magazyn? – spytała. – Już to widziałam.

- Nie ten fragment.

Na ekranie pojawił się Joe Ledger, znajdował się w odległości około dwudziestu metrów przed agentem, od którego pochodziło nagranie. Ledger zauważył dwóch członków oddziału specjalnego, którzy znaleźli się pod ostrzałem trzech wrogich bojowników ukrytych bezpiecznie za stertą ciężkich skrzyń. Kule odrywały kawałki od mizernej osłony, za którą ukrywali się agenci. Ledger pojawił się na ich siódmej, zdecydowanie poza linią wzroku. W ręku trzymał pistolet, ale otwarcie ognia z takiej odległości byłoby samobójstwem. Mógłby dopaść jednego albo dwóch, ale pozostali odwróciliby się i posiekali go na kawałki. Między Ledgerem a wrogami nie było zupełnie żadnej osłony, ale on trzymał się blisko ściany i poruszał się z kocią zwinnością, a łoskot wymiany ognia zagłuszał jego kroki.

Kiedy Ledger znalazł się w odległości trzech metrów, otworzył ogień. Pierwszym strzałem trafił jednego z bojowników w kark, siła uderzenia pchnęła mężczyznę na skrzynie. Gdy pozostałych dwoje odwróciło się w jego stronę, policjant zmniejszył dystans i wystrzelił raz jeszcze. Drugi z przeciwników zatoczył się do tyłu, jednak zamek pistoletu Ledgera pozostał w pozycji tylnej. Nie było czasu na wymianę magazynka. Trzeci bojownik natychmiast zamachnął się na niego swoją bronią. Ledger zablokował cios pistoletem, a później obraz się rozmył. Po chwili wszyscy trzej wrogowie leżeli martwi.

Grace zmarszczyła czoło, ale nie odezwała się ani słowem, gdy nagranie zostało odtworzone po raz drugi w zwolnionym tempie. Pochyliła się w chwili zablokowania

zamka broni Ledgera. Łuski opadały na ziemię w zwolnionym tempie eleganckim łukiem. Ledger trzymał pistolet przed sobą, więc z pewnością wiedział, że znalazł się w tarapatkach, ale nie zareagował na to w żaden widoczny sposób. Rozłożył ręce i, nie zatrzymując się, rozładowaną bronią zablokował cios przeciwnika, a jednocześnie uderzył lewą ręką. Zgiął przy tym palce w taki sposób, że drugim rzędem kostek uderzył w tchawicę przeciwnika. Jednocześnie zrobił dłuższy krok lewą stopą i wbił czubek buta w chrząstkę tuż pod rzepką bojownika. Ułamek sekundy później uniósł prawą rękę i wbił odsłoniętą lufę pistoletu w lewy oczodół atakującego.

Napastnik poleciał do tyłu, jakby został trafiony ze strzelby. Ledger postawił stopę na ziemi i płynnym ruchem sięgnął po nowy magazynek. W tej właśnie chwili nagranie się skończyło.

– Kurwa mać! – Grace nie zdołała powstrzymać okrzyku.

– Od zablokowania zamka do śmierci przeciwnika minęło 0,031 sekundy – powiedział Church. – Powiedz mi, dlaczego chcę go mieć w WDN.

Nie znosiła, kiedy to robił. Przypominało jej to szkołę, ale nie pozwoliła sobie na okazanie wyrazu irytacji. Na twarzy.

– Nie okazał najmniejszego wahania. Nawet się nie wzdrygnął, kiedy okazało się, że ma pusty magazynek, po prostu przeszedł do innego ataku. Zrobił to tak gładko, jakby przez całe lata ćwiczył tę sekwencję ruchów.

– W świetle nagrania i twojej oceny, czy uznałabyś go za odpowiedniego kandydata dla nas?

– Nie wiem. Jego profil psychologiczny czyta się jak powieść grozy.

– Czas przeszły. Derealizacja była związana z określonym traumatycznym wydarzeniem, które nastąpiło, kiedy był nastolatkiem. W jego aktach z czasów późniejszej służby nie ma niczego, co wskazywałoby na niestabilną osobowość.

Pokręciła głową.

– Do tamtej traumy doszło w kluczowej fazie jego życia. Określiła jego dalszy rozwój. Dlatego zaczął ćwiczyć sztuki walki. Dlatego wstąpił do wojska i dlatego został policjantem. Szuka sposobów, by skanalizować swoją wściekłość.

– Wydaje mi się, że znalazł sposoby, by ją skanalizować. Bardzo użyteczne sposoby, Grace. Gdyby dał się porwać wściekłości, jego zachowania byłyby inne. Ktoś uzależniony od wściekłości wybrałby coś bardziej konfrontacyjnego, on jednak doskonalił swoje umiejętności w sztuce słynącej z braku dramatyzmu.

– Co może sugerować kogoś desperacko pragnącego zachować panowanie nad sobą.

– To jeden punkt widzenia. Inny jest taki, że zapanował nad sobą, i to go ocaliło.

Grace postukała palcami w stół.

– Nadal mi się nie podobają te stare profile psychologiczne. Sądzę, że gdzieś tam kryje się tykająca bomba.

– Powinnaś przeczytać swoje własne, Grace. Te ostatnie – powiedział łagodnie Church, a ona spiorunowała go wzrokiem. – Powiedz mi, Grace... jak sądzisz, czy gdyby Ledger był z oddziałami Bravo albo Charlie w St. Michaels, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej?

Grace zacisnęła zęby.

– Nie da się tego ocenić.

– Wcale nie. Wiesz, dlaczego w szpitalu wszystko poszło w diabły, widziałas też to nagranie. Nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Nie wiem. Uważam, że wymaga to dalszych obserwacji.

– W porządku – powiedział. – W takim razie go obserwuj.

Z tymi słowami wstał i wyszedł.

Rozdział dwunasty

Baltimore, Maryland, sobota, 27 czerwca, 18:54

Rudy milczał, kiedy szliśmy z powrotem do mojej terenówki. Otworzyłem zamki, ale on został na zewnątrz, z dłonią na kłamce.

- Ten *cabrón* Church... co o nim sądzisz?
- Wsamochodzie mogą być pluskwy, Rude.
- Pieprzyć je. Odpowiedz na pytanie. Uważasz, że Church jest dobrym czy złym gościem?
- Trudno to ocenić. Na pewno nie jest miłym gościem.
- Jeśli wziąć pod uwagę, co musi robić, czy naprawdę powinien być miły?
- Racja – przyznałem.

Wsiadłem do wozu, uruchomiłem silnik i podkręciłem radio. Jeśli w samochodzie były pluskwy, to mogło coś pomóc, choć podejrzewałem, że wcale nie miało znaczenia.

- Każe ci przyjąć wiele na wiarę. Tajne rządowe organizacje, zombie... czułeś, że w jakiś sposób próbował cię zwieść?
- Nie – odparłem. – Wątpię, by kłamał. A jednak... nie umiem dojść z tym wszystkim do ładu. To niemożliwe. Nie pasuje, jest za bardzo...

Nie umiałem ująć tego w słowa, więc rozejrzałem się dookoła. Ptaki na drzewach śpiewały, dzieciaki na huśtawkach śmiały się radośnie.

Rudy podążył za moim spojrzeniem.

- Trudno ci uwierzyć w te rzeczy, skoro możesz stać tutaj i patrzeć na to wszystko. Przytaknąłem.
- To znaczy... wiem, że tamto było realne, bo byłem przy tym, ale jednocześnie nie chcę, żeby było realne.

Nic nie powiedział, a ja po chwili zadałem mu kolejny cios.

- Church powiedział, że czytał moje profile psychologiczne. Rudy miał minę, jakbym go uderzył.
- Ode mnie ich nie dostał.
- A skąd wiesz? Jeśli jest na tym samym poziomie co Bezpieczeństwo Krajowe, sam możesz mieć pluskiew do łoża i ciut, ciut.
- Jeśli uda mi się udowodnić choć cień pogwałcenia...
- To co zrobisz? Aferę? Pójdiesz do sądu? Większość ludzi tego nie robi. Od jedenastego września. Bezpieczeństwo Krajowe na to liczy.
- Patriot Act – powiedział tonem, jakim ludzie wypowiadają zazwyczaj słowo „hemoroidy”.
- Z terroryzmem trudno walczyć, jeśli nie ma się pola manewru. Posłał mi paskudne spojrzenie.
- Bronisz naruszenia wolności obywatelskich?
- Nie do końca, ale spójrz na to z perspektywy policyjnej. Terroryci doskonale znają prawa obywatelskie i wykorzystują je, żeby się ukrywać. Nie, nie patrz tak na mnie. Ja po

prostu stwierdzam fakty.

– Jakie fakty?

– Że dla wszystkich jest to sytuacja z gatunku albo-albo, a rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana.

– Informacje o pacjentach są święte, amigo.

Zwraca się do mnie w taki sposób tylko kiedy jest na mnie wściekły.

– Ej, nie najeżdżaj na mnie. Jestem po twojej stronie. Ale może powinieneś rozważyć punkt widzenia drugiej strony.

– Druga strona może pocałować mnie...

– Uważaj, brachu, ten samochód może być naszpikowany pluskwami.

Rudy nachylił się w stronę samochodu i powiedział głośno i wyraźnie:

– Pan Church może mnie pocałować w dupę. – Powtórzył to powoli, po hiszpańsku. –

jBesa mi culo!

– Dobrze już, dobrze, ale nie miej do mnie pretensji, jeśli nagle cię znikną.

Cofnął się i spojrzał na mnie z namysłem.

– Dziś zrobię trzy rzeczy. Po pierwsze, sprawdzę każdy centymetr kwadratowy swojego gabinetu, a jeśli znajdę cokolwiek nie na miejscu, najmniejszą sugestią naruszenia, zadzwonię na policję, do swojego prawnika i do swojego kongresmena.

– Powodzenia.

Wsiadłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

– Po drugie, postaram się dowiedzieć jak najwięcej o prionach, spróbuję znaleźć coś, co wskazywałoby, że mogą w jakiś sposób reaktywować układ nerwowy. Może nawet były jakieś badania czy publikacje.

– A po trzecie?

Otworzył drzwi.

– Pójdę na wieczorną mszę i zapalę świecę.

– Za Helen?

– Za ciebie, kowboju, za mnie... i za całą cholerną ludzką rasę.

Wsiadł i zamknął drzwi.

Przez całą drogę powrotną nie odzywaliśmy się do siebie.

Rozdział trzynasty

Gault i Amira, Bunkier, sześć dni wcześniej

Po wyjeździe El Mudżahida i jego żołnierzy w obozie oprócz Gaulta pozostało jedynie sześć osób: czterech strażników, służący i Amira, która była jednocześnie żoną El Mudżahida i szefową tajnego działu badawczego Gaulta na Bliskim Wschodzie. Była oszałamiającą kobietą i niewiarygodnie błyskotliwym naukowcem, a jej znajomość patogenów wywołujących choroby zakaźne graniczyła z nadludzką.

W oczekiwaniu na nią włączył palma i sprawdził pliki, które przysłał mu Amerykanin, w większości oficjalne raporty z ataku oddziału specjalnego. Większość poszła dokładnie tak, jak zaplanowano – choć Amerykanin tego nie wiedział. Gault nie mówił wszystkiego nerwowemu Jankesowi.

Zastanawiał się jednak, dlaczego przetwórnia krabów nie została jeszcze zaatakowana. Wpisał przypomnienie, by spytać o to Zabawkę.

Kłapa namiotu się podniosła. Kiedy się odwrócił, zobaczył ją i na chwilę zupełnie zapomniał o atakach i intrygach.

Amira była szczupłą, średniego wzrostu, ubrana w czarną *chadri*, która ukazywała jedynie oczy. Na bazarze albo ruchliwej ulicy mogłaby przejść niezauważona. Chyba że jakiś mężczyzna nawiązałby z nią kontakt wzrokowy, gdyż wtedy jej anonimowość rozpląnęłaby się jak piaskowa rzeźba w wichurze. Ta kobieta mogła zatrzymać wzrokiem ruch uliczny. Gault widział, jak to robiła. Kiedy wchodziła do pomieszczenia, cichły rozmowy, a mężczyźni wpadali na ściany. Bardzo dziwna reakcja, zupełnie sprzeczna z muzułmańską tradycją. Krótkie spojrzenie kobiecie w oczy jest w porządku, ale spojrzenie po raz wtóry jest *haram*, społeczną i religijną gafą o poważnych konsekwencjach, zwłaszcza w tradycyjnych kręgach, w których obracała się ta kobieta wraz z El Mudżahidem. A jednak nikt – a przynajmniej żaden mężczyzna, którego widział Gault – kto spojrzał jej w oczy, nie pozostawał niewzruszony.

Nie chodziło przy tym o erotyzm, ponieważ jedynym, co mógł zobaczyć mężczyzna, były oczy Amiry, a na Bliskim Wschodzie żyły miliony kobiet o pięknych oczach. Nie, chodziło o coś sięgającego głębiej niż erotyzm, nawet niż prawa religijne. To była moc. Prawdziwa, namacalna, poruszająca ziemię moc, i kryła się w oczach Amiry, jakby były oknem na sam środek nuklearnego paleniska.

Gault zobaczył ją po raz pierwszy dwa miesiące przed amerykańskim atakiem na Irak. Byli wśród dwóch tysięcy zgromadzonych na wiecu przeciwko koalicji w Tikricie. On też tam był, po cichu werbował i czekał na łącznika, który zdaniem jego źródeł mógł doprowadzić go do El Mudżahida. Gault poczuł, jak coś go dotyka, jakby ktoś musnął jego kark gorącymi palcami, a kiedy się odwrócił, zobaczył tę kobietę stojącą w odległości pięciu metrów i wpatrującą się... W niego...? Po raz pierwszy w życiu zabrakło mu słów, znieruchomiał przykuty mocą tych oczu i kryjącej się za nimi ogromnej inteligencji. Podeszła do niego skromnym krokiem porządnej muzułmanki, a gdy tłumy skupiały się na Saddampie, który wygłaszał poruszające przemówienie i obiecywał, że nie pozwoli, by

Amerykanie choćby postawili stopę na irackiej ziemi, kobieta pochyliła się i powiedziała:

– Jestem Amira. Mogę zabrać cię do raję.

W innych okolicznościach to zdanie byłoby tanią zaczepką prostytutki, lecz dla Gaulta było hasłem, na które czekał od wielu tygodni. Tak go zaskoczyło, że to właśnie ona była posłańcem, z którym miał się spotkać w Tikricie, że prawie sfuszerował odzew, ale po dwóch czy trzech nieudanych próbach w końcu wykrztusił:

– A co tam zobaczę?

Wypowiedziała trzy magiczne słowa, które napełniły Gaulta ogromną radością. Nachyliwszy się jeszcze bliżej, Amira szepnęła:

– *Se if a I Din.*

Co tam zobaczę?

Seifal Din. Miecz Wiernych.

Ta chwila wróciła do Gaulta, gdy Amira weszła do namiotu. Podniósł się z uśmiechem. Pragnął wziąć ją w ramiona, zerwać z niej tę śmieszłą czarną szmatę. Widział w jej oczach to samo pragnienie, kiedy się uśmiechnęła. Z jej uśmiechu widział jedynie delikatne kurze łapki w kącikach tych błyszczących brązowych oczu i wiedział, że ten uśmiech jest jednocześnie potwierdzeniem i obietnicą. Nie mogli nic zrobić, póki znajdowali się w namiocie El Mudżahida. Za kobietą stali dwaj strażnicy, obaj patrzyli na niego surowo.

– Panie Gault – powiedziała potulnie. – Mąż polecił, bym zaprezentowała panu wyniki naszych eksperymentów. Czy zechce pan udać się ze mną do bunkra?

– Śpieszę się. Muszę dotrzeć do Bagdadu przed...

– Proszę, panie Gault. Takie jest życzenie mojego męża.

Położyła wystarczający nacisk na słowo „życzenie”, by dać wyraźnie do zrozumienia, że chodzi o „rozkaz”. Świetna robota, pomyślał, widząc, jak strażnicy za jej plecami sztywnieją i zaczynają patrzeć jeszcze bardziej surowo. Wszystko to było starannie zaplanowanym przedstawieniem.

– W porządku – mruknął Gault z udawaną niechęcią i wstał z westchnieniem.

Amira wyszła z namiotu, a dwaj strażnicy ustawili się tak, że jeden znalazł się między nią a Gaultem, a drugi między Gaultem a wszelką szansą ucieczki. El Mudżahid był bardzo ostrożnym osobnikiem, co Gaultowi odpowiadało. Podążył za Amirą do kolejnego namiotu, ustawionego bardzo blisko ściany doliny.

W namiocie wisiały ozdobne kilimy, a przed jednym z nich stał trzeci strażnik. Mężczyzna miał zaciętą minę, a w muskularnych rękach trzymał kałasznikowa. Na rozkaz Amiry cofnął się i pozwolił jej odsunąć ciężką tkaninę. Za nią znajdowało się wejście do płytkiej jaskini. Amira, Gault i dwaj strażnicy weszli do środka, przeszli trzy metry i skręcili zgodnie z naturalnym przebiegiem tunelu.

Za rogiem, niewidoczna od strony wejścia, wznosiła się szarobrązowa skalista ściana porośnięta wysuszonym mchem. Strażnicy kazali Gaultowi odwrócić się twarzą do wejścia, ale on wiedział, co się działo za jego plecami. Amira sięgnęła w głąb mchu i wyciągnęła cienki drut – coś, co ujawniłoby dopiero bardzo skrupulatne przeszukanie jaskini – a w Afganistanie było mnóstwo jaskiń. Szarpnęła przewód dwa razy, zaczęła cztery sekundy i szarpnęła jeszcze trzy. W tej chwili fragment nierównej skały odsunął się na bok, ukazując klawiaturę komputera. Amira wstukała kod, przypadkową sekwencję liter i cyfr, która codziennie się zmieniała, a kiedy kod został zaakceptowany, położyła dłoń na skanerze. El Mudżahid sądził, że tylko dwie osoby na całym świecie znają kod – on i jego żona. Znał go również Gault. Wiedział wszystko o jaskini, klawiaturze i bunkrze, który leżał za tą ścianą. Zapłacił za niego i wbudował w system dziesiątki komputerowych tylnych wejść.

Wiedział również, jak zniszczyć ten bunkier i jego zawartość, by nie dało się odzyskać

najmniejszej ilości użytecznych informacji. Oczywiście przy okazji wyjałowiliby też sporą część Afganistanu, ale – jak to się mówi – coś za coś. Musiał jedynie wpisać stosowny kod na swoim laptopie.

A gdyby to się nie powiodło, Gault zawsze miał na podorędziu plan awaryjny. Natomiast gdyby on sam zniknął, jego asystent Zabawka mógł zainicjować jeden z licznych planów zemsty.

Gault usłyszał syk hydrauliki, a jeden ze strażników chrząknął, co oznaczało, że mógł się odwrócić.

Cała tylna ściana jaskini odsunęła się na zewnątrz, ukazując śluzę równie wyrafinowaną, jak te używane przez NASA.

– Proszę – powiedziała Amira, zachęcając go do wejścia.

Jeden z dwóch strażników pozostał w jaskini, drugi zaś wszedł do śluzy razem z Gaultem i Księżniczką. Potężne drzwi zamknęły się z sykiem i rozległa się seria skomplikowanych odgłosów, gdy zamykały się kolejne zamki i uruchamiały zabezpieczenia. Nad drzwiami zapaliło się czerwone światło. Odwrócili się do drzwi wyjściowych, nad którymi z kolei zapaliła się zielona lampka. Amira znów wpisała kod, ale strażnik tym razem nie kazał Gaultowi się odwrócić. Mężczyzna uśmiechnął się do Gaulta, który odpowiedział mu mrugnięciem.

– Jakdzieciaki, Khalidzie?

– Doskonale, proszę pana. Mały Mohammad zaczął chodzić. Nie można za nim nadążyć.

– Jak one szybko rosną. Ucałuj je ode mnie.

– Dziękuję, panie Gault.

Drzwi otworzyły się i do środka wpadła fala schłodzonego powietrza.

– Gotowy? – spytała Amira.

– Khalidzie... może byś tak poszedł do biura i poglądał sobie jakieś filmy? Daj nam parę godzin.

– Z radością, proszę pana.

Wyszli ze śluzy do bunkra, który różnił się od obozu na zewnątrz tak, jak diament różni się od bryły węgla. Centralną salę wypełniał najnowocześniejszy sprzęt badawczy i przetwarzający dane, w tym łącza satelitarne, szybkie łącza światłowodowe, ekrany plazmowe na każdej dostępnej powierzchni i dziesięć terminali. Centralne laboratorium otaczały przeszklone biura, lodowata serwerownia z rzędem superkomputerów Blue Gene/L, jak również pięć sterylnych pomieszczeń z osobnym obiegiem powietrza i zabezpieczeniami przed skażeniem biologicznym. Osobny korytarz prowadził do skrzydła dla pracowników, w którym znajdowały się sypialnie osiemdziesięciu techników i dwudziestu członków personelu pomocniczego.

Całość kosztowała fortunę. Pięćdziesiąt osiem milionów funtów przekazanych tak zawiłą drogą, że potrzebna by była cała armia księgowych śledczych, by wysledzić ich pochodzenie. Nic nie dałoby się powiązać bezpośrednio z nim albo z Gen2000. Gault sądził, że było to nie tylko najbardziej wyrafinowane prywatne centrum badawcze na całym świecie, ale też najbardziej produktywne i zróżnicowane. Genetyka, farmakologia, biologia molekularna, bakteriologia, wirusologia, parazytologia, patologia i kilkanaście innych powiązanych nauk łączyło się w jednej zwartej, ale niewiarygodnie produktywnej fabryce, która zarobiła już ponad cztery razy więcej, niż wynosił jej koszt dzięki patentom zgłaszanym przez ponad siedemdziesięciu opłacanych przez niego naukowców z różnych uniwersytetów. Wśród nich znajdował się pierwszy skuteczny lek stosowany w terapii rzadkich nowotworów krwi, pierwotnej sarkoidozy i chorób wywoływanych przez kontakt z azbestem, na które zaczęli zapadać ocaleni z katastrofy World Trade Center.

Ironia losu sprawiła, że Gault miał ochotę roześmiać się na głos – w końcu to on

poinformował bin Ladena o prawdopodobnych i potencjalnie użytecznych problemach zdrowotnych po upadku wież, i to zanim jeszcze członkowie Al-Kaidy zapisali się na kursy dla pilotów.

Amira poprowadziła go za szeregami techników, wciąż odgrywając rolę posłusznej żony wielkiego przywódcy, choć wszyscy ci ludzie należeli do niej, co do jednego. Poza jej kontrolą pozostawał jedynie Abdul, porucznik jej męża, i niewielki oddział jego osobistych strażników, ale oni pozostali na zewnątrz. Nawet ich lojalność miała się w swoim czasie zmienić. Wszystko miało się zmienić.

Zaprowadziła Gaulta do sali konferencyjnej, zamknęła drzwi i zablokowała je. Na zewnątrz zapaliło się czerwone światło. Pomieszczenie nie miało okien, w środku był jedynie duży stół i mnóstwo krzeseł.

Amira odwróciła się od drzwi, pośpiesznie zdjęła *chadri* i rzuciła się na Gaulta.

Była szybka, dzika, głodna.

Popchnęła go do tyłu, rzucając go na stół, i zaczęła szarpać jego ubrania, gryźć każdy odsłonięty kawałek jego ciała. Chwycił ją i podkasał jej spódnicę. Wiedział, że pod spodem jest naga. Zaplanowali tę chwilę, potrzebowali jej. Był równie gotów jak ona, piętami odepchnął się od podłogi i wsunął dalej na stół. Wspięła się na niego, przerzuciła nogę przez jego biodro, a on pociągnął ją na siebie. Było gorąco i twardo, boleśnie i niezgrabnie, ale jakże mocno.

Ich ciała ocierały się o siebie. Miłość zginęła w lawinie potrzeby stłumiona przez głód.

El Mudżahid był czasami równie brutalny i mocny, ale zawsze szybki, a Amira mogła wytrzymać i przetrzymać każdego mężczyznę. Prawie każdego mężczyznę. Z Gaultem było inaczej. Zamiast galopu do krawędzi i szybkiego upadku w rozczarowanie pędzili naprzód, ich ciała ociekały potem, serca biły jak prymitywne bębny, oddechy płonęły.

Oboje doszli z krzykiem. Sala konferencyjna była dźwiękoszczelna. Dopilnował tego.

Rozdział czternasty

Baltimore, Maryland, sobota, 27 czerwca, 19:46

Podrzuciłem Rudy'ego do gabinetu. Kiedy wysiadł, odezwał się do mnie.

– Joe... wiem, jak obsesyjnie potrafisz się zachowywać.

– Ja? Nie mów.

– Mówię poważnie. Church jest w jakiejś niesamowitej rządowej agencji i kazał ci dać sobie spokój. Chyba powinieneś potraktować go poważnie.

– Jasne, jasne.

– A co innego możesz zrobić? Drażnić, aż w końcu szerszenie wylecą z gniazda? Pomyśl tylko... Church nie zwrócił się do ciebie oficjalnymi kanałami, a to oznacza, że chce, żeby nie pozostały żadne ślady w papierach. To mnie przeraża, kowboju, i ciebie też powinno.

– Jestem zbyt podminowany, żeby się bać. Boże... chyba muszę się dzisiaj zalać w trupa. Zamknął drzwi i nachylił się przez okno.

– Posłuchaj mnie, Joe... nie przesadzaj z gorzałą. I żadnego rżnięcia przypadkowych lasek.

W ciągu zaledwie kilku dni przeżyłeś dwa traumatyczne wydarzenia. I możesz sobie udawać twardziela, ale ja wiem, że zabicie tych ludzi w magazynie nie pozostało bez śladu.

– Sami się prosili.

– I to niby ma znaczenie? Owszem, robili coś złego, ale to niewiele zmienia. Nie chcę powiedzieć, że postąpiłeś źle. Bóg jeden wie, że chciałbym mieć dość odwagi, również moralnej, by zrobić to samo, co ty. Jesteś zabójcą w służbie prawa, ale to ma swoją cenę. Masz serce i umysł, i już wkrótce będziesz musiał otworzyć te drzwi, zajrzeć do środka i sprawdzić, jakiego uszczerbku doznałeś.

Nie odpowiedziałem.

– Mówię to zarówno jako twój przyjaciel, jak i terapeuta.

Nadal nie odpowiedziałem.

– Nie myśl, że żartuję Joe. To nie jest coś, co możesz po prostu zlekceważyć. Masz obowiązek odbyć ze mną kilka sesji poświęconych tym wydarzeniom i nie wrócisz do pracy, dopóki nie napiszę raportu. Jak na razie nie mam czego napisać. Do tej pory urwałeś się z dwóch zaplanowanych sesji. Musisz o tym porozmawiać.

Przez minutę patrzyłem przez okno.

– W porządku.

– Posłuchaj, kowboju, wiem, że jesteś twardy... – dodał łagodniejszym tonem – ale uwierz mi, kiedy mówię ci, że nikt nie jest tak twardy. Całkowite odcięcie od uczuć nie jest dowodem na męską siłę... to wielki, świecący neonowo znak ostrzegawczy. Na pewno uważasz, że zadzwoniłeś do mnie dzisiaj, żeby spytać mnie o zdanie jako kumpla i lekarza medycyny, ale jestem przekonany, że szukasz wsparcia w tym, przez co przeszedłeś. Co się tyczy tej sprawy z Javadem i panem Churchem.... Cóż, gdybyś był zdolny otrząsnąć się z tego bez żadnej traumy, nie wiedziałbym, czy bać się ciebie, czy bać się o ciebie.

– Czuję ją – zapewniłem go.

Rudy spojrział mi w twarz.
– We wtorek mam wolne o drugiej.
Westchnąłem.
– W porządku. Wtorek o drugiej.
Z zadowoleniem pokiwał głową.
– Przynieś kawę ze Starbucksa.
– Pewnie, co tylko chcesz.
– To samo, co zawsze. Średnia biała mocha z lodem na częściowo bezkofeinowym ristretto, z dwiema porcjami syropu malinowego, mleko częściowo odtłuszczone, bez bitej śmietany, polana po wierzchu karmelem.
– I to jest jeszcze kawa?
– Mniej więcej.
– A ty uważasz, że ja mam problemy.
Cofnął się, a ja odjechałem. W lusterku wstecznym widziałem, że odprowadzał mnie wzrokiem przez cały parking.

Rozdział piętnasty

Baltimore, Maryland, sobota, 27 czerwca, 19:53

Wróciłem do domu, a kiedy tylko znalazłem się za drzwiami, poszedłem do łazienki, rozebrałem się i wyrzuciłem wszystko, nawet własne bokserki, do kosza na śmieci, po czym stanąłem pod strumieniem gorącej wody i próbowałem zmyć z siebie dzień.

Mój kot, Cobbler, pręgowany rudzielec, wskoczył na rezerwuar i wpatrywał się we mnie wielkimi żółtymi oczyma.

Obwiązałem się w pasie ręcznikiem i pomyślałem o piwie w lodówce, ale choć pozbyłem się już adrenaliny z krwi, nadal czułem, że dreszcze czają się tuż pod powierzchnią. Zostawiłem piwo, wrzuciłem zamrożoną pizzę do piekarnika i włączyłem telewizor. Zazwyczaj wybierałem jeden z kanałów pokazujących horrory albo s.f. i patrzyłem, kto zjada kogo, ale w tej chwili nie miałem na to najmniejszej ochoty. Jeszcze tylko brakowało, żebym przypadkiem wpadł na kolejną powtórkę *Świtu żywych trupów*. Dlatego włączyłem wiadomości. Głównym tematem były następstwa pożaru w szpitalu St. Michael's, do którego doszło tej samej nocy, co nasz nalot na magazyn. Ponad dwustu zabitych, pół szpitala całkowicie spalone. Nazywali to najgorszym pożarem szpitala w najnowszej historii Stanów.

Nie miałem zamiaru dalej się dołować, więc przeskoczyłem na inny kanał z wiadomościami i przez kilka minut oglądałem szumne zapowiedzi wielkiego wydarzenia w Filadelfii z okazji czwartego lipca. Mieli ponownie poświęcić Dzwon Wolności, jak również zawiesić nowy – Dzwon Swobody – który został odlany zgodnie z planami oryginału. Coś, co pierwsza dama i żona wiceprezydenta wymyśliły w ramach swojej organizacji Patriotycznych Amerykańskich Kobiet.

Dużo entuzjastycznych przemów, by poprawić morale wojsk i zwiększyć lokalne wsparcie dla naszych działań poza granicami kraju. Cała impreza miała się skupiać wokół dźwięku Dzwonu Swobody, który miał symbolizować amerykańską demokrację i swobodę dźwięczącą na cały świat. Kongres musiał uznać, że dobrze brzmi, bo wyrazili zgodę i wynajęli jakąś kobietę do odlania nowego dzwonu, a ona była podobno potomkinią brytyjskiego ludwisarza, który odlał pierwszy Dzwon Wolności. Mój oddział specjalny, podobnie jak kilkanaście innych tego rodzaju grup, miał się znajdować na miejscu podczas uroczystości, choć oczywiście zabezpieczenie należało do Secret Service.

My byliśmy po prostu zbirami w garniturach, obecnymi na miejscu na wypadek, gdyby nagle pokazał się bin Laden obwieszony kilkudziesięcioma kilogramami C4. Życie w Stanach po jedenastym września. Bawcie się dobrze i zabierzcie całą rodzinę.

Wyłączyłem telewizor i zamknąłem oczy. Jak to ujął Church? „Panie Ledger, my zajmujemy się właśnie powstrzymywaniem terroru. Istnieją zagrożenia dla tego kraju większe niż cokolwiek, co dotychczas trafiło do mediów”.

– Bez jaj – powiedziałem.

I jak ja mam sobie z tym poradzić? Zyskałem wystarczająco dużą samoświadomość, by wiedzieć, że mam nieco popękaną osobowość.

Nie do końca osobowość wieloraką, ale zależnie od mojego nastroju lub potrzeb za kierownicą wyraźnie siedzieli różni kierowcy. Przez lata zawarłem pokój z trzema dominującymi osobowościami, które udało mi się zidentyfikować: Nowoczesny Mężczyzna, Wojownik i Gliniarz.

W tej chwili wszystkie trzy walczyły o kierownicę.

Nowoczesny Mężczyzna, cywilizowana część mojej osobowości, był w apogeum wyparcia. Nie chciał wierzyć w potwory, nie czuł się swobodnie z tajnymi rządowymi agencjami i całym tym towarem jak z Bondów. Wojownikowi nie przeszkadzały wszystkie sensacyjne elementy, bo to one go w części definiowały, dawały mu szansę być tym, kim był – zabójcą. Był użyteczny w walce, ale rzadko wypuszczałem go, by się pobawił. Nie radził sobie na przyjęciach. I jeszcze Gliniarz. Ta część mnie przez ostatnie kilka lat dominowała, on też stał na straży co bardziej szlachetnych elementów osobowości Wojownika – kodeksu etycznego, zasad.

Z zamkniętymi oczami zacząłem uspokajać oddech i pozwoliłem, by części mnie doszły ze sobą do ładu. Niemal zawsze to Gliniarz kazał pozostałym zamknąć mordy. Gliniarz myślał. Rozłożyłem całość na elementy składowe i ułożyłem je na stole, żeby Gliniarz mógł się im dobrze przyjrzeć.

Niektóre elementy nie pasowały do innych. Najbardziej rzucał się w oczy fakt, że terroryści, których dopadliśmy w magazynie, byli taką zbieraniną. Ci goście nie słyną z tolerancji i dobrej współpracy w zespole.

Plan samobójczy też był dziwny. Każdy z bojowników w magazynie został zarażony chorobą i musiał regularnie zażywać antidotum, by pozostać przy życiu. To robiło wrażenie, ale wydawało się jednak przesadą. Było aż za bardzo wyrafinowane, biorąc pod uwagę, że sama groźba powinna wystarczyć. Ponadto takie rozwiązania techniczne były, na ile umiałem ocenić, poza zasięgiem przeciętnej komórki ekstremistów. Gdyby to wszystko było prawdą i gdyby okazało się, że epidemia sztywnych została stworzona przez ten sam umysł – albo umysły – które wymyśliły chorobę do kontrolowania terrorystów, to WDN naprawdę mógł się mierzyć z realnym szalonym naukowcem. Gdybym był w innym nastroju, albo gdyby był to inny dzień, mógłbym uznać to za zabawne. W tej chwili byłem przerażony.

I jeszcze Javad. Czy rzeczywiście był martwy i został ożywiony? Niemożliwe? Jasne, a jednak wiedziałem, co widziałem.

„Od tej chwili”, jak powiedział Church, „być może będziemy musieli uznać »martwy« za określenie relatywne”.

Nie potrafiłem uwierzyć, że Javad był jedynym zarażonym. W magazynie nie było laboratorium. Church również musiał o tym wiedzieć, a ja powinienem zwrócić na to uwagę w rozmowie. Timer piekarnika zabręczał, więc otworzyłem oczy. Zabrałem pizzę do niewielkiej wnęki w kuchni, w której trzymam komputer. Zjadłem kawałek, gdy system się uruchamiał. I zabrałem się do pracy. Gliniarz się rozkręcił. Church powiedział, że gdybym szukał, nie znalazłbym nic na temat jego albo WDN. Chciałem to sprawdzić, więc przez całą noc przeszukiwałem internet.

Sprawdziłem magazyn używany przez Churcha. Archiwum Baylor. Żeby sięgnąć głębiej, musiałem się zalogować przez stronę wydziału, a to było poważne ryzyko. Wszystko jest rejestrowane, wszystko jest śledzone.

– Pieprzyć to – powiedziałem i szukałem dalej.

Ale Archiwum Baylor okazało się ślepą uliczką. Poprzedni właściciel umarł, a że nie miał bezpośrednich spadkobierców, rząd przejął budynek za zaległe podatki. Komuś takiemu jak Church łatwo by było go przejąć. Całą noc szukałem związku między Baylor a starym magazynem, w którym zniszczyliśmy komórkę terrorystów. Jeśli jednak ten

związek istniał, nie umiałem go odnaleźć.

W niedzielę rano zadzwonił Rudy, żeby poinformować mnie, że całą noc i rano spędził na badaniu prionów.

– A co z „daj spokój, Joe”?

– I co ja ci mogę powiedzieć – odparł ze zmęczeniem. – Obaj potrzebujemy terapii i tyle.

– Znalazłeś coś ciekawego?

– Mnóstwo, ale nic istotnego dla tego, co masz na myśli. Te całe priony wydają się jednak coraz mniej prawdopodobne. Choć są bardzo niebezpieczne, zakażenie postępuje niezmiernie powoli.

Mogą minąć całe miesiące, a nawet lata, zanim się ujawni. Ale będę szukał dalej. I nie zapominaj o naszej sesji we wtorek.

– Tak, mam.

– Nie zaczynaj, kowboju – ostrzegł mnie i się rozłączył.

Tak minęła reszta niedzieli. Spędzałem całe godziny w internecie, dzieliliśmy się z Rudym linkami przez e-maile i komunikator, ale nawet odrobinę nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia, czym był Javad i w jaki sposób się taki stał. Około północy w końcu wyłączyłem komputer, wziąłem prysznic i powlokłem się do łóżka. Gdziekolwiek się udałem, wszędzie obijałem się o ściany i ktoś inny pewnie by już się poddał, ale to nie w moim stylu. Musiałem odpocząć i znów się do tego zabrać ze świeżym umysłem.

Rozdział szesnasty

Gault i Amira, Bunkier, sześć dni wcześniej

Leżeli wyczerpani na stole, z ubraniami splątanymi wokół jej pasa i jego kostek. Jego ciało pokrywały czerwone i sine ślady ugryzień i zadrapań. On nigdy nie pozostawiał na niej żadnego śladu, nawet najmniejszej malinki. To by było samobójstwo.

Później nigdy nie rozmawiali o miłości. Nigdy nie mówili sobie, jak wiele to dla nich znaczy i jak wiele znaczą dla siebie nawzajem. Oboje wiedzieli, co powiedziałyby to drugie. Powiedziała to ich pierwsza wymiana spojrzeń. Czułe słówka jedynie ograniczyłyby uczucia, zdefiniowały to, co nie wymagało zdefiniowania, i zdegradowały to, co ich łączyło, do taniego kiczu w stylu Romea i Julii. Tu chodziło o coś o wiele większego, co, jak miał nadzieję Gault, nie zakończy się tak wielką tragedią.

Odezwała się pierwsza.

– Doszły mnie jakieś niejasne informacje. Baltimore?

– Aha – mruknął. – Wygląda na to, że straciliśmy magazyn.

– A co z Javadem?

Zawahał się, wpatrując się w cętkowany dźwiękochłonny sufit podwieszany, i zastanawiał się, którą wersję prawdy jej powiedzieć. Kochał Amirę, ale istniały pewne poziomy prywatności, do których nawet ona nie miała dostępu – dzięki temu byłoby mu łatwiej, gdyby pewnego dnia musiał ją zabić. Zawsze lubił mieć różne wyjścia.

– Nie jestem pewien.

– Nie wy dostał się. Śledziłam wiadomości...

– Wiem, a to oznacza, że mimo wszystko nie możemy wstrzymać realizacji kolejnych etapów operacji.

– A co z dwiema pozostałymi lokalizacjami? Jeśli Amerykanie wiedzą o magazynie...

– Nie martw się – powiedział Gault. – Wiedzą o jednej z nich, o tej dużej, ale nie o drugiej. Na razie nie zaatakowali, pewnie chcą się dowiedzieć, gdzie trafiła druga furgonetka.

Pokiwała głową, masując w ten sposób jego biceps, który zaczynał już drętwieć.

– Kiedy zamierzasz ewakuować przetwórnię?

– A po co? Już jej nie potrzebujemy, a ja mam wręcz nadzieję, że ją zaatakują.

Amira ostro szarpnęła głową.

– Dlaczego?

– To, jak, dlaczego i kiedy zaatakują przetwórnię, dużo nam powie o ich źródłach informacji i ich zdrowym rozsądku.

– Czy takimi szczegółami nie powinien się zająć twój amerykański przyjaciel?

– Tkwi w tym zbyt głęboko, żeby zaryzykować działanie. Poza tym – dodał Gault – on musi się skupić na czymś innym. Istnieją pewne wskazówki, że pojawił się nowy gracz, być może nowa agencja kontrterrorystyczna. Na razie nie mamy nic poza domysłami, ale warto to sprawdzić.

Amira usiadła, a wtedy jej pomięte czarne szaty opadły, osłaniając ją w akcie

niezamierzonej skromności. Odsunęła z twarzy kosmyk błyszczących czarnych włosów. Bez *chadri* jej twarz była niewiarygodnie piękna. Pełne wargi, wysokie kości policzkowe, gładkie wysokie czoło i te oczy. Gault kochał te oczy. Jak u sokoła albo jakiejś mitycznej istoty.

– Brytyjczycy? Myślisz, że Zapora...

Pokręcił głową.

– Nie, nie Zapora. Coś, co wymyślili Jankesi, ale jak już mówiłem, nie jestem jeszcze pewien, kto. Mam swoich ludzi w Bezpieczeństwie Krajowym, FBI i paru innych agencjach. Jeśli się nie mylę, wkrótce się odkryją.

– Powinieneś zatrudnić do tego swoją tresowaną małpkę. Jest wytrwały.

Gault uśmiechnął się.

– Nazywa się Zabawka... i owszem, jest wytrwały.

Właściwie, pomyślał Gault, z chęcią ugotowałyby cię na wolnym ogniu.

– To... co właściwie zamierzasz zrobić z przetwórnią?

– Sądzę, że pozwolę im ją zaatakować. Nie ma lepszego sposobu na wywołanie przerażenia niż pozwolić im włamać się do środka i zobaczyć, co tam się działo. Przyniesie nam to wiele korzyści.

– Ale co z El Mudzahidem? Jest mistrzem wzbudzania strachu, a jego misja już się zaczęła. Jeśli pozwolisz na atak na magazyn, czy to znaczy, że chcesz go wykorzystać zamiast tego, co mój mąż...

– Zdecydowanie nie – zapewnił ją Gault. – Liczę, że Wojownik zada ostateczny cios, ale atak na przetwórnię z pewnością podgrzeje atmosferę... a później wszystko pójdzie dokładnie tak, jak byśmy sobie życzyli.

Zmarszczyła czoło i przygryzła wargę, rozważając jego słowa. Wiedział, że zastanawia się nad możliwymi skutkami, biorąc pod uwagę to, co wiedziała – co pozwolił jej wiedzieć. Z pewnością dojdzie do bardzo logicznych wniosków, które ogólnie będą właściwe, ale niekompletne. I dobrze.

– Nie martw się, moja księżniczko – powiedział Gault i przekręcił się na bok, żeby głaskać ją po włosach i muskać jej policzek wierzchem dłoni. – Cała sytuacja rozwija się bardzo, ale to bardzo korzystnie. Chcemy, żeby Jankesi sądzili, że panują nad sytuacją. Jeśli mają nową jednostkę specjalną, to pomoże im skupić uwagę na tym, co nam najbardziej pasuje. Najlepsze manipulacje to te, w których ofiara myśli, że panuje nad sytuacją.

Amira go pocałowała.

– Masz umysł jak skorpion, ukochany.

– A co takiego masz mi do pokazania?

Jej oczy zabłyśły.

– Jeśli twoim celem jest wzbudzenie wielkiego strachu, to bardzo ucieszy cię, co udało nam się osiągnąć od czasu twojego ostatniego pobytu w bunkrze.

– Coś równie dobrego, jak Javad?

– Ależ nie... to jest coś o wiele lepszego.

Prawie powiedział „Kocham cię”. W zamian pocałował ją namiętnie i szepnął jej do ucha:

– Pokaż mi.

Rozdział siedemnasty

Baltimore, Maryland, poniedziałek, 29 lipca, 6:03

Następnego ranka zadzwoniłem do koleżanki, która pracowała na pierwszą zmianę w Wydziale Komunikacji, i poprosiłem ją o sprawdzenie tablic rejestracyjnych Wiadrogłowego, ale nic mi to nie dało. Takie tablice nie istniały. Cóż za zaskoczenie.

Znów zalogowałem się na serwer departamentu, żeby ponownie przeczytać raport oddziału specjalnego na temat magazynu. Zniknął.

Zniknął całkowicie. Żadnego pliku o takiej nazwie, żadnych folderów tymczasowych, nic.

– Ty sukinsynu – powiedziałem na głos.

Church już wcześniej zrobił na mnie wrażenie, ale teraz zaczął mnie przerażać.

Miał dość duże wpływy, by zlokalizować i usunąć oficjalne akta Wspólnego Kontrterrorystycznego Oddziału Specjalnego Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. To oznaczało dostęp do jednostek mainframe na poziomie lokalnym, stanowym i federalnym. Kurwa mać.

Trzymałem wydruk raportu w szufladzie biurka na komisariacie, ale wątpiłem, by nadal się tam znajdował, gdybym po niego poszedł. To mi nie pomagało na paranoję. Rozejrzałem się po mieszkaniu. Jak agresywni byli ci goście? Z pewnością nie...

Chwilę później zacząłem przetrząsać mieszkanie w poszukiwaniu mikrofonów, podsłuchów telefonicznych, kabli światłowodowych monitoringu. Szukałem bardzo dokładnie i wszędzie. Niczego nie znalazłem. Co oczywiście nie znaczyło, że nie było nic do znalezienia – Bezpieczeństwo Krajowe wraz z całą resztą towarzystwa miało dostęp do przemysłnych zabawek tak zaprojektowanych, by nie dawały się odnaleźć. Poszukiwania zmniejszyły moją paranoję o jakieś dwa stopnie, ale jednocześnie czułem swędzenie między łopatkami, jakby ktoś miał mnie na laserowym celowniku.

Przeklinając pod nosem, pobiegłem do sypialni, żeby włożyć garnitur i przygotować się do przesłuchania na temat strzelaniny. Właśnie wybierałem krawat, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałem od razu, myśląc, że to Rudy.

– Detektyw Ledger? Tu Keisha Johnson.

Rozpoznałem jej głos. Porucznik nadzorująca śledztwo w sprawie strzelaniny w magazynie. Pomyślałem o wyszukiwaniach i rozmowach telefonicznych; którymi zajmowałem się mimo ostrzeżenia Churcha, by dać sobie spokój, i doznałem krótkiego ataku paniki.

– Tak...? – spytałem ostrożnie, czując, jak żołądek podjeżdża mi do gardła.

– Pod pańską nieobecność starannie obejrzelśmy wszystkie nagrania z nalotu na magazyn w ostatni wtorek, a po kilku rozmowach z pańskimi przełożonymi z oddziału specjalnego doszliśmy do wniosku, że strzelał pan zgodnie z zasadami i najlepszymi praktykami wydziału policji w Baltimore, wobec czego dalsze przesłuchania czy inne działania nie są jak na razie konieczne.

Powiedziałem coś bardzo błyskotliwego w rodzaju:

– Yyy... że co?

– Dziękuję za pańską gotowość do współpracy i życzę powodzenia w Quantico. Żałujemy, że tracimy tak dobrego oficera.

I rozłączyła się.

Wpatrywałem się w telefon. Nie ma szans, by przesłuchanie w sprawie strzelaniny na służbie zostało załatwione w taki sposób. Nigdy, przenigdy, nawet jeśli wszyscy zainteresowani zgadzali się, że użycie broni było absolutnie uzasadnione. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w wydziale przesłuchanie, choćby symboliczne, było obowiązkowe. To, co się wydarzyło, było dziwne i ani trochę mi się nie podobało. Ale logika wydawała się mocno pokrętna. Jeśli z jakiegoś powodu potrząsnąłem Churchem, próbując znaleźć odpowiedzi, dlaczego miałyby mi ułatwić życie poprzez odwołanie przesłuchania? Nie widziałem w tym żadnej korzyści dla niego.

Znów usiadłem przy komputerze i znalazłem listę linków na temat chorób prionowych, które przysłał mi Rudy.

Liczyłem, że może to wskaże mi kierunek, więc spędziłem wiele godzin zanurzony w nauce, która wykraczała poza moje zdolności pojmowania, ale nie aż tak bardzo, żebym nie czuł przerażenia. Dowiedziałem się, że choroby prionowe są wciąż bardzo rzadkie, około jednego przypadku na milion ludzi na świecie, a w Stanach zaledwie trzysta przypadków. Były rzadkie, ale bardzo niebezpieczne, a tajemniczość, która otaczała te małe gnojki, często wywoływała paniczne reakcje.

Ta cała sprawa z szalonymi krowami była chorobą prionową w najgorszym wydaniu, a pośpiech, z jakim zarżnięto dziesiątki tysięcy sztuk bydła, pokazywał, jak wielki strach wywoływało to zagrożenie. Ale to i tak nic nie dało.

Jestem niemal w stu procentach pewien, że Javad nie złapał tego, na co chorował, przez zjedzenie zakażonego hamburgera. Później kliknąłem na kolejny z linków Rudy'ego i trafiłem na artykuł poświęcony prionowej chorobie nazywanej „śmiertelną bezsennością rodzinną”, na skutek której niewielka grupa pacjentów na całym świecie cierpiała z powodu narastającej bezsenności, która wywoływała ataki paniki, rozwój dziwnych fobii, halucynacje i inne objawy dysocjacyjne. Cały proces trwa wiele miesięcy, a ofiara zazwyczaj umiera z powodu całkowitego pozbawienia snu, z wyczerpania i stresu. Poszukałem więcej na ten temat, a choć nie widziałem żadnego związku ze stanem przypominającym żywych umarłych, wizja utkwiała mi w głowie. Niekończąca się jawa. Bez snu. Bez odpoczynku. Bez marzeń sennych.

– Jezu...

Przerażająca myśl i przerażająca śmierć.

Czy Church mógł się mylić? Może Javad cierpiał na chorobę, której objawy kazały lekarzom myśleć, że był martwy, choć w rzeczywistości zapadł w śpiączkę? Jego powrót z martwych mógł nie być czymś bardziej złowieszczy od przebudzenia się z kataleptycznej śpiączki. Wydawało mi się to w jakimś sensie właściwe, ale kiedy czytałem dalej, natrafiłem na kolejną przeszkodę. Według kilku doniesień ofiar nie dawało się uśpić, nawet farmakologicznie. Pod koniec życia ludzie ci nie zapadali w śmiertelną śpiączkę. Umierali i najwyraźniej pozostawali martwi. Poza tym, gdyby Javad nawet znajdował się stanie katatonii, to by nie wyjaśniało, jakim cudem przeżył oberwanie dwoma pociskami z czterdziestki piątki w plecy. Wydawało się, że widzę zbyt małą część całego obrazu, co doprowadzało mnie do szału.

Rozdział osiemnasty

Grace, Maryland, poniedziałek, 29 czerwca, 8:39

Grace Courtland siedziała na wygodnym skórzanym krześle obrotowym, popijała colę light i obserwowała osiem kolorowych monitorów, które pokazywały wnętrze samochodu Joe Ledgera, każde pomieszczenie w jego mieszkaniu i gabinet doktora Rudy'ego Sancheza. Była rozbawiona, kiedy obaj mężczyźni szukali pluskiew. Rzecz jasna, żaden niczego nie znalazł. Gdyby im się to udało, ktoś z jej personelu wyleciałby z roboty. WDN dużo zapłacił za sprzęt do transmisji holograficznej i lepiej, żeby nie dało się go znaleźć ani zobaczyć gołym okiem. Departament miał głębokie kieszenie, a pan Church lubił mieć lepsze zabawki od wszystkich innych dzieciaków na podwórku.

Na biurku miała stertę raportów na temat Ledgera. Wyciągi z banku, deklaracje podatkowe, świadectwa szkolne, kompletne akta z wojska i kopie wszystkiego, co napisano na jego temat od czasu, gdy trafił do policji.

Przeczytała wszystko, a Joe Ledger wciąż pozostawał zagadką. Wiele z jego cech czyniło go doskonałym materiałem dla WDN i Grace było coraz trudniej upierać się przy swoim stanowisku, że Ledger się nie nadaje. Gdyby nie te obciążające dowody w rejestrze działań oddziału specjalnego...

Tego ranka przeczytała wojskowe akta Ledgera. Uzyskał wysokie oceny w każdej dziedzinie szkolenia, a szczególnie wykazał się w walce wręcz, inwigilacji i kontrinwigilacji, walce lądowej i wszelkich szkoleniach z działań bezpośrednich. Miała również kilka listów polecających Ledgera do szkoły oficerskiej, jednak do każdego z nich dołączono informację, że Ledger odmówił. Ręcznie napisana notatka autorstwa pułkownika Aarona Greenberga, dowódcy bazy w Fort Bragg, głosiła: „Sierżant Ledger zasygnalizował, że pragnie wykorzystać szkolenie wojskowe, by lepiej przygotować się do pracy policjanta w rodzinnym Baltimore. Powiedziałem mu, że będzie to zysk dla policji w Baltimore, ale wielka strata dla armii”.

List był niezwykle, ale Grace postanowiła zinterpretować go jako brak ambicji. Jej uwagę zwróciła transkrypcja zeznań pod przysięgą, jakie złożył kapitan Michael S. Costas, dowódca oddziału Ledgera. Po nalocie na magazyn Church wysłał swoich agentów, którzy przyjęli przysięgę od Costasa, a ten, po podpisaniu zobowiązania do zachowania tajemnicy, swobodnie i entuzjastycznie opowiadał o Ledgerze. Jedna wymiana zdań musiała zwrócić szczególną uwagę Churcha, gdyż jako jedyna była zakreślona na żółto.

WDN: Kapitanie Costas, czy pańskim zdaniem Joe Ledger jest godny zaufania?

COSTAS: Godny zaufania? To dziwne pytanie. W jakim sensie godny zaufania?

WDN: Gdyby miał zostać zwerbowany przez specjalną jednostkę wojskową.

COSTAS: Chodzi o Bezpieczeństwo Krajowe? Coś w tym rodzaju?

WDN: Tak, coś w tym rodzaju.

COSTAS: Jeśli można, ujmę to w następujący sposób. Służę w wojsku od osiemnastego roku życia, od dwudziestego jestem rangerem. Walczyłem w Mogadiszu i w Pustynnej Burzy. Prowadziłem również szkolenia dla rangerów i nauczyłem się ufać swojemu

osądowi, którzy z nich okażą się bardzo dobrzy, a którzy tylko znośni.

WDN: I sądzi pan, że co? Że Ledger był jednym z tych, którzy mieli okazać się bardzo dobrzy?

COSTAS: To było dla mnie jasne jeszcze zanim trafił na szkolenie rangerów. Nie, podczas służby w moim oddziale Joe pokazał, że będzie wielki. Nie dobry... naprawdę wielki.

Takich jak on nie spotyka się często, a przynajmniej jeśli nie było się na wielu obszarach działań wojennych. Ja byłem na wielu obszarach działań wojennych i mogę wam powiedzieć od razu, że Joe Ledger ma zadatki na bohatera.

WDN: Na bohatera?

COSTAS: Zaufajcie mi, jeśli uda się wam go natchnąć, jeśli uda się wam sięgnąć do jego serca, do tego, w co wierzy... na Boga, wtedy pokaże wam cechy, których nie widzieliście w innych żołnierzach. Mogę wam to zagwarantować.

– Też mi bohater – mruknęła Grace, kręcąc nosem na wylewność Costasa.

Kiedy jednak zatopiła się w życiu Ledgera, poczuła, że coś się w niej zmienia. Znowu przeczytała dokumenty, po czym z głośnym trzaskiem opuściła okładkę teczki z dokumentami.

– Bzdura.

Ledger był dobrym żołnierzem, to oczywiste, ale biorąc pod uwagę wszystko, czemu Departament musiał stawiać czoło, czy mogli ryzykować przyjęcie kogoś takiego jak on? Jako żołnierz nie chciała mieć z nim nic wspólnego. A jednak jako kobieta nie była tak pewna. Na ekranie Ledger walił w klawisze komputera, twarz miał skupioną, a jego błyszczące niebieskie oczy – Przestań, głupia krowo – powiedziała i na chwilę odwróciła twarz od ekranu.

Szkodliwe bzdury. Takie były efekty uboczne samotnej pracy w obcym kraju. Hormony, biologia i nic więcej.

Ale kiedy znowu spojrzała na ekran, oczy Joego nadal były równie niebieskie.

Grace nacisnęła przycisk i na jej ekranie pojawiła się kopia tego, na co patrzył Ledger. Zmusiła się do skupienia na informacjach na temat prionów, o których czytał. Suche i skomplikowane informacje medyczne przyniosły jej ulgę i poczuła, że nagły wybuch uczuć w jej wnętrzu przygasa. Dopiła colę light i głośno uderzyła puszką o blat. Nie zamierza zaakceptować jego zatrudnienia. Nie ma mowy.

Rozdział dziewiętnasty

Pan Church, Maryland | poniedziałek; 29 czerwca, 8:51

Pan Church siedział wygodnie w ciężkim skórzanym fotelu i od czasu do czasu pociągał łyk wody źródlanej z butelki.

Przed sobą miał ścianę ekranów sięgającą od podłogi do sufitu. Jeden ekran przedstawiał doktora Rudy'ego Sancheza siedzącego w prywatnym gabinecie i robiącego notatki, podczas gdy jego klient, sierżant policji, ze łzami w oczach przyznawał się do romansu z sekretarką z komisariatu i opowiadał o podejrzeniach żony. Church nie zwracał uwagi na gliniarza, ale uważnie przyglądał się Sanchezowi. Wziął z talerza wafelek waniliowy i odgryzł kęs.

Na innym ekranie Joe Ledger pochylał się nad klawiaturą, a wszystko, co pisał, pojawiało się jako cyfrowy tekst na pasku pod ekranem.

Jednakże najbardziej interesował go ekran w lewym górnym rogu. Na nim Grace Courtland popijała colę light i wpatrywała się z wielką fascynacją w Joego Ledgera. Nawet jej nie udało się odnaleźć kamery, którą zainstalował w jej biurze. Była o dwie lub trzy generacje lepsza od sprzętu, którego używała sama Grace, a jej sprzęt był supernowoczesny. Church miał jednak lepsze źródła.

Wpatrywał się w jej twarz, kształt warg, poruszenia oczu, gdy obserwowała Joego Ledgera. Church żuł ciasteczko. Nawet gdyby ktoś go teraz oglądał, jego twarz niczego nie zdradzała.

Rozdział dwudziesty

Baltimore, Maryland, poniedziałek, 29 czerwca, 9;17

Postanowiłem zabrać się do tego z innej strony, więc zadzwoniłem do Jerry'ego Spencera, kumpla z waszyngtońskiej policji, który w magazynie oberwał w mostek. Jerry miał trzydzieści lat stażu i był najlepszym ekspertem kryminalistyki, jakiego znałem. Jeśli ktokolwiek mógł kiedyś słyszeć o tym WDN, to właśnie on.

Odebrał po piątym dzwonku.

– Cześć, Jerry. Jak tam mostek?

– Joe – odpowiedział beznamiętnie.

– Jak się masz? Nadal jesteś na zwolnieniu czy...

Przerwał mi.

– Czego potrzebujesz, Joe?

Mówił rzeczowo, więc postanowiłem być wobec niego szczery.

– Jerry, słyszałeś kiedyś o agencji federalnej o nazwie WDN?

Zapadła cisza, aż w końcu Jerry odpowiedział:

– Nie, Joe... i ty też nie.

Zanim udało mi się wymyślić odpowiedź, rozłączył się.

– Oho – mruknąłem i przez następne dziesięć minut gapilem się na telefon.

Dotarli do Jerry'ego, nawet ślepy by to zauważył. Trudno mi było sobie wyobrazić, jak wielkiego nacisku musieli użyć, by przestraszyć gościa takiego jak Jerry na tyle, by mnie zbył w taki sposób.

Cobbler wskoczył mi na kolana, a ja głaskałem jego jedwabiste futerko, jednocześnie rozważając problem.

Aż do tej pory nie odważyłem się wpisać w wyszukiwarkę WDN z obawy, że ten skrót albo hasło „Wojskowy Departament Nauki” uruchomią jakiś alarm. Od pewnego już czasu rząd wykorzystywał różnorodne oprogramowanie, by zlokalizować pewne kombinacje słów w e-mailach lub hasłach wpisywanych do wyszukiwarki.

Wpisanie kombinacji w rodzaju „bomba” i „szkoła” powinno wywołać alarm. Tego rodzaju wyszukiwanie mogło wpakować mnie w poważne tarapaty. Z drugiej strony, jak mógłbym po prostu zostawić to w spokoju? Jak Church mógł oczekiwać, że zapomnę? Nawet jeśli Church miał rację i cała afera z Javadem/prionami/żywymi trupami się skończyła – jednorazowy numer, na który wpadliśmy szczęśliwym trafem i rozwiązaliśmy, zanim wymknął się spod kontroli – to nie zmieniało faktu, że ten incydent zmienił cały mój świat. Teraz wiedziałem, jak czuli się ci goście, którzy widzieli UFO albo Wielką Stopę – nie świry, ale ci, którzy są absolutnie przekonani, że widzieli coś, co wykracza poza zwyczajność, i nie mają gdzie z tym pójść.

Co by się stało, gdybym zaczął to wyszukiwanie? To znaczy... co Church mógłby zrobić? Poznałem go i choć mogłem sobie wyobrazić, że porzuciłby autobus pełen dzieci i zakonnic na pastwę głodnych wilków, gdyby pomogło mu to osiągnąć cel, nie spodziewałbym się po nim małosłownej mściwości.

Co by zrobił, gdybym poszukał „Wojskowego Departamentu Nauki”?

– Pocałuj mnie w dupę, Church – powiedziałem i nacisnąłem enter.

Natrafiałem na parę programów szkolenia wojskowego o takiej nazwie, ale żadnych tajnych agencji rządowych ani nic powiązanego z bezpieczeństwem narodowym. Zmarnowałem czas? Może. A może piłka znalazła się po stronie Churcha.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Gault i Amira, Bunkier, sześć dni wcześniej

Kombinezon przeciwskażeniowy klasy A był chłodzony i bardzo wygodny, ale Gault i tak czuł się jak wielki piankowy ludzik. Stał w pobliżu śluzy. W jednej ręce trzymał pilota, którym mógł awaryjnie otworzyć śluzę, gdyby musiał uciekać, a w drugiej pistolet elektryczny Snellig 46. Amira stała za ścianą z pleksi, z palcami na klawiaturze.

– W jakim jest stadium? – spytał Gault.

Ich kombinezony były dźwiękoszczelne, a interkomy najwyższej jakości.

– Zaawansowane stadium pierwsze.

Gault uniósł brew.

– Nadal żyje?

Stwór stojący przed nim z pewnością nie wydawał się żywy. Brązowa skóra wyblakła i nabrała chorobliwego żółtawego odcienia, usta obwisły, wargi były szare. Dopiero kiedy Gault zrobił kilka kroków w bok, by spojrzeć stworowi w oczy, zobaczył jakiegokolwiek ślady inteligencji, ale nawet one były szczątkowe.

– Zmieniłam gospodarkę hormonalną, by krew lepiej odpowiadała pasożytom. Roznoszą priony z o wiele większą szybkością. Funkcje, które nie są niezbędne dla przetrwania, wyłączają się wcześniej – powiedziała Amira radośnie. – Wyższe funkcje umysłowe zanikają teraz szybciej.

– O ile szybciej?

Amira odwróciła się i posłała mu triumfalny uśmiech.

– Osiem razy.

Zmarszczył czoło.

– I to jest trzecia generacja?

Zaśmiała się.

– Ależ nie, Sebastianie... tę fazę minęliśmy już dawno. To, na co patrzysz, to siódma generacja patogenu *Seifal Din*. Przebiliśmy się przez niemal wszystkie bariery.

Gault gwałtownie obrócił głowę i spojrzał na obiekt, a później na wielki zegar na ścianie.

– Siódma... Chryste! Kiedy zaczęło się zakażenie?

– Tuż przed tym, jak wyszłam ci na spotkanie.

Gault obliznął wargi.

– To... Ile? Godzina?

Pokręciła głową.

– Mniej. Czterdzieści siedem minut, a sądzę, że uda nam się zejść jeszcze niżej. Mówimy tu o szybkości po wstrzyknięciu. Dodaliśmy nowego pasożyta do ślinianek, więc infekcja przez ugryzienie jest o wiele szybsza, to kwestia minut. Przy ósmej generacji powinniśmy zejść do sekund.

Stwór pokręcił głową jak koń odpędzający drażniącego go gza. Kombinezony przeciwskażeniowe nie pozwalały na to, by obiekt ich usłyszał lub wyczuł ich zapach –

były to najważniejsze bodźce wywołujące reakcję-jednak ich widok zaczął wywoływać jego pobudzenie. Poprzednie generacje reagowały wyłącznie na ludzki zapach i dźwięk. Gault poruszył dłonią, by sprawdzić, czy stwór podąży za nią wzrokiem.

Ten zaś nagle skoczył na niego.

Bez ostrzeżenia i bez wahania rzucił się na Gaulta, przebiegł po chłodnej metalowej podłodze, a jego zakrzywione palce szarpały powietrze. Gault krzyknął i zatoczył się do tyłu, ale jednocześnie uniósł snelliga i wystrzelił dwie bliźniacze strzałki w nagą pierś potwora. Nacisnął kciukiem aktywator i potraktował zarażonego drapieznika siedemdziesięcioma tysiącami woltów.

Obiekt wrzasnął jak puma – wysoko i z nienawiścią – ale zwinął się w pozycji embrionalnej i drżał, gdy przeszywał go prąd.

– Dosyć! – krzyknęła Amira.

Gault cofnął się, puszczać guzik. Dyszał ciężko, serce waliło mu w piersiach. Amira zaśmiała się i wyszła zza pleksi.

– Nowy pasożyt wzmógł agresywność o co najmniej połowę, dodatkowo ta faza zaczyna się dużo wcześniej. Nawet jeśli ugryzienie nie okaże się śmiertelne, zakażenie rozwija się w ciągu kilku minut i zaczyna upośledzać funkcje kognitywne. W przypadku bardziej poważnego ugryzienia lub obecności innych obrażeń zakażenie rozwija się jeszcze szybciej.

– Mógł mnie zabić! – warknął Gault, odwrócił się gwałtownie w jej stronę i wycelował w nią snelliga.

Przez krótką chwilę był bliski naciśnięcia spustu.

Kobieta jednak wciąż się śmiała i kręciła głową.

– Nie bądź baba. – Czubkiem buta uniosła górną wargę stwora. Gault zobaczył, że blade dziąsła są gładkie. – Kazałam usunąć mu zęby, zanim przygotowałam tę demonstrację. Nie jestem głupia, Sebastianie.

Gault milczał przez chwilę. Wykrzywił wargi, odsłaniając zęby w grymasie równie dzikim, jak ten na twarzy obiektu. Niechętnie i bardzo powoli zmusił się do uspokojenia, rozluźnił mięśnie twarzy i stopniowo prostował się z przykucniętej pozycji obronnej.

– Do cholery, mogłaś mnie chociaż ostrzec!

– Nie chciałam zepsuć zabawy.

– Boże, wredna z ciebie suka – powiedział, ale również się uśmiechnął, sztucznie, lecz przekonująco.

Zapłacisz mi za to, moja droga, pomyślał.

Amira albo nie widziała, jak bardzo był w rzeczywistości zdenerwowany, albo jej to nie obchodziło – a kombinezon zasłaniał większość jego twarzy. Spojrzała na zegar na ścianie, po czym zdjęła kaptur z głowy i podeszła do konsoli.

– Te zmiany hormonalne przyniosły jeszcze jeden wspaniały rezultat – powiedziała, naciskając klawisze.

Pokrywające podłogę stalowe płyty rozsunęły się z głośnym trzaskiem. Amira nacisnęła kolejny klawisz, a wtedy z podłogi wysunęły się cztery pionowe, zaokrąglone tafle zbrojonego szkła, grube na dwa centymetry. Były tak dopasowane do siebie, że miejsca złączenia pozostawały niemal niewidoczne. Szklane tafle wznosiły się z sykiem, aż dotarły do dużego okrągłego zagłębienia w suficie. Kiedy górne krawędzie wsunęły się w zagłębienie, rozległ się kolejny trzask i ściany przestały się poruszać. Amira przez cały czas patrzyła na ścienny zegar. Obiekt leżał pośrodku wielkiego klosza ze szkła i stali.

– Czekaj – mruknęła, gdy elektroniczny wyświetlacz odliczał sekundy. – Już za chwilę. Siódma generacja jest tak cudownie szybka.

Stwór nagle otworzył oczy i odsłonił zęby, wydając z siebie syk zwierzęcej nienawiści.

Żaden dźwięk nie przeszedł przez barierę, ale Gault i tak się wzdrygnął, po czym uniósł brwi, spojrzął na zegar i znów na obiekt.

– Zaraz... – powiedział-to nie...

Piękne ciemne oczy Amiry błyszcząły zadowoleniem.

– Czas ożywienia nie przekracza teraz dziewięćdziesięciu sekund.

Zerwał kaptur i rzucił go na pobliską konsolę.

– Boże – rzucił, gapiąc się na potwora.

– Jeśli martwiłeś się, że Amerykanom udało się zdobyć jeden z naszych obiektów i wykorzystać go do badań, teraz nie ma to już znaczenia. Mogą położyć łapy na wszystkich obiektach, które dotąd wysłaliśmy... ale wszelkie środki zapobiegawcze, jakie zaprojektują, będą skuteczne wobec wcześniejszej generacji choroby.

Podeszła bliżej, położyła dłoń na szkło i nawet kiedy obiekt rzucił się na nią i uderzył w szybę po drugiej stronie, nie wzdrygnęła się. Gdy patrzyła na obiekt, na jej twarzy malowało się uwielbienie.

Gault stanął obok niej. Obiekt wciąż uderzał o szkło, jego zakażony umysł nie umiał pojąć koncepcji przezroczyści. Nawet bez zapachu wiedział, że jego ofiara tu jest. O niczym innym nie umiał myśleć.

Amira szepnęła głosem pełnym podziwu:

– Kiedy wypuścimy te nowe obiekty, nie uda im się powstrzymać rozprzestrzeniania zakażenia.

Gault powoli pokiwał głową, ale jego umysł pracował szybko jak komputer, umieszczając to, co widział i co powiedziała Amira, we właściwym kontekście. Z trudem zapanował nad wyrazem twarzy, by nie okazać po sobie uczuć.

– To niepowstrzymane – syknęła drapieżnie Amira. – Możemy zabić ich wszystkich.

– Spokojnie – powiedział, obejmując ją – nie rozpraszajmy się. Nie chcemy zabić ich wszystkich, kochanie. Jaki to miałoby sens? Po prostu chcemy, żeby wszyscy bardzo się pochorowali.

Przez kombinezon pogłaskała ją po piersi.

Nie odpowiedziała, ale odwróciła wzrok, jakby chciała sprawdzić zawory. Wiedział, że w ten sposób próbuje ukryć twarz.

– Powiedziałeś mi, że mam dalej prowadzić badania, udoskonalić model. Co mam według ciebie zrobić ze wszystkim, co stworzyłam? Po prostu to zniszczyć?

– Właśnie tak – powiedział, zaraz jednak przerwał i z namysłem wyduł wargi. Nagle coś mu przyszło na myśl. – Właściwie... zaczekaj chwilę.

Odwróciła się do niego, na jej twarzy malowały się uraza i podejrziwość.

– Co?

– Mam cudowny pomysł – zamruczał. – Sądzę, że wiem już, jak wykorzystać twojego nowego potwora. O tak, to jest jednocześnie korzystne i rozkoszne.

– Mów! – powiedziała, wciąż marszcząc czoło.

– Zanim to zrobię, musisz mi obiecać, że wykorzystasz go tylko w taki sposób, w jaki ci zaproponuję. Nie możemy wypuścić na świat tej generacji patogenu. Nigdy. Rozumiesz to, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiesz? – powtórzył powoli, z naciskiem na każdą sylabę.

– Tak, tak, rozumiem. Naprawdę czasem jest z ciebie baba, Sebastianie.

– Kochana... chcemy kupić świat, a nie go pogrzebać.

Amira po dłuższej chwili pokiwała głową.

– Oczywiście – powiedziała. – Po prostu chciałam, żebyś zobaczył, co możemy osiągnąć. Stworzyliśmy nowy rodzaj życia, zupełnie nowy stan istnienia. Nieżycie.

Cofnął się i popatrzył na nią, przebiegły uśmiezek zamarł na jego wargach. Nieżycie.

Boże wszechmocny, pomyślał.

– A teraz... opowiedz mi o swoim pomysłe – powiedziała, przebijając się przez jego wstrząśnięte i kruche myśli. – Jak możemy wykorzystać mój nowy patogen dla dobra naszej sprawy?

Gault nagle wyrwał się z zamyślenia i wstrząsu i całkowicie powrócił do rzeczywistości. Powiedziała: sprawa. Nie: program. Nie: projekt ani plan. Sprawa. Bardzo ciekawy dobór słów, kochana, pomyślał.

Powiedział jej i wpatrywał się w jej twarz, kiedy go słuchała. Szczególną uwagę zwracał na mięśnie wokół jej oczu i rozszerzenie źrenic. To, co widział, wiele mu powiedziało. Być może zbyt wiele, a to, co zobaczył, jednocześnie go ucieszyło i zabolalo. Nim skończył, jej piękna twarz emanowała straszliwym blaskiem.

Amira przyciągnęła go do siebie i objęła. Przytulali się, ignorując absurdalne poliwinylowe kombinezony.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ja ciebie też kocham – odparł, i mówił poważnie.

A kiedy skończymy, być może będę musiał tobą nakarmić jedno z twoich zwierzątek, pomyślał, również całkiem poważnie.

Rozdział dwudziesty drugi

Balch, Afganistan, pięć dni wcześniej

1.

Miasto Balch w północnym Afganistanie było niegdyś jednym z wielkich miast starożytnego świata.

Obecnie, mimo liczby mieszkańców przekraczającej sto tysięcy, miasto jest w większości zrujnowane. Urodził się w nim perski prorok Zaratustra i przez stulecia było ośrodkiem zaratustrianizmu. Teraz, podobnie jak większość Afganistanu, wypełnia je mieszanina ubóstwa i rozpaczy, rzadkie enklawy śmiechu i barw, jak również śmiech dzieci zbyt małych, by pojąć rzeczywistość, która je otacza.

Na południe i nieco na wschód od miasta znajduje się miasteczko Bitar, osada leżąca jak orle gniazdo wśród ostrych grani górskiej przełęczy. Prowadzi do niego tylko jedna wijąca się droga w górę, a droga w dół jest jeszcze gorsza.

Wielbłądy jakoś sobie na niej radzą, bo są uparte, ale nawet im czasem zdarza się poślizgnąć.

W Bitar mieszka osiemdziesiąt sześć osób, głównie bezdzietni rodzice, których synowie zginęli, walcząc u boku talibów lub przeciwko nim, ewentualnie poszli pracować na makowych polach i nigdy nie wrócili. Kilkoro najmłodszych dzieci chodzi dziesięć kilometrów do szkoły. W całej osadzie jest tylko trzydzieści wielbłądów. Kury są chude. Jedynie kozy wydają się silne, ale to twarda odmiana, przyzwyczajona, by sobie radzić. Do picia mieszkańcy mają wodę ze studni, która śmierdzi zwierzęcym moczem i starą solą.

Eqbal miał szesnaście lat i jeszcze nie zginął na makowych polach ani na wojnie. Jego przeznaczeniem była służba Allahowi przez służbę rodzinie. Był przekonany, że jego zadaniem było zostać rolnikiem i w ten sposób jednocześnie strzec starych zwyczajów i zapewniać utrzymanie na przyszłość. Mimo wojen i konfliktów Eqbal wierzył w przyszłość, która jego zdaniem była obiecująca. Wojny się kończą, ale Afganistan, błogosławiony miłością Allaha, trwa.

Każdego ranka Eqbal wstawał o świcie, obmywał się, wkładał luźne szaty i czapkę *kufi*, by być gotowym na pierwszą modlitwę tego dnia, zgodnie ze ścisłymi wymogami *sałat*. Najpierw stał, później klękał, a na koniec padał na twarz, korząc się przed łaską i majestatem Boga.

Choć wiara Eqbala była nieskomplikowana, a on sam bez reszty oddał się rygorowi życia rolnika na tej niegościnniej pustyni, chłopak nie był głupi. Kiedy pasał stada i zajmował się gospodarstwem, często był przy tym pogrążony w skomplikowanych rozmyśleniach. Czasami rozważał znaczenie fragmentów Koranu, czasami zastanawiał się, w jaki sposób przyjąć pośladowy poród u kozy, by nie stracić ani matki, ani koźlęcia. Nie myślał szybko, ale zawsze głęboko, a kiedy dochodził do wniosków, zwykle miał rację.

Gdyby Eqbal przeżył, pewnie zostałby przywódcą wioski, a na pewno człowiekiem, z którym inni się liczyli. Ale Eqbal nie przeżył. Eqbal miał nie dożyć siedemnastych

urodzin, od których dzieliło go osiem dni.

– Eqbalu! – zawołał do niego ojciec, który złamał nogę w kostce i nie mógł się poruszać.
– Jak idzie z tą kozą?

Chłopak kucał nad ciężarną kozą, która krzyczała z bólu, kiedy Eqbal poruszał rękami w jej drogach rodnych, próbując przekręcić koźlę. Inne kozy podchwyciły jej zdenerwowanie i dookoła rozlegało się głośnie parskanie i meczenie. Dłonie Eqbala były czerwone od krwi i śluzu, a na jego twarzy perlił się pot. Ze zmarszczonym czołem poruszał zręcznie palcami wzdłuż małych nóżek nienarodzonego koźlęcia.

– Chyba mam, ojcze! – zawołał w odpowiedzi, kiedy jego palce natrafiły na miękkie zwoje pępowiny. – Pępowina owinęła się wokół tylnych nóg.

Usłyszał szuranie, kiedy ojciec powoli podszedł do otwartego okna.

– Ostrożnie, chłopcze. Natura nie chce, żebyś się śpieszył.

– Tak, ojcze – odparł Eqbal.

Jedno z ulubionych powiedzeń ojca doskonale pasowało do powolnego procesu myślenia i działania Eqbala. Dla rolnika cierpliwość była równie cenna jak nasiona i woda.

Zaczął palec wokół pępowiny i ostrożnie – bardzo ostrożnie – pociągnął ją w dół, wokół nóg koźlęcia, a później pomacał głębiej, by się upewnić, że nie ma dalszych przeszkód. Delikatnie nacisnął na koźlę, by obrócić je w łonie matki, która wciąż meczała.

– Uwolniłem je, ojcze.

– A teraz cofnij się i pozwól jej zająć się sobą – poradził ojciec, a Eqbal podniósł na niego wzrok.

Ojciec również był spocony. Ból złamanej nogi – zmiażdżonej podczas straszliwego upadku ze zbocza góry – wyraźnie malował mu się na napiętej twarzy. Jego skóra miała niezdrowy odcień, ale uśmiechał się do syna, gdy ten powoli wyjął rękę i usiadł, by obserwować.

Meczenie kozy zmieniło ton, kiedy koźlę zaczęło przesuwać się przez drogi rodne. Nadal brzmiał w nim ból, ale koza nie wydawała się już zdesperowana, jedynie zmęczona i obolała.

W ciągu dwóch minut wilgotne, śliskie ciało wysunęło się i opadło na pokrytą słomą ziemię. Matka natychmiast podniosła się i zaczęła je wylizywać, oczyszczając nos, pysk i oczy koźlęcia.

– To kózka, ojcze – powiedział Eqbal i znów się odwrócił, by spojrzeć na ojca.

I zamarł skonfundowany jego miną. Ojciec nie patrzył na niego z ulgą czy radością, jego twarz wykrzywiało przerażenie.

– Ojcze...?

I wtedy Eqbal zobaczył, że ojciec nie patrzy na niego... ale za niego.

Chłopak odwrócił się, myśląc, że to jeden z mężczyzn z grupy talibów zajmujących jaskinie na południu albo poborca z upraw maku, który przyszedł zabrać kogoś jeszcze do pracy na polach. Uniósł rękę do swojej laski pasterskiej, zatrzymał się jednak gwałtownie i poczuł, że jego twarz również wykrzywia przerażenie.

Za nim stał mężczyzna.

Nie... nie mężczyzna. Stwór. Był ubrany jak człowiek, ale w dziwne ubrania – jasnoniebieskie spodnie i koszulkę z krótkim rękawem i dekoltem w kształcie litery V. Eqbal oglądał telewizję, był w klinice w Balch i wiedział, jak wygląda szpitalny fartuch, ale nigdy nie widział go w tych okolicach. Ten, który miał na sobie mężczyzna, był brudny, podarty i zaplamiony krwią. Krew była wszędzie. Na ubraniu mężczyzny, jego dłoniach, jego twarzy. Jego ustach. Jego zębach...

Eqbal usłyszał krzyk ojca, a później cały jego świat wypełniło czerwone szaleństwo i ból.

2.

El Mudżahid rozsiadł się na siedzeniu swojego quada, oparł się wygodnie i założył muskularne ręce na piersi. Niecałe trzysta metrów wyżej krzyki już cichły, gdy ostatni z wieśniaków umierali. Nie uśmiechał się, ale tak wiele śmierci sprawiło mu dziwną radość. Wszystko poszło tak dobrze, tak szybko. Cztery obiekty, osiemdziesięciu sześciu wieśniaków. Spojrzał na zegarek. Osiemnaście minut.

Jego krótkofalówka zatrzeszczała. Nacisnął przycisk i uniósł ją do ust.

– Gotowe – powiedział jego porucznik Abdul.

– Śledzicie wszystkie cztery obiekty?

– Tak jest.

– I wieśniaków.

– Pięciu już ożyło – powiedział Abdul, a Wojownikowi wydawało się, że słyszy lekkie drżenie w jego głosie. – Wkrótce wszyscy wstaną.

Wojownik pokiwał głową zadowolony ze świadomości, że *Seifal Din*, święty Miecz Wiernych, zaczął działać, i nic nie mogło sprzeciwić się woli Boga.

Dochodzący z wioski odgłos karabinów maszynowych wypełniał powietrze jak muzyka.

Rozdział dwudziesty trzeci

Baltimore, Maryland, wtorek, 30czerwca, 9:11

Przetrwiałem resztę nocy i cały ranek, a federalni wciąż się nie pojawili i nie wyważyli moich drzwi. Całe poszukiwania WDN, Javada, dwóch furgonetek i pana Churcha poszły na marne. Dowiedziałem się stanowczo zbyt wiele na temat gąbczastej encefalopatii, włączając w to chorobę szalonych krów i śmiertelną bezsenność rodzinną, ale nie miałem co z tym zrobić. Brawo ja.

Wziąłem gorący prysznic, włożyłem spodnie khaki i hawajską koszulę, na tyle dużą, by ukryć czterdziestkę piątkę przy pasie, a później pojechałem do Rudy'ego na umówione spotkanie. Najpierw jednak musiałem zajrzeć do Starbucksa i kupić jego głupawy napój.

* * *

– Przykro mi, Joe – powiedziała recepcjonistka Kittie, kiedy dotarłem do gabinetu Rudy'ego – ale doktor Sanchez nie wrócił z lunchu. Dzwoniłam na jego komórkę i domowy, ale od razu włącza się poczta głosowa. W szpitalu też go nie ma.

– Dobrze, Kittie... Wiesz co...? Zajrzę do jego mieszkania i zobaczę, co się dzieje. Zadzwoń, jeśli czegoś się dowiem. A ty zadzwoń do mnie, gdyby się odezwał.

– Jasne, Joe. – Zagryzła wargę. – Ale nic mu nie jest, prawda?

Uśmiechnąłem się do niej.

– Na pewno da się to jakoś wyjaśnić. Nic mu nie będzie.

W korytarzu uśmiech zniknął mi z twarzy. Pewnie, że dałoby się to jakoś wyjaśnić.

To znaczy jak?

W windzie zrobiło mi się trochę niedobrze. To nie był dobry moment na nagłe zaginięcie Rudy'ego. Pomyślałem o wiadomości, którą najprawdopodobniej wysłałem Churchowi poprzez to, czego wyszukiwałem w internecie, i nagle zacząłem mieć bardzo złe przeczucia.

Wyszedłem z budynku i zlustrowałem parking. Jego samochodu nie było, ale też wcale się tego nie spodziewałem. Dlatego podszedłem do swojego auta, naciśnąłem przycisk na pilocie i otworzyłem drzwi.

I zatrzymałem się gwałtownie.

Wyjąłem pistolet, zanim do końca zorientowałem się, co właściwie widzę. Obróciłem się i rozejrzałem po parkingu, trzymając broń zwróconą ku ziemi. Serce waliło mi w piersi. Na parkingu stało ponad pięćdziesiąt samochodów, a kilka osób szło w stronę aut lub wejścia do budynku. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Znów spojrzałem na przednie siedzenie. Na miejscu kierowcy leżała paczka ciastek Oreo. Plastik został elegancko przecięty, jednego ciastka brakowało, a na jego miejscu znajdowała się jedna z wizytówek Rudy'ego.

Schowałem broń do kabury, podniosłem wizytówkę i odwróciłem ją. Z tyłu znajdowała

się wiadomość. Nic skomplikowanego, żadnych gróźb. Jedyne adres, który dobrze znałem, i jeszcze jedno słowo.

To był adres magazynu w dokach, w którym zabiłem Javada po raz pierwszy.

A jedno słowo brzmiało: „Teraz”.

Część druga

Bohaterowie

Nieszczęśliwy jest kraj, który potrzebuje bohaterów.

Bertolt Brecht *Życie Galileusza* (tłum. Roman Szydłowski)

Rozdział dwudziesty czwarty

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 14:26

Dotarcie do doków zajęło mi dwadzieścia minut, a w sercu miałem żądzę krwi.

Kiedy podjechałem do wjazdu na parking, zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Okolice cholernie się zmieniła przez ostatnie kilka dni. Kiedy robiliśmy nalot na magazyn, nie było jeszcze tej nowiutkiej, masywnej bramy wjazdowej ani siatki zwieńczonej drutem żyletkowym. Drugi, wewnętrzny parkan, wyglądałby całkiem niewinnie, gdyby nie rozmieszczone co dziesięć metrów tabliczki UWAGA, WYSOKIE NAPIĘCIE! Widziałem czterech uzbrojonych strażników, ubranych w identyczne mundury, które w najmniejszym stopniu nie kojarzyły się z wojskiem. Typowe wyposażenie ochroniarzy, ale mnie to nie zmyliło. Wszyscy robili wrażenie wojskowych. Pewnych poziomów wyszkolenia nie da się zamaskować sportowymi kurtkami ze sztucznego tworzywa i spodniami khaki.

Muszę przyznać, że zastanawiałem się nad gwałtownym wejściem, znokautowaniem tych gości i zaatakowaniem Churcha z ukrycia... ale tego nie zrobiłem. Przyjemna myśl, ale niezbyt sensowna i pewnie nie wyszłaby na korzyść Rudy'emu ani mnie. Dlatego podjechałem do bramy i pozwoliłem, by mi się przyjrzeni.

– Mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości?

Nie zrobiłem zamieszania, pokazałem im swoją odznakę i dokument ze zdjęciem. Strażnik nawet im się nie przyjrzał. Już wiedział, kim jestem. Machnięciem ręki kazał mi przejechać i zaparkować przed wejściem dla personelu na drugim końcu budynku.

Wypełniłem polecenie, świadom, że mnie obserwują, a w lusterku bocznym mignął mi strażnik chodzący wzdłuż krawędzi dachu. Podeszedłem do wejścia, na tyle wolno, że zauważyłem inne nowe elementy, na przykład niewielką kamerę przemysłową nad drzwiami i zamek na kartę. Nie potrzebowałem jednak klucza, ponieważ drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem zapukać. Za nimi stała jedna z najbardziej oszałamiających kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Miała brązowe oczy ze złotymi plamkami i wysportowaną sylwetkę, która robiła wrażenie twardej we właściwych miejscach, a miękkiej w innych właściwych miejscach. Do tego krótko obcięte włosy, czarne spodnie od munduru polowego i gładka szara koszulka. Żadnego WDN wyrysowanego od szablonu czy czegokolwiek w tym rodzaju. Jak również żadnych insygniów, ale jej postawa już na pierwszy rzut oka sugerowała oficera. W kaburze pod pachą miała się sauera kaliber 9mm, jego chwyt wydawał się wytarty.

– Dziękuję, że pan przyszedł, detektywie Ledger – powiedziała z londyńskim akcentem.

Jej twarz świadczyła o niewyspaniu i przemęczeniu, a oczy miała zaczerwienione, jakby płakała. Tak wyglądały również objawy uczulenia, ale w tych okolicznościach nie sądziłem, by o to chodziło. Zastanawiałem się, co ją tak zdenerwowało, czyżby to samo, co skłoniło Churcha do wysłania zaproszenia? Cokolwiek się wydarzyło, nawet idiota domyśliłby się, że nie chodzi o nic dobrego.

Kobieta nie przedstawiła mi się, nie zasalutowała ani nie wyciągnęła ręki. Nie poprosiła

mnie też o oddanie broni.

– Church – powiedziałem więc.

– Czeka na pana.

Poprowadziła mnie przez kilka krótkich korytarzy do sali konferencyjnej, w której mój oddział wpadł na terrorystów zbyt łatwo sięgających po broń. Tej samej, w której Javad zaatakował mnie po raz pierwszy. Duża niebieska skrzynia zniknęła, a posiekany kulami stół konferencyjny zastąpiły typowe rządowe biurka i komputery. Sporą część jednej ściany zajmował płaski telewizor.

Bez względu na zmiany wyposażenia sala przyprawiała mnie o gęsią skórę. Nadal czułem siniec na przedramieniu w miejscu ugryzienia przez Javada – a był tam jedynie dzięki kevlarowi.

Kobieta wskazała na fotel na kółkach stojący w jednym kącie.

– Proszę usiąść. Pan Church przyjdzie za...

– Kim pani jest? – przerwałem jej.

– Major Grace Courtland – odpowiedziała po dłuższej chwili.

– Major? – powtórzyłem. – SAS?

To wywołało minimalną reakcję, na ułamek sekundy otworzyła szerzej oczy, ale szybko zapanowała nad sobą.

– Proszę usiąść wygodnie, detektywie Ledger – powiedziała i wyszła.

Obróciłem się powoli dookoła, aż znalazłem trzy mikrokamery, których szukałem. Wyglądały na drogie, nigdy wcześniej takich nie widziałem. Założyłbym się o rocną pensję, że Church siedział w sąsiednim pomieszczeniu i mnie obserwował. Miałem ochotę podrapać się po jajach. Cała ta sytuacja budziła we mnie piętnastolatka, który chciał, żeby wszyscy się od niego odpiardolili – musiałem na to uważać. Uleganie rozdrażnieniu oznacza cholernie szybką utratę przewagi.

Dlatego też przespacerowałem się po sali i dowiedziałem wszystkiego, co mogłem, nawet jeśli Ciasteczkowy Potwór mnie obserwował. Po przeciwnej stronie pomieszczenia znajdowały się drugie, o wiele masywniejsze drzwi, które wyglądały na całkiem nowe – jak sobie przypominałem, w tym miejscu widziałem wcześniej zwyczajne drzwi biurowe – a kiedy się im przyjrzałem, wyraźnie dostrzegłem ślady świeżej roboty ciesielskiej i czułem woń farby. Postukałem w nie. Drewniana okleina na stali, mogłem się też założyć, że ściana również została wzmocniona.

Z tyłu dobiegł mnie odgłos otwieranych drzwi. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem pana Churcha, za nim szła Brytyjka. Church miał na sobie grafitowy garnitur, starannie wypastowane buty i te same przyciemniane okulary co wcześniej. Ani słowem nie skomentował mojego badania sali, po prostu przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Major Courtland stała i patrzyła na mnie z dezaprobatą.

Zrobiłem krok w stronę Churcha.

– Gdzie, do kurwy nędzy, jest doktor Sanchez?

Strzepnął pyłek z krawata. Jeśli nawet poczuł się przeze mnie zagrożony, w najmniejszym stopniu tego nie okazał. Courtland przysunęła się do niego i założyła ręce na piersi tak, że w każdej chwili mogła błyskawicznie chwycić za broń.

– Wie pan, dlaczego pan tu jest, panie Ledger?

– Mam swoje przypuszczenia – odparłem – ale może je pan wsadzić sobie w dupę. Gdzie jest Rudy Sanchez?

Wargi Churcha zadrzały. Próbował się nie uśmiechnąć.

– Grace? – zapytał.

Courtland podeszła do ściany z telewizorem i włączyła go. Na ekranie natychmiast pojawił się obraz przedstawiający biuro, a w nim biurko i krzesło. Na krześle siedział

mężczyzna z rękami skutymi za plecami i opaską na oczach. Rudy. Za nim stał drugi mężczyzna, unosił pistolet do głowy mojego przyjaciela.

W głowie słyszałem wycie furii, a serce pulsowało mi w gardle, jakby chciało się wyrwać na zewnątrz. Z ogromnym trudem zapanowałem nad sobą i zacisnąłem zęby.

Po chwili Church się odezwał:

– Niech pan mi powie, dlaczego nie powinienem kazać sierżantowi wpakować dwóch kulek w tył głowy doktora Sancheza.

Zmusiłem się, by odwrócić się od ekranu.

– Jeśli on umrze, to pan też – powiedziałem.

– Ziew. Proszę spróbować raz jeszcze.

– Co by to dało panu albo pańskiej organizacji, gdyby pan go zabił? Jest niewinny, to cywil.

– Przestał być cywilem w chwili, kiedy opowiedział mu pan o WDN i naszym pacjencie zero. To pan przystawił mu ten pistolet do głowy.

– To stek bzdur i sam pan o tym wie. Jedenasty września mógł nieco pomiąć konstytucję, ale nie wrzucił jej do niszczarki.

Church rozłożył ręce.

– Powtarzam pytanie. Niech pan mi powie, dlaczego nie powinienem kazać sierżantowi Dietrichowi zastrzelić doktora Sancheza. Jesteśmy tajną organizacją i gramy o najwyższą możliwą stawkę. Nic, nawet Karta Praw, nie jest ważniejsze od tego, co robimy, i nie jest to przesada.

Nie odpowiedziałem.

– Panie Ledger, gdyby terroryści mieli ciężarówkę pełną walizkowych bomb jądrowych i odpalili po jednej w dwudziestu największych miastach, szkody dla Ameryki i jej mieszkańców byłyby mniejsze, niż gdyby kolejny nosiciel podobny do Javada znalazł się między ludźmi. Gdyby taka epidemia się zaczęła, nie moglibyśmy jej powstrzymać. Tempo zakażenia i stopień agresywności uczyniłyby ją niemożliwą do opanowania w ciągu kilku minut. – Przez chwilę żuł gumę, po czym powtórzył: – Minut.

Nie odzywałem się.

– Jeśli nie możemy liczyć na pańską całkowitą lojalność i współpracę, jest pan dla nas bezwartościowy. Byłby pan dla mnie bezużyteczny.

Czułem ciężar jego spojrzenia nawet przez przyciemniane szkła.

– Czego pan chce?

– Czasu jest bardzo mało, więc będę mówił krótko, panie Ledger. Musimy jak najszybciej stworzyć nową jednostkę taktyczną. Armia, a nawet nasze standardowe jednostki specjalne nie nadają się do tego zadania z powodów, które możemy omówić później. Major Courtland ma już w gotowości jedną jednostkę, druga jednostka znajduje się na Zachodnim Wybrzeżu i zajmuje się czymś równie ważnym. Jedna lokalna jednostka nie wystarczy. Potrzebuję trzeciej. Muszą być zvarci i muszą być gotowi na wczoraj. Potrzebuję również kogoś, kto poprowadzi ją w terenie. Zawęziłem listę do sześciu kandydatów. Pan i pięciu innych.

– Brawo ja. Co to ma wspólnego z Rudym Sanchezem?

– Chcę, żeby dał mi pan słowo, że dołączy pan do nas i zostanie jednym z nas. Nie lekkomyślnym outsiderem. Albo jest pan w WDN, albo nie.

– Albo co? Zabijecie Rudy'ego?

Church uniósł głowę w stronę Courtland. Wcisnęła guzik na ścianie.

– Gus? Rozkuj doktora Sancheza. Przynieś mu kanapkę i dotrzyмай towarzystwa.

Wyłączyła monitor.

Znów odwróciłem się do Churcha.

- I po co ten cały pierdolony dramatyzm?
- Dla podkreślenia powagi sytuacji. Gdybym miał więcej czasu na dramatyzm, miałbym tu pańskiego brata i jego żonę, pańskiego bratanka, a nawet pańskiego kota.
- Jeszcze chwila, a wpakuję panu kulkę – powiedziałem.
- Pochylił się w moją stronę.
- Nie obchodzi mnie to. Doktor Sanchez jest tutaj, ponieważ złamał pan zasady. Jak załatwimy tę sprawę, to już zupełnie inna kwestia. W tej chwili powinniśmy przestać odbijać piłeczkę i przejść do rzeczy.
- To lepiej niech pan do niej przejdzie.
- Powiedziałem panu, czego potrzebuję.
- Dowódcy oddziału?
- Pokiwał głową.
- Nowy oddział musi zacząć szkolenie już dzisiaj, bo jeśli będziemy mieli mnóstwo szczęścia, panie Ledger, ten oddział będzie musiał wyruszyć w teren w ciągu kilku dni, może godzin. Nie mam czasu, by pana namawiać, łechtać ego albo apelować do pańskiego patriotyzmu.
- I dlatego... co właściwie? Chciał mnie pan przestraszyć?
- Apokalipsa to abstrakcyjne i mało realistyczne pojęcie. Utrata wszystkich, których pan kocha i na których panu zależy, jest boleśnie realna. Czas nie działa na naszą korzyść.
- Chce pan powiedzieć, że tych sztywnych jest więcej, tak?
- Tak. – Choć spodziewałem się tej odpowiedzi, i tak poczułem się, jakbym dostał w twarz. – Nie powstrzymaliśmy ich jeszcze, panie Ledger. W najlepszym przypadku spowolniliśmy ich o kilka dni.
- Powinniście byli wiedzieć o tym wcześniej. To logiczne...
- Wiedzieliśmy, ale nie mieliśmy dokąd pójść z tymi przypuszczeniami. Nasi łamacze szyfrów pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, by zlokalizować choć jedną komórkę powiązaną z tymi, których zlikwidowaliście. O jednej wiemy dzięki furgonetce, którą śledził pański oddział specjalny. Nie zaryzykowaliśmy nalotu, bo takich miejsc może być więcej, a my nie chcemy przestraszyć tych ludzi. Jeśli rozegramy to w niewłaściwy sposób, mogą zniknąć, a wtedy stracimy ślad, albo mogą od razu uwolnić zarazę. Zdobyliśmy dość informacji, by mieć względną pewność, że trzymają się wcześniej ustalonego harmonogramu, więc nie chcemy ich poganiać. Ponieważ nie przejęliśmy tej furgonetki i nie zrobiliśmy nalotu na miejsce, do którego się udała, próbujemy ich przekonać, że udało im się uciec. W końcu atak nastąpił pół dnia po odjeździe furgonetki.
- Furgonetek – poprawiłem go. – Były dwie. Jedną śledziliśmy, a drugą zgubiliśmy.
- Cholerna racja – mruknęła Courtland.
- Posłałem jej surowe spojrzenie, na co ona uniosła wyzywająco brew.
- Dlaczego więc chce pan tak pilnie wyszkolić oddział uderzeniowy, skoro nie planuje pan uderzenia?
- Tego nie powiedziałem. Moim zamiarem jest wysłanie oddziału, by potajemnie przeniknął do obiektu, który obserwujemy.
- Przeniknął w jakim celu? By zlokalizować inne komórki czy znaleźć kolejnych sztywnych?
- Wszystko jedno.
- Przełknąłem ślinę, w gardle mi zaschło.
- A dlaczego sądzi pan, że inne hipotetyczne komórki wciąż będą na miejscu? Kiedy komórka w tym magazynie zniknęła, inne prawdopodobnie postąpiły zgodnie z jakimiś wytycznymi i...
- Bardzo prawdopodobne – wtrąciła major Courtland – ale nie mamy wielu innych

tropów.

Z drugiej strony drugi obiekt nie wykazuje żadnych śladów szczególnej aktywności, szczyry nie uciekają, więc może myślą, że są bezpieczni. Z braku dodatkowych informacji operacyjnych przeniknięcie po cichu jest najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Zmarszczyłem czoło.

– A choć macie wszystkie wojskowe jednostki specjalne i gości w rodzaju SWAT czy HRT, chcecie stworzyć nowy oddział? Większość tych typów ma o wiele większe doświadczenie ode mnie. Nazwa „Delta Force” coś wam mówi?

– To bardziej skomplikowane – powiedział Church. Wskazał w stronę drugich drzwi, tych wzmocnionych. – Pozostali potencjalni dowódcy są w sąsiednim pomieszczeniu. Każdy z nich jest twardy, doświadczony i świadomy zagrożenia. Wszyscy są w służbie czynnej: dwóch rangerów, jeden z marynarki, jeden ze zwiadu marines i tak, jeden z Delta Force. Wszyscy oni mają większe doświadczenie bojowe i taktyczne od pana, choć trzeba przyznać, że pan ma z kolei inne zalety. Każdy z was jest na swój sposób wyjątkowy, ale w tej chwili nie mamy czasu o tym rozmawiać. Muszę jak najszybciej załatwić kwestię dowódcy oddziału.

– Czego pan od nas oczekuje? Mamy grać w papier, nożyce, kamień, żeby zdecydować, kto dostanie tę robotę?

– Grace? – powiedział, a ona podeszła do wzmocnianych drzwi i otworzyła je.

– Proszę tędy, detektywie.

Podniosłem się powoli.

– Straszna kupa bzdur rodem z Jamesa Bonda, żeby podjąć decyzję kadrową, nie sądzicie? Church się nie podniósł. Skinął głową w stronę wejścia, więc podeszedłem i zajrzałem do środka. Pięciu facetów w cywilnych ciuchach – trzech siedzących i dwóch stojących. Wszyscy wyglądali na twardych i wszyscy wydawali się albo skonfundowani, albo wkurzeni. Robili wrażenie, jakby znieruchomieli w żywym obrazie, jakby otwierające się drzwi przerwały im ożywioną debatę. Odwróciłem się do Churcha.

– Wciąż mi pan nie powiedział, jak chce pan, żebyśmy to rozwiązali.

Znów zrobił tę minę, która mogła być uśmiechem. Widziałem taki sam wyraz pyska u wielkich kotów w czasie polowania.

– Niech pan myśli niekonwencjonalnie, panie Ledger.

– W porządku – odparłem – ale będzie pan musiał potem zapłacić rachunek.

Skinął głową.

Wszedłem do środka. Wszyscy zgromadzeni obejrzelili mnie od stóp do głów, dwaj posłali mi paskudne spojrzenia, które mogłyby zedrzyć farbę z czołgu. Courtland wyszła i zamknęła drzwi za sobą. Usłyszałem trzask masywnego zamka.

Rozdział dwudziesty piąty

Gault, Hotel Ishtar, Bagdad, pięć dni wcześniej

Gault okrężną drogą opuścił bunkier Amiry w afgańskiej prowincji Helmand, przekroczył granicę Iranu, gdzie w ciągu czternastu godzin trzy razy zmienił tożsamość, a później wszedł do kryjówki prowadzonej przez klienta klienta, gdzie zjadł, przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, a następnie znów zmienił tożsamość, stając się z powrotem Sebastianem Gaultem. Gault był mile widziany w Iranie i wielu innych krajach, gdyż jego firma była jednym z największych światowych dostawców środków farmaceutycznych w ramach pomocy humanitarnej. Towarzyszył trojgu życzliwych, ale nieświadomych członków Światowej Organizacji Zdrowia, kiedy odwiedzali wioski w zachodnim Iranie, gdzie wybuchła właśnie epidemia gruźlicy. Wypowiedział się dla szwajcarskiej agencji informacyjnej, podkreślając konieczność szybkiego działania, by powstrzymać rozprzestrzenianie się tego nowego szczepu gruźlicy, a później podziękował rządowi Iranu za umożliwienie lekarzom z WHO swobodnego poruszania się po kraju. Kiedy przekroczył granicę Iraku, na spotkanie wyszedł mu oddział brytyjskich żołnierzy, który bezpiecznie odeskortaował go do samego Bagdadu, Zabawka czekał na niego w lobby hotelu. Uścisnęli sobie ręce.

– Ufam, że miał pan wygodną podróż – powiedział jego osobisty asystent, wziął torbę Gaulta i poprowadził go do windy.

Kiedy przechodzili przez lobby, obaj byli świadomi, że wszyscy na nich patrzą. Zabawka nie był wysokim mężczyzną, ale emanował energią. Szczupły, wysportowany i nienagannie wyprostowany, zawsze też, niezależnie od okoliczności, robił wrażenie całkowicie spokojnego i zadbanego. Nawet kiedy brodził po kostki w pełnych moskitów kenijskich mokradłach, wydawał się równie spokojny jak na przyjęciu w Cannes. Ale każdy, kto na nich patrzył, od razu widział, kto tu jest szefem. Gault był wyższy, fizycznie bardziej imponujący, miał zaczesane do tyłu czarne włosy i przesywające spojrzenie ciemnych oczu. Jego uroda była szorstka, Zabawki zaś delikatna. Kiedy Zabawka był sam, dominował niemal w każdym pomieszczeniu, ale w obecności Gaulta jego blask przygasał. Obaj o tym wiedzieli i obu to pasowało.

W windzie rozmawiali swobodnie o niezbyt ważnych sprawach związanych z Gen2000. Kiedy dotarli do apartamentu, który dzielili, Zabawka przeczesał wszystkie pomieszczenia najnowszą generacją czujników Interceptor. Apartament był czysty. Mimo to na początku unikali delikatnych tematów, a po godzinie Zabawka znów wszystko sprawdził. Prowadzący inwigilację spodziewali się, że sprytny szpieg przeczesze swój pokój w hotelu, więc często na początku wyłączały aktywny nasłuch. Zazwyczaj ponownie uruchamiali pluskwy po upływie czterdziestu minut, więc Gault dał im pełną godzinę. Nadal było czysto.

Zabawka zajął się rozpakowywaniem, a Gault wziął gorącą kąpiel. Później Sebastian włożył szlafrok i usadowił się wygodnie na miękkim fotelu, a na pobliskim stoliku czekał na niego dzin z tonikiem. Zabawka zajął bardziej ozdobny fotel w stylu Ludwika XIV,

usiadł na nim ze skrzyżowanymi nogami i bawił się szklaneczką whiskey bez lodu.

– Kiedy się pan kąpał, przyszedł SMS – powiedział Zabawka afektowanym tonem. – Tylko jedno słowo: „Czysto”. To od El Mięśniaka?

Gault uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Jego ludzie sprawdzili dziś w terenie zupełnie nową generację *Seifal Din*. „Czysto” oznacza, że operacja się powiodła.

Podał Zabawce szczegóły.

– To obrzydliwe – powiedział asystent, ale nawet jeśli rzeź wywołała w nim jakąś reakcję emocjonalną, nie pokazał tego po sobie.

– To duży krok naprzód – przypomniał mu Gault.

– Niech pan mi opowie o szczęśliwej parze – powiedział Zabawka z kąśliwym prychnięciem.

Gault opowiedział mu o wszystkim, łącznie z tym, co zauważył w głosie i twarzy Amiry. Zabawka mu nie przerywał, ale kiedy Gault skończył, pokręcił głową.

– Sądzę, że zbyt długo tkwiła w bunkrze ze wszystkimi zabawkami, tworząc potwory. Pewnie sama jest już w połowie drogi do zostania potworem. Jest pan pewien, że zgadza się z pańskimi celami?

Gault wzruszył ramionami. Był taki czas, na początku ich romansu, kiedy sądził, że on i Amira mogliby zostać swego rodzaju królem i królową światowej gospodarki. Jego plan musiał zadziałać, już działał, a on oceniał, że w najgorszym wypadku różne należące do niego firmy zarobią netto od dwudziestu do trzydziestu miliardów. Przy najlepszym obrocie spraw zyski zbliżały się do stu miliardów. Mógłby zostać najbogatszym człowiekiem na świecie. Ale wiele zależało od tego, czy Amira nie wykroczy poza ograniczenia, które narzucał jej plan.

Kiedy stało się jasne, że Gault nie odpowie, Zabawka wypił resztę drinka i wstał, by nalać sobie kolejnego. Zadzwoił telefon, asystent go odebrał.

– Przez cały dzień próbuję się dodzwonić do twojego szefa – warknął Amerykanin. – Czy linia jest czysta?

– A jak myślisz? – spytał Zabawka. – Proszę poczekać... jest tutaj. – Podał telefon Gaultowi.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytał Gault.

Zabawka nachylił się bliżej, by podsłuchiwać.

– Tego ranka szefowie wszystkich jednostek specjalnych zostali wezwani na odprawę prowadzoną przez głowę tego nowego Oddziału Myślaków.

– Ach! Kto więc nim kieruje?

– I tu zaczyna się dziwna sprawa. Otrzymaliśmy pewne dokumenty, rzekomo od szefa tego nowego departamentu, ale podpisane różnymi nazwiskami: pan Elder, pan St. John, pan Deacon i pan Church. Nie wiemy, czy odnoszą się one do tej samej osoby, czy do szefów działów, ale mam wrażenie, że to kryptonimy tego samego gościa... tego, który prowadził odprawę. Nam przedstawił się jako pan Pope. Ostrożnie badam sprawę i wkrótce powinienem mieć pewność.

– To pasuje do tego, do czego dokopał się Zabawka – powiedział Gault. – Mnie interesuje, czy udało się panu wprowadzić swojego człowieka do środka, jak prosiłem.

– Owszem – odparł Amerykanin.

Rozdział dwudziesty szósty

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 14:42

Stałem przy drzwiach i przyjrzałem im się uważnie. Wciąż czułem niepokój wywołany widokiem pistoletu uniesionego do głowy Rudy'ego i nie wiedziałem, czy wierzyłem, że Church by go zabił, czy nie. Czułem, jakby tuż nad moją głową tykał zegar wielkości Big Bena.

Sala była pusta, pomijając kilka składanych krzeseł i stolik do kart, na którym stała skrzynka z butelkami wody, taca wędliny i sera oraz leżał bochenek białego chleba. Najwyraźniej budżet WDN nie obejmował przyzwoitego katering.

Gość najbliżej mnie, po mojej lewej, miał może metr osiemdziesiąt wzrostu, ale za to ponad sto kilo żywej wagi, z tego większość w torsie i ramionach. Jego rysy miały w sobie coś małpiego. Obok Małpoluda stał wyższy, szczuplejszy facet o haczykowatym nosie, z długą blizną biegnącą od granicy włosów przez prawą brew aż po policzek. Naprzeciwko Blizny stał czarnoskóry gość, który wyglądał jak każdy starszy sierżant, jakiego widziałem w życiu: włosy na jeża, złamany nos i kwadratowa szczęka. Za Sierżantem Rockiem stał rudy dwudziestoparolatek o wesołej twarzy. Właściwie jako jedyny się uśmiechał.

Po swojej prawej Joker miał naprawdę wielkiego typu – dobre dwa metry wzrostu, żyłasty, o poblźnionych dłoniach. Hulk odezwał się pierwszy.

– Chyba mamy kolejnego kandydata.

Wszedłem między nich.

Blizna chrząknął.

– Usiądź wygodnie. Tkwimy tu już od trzech godzin, próbując zdecydować, który z nas powinien dowodzić tym oddziałem.

– Naprawdę? – powiedziałem i kopnąłem go w jaja.

Wydał z siebie wysoki okrzyk bólu, który zignorowałem. Chwyciłem za rękaw jego wiatrówki i szarpnąłem go mocno i szybko, aż poleciał na Małpoluda i obaj upadli.

Przekręciłem się, nadepnąłem na stopę Jokera, obróciłem się i tą samą nogą kopnąłem go w jądra. Nie krzyknął, ale bardzo głośno zasyczał. Sierżanta Rocka uderzyłem otwartą dłonią w pierś, popychając go na stół z jedzeniem, który załamał się pod jego ciężarem.

Pozostał już tylko Hulk. Gapił się na mnie może pół sekundy, po czym zamachnął się do ciosu. Ale to było o pół sekundy za długo, a ja rzuciłem się do przodu i wbiłem wysuniętą kostkę palca wskazującego prawej ręki w jego lewą zatokę, tuż przy nosie, a w chwili uderzenia jeszcze ją przekręciłem. Poleciał do tyłu, jakby oberwał z czterdziestki piątki.

Znów obróciłem się na pięcie i zobaczyłem, jak Małpolud próbuje wydostać się spod Blizny, zanim jednak zdążył się całkiem podnieść, podciąłem nogę, na której się opierał, a on padł na kość ogonową. Prawie – ale nie do końca – udało mu się zatrzymać, kładąc dłoń płasko na ziemi. Nadepnąłem na jego rozcapierzone palce i kopnąłem go w pierś, po czym obróciłem się do Sierżanta Rocka – który z robiącą wrażenie zręcznością podniósł się z połamanego stolika.

Pozostała czwórka padła, zostaliśmy tylko my dwaj.

Uniósł ręce i wiedziałem już, że nie uda mi się go oszukać po raz drugi. Wtedy się uśmiechnął, opuścił zasłonę i wyciągnął dłonie do przodu. Nie był to gest poddania się, raczej przyznania, kto wygrał tę rozgrywkę.

Skinąłem mu głowę i cofnąłem się, oddalając się od pozostałej czwórki. Dwaj z nich byli wyłączeni. Hulk siedział w kącie i trzymał się za twarz – jeśli miał jakieś problemy z zatokami, ten cios wywołał atak migreny. Blizna leżał na ziemi zwinięty w pozycji embrionalnej, trzymał się za jaja i jęczał. Joker zaczął się podnosić, ale nie widziałem w nim woli walki.

Małpolud siedział oparty o ścianę i próbował złapać oddech.

Usłyszałem, że drzwi się otwierają, i zrobiłem krok w bok, jednocześnie się odwracając. Do środka weszli Church i Courtland. On się uśmiechał, ona nie.

– Panowie – powiedział cicho. – Chciałbym, żebyście poznali Joe Ledgera, dowódcę nowego oddziału WDN. Jakies pytania?

Rozdział dwudziesty siódmy

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 14:43

– Ile to zajęło, Grace? – spytał Church.

– Cztery przecinek sześć dziesiątych sekundy. – Mówiła tak, jakby ktoś wyciągał z niej słowa obcęgami. – Albo osiem przecinek siedem dziesiątych, jeśli liczyć od zamknięcia drzwi.

Inni kandydaci gapili się na Churcha i na mnie, a jeden z nich – Małpolud – wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale napotkawszy spojrzenie Churcha, powstrzymał się i tylko piorunował mnie wzrokiem. Na sali nie panowała przyjazna atmosfera.

– Wstawajcie – powiedział do nich Church.

Nie mówił z goryczą czy surowo, jedynie cicho. Czasem mówienie cicho jest jeszcze gorsze, a ja obserwowałem twarze mężczyzn, gdy się podnosili. Hulk i Sierżant Rock nie okazywali wrogości, ten drugi wydawał się wręcz rozbawiony. Joker zachował ostrożność i powściągliwość. Blizna wydawał się jednocześnie zawstydzony i rozzłoszczony. Małpolud posłał mi mordercze spojrzenie, kiedy wstawał, rozmasował pierś i zmrużył oczy jak snajper.

Ręce mi drżały, ale tak działa adrenalina. Poza tym obraz Rudy'ego z lufą przy głowie nie chciał opuścić mojego umysłu.

– Chcę zobaczyć Rudy'ego – powiedziałem. – Natychmiast.

Church pokręcił głową.

– Nie. Najpierw musi pan zrobić inne rzeczy.

– Lepiej, żeby mu nic nie było...

Uśmiechnął się.

– Doktor Sanchez pochłania właśnie wszystko, co dostarczył catering, i pewnie przeprowadza psychoanalizę wyjątkowo skomplikowanego dzieciństwa sierżanta Dietricha. Nic mu nie jest i może poczekać.

Nikt się nie odezwał.

– W porządku – powiedziałem. Zaskoczyło mnie, jak spokojnie brzmiał mój głos. – I co teraz robimy?

– Major Courtland przekaże wam wszystkie konieczne informacje. Cały personel spotka się w holu głównym za trzydzieści minut.

Zawahał się, po czym wyciągnął rękę.

– Witamy na pokładzie, panie Ledger.

– Nie chciałbym obrazić waszej dwójki – powiedziałem, ściskając jego dłoń – ale oboje jesteście absolutnymi dupkami.

Ścisnąłem go ze wszystkich sił i niech mnie diabli, jeśli ten sukinsyn mi nie dorównał.

– Później popłaczę sobie w kąciku – powiedział Church.

Puściliśmy uścisk, ja założyłem ręce na piersi.

– Jeśli mam być dowódcą oddziału, to gdzie jest oddział?

– Właśnie skopałeś im tyłki – powiedziała Courtland.

Odwróciłem się i spojrzałem na pięciu mężczyzn. O kurwa.

W swojej pracy przez lata stykałem się z ulicznymi zbirami, mordercami i najgorszymi przedstawicielami marginesu społecznego, kopałem ich w głowy, strzelałem do nich, raziłem prądem i wysyłałem na dożywocie, ale żaden z nich nie patrzył na mnie w taki sposób, jak członkowie mojego „oddziału”. Gdyby mieli gałąź i sznur, już bym wisiał.

Wydawało mi się, że usłyszałem cichy chichot Churcha, kiedy odwrócił się i odszedł.

Może to była chwila, kiedy powinienem wygłosić przemówienie, ale nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Courtland mnie wyprzedził.

– Umyjcie się – warknęła. – Ledger, chodź ze mną.

Ruszyła do drzwi.

Zacząłem iść za nią, ale wyczułem ruch, odwróciłem się i zobaczyłem idącego w moją stronę Małpoluda. Twarz miał fioletową z wściekłości, a dłonie zaciśnięte w pięści.

– Oszukałeś mnie, dupku, a ja przy pierwszej okazji wytrę tobą podłogę.

– Nie – odpowiedziałem.

I uderzyłem go w gardło.

Zszedłem mu z drogi, kiedy padał.

Na sali panowała martwa cisza, a ja świadomie odwróciłem się plecami do pozostałej czwórki, mówiąc do Courtland:

– Mam cholerną nadzieję, że macie tu lekarza, bo on będzie go potrzebował.

Rozdział dwudziesty ósmy

Sebastian Gault, Hotel Ishtar, Bagdad, pięć dni wcześniej

– Linia?

– Czysta – powiedział Wojownik.

– Co możesz mi powiedzieć, przyjacielu?

Gault zanurzył się po szyję w wannie pełnej piany, z odtwarzacza CD płynęły cicho Wariacje Goldbergowskie. Młoda kobieta w sąsiednim pokoju spała – spodziewając się tej rozmowy, Zabawka wrzucił jej coś do drinka, po czym odprowadził do pokoju Gaulta.

Miała spać jeszcze przez cztery godziny i obudzić się bez żadnych efektów ubocznych. Dobrze być farmaceutą i mieć asystenta pozbawionego sumienia.

– Wszystko na miejscu – powiedział El Mudżahid.

– Doskonale. Kiedy zakończycie pierwszą fazę, moi chłopcy w Czerwonym Krzyżu dopilnują właściwych transferów. Przy odrobinie szczęścia powinieneś przed północą znaleźć się na okręcie szpitalnym wypływającym z Zatoki.

– Sebastianie...? – odezwał się El Mudżahid.

– Tak?

– Pokładam w tobie wielką ufność. Spodziewam się, że dotrzymasz swojej części umowy.

– Na Allaha – powiedział Gault, jednocześnie palcami stóp odkręcając ciepłą wodę – z pewnością możesz mi zaufać. Wszystko pójdzie gładko.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Powiedz mojej żonie, że ją kocham – powiedział w końcu Wojownik.

Gault uśmiechnął się do sufitu.

– Oczywiście, że to zrobię, przyjacielu. Idź z Bogiem.

Rozłączył się i rzucił telefon na klapę sedesu. Zaczął się śmiać.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 14:46

Major Courtland wezwała ratowników medycznych, po czym dołączyła do mnie w korytarzu i widziałem, że ocenia mnie na nowo. Wodziła wzrokiem po mojej twarzy jak skaner, a ja niemal słyszałem trzask przekaźników w jej głowie. Po drugiej stronie korytarza była męska toaleta, ruszyłem w jej stronę, ale ona zatrzymała mnie, dotykając mojego ramienia.

– Ledger... dlaczego pan sądził, że pan Church tego od pana oczekuje?

Wzruszyłem ramionami.

– Powiedział, że mamy mało czasu.

– Co nie oznacza od razu, że kazał panu wejść i skopać wszystkim tyłki.

– To jakiś problem?

Znów się uśmiechnęła, miała bardzo miły uśmiech. Zmieniał ją z kobry w coś o wiele bardziej pociągającego – istotę ludzką.

– Wcale nie. Choć bardzo niechętnie, ale muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

– „Bardzo niechętnie”? – powtórzyłem.

– Trudno pana polubić, panie Ledger.

– Mów mi Joe. I nie, wcale nie. Wielu ludzi mnie lubi.

Nie skomentowała tego.

– Może ujmę to inaczej... trudno panu zaufać. Szczególnie w tego rodzaju operacji.

– Grace... mogę ci mówić Grace?

– Może mi pan mówić pani major.

– W porządku, pani major – powiedziałem – moim celem w życiu nie jest sprawienie, że mi pani zaufa. Wasi żartownisie mnie w to wciągnęli. Nie składałem CV. Nie jestem wojskowym. Więc jeśli ma pani jakieś problemy z zaufaniem mi czy czymkolwiek jeszcze aż po sympatię dla mnie, to z całym szacunkiem, ale niech się pani odpieprzy. Pani major.

Uniosła brwi.

– Nie chciałem i nadal nie chcę, by moje życie łączyło się z tajnymi bzdurami, martwymi gośćmi albo walką o dominację, czy to z tamtą nabuzowaną testosteronową gromadką, czy z jakąś napuszoną, pijącą earl greya i jedzącą maślane bułeczki panią major, która nawet nie jest moim pieprzonym zwierzchnikiem. Nie znam pani i gównie mnie obchodzi, czy mi pani ufa.

– Panie Ledger...

– Muszę się odlać.

Ruszyłem w stronę ubikacji.

* * *

Skorzystałem z toalety i umyłem twarz, najpierw ciepłą, a później zimną wodą, po

czym osuszyłem ją papierowymi ręcznikami. Oparłem dłonie na brzegu umywalki i wpatrzyłem się w swoją twarz w lustrze. Skórę miałem zaczerwienioną, a spojrzenie niespokojne, jak u ćpuna. Włosy sterczały mi na wszystkie strony.

– No, no – powiedziałem do swojego oblicza – ślicznie wyglądasz.

Nie miałem grzebienia, więc wilgotnymi palcami przygładziłem włosy, a kiedy tak stałem, pełen ciężar i ogrom tego, co się działo, uderzył we mnie jak pociąg towarowy. Pochyliłem się nad umywalką, czując posmak żółci w ustach, gotów zwymiotować... ale mój drżący żołądek wytrzymał. Znowu podniosłem głowę, spojrzałem sobie w oczy i zobaczyłem w nich strach, pełną świadomość tego, co to wszystko znaczyło.

Było ich więcej. Więcej sztywnych. A ja miałem wkroczyć i zostać... kim?

Jakimś Kapitanem Bohaterskim, który poprowadzi chłopców w Czerwieni, Bieli i Granacie do zwycięstwa? W co ja się wpakowałem? To nie był oddział specjalny ani nawet SWAT. Nigdy wcześniej nawet nie zbliżyłem się do czegoś tak wielkiego, a teraz miałem wyszkolić i poprowadzić jednostkę czarnej taktyki? Co to za pieprzone wariactwo? Dlaczego mnie poprosili? Jestem tylko gliną. Gdzie są goście, którzy rzeczywiście robią takie rzeczy? Dlaczego żadnego z nich tu nie było? Gdzie są James Bond i Jack Bauer? Dlaczego właśnie ja?

Moje odbicie patrzyło na mnie oszołomione i trochę ogłupiałe.

Praca w oddziale specjalnym wcale mnie nie przygotowała. Po osiemnastu miesiącach służby-i w czasie, który upłynął od WTC – zacząłem podzielać ogólne przekonanie, że terroryści już zrobili najgorsze, co mogli, a teraz kryją się w jaskiniach i zastanawiają, czy takie zagranie miało sens.

A Church mówi mi, że mają klucz do pandemii.

Wskrzeszając umarłych?

Boże Świąty. Wbijanie samolotów w budynki było paskudne. Broń chemiczna, węglik, gaz paraliżujący, zamachowcy-samobójcy... wszystko, co przez lata stanowiło definicję terroryzmu w globalnej świadomości, było bardziej niż paskudne. Ta wizja jednak była tak okropna, że nie wiedziałem, czy byłbym zdolny podejść do niej z rozsądnym dystansem. Już lepiej, gdyby próbowali rozsiewać ebolę, bo ebola nie goni za człowiekiem i nie próbuje go ugryźć. Ktokolwiek za tym stoi, jest chorym skurwysynem. Byстрыm, jasne, ale chorym. To wykracza poza fundamentalizm religijny czy polityczny ekstremizm. W tej właśnie chwili zyskałem pewność, że patrzymy na coś zrodzonego w umyśle, który jest prawdziwie i autentycznie zły.

Wydaje mi się, że aż do tej chwili nie rozumiałem Churcha. Gdybym był na jego miejscu, patrząc na tę samą przyszłość, jakbym sobie z tym poradził? Jak bezwzględny bym był? Jak bezwzględny mógłbym się stać?

– Chyba już odpowiedziałeś na to pytanie, chłopcze – mruknąłem, myśląc o pięciu mężczyznach na tamtej sali.

Church mógł się zachowywać jak Wulkanin, ale też musiał to czuć. Jeśli tak, to wysiłek powstrzymywania wszystkich uczuć, każdej odrobiny ludzkich cech, musiał być straszliwy. Jeśli miałem dla niego pracować, musiałem szukać oznak tego nacisku, wypatrywać pęknięć. Nie tylko w sobie samym, ale i w nim. Z drugiej strony Church też mógł być potworem... ale po naszej stronie. Tacy goście również istnieli. Do diabła, po II wojnie światowej nasz rząd zatrudnił gromadkę nazistowskich naukowców. Bardziej jeszcze pasowały słowa, którymi Roosevelt rzekomo skomentował Somozę. Coś w stylu: „To sukinsyn, ale nasz sukinsyn”.

Cudownie. Mam pracować dla potwora, żeby walczyć przeciwko innym potworom. Kim w takim razie byłem ja?

Podłoga łazienki jakby się nieco przechylała, kiedy ruszyłem do drzwi.

Rozdział trzydziesty

El Mudżahid, okolice Nadżafu, Irak, pięć dni wcześniej

– Zbliżają się – powiedział Abdul, porucznik El Mudżahida. – Dwa brytyjskie śmigłowce szturmowe Apache. Cztery minuty.

– Doskonale – mruknął Wojownik. Po raz ostatni rozejrzał się i podał Abdulowi kłęb ubrań. – Nie ma tu nic cennego. Spal je.

Pojazd opancerzony stał na środku skrzyżowania dwóch opustoszałych dróg, trzydzieści sześć kilometrów od Nadżafu. Spod karoserii wciąż wznosił się dym. Podobny dym unosił się z kilkunastu trupów. Wokół było pełno krwi, która na piasku miała odcień zakurzonych róż. Dwa samochody-stary ford falcon i chiński BenBen – płonęły, a ich tablice rejestracyjne miały sugerować powiązania z dżihadystami. Cała scena prezentowała się idealnie – bitwa zakończona tragicznym zwycięstwem. Pojazd opancerzony uszkodzony przez minę-pułapkę, nieliczni brytyjscy żołnierze, otoczeni przez przeważające siły wroga i ponoszący poważne straty, gdy dzielnie próbowali się wyrwać z pułapki. Wszyscy bojownicy zginęli. Z siedmiu Brytyjczyków w pojeździe czterech było martwych – okaleczonych i spalonych – a trzech walczyli o życie.

– Idź już – szepnął El Mudżahid.

Porucznik oddalił się i zniknął w kryjówce, pod klapą zamaskowaną wysuszonymi krzewami. Zapanował całkowity bezruch, a poza hałasem śmigłowców jedynym dźwiękiem były żałosne jęki rannych.

– *Allah Akbar!* - powiedział El Mudżahid, po czym kciukiem sprawdził ostrość krawędzi metalowego odłamka, który sobie wybrał.

Przycisnął metal do czoła na linii włosów, zaczerpnął tchu, wstrzymał powietrze i wypuścił je gwałtownie. Przeciągnął zaimprovizowanym ostrzem na skos, od lewej do prawej, przez brew, grzbiet nosa i policzek aż po podbródek. Poczul ostry ból, a z rany poląła się krew. W oczach miał łzy i musiał zagryźć zęby. Bolało gorzej – o wiele gorzej – niż się spodziewał, i z trudem powstrzymał krzyk.

Śmigłowce znajdowały się niemal nad nim. Z westchnieniem odrzucił kawałek metalu na bok i znów położył się wśród szczątków pojazdu, celowo prychnąwszy krwią z nosa i ust, by jej kropelki rozprysnęły się dookoła. Zanim pierwszy śmigłowiec wylądował, jego kamuflaż był idealny, poranioną twarz pokrywała jaskrawoczerwona krew, która przesiąknęła też ubranie. Serce waliło mu w piersiach, a z każdym jego uderzeniem z rany wypływała świeża krew.

Kiedy żołnierze wyskoczyli ze śmigłowca, zamknął oczy, uniósł w ich stronę zakrwawioną rękę i pozwolił sobie na krzyk, bełkotliwy, niezrozumiały i pełen cierpienia.

– Tutaj! – zawołał ktoś, a pojazd opancerzony zakołysał się, kiedy żołnierze weszli do środka.

Poczul na sobie dłonie, dotykające go, obmacujące, szukające pulsu.

– Ten żyje. Ściągnijcie sanitariuszy!

Ktoś sięgnął do jego szyi, wymacał łańcuszek z nieśmiertelnikiem, wyciągnął go.

– Sierżant Henderson – przeczytał nazwisko. – Sto trzecia pancerna.

– Przepuście mnie – odezwał się ktoś inny.

El Mudżahid poczuł gazę na twarzy, gdy sanitariusze zaczęli ratować życie brytyjskich rannych.

Wojownik z ogromnym wysiłkiem powstrzymał uśmiech.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 14:51

Siedzieliśmy we dwoje w gabinecie Courtland. Nic nie zostało jeszcze rozpakowane, musiałem więc usiąść na plastikowym rozkładanym krzeselku. Oboje piliśmy wodę źródlaną z butelek. Okno zajmujące jedną ze ścian wyglądało na przystań. Popołudniowe słońce sprawiało, że panuje całkowity spokój, ale ukryte pod tą iluzją kłamstwo przerażało. Odwróciłem się od okna i popatrzyłem na Courtland.

– Wolałabym od razu przedstawić panu kompletny obraz sytuacji, ale jak zauważył pan Church, nie mamy czasu, więc krzywa uczenia się będzie raczej linią prostą.

Usiadła i założyła nogę na nogę. Choć nosiła spodnie od munduru, od razu zauważyłem, że ma ładne nogi. Pomijając osobowość, która jak na razie lokowała się gdzieś między zirytowanym aligatorem a zdenerwowaną mureną, cała wydawała się ładna. Podobały mi się nawet jej chrapliwy głos i mocny brytyjski akcent. Po prostu nie za bardzo lubiłem ją samą.

– Niech pani mówi – powiedziałem.

– Po jedenastym wrześniu pański rząd stworzył Bezpieczeństwo Krajowe, a Wielka Brytania utworzyła podobną, choć o wiele bardziej tajną organizację zwaną Zaporą. Nie słyszał pan o niej. Media interesują się głównie MI5 i MI6, i tak powinno być. Zapora dostała dużą swobodę działania, dzięki czemu udało jej się zdusić w zarodku kilka poważnych zagrożeń dla mojego kraju, które byłyby dla nas równie niszczycielskie, jak zamach na WTC dla was. Ponieważ brałam udział w części z tych operacji, zostałam wypożyczona pańskiemu rządowi, kiedy stworzono WDN.

– Pomogła pani stworzyć WDN?

– Nie – odparła – to dzieło pana Churcha, ale istnieją pewne podobieństwa między WDN i Zaporą, zarówno w kwestii struktury, jak i celu działania, a Biały Dom i Whitehall pozostają w stałym kontakcie, przynajmniej jeśli chodzi o działania antyterrorystyczne. Jak pan zapewne wie, w całym kraju jest wiele takich jednostek specjalnych, a informacje wywiadowcze w taki czy inny sposób przechodzą przez ręce WDN. Church ma swoje doświadczenia wszędzie. Kiedy na pańskim podsłuchu pojawiło się nazwisko El Mudżahida, w WDN rozległ się dzwonek, a Church natychmiast zarządził przeniknięcie do oddziału specjalnego. Kiedy już powstał, mieliśmy w nim trzech agentów.

– Naprawdę? W takim razie macie jednak jednostkę działającą w terenie?

– Mieliśmy – powiedziała, a jej twarz na chwilę spochmurniała. – Ale dojdziemy do tego.

Najpierw muszę panu opowiedzieć o komórce, którą zlikwidował pański oddział specjalny. Po nalocie naszym informatykom udało się uratować kilka laptopów i systematycznie rozpracowujemy ich zaszyfrowane wiadomości. Nie dowiedzieliśmy się tyle, ile byśmy chcieli, ale robimy postępy. Jak na razie odszyfrowaliśmy dokumenty, które można uznać za manifesty ładunkowe broni, środków medycznych, sprzętu badawczego, a nawet ludzi.

– Chodzi pani o agentów, których przeszmyglowali?

Pokręciła głową.

– Nie... ładunek w postaci ludzi. Jak Javada. Sprowadzonych do tego kraju w klimatyzowanych pojemnikach podobnych do tego, który znaleźliście tutaj.

– Ilu poza nim?

– Znaleźliśmy wzmianki o trzech, wliczając Javada.

– Kurwa.

– Dokumenty raczej świadczą, że pozostali sztywni zostali sprowadzeni do tego kraju na mniej niż dobę przed atakiem pańskiego oddziału. Pozostali dwaj musieli zostać wyekspediowani późnym wieczorem poprzedniego dnia i istnieje spore prawdopodobieństwo, że byli w tych dwóch furgonetkach.

– Dlatego zabraliście wszystkie dokumenty oddziału specjalnego, tak? Chcieliście dostać w swoje ręce raporty z obserwacji ruchu wokół tego miejsca, a nie chcieliście, żeby trafiły do akt.

Znów spojrzała na mnie z namysłem, jakbym był jej tępym bratankiem, który w końcu nauczył się wiązać swoje sznurowadła.

– Tak – przyznała.

– Dokąd w takim razie trafiły pozostałe pojemniki?

Przez kilka sekund zastanawiała się, czy mi powiedzieć.

– Proszę mnie posłuchać, pani major – stwierdziłem – albo będzie pani wobec mnie szczerą, albo kończymy tę rozmowę. Nie wiem, dlaczego jest pani na mnie wnerwiona, i szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi, ale takie zwlekanie marnuje mój czas.

Zacząłem się podnosić, ale machnięciem ręki kazała mi usiąść.

– Dobrze, dobrze – warknęła – niech pan siada, do diabła. – Otworzyła teczkę, wyjęła arkusz papieru i położyła go z trzaskiem na biurku. – To raport z wieczoru poprzedzającego nalot. Teren magazynu opuściły dwie furgonetki. Jedna osiem minut po północy, druga o godzinie trzeciej trzydziści. Agenci oddziału specjalnego zostali wysłani, by śledzić obie i poinformować o ich celu. Jedna była śledzona aż do przetwórci krabów w pobliżu Crisfield w stanie Maryland. Druga została „zgubiona w ruchu ulicznym”. – Postukała palcem w zapis. – Pan śledził tę, która została zgubiona.

Wziąłem arkusz z biurka, spojrzałem na niego i rzuciłem na blat.

– Dobry Boże, pani major, gdybym miał na tej podstawie wnioskować na temat precyzji waszych danych wywiadowczych, to natychmiast zabrałbym swoich bliskich i uciekł na wzgórze.

– Zaprzecza pan, że został pan wyznaczony, by śledzić tę furgonetkę?

– Nie, zdecydowanie zostałem wyznaczony, by śledzić tę furgonetkę, pani major, ale tego nie zrobiłem. Zdążyłem przejechać cztery przecznice, kiedy zastąpił mnie inny oficer. Porucznik odezwał się do mnie na szyfrowanym kanale oddziału specjalnego i kazał mi wrócić do furgonetki obserwacyjnej, bo znów zaczęli gadać przez komórkę, a ja jako jedyny na tej zmianie znałem farsi. Przez dwadzieścia minut słuchałem, jak jeden z bojowników gada z Irakijką mieszkającą w Filadelfii. Rozmawiali głównie o robieniu laski i o tym, jak bardzo on by chciał, żeby mu obciągnęła. Naprawdę pierwszorzędny materiał szpiegowski. Uwierz mi, siostrzo, kiedy kogoś śledzę, to go nie gubię.

Odchyliła się na krześle i przez jakieś dziesięć, może piętnaście sekund patrzyliśmy na siebie jak para rewolwerowców. Mogła odpowiedzieć na wiele różnych sposobów, a jej reakcja miała nadać ton naszym dalszym zawodowym kontaktom.

– Kurwa mać – powiedziała z westchnieniem. – Przyjmie pan moje przeprosiny?

– A nie będzie mnie już pani próbowała przerazić na śmierć swoim lodowatym spojrzeniem?

Jej uśmiech był z początku niepewny, wciąż zaplątany w kolce wcześniejszych uprzedzeń, ale później rozkwitł, pełny i promienny. Wstała i wyciągnęła rękę.

– Rozejm – powiedziała.

Wstałem i uściśniłem jej dłoń, która była mała, ciepła i silna.

– Mamy dość wrogów, pani major, i lepiej, żebyśmy osłaniali się nawzajem, zamiast próbować rzucić się sobie do gardła.

Lekko ścisnęła moją dłoń, puściła ją i znów usiadła.

– To miło z pańskiej strony. – Odchrząknęła. – Ponieważ, no, zgubiliśmy jedną furgonetkę, w tej chwili prowadzimy śledztwo, które ma na celu jej zlokalizowanie. To priorytet.

– Co wiemy o samej komórce? – spytałem.

– Oderwane fragmenty. Wiemy, że korzystali z techniki na wyższym poziomie niż ten, jaki dotychczas widzieliśmy wśród terrorystów, a coś takiego uzasadnia istnienie WDN. Musi pan wiedzieć, że stworzenie WDN zostało zaproponowane w tym samym czasie, co Bezpieczeństwa Krajowego, ale odrzucono je jako zbyt drogie i niepotrzebne. W owym czasie wierzono, że terroryści mogą być zdolni do porwania samolotów, ale nie są zdolni do stworzenia zaawansowanych broni biologicznych. – Wydawała się zdeglustowana. – To, rzecz jasna, rasistowskie przekonania. Ważniacy w Londynie i Waszyngtonie w większości nadal sądzą, że wszyscy na Bliskim Wschodzie są niewykształceni i pozostają w tyle za dwudziestym pierwszym wiekiem.

– Co jest bzdurą – powiedziałem.

– Co jest bzdurą – zgodziła się. – Ich przekonania zmieniło coś o nazwie MindReader, to znaczy oprogramowanie, które pan Church zakupił albo wymyślił. Nie wiem do końca, a on nie chce mi powiedzieć. Najważniejsze, że MindReader to pakiet oprogramowania do kaskadowej analizy, którego nie ma żadna inna agencja, nawet Zapora czy Bezpieczeństwo Krajowe. Poszukuje wzorców przez ukryte połączenia ze wszystkimi bazami danych wywiadowczych. Największy problem polega na tym, że trzeba wziąć pod uwagę różne systemy operacyjne, różne języki, programowania i ludzkie, różne kultury, strefy czasowe, waluty, systemy jednostek, szlaki transportowe i tak dalej. MindReader radzi sobie z tym wszystkim. Jego również używamy do odszyfrowania uszkodzonych plików.

– Niezła zabawka.

– W rzeczy samej. I natrafiliśmy na pewne informacje związane z gromadzeniem materiałów, wyposażenia i personelu, które wskazywały, że ktoś tworzy zaawansowane technologicznie laboratorium broni biologicznej. Laboratorium zdolne zarówno do stworzenia nowego czynnika biologicznego, jak i wykorzystania go jako broń.

– Wydawało mi się, że te środki są pod szczególnym nadzorem? Jak im się udało?

Popatrzyła na mnie z namysłem.

– A jak pan by to zrobił?

– O jakim kraju mówimy?

– Terroryzm to ideologia, nie narodowość. Powiedzmy, że jesteście niewielką grupką żyjącą w ukryciu w jednym z krajów Bliskiego Wschodu, niekoniecznie z błogosławieństwem władz kraju, w którym przebywacie. Wasza grupa składa się z separatystów należących do bardziej ekstremistycznych frakcji.

Zastanowiłem się.

– W porządku... najpierw musiałbym wiedzieć, że większość tego, czego potrzebuję, by stworzyć konwencjonalną broń biologiczną, znajduje się na liście środków pod szczególnym nadzorem. Nie mógłbym tak po prostu pójść do osiedlowego sklepiku i kupić fiołki wąglika. Musiałbym kupować materiały w niewielkich ilościach przez wielu różnych pośredników, żeby nie wywołać alarmu. To zajmuje dużo czasu i jest drogie. Dyskrecję

trzeba sobie kupić. Kupowałbym część towaru w jednym kraju, część w innym, w rozproszeniu. Kupowałbym rzeczy używane, jeśli to możliwe, albo w kawałkach, i składał je na miejscu, szczególnie jeśli chodzi o sprzęt. Zamawiałbym je do różnych portów, miejsc, w których nadzór nie jest tak czujny, a później przepuszczałbym je przez fikcyjne firmy, które przesyłałyby je dalej. To wymagałoby czasu i pieniędzy.

Uśmiechnęła się.

– Proszę kontynuować.

– Potrzebowalbym laboratorium, poligonów doświadczalnych, zakładów wytwórczych... najlepiej gdzieś, gdzie mógłbym się okopać. Tego rodzaju towaru nie da się wziąć na plecy i przenieść, więc nie chciałbym pracować w pośpiechu. Kiedy już bym się wyposażył i poświęcił konieczny czas na wyprodukowanie broni, musiałbym się zająć kwestią wydostania broni z laboratorium i dostarczenia jej do celu. A jeśli rozmawiamy tu o zaawansowanych technologiach medycznych w rodzaju epidemii i nowych gatunków pasożytów, jak to gównu, z którym mamy tu do czynienia, robi się jeszcze trudniej, bo potrzebujemy dostępu do superkomputerów, ultrasterylne laboratorium i mnóstwa sprzętu medycznego.

– Doskonale – powiedziała Courtland. – Pan Church pewnie dałby panu ciasteczko za to wnioskowanie. MindReader złapał ślad sprzętu do badań biologicznych kupowanego, jak to pan określił, w kawałkach. Jak sam pan rozumie, bardzo ostrożnie i w niewielkich ilościach, by nie wywołać zainteresowania, jednakże alarmy i tak się rozdzwoniły. Minęło trochę czasu, nim cokolwiek zauważono, bo nie tego się spodziewaliśmy, a bez MindReadera w ogóle nic byśmy nie dostrzegli. Te materiały były zamawiane przez firmy w krajach, które cierpiały z powodu chorób zbóż, bydła albo innych katastrof naturalnych. Każdy, kto nie jest przesadnie podejrzliwy, uznałby, że miejscowi rozpaczliwie próbują znaleźć lekarstwo na choroby, które wywołały klęskę głodu w ich ojczyźnie.

– Jak choroba szalonych krów – podsunąłem.

– Świetnie. Pomijając Indie i kilka innych krajów, produkcja wołowiny odgrywa dużą rolę w światowej gospodarce, a ta choroba doprowadziła do zarżnięcia milionów sztuk bydła i strat liczonych w miliardach funtów. Nikogo by nie zdziwiło, że takie kraje zrobiłyby wszystko, by znaleźć lekarstwo.

– Wydaje mi się, że powinniście jak najszybciej zaatakować tamtą przetwórnę. – Na chwilę odwróciła wzrok. – Jeśli WDN miało jednostkę bojową, już dawno powinno ją tam wysłać. Wciąż nie chce mi pani odpowiedzieć, pani major, co się stało z resztą pani oddziału.

– Zginęli, panie Ledger.

To był głos Churcha i niech mnie diabli, jeśli słyszałem jego nadejście. Niewielu ludzi umiałoby się do mnie podkraść. Odwróciłem się i zobaczyłem Churcha stojącego z ponurą miną w drzwiach. Wszedł do środka i oparł się o ścianę przy oknie.

– W jaki sposób?

Courtland spojrzała na Churcha, ale on patrzył na mnie.

– Javad – powiedział.

– Zabiłem Javada...

– Owszem, dwa razy, ale za pierwszym razem, kiedy się pan z nim spotkał, on wciąż żył, formalnie rzecz biorąc. Owszem, był zakażony, z pewnością umierał... ale wciąż był żywy. Zawieziono go do szpitala na sekcję.

– No i?

– Obudził się w drodze do kostnicy.

– Boże...

– Ugryzienie sztywnego zakaża w stu procentach... – powiedziała Courtland.

- Tak oboje mówiliście.
- Jeśli ktoś zostanie śmiertelnie ugryziony, to wkrótce po śmierci klinicznej choroba ponownie aktywuje centralny układ nerwowy i do pewnego stopnia niektóre funkcje narządów, a ofiara powstaje jako nowy nosiciel. Nawet najmniejsze ugryzienie prowadzi do zakażenia, które zabija w ciągu około siedemdziesięciu godzin, co w najlepszym przypadku daje nam trzy dni, by zlokalizować ofiary i je powstrzymać.
- Niezbyt podoba mi się słowo „powstrzymać” – powiedziałem.
- Jeśli do tego dojdzie, nikomu nie będzie się podobać – stwierdził Church.
- U ofiar ugryzienia szybko zaczyna się rozpad funkcji kognitywnych – dodała Courtland – i jeszcze przed śmiercią kliniczną pojawiają się objawy dysocjacji, urojenia, i niepomamowana agresja. Zarówno w fazie przedśmiertnej jak i po wskrzeszeniu zachowaniem nosicieli kieruje przymus kanibalizmu.
- Te wszystkie informacje zdobyliśmy po fakcie – powiedział Church.
- Popatrzyłem na nich.
- Co się, do diabła, wydarzyło?
- Twarz Churcha była jak z lodu.
- Z początku nie wiedzieliśmy, czym jest Javad. Jak mogliśmy? Proces uczenia się był dla nas bardzo... niezręczny.
- Co to ma znaczyć?
- Czytał pan o pożarze w szpitalu St. Michael's? Tamtej nocy po nalocie oddziału specjalnego?
- Siedziałem bez ruchu, nie chciałem tego usłyszeć. Grace odwróciła wzrok, ale Church wpatrywał się we mnie z przerażającym naciskiem.
- Javad obudził się głodny, panie Ledger. W drodze do kostnicy ciała towarzyszyli jedynie dwaj agenci WDN. Wkrótce po przybyciu straciliśmy z nimi kontakt. Wraz z major Courtland przebywałem wtedy w szpitalu, ale prowadziliśmy przesłuchanie w innym skrzydle. Kiedy przyszło ostrzeżenie, wezwaliśmy wszystkie dostępne jednostki, ale nim dotarły na miejsce, zakażenie rozprzestrzeniło się na całe skrzydło szpitala. Oddział Alfa major Courtland patrolował okolice, a Bravo i Charlie wkroczyły do szpitala i próbowały zapanować nad sytuacją.
- Sądziliśmy, że to inni terroryści próbowali odzyskać ciała swoich zabitych towarzyszy-powiedziała Courtland. – Ale to był tylko Javad. Nim oddziały znalazły się w środku, zakażenie wyrwało się spod wszelkiej kontroli. Javad dotarł aż do przedsionka i atakował ludzi w poczekalni. Panu Churchowi udało się go poskromić... i zanim pan zapyta, nie, nie wiedzieliśmy wtedy, czym był. Był podejrzanym o terroryzm, choć uważaliśmy go za zabitego. Zapanował chaos, bo wydawało się, że napastnikami byli pacjenci, lekarze, pielęgniarki. Nasi ludzie... zawahali się.
- I zostali zmiażdżeni.
- Ilu z nich straciliście?
- Wszystkich – odparł Church. – Dwa oddziały, dwadzieścioro dwoje mężczyzn i kobiet. Do tego dwóch agentów, którzy byli w karetce. Jedni z najlepszych i najbardziej kompetentnych agentów na całym świecie. Rozerwani na kawałki przez staruszki, dzieci, zwykłych cywili... a w końcu siebie nawzajem.
- Co... co pan zrobił?
- Czytał pan gazety. Sytuację należało opanować.
- Poderwałem się na równe nogi.
- Jezu Chryste! Chce mi pan powiedzieć, że świadomie spalił pan cały szpital? Chory skurwysyn.
- Nie odwracając się, powiedział:

– Wcześniej, kiedy powiedziałem panu, że jeśli ta zaraza wydostanie się na świat, nie da się jej powstrzymać, nie przesadzałem. Wszyscy zginą, panie Ledger. Wszyscy. Mówimy tu o prawdziwej apokalipsie. Wliczając Javada, naszego pacjenta zero, zginęło stu osiemdziesięciu ośmiu cywili i dwudziestu czterech agentów WDN. Dwieście dziesięć zgonów spowodowanych przez jednego nosiciela. Moi przyjaciele nie żyją. Ludzie, których znałem i którym ufałem... a to wszystko z powodu jednego źródła zakażenia, które w dodatku było ograniczone, przynajmniej w pewnym stopniu. Mieliśmy szczęście, bo atak zaczął się w budynku, który miał zbrojone szyby w oknach i pancerne drzwi, które mogliśmy zamknąć. I w pewnym niewielkim stopniu zachowaliśmy czujność, choć nie byliśmy przygotowani na coś takiego. Gdyby agenci nie towarzyszyli jego ciału w drodze do szpitala... Cóż, wątpię, byśmy tu teraz rozmawiali. Podobnie, gdyby komórce udało się przeprowadzić swój plan. Gdyby Javad został wypuszczony, powiedzmy, na Times Square w Sylwestra, w południowym LA w sobotnie popołudnie albo na uroczystości ponownego poświęcenia Dzwonu Wolności w najbliższy weekend w Filadelfii, nie udałoby nam się tego opanować. Nigdy. Teraz mamy względną pewność, że istnieją inne komórki, a każda z nich najprawdopodobniej ma jednego lub więcej sztywnych. Wiemy, gdzie jest jeden z nich, i starannie obserwujemy to miejsce. Jeśli są też inni, musimy ich odnaleźć i zneutralizować. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by zlokalizować i zniszczyć innych nosicieli. Jeśli tego nie zrobimy, zawieziemy całą ludzkość. Już być może jest za późno. – Odwrócił się do mnie, a na jego twarzy malował się straszliwy, zacięty smutek. – Aby to powstrzymać... spaliłbym choćby niebo.

Stałem osłupiały i oszołomiony.

– Dlaczego wciągnęliście mnie w to gówno?

– Sprowadziłem pana tutaj, ponieważ ma pan cechy, których potrzebuję. Jest pan doświadczonym śledczym rozumiejącym politykę. Posługuje się pan kilkoma użytecznymi językami. Szkolił się pan w sztukach walki. Kiedy to konieczne, jest pan twardy i bezbłędny. Zademonstrował pan, że nie waha się w chwili kryzysu. Wahanie zabiło inne nasze oddziały. Jest pan tutaj, bo może mi się pan przydać. Chcę, żeby dowodził pan moim nowym oddziałem, bo moi obecni agenci giną, a ja muszę to powstrzymać!

– Ale dlaczego teraz? Dlaczego nie powiedział mi pan tamtego dnia, kiedy byłem na przesłuchaniu?

– Sprawy mają się coraz gorzej – powiedziała Courtland. – Tamtego dnia sądziliśmy, że panujemy nad sytuacją, że mamy przewagę. Myliliśmy się. Zaprogramowaliśmy MindReadera na przeszukiwanie wszystkich dostępnych baz danych w poszukiwaniu czegokolwiek, co dałoby się powiązać. Jedną z tych rzeczy, które zaprogramowaliśmy, było wyszukiwanie ataków wiążących się z pogryzieniem.

– O cholera...

– Jak na razie zanotowano trzy przypadki – powiedział Church. – Wszystkie odosobnione, wszystkie na Bliskim Wschodzie. Dwa w bardzo odległych zakątkach Afganistanu, a jeden w północnym Iraku.

– Powiedział pan „odosobnione”... – zacząłem mówić.

– Wszystkie trzy wyglądały identycznie: małe wioski w odległych zakątkach, naturalnie odizolowane... w dwóch przypadkach góry, w jednej rzeka i urwisko. Każda wioska została całkowicie zmieciona z powierzchni ziemi. Zginęli wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Na każdym ciele były ślady pogryzienia przez ludzi.

– I co, wieśniacy są teraz sztywnymi?

– Nie – odparła Courtland. – Każdy z mieszkańców każdej z wiosek został wielokrotnie postrzelony w głowę. Innych ciał nie znaleziono.

– Co pan o tym sądzi? – spytał Church.

– Mój Boże – sapnąłem. – Odosobnienie, późniejsze sprzątanie... Wygląda na to, że ktoś wyprowadził sztywnych na jazdę próbną.

– Do ostatniego przypadku doszło przed pięcioma dniami – powiedziała Courtland.

– Dobra – szepnąłem. – Dobra.

– Tym razem zostawili wizytówkę – powiedział Church – nagranie z rzezi i wiadomość od zakapturzonego mężczyzny. Rozpoznawanie głosu nadal trwa, ale domyślam się, że to El Mudżahid albo jeden z jego poruczników.

– Atak nastąpił w Bitar, niewielkiej wiosce w górach północnego Afganistanu – dodała cicho Courtland. – Władze wojskowe zostały ostrzeżone o ataku, ale przybyły na miejsce kilka godzin po jego zakończeniu. Znaleźli taśmę, którą pozostawiono dla nich przy jednym z trupów. Zapora je przechwyciła i powstrzymała jego upublicznienie. Mamy szczęście, że nie trafiło na YouTube.

– Jeśli pan w to wchodzi – powiedział Church – to chciałbym, żeby jak najszybciej przeniknął pan z oddziałem Echo do przetwórnicy krabów w Crisfield. Znajdzie się pan wraz oddziałem w straszliwym niebezpieczeństwie. Nie będę pana przepraszał... sprowadziłem pana tutaj, bo potrzebuję broni. Czegoś, co mogę rzucić przeciwko ludziom, którzy użyliby Javada i jemu podobnych przeciwko Ameryce.

Przerwał na chwilę.

– Jedyni ludzie, którzy kiedykolwiek stawili czoło sztywnemu i przeżyli, są w tym pomieszczeniu. Jeśli więc mogę pana spytać, panie Ledger – powiedział cicho – wchodzi pan w to czy nie?

Chciałem go zabić. I Courtland też. Czuję, że wargi wyginają mi się w drapieżnym grymasie. Zwalczyłem ścisnięcie w gardle.

– Wchodzę – wysyczałem.

Church zamknął oczy i westchnął. Przez chwilę stał ze spuszczoną głową. Kiedy otworzył oczy, wydawał się dziesięć lat starszy, ale o wiele bardziej niebezpieczny.

– W takim razie zabierajmy się do roboty.

Rozdział trzydziesty drugi

Szpital polowy armii brytyjskiej w bazie Camp Bastion, prowincja Helmand, Afganistan, pięć dni wcześniej

Ze wszystkich brytyjskich jednostek w Iraku 16 Brygada Powietrznodesantowa odnosiła największe straty. Jej skład stale się zmieniał, świeże bataliony zastępowały jednostki, które straciły zbyt wielu żołnierzy lub spędziły zbyt wiele dni w palącym irackim słońcu podnoszącym temperaturę do prawie pięćdziesięciu stopni. Ranni żołnierze – Brytyjczycy, Amerykanie i inni sojusznicy – przybywali ze zniechęcającą regularnością. Proces selekcji rannych przypominał pracę przy taśmie montażowej. Zabrać ich do środka, ustabilizować stan najciężej rannych, sprawdzić tożsamość, najcięższe przypadki przetransportować drogą lotniczą na okręty szpitalne w Zatoce. Mniej poważnie ranni byli transportowani śmigłowcami lub opancerzonymi ambulansami do szpitali w bazach rozrzuconych po całym kraju, gdzie pozostawali na wypadek, gdyby mieli zostać z powrotem wcieleni do swoich jednostek. Wielka Brytania po roku 2007 znacznie zmniejszyła swoją obecność w Iraku i politycznie bardziej się opłacało trzymać w tym kraju doświadczonych żołnierzy, zamiast wciąż przysyłać świeżych.

Najpoważniejsze przypadki w końcu transportowano do ojczyzny, do Royal Centre for Defence Medicine w szpitalu Selly Oak w Birmingham. Zbyt wielu z nich w końcu trafiało pod opiekę organizacji charytatywnej British Limbless Ex-Servicemen's Association, która starała się – choć czasami bezskutecznie – załatwić im rentę i pomoc w rehabilitacji, kiedy okaleczeni próbowali wrócić do nowej wersji cywilnego życia.

Kapitan Gwyneth Dunne musiała sobie z tym radzić każdego dnia. Kierowanie brytyjskim szpitalem polowym w Camp Bastion przypominało pracę na ostrym dyżurze w jednym z zewnętrznych kręgów Piekła, a przynajmniej tak opisywała to mężowi, który stacjonował w Tikricie z 1. pułkiem piechoty Royal Anglian. Była wyspecjalizowaną pielęgniarką pediatriczną, ale czarodzieje na górze uznali, że to kwalifikowało ją do selekcji rannych żołnierzy. Każdy dzień był jednym wielkim pierdolnikiem.

Siedziała przy biurku w baraku z blachy falistej, dwa wiatraki u sufitu jedynie mieszały gorące, zatęchłe powietrze. Przeglądała wydruki komputerowe na temat trzech żołnierzy rannych w zasadzce pod Nadżafem. Porucznik Nigel Griffith, lat dwadzieścia trzy; sierżant Gareth Henderson, lat trzydzieści; i kapral Ian Potts, lat dwadzieścia. Nie знаła żadnego z nich i pewnie nigdy nie pozna.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł doktor Roger Colson, starszy chirurg.

– I jak wygląda rachunek od rzeźnika, Rog? – spytała Dunne, gestem wskazując mu krzesło.

Opadł na nie z westchnieniem, przetarł oczy i popatrzył na nią ponuro.

– Niezbyt obiecująco. Oficer, Griffith, ma ranę klatki piersiowej i wymaga zabiegu bardziej skomplikowanego niż cokolwiek, co robimy tutaj. Dobre wieści są takie, że na HMS *Hecla* jest całkiem niezły szwedzki torakochirurg. Przygotowuję go do transportu.

– Ma jakąś szansę?

Doktor Colson uniósł rękę i pomachał nią do przodu i do tyłu.

– Szrapnel w ścianie klatki piersiowej. Udało nam się uratować lewe płuco, ale ma kilka odłamków w pobliżu serca. Usunięcie ich będzie wymagać dużej zręczności.

– A pozostali?

Colson wzruszył ramionami.

– Obaj powinni polecieć z Griffithem. Kapral Potts pewnie straci lewą nogę poniżej kolana. Rękę może też. Nie mamy tu mikrochirurga, na statku też go nie mają, więc nawet jeśli biedny sukinsyn zachowa dłoń, i tak pewnie straci w niej władzę.

Znów przetaił oczy, czerwone i zapuchnięte po zbyt wielu godzinach gapienia się na rany, którymi i tak nie mógł się właściwie zająć, bo brakowało mu personelu i środków.

– Najlepiej wyszedł z tego sierżant Henderson. Bardzo paskudna rana twarzy. Będzie oszpecony, ale nie stracił oczu, więc nie wyszedł na tym najgorzej.

– Nie miałam okazji poznać Hendersona. Jest nowy, został przeniesiony z pułku z Suffolk.

– Aha – mruknął obojętnie Colson. – Powinien zostać w Suffolk i hodować owce.

– Chcesz, żeby został stąd zabrany? – spytała Dunne.

– Tak sądzę. Taka rana będzie się długo goić, a wydaje się, że kiedyś był przystojnym gościem. Tego rodzaju obrażenia mają traumatyczny wpływ na psychikę.

Dunne spojrzała na leżące na biurku trzy wydruki. Podniosła ten dotyczący Hendersona i wpatrzyła się w twarz trzydziestoletniego sierżanta z rolniczego hrabstwa.

– Był przystojny.

Pokręciła głową i pokazała kartkę lekarzowi.

– Cóż – westchnął smutno Colson – już tak nie wygląda. Szkoda biedaka.

Rozdział trzydziesty trzeci

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 15:12

Kiedy Church i Courtland prowadzili mnie korytarzami, powiedziałem:

– Pozwolę sobie zaryzykować i założę, że wiecie, że nie ma szans, żeby te priony były po prostu najnowszą bronią grupy religijnych fundamentalistów.

– Bez jaj – powiedział Church.

Magazyn był bardzo duży, wewnątrz znajdowały się liczne gabinety, wszelkiego rodzaju pomieszczenia robocze i kilka dużych przestrzeni magazynowych. Dziesiątki robotników w kombinezonach przenosiły skrzynie, rozwijały przewody i machały młotkami.

Korytarze patrolowali strażnicy, a każdy co do jednego wyglądał, jakby chirurgicznie usunięto mu poczucie humoru. Mało kto się tu uśmiechał, a ja dobrze wiedziałem dlaczego. Zastanawiałem się, jak wielu ludzi w tych korytarzach straciło przyjaciół w St. Michael's.

– Czyli tak naprawdę nie zaatakowaliście jeszcze przetwórci krabów z powodu tego, co wydarzyło się w St. Michael's – powiedziałem. – Sądźcie, że skoro najlepsi z najlepszych z WDN się zawahali, to wszyscy inni to zrobią. Nawet jednostki specjalne.

– Byłby z pana cholernie dobry terrorysta – powiedziała Grace z uśmiechem aprobaty.

– Mam nadzieję, że będzie z niego doskonały terrorysta – poprawił Church i przeszedł przez drzwi.

Grace Courtland mrugnęła, podążając za nim. Zastanawiałem się, dlaczego tego zadania nie zaproponowano jej oddziałowi. Może wciąż byli zbyt zaszokowani i wstrząśnięci po tym, co stało się z ich kumplami w St. Michael's.

Bardziej prawdopodobne, że byli zbyt cenni, by wysłać ich w misję, która mogła bardzo łatwo okazać się samobójczą lub być pułapką. Ani przez chwilę nie sądziłem, by Church spodziewał się, że o tym nie pomyślę, ale dzięki temu choć częściowo zrozumiałem, do czego był zmuszony Church i na ile współczucia mógł sobie pozwolić. A między nimi ziała wielka przepaść, pewnie z każdą chwilą coraz większa.

Rozdział trzydziesty czwarty

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 15:16

Wyszliśmy na główną przestrzeń magazynową, wystarczająco dużą, by mogła służyć jako hangar.

W głębi widziałem samochody, głównie cywilne, a między nimi kilka wojskowych hummerów i parę ciężarówek. Przy jednej ścianie stały dwie wielkie szafy, jedna z oznaczeniem SPRZĘT a druga BRONŃ. Przed szafą z bronią stał żołnierz z M-16, palec trzymał wyprostowany na kabłąku. Jeden z kątów pomieszczenia zmieniono w prowizoryczną salę treningową, kilkadziesiąt metrów kwadratowych wyłożono niebieskimi matami.

W pobliżu ustawiono składane krzeselka. W pierwszym rzędzie siedzieli inni kandydaci, z którymi się pobiliem – z wyjątkiem błazna, którego walnąłem w gardło. Czulem na sobie ich wzrok, dwaj ostrożnie skinęli mi głowami – Sierżant Rock i Hulk. Ten ostatni przykładał łód do twarzy.

Naprzeciwko nich stał drugi rząd krzesel, a na nim tuzin twardych z wyglądu mężczyzn i kobiet w spodniach od munduru polowego i czarnych koszulkach. Nie mieli żadnych naszywek ani insygniów, które wskazywałyby na stopień albo oddział, ale co najmniej połowa miała takie czy inne wojskowe tatuaże.

Church wszedł na matę i zmierzył każdą z grup długim spojrzeniem. Nawet w tej ogromnej sali robił wrażenie. Wszelkie rozmowy natychmiast ucichły i wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę. Rzadko spotykało się tak władczą osobowość, a on, choć z pewnością był świadom wpływu, jaki wywierał na wszystkich zgromadzonych, nie wydawał się tym w najmniejszym stopniu podekscytowany. Dla niego była to normalność albo, co bardziej prawdopodobne, narzędzie.

Stałem razem z Grace na krańcu sali treningowej, ona z boku z dwunastką – jej oddział, jak założyłem – a ja bliżej czterech mężczyzn, którymi miałem dowodzić.

– Czasu jest mało – zaczął mówić Church – więc przejdźmy do rzeczy. Po tym, jak straciliśmy oddziały Bravo i Charlie w szpitalu, brakuje nam ludzi. Przez następne trzy miesiące zwerbujemy i wyszkolimy co najmniej tuzin nowych oddziałów, ale w chwili obecnej nic nam to nie da.

Przerwał i spojrzał na oddział Grace.

– Oddział Echo musi powstać jak najszybciej, wyszkolić się i stanąć w gotowości bojowej. Spodziewam się, że wszyscy członkowie oddziału Alfa będą pomagać na wszelkie możliwe sposoby.

Na twarzach byczków z Alfy zaczęły się pojawiać uśmiechy, ale Church powiedział:

– Musicie mnie zrozumieć. Jeśli ktokolwiek, niezależnie od stopnia i specjalności, zrobi cokolwiek, co zaszkodzi procesowi szkolenia, czy to będzie niewinny żarcik, czy jakaś głupia próba kocenia, potraktuję to jako osobistą obelgę. Zapewniam was, lepiej by dla was było, gdybyście obudzili się w pokoju pełnym sztywnych.

Na te słowa uśmiechy zniknęły. Wszyscy wiedzieliśmy, że mówi poważnie, a ja

zaczynałem rozumieć, że jest zupełnym świrem.

Ale jest naszym świrem.

Odwrócił się do oddziału Echo.

– Podpułkownik Hanley postanowił spędzić resztę dnia na oddziale intensywnej terapii. Najwyraźniej krtań przeszkadzała mu we właściwej ocenie sytuacji. Wielka szkoda. – I robił przy tym wrażenie szczerze zasmuconego. – Kapitan Ledger jest od tej chwili waszym dowódcą.

Wszyscy będziecie mu pomagać. – Nie dodał tandetnego „albo”, ale wszyscy i tak to usłyszeli.

Zaczekał na pytania, choć może lepiej pasowałoby „rzucił wyzwanie”, po czym przywołał mnie do siebie. Kiedy znalazłem się na tyle blisko, by móc odezwać się przyciszonym głosem, spytałem:

– Kapitan Ledger? W wojsku byłem zaledwie sierżantem.

– Jeśli „kapitan” panu nie pasuje, możemy omówić to później.

– Jaki mam zakres obowiązków? Czy to ma być sesja walki wręcz? Ma pan jakiś program nauczania, którym mam się kierować?

– Nie, ale krótko mówiąc, musi pan poznać ich możliwości i słabości, żeby wiedzieć, komu może pan zaufać i w jakiej chwili.

– Na oczach Oddziału Alfa?

– Tak.

Pokręciłem głową.

– Nie ma mowy. Jeśli moi ludzie mają wejść do przetwórnicy bez wsparcia, to ćwiczą też sami. Okażcie im trochę szacunku.

Byłem świadom, że powiedziałem „moi ludzie”, Church również to zauważył. Uśmiechnął się.

– W porządku. – Uniósł rękę do Grace. – Kapitan Ledger będzie korzystał z sali gimnastycznej. Zabierz swój oddział na strzelnicę.

Zawahała się, po czym kiwnęła głową, zawołała swój oddział i odprowadziła ich.

Church podszedł do krzesła, na którym leżała sterta grubych teczek. Podał mi cztery z góry.

– To akta pańskiego oddziału. To ludzie, którzy mieli najwyższe kwalifikacje i którzy zdążyli dotrzeć, żeby się z panem spotkać. Kilku innych jest w drodze, ale spodziewamy się ich najwcześniej za trzydzieści godzin. Te inne tečky to propozycja. Sprowadzę ich tu wszystkich, a jeśli będzie miał pan chwilę czasu, chciałbym, żeby ocenił pan kandydatów i dokonał wyboru.

– Z kim mam uzgodnić swój wybór?

Pokręcił głową.

– W WDN nie ma biurokracji, kapitanie. Pański oddział, pański wybór.

Chryste, pomyślałem. Żadnego nacisku.

– Niech pan posłucha, Church – powiedziałem – skoro już wyrwał mnie pan z mojego życia i wpakował w tę robotę i skoro najwyraźniej chce mi pan dać dużą swobodę działania i władzę, to mam nadzieję, że rzeczywiście dotrzyma pan słowa, kiedy będę chciał działać na swój sposób.

– To znaczy?

– To znaczy, że jest sposób działania policji, sposób działania agentów federalnych, sposób działania wojskowych... i mój. Jeśli chce pan, żebym dawał z siebie wszystko, musi pan zaakceptować fakt, że tworzę własne zasady. Nie znam zbyt dobrze pańskiej taktyki i, jeśli mam być szczerzy, nie podoba mi się pański sposób działania. Jeśli nie jestem już gliną, to stałem się kimś innym, kimś nowym. W porządku, ale od tej pory to ja decyduję, kim

jestem, a to oznacza również tworzenie, kształtowanie i dowodzenie moim własnym oddziałem. Mój oddział, moje zasady.

Staliśmy tak jak dwa goryle górskie patrzące na siebie z ukosa, by ocenić, czy to czas na bójkę, czy na wspólne polowanie. Uśmiechnął się.

– Jeśli chce się pan pokłócić, kapitanie, to marnuje pan słowa i marnuje czas na szkolenie.

– Mam panu zaszalutować? – spytałem, powstrzymując uśmiech.

– Wolałbym nie.

– A co z moją pracą? Jutro miałem zgłosić się z powrotem do pracy i muszę dać znać komuś na posterunku. A mój...

Przerwał mi.

– Jeśli czas pozwoli, usiądziemy we dwóch i omówimy wszystkie konieczne szczegóły. Wyślę nawet kogoś, żeby karmił pańskiego kota. Wszystko to na razie nie ma nic do rzeczy. W tej chwili musi się pan wziąć do roboty i zostać dowódcą oddziału.

– Chcę się widzieć z Rudym.

– Najpierw porozmawiam z doktorem Sanchezem. Później może się pan z nim spotkać.

– Może mi pan powiedzieć choć jedno?

– Byle szybko.

– Kim pan, do diabła, jest? – Kiedy nie odpowiedział, dodałem: – Powie mi pan chociaż, jak ma pan na imię?

– Dla pana jestem „Panem”. – Tego gościa nie dało się zaskoczyć. – Niech się pan dobrze bawi, poznając swoich ludzi, kapitanie Ledger – powiedział. – Z pewnością nie mogą się doczekać, by pana lepiej poznać.

I z tymi słowami wyszedł.

– Skurwysyn – mruknąłem i odwróciłem się do swojego oddziału.

Rozdział trzydziesty piąty

HMS Hecla, okręt szpitalny Królewskiej Marynarki Wojennejcztery dni wcześniej

Śmigłowiec ewakuacji medycznej podjął rannych brytyjskich żołnierzy ze szpitala polowego w Bastionie, przez pakistańską przestrzeń powietrzną dotarł do Zatoki Omańskiej i wylądował na lądowisku na rufie okrętu szpitalnego HMS *Hecla*. Godzinę później okręt wypłynął z Zatoki na Morze Arabskie, skierował się na zachód w stronę Zatoki Adeńskiej, a później na północny zachód, na Morze Czerwone.

W ciągu czterdziestu minut od przeniesienia rannych ze śmigłowca na pokład *Hecli* porucznik Nigel Griffith znalazł się na sali operacyjnej. Przeżył operację, ale później nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Personel oddziału intensywnej terapii przywrócił go do życia raz, później drugi, ale serce Griffitha w końcu się poddało.

Kapral Ian Potts został opatrzony i zapewniono mu wszelkie wygody, ale lekarze już planowali amputację dłoni i nogi.

Trzeci mężczyzna ranny w zasadzce, sierżant Gareth Henderson, wedle dokumentów zmarł z powodu urazu głowy. Świadcami jego śmierci byli pielęgniarka Rachel Anders i doktor Michael O'Malley, oboje z Czerwonego Krzyża. Kończyli właśnie trwającą sześć miesięcy służbę ochotniczą i spodziewali się wkrótce opuścić *Heclę*, by dołączyć do międzynarodowego zespołu prowadzącego badania nad chorobami zakaźnymi, którego siedziba mieściła się w rejonie Wielkiego Jeziora Gorzkiego w Egipcie. Ciało Hendersona zostało zapakowane do worka na zwłoki i przeniesione do chłodni w ładowni okrętu, gdzie znajdowało się już czterdzieści jeden innych trupów z Iraku i Afganistanu.

O 2.55 w nocy na rufie *Hecli* wylądował drugi śmigłowiec. Na jego pokład trafili siostra Anders i doktor O'Malley, a wraz z nimi cztery wielkie metalowe pojemniki na kółkach. Leki i zaopatrzenie medyczne dla zespołu badawczego. Śmigłowiec wzbił się w powietrze i poleciał na wschód, w stronę jeziora. Kiedy wylądował, Anders, O'Malley i pozostała dwójka zostali ciepło przywitani przez badaczy. Nie znali się wcześniej, ale wszyscy cieszyli się, że ich zespół zostanie wzmocniony.

O'Malley osobiście nadzorował rozładowywanie metalowych skrzyń, a Anders kręciła się przed namiotem i paliła papierosa, jakby chciała się rozluźnić po męczącej podróży. Podeszło do niej dwóch mężczyzn – wysoki, jasnowłosy, w lekkim białym garniturze, i nieco niższy, ciemnowłosy, w brązowych spodniach i koszulce polo. Wysoki mężczyzna pochylił się i ucałował ją w oba policzki.

- Miło cię widzieć, Rachel. Mam nadzieję, że lot przebiegł spokojnie.
- Wszystko poszło dobrze – odparła.
- Świetnie.

Mężczyzna mrugnął do niej i przez klapę namiotu wślizgnął się do środka. Niższy z mężczyzn przez chwilę rozglądał się po okolicy, po czym podążył za towarzyszem. Wewnątrz lekarz gwałtownie podniósł głowę znad jednej ze skrzyń, ale niepokój na jego twarzy szybko zastąpiło zadowolenie.

– Wcześniej panowie wstali – powiedział O'Malley, wyprostował się i wyciągnął rękę.
– Kto rano wstaje i tak dalej – odparł wysoki mężczyzna. Skinął głową na skrzynię, za którą stał lekarz. – Wciąż jest tam wciśnięty?

– Właśnie miałem ją otworzyć.

– Och, wprost nie mogę się doczekać – mruknął chrapliwie niższy mężczyzna.

Lekarz otworzył zamki i uniół pokrywę, po czym rozsunął boki, ukazując zawartość pojemnika.

W środku leżał potężny mężczyzna, zwinięty w pozycji embrionalnej, a jego głowę spowijały białe bandaże. Zwrócił twarz w stronę nowo przybyłego i otworzył zaczerwienione ze zmęczenia oczy.

– Sebastian – szepnął.

Gault uśmiechnął się do niego i wyciągnął ręce. Wraz z doktorem O'Malleyem pomógł El Mudżahidowi wstać. Zabawka trzymał się z tyłu, na twarzy miał uśmiech, który nie sięgał jego zimnych zielonych oczu. Wojownik stanął nieco niepewnie na nogach, a jego bandaże przesiąkły krwią, ale mimo wszystko wciąż emanował wielką zwierzęcą siłą. Pomogli mu usiąść, a O'Malley zabrał się do zdejmowania zakrwawionego opatrunku. Rana była paskudna i oszpecająca. Gault uznał, że Wojownik być może nieco przesadził z dokładnością, ponieważ jego warga wykrzywiła się w paskudnym grymasie, co oznaczało uszkodzenie nerwów i mięśni. Potrzebowali jedynie rany zniekształcającej rysy twarzy. Doszedł jednak do wniosku, że fachowcowi nie należy dyktować, jak powinien wykonywać swoją pracę, a pracą El Mudżahida były chaos i rzeź. Posłał spojrzenie Zabawce, który wydawał się nieco zdegustowany, ale Gault nie umiał ocenić, czy uczucie to wywołała paskudna rana, czy też mężczyzna, którego rysy zniekształciła.

Uznał, że pewnie chodzi o obie te kwestie naraz.

O'Malley dał El Mudżahidowi zastrzyk przeciwbólowy, choć ten nie sprawiał wrażenia, że go potrzebuje. Następnie podał mu witaminy, antybiotyk i środek pobudzający. Kiedy założył świeży opatrunek, Gault mu podziękował i zaproponował, żeby poszedł sobie zapalić w towarzystwie siostry Anders. Zabawka wyszedł razem z nim.

Kiedy zostali sami, Gault podciągnął sobie składane krzesło i usiadł, nachylając się w stronę Wojownika.

– Paskudnie się urządziłeś, przyjacielu. Jesteś pewien, że uda ci się wypełnić misję? Ona oznacza dużo podróży. Kolejny śmigłowiec, statek, ciężarówki, i to wszystko w ciągu kilku dni. Dość, by zmęczyć przeciętnego człowieka, ale z tą raną...

Wojownik chrząknął.

– Ból to narzędzie, ośelka, która pozwala naostrzyć zdecydowanie.

Gault nie był pewien, czy to cytat z pisma, ale brzmiał dobrze.

– Urządzenie wyzwalające jest już w Stanach – powiedział Gault – w sejfie w pokoju hotelowym, który dla ciebie zarezerwowaliśmy. Szyfr to data urodzin Amiry.

Gault poczekał na błysk gniewu w oczach El Mudżahida, zauważył go i w duchu pokiwał głową. Tak, pomyślał, on wie o nas. Gault zaczynał to podejrzewać, ale nie rozumiał jeszcze, dlaczego El Mudżahid nie wspominał o tej kwestii.

Głośno powiedział:

– Sugeruję, żebyś zostawił je w sejfie do ostatniej chwili. Lepiej, żeby nie doszło do jakiegось wypadku, prawda?

– Owszem – odparł cicho Wojownik – tak będzie lepiej.

* * *

Zabawka stał tuż za kręgiem światła z ogniska, ukryty w głębokich czarnych cieniach rzucanych przez kępę palm daktylowych. Wpatrywał się w wejście do namiotu, w którym Gault rozmawiał z El Mudżahidem.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, uśmiech błyskawicznie zniknął mu z twarzy, jakby ktoś nacisnął jakiś przełącznik w jego umyśle. Gdy nikt na niego nie patrzył, rysy mu się zmieniały. Stawał się zupełnie inną istotą.

– Amira – mruknął, a imię to wywołało drapieżny grymas na jego twarzy.

Nim jego przyjaciel i pracodawca ją poznał, nim pozwolił sobie zakochać się w tej kobiecie, był doskonały. Błyskotliwy, cudownie bezlitosny, skuteczny i nieustępliwy. Krótko mówiąc – piękny. Teraz Gault robił się niedbały i zbyt pewny siebie. Aż do przesady. Wbrew regularnie powtarzanym ostrzeżeniom podejmował niepotrzebne ryzyko, snuł plany wewnątrz planów, a wszystko to z powodu tej szalonej wiedźmy.

– Amira – powtórzył.

Boże, jak bardzo chciał zobaczyć, jak ona krwawi.

Rozdział trzydziesty szósty

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 15:25

Wszyscy czterej gapili się na mnie. Pół godziny wcześniej byliśmy obcymi, a ja stłukłem ich na kwaśne jabłko. Teraz miałem poprowadzić ich przeciwko nieznannej liczbie wrogów, wśród których najpewniej były również roznoszące zarazę trupy. Jak mogłem zacząć rozmowę z tymi mężczyznami, kiedy to wszystko wisiało w powietrzu?

Dobra, pomyślałem, jeśli masz to zrobić, stary, lepiej, żeby udało ci się za pierwszym razem.

– Baaaacz-ność!

Poderwali się na równe nogi i stanęli na baczność z szybkością i precyzją charakterystyczną dla zawodowych żołnierzy. Podeszedłem bliżej, stanąłem przed nimi i popatrzyłem na nich surowo, lecz spokojnie.

– Nie lubię grozić i nie lubię przemów, więc będę mówił krótko. Jeśli tu jesteście, to wiecie, co się dzieje. Może niektórzy z was wiedzą o tym więcej ode mnie. Nieważne. Podobno jesteście najlepszymi z najlepszych, zawodowymi wojskowymi. Ja aż do tego popołudnia byłem policjantem w Baltimore. Church mówi, że jestem kapitanem, ale nie widziałem żadnych belek na swoim kołnierzu ani paska wypłaty należnej „kapitanowi” Ledgerowi, zatem ta kwestia wciąż pozostaje wątpliwa. Ale od tej pory dowodzę Oddziałem Echo. Jeśli wam się nie podobam albo sądzicie, że nie będziecie mogli ze mną współpracować, możecie teraz odejść bez żadnych konsekwencji. Jeśli nie, pozostaniecie na miejscu. Macie sekundę na podjęcie decyzji.

Zaden nawet nie drgnął.

– W takim razie załatwione. Spocznij. – Szybko zapoznałem ich z przebiegiem swojej kariery w wojsku i policji, a później opowiedziałem o doświadczeniach ze sztukami walki. Podsumowałem słowami: – Nie ćwiczę sztuk walki dla nagród czy zabawy. Jestem wojownikiem i ćwiczę, żeby zwyciężyć w każdej walce, w której biorę udział. Nie wierzę w reguły i nie wierzę w uczciwą walkę. Jeśli chcecie uczciwej walki, zapiszcie się do klubu bokserkiego. Nie wierzę też w śmierć za swój kraj. Mam podejście podobne do generała Pattona: sądzę, że to tamten sukinsyn powinien umrzeć za swój. Macie z tym problem?

– Nie – mruknął Sierżant Rock.

– Może się okazać, że pierwsze zadanie dostaniemy już jutro, więc nie mamy czasu na budowanie męskiej przyjaźni, długie noce przy ognisku, opowiadanie historii i słuchanie harmonijki. Zwerbowali nas, żebyśmy działali w terenie, na pierwszej linii. Spróbujemy przeniknąć po cichu, ale jeśli dostaniemy rozkaz zabijać, to choćbyśmy się bali, będziemy rozbryzgiwać ich mózgi po ścianach. Kiedy załadujemy broń, panowie, lepiej, żeby te nieumarłe skurwysyny zaczęły się nas bać, bo, na Boga, prędzej czy później zetrzemy ich z powierzchni ziemi. Nie zranimy, nie spowolnimy... zabijemy ich wszystkich. Koniec przemówienia.

Podeszedłem do Sierżanta Rocka. Jego ciemnobrązową skórę przecinały blizny, stare i nowe.

- Nazwisko i stopień.
- Starszy sierżant sztabowy Bradley Sims, US Army Rangers, sir.
- Sir. Minie trochę czasu, nim się do tego przyzwyczaję.
- W porządku, Starszy, dlaczego tu jesteś?
- Żeby służyć ojczyźnie.

Miał tę manierę typową dla podoficerów – patrzył prosto w twarz oficera, ale nie nawiązywał prawdziwego kontaktu wzrokowego.

- Nie włącz mi w dupę. Dlaczego tu jesteś?

Teraz wreszcie na mnie spojrział, rzeczywiście spojrział, a w jego ciemnobrązowych oczach płonęły ognie.

- Kilka lat temu zrezygnowałem ze służby czynnej, żeby zająć się szkoleniem w Camp Merrill. Kiedy tam byłem, mój syn Henry zginął w Iraku, trzeciego dnia wojny. Sześć dni przed swoimi dziewiętnastymi urodzinami. – Przerwał. – W ubiegłym roku moja córka Monique straciła w Bagdadzie obie nogi. W Boże Narodzenie, kiedy pod jej bradleyem wybuchła mina. Nie mam już więcej dzieci, które mógłbym rzucić temu potworowi. Muszę oderwać kawałek siebie.

- Dla zemsty?

- Mam siostrzeńca w pierwszej klasie szkoły średniej. Chce się zaciągnąć. To jego wybór, ale może uda mi się nieco zmniejszyć liczbę zagrożeń, którym będzie musiał stawiać czoło.

Pokiwałem głową i przeszedłem do następnego. Blizna.

- Nazwisko i stopień.
- Podporucznik Oliver Brown, siły lądowe.
- Służba?
- Dwie zmiany w Iraku, jedna w Afganistanie.
- Walki?
- Byłem na Przełęczy Dibakah.

Jedna z najważniejszych bitew w czasie drugiej wojny irackiej. Słyszałem, jak w CNN pewien generał określił ją mianem „tworzącej bohaterów”, a jednak w mediach niewiele się o niej słyszało. -Jednostki specjalne?

Przytaknął. Zrobił to we właściwy sposób, jedynie potwierdził moje słowa, nie nadymając się przy tym z dumy. Spodobało mi się.

- Stamtąd masz tę bliznę?
- Nie, sir, to robota mojego tatuśka. Miałem wtedy szesnaście lat.
- Był to jedyny moment, kiedy uciekł wzrokiem.
- Przeszedłem dalej. Joker.
- Dawaj – powiedziałem.
- Starszy bosman Samuel Tyler, marynarka. Przyjaciele mówią mi Kapi, sir.
- Dlaczego?

Przełknął ślinę.

- Przewisko z dzieciństwa, sir.
- Niech zgadnę. Twój ojciec był kapitanem, a ciebie nazywali „Małym Kapitanem”. Zarumienił się. Strzał w dziesiątkę.
- SEAL?
- Nie, sir. Odpadłem podczas Piekielnego Tygodnia.
- Dlaczego?
- Powiedzieli, że jestem za wysoki i za ciężki do SEAL.

- Mieli rację. – Zaraz jednak rzuciłem mu kość. – Ale wątpię, żeby czekało nas dużo pływania. Potrzebuję sukinsynów, którzy walą mocno, walą szybko i walą jako ostatni.

Poradzisz sobie?

– Jak cholera – powiedział, po czym dodał: – Sir.

Popatrzyłem na ostatniego gościa. Hulk. Górował nade mną o kilkanaście centymetrów i musiał ważyć dobrze ponad sto kilo – a wszystko to w piersi i w barach, talię miał szczupłą. Jednak przy całej swojej masie wydawał się raczej szybki niż ciężki. To różniło go od Małpoluda. Jedną stronę twarzy wciąż miał zaczerwienioną i opuchniętą.

– Dawaj.

– Królik Rabbit, zwiad marines, sir.

Spiorunowałem go wzrokiem.

– Myślisz, że to, kurwa, śmieszne?

– Nie, sir. Naprawdę mam na nazwisko Rabbit. Wszyscy mówią mi Królik.

Zawahał się.

– I to jeszcze nie koniec, sir. Na imię mam Harvey.

Pozostali goście próbowali nad sobą zapanować, musiałem im to przyznać – ale w końcu się złamali.

– Synu – odezwał się Starszy Sims – czy twoi rodzice cię nienawidzili?

– Tak, Starszy, tak właśnie sędzę.

I wtedy ja też się poddałem.

Rozdział trzydziesty siódmy

Sebastian Gault, Hotel Ishtar, Bagdad, cztery dni wcześniej

Wiele z planów Gaulta było w trakcie realizacji, a wszystko szło bardzo dobrze. Gault i Zabawka, razem i osobno, byli na miejscu, by nadzorować najbardziej krytyczne etapy, co trudnością nie różniło się od letniego spaceru po ogrodzie. Nikt, kogo znali, nie mógł się tak swobodnie poruszać po Bliskim Wschodzie, a już z pewnością żaden wojskowy. Nawet na ambasadorów nałożono pięć razy więcej ograniczeń niż na niego. On jednak był wyjątkowy. Sebastian Gault był największym dobroczyńcą – biorąc pod uwagę pomoc finansową i materialną – Czerwonego Krzyża, WHO i pół tuzina innych organizacji charytatywnych. W każdą z nich wpompował dziesiątki milionów i mógł powiedzieć, nie obawiając się, że ktokolwiek zaprzeczy, że pomógł złagodzić cierpienia i uratować życie większej liczbie ludzi niż ktokolwiek inny na całej półkuli. Bez wsparcia rządów, bez wojska, bez jawnych motywów politycznych, poprzez Gen2000 i inne swoje firmy, Gault pomógł zwalczyć osiemnaście różnych patogenów, w tym nową odmianę ślepoty rzecznej, zmutowany szczep cholery i dwa szczepy gruźlicy. Jego wypowiedź na Światowym Szczycie Zdrowia w Oslo była najpierw pięknym klipem dźwiękowym, a później stała się swego rodzaju credo niezależnych organizacji działających na rzecz zdrowia na całym świecie: „Ludzkość jest pierwsza. Zawsze. Polityka i religia, choć ważne, zawsze muszą zająć drugie miejsce. Jeśli nie będziemy współpracować, by chronić życie, by je cenić i zapewnić mu bezpieczeństwo, to nic, o co walczymy, nie jest warte, by to posiadać”.

W rzeczywistości najmądrzejsze zdanie, jakie Gault kiedykolwiek usłyszał – a słyszał je z ust własnego ojca – brzmiało: „Każdy ma swoją cenę”. Stary dobry tatko dodał do tego jeszcze dwa osobiste przemyślenia jako kodycyłe. Pierwszy: „Jeśli ktoś ci powie, że nie można go kupić, oznacza to, że nie zaproponowałeś właściwej kwoty”. Drugi: „Jeśli nie umiesz znaleźć czyjejs ceny, znajdź jego słabość... i ją wykorzystaj”.

Sebastian Gault kochał ojca. Cholerna szkoda, że facet palił jak lokomotywa, bo inaczej mógłby wciąż tu być i dzielić miliardy, zamiast leżeć na cmentarzu Bishopsgate. Rak zabrał go w ciągu niecałych szesnastu miesięcy. Dzień przed pogrzebem Gault skończył osiemnaście lat i od razu objął stanowisko właściciela i kierownika sieci. Natychmiast ją sprzedał, skończył studia i zainwestował każdy grosz w akcje firm farmaceutycznych. Podejmował ryzyko, sam był swoim maklerem, a pieniądze zaoszczędzone na prowizjach reinwestował, kupował mądrze i ciągle wyglądał nowych trendów. W przeciwieństwie do innych nie skupiał się na poszukiwaniu złotego runa wśród akcji firm farmaceutycznych – nieuchwytnego cudownego lekarstwa, które rzeczywiście coś wyleczy. Miał tego skupiać się na nowych metodach łagodzenia objawów chorób, które nie mogły zostać do końca wyleczone. Dopiero kiedy zarobił pierwszy miliard, w ogóle zaczął zwracać uwagę na lekarstwa – a i wtedy były to lekarstwa na choroby, które nikogo nie obchodziły, które dręczyły dzikusów w zapadłych dziurach. Gdyby nie serwisy internetowe, mógłby w ogóle nie zwrócić się w tym kierunku, ale miał objawienie. Wielkie. Wylecz coś w trzecim świecie, ponies przy okazji finansową stratę, a później pozwól, by internetowe świry

nazwały cię świętym.

Spróbował i udało mu się. Poszło mu łatwiej, niż się spodziewał. Większość chorób trzeciego świata była łatwa do wyleczenia – istniały głównie dlatego, że żadnej z wielkich firm farmaceutycznych nie obchodziło zagłodzeni mieszkańcy jakiegoś afrykańskiego kraiku, którego nazwa zmienia się co dwa tygodnie. Kiedy pierwsza firma Gaulta, PharmaSolutions, znalazła lekarstwo na bagienną zarazę, rzadką chorobę występującą w Somalii, pożyczył pieniądze, żeby wyprodukować duże ilości lekarstwa i rozprowadzić je przez Światową Organizację Zdrowia. WHO – ludzie pełni dobrych chęci i całkowicie szczerzy, ale łatwi do oszukania, ponieważ tak rozpaczliwie potrzebowali wsparcia – opowiedzieli wszystkim w mediach, jak to ta nieopierzona firma prawie zbankrutowała, żeby wyleczyć straszliwą chorobę. Historia trafiła do internetu we wtorek rano, w środę wieczorem pojawiła się w CNN, a w czwartek donosiły o niej wszystkie agencje prasowe. Do zamknięcia giełdy w piątek kurs akcji Pharma Solutions się podwoił, a przed końcem następnego tygodnia wystrzelił pionowo do góry. Gault, który miał wówczas dwadzieścia dwa lata, pojawił się po raz pierwszy na okładce *Newsweeka*.

W wieku dwudziestu sześciu lat Gault był już multimiliarderem. Całkiem otwarcie pompował miliony w badania i wymyślał kolejne lekarstwa, jedno po drugim. Kiedy stworzył Gen2000, po raz pierwszy na dobre wszedł na światowy rynek farmaceutyczny, ale już wcześniej należały do niego warte miliardy akcje innych firm farmaceutycznych. Fakt, że co najmniej połowa chorób, na które w końcu znalazł lekarstwo, została stworzona w jego laboratorium, nigdy nie dotarł do mediów.

Nie pojawiały się nawet takie pogłoski. Miał na to dość pieniędzy. Jak na razie jego ojciec – pokój jego duszy – miał rację. Każdy miał cenę lub słabość.

Zabawka czytał londyńskiego „Timesa”.

– Hm – mruknął – znów pojawiły się spekulacje, że otrzyma pan tytuł szlachecki, jak również plotki o Nagrodzie Nobla. – Złożył gazetę i popatrzył na Gaulta. – Co by było lepsze?

Gault wzruszył ramionami, niezbyt go to interesowało. Gazety wyciągały to co parę tygodni.

– Nagroda Nobla wywindowałaby ceny akcji.

– Pewnie, ale dzięki tytułowi szlacheckiemu mógłby pan częściej rznąć.

– Dziękuję za troskę, ale rzną wystarczająco często.

Zabawka prychnął.

– Widziałem niektóre z tych krów, które zaciąga pan do łóżka.

Gault sączył drinka.

– A tytuł szlachecki co by zmienił?

– Cóż – powiedział z namysłem Zabawka – „Sir Sebastian” zainteresowałby przynajmniej jakieś dobrze urodzone dupy. Jak na razie wydaje się, że dobiera pan sobie towarzyszek zabaw pod kątem rozmiaru miseczki.

– Lepiej niż te na wpół zagłodzone istoty, które ty uważasz za tak podniecające.

– Nie można być zbyt chudym ani zbyt bogatym – zacytował Zabawka.

Przerwał im ćwierkanie komórki Zabawki. Asystent spojrzał na nią i podał ją swojemu pracodawcy.

– Jankes.

Gault otworzył klapkę i usłyszał znajomy głos mówiący z teksaskim akcentem.

– Linia?

– Czysta. Dobrze pana słyszeć.

Zabawka jak zwykle nachylił się bliżej i podsłuchiwał.

– No tak, tutaj granat wpadł do szamba i wszyscy potykamy się o własne nogi. Przez

ostatnie parę dni ciągle siedzę na spotkaniach. Jest kwestia tej taśmy z Afganistanu. Atak na wioskę. Słucha mnie pan?

– Oczywiście.

– Powinien mi pan mówić wcześniej o takim gównie, niech to diabli. Zrobił się pożar w burdelu i Wielkie R próbowało przejąć całe przedstawienie. Pojawiły się duże naciski, żeby wyprzeć nową drużynę.

– WDN?

Niemal słyszał, jak Amerykanin się wzdryga na użycie tego określenia bez kryptonimu.

– Tak. Prezydent chce, żeby w tym byli, wszyscy pozostali chcą się ich pozbyć, a kiedy mówię pozbyć, mam na myśli zamknąć.

– Jakież szanse, że do tego dojdzie?

– Żadne, na ile umiem ocenić. Z jakiegoś powodu prezydent raczej broni ich przed wszystkimi. Sam byłem świadkiem, jak zrównał z ziemią doradcę z NSA w obecności paru generałów. Sytuacja w DC robi się paskudna. Staram się umieścić jednego ze swoich ludzi w tej grupie.

– Na ile jest pan pewien, że się to uda?

Amerykanin się zawahał.

– Całkiem pewien.

Zabawka uniósł brwi i zaklaskał bezgłośnie.

– Proszę mnie informować – powiedział Gault.

Zatrzasnął telefon i odłożył go na bok. Zabawka znów usiadł na swoim fotelu i obaj rozważali implikacje tej rozmowy.

– Może jednak nie doceniałem tego gościa – powiedział Zabawka.

Rozdział trzydziesty ósmy

Baltimore, Maryland, wtorek, 30 czerwca, 15:36

– Dobra – powiedziałem – wcześniej trochę potańczyliśmy. Któryś jest zbyt uszkodzony, żeby ćwiczyć? I co ważniejsze, któryś jest zbyt pobity, żeby dziś albo jutro walczyć, jeśli do tego dojdzie?

– Cóż... jaja nadal mnie bolą – przyznał Ollie, od razu jednak dodał: – Sir. Ale mogę pociągnąć za spust.

– Nic mi nie jest – stwierdził Królik. Rzucił woreczek z lodem na podłogę obok maty.

Kapi się skrzywił.

– Jeśli o mnie chodzi, też jaja, sir. Wydaje mi się, że mam je gdzieś w klatce piersiowej.

– Zejdą, kiedy osiągniesz wiek dojrzewania – mruknął pod nosem Królik. Popatrzył na mnie. – Sir.

– Dajcie sobie spokój z „sir”, chyba że nie będziemy sami. Zaczyna mnie to już nudzić.

– Mogę walczyć – powiedział Kapi.

Skinąłem na sierżanta sztabowego Simsa.

– A co z tobą, Starszy? Jakież urazy?

– Jedynie na dumie. Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie zaskoczył.

– W porządku. – Pokiwałem głową. – Church chce, żeby oddział Echo w ciągu jednego-dwóch dni przygotował się do zadania bojowego w mieście. Dwa poprzednie oddziały zostały zabite przez tych sztywnych. Nie widziałem jeszcze nagrań, ale powiedziano mi, że ci goście byli w pełni wyposażeni i w pełni wyszkoleni, ale niezajomość natury wroga sprawiła, że byli zdezorientowani i zawahali się, co okazało się fatalne w skutkach. Nasza piątka ma być nowymi buldogami na wysypisku śmieci. Brzmi wspaniale, brzmi heroicznie, ale nigdy wcześniej nie dowodziłem oddziałem.

– Jak na przemowy motywacyjne, trenerze, ta była do dupy – powiedział Królik.

Zignorowałem go.

– Za to szkoliłem wojowników. Wiem, że to umiem. A ponieważ jestem największym psem, nauczę waszą czwórkę, jak walczyć na sposób Joe Ledgera.

Jak na razie walka sposobem Joe Ledgera oznaczała, że dostali po tyłkach, więc nie byli szczególnie entuzjastyczni. Żadnych radosnych okrzyków.

– Jak mamy właściwie zabijać tych sztywnych? – spytał Kapi. – Skoro są, no, martwi i tak dalej.

– Dopilnuj, żeby cię nie pogryźli, synu – powiedział Królik. – Tak na początek.

– Dopóki nie dostaniemy dalszych informacji z działu medycznego, kierujemy się założeniem, że kręgosłup lub pień mózgu są kluczowe: ich zniszczenie sprawia, że natychmiast tracą parę. Sprąłem pierwszego z nich, to znaczy Javada, na kwaśne jabłko, a on reagował, jakbym uściśnął mu rękę.

A później skręciłem mu kark i wtedy od razu padł. Aktywność w okolicach pnia mózgu wydaje się całkiem logiczna, więc jak na razie ich czułym punktem jest kręgosłup.

– Mogę o coś spytać? – odezwał się Kapi. – Sposób, w jaki potraktowałeś pułkownika

Hanleya... nie sądzisz, że byłeś trochę za ostry?

– Church powiedział coś, co mnie przeraziło i wkurzyło.

Opowiedziałem im o pistolecie przystawionym do głowy Rudy'ego.

– Kuuuurwa – powiedział Starszy, rozciągając to słowo do co najmniej sześciu sylab.

– To nie w porządku – upierał się Kapi.

– Może i nie – przyznałem – ale wprowadziło mnie w nastrój, w którym nie toleruję bzdur.

Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy stają między mną a tym, czego pragnę.

– Ano – mruknął Królik. – Jak ja to rozumiem.

– Ale mimo wszystko nasza skuteczność bojowa zmniejszyła się o jednego człowieka.

Starszy zaczął odpowiadać, zanim zdążyłem się odezwać.

– Wcale nie. Hanley jest krzykaczem i pozerem. Wściekł się i skupił złość na kapitanie, jakby to on był problemem. Myślał sercem, a nie głową, i wyszedł przed szereg. Wszyscy byśmy przez niego zginęli.

– Ano – zgodził się Królik – zadanie jest zawsze najważniejsze. W marynarce was tego nie uczą?

Kapi pokazał mu środkowy palec, ale uśmiechał się szeroko.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Magazyn WDN, Baltimore, 15:44

Wszyscy czterej przebrali się z cywilnych łachów w nijakie czarne mundury połowę, które dostarczyli nam ludzie Churcha – i to we właściwych rozmiarach, nawet dla Królika. Miałem właśnie ruszyć w stronę łazienki, żeby też się przebrać, kiedy zobaczyłem stojącego przy rządzie krzeseł Rudy'ego. U boku miał uzbrojonego strażnika. Podszedłem do przyjaciela, uścisnęliśmy sobie ręce, a później się objęliśmy. Spojrzałem na strażnika.

– Cofnąć się.

Przeszedł dokładnie dwa metry i zaczął wiercić wzrokiem dziurę w połowie tej odległości.

Lekko klepnąłem Rudy'ego w ramię.

– W porządku, stary?

– Trochę się przestraszyłem, Joe, ale nic mi nie jest. – Spojrzał ukradkiem na strażnika i ściszył głos. – Spędziłem ostatnie kilka minut na rozmowie z panem Churchem. On jest...

Szukał przymiotnika, który prawdopodobnie nawet nie istniał.

– Tak, jest.

– Czyli zostałeś kapitanem Ledgerem. Imponujące.

– I śmieszne.

Jeszcze bardziej zniżył głos.

– Church oprowadził mnie dookoła. To nie jest jakaś firma-krzak, wpakowali w to miliony dolarów.

– Aha. Wciąż nie mam pojęcia, jak to działa. Poznałem tylko dwoje dowódców, Churcha i tę kobietę, major Courtland. Poznałeś ją?

Rudy się rozpromienił.

– O tak. Jest bardzo interesująca.

– Przemawia przez ciebie psychiatra czy wilk w skórze psychiatry?

– Po trochu z każdego. Gdybym był prostakiem, zażartowałbym, że chętnie zobaczyłbym ją na swojej kozetce.

– Ale oczywiście nie jesteś prostakiem.

– Oczywiście, że nie. – Rozejrzał się po sali. – Jak się z tym wszystkim czujesz?

– Na granicy ataku paniki. A ty?

– Och, ja już dawno przekroczyłem granicę i zupełnie ześwirowałem. Całe szczęście, że mam lata praktyki w utrzymywaniu pozorów profesjonalnego spokoju. W środku jestem w kawałkach.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Jego uśmiech wyglądał na przylepiony na stałe. – Church powiedział mi o St. Michael's i tej wiosce w Afganistanie.

Pokiwałem głową i przez chwilę miałem dziwne uczucie, że stoimy otoczeni przez duchy.

– A teraz dla nich pracujesz – stwierdził Rudy.

– To nie jest najlepsze określenie. Raczej działamy przeciwko temu samemu wrogowi.
– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem?
– Coś w tym stylu.
– Church mówił, że być może poprowadzisz niewielki oddział przeciwko tym terrorystom. Dlaczego nie posła tam całej armii, marynarki i marines?
Pokręciłem głową.
– Im więcej ludzi na miejscu, tym większe ryzyko zakażenia nie do opanowania. W małym oddziale żołnierze nie wchodzą sobie w drogę i jest mniejsza szansa, że staną przed koniecznością podjęcia decyzji, czy zastrzelić zarażonego towarzysza. Tak jest prościej. A... gdyby doszło do najgorszego i zakażenie musiało zostać opanowane jak w St. Michael's, traci się mniej zasobów.
– „Zasobów” – powtórzył Rudy.
– Ludzi.
– *Dios mio*. Skąd ty to wszystko wiesz?
– Czysty zdrowy rozsądek – odparłem.
– Nie, wcale nie. Ja bym o tym nie pomyślał. Większość ludzi by nie pomyślała.
– Wojownik by pomyślał.
– To znaczy żołnierz? – stwierdził Rudy.
Przytaknąłem.
Rudy popatrzył na mnie dziwnie. Za jego plecami pojawiło się czterech członków mojego oddziału w czarnych mundurach polowych.
Rudy odwrócił się i odprowadził ich wzrokiem, kiedy szli na salę ćwiczeń.
– Wyglądają na twardych gości.
– Bo są.
Znow odwrócił się do mnie.
– Mam nadzieję, że nie są tak twardzi, by stali się nieczuli, Joe. Walczymy nie tylko przeciwko czemuś... walczymy o coś i szkoda by było, gdybyście zniszczyli właśnie to, co z takim wysiłkiem chcecie ochronić.
– Wiem.
– Mam nadzieję. – Popatrzył na zegarek. – Lepiej już pójdę. Pan Church zamierza przedstawić mnie zespołom badawczym. Wydaje mi się, że mnie też chce zwerbować.
– Akurat!
Rudy popatrzył na mnie dziwnie, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę biur.
Strażnik szedł za nim w odległości pół kroku z karabinem opartym o ramię. Odprowadzałem ich wzrokiem, aż zniknęli za drzwiami.
– Cholera – mruknąłem.
Podszedłem do oddziału i właśnie otworzyłem usta, żeby przedstawić im pierwsze ćwiczenie, które mieli wykonać, ale nie zdążyłem się odezwać. Drzwi za naszymi plecami otworzyły się z traskiem i do środka wpadł sierżant Gus Dietrich.
– Kapitanie Ledger! Pan Church chce pana natychmiast widzieć.
– W jakim celu? – spytałem, gdy Dietrich zatrzymał się z trudem.
Dietrich zawahał się na ułamek sekundy, pewnie wciąż miał problemy z nowym łańcuchem dowodzenia. Szybko jednak podjął decyzję.
– Jednostki obserwacyjne znalazły zaginioną furgonetkę. Sądzymy, że odnaleźliśmy trzecią komórkę.
– Gdzie?
– Delaware. Chce, żebyście ją zaatakowali.
– Kiedy?

- Już – powiedział ktoś.
- Odwróciłem się i zobaczyłem idących w moją stronę Churcha i major Courtland.
- Czas szkolenia się skończył – stwierdził. – Oddział Echo ma być w gotowości w ciągu trzydziestu minut.

Rozdział czterdziesty

Claymont, Delaware, wtorek, 30 czerwca, 18:18

Przed czterema godzinami kupowałem Rudy'emu kawę w Starbucksie niedaleko akwarium w Baltimore, a teraz brodziłem po kostki w gównie i nieczystościach w tunelu pod Claymont w Delaware. Życie robi się coraz lepsze. I do tego nadal miałem cywilne buty. Kiedy dostaliśmy rozkaz, zabrakło czasu na szukanie butów taktycznych w moim rozmiarze, nie zdążyłem nawet włożyć spodni od munduru.

Wszyscy mieliśmy kevlarowe napierśniki, ochraniacze na kończynach, hełmy taktyczne i noktowizory.

Jak również dość broni, by wywołać niewielką wojnę, co właściwie było naszym zamiarem.

Z Baltimore podjął nas śmigłowiec, wylądowaliśmy na parkingu opuszczonej szkoły podstawowej niedaleko parku stanowego Bellevue. W tamtych okolicach nie ma wielkiego ruchu. Na miejscu wpakowaliśmy się do fałszywej furgonetki UPS, wypożyczonej od miejscowej obyczajówki, i podjechaliśmy od tyłu do hurtowni alkoholu oddalonej o przecznicę od przetwórnicy Selby's Fine Meats. Przez piwnicę hurtowni dostaliśmy się do kanalizacji burzowej, a stamtąd do kanalizacji ogólnej, która podobno miała wlot w przetwórnicy mięsa. Przenośny GPS wskazywał mi drogę.

Ollie Brown siedł na szpicie, a mnie podobał się sposób, w jaki się poruszał. Mimo brożenia w wodzie robił bardzo niewiele hałasu, sprawdzał każdy załom tunelu i zawsze kierował wzrok w tę samą stronę, co celownik. Jako ostatni siedł wielki facet, Królik, strzelba bojowa M1014 wyglądała w jego rękach jak zabawka. Kiedy tak siedł pochylony, wypełniając sobą całą szerokość tunelu, wyglądał jak przygarbiony troll. Ja byłem drugi w szeregu, za sobą miałem sierżanta Simsa i Kapiego Tylera. Nie miałem tłumika do czterdziestki piątki, więc sierżant Dietrich pożyczył mi berettę M9 z tłumkiem Trinity i czterema zapasowymi magazynkami.

W przeciwieństwie do pozostałych nie miałem broni dłuższej, zawsze preferowałem krótką.

Poruszaliśmy się jak duchy, żadnych rozmów, jedynie szereg mężczyzn idących przez cienie, by stawić czoła potworom. Czuję się nierealnie, jak w grze komputerowej. Szkoda, że w prawdziwym życiu nie ma opcji restartu.

W śmigłowcu omówiliśmy plany, na ile cokolwiek mogliśmy zaplanować.

– Oto co wiemy – powiedziałem, kiedy całą piątką pochylaliśmy głowy nad mapą w ciasnej kabinie śmigłowca. – Church wysłał już kogoś, żeby zrobił skan termiczny okolicy, ale więcej danych raczej nie będziemy mieli. Organizuje również przecięcie linii telefonicznych, a major Courtland powiedziała, że dostaną od prezydenta zgodę na zagłuszenie sygnału komórkowego w tej okolicy. Nie chcemy, żeby któryś z wrogów wysłał kumplom wiadomość ze swojego LG Chocolate.

– LOL – mruknął Królik.

– Wyjdziemy przez kanały ściekowe. Mamy plany kanalizacji burzowej i jeden

z głównych kanałów przebiega bezpośrednio pod przetwórną, co pozwoli nam wejść po cichu, kiedy zgasną światła. Jakies pytania?

– Jakie są priorytety? – spytał Starszy.

– Pan Church chce mieć jeńców do przesłuchania. Chcielibyśmy więcej danych, zanim kopniakami wyważymy drzwi tamtej przetwórnki krabów. Wszystko wskazuje na to, że właśnie tam będzie wielka impreza. Magicy od komputerów sądzą, że ta przetwórnica mięsa jest magazynem naszych bojowników, nie głównym centrum działania.

– Czy to znaczy, że mamy przyjąć na siebie kulkę, żeby dostarczyć mu jeńców? – spytał Ollie, patrząc na mnie wyzywająco.

– Nie, ale nie stawiamy sprawy w taki sposób. Strzelajcie, żeby zranić, próbujcie obezwładnić, jeśli to tylko możliwe, ale nie dajcie się zabić.

– Ten punkt jest wysoko na mojej liście priorytetów – zauważył Królik, a Kapi pokiwał głową.

– A co z tymi kurewskimi zombiakami? – spytał Starszy.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, sztywni będą w swoich pojemnikach, zamknięci na klucz i w lodzie.

– A jeśli będziemy mieli pecha?

– Jeśli natrafisz na coś, co nie ma pulsu, Starszy, masz moje pozwolenie, by wysłać to z powrotem do piekła.

Wszyscy pokiwali głowami. To była jedyna część planu, która się im podobała. Rozumiałem ich.

W historii wojskowości opisano wiele sytuacji, w których żołnierze ginęli z braku dokładnych informacji wywiadowczych. My nie mieliśmy nic.

Zanim weszliśmy na pokład śmigłowca, powiedziałem:

– Posłuchajcie, nie znamy się i nie mieliśmy nawet okazji poćwiczyć jako oddział. Church każe nam od razu wziąć się do roboty. I to właśnie zrobimy. Żaden z nas nie jest żółtodziobem, więc zachowujmy się i działajmy jak zawodowcy. Łańcuch dowodzenia to ja, a po mnie Starszy. Wszyscy pozostali są równi. Wszyscy osłaniamy się nawzajem. Pięciu wchodzi, pięciu wychodzi. Wszystko jasne?

– Tajes – powiedział Starszy.

– Tajes, kurwa – zgodził się Kapi.

Od tego czasu minęło pół godziny, teraz byliśmy w kanałach, a kiedy szliśmy, z trudem zmuszałem się do skupienia na tym, co działo się wokół mnie. Jeśli istniała jakaś lepsza definicja „za dużo, za szybko”, nie chciałem jej poznać. Zastanawiałem się, jak bardzo poruszeni byli pozostali i jak to na nich wpłynie, kiedy zrobi się gorąco.

Ollie zatrzymał się, unosząc pięść, i wszyscy znieruchomieliśmy. Wskazał na dziesiątą, a wtedy zobaczyłem przymocowaną do ściany zardzewiałą żelazną drabinkę. Pokryta mchem i sznurkiem głównym prowadziła do czarnego otworu w sklepieniu. Przez kratkę w betonie opadała gęsta biała mgła.

– Fiberoskop – szepnąłem do Kapiego, a on wyciągnął urządzenie podłączone do ekranu miniaturowego systemu taktycznego.

Zebraliśmy się i wpatrzyliśmy w ekran. Pokazywał puste pomieszczenie i zaplamione metalowe stoły. Żadnego ruchu poza mgłą.

– Musi tam być zimno jak diabli – powiedział Starszy. Popatrzył na mnie. – Tych sztywnych trzeba trzymać w lodzie, tak?

– Miejmy nadzieję, ale nawet jeśli jest tam zimno, lepiej niczego z góry nie zakładajmy. Kapi – powiedziałem – na górę. Sprawdź, czy nie ma pułapek albo potykaczy.

Po minucie zawołał cicho w dół:

– Czysto. Żadnej elektroniki. Tylko kłódka. Potrzebuję nożyc do metalu.

Królik wyciągnął je z plecaka i podał do góry. Rozległ się głośny metaliczny trzask, a później Kapi zaczął powoli opuszczać łańcuch. Dobre wieści, ale wciąż czułem się zaniepokojony.

Zawsze, jeśli coś jest zbyt łatwe, wcale takie nie jest.

– Ruchy-syknąłem, a członkowie oddziału Echo wspięli się po kolei po drabinie i zajęli pozycje defensywne w pomieszczeniu na górze.

Wyszedłem jako ostatni i rozejrzałem się szybko, ale rzeczywiście było pusto. Stare pomieszczenie rozbioru tusz ze stołami na kółkach i hakami na łańcuchach. Półtusze wjeżdżały do środka na zamocowanych pod sufitem prowadnicach, a po rozbiorze przewożono je na stołach do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie mięso było oczyszczane i pakowane. Odpadki i krew splukiwano z podłogi do ścieków. Myślę, że żaden z członków oddziału Echo nie przegapił ironii kryjącej się w fakcie, że trafiliśmy do pomieszczenia służącego rzeźnikom.

Mgła sięgała nam do kostek i lepiała się do podłogi, zasłaniając widok. Śmierdziało ściekami i rozkładem.

Temperatura musiała ledwie przekraczać zero, ale powietrze było nieprzyjemnie wilgotne. Na obu końcach pomieszczenia znajdowały się drzwi. Jedne prowadziły do nieużywanej pakowni, którą wypełniały sterty brudnych styropianowych tacek i rolki folii spożywczej. Drugie drzwi były zamknięte na klucz.

– Zajmę się tym – powiedział Ollie.

Ukląkł przed drzwiami i wyciągnął z kieszeni na udzie bardzo uroczy zestaw profesjonalnych wytrychów. Dawno nie widziałem lepszego, a on posługiwał się nimi z dużą swobodą. Żołnierze zazwyczaj nie noszą takich rzeczy – postanowiłem go później o to spytać.

Usłyszałem ciche brzęczenie w uchu i uniosłem dłoń, prosząc o ciszę. Na linii było trochę zakłóceń, ale głos Grace Courtland brzmiał mocno i czysto.

– Skany termiczne pokazują licznych tango.

„Tango” albo „T” oznacza „terrorystów”.

– Ilu?

– Zbici w grupkach. Może dwudziestu, może czterdziestu.

– Powtórz.

Powtórzyła i poprosiła o potwierdzenie, że zrozumiałem.

– Echo jeden przyjąłem.

– Alfa w pogotowiu – powiedziała – miejscowa policja w rezerwie.

– Przyjąłem. Rozkazy?

– Zachować ostrożność.

– Przyjąłem. Echo jeden bez odbioru.

Przywołałem swoich ludzi i skuliliśmy się razem.

– Skany termiczne wskazują, że w tym budynku jest co najmniej dwadzieścia ciepłych ciał. Nie da się ocenić, ilu sztywnych, ich ślad cieplny jest za słaby.

Widziałem, jak wieści docierają do każdego z mężczyzn. Kapi wydawał się przerażony, a Królik wściekły. Starszy zmrużył oczy, a twarz Olliego znieruchomiała.

– Pięciu wchodzi, pięciu wychodzi – przypomniałem im.

Pokiwali głowami, a ja dodałem jeszcze:

– To nie jest O.K. Corral. Nie mamy pewności, że wszyscy tu obecni są wrogo nastawieni. Sprawdzajcie, do kogo strzelacie, żadnych wypadków i nawet nie chcę słyszeć o przypadkowym postrzeleniu swoich.

– Tajes – powiedzieli, ale bez większego entuzjazmu.

– A teraz ruszajmy skopać parę nieumarłych tyłków.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Claymont, Delaware, wtorek, 30 czerwca, 18:23

Ollie otworzył zamek, a Bunny ostrożnie uchylił drzwi, obawiając się potykaczy i alarmów. Nie rozległy się jednak żadne brzęczyki i nic nie wybuchło, a drzwi otworzyły się powoli do środka.

Poza zgrzytem zardzewiałych zawiasów słyhać było jedynie odległy szum silników.

Tym razem to ja szedłem na szpicy. Przemoczone buty sportowe próbowały chlupotać, więc ostrożnie stawiałem stopy i nie śpieszyłem się, żeby zachować ciszę. Korytarz był pusty i długi, pełen szarych cieni i wszechobecnej mgły. Trzymaliśmy się blisko jednej ściany i podążaliśmy naprzód gęsiego, ostrożnie, rozglądając się dookoła i sprawdzając każde drzwi, które napotkaliśmy. Kiedy korytarz skręcił pod kątem prostym, zatrzymałem się i wyjrzałem ostrożnie za róg, trzymając głowę znacznie poniżej normalnej linii wzroku. Dałem sygnał „za mną” i wszyscy skręciliśmy w lewo. Natrafiliśmy na jedne zamknięte na klucz drzwi, które Ollie otworzył bez trudu, ale za nimi znajdował się magazyn.

Na chwilę zatrzymałem się w wejściu, próbując ocenić prawdopodobną liczebność wroga na podstawie zgromadzonych zapasów. Zauważyłem, że Starszy robi to samo. Popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami. Albo w tym miejscu przebywało dwudziestu bardzo żarłocznych terrorystów, albo było ich raczej czterdziestu, może nawet dwa razy więcej.

Wycofaliśmy się i zamknęliśmy drzwi.

Korytarz zakręcił, a my przeszliśmy kolejne dwadzieścia metrów, aż dotarliśmy do podwójnych plastikowych drzwi, takich, które rozsuwają się, kiedy przepycha się przez nie wózek. Stailiśmy po obu stronach przyczajeni i nasłuchiwalismy.

Minęła chwila, zanim przyzwyczailem się do rytmu tego miejsca, a mój umysł odfiltrował odgłosy kompresorów i inne hałasy z tła, jakich można spodziewać się w zrujnowanym starym budynku.

I wtedy to usłyszeliśmy. Niski, nieludzki jęk.

Sugerował straszliwy głód i rozlegał się po drugiej stronie drzwi.

Kapi posłał zdenerwowane spojrzenie Starszemu, który odpowiedział mrugnięciem, w założeniu swobodnym i wesołym. Nie wyszło mu. Popatrzyłem im wszystkim w twarze i zmusiłem do spojrzenia mi w oczy. Przypomniałem im w ten sposób wcześniejsze rozkazy. Jeńcy, jeśli tylko będzie to możliwe.

Nagle od prawej, z głębi biegnącego łukiem korytarza, dobiegł nas dźwięk. Kiedy spojrzeliśmy, zobaczyliśmy sugestię ruchu, a po chwili w słabym blasku wiszących u sufitu lamp pojawił się cień. Sylwetka strażnika z przewieszonym przez ramię karabinem szturmowym. Strażnik, nie sztywny.

Ollie był najbliżej, więc skinąłem do niego głową, a on osunął się na ziemię jak wąż i przyjął niską pozycję strzelecką. Zobaczyłem wyłaniający się zza rogu but strażnika, a później całe jego ciało. Rozległ się stłumiony trzask, gdy Ollie wypuścił dwa pociski przez tłumik. Głowa mężczyzny poleciała do tyłu, on sam osunął się na ścianę. Królik ominął

mnie i złapał strażnika, zanim ten zdążył się przewrócić na ziemię. Całość, od strzałów Olliego po szybką reakcję Królika, wydawała się wyćwiczona jak układ choreograficzny. Zwykły człowiek uznałby ją za coś koszmarnego, ale dla wojownika była piękna – pokaz żołnierskiej sztuki na najbardziej wyrafinowanym poziomie.

Tkwiący we mnie gliniarz zauważył, że Ollie jako broń krótką wybrał sobie dwudziestkę dwójkę z tłumikiem. Broń zabójcy. Pocisk o niewielkim kalibrze pozostawiał małą ranę wlotową, brakowało mu też energii do opuszczenia czaszki, więc po prostu obijał się w środku, wyłączając wszystkie ośrodki. Ollie trafił strażnika dwa razy w głowę. Nawet najlepsi strzelcy rzadko mają dość odwagi, by strzelać dwa razy w głowę, nie strzelając wcześniej w ciało, by zatrzymać przeciwnika – a on strzelał z prawie dziesięciu metrów.

Ollie dał z siebie wszystko.

Wróciliśmy do plastikowych drzwi i przygotowaliśmy się do wejścia. Wypływające przez szparę u dołu pasma mgły wyglądały jak macki ośmiornicy-albinosa. Tu śmierdziało jeszcze gorzej.

W kanałach było paskudnie, ale tutaj czułem odór mięsa gnijącego na żywych kościach, fetor rozkładu żywcem, który wcześniej czułem tylko raz – kiedy zabijałem Javada. Po raz drugi.

Stanęliśmy po obu stronach drzwi, a Starszy wyjął niewielkie lusterko dentystyczne i wsunął je pod drzwi. Powoli obracał je w prawo i w lewo. Wewnątrz znajdował się cały rząd wielkich niebieskich skrzyń. Nie zaskoczyło mnie to, ale też nie wprawiło w radosny nastrój. O ile pamiętałem rozkład budynku, staliśmy przed główną halą produkcyjną, ale rząd skrzyń blokował wszystko poza wąskim przejściem – a pośrodku stał kolejny strażnik. Był odwrócony do nas plecami i wychylał się, żeby spojrzeć przez wąską szczelinę między dwiema skrzyniami. Znowu usłyszeliśmy jęki, a teraz mogliśmy też połączyć dźwięk z jego lokalizacją.

Coś się działo po drugiej stronie skrzyń, w hali produkcyjnej. Strażnik bardzo chciał to zobaczyć.

Ja też.

Schowałem pistolet do kabury i wyciągnąłem nóż. Uniosłem palec do ust, po czym dotknąłem piersi. Pozostali pokiwali głowami. Królik i Starszy chwycili za plastikowe klapy. Kiedy skinąłem głową, rozsunęli je najszybciej i najciszej, jak mogli, a ja wpadłem do środka. Sięgnąłem od tyłu i zacisnąłem lewą dłoń na ustach strażnika, kciukiem i palcem wskazującym ścisnąłem jego nozdrza. Jednocześnie kopnąłem go od tyłu w kolano, a gdy poleciał na mnie, poderżnąłem mu gardło, za jednym zamachem przecinając tętnice, żyłę szyjną i tchawicę. Przyciągnąłem go do siebie i popchnąłem do przodu, by opadająca głowa powstrzymała gwałtowny wypływ krwi z tętnic. Zginął, zanim zorientował się, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, i nie wydał żadnego dźwięku. Królik i Kapi wzięli ciało i ostrożnie opuścili je na podłogę, a ja się wyprostowałem. Wytarłem nóż, schowałem go do pochwy, wyciągnąłem pistolet i odciągnąłem bezpiecznik.

Przed sobą miałem rząd czterech skrzyń, które całkowicie blokowały drzwi i zasłaniały nas przed wzrokiem wszystkich, którzy poza tym znajdowali się w hali. Wziąłem lusterko od Starszego i sprawdziłem, co się znajduje po obu stronach tego rzędu. Po naszej prawej widziałem korytarz utworzony przez drugi rząd skrzyń ustawionych pod kątem do pierwszego, a po drugiej stronie stoły laboratoryjne zastawione sprzętem. W luce między dwoma rzędami skrzyń stał strażnik, a obok niego sześciu mężczyzn w poplamionych fartuchach laboratoryjnych. Wszyscy patrzyli przez otwór w stronę środka hali.

Cofnąłem się ostrożnie i za pomocą lusterka wyjrzałem z lewej strony naszego rzędu.

W odległości około pięciu metrów od nas stało ramię przy ramieniu dwóch strażników.

Oni również wpatrywali się w środek hali, ale tym razem widziałem, na co patrzą. A to, co zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach.

Pomieszczenie było duże, wielkości szkolnej auli, w wysokim sklepieniu osadzono brudne, zasłonięte żaluzjami okna. Przy przeciwległej ścianie stał trzeci rząd niebieskich skrzyń, a wzdłuż lewej ściany kolejne stoły laboratoryjne. Wewnątrz widziałem co najmniej tuzin uzbrojonych strażników, wyposażonych w broń automatyczną, oraz czterech mężczyzn w fartuchach. W lewym rogu stała wielka klatka wykonana z gęstej siatki ogrodzeniowej i stalowych rur. Otwarto dziesięć niebieskich skrzyń, a trzech strażnicy za pomocą elektrycznych pastuchów popychali rząd sztywnych w stronę klatki.

W klatce tłoczyły się dzieci.

Rozdział czterdziesty drugi

Claymont, Delaware, wtorek, 30 czerwca, 18:26

Dzieci tuliły się do siebie, patrzyły szeroko otwartymi oczyma, a ich usta drżały. Widziałem, że niektóre płaczą, ale nie wydawały z siebie żadnego dźwięku, choć nie miałem pojęcia, czy uciszył je strach przed sztywnymi, czy groźby strażników.

Cofnąłem się i podałem lusterko pozostałym, pozwalając, by również spojrzeli.

Samym ruchem warg powiedziałem „potrzebujemy jeńców”, ale nie wiedziałem, czy którykolwiek z nich był zdolny pojąć tę myśl. Na twarzy Starszego, który jako jedyny spośród nas miał własne dzieci, malowała się mordercza wściekłość, jakiej nie widziałem jeszcze u żadnego człowieka.

Uniosłem trzy palce i wszyscy się ustawili, Ollie i Kapi po lewej, Królik i Starszy ze mną.

Odliczyłem szybko.

– Ruszać! – warknąłem i wszyscy wpadliśmy do hali.

Rozdział czterdziesty trzeci

Claymont, Delaware, wtorek, 30 czerwca, 18:27

Zaczął Królik, strzelając ze strzelby do dwóch najbliższych strażników, którzy polecili na boki w plątaninie zakrwawionych kończyn. Starszy zastrzelił dwóch techników laboratoryjnych, po czym odwrócił się w stronę gromadki strażników. Słyszałem strzały i krzyki, kiedy Ollie i Kapi wpadli na strażników po drugiej stronie. Pobiegłem do przodu z wyciągniętym pistoletem i strzeliłem do strażnika przy wejściu do klatki. Strzelałem z daleka i gdybym źle wycelował, mógłbym zabić jedno z dzieci, ale nie miałem wyboru. Sztynni znajdowali się w odległości kilku metrów. Trafiłem strażnika w usta, a on odbił się od siatki i upadł, nie puszczając zasuw. Kiedy padł na ziemię, drzwi się otworzyły.

Strażnicy z elektrycznymi pastuchami odwrócili się w naszą stronę. Dwaj upuścili pastuchy i próbowali wyjąć broń. Jednego trafiłem dwa razy w pierś, ale zanim zdążyłem wycelować w drugiego, najbliższy sztynni rzucił się na niego i wbił mu zęby w gardło. Padli razem na ziemię. Zastrzeliłem trzeciego strażnika, który stanął przed trudnym wyborem – upuścić pastucha i chwycić broń czy oganiać się od sztynnych? Kula posłała go w ramiona sztynnego. Stwór, Azjata w średnim wieku ubrany w dres, rzucił go na ziemię i zaczął pożerać. Strzeliłem sztynnemu w tył głowy.

Ktoś zaatakował mnie od prawej, a wtedy zorientowałem się, że po drugiej stronie pierwszego rzędu niebieskich skrzyń było co najmniej ośmiu kolejnych strażników. Otworzyli ogień z kałachów, a ja musiałem się ukryć za jednym ze stołów laboratoryjnych. Padłem na ziemię, przetoczyłem się, w kącie poderwałem na równe nogi i opróżniłem magazynek w ich stronę, zabijając dwóch. Kiedy zmieniałem magazynek, Starszy Sims strzelił do nich z ukosa, zabijając trzech salwami z MP5. Kapi Tyler otworzył ogień z drugiej strony, a strażnicy spróbowali wyrwać się z krzyżowego ognia.

Za plecami usłyszałem wrzask i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem dzieci wybiegające przez otwarte drzwi klatki. Trzej sztynni rzucili się w ich stronę, a ja ruszyłem biegiem, strzelając ponad dziećmi i próbując trafić w głowę, jednocześnie unikając ognia. Dzieci wpadły w histerię i w panice rozbiegły się po całej hali produkcyjnej. Oddział Echo przerwał ogień, gdy dzieci kręciły się wokół techników i strażników, próbując znaleźć drogę ucieczki, a odnajdując jedynie karabiny, zęby i grozę.

Jeden z laborantów uniósł klapę białego fartucha, wyciągnął się sauera i strzelił dziesięcioletniej dziewczynce w pierś.

– Pierdolić jeńców! – warknął ktoś i technik zginął w deszczu kul.

Głos, który słyszałem, należał do mnie, kule były moje i Starszego.

Jeden ze strażników uniósł uzi i próbował mnie zastrzelić, choć między nami stał szereg dzieci. Trafiłem go w oko.

– Uciekajcie! – zawołałem do dzieci. – Tędy!

Wskazałem w stronę drzwi, nawet próbowałem popchnąć dzieciaki w tę stronę, ale ich przerażenie było za głębokie, zbyt obezwładniające.

– Za tobą! – ryknął Królik.

Przykucnąłem, odwróciłem się i zobaczyłem rzucającego się w moją stronę sztywnego – masywnego gościa w stroju piłkarza. Na wargach miał świeżą krew. Biegł tak szybko, że strzał w głowę by go nie zatrzymał, więc kopnąłem go z boku w udo, co go gwałtownie zatrzymało, po czym obróciłem się na pięcie, wbiłem mu pistolet pod brodę i rozwalilem czaszkę. Kiedy poleciał do tyłu, przeskoczył nad nim kolejny sztywny, tym razem młoda kobieta w czymś, co musiało być kiedyś bardzo drogim, szytym na zamówienie kostiumem. Strzeliłem jej w gardło, ale kula przebiła jedynie ciało, a zamek mojego pistoletu został w pozycji tylnej. Nie zdążyłem przeładować, kiedy więc na mnie wpadła, obróciłem się bokiem, by jej pęd popchnął ją za mnie. Nie udało jej się zacisnąć na mnie palców, przewróciła się i poleciała trzy metry do przodu po podłodze hali.

W przypadku istoty ludzkiej wstrząs i siła takiego uderzenia dałyby mi kilka sekund na przeładowanie, ale nieumarła kobieta natychmiast podniosła się z ziemi i rzuciła na moje nogi, próbując wbić mi zęby w ciało.

Lewą ręką wyciągnąłem nóż i z całej siły wbiłem ostrze w tył jej czaszki, tuż nad kołnierzykiem. Gorączkowe napięcie natychmiast ustąpiło, padła na ziemię z kawałkiem tkaniny moich spodni między zębami.

Starszy Sims podszedł od lewej i osłaniał mnie, kiedy przeładowywałem. Nim zdążyłem włożyć nowy magazynek, zabił laboranta i sztywnego.

Rozległ się głośny ryk, a kiedy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy Królika atakowanego przez trzech sztywnych. Za nim kuliło się kilkoro dzieciaków, a on wystrzelał już wszystko. Uderzył kolbą strzelby w twarz jednego ze sztywnych i widziałem, że był wytrącony z równowagi, kiedy stwór szybko się z tego otrząsnął.

Lata szkolenia warunkują nas do walki z nawet najbardziej agresywnymi jednostkami, ale żadnego z nas nie szkolono do walki z trupami, z istotami, których nie dało się zranić i z trudem się je powstrzymywało.

Ruszyłem w jego stronę, ale Starszy machnął ręką.

– Zajmę się tym!

W powietrzu zaświstały kule, kiedy się odwróciłem, zobaczyłem dwóch strażników używających przewróconego stołu jako osłony. Tępaki. Stół był aluminiowy. Wpakowałem cztery pociski w cienki metal, dwa razy po dwa, i obaj mężczyźni padli z wielkimi ranami w piersi.

Ruch sprawił, że znów się poruszyłem. Mniej więcej siedmioletni chłopczyk zacisnął ręce na moim udzie i nie puszczał. Krzyczał, a na twarzy miał łzy. W naszą stronę ruszył sztywny, odsłaniając zakrwawione zęby w głodnym grymasie. Postrzeliłem go w pierś i w głowę, a później zastrzeliłem kolejnego strażnika. Dzieciak mnie puścił, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak pada na ziemię. Połowę jego twarzy zalewała krew ze straszliwego ugryzienia. Sztywny dopadł malucha, zanim ten pobiegł do mnie po pomoc. Ciało dziecka zadrżało i znieruchomiało.

Święty Boże.

Po drugiej stronie sali widziałem Kapiego i Olliego, którzy szli wzdłuż ściany, prowadząc między sobą szereg dzieci i zabijając wszystkich dorosłych, których napotkali.

Jeden ze strażników niemal trafił mnie krótką serią z kałasznikowa, ale zauważyłem ruch jego lufy i szybciej pociągnąłem za spust. Za nim zobaczyłem, że w klatce nadal są dzieci. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz, a dzieci zaciskały palce na siatce, by powstrzymać je przed otwarciem przez sześciu sztywnych. Jedynie brak koordynacji stworów zapewnił dzieciom bezpieczeństwo przez ten czas, ale drzwi otwierały się nieubłaganie, centymetr po centymetrze.

Ostrzał sprawił, że uskokczyłem w bok, a kolejne pociski trafiały w stoły laboratoryjne tuż za moimi plecami, miażdżąc szkło i wypełniając powietrze deszczem poszarpanych

odłamków. Obiegłem laboranta, który przyjął na siebie kule przeznaczone dla mnie. Na końcu stołu stał strażnik i próbował wycelować w Kapięgo. Wokół było zbyt wiele dzieciaków, więc walnąłem kolbą pistoletu w jego nadgarstek, a później uderzyłem kantem dłoni w gardło. Poleciał do tyłu.

Uniosłem broń i zastrzeliłem trzech sztywnych, każdego dwoma pociskami. Skupiłem się na tych najdalej od dzieci. Padli na ziemię, a wtedy skupiłem się na pozostałych trzech nieumarłych. Wykorzystałem ostatnie dwa naboje, by zabić jednego z nich z przyłożenia, a kiedy zaczął się osuwać, kopniakiem posłałem jego ciało na zombiaka obok. Obaj padli na ziemię, a ja odwróciłem się w stronę ostatniego, mężczyzny w dzinsach i koszulce z Hellboyem. Uderzyłem go obiema rękami w pierś tak, że ciężar jego ciała zatrzasnął drzwi klatki. Sięgnął głową ponad moim ramieniem i wbił zęby w moją kevlarową kamizelkę. Uderzyłem go w uszy otwartymi dłońmi, ale to nic nie dało, więc chwyciłem go za włosy i pasek od spodni, i wbiłem jego głowę w ścianę.

Pierwsze uderzenie zmiażdżyło mu czaszkę, trzecie złamało kręgosłup szyjny. Rzuciłem go w chwili, gdy zombie, przewrócony na ziemię przez ciało, które kopnąłem, wypełził spod niego i ruszył na czworakach w moją stronę. Kopnąłem go z góry w kark, a on padł na ziemię, zadrżał i znieruchomiał.

Odwróciłem się plecami do klatki i włożyłem nowy magazynek. Mój ostatni. Na hali nadal panowało zamieszanie, ale każdy z moich ludzi zajął pozycję obronną. Starszy i Królik mieli za sobą co najmniej dziesiątkę dzieci, stali ramię przy ramieniu i starannie celowali do sztywnych, laborantów i strażników. Po drugiej stronie sali Kapi Tyler ukrył szóstkę dzieciaków w niszy między przewróconym stołem i rzędem niebieskich skrzyń. Ollie stał przy wejściu, a gdy kilku ostatnich strażników próbowało przebiec obok niego, zastrzelił ich z zimną krwią.

Na środku sali wciąż było pół tuzina sztywnych, kilku strażników i jakieś dzieciaki. Wszystkich pokrywała krew, a ja widziałem, dlaczego żaden z moich ludzi nie próbował uratować tych dzieci. Nie dało się ocenić, czy są zarażone.

Zostało mi dwanaście naboje, a tam było nadal sześcioro dzieci. Musiałem spróbować.

Ruszyłem biegiem i zacząłem strzelać, zabijając strażników i sztywnych. Jeden z dzieciaków ruszył biegiem do mnie, a ja ukląknęłam i machnąłem, żeby przebiegł obok mnie, jednocześnie celując nad jego głową. Kiedy jednak znalazł się trzy metry ode mnie, zobaczyłem, że jego oczy są puste, usta otwarte, a zęby odsłonięte. To był ten malec, który się do mnie tulił.

– Boże – szepnąłem, choć gardło wypełniał mi gorący popiół.

Zastrzeliłem dzieciaka.

Na krótką chwilę zapanowała cisza, gdy chłopiec poleciał do tyłu, prześlizgnął się po podłodze i zatrzymał. Czuję, że wszyscy obecni wbijają we mnie wzrok. Dzieci ukryte za moimi ludźmi znów zaczęły krzyczeć przerażone.

I wtedy jedno z pozostałych dzieci ze środka sali zawarczało, pełne nienaturalnego głodu, i rzuciło się w stronę grupy Kapięgo.

Znów rozległy się strzały.

Kiedy ucichły, pośrodku nie poruszało się nic poza chmurą dymu i białą mgłą, którą plamiła teraz czerwień.

Stałem na miejscu rzezi, trzymając przed sobą pistolet, w którym pozostał jeden nabój. Grzmot, który słyszałem, mógł być echem strzałów albo moim sercem bijącym jak bębny potępienia. Powoli, pełen strachu i przerażenia tym, co zrobiliśmy, opuściłem broń.

Rozdział czterdziesty czwarty

Claymont, Delaware, wtorek, 30 czerwca, 18:35

Wezwałem pomoc.

Za sobą miałem przewrócony stół, oparłem się o niego i rozejrzałem dookoła. W wilgotnym powietrzu unosiła się niebieskawa chmura gryzącego dymu, a dzieci płakały. Każdy z moich ludzi wydawał się wstrząśnięty. Poza Olliem Brownem, którego twarz niczego nie zdradzała. Mógłby stawać w szranki z Churchem. Kapi wyglądał, jakby miał zwymiotować, twarze Królika i Starszego wypełniała furia.

Zastanawiałem się, co malowało się na mojej twarzy. Może wstrząs? Pewnie strach. Jeśli jednak moje rysy naprawdę wyrażały to, co czułem, to na twarzy miałem mieszaninę przerażenia na myśl o tym, co miało czekać te biedne dzieciaki, i potwornego obrzydzenia do tego, co właśnie zrobiłem. Fakt, że zostałem zmuszony, niczego nie zmieniał. Czułem się nieczysty.

Przed pięcioma minutami były tu dziesiątki ludzi. Teraz większość nie żyła. Sam zabiłem co najmniej jedną czwartą z nich. Tak wielu, że straciłem rachubę. Ta świadomość uderzyła mnie jak cios pięścią w mózg. Zabijałem wcześniej, ale to było gorsze. Dziesięć razy gorsze od nalotu jednostki specjalnej. A poczucie winy wynikało również z ukrytego wstydu, ponieważ tkwiący we mnie wojownik właśnie uderzał pięściami w piersi i wykrzykiwał triumfalnie, choć bardziej cywilizowane części mojej osoby wypełniało obrzydzenie.

Zrobiłem krok w stronę grupki Starszego, ale ukryte za nim dzieci zaczęły wrzeszczeć i cofać się przede mną.

Widziały, jak strzelam do co najmniej dwójki innych dzieci. Były zbyt małe, by zrozumieć, o co chodzi z zakażeniem. Nie mogły wiedzieć, że nie jestem jednym z potworów. Starszy przytulił kilkoro z nich i szeptał do nich uspokajająco, Królik zaś stał niezręcznie obok. Ja zostałem tam, gdzie byłem.

Rozległ się hałas, a kiedy podniosłem wzrok, do środka wpadł oddział Alfa z bronią.

Major Courtland biegła przodem z pistoletem w dłoni, osłaniał ją Gus Dietrich. Zatrzymali się gwałtownie i zapatrzyli na rzeź.

– Kurwa, ale jatka... – sapnęła Courtland.

Sam nie ująłbym tego lepiej.

Dietrich patrzył z otwartymi ustami, a agenci z oddziału Alfa przenosili wzrok ze stert trupów na gromadki zapłakanych dzieci i pokrwawionych członków oddziału Echo.

Courtland pierwsza zapanowała nad sobą. Uruchomiła nadajnik.

– Alfa Jeden do bazy. Potrzebujemy jednostek medycznych, piorunem. Mamy liczne ofiary cywilne wymagające natychmiastowej pomocy medycznej i ewakuacji. – Przerwała, rozejrzała się dookoła i policzyła. – Wszyscy cywile to dzieci. Powtarzam, cywile to dzieci, siedemnaście sztuk. Przyślijcie wszystkie dostępne jednostki medyczne.

Odepchnąłem się od stołu i podszedłem do niej. Oczy mnie piekły od dymu.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, zatrzymała się, zawahała, i w końcu spytała:

– Wszystko w porządku, kapitanie?

Miałem ochotę odgryźć jej głowę, tak głupie i niezręczne było to pytanie, ale zapanowałem nad sobą. Co jeszcze mogła powiedzieć?

– Przeżyję – odparłem. – Niech pani powie swoim ludziom... wśród dzieci nie ma zakażonych. Wszystkie ofiary pogryzienia zostały...

Nie mogłem dokończyć.

Przełknęła ślinę i przekazała informację, a później wyłączyła mikrofon.

– Pańscy ludzie?

– Żadnych ofiar.

Courtland pokiwała głową i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Jak żołnierz z żołnierzem, a może wojownik z wojownikiem. Bolesna prawda wyglądała tak, że wśród moich ludzi były ofiary. To wydarzenie miało pozostawić blizny na każdym z nich.

Rozejrzała się dookoła, gdy do środka wpadła pierwsza fala medyków. Dzieci wrzeszczały i płakały. Niektóre biegly w stronę mężczyzn i kobiet w mundurach, a ci je przytulali. Niektórzy medycy i żołnierze płakali, obejmując dzieci. Inne dzieciaki kulily się – straciły wszelkie zaufanie do dorosłych. Kilkoro siedziało w całkowitej ciszy i bezruchu, co świadczyło o zniszczeniach sięgających głębi ich umysłów.

– Czy tak było w St. Michael's? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie. Tam wszyscy zginęli. Mój oddział cały czas pozostawał na zewnątrz.

Pokiwałem głową.

– Dziś rano byłem zwykłym gliną.

– Wiem.

Było więcej do powiedzenia, ale nie musieliśmy wypowiadać tego na głos. Oboje rozumieliśmy.

– Mamy jednego żywego! – zawołał Dietrich, a kiedy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy rannego laboranta usiłującego wyczołgać się spod martwego sżywnego.

Oszołomiony bólem wyciągnął rękę do najbliższej osoby, bezgłośnie błagając o pomoc. Ollie Brown stał nad nim, na twarzy miał grymas pogardy. Wyjął pistolet i odciągnął bezpiecznik.

– Cofnij się! – ryknąłem i ruszyłem w jego stronę, ale Brown już opuszczał lufę w stronę technika.

Nagle Gus Dietrich zrobił krok do przodu, chwycił Olliego za nadgarstek i skierował go gwałtownie w górę.

Wystrzał był wstrząsająco głośny, nawet w moich uszkodzonych uszach, ale kula wbiła się w deski sufitu dziesięć metrów nad nami.

Stanąłem przed Olliem.

– Natychmiast się cofnij, podporuczniku.

Jego twarz wykrzywiała wściekłość, ale po długiej chwili napięcie opuściło jego ciało. Starszy Sims stanął między nim a laborantem, dłoń trzymał na kaburze.

– Niech pan go puści, sierżancie – powiedziałem, a wtedy Dietrich ostrożnie puścił nadgarstek Olliego i zrobił krok w bok. Wciąż piorunował go wzrokiem. Do Olliego powiedziałem: – Schowaj broń.

Ollie wpatrzył się we mnie, a później w technika, i przez chwilę miałem wrażenie, że spróbuje strzelić. Później jednak opuścił kurek, zabezpieczył pistolet i schował go do kabury. Medycy natychmiast podeszli, by ocenić stan rannego.

– Co się z tobą, kurwa, dzieje? – warknąłem. – Który fragment rozkazów zabrzmiał dla ciebie jak „strzelać do nieuzbrojonych jeńców”?

– To śmieć – prychnął Ollie.

– Jest jedynym, którego możemy przesłuchać.

Ollie nie odpowiedział, więc chwyciłem go za łokieć i odciągnąłem kilka metrów w bok. Nie byłem miły, a kiedy próbował wyrwać rękę, nacisnąłem na nerw. Nawet na jego kamiennej twarzy pojawił się grymas bólu. Złagodziłem nacisk, a on wyrwał rękę.

– Dobra, Ollie, wyjaśnimy to sobie tu i teraz.

– Nie ma nic do wyjaśnienia – powiedział. Po czym dodał sarkastycznie: – Sir.

– Jeszcze jedna przemądrzała odzywka, a wylecisz z tego oddziału.

Te słowa sprawiły, że zamrugał i zamknął usta, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Nachyliłem się nad nim.

– Jesteś doskonałym żołnierzem, Ollie, i wolałbym cię raczej zatrzymać niż stracić, ale jeśli nie potrafisz wykonywać rozkazów, nie przydasz się ani mnie, ani nikomu innemu. Zapytam cię tylko raz. Jesteś w moim oddziale czy nie?

Ollie patrzył mi w oczy przez dobre dziesięć sekund, po czym gwałtownie wciągnął powietrze nosem i wypuścił powoli przez usta.

– Kurwa – powiedział.

Czekałem.

– Jestem.

– Moje zasady, moje metody?

Pokiwał głową i na chwilę zamknął oczy.

– Tak jest, sir.

Tym razem bez sarkazmu.

– Popatrz na mnie – powiedziałem.

Otworzył oczy.

– Powtórz to – rozkazałem.

– Tak jest, sir. Twoje zasady, twoje metody.

Skinąłem głową i cofnąłem się.

– Więcej na ten temat nie będziemy rozmawiać.

Odwrociłem się i odszedłem, bez słowa mijając Dietricha i Courtland, i dołączyłem do reszty oddziału Echo. Ollie po chwili ruszył za mną.

Całemu oddziałowi powiedziałem:

– Kiedy wrócimy do Baltimore, pewnie będziemy musieli złożyć raport. Muszą dowiedzieć się o wszystkim. – Przerwałem na chwilę. – Mam przyjaciela, nazywa się Rudy Sanchez. Jest policyjnym psychiatrą i porządnym gościem.

– Świrowlog? – spytał Kapi.

– Tak. Jest w WDN, a ja chciałbym, żeby każdy z was... każdy z nas... poświęcił kilka minut, żeby z nim pogadać.

– Dlaczego? – spytał Kapi.

Starszy odwrócił się do niego.

– Powiedz mi jedną rzecz, dzieciaku. Kiedy dziś rano się obudziłeś, czy spodziewałeś się, że w porze kolacji będziesz zabijał zombie i strzelał do małych dzieci?

Kapi spuścił wzrok i wpatrywał się ponuro w podłogę.

Starszy położył wielką dłoń na jego ramieniu i ścisnął je.

– Uwierz mi, Kapi, nie chciałbyś dziś położyć się spać, dopóki z kimś o tym nie porozmawiasz. Ollie stał nieruchomo z błyszczącymi oczyma i zaciśniętymi pięściami.

– Ja już nigdy nie pójde spać – powiedział Królik.

Rozdział czterdziesty piąty

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 20:51

Poleciliśmy śmigłowcem z powrotem do magazynu w Baltimore. Po drodze Grace podała informację, że dla każdego z nas przygotowano kwatere.

– Nic szczególnego – powiedziała ponad wyciem śmigła – ale przerobiliśmy niewielkie biura na sypialnie. Pan Church poprosił, byście poszli do swoich kwater i poczekałi, aż zostanieie wezwani. Nie chce, żeby którykolwiek z was rozmawiał z innymi pracownikami WDN, dopóki sam się z wami nie spotka. Nie martwcie się, nie jesteście o nic podejrzani, po prostu mamy wielu nowych pracowników i nie wszyscy zostali poinformowani o charakterze tego kryzysu. Bezpieczeństwo to kwestia nadrzędna.

Nie byliśmy zachwyceni, ale wszyscy zrozumieliśmy i dalszy etap podróży spędziliśmy w milczeniu. Zauważyłem, że Starszy udaje drzemkę, ale w rzeczywistości wpatruje się w Olliego, który odwrócił się sztywno ode mnie i Courtland i wyglądał przez okno. Kiedy Starszy zauważył, że go obserwuję, uśmiechnął się i zamknął oczy.

Później rzeczywiście wyglądał, jakby spał, ale nie uwierzyłem w to.

* * *

Wylądowaliśmy o zmroku. Kiedy wysiadłem, podszedł do mnie strażnik i zaprowadził mnie do gabinetu szefa. Na twarzy Churcha nie malowały się żadne uczucia i z pewnością nie podbiegł, żeby mnie objąć, ale widziałem jego oczy za przyciemnianymi szklami, kiedy oglądał mnie od góry do dołu. Gestem wskazał mi krzesło, a później sam usiadł za biurkiem. Strażnik nalał mi kawy i wyszedł.

– Grace powiedziała mi, że oddział Echo nie odniósł żadnych obrażeń.

Prawie powiedziałem: „Żadnych widocznych na zewnątrz”, ale to był banał. On chyba jednak czytał mi w myślach, gdyż pokiwał głową.

– I udało wam się pojmać jeńca.

Nie odpowiedziałem. Jeśli wiedział o Olliem – a z pewnością wiedział – nie zająknął się o tym ani słowem.

– Co się stanie z tymi dzieciakami?

– Nie wiem. Wszystkie trafiły do szpitala i dostały ochronę z FBI. Biuro zajmie się kwestią ich identyfikacji. Niektóre są zbyt wstrząśnięte, by powiedzieć, jak się nazywają. Żadne nie pamięta, jak zostało porwane. Kilkoro ma na ciele świeże oparzenia podobne do pozostawianych przez wodne paralizatory, możemy więc założyć, że zostały zaskoczone, być może wybierano je przypadkowo.

– Eksperymenty na dzieciach nadają całej sprawie zupełnie nowy charakter.

– Tak – powiedział – i w związku z tym chcę usłyszeć pański raport na temat tego, co się dziś wydarzyło, ale najpierw chcę, żeby ocenił pan sytuację w przetwórni krabów. Kiedy najwcześniej będzie mógł pan ją zaatakować?

– Istnieje minimalna szansa, że wrogowie w drugiej przetwórni nie wiedzą o naszym dzisiejszym ataku. Zagłuszaliście komórki, prawda? I przecięliście linie naziemne? Jest późno – powiedziałem. – I tak z pewnością ograniczali komunikację do minimum. Sądzę, że musimy ich zaatakować do jutra do południa.

– A dlaczego nie od razu? Mamy wystarczającą siłę ognia, by spróbować wejścia siłowego.

Pokręciłem głową.

– Są trzy powody, dla których nie zrobimy tego dziś w nocy. Po pierwsze, musicie przesłuchać więźnia. Po drugie, w przetwórni mięsa było pełno dzieciaków. Diabli wiedzą, jak wielu cywilów jest w przetwórni krabów. Jeśli wkroczycie tam po kowbojsku, może zginąć mnóstwo niewinnych ludzi.

– A trzeci powód?

– Ta przetwórnia to zadanie oddziału Echo i nie chcę, by ktokolwiek je przejął. Niech pan posłucha, wynajął nas pan, żebyśmy byli pańskim pierwszym oddziałem. I dostał pan to, za co pan zapłacił. Wiem, że był pan tutaj i oglądał nagrania z kamer na hełmach. Wie pan więc, przez co tam przeszliśmy i jak dobrzy są moi ludzie. Oddział Alfa może być sobie elitą WDN i w ogóle, ale tutaj się spóźnili. Powinni pojawić się na miejscu wcześniej. Nie powinienem być zmuszony, by wzywać ich na pomoc, kiedy zrobiło się gorąco.

– Grace Courtland i Gus Dietrich to doskonali agenci. Równie dobrzy, jak oddział Echo – powiedział Church. – Na pewnym etapie wszyscy byli, ale... od czasu St. MichaelaFs wykazują oznaki wstrząsu pourazowego. W ciągu ostatnich dwóch dni ich wyniki pogorszyły się o czternaście procent, a w czasie ćwiczeń na strzelnicy widać u nich wahanie. Przed St. MichaelaTs tego nie było.

Teraz zrozumiałem. Odstawiłem kubek z kawą i oparłem łokcie na blacie.

– Czyli się rozumiemy?

– To, co zobaczyliście w Delaware, świadczy o jednym: przegrywamy. Chcę, by przetwórnia krabów została zaatakowana dziś w nocy. Natychmiast.

– Nie ma mowy. Mój oddział musi odpocząć. Mówił pan o zmniejszonej skuteczności bojowej. Cóż, jeśli wyśle pan swój najlepszy oddział w sytuację kryzysową bez szans na odpoczynek, to wcale nie będzie pan miał najlepszego oddziału. Będzie pan miał zmęczonych ludzi, którzy będą się mylić. Natychmiastowy powrót ich zabije. Dwanaście godzin na sen i zaplanowanie uderzenia.

– Dwie godziny snu i narada w śmigłowcu.

Po minucie powiedziałem:

– Idę porozmawiać z naukowcami, a później ruszamy za trzy godziny. To nie podlega negocjacom. Nie poprowadzę swojego oddziału na rzeź. Już wolę pójść sam.

Przez chwilę wydawało się, że potraktował to jako propozycję. Później pokiwał głową.

– W porządku. – Wziął waniliowego wafelka i wskazał na talerz. – Proszę się poczęstować.

Wziąłem sobie oreo.

– To ma być rekonesans czy spalona ziemia?

– Moi naukowcy potrzebują danych. Komputery, sprzęt laboratoryjny, próbki patogenów... lokal musi pozostać w jednym kawałku.

– Jakiego wsparcia możemy oczekiwać?

– Całego. Oddział Alfa będzie w gotowości, pojawią się jako pierwsi, jeśli będziecie ich potrzebować. F-18 w powietrzu, wsparcie śmigłowców do ewakuacji, jeśli zrobi się gorąco. Komandosi mogą się pojawić w ciągu dziesięciu minut, a Gwardia Narodowa jest w pogotowiu. Jeśli dojdzie do strzelaniny, mamy przewagę. Gdyby jednak ktoś wydostał się na zewnątrz, rozważymy taktykę spalonej ziemi.

Nie musiał tłumaczyć, że jeśli komuś uda się wydostać na zewnątrz, a mój oddział nadal będzie w środku, zostaniemy usmażeni razem z wrogiem. I choć sam bym wydał taki rozkaz, nie sprawiło to, że poczułem się lepiej.

– Co z więźniem? Myślałem, że będzie go pan teraz przesłuchiwał.

– Miło by było – zgodził się – ale ma dwie kule w klatce piersiowej. Jest operowany. Dadzą mi znać w chwili, kiedy jego stan ustabilizuje się na tyle, żeby mógł odpowiadać na pytania.

– A jeśli choroba, za pomocą której go kontrolowano, rozwinie się wcześniej?

– Wtedy będziecie musieli się postarać i przyprowadzić mi kolejnych jeńców po nalocie na przetwórnię krabów.

– Cudownie. – Dopięłem kawę. – W porządku, niech mnie pan zaprowadzi do swoich szalonych naukowców.

Rozdział czterdziesty szósty

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 21:20

W drodze do laboratoriów Church powiedział:

– Doktor Sanchez zgodził się, pod pewnymi warunkami, pomagać nam w obecnym kryzysie.

– Jakie są jego warunki?

– Będzie tu tak długo jak pan. Najwyraźniej sądzi, że potrzebuje pan niańki. – Wydawał się rozbawiony. – Major Courtland informuje go właśnie o wszystkim.

– Rudy nie jest wojownikiem.

– Wszyscy służymy zgodnie z naszą naturą, kapitanie. Poza tym pański przyjaciel może być twardszy, niż się panu wydaje.

– Nie powiedziałem, że nie jest twardy. Po prostu nie chcę patrzeć, jak daje mu pań broń do ręki.

– Zapamiętam.

Weszliśmy do rozległej strefy załadunku, która niedawno została przegrodzona pustakami.

W powietrzu wisiała ciężka woń wapna i betonu. Wewnątrz ustawiono rząd kontenerów, jakie zwykle stawia się na placach budowy i wykorzystuje jako tymczasowe biura. Kiedy je mijaliśmy, Church rzucał kolejno po jednym słowie. Kryptografia. Monitoring. Nadzór. Komputery.

Na drzwiach kolejnego czarnymi drukowanymi literami wypisano DWANAŚCIE.

Church tym razem się nie odezwał.

Przed drzwiami stało czterech uzbrojonych strażników, dwóch zwróconych na zewnątrz, a dwóch odwróconych twarzami w stronę jedyne wejście do kontenera. Do tego pięćdziesiątka na trójnogu, wycelowana w drzwi i otoczona workami z piaskiem.

Zwolniłem kroku i zmarszczyłem czoło, czując napięcie wypełniające powietrze. Na karku poczułem chłód, jakby zacisnęła się na nim lodowata ręka.

– Niech to – powiedziałem. – Macie ich tam więcej?

– Między innymi – odparł cicho. – To również nasza sala operacyjna, tam właśnie przebywa więzień. Ale odpowiadając na pańskie pytanie, mamy ich sześciu.

– Takich jak Javad?

Twarz Churcha stężała, kiedy odpowiedział:

– Cała szóstka sztywnych jest z St. Michael's. Jeden lekarz, trzech cywile, dwaj agenci WDN.

– Boże!

– Dziś wieczorem wysyłam trójkę do naszego obiektu na Brooklynie, tam zostaną przeprowadzone badania. Reszta zostanie tutaj.

– Badania? Ale... mówi pan o swoich ludziach.

– Są martwi, kapitanie.

– Church, ja...

– Są martwi.

Rozdział czterdziesty siódmy

Hotel Ishtar, Bagdad 30 czerwca

– Kto dzwonił? – spytał Gault, wychodząc z łazienki. Zawiązał pasek miękkiego szkarłatnego szlafroka. – Amira?

Zabawka podał mu filiżankę kawy na porcelanowym spodku.

– Nie, znowu Jankes.

– Czego chciał? Nie, niech zgadnę. Amerykanie w końcu zrobili nalot na przetwórnę krabów? Najwyższy, kurwa, czas...

– Nie – przerwał mu Zabawka. – Wygląda na to, że zaatakowali drugi obiekt. Ten w Delaware. Przetwórnę mięsa. – Ostatnie dwa słowa wypowiedział przesadnie powoli, jakby smakował każdą sylabę.

Gault mruknął coś pod nosem i pociągnął łyk kawy.

– To niefortunny obrót sytuacji. – Przez chwilę zagryzał wargę. – A co z drugą przetwórną? Mieli ją zlokalizować jako pierwszą.

Zabawka pociągnął nosem.

– Amerykański rząd zawsze robi odpowiednią rzecz w nieodpowiedniej chwili. Jak brzmi ta fraza, którą pan tak lubi?

– Od dupy strony.

Zabawka się roześmiał. Uwielbiał skłaniać Gaulta, by wypowiadał te słowa.

Gault dopił kawę i wyciągnął rękę z filiżanką po dolewkę. Zabawka ją napełnił i obaj usiedli – Gault na wyściełanym fotelu przy drzwiach balkonowych, Zabawka na oparciu kanapy, ze spodeczkiem na kolanach. Z iPod'a umieszczonego w stacji dokującej Bose dobiegał głos Andy'ego Williama śpiewającego z towarzyszeniem Alvy'ego Westa na saksofonie altowym. *Meet Me Where They Play the Blues*. Zabawka od jakiegoś czasu przegrywał należącą do Gaulta wielką kolekcję nagrań historycznych big-bandów na pliki. Gault zastanawiał się, kiedy znajdował na to czas.

Kiedy piosenka się skończyła, Zabawka się odezwał:

– Ta zmiana w harmonogramie... cokolwiek zmieni? To znaczy z El Mięśniakiem?

– Właśnie się nad tym zastanawiałem. To będzie wymagało doskonałego wycucia czasu. Naprawdę byłoby lepiej, gdyby przetwórnę krabów zaatakowali jako pierwszą, i nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobili.

– Może udało im się odszyfrować pliki z magazynu? Sam pan mówił, że to kwestia czasu.

– Bardzo dokładnie określonego czasu. Dużo zapłaciłem, by upewnić się, że te pliki nie zostaną odszyfrowane za szybko. Pamięć USB została celowo i bardzo starannie uszkodzona, podobnie jak oprogramowanie, by dać nam jeszcze co najmniej czterdzieści godzin, nawet gdyby użyli najlepszego sprzętu. – Pokręcił głową z frustracją. – Doktor Renson i tamten drugi maniak komputerowy zapewniali mnie, że nie da się tego zrobić szybciej.

– A co z MindReaderem?

Gault machnął ręką.

– MindReader to mit. Internetowy folklor zrodzony w umyśle jakiegoś hakera. Opowiadali o nim jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

Zabawka nie dał się zbyć.

– A jeśli naprawdę istnieje?

Gault wzruszył ramionami.

– Jeśli istnieje i ma go WDN, to owszem, mógłby namieszać w naszych planach. Ale co z tego?

W tym momencie, cokolwiek zrobią, nie powstrzymają planu.

– To pan jest tu szefem – powiedział Zabawka zbolalym tonem, który, jak dobrze wiedział, drażnił Gaulta. – Ale nadal nie mamy odpowiedzi na pytanie, co zrobić z przetwórną krabów... i czy to zaszkodzi całej operacji.

– Nie – odparł Gault po dłuższym namyśle – nie, planowi nie zaszkodzi. Zbyt wiele elementów zostało już wprowadzonych w ruch. Co zaś dotyczy przetwórnicy, nie będzie całkowitą katastrofą.

Zabawka wpatrzył się w niego i po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Robi pan tę minę. Znam tę minę. Co pan tam namieszał?

Gault uśmiechnął się tajemniczo.

– Spodziewaj się wkrótce kolejnego telefonu od Jankesa.

– Hm – mruknął Zabawka – będę czekał z zapartym tchem.

Rozdział czterdziesty ósmy

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 21:24

Wnętrze laboratorium łączyło w sobie spełnione marzenie każdego naukowca i koszmarny bałagan – sterty książek, pliki wydruków komputerowych, kubki po kawie i stoły uginające się pod ciężarem wszelkiego rodzaju sprzętu diagnostycznego i badawczego. Chromatografy gazowe, przenośne sekwencery DNA i mnóstwo towaru, którego nie widziałem nawet w stanowym laboratorium medycyny śledczej. Sprzęt jak z filmów s.f. Machiny brzęczały, dzwoniły i pikały, a tuzin laborantów w białych fartuchach wciskał guziki, robił notatki i wymieniał ponure spojrzenia. Na samym środku stało jedno biurko, większe od wszystkich pozostałych, które było niczym świątynia popkultury, i choć szczycę się, że rzadko okazuję po sobie zaskoczenie, na ten widok opadła mi szczęka. Nie wiem, czy był to przykład najczarniejszego możliwego humoru, czy wyjątkowo złego smaku, ale widziałem sterty magazynów grozy, figurki zombie z kilku różnych filmów, co najmniej pięćdziesiąt powieści o zombie z pozaginanymi rogami, jak również całą kolekcję żywicznych figurek przedstawiających superbohaterów Marvela w różnych stadiach rozkładu. Pośrodku tej oazy kiepskiego gustu, niczym szczęśliwy dzieciak, siedział Chińczyk po trzydziestce, niechlujny i kiepsko ostrzyżony. Spod jego fartucha wystawała hawajska koszula. Church stanął obok biurka – ale nie za blisko – a jego idealny garnitur i władcza aura wydawały się wręcz deklaracją.

– Kapitanie – powiedział Church – pozwolę sobie przedstawić panu doktora Hu.

Gapilem się na niego.

– Doktor Who? Jaja sobie pan ze mnie robi? To jakiś głupi kryptonim czy coś?

– H-U – przeliterował Church.

– Aha.

Hu nie wstał, ale wyciągnął do mnie rękę, a ja ją uściśnięm. Spodziewałem się czegoś miękkiego i wilgotnego, ale on zaprzeczył stereotypom, jego uścisk był suchy i mocny. Kiedy jednak się odezwał, powiedział:

– Pan jesteś ten ważniak, zabójca zombie. Człowieku, widziałem nagrania z Delaware. Rany! Fantastyczne! Pan to umiesz skopać tyłki zombiakom.

Pachniał starym chlebem, co nie jest tak przyjemne, jak mogłoby się wydawać.

– Myślałem, że nazywacie ich sztywnymi.

– Czasami. – Wzruszył ramionami. – To pewnie bardziej poprawne politycznie. Żołnierze mniej się stresują.

Znacząco skinąłem głową w stronę jego zabawek.

– A nie chcemy robić wrażenia niewrażliwych.

Hu uśmiechnął się szeroko.

– Zaprzeczanie to głupota. Walczymy z żywymi trupami. Wolelibyście, żebyśmy nazywali ich „nieumarłymi obywatelami”? Ja tam chciałem nazwać ich ALFami.

Przeniosłem wzrok na Churcha.

– Alien lifeless forms, obce formy nieżycia – powiedział Church z kamienną twarzą.

– Rozumiesz? – spytał Hu.
– Jak to możliwe, że nikt cię jeszcze nie zastrzelił? – spytałem.
Rozłożył ręce.
– Jestem użyteczny.
I mógłbym przysiąc na Boga, że widziałem, jak wargi Churcha wypowiadają słowo: „Ledwo”.
Na głos powiedział:
– Żarty doktora Hu bardziej niż widownię bawią jego samego.
– Przy naszym pierwszym spotkaniu wyraził pan niemal taką samą opinię na mój temat.
– Aha. – Church odwrócił się do naukowca. – Proszę odpowiedzieć na wszystkie pytania kapitana Ledgera.
– Jaki jest jego certyfikat bezpieczeństwa?
Church patrzył na mnie, kiedy odpowiadał:
– Najwyższy. Jest teraz członkiem rodziny.
Z tymi słowami podszedł do pobliskiej stacji roboczej, przyciągnął sobie krzesło, usiadł, założył nogę na nogę i wydawało się, że zupełnie przestaje zwracać na nas uwagę.
Hu obejrzał mnie od góry do dołu, pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko.
– Ma pan jakieś przygotowanie naukowe?
– Ekspertyzy kryminalistyczne w robocie – powiedziałem – kilka związanych z tym kursów wieczorowych i prenumerata *Popular Science*.
– W takim razie nie będę używał wielkich słów. – Bardzo starał się nie brzmieć przy tym protekcjonalnie. – Mamy do czynienia z bronią biologiczną o ogromnym stopniu skomplikowania. To coś nie wyewoluowało naturalnie, Matka Natura się nie zdenerwowała i nie rzuciła mutacją.
Tak naprawdę to nawet nie jest patogen, który mógłby wyewoluować naturalnie. Znajdujemy się tu w sferze dziwactw. Ktoś upichcił go w laboratorium, a ktokolwiek to zrobił, jest bystry.
– Rozumie się samo przez się – powiedziałem.
– Nie. Mam na myśli przerażająco bystry. Ktokolwiek to zrobił, powinien mieć półkę pełną nagród Nobla i całą listę skrótów przed i za nazwiskiem. Ja nie mam tu sprzętu, żeby coś takiego stworzyć, a pan Church kupuje mi dużo fajnych zabawek. Wymagałoby to dużego ośrodka badawczego, mikroskopów elektronowych, sterylnych pomieszczeń i mnóstwa towaru, o którym pan nigdy nie słyszał. To rewolucyjna technologia, kapitanie.
– Mów mi Joe.
– Joe? – Pstryknął palcami. – Ej... nazywasz się Joe Ledger?
– Tak, wydawało mi się, że już to ustaliliśmy.
– Lubisz komiksy? No wiesz... Doktor Spectrum? – Spoglądał na mnie z wyczekiwaniem.
– Doktor Spectrum, superbohater z uniwersum Marvela? Tak naprawdę nazywa się „Joe Ledger”. Nieźle, co?
– Jeśli się nad tym zastanowić – powiedziałem – to nie, raczej nie.
– Doktorze... – powiedział Church z nutą łagodnego ostrzeżenia w głosie.
– Dobra, dobra, nieważne. Mówimy o chorobie – stwierdził i przez chwilę widziałem naukowca za fasadą maniaka popkultury. – Posłuchaj, nauka rzadko jest fajna, a przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu zabija nudą. Pomijając fakt, że proces empiryczny wymaga niekończących się powtórzeń każdego pieprzonego kroku, trzeba wziąć też pod uwagę stanowe i federalne ograniczenia tego, co wolno nam robić. Wiele z możliwości badawczych jest ograniczonych, a niektóre całkiem zablokowane. Broń biologiczna, tego typu sprawy.

– Nawet dla wojska?
– Nawet.
– Nawet dla ściśle tajnych jednostek wojskowych? – spytałem z lekkim uśmiechem.
Zawahał się.
– No dobra, tu zaczyna się robić zabawniej, ale i tak połowy rzeczy nie można opublikować, co znaczy, że nie dostaje się nagród i nie pisze bestsellerów.
– Żadnych fanek?
– Żartujesz sobie, ale istnieją na świecie kobiety, które pociąga umysł. Nie wszyscy umieramy dziewczycami.
– W porządku. A jak to się wiąże z zombie?
– Sądzę, że mamy do czynienia z prawdziwym szalonym naukowcem. Geniuszem zła. Wydawał się naprawdę zadowolony z tego pomysłu. Miałem ochotę go walnąć.
Popatrzyłem na Churcha, który uniósł brwi z miną „sam pan chciał z nim porozmawiać”.
– Mówię poważnie – stwierdził Hu. – Mamy tu do czynienia z kimś obdarzonym potężnym umysłem i dysponującym ogromnymi zasobami. Naprawdę ogromnymi. Proszę pamiętać, że wielu terrorystów pochodzi z krajów wydobywających ropę naftową. Nasz Doktor Zło potrzebowałby tego rodzaju pieniędzy, żeby to wszystko osiągnąć.
– Pojmuję. Czy naszemu geniuszowi zła udało się rzeczywiście wskrzesić umarłych?
– Nie, proszę posłuchać... sztywni nie są tak naprawdę martwi... ale nie są też żywi.
– Wydawało mi się, że innej możliwości poza tymi dwiema nie ma.
– Czasy się zmieniają. Znasz ten film, *Noc żywych trupów*? Sądzę, że „żywy trup” to niezłe określenie na to, co tu mamy. – Zdjął z biurka sprężynkę Slinky i zaczął się nią bawić. – Cała kwestia polega na tym, że ciało w drodze ewolucji uzyskało sporą redundancję, co pozwala nam przeżyć choroby i obrażenia. Na przykład tak naprawdę wystarczyłaby nam wątroba działająca zaledwie w dziesięciu procentach, jedna nerka w dwudziestu procentach, kawałek płuca. Można żyć bez obu rąk i obu nóg. W literaturze naukowej opisano tysiące przypadków pacjentów, którzy wciąż pozostawali przy życiu, nawet jeśli ich ciała powinny już dawno przestać działać. W niektórych przypadkach umiemy odkryć dlaczego, w innych nadal nie wiemy nic. Nadążasz za mną?
– Pewnie.
– A teraz popatrz na sztywnych. Gdyby byli naprawdę i zupełnie martwi, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. Ja wciąż bym siedział na Brooklynie, a ty robiłbyś, cokolwiek robiłeś, zanim pan Church cię zwerbował. Dlaczego? Bo martwi są martwi. Ich mózgi wykazują zerową aktywność, oni nie wstają i nie gonią ludzi.
– Javad Mustapha był martwy – zauważyłem. – Zabiłem go. Dwa razy.
Hu pokręcił głową.
– Nie, zabiłeś go raz, podczas drugiego z nim spotkania. Oczywiście, kiedy postrzeliłeś go podczas nalotu, zadałeś mu rany, które powinny być śmiertelne i z pewnością by zginął, gdyby nie obecność patogenu. Ale ta kurewska choroba nie pozwoliła Javadowi umrzeć. Widzisz, to bydłę wygasa wszystkie części ciała, które nie służą bezpośrednio jednemu celowi jego istnienia.
– To znaczy?
– Rozprzestrzeniać chorobę. Te stwory zostały zaprojektowane, by być nosicielami. Bardzo agresywnymi nosicielami. Choroba po prostu wyłączyła części ciała uszkodzone przez twoje kule.
Nie patrz tak na mnie, wiem, że to brzmi dziwnie, ale ktoś upichcił coś, co prawie zabija swoje ofiary, ale jednocześnie nie pozwala im umrzeć, przynajmniej zgodnie z naszym wcześniejszym pojmowaniem śmierci. Dodali jeszcze trochę tego i trochę owego, żeby

gospodarz – to znaczy sztywny – agresywnie roznosił patogen. Coś wspaniałego, ale dziwnego, ponieważ choroba ciągle próbuje zabić gospodarza, a jednocześnie ze wszystkich sił stara się utrzymać pewne jego części przy życiu.

– To nie ma sensu.

– Oczywiście, że ma, ale nie tak, jak ci się wydaje. I do pewnego stopnia jest naturalne...

w pewnym sensie. Gorączka podczas zakażenia to tak naprawdę próba wypalenia go z organizmu przez układ odpornościowy. Czasami gorączka przynosi więcej szkód niż pierwotna choroba. Łuszczycyca, reumatoidalne zapalenie stawów... to kilka przykładów sytuacji, gdy układ odpornościowy szkodzi, ponieważ próbuje naprawić niewłaściwy problem albo za bardzo stara się naprawić drobny problem. W naturze jest mnóstwo przykładów, ale tutaj mamy kogoś, kto pociągnął tę koncepcję w zupełnie nowym kierunku. Mamy tu śmiertelną chorobę, kilka pasożytów, terapię genetyczną plus kilka innych rzeczy, których jeszcze nie ogarniamy, a wszystko obecne w skupisku cząstek niepodobnym do niczego, o czym wiemy. Gdyby ci goście nie próbowali zniszczyć Ameryki, na samych patentach zarobiliby miliardy.

– Czy ma to cokolwiek wspólnego ze śmiertelną bezsennością rodzinną?

Uniósł brwi.

– Punkt dla ciebie, że w ogóle znasz tę nazwę. Odpowiedź brzmi... tak i nie. To choroba prionowa, którą wykorzystali jako zestaw startowy, ale podkreślili go innymi rzeczami. Nawet teraz ma pewne cechy charakterystyczne dla typowego TSE.

– TSE?

– Priony wywołują choroby zwyrodnieniowe układu nerwowego, zwane TSE, co jest skrótem od *transmissible spongiform encephalopathies*, czyli pasażowalne encefalopatie gąbczaste – wyjaśnił. – Wciąż niewiele wiemy o przenoszeniu się prionów i ich patogenezie. Wiemy, że priony to białka, których struktura się zmieniła, a w nowej formie zachowują się inaczej niż normalne białka. To dziwne cholerstwa... nie mają DNA, a jednak są zdolne do samopowielania. Sporadyczne przypadki występują mniej więcej u jednego człowieka na milion i stanowią obecnie około osiemdziesięciu pięciu procent wszystkich zachorowań na TSE. Dalej są przypadki rodzinne, które stanowią około dziesięciu procent TSE i są przekazywane z pokolenia na pokolenie w sposób, którego jeszcze nie rozumiemy, ponieważ cechy dziedziczne są genetyczne, a jak już wspomniałem, priony nie mają DNA. Pozostałe pięć procent to przypadki jatrogenne, które są skutkiem przypadkowego przeniesienia czynnika sprawczego przez zakażony sprzęt chirurgiczny, zdarzały się też przypadki zakażenia przy transplantacji rogówki czy twardówki albo po podawaniu hormonów wzrostu pozyskiwanych z ludzkiej przysadki. Nadal nadążasz?

– Trzymam się zębami i pazurami. Jak możliwe, że te priony zmieniają ludzi w potwory, zamiast po prostu ich zabijać?

– Nowe skupisko patogenów zaprojektowano w tym właśnie celu. Priony powodują śmiertelną degenerację funkcji kognitywnych i motorycznych, co pozwala wywoływanej przez pasożyty agresji obejść świadomą kontrolę. Ktoś wziął prion i dołączył go do tych pasożytów. Nawet nie pytaj mnie jak, bo jeszcze nie wiemy. To musi być nowy proces, który oni wymyślili. Mówiąc w skrócie, zmienili TSE w szybko działający patogen obecny w surowicy, ale z mnóstwem różnych cech dodatkowych, a zwłaszcza agresją. Agresja ofiary zostaje podkreślona tak, że bardzo przypomina wściekłość, która pojawia się u niektórych uzależnionych od fencyklidyny i metamfetaminy na głodzie. Widziałeś kiedyś film *28 dni później*? Nie. Powinieneś. Sequel też daje czadu. W każdym razie w filmie pokazano wirusa, który stymulował ośrodki złości do punktu, w którym zaczynały one dominować nad innymi funkcjami mózgu. Ofiary przepelniała totalna, niekończąca się, a pod koniec również bezmyślna furia. Zupełnie przypomina to, z czym mamy do

czynienia tutaj.

– Myślisz, że jakiś terrorysta z doktoratem z chemii obejrzał sobie horror i pomyślał: „Ej, to jest dobry sposób, żeby zabijać Amerykanów”?

Hu wzruszył ramionami.

– Po tym, co widziałem przez ostatni tydzień, wcale by mnie to zdziwiło. Być może jakieś wyższe funkcje mózgowe wciąż jeszcze działają, ale jeśli nawet, to i tak słabiej niż u pacjentów z zaawansowanym alzheimerem.

– Pacjent z alzheimerem nadal odczuwa ból, a kiedy ja spuszczałem łomot Javadowi, on nawet nie mrugnął.

– No tak, wchodzimy w jedną z licznych szarych stref. Pamiętaj, że nie mamy do czynienia z naturalną mutacją, więc wiele z tego, co wiemy, opiera się na obserwacji w terenie i badaniach klinicznych.

– Czyli... jeśli mówimy o chorobie, to dlaczego mówimy jednocześnie o żywych trupach? Jak to działa?

– Pracujemy nad tym ze sztywnymi, których zdobyliśmy w St. Michael's – powiedział Hu i uśmiech na chwilę zniknął z jego twarzy. – Skupisko chorób ogranicza funkcjonowanie ciała w tak dużym stopniu, że wchodzi ono w swego rodzaju uśpienie. Nazywaliśmy to „śmiercią”, ale myliliśmy się. Kiedy zastrzeliłeś Javada, choroba już spustoszyła jego ciało, a obrażenia przyspieszyły proces. Wpadł w śpiączkę tak głęboką, że medycy, którzy oceniali jego stan, nie wykryli żadnych oznak życia. Pomyśl tylko – powiedział, kręcąc się na krześle – zwierzęta są zdolne do hibernacji, ludzie też, choć w bardzo ograniczonym stopniu. Niezbyt łatwo, ale czasami się zdarza. Zwłaszcza w przypadkach hipotermii. Ale kiedy suseł hibernuje, jego przemiana materii spowalnia do około jednego procenta podstawowej. Gdybyś nie miał wysokiej klasy sprzętu, pomyślałbyś, że nie żyje. Nawet jego serce bije tak rzadko, a ciśnienie krwi jest tak niskie, że gdyby go zranić, nie popłynęłoby dużo krwi.

– Czy mi się wydaje, czy niektórzy jogini robią takie rzeczy?

– Nic w tym rodzaju. Nawet w najgłębszym transie ich przemiana materii spowalnia do dziewięćdziesięciu dziewięciu, może dziewięćdziesięciu ośmiu procent podstawowej. Sztywni z kolei zapadają w śpiączkę równie głęboką, jak suseł. Głębszą niż hibernujący niedźwiedź. Właściwie każdy sprawdzający oznaki życia uznałby ich za martwych. Musieliśmy używać skomplikowanego sprzętu, żeby je odnaleźć, a nawet i wtedy prawie je przegapiliśmy. Mamy tutaj kogoś, komu udało się albo wbudować DNA susła do ludzkiego – i nie, zanim zapytasz, nowoczesna transgenetyka twierdzi, że nie są ze sobą kompatybilne – albo znaleźć sposób, by zmodyfikować chemię organizmu i wywołać w ten sposób sztuczną hibernację. Tak czy inaczej, widzimy efekty, ale nie jesteśmy ani trochę bliżsi zrozumienia. – Odłożył slinky i pochylił się. – Kiedy ofiara zapada w śpiączkę, to skupisko chorób przeobraża podstawowy sposób funkcjonowania ciała. W jakiś sposób wykorzystuje białko śmiertelnej bezsenności rodzinnej, by obudzić ofiarę i nie pozwolić jej zasnąć, ale w czasie hibernacji pasożyt odcina te części ciała, które zostały poważnie uszkodzone – na przykład przez rany postrzałowe. Nasz sztywny wstaje, ponieważ pasożyt utrzymał przy życiu korę ruchową, jak również niektóre nerwy czaszkowe – te zawiadujące utrzymywaniem równowagi, przeżuwaniami, przełykaniem i tak dalej. Jednakże większość organów przestała działać, a ograniczony dopływ krwi i tlenu doprowadził do nieodwracalnego uszkodzenia wyższych funkcji mózgowych, takich jak myślenie. Serce pompuje tylko odrobinę krwi, a płuca działają na poziomie właściwie bez znaczenia. Krążenie zostaje tak znacznie ograniczone, że pojawia się martwica. Mamy więc klasycznego tępego, głodnego, gnijącego zombiaka. To coś pięknego, człowieka, absolutnie cholernie pięknego.

Impuls, by go walnąć, stawał się coraz silniejszy.

– Czy one są zdolne w ogóle myśleć? Rozwiązywać problemy?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli sztywni zdolni są do świadomego myślenia, jeszcze nie widzieliśmy na to dowodów. Ale tak naprawdę nie wiemy, do czego są zdolni, a do czego nie, albo jakie wariacje mogą się pojawić w większym przekroju populacji. Może dlatego mieli dziś dzieciaki, wypróbowywali patogen na nowej grupie laboratoryjnej. Organizmy dzieci działają inaczej. Ale ogólnie to tępe cielesne automaty. Chodzą, warczą, gryzą i tyle.

Wydąłem policzki.

– Czują ból?

– Nie wiadomo. Z pewnością na niego nie reagują. Nie widzieliśmy nawet mechanizmu wzdrygnięcia. Choć w St. MichaeTs nauczyliśmy się, że cofają się przed ogniem. Wygląda na to, że nie zważają na inne rodzaje bólu i groźbę bólu albo potrafią je ignorować.

– Jednak umierają – zauważyłem. – Uszkodzenia mózgu i pnia mózgu załatwiają sprawę.

– Owszem i na twoim miejscu tego bym się trzymał. Ale czy poza tym można ich zranić w klasycznym tego słowa znaczeniu... to skomplikowane. Nasi sztywni mają hiperaktywną zdolność leczenia ran. Nie na skalę Wolverine'a z *X-Menów*, który błyskawicznie powraca do pełni zdrowia, raczej w stylu opon samochodowych, kiedy napełni się je uszczelniaczem z puszki. Jak wiesz, rany się zasklepiają, inaczej wykrwawilibyśmy się na śmierć po rozcięciu palca kartką papieru. Pewne białka, fibryny, i fibronektyny, glikoproteiny o wysokiej masie cząsteczkowej, łączą się ze sobą, tworząc czop, który chwytą białka i inne cząsteczki, zapobiegając dalszej utracie krwi. Z nich powstaje skrzep pomagający w zasklepianiu rany. Później pewne „wędrowne komórki” wykorzystują go, żeby rozejść się po całej powierzchni rany, płytki krwi przyklejają się do skrzepu, aż zastąpi je ziarnina, a później kolagen. U sztywnych cały ten proces przebiega w przyspieszonym tempie. Jeśli postrzelić kogoś z nich, rana zamyka się od razu. Gdyby to była naturalna mutacja, uznalibyśmy to za ewolucyjną odpowiedź na bardzo niebezpieczne środowisko – szybkie gojenie w obecności potencjalnie częstych zranień. Ale to świadoma robota i ponownie nasz Doktor Zło ma w ręku kopalnię złota w postaci patentów, bo ten proces byłby potencjalnym lekarstwem na hemofilię i inne zaburzenia krzepliwości krwi. A wykorzystanie go na polu bitwy byłoby warte miliardy. – Pochylił się.

– A jeśli tobie i twojemu oddziałowi Rambo uda się wyjąć geniusza, który za tym stoi, ja rzucę to gówno, złożę wnioski patentowe, a później kupię sobie Tahiti i przejdę na emeryturę.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Westchnąłem. – A co z lekarstwem, czymś, co zabiłoby te priony? Moglibyśmy podać ludziom coś, co pobudzi ich układ odpornościowy?

Pokręcił głową.

– Układ odpornościowy nie reaguje na choroby prionowe tak jak na inne choroby, nie zaczyna działać i choroba rozprzestrzenia się zbyt szybko, bo nic jej nie hamuje. A kiedy już się rozwinie, nie ma leków.

– Cudownie.

– A zabicie prionu jest niewiarygodnie trudne. W laboratoriach, gdzie wykorzystuje się przysadki do produkcji hormonów wzrostu, wykorzystywano różnorodne rozpuszczalniki do oczyszczenia tkanki. One zabijają wszystko... poza przekłętymi prionami. Nawet formaldehyd ich nie zabija, co nie mieści mi się w głowie. Promieniowanie radioaktywne i bombardowanie ultrafioletem ich nie zabija. My, a kiedy to mówię, mam na myśli wszystkich czarodziejów ze społeczności naukowej, próbowaliśmy właściwie wszystkiego, by zabić TSE. Traktowaliśmy zakażone tkanki mózgowe wszelkiego rodzaju chemikaliami,

w tym przemysłowymi detergentami, a priony po prostu nie giną. Nie giną nawet z organizmem macierzystym. Jeśli zakopiesz trupa zakażonego chorobą prionową, a sto lat później wykopiesz kości... priony nadal tam będą. W końcu są to proste białka.

– Czy to wszystko? – spytałem.

– Mógłbym gadać jeszcze długo...

– To znaczy, czy to wszystkie najważniejsze punkty? Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze, jeśli mam poprowadzić swój oddział do tej przetwórci krabów?

Hu znów spojrzał na Churcha, a wzrok Churcha nie był już zamysłony. Skinął naukowcowi głową.

– Cóż – powiedział Hu – pozostała jeszcze kwestia zakażenia.

– Jasne, choroba jest przenoszona przez ugryzienie. Jakieś trzy godziny temu widziałem to z bliska. Widziałem, jak te skurwysyny gryzą dzieci.

Podniosłem wzrok, by ocenić reakcję Hu, ale na jego twarzy nie widziałem współczucia. Zbyt zajmowało go rozważanie, jakie to wszystko jest fajne. Zastanawiałem się, jak by się poczuł, gdyby został zamknięty w jednym pomieszczeniu ze sztywnym.

Hu uśmiechnął się przebiegle.

– Jest trochę gorzej. Właściwie o wiele gorzej.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Magazyn WDN, Baltimore, 30 czerwca, 21:39

– Z czym jest gorzej?

Odwróciwszy się, zobaczyłem, jak do laboratorium wchodzi Grace Courtland, a za nią podąża Rudy. Rudy wyglądał koszmarnie. Jego twarz, z wyjątkiem cieni pod oczami, miała barwę zepsutego mleka, wargi były wilgotne i obwisłe, a oczy wydawały się szkliste i zbolące jak u ofiary ciężkiego przestępstwa.

– Jezu, Rudy, nic ci nie jest? – zapytałem cicho, idąc w jego stronę.

– Nie teraz, Joe. To był ciężki dzień dla wszystkich, ale porozmawiamy później.

Church podniósł się i dołączył do nas.

– Kapitanie, pański przyjaciel, doktor Sanchez, już miał przyjemność porozmawiać z doktorem Hu. A o ile mi wiadomo, major Courtland pokazała mu nagrania z St. Michael's.

Rudy na chwilę wbił wzrok w podłogę, ale później odetchnął głęboko i spróbował nad sobą zapanować. Sam jeszcze nie widziałem tych nagrań, ale po własnej wycieczce do piekła umiałem sobie wyobrazić, jakie koszmary kłębiły się w jego głowie. Poczułem się jak ostatni dupek, że wpakowałem go w to wszystko.

– Zamierza mu pan powiedzieć, jakie jest tempo zakażenia, doktorze? – spytał Rudy głosem spokojniejszym, niż się spodziewałem.

– Tak, ale on jest pańskim przyjacielem... może to pan mu wyjaśni.

Rudy pokiwał głową i odchrząknął.

– Joe... tak naprawdę nie jestem pewien, co by było gorsze, pojawiające się w rzeczywistości nadnaturalne zombie jak z horrorów czy to, z czym mamy do czynienia tutaj.

– Zdecydowanie to, co mamy tutaj – stwierdził Hu.

Courtland się z nim zgodziła i nawet Church pokiwał głową.

– Paskudne rozpoczęcie rozmowy – zauważyłem. – Wydawało mi się, że zombie to tak naprawdę najgorszy scenariusz.

Rudy skrzywił się i pokręcił głową.

– Rozumiesz, czym są priony, tak? W każdym razie, każda choroba ma okres inkubacji, a dla chorób prionowych jest on zazwyczaj bardzo długi, u ludzi może trwać od kilkunastu miesięcy do nawet trzydziestu lat.

– Mówiłem mu o pasożytach – wtrącił Hu.

Rudy pokiwał głową.

– Priony, choć skrajnie niebezpieczne, nie są bynajmniej szybko działającą bronią, w najlepszym wypadku mogą działać jak bomba zegarowa. Ktokolwiek stworzył tę chorobę, wymyślił jakiś nowy sposób przyspieszenia procesu zakażenia. Teraz trwa to zaledwie minuty.

– Sekundy – poprawiłem. – Jak mówiłem... widziałem to na własne oczy.

– Zaobserwowaliśmy dużą różnorodność, jeśli chodzi o tempo zakażenia, śmierci i ponownego ożywienia – powiedział Hu. – Dopiero zaczynamy budować modele

badawcze, ale nie zbliżyliśmy się jeszcze do zrozumienia. Nie ma wyraźnego wzorca, a ja postawiłbym cały komplet figurek z *Martwego zła*, że mamy do czynienia z mutacjami albo więcej niż jednym szczepem. Tak czy inaczej, mamy przerąbane.

Znów odezwał się Rudy:

– Myślę, że możemy spokojnie stwierdzić, że jeśli nosiciel i ofiara są pobudzeni, jak w szpitalu i dziś w Delaware, wówczas proces trwa bardzo krótko. Adrenalina i wysoka temperatura otoczenia przyspieszają proces.

– Dlatego właśnie jest to tak poważne zagrożenie – przerwał cichym głosem Church. –

W przypadku chorób, nawet traktowanych jako broń biologiczna, zawsze pojawiały się pewne opóźnienia, a tu ich nie mamy.

– Dobra. Przyjąłem to do wiadomości. Jeśli jakimś zakażonym uda się wydostać, jesteśmy w czarnej dupie.

– A w razie wątpliwości, kapitanie – dodał Church – strzelać, żeby zabić.

– *Dios mio* - mruknął Rudy, ale ja spojrzałem Churchowi w oczy i lekko skinąłem głową.

– A co ze szczepieniami? Czy moglibyście zabezpieczyć mój oddział na wypadek, gdyby ktoś został ugryziony?

– Nie ma mowy – stwierdził Hu. – Pamiętaj, że sednem tego czegoś jest prion, a prion to normalne białko, którego struktura uległa przekształceniu. Szczepionka niszcząca prion zniszczyłaby również wszystkie inne formy tego białka. Kiedy zidentyfikujemy wszystkie pasożyty, być może uda nam się je zabić, a to może nam trochę pomóc. Nie, sądzę, że twój oddział musi rozważyć środki zapobiegawcze.

– Czy tym czymś można się zakazić drogą powietrzną? Chodzi mi o to, że jeśli musimy się jedynie chronić przed ugryzieniem, to możemy założyć Dragon Skin, Interceptora albo jakiś inny pancerz osobisty. Na rynku jest pełno tego towaru.

– Nie sądzę, by przenosił się drogą powietrzną – odparł niepewnie Hu – ale być może przenosi się drogą kropelkową, co oznacza, że ślina albo pot również mogą zakażać. W ścisłości, w wysokiej temperaturze... mogą się wam przydać kombinezony przeciwskażeniowe.

– Trudno się w nich walczy – zauważyłem.

Church uniósł palec.

– Wystarczy, że zadzwonię, a do rana dostarczą mi Saratoga Hammer Suit. – Pewnie wszyscy mieliśmy tępe miny, bo dodał: – Przepuszczalny dla powietrza kombinezon przeciwchemiczny dla obrony cywilnej. Filtr kompozytowy oparty na węglu aktywowanym umieszczonym między dwiema warstwami tkaniny. Jest wytrzymały, ale dość lekki, by umożliwiać swobodne poruszanie się, jak również walkę z bronią i bez. Na rynku jest już od jakiegoś czasu, ale ja mogę zdobyć najnowszą generację. Mam znajomych w branży.

– Pan zawsze ma znajomych w branży – mruknął Hu pod nosem, a wtedy na twarzy Grace pojawił się uśmiešek. Najwyraźniej wewnętrzny żart.

Church odszedł od nas i otworzył klapę komórki. Kiedy wrócił, powiedział:

– O szóstej rano w miejscu zbiórki przed atakiem na przetwórną krabów będzie na nas czekać śmigłowiec z pięćdziesięcioma kombinezonami.

– Widzę, że rzeczywiście ma pan znajomych w branży – stwierdził Rudy.

– I wielki gość zdobywa punkt – powiedział Hu i uniósł rękę, by przybić piątkę, ale Church po prostu patrzył na niego spokojnie. Naukowiec zakaszłał, opuścił dłoń i odwrócił się do mnie. – Jeśli wejdziecie w pancerzach osobistych i tych kombinezonach, powinniście sobie poradzić. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że będzie ich bardzo wielu.

- Miejmy nadzieję, że nie.
 - I chyba że w tej chorobie kryje się coś więcej, niż sądzimy.
 - Jakie są na to szanse?
- Nie odpowiedział, co było wystarczającą odpowiedzią.
- Niech to diabli – powiedziałem.

Rozdział pięćdziesiąty

Amira, Bunkier, wtorek, 30 czerwca

Obudził ją dzwonek telefonu. Amira przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Przed oczami przeleciał jej fragment snu i choć nie mogła do końca określić jego kształtu ani zapamiętać treści, miała wizję twarzy mężczyzny – może Gaulta, może El Mudżahida – spoconej, nabiegłej krwią, gdy wspierał się nad nią na wyprostowanych rękach, sapał i poruszał biodrami. Nie był to sen o uprawianiu miłości. Była w nim bezwzględna obojętność gwałtu, nawet w tym ulotnym, na w pół zapamiętanym obrazie. Ale najbardziej trwałym wspomnieniem snu nie był obraz mężczyzny – którykolwiek z nich to był – ale głębokiego i straszliwego zimna wypełniającego ją z każdym pchnięciem, jakby mężczyzna nad nią był martwy, pozbawiony ciepła.

Amira otrząsnęła się i wpatrzyła się w telefon na biurku, który nie przestawał dzwonić. Rozejrzała się po gabinecie – był pusty, choć przez lustro weneckie widziała pracowników laboratorium po drugiej stronie. Odchrząknęła, odebrała rozmowę i odezwała się:

– Słucham?

– Linia?

– Czysta – odpowiedziała automatycznie, po czym nacisnęła przycisk uruchamiający szyfrowanie. – Już czysta – poprawiła się.

– On jest już w drodze.

Głos Gaulta był cichy, a w tych pięciu słowach Amira słyszała subtelne dodatkowe warstwy znaczenia, które, jak podejrzewała, zawsze przenikały wszystkie jego słowa.

– Co u niego?

– Już nie jest ładny.

Amira zaśmiała się.

– Nigdy nie był ładny.

– W takim razie już nie jest przystojny – poprawił się Gault.

– Czy... bardzo cierpi?

– Nic, z czym by sobie nie poradził. Twój mąż jest bardzo opanowany. Sądzę, że gdyby został postrzelony w pierś, uznałby to za coś bez znaczenia. Niewielu mężczyzn dorównuje mu siłą i fizyczną wytrzymałością.

– To brutal – powiedziała Amira, ubarwiając głos nutą pogardy.

Po drugiej stronie zapanowała cisza, jakby Gault oceniał jej słowa, a może jej ton. Czy podejrzewał? Zastanawiała się, nie po raz pierwszy zresztą.

– Podczas podróży będzie mógł trochę odpocząć. Musi odzyskać siły. Zapewniliśmy mu zapas leków przeciwbólowych, a jeśli mam być szczery, opanowanie działa tylko, jeśli ktoś obserwuje. Nie chcemy, żeby poddawał się rozpacz, siedząc samotnie w kajucie.

Amira nic nie powiedziała. Wiedziała, że powinna, ale wizja potężnego El Mudżahida siedzącego samotnie i cierpiącego w malutkiej kajucie na zardzewiałym starym frachtowcu była kusząca.

Jakby czytając w jej myślach, Gault powiedział:

- Nie denerwuj się, kochana, na statku opłacam nie tylko kapitana, ale i chirurga.
- Nie denerwuję się, Sebastianie. Obawiam się jedynie, by jego rany nie zaczęły się jątrzyć. Potrzebujemy go w jak najlepszym stanie, by wypełnił misję.
- Pilnowała się, by użyć teraz słowa „misja”, bo raz popełniła błąd i nazwała ją „sprawą”. Nie była pewna, czy Gault zauważył tę pomyłkę, ale pewnie tak. Taki był.
- Oczywiście, oczywiście – powiedział uspokajająco. – Zajęliśmy się tym, jak należy. Nic mu nie będzie, a wszystko pójdzie zgodnie z planem. Zaufaj mi.
- Ufam ci. – Złagodziła ton głosu. – Ufam ci całkowicie.
- Kochasz mnie? – spytał.
- Wiesz, że tak.
- A ja – powiedział – zawsze będę cię kochał.

I rozłączył się.

Amira odchyliła się do tyłu i z namysłem wpatrzyła w telefon. Zacisnęła wargi, napinając mięśnie z boków szczęki. Odczekała pięć minut, rozważając wszystko, po czym otworzyła dolną szufladę biurka i wyjęła telefon satelitarny. Był niewielki, drogi i nowy. Prezent od Gaulta. Miał ogromny zasięg, a w sufit bunkra wbudowano przekaźniki, więc jej połączenie mogło sięgnąć w kosmos, a stamtąd w dowolne miejsce na powierzchni ziemi. Nawet do śmigłowca lecącego nad oceanem, by dogonić frachtowiec, który wyszedł daleko w morze.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 21:58

Szedłem z Rudym korytarzem. Church został, żeby jeszcze porozmawiać z Hu. Spojrzałem na zegarek.

– Trudno uwierzyć, że to wciąż ten sam dzień, co?

On nie chciał rozmawiać o tym na korytarzu. Spytałem strażnika, gdzie są nasze kwatery, a on zaprowadził nas do dawnych biur po dwóch stronach korytarza. Mój pokój miał wielkość całkiem przyzwoitego pokoju hotelowego, choć wyraźnie został przerobiony z biura albo magazynu. Nie miał okien.

Praktyczny szary dywan. Ale łóżko w kącie pochodziło z mojego mieszkania. Komputer był mój, podobnie jak wielki telewizor i kanapa La-Z-Boy. Przy szafce stały równym rzędem trzy spakowane walizki. A na łóżku leżał Cobbler z łebkiem opartym na łapach.

Otworzył oko, uznał mnie za mniej interesującego niż cokolwiek, o czym właśnie marzył, i powrócił do medytacji. Weszliśmy do środka, Rudy usiadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach. Zajrzałem do niewielkiej lodówki, którą mi dostarczyli, wyjąłem dwie butelki wody i jedną postukałem go po ramieniu. Popatrzył na nią i postawił na podłodze między nogami. Ja otworzyłem swoją wodę, pociągnąłem kilka łyków i usiadłem na podłodze oparty plecami o ścianę.

Rudy w końcu odwrócił się do mnie, a ja widziałem godziny stresu na jego twarzy i w nienaturalnie błyszczących oczach.

– W cośmy się, do diabła, władowali, kowboju?

– Przepraszam, że cię w to wpakowałem, Rude.

Pokręcił głową, żeby mi przerwać.

– Nie o to chodzi. To znaczy nie tylko. Chodzi o tę całą... – szukał właściwego słowa – ...realność tego wszystkiego. O fakt, że coś takiego jak WDN w ogóle istnieje. Że musi istnieć. I nie chodzi o to, że dowiedzieliśmy się o istnieniu ściśle tajnej organizacji. Cholera, Joe, ich są pewnie dziesiątki. Setki. Jestem realistą i przyjmuję do wiadomości, że rządy muszą mieć tajemnice. Potrzebują szpiegów, zabójców i całego tego towaru. Mogę nawet zaakceptować, choć niechętnie, to, że żyjemy w czasach po WTC i terroryzm jest do pewnego stopnia częścią naszej codzienności. Znajdź mi komika, który nie opowiada żartów na ten temat. Wszystko stało się dla nas całkiem zwyczajne.

Pociągnąłem kolejny łyk wody i pozwoliłem, żeby się wygadał.

– Ale dziś widziałem i słyszałem rzeczy, które na zawsze odmienią mój świat, wiem o tym, po prostu wiem. Jedenastego września powiedziałem, jak wielu ludzi, że wszystko na zawsze się zmieniło. Niezależnie od tego, jak bardzo wszyscy staraliśmy się powrócić do codziennej rutyny, i nawet jeśli przestaliśmy zwracać uwagę na to, jaki dziś mamy poziom zagrożenia, to nie przestaje być prawdą. Tamten dzień był wyjątkowy w moim życiu. Dzień dzisiejszy uderzył mnie równie dotkliwie, jak jedenasty września. Może bardziej dotkliwie. Wiesz, co zrobiłem? Spędziłem dziesięć minut w kabinie toalety, wypłakując oczy.

– Jesteś człowiekiem – zacząłem mówić, ale on znów mi przerwał.

– Nie o to chodzi, a ty dobrze o tym wiesz, Joe, więc nie rozczulaj się nade mną. Chcesz wiedzieć, dlaczego płakałem? Nie chodziło o niepokój kulturowy ani o opłakiwanie tych wszystkich, którzy zginęli wtedy w szpitalu albo dzisiaj w Delaware. Miesiąc temu trzęsienie ziemi w Malezji zabiło osiem razy więcej ludzi. Nie płakałem nad nimi. Miliony ludzi umierają każdego roku. Mogę okazywać współczucie, ale smutek – szczyry osobisty smutek – byłby zapożyczony. Nie zmienia życia bardziej niż wzmożona troska wspólnoty o dziecko, które wpadło do studni. Dwa miesiące później nikt już nie pamięta imienia dzieciaka. Nasze życie nie obraca się wokół tej chwili. Nie może, bo gdybyśmy osobiście odbierali każdą ludzką śmierć, to by nas zabiło. Ale... ta chwila naprawdę odmieniła moje życie. Bez żadnych wątpliwości. Zostałem przez nią naznaczony. Podobnie jak ty. Jak wszyscy w WDN. Nie wiem, jak wielu z tych ludzi poznałeś, ale ja obszedłem całość i widziałem to w oczach wszystkich. Church i major Courtland ukrywają to lepiej, ale pozostali... to, co widziałem w ich oczach, będzie też w moich, kiedy spojrzę w lustro. Nie na trochę, ale na zawsze od teraz. Wszyscy zostaliśmy naznaczeni.

– Tak, wiem. Rude, ale nie mówimy tu przecież o kainowym piętnie.

Posłał mi tak miażdżące spojrzenie, że miałem ochotę zacząć się kręcić.

– Nie? Posłuchaj, nie pokazuję palcem na żaden kraj, żadne wyznanie, żadną partię polityczną. To skaza całego gatunku. My, rasa ludzka, dopuściliśmy się straszliwego i niewybaczalnego grzechu...

a zanim zapytasz i zawstydzisz tym nas obu, nie, nie zaczynam cię nawracać na katolicyzm. To coś o wiele bardziej fundamentalnego niż kościół czy państwo. I musimy się do tego przyznać, bo naprawdę powinniśmy wiedzieć. Jako gatunek powinniśmy wiedzieć. Naprawdę pojmujemy dobro i zło, podobnie jak naprawdę pojmujemy wszystkie subtelne odcienie szarości. Przez tysiące lat przywódcy religijni, filozofowie, wolnomyśliciele i politolodzy wyjaśniali przyczyny i skutki destruktywnych zachowań. Można by sądzić, że w obecnej chwili, kiedy technika tak się rozwinęła, a komunikacja między wszystkimi rasami jest nie tylko możliwa, ale i natychmiastowa, że nauczyliśmy się czegoś, że umiemy wykorzystać wcześniejsze błędy. Można by sądzić, że staliśmy się bardziej przewidujący i dalekowzroczni. Ale tak się nie stało. Modelowanie komputerowe pozwala nam dosłownie spojrzeć w przyszłość i zobaczyć, jak się wszystko potoczy, jeśli wciąż będziemy postępować w taki sposób, a jednak nic nie robimy, żeby zmienić swoje zachowanie. Może prawdziwą ludzką wadą jest niezdolność do działania, jakby następne pokolenie się nie liczyło. Nigdy tak nie postępowaliśmy. Może jako jednostki, ale nie jako narody i nie jako gatunek.

Rudy przetarł oczy.

– Dzisiaj – powiedział powoli – widziałem nagranie dokumentujące zbrodniczą obojętność ludzkiej rasy. Ludzie, którzy są z pewnością dość inteligentni, by to zrozumieć, stworzyli broń tak niszczycielską, że mogłaby unicestwić całą ludzką rasę. A dlaczego? By wspierać swoje poglądy religijne czy polityczne. Gdyby było to działanie jednej osoby, powiedziałbym, że mamy do czynienia z psychozą, uszkodzonym umysłem... ale to przemyślany i staranny plan. Ludzie, którzy biorą w tym udział, mieli dość czasu, by to przemyśleć, by pojąć konsekwencje. A jednak wprowadzili swój plan w życie. Dziś widziałem, jak eksperymentują na dzieciach. Dzieciach!

Westchnął.

– Dobrze wiedzą, a jednak ich to nie obchodzi. Jeśli istnieje lepsza definicja kainowego piętna, jeszcze jej nie słyszałem.

– To oni, Rudy. Nie my.

– Nie, nie – przyznał zmęczonym głosem. – Wiem. Po prostu nie wierzę, że nasz rząd

jest lepszy. Czy jakikolwiek rząd. W końcu to my wymyśliliśmy bombę i eksperymentowaliśmy z bronią biologiczną. Nie, kowboju, wszyscy nosimy jakieś ślady kainowego piętna. Wszyscy z nas, niezależnie od tego, czy mamy wpływ na politykę.

– Niektórzy próbują coś zrobić z tym gównem, Rude. Nie mierzmy wszystkich jedną miarą.

Westchnął.

– Jestem zmęczony, Joe... i wcale cię nie atakuję. Usiłuję się przez to przegryźć. – Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. – Ale ty też jesteś naznaczony. Nie poczuciem winy, ale świadomością bestii, która w nas żyje, w każdym ludzkim sercu. Ta świadomość jest w twoich oczach. Grałem z tobą w pokera i wiem, że umiesz ukrywać ją lepiej ode mnie, lepiej niż większość ludzi. Lepiej od Grace Courtland. Nie tak dobrze, jak Church. Chodzi mi o to, że nosisz to samo znamię, co wszyscy inni tutaj. Podobnie jak ja. – Grymas na jego twarzy miał udawać uśmiech. – To doświadczenie nas łączy. Zawsze będziemy związani wspólną wiedzą. My wszyscy będziemy połączeni najnowszym pokazem upartej determinacji rasy ludzkiej, by popełnić samobójstwo.

– Jak mówiłem, nie wszyscy są częścią problemu, Rude. Niektórzy dają z siebie wszystko, żeby być częścią rozwiązania.

Uśmiechnął się ponuro.

– Mam nadzieję, że to nie brawura, kowboju. Mam szczerą nadzieję, że w to wierzysz.

– Wierzę. Muszę.

Zamknął oczy i przez długą chwilę siedział bez słowa, ale co kilka sekund wzdychał.

– Nie miałem dość czasu, żeby to wszystko przetrwać. Jeśli mam się w ogóle do czegoś przydać, najpierw muszę ogarnąć samego siebie. To znaczy... zostałem porwany, przystawiono mi pistolet do głowy, dowiedziałem się, że terroryści rzeczywiście mają broń zdolną doprowadzić do apokalipsy... zdziwiłbyś się, jak wielu z tych spraw nie ma w programie akademii medycznej.

– Nawet u świrologów?

– Nawet u świrologów.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Church powiedział mi, że dałeś się zwerbować do WDN. Dlaczego to zrobiłeś?

Rudy uśmiechnął się słabo.

– Ponieważ Church mnie o to poprosił. Ze względu na to, co wydarzyło się w St. Michael's. Ze względu na ciebie. I dlatego że wiem. Nie chodzi jedynie o tajemnicę, Joe... wiem, że to wszystko jest prawdą. Zostałem naznaczony. I od tej chwili stałem się częścią tego wszystkiego. Gdybym nie zrobił czegoś, by pomóc w znalezieniu rozwiązania, chyba bym oszalał.

– Skąd ja to znam. Ale jak się czujesz z byciem częścią jego „drużyny”?

– To zbyt skomplikowane pytanie, by istniała na nie prosta odpowiedź. Na pierwszy rzut oka cieszę się, że mam szansę zrobić coś dobrego dla ludzi, którzy starają się ocalić świat.

– A głębiej?

– Wiem, jakie masz zasady, Joe. Jesteś zbyt rozsądny, żeby przejmować się podziałami na linii demokracji-republikanie. Jeśli już, ważniejsze jest dla ciebie odróżnianie dobra od zła. Sądzę, że Church może być podobny. I dlatego jednym z najjaśniejszych promyków nadziei, jakie widzę w tej całej sytuacji, jest fakt, że między nami a zagładą stoi troje ludzi, to znaczy Church, ty i Grace Courtland, którzy wiedzą, co się święci i rzeczywiście mają możliwość coś z tym zrobić.

– Wkładasz nam na barki wielki ciężar, bracie.

– Wiem – odparł. – Wszyscy mamy tak wiele do zrobienia. Ty musisz być bohaterem. Ja

muszę się ogarnąć na tyle, żeby pomóc wszystkim innym się ogarnąć. A Church i Courtland muszą zrobić, cokolwiek właściwie robią. – Rudy wstał i poklepał mnie po ramieniu. Zaczął chyba nieco bardziej przypominać starego siebie, ale wiedziałem, że przed nim jeszcze długa droga. – Spróbuję się położyć i przespać choć godzinę. Ty też powinienes.

Powiedziałem, że tak zrobię, choć wcale nie miałem zamiaru. Zbyt wiele było do zrobienia, a zegar tykał. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak wlecze się do łóżka. Poczulem się niewiarygodnie zmęczony i właśnie odwracałem się, by wejść do środka, kiedy na końcu korytarza trzasnęły drzwi, a pobladły doktor Hu wykrzyknął słowo, które przeszło mnie dreszczem przerażenia.

– Dwunastka!

Za jego plecami usłyszałem terkot karabinu maszynowego.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 22:21

Pobiegłem korytarzem w stronę otwartych drzwi. Gus Dietrich wybiegł ze swojego pokoju w samych bokserkach i podkoszulku. Zobaczył mnie i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ja chwyciłem Hu i zepchnąłem go z drogi. Hu uderzył w Dietricha i razem wpadli przez otwarte drzwi kwatery sierżanta. Pobiegłem dalej i skręciłem w lewo. Moja kwatera była dość blisko strefy załadunku, więc dotarłem do wejścia przed uzbrojonymi strażnikami. Przy drzwiach kłębił się tłumek zdezorientowanych laborantów i innego personelu, ryknąłem, żeby zeszli mi z drogi.

– Osłaniam cię! – zawołał Królik, który wpadł do strefy załadunku zaraz za mną.

Tuż za nim biegł Starszy Sims.

Odwróciłem się do tłumu.

– Wynosić się, i to już! Zamknijcie drzwi i wyłączcie ten pierdolony alarm!

Wycofali się z sali, a nasza trójka pośpieszyła wzdłuż rzędu kontenerów. Kiedy dotarliśmy do sali 12, zatrzymaliśmy się gwałtownie. Stanowisko karabinu maszynowego było opuszczone, broń wciąż dymiała, a na podłodze leżała sterta łusek. Widziałem tylko jednego z czterech strażników – a raczej to, co z niego pozostało. Jego ciało poleciało na niski murek z worków z piaskiem, który otaczał karabin, a gardło miał rozszarpane. Wszędzie wokół widziałem kałuże krwi i ślady rozbryzgów. Cokolwiek się tu wydarzyło, nie trwało długo i było paskudne.

Poruszaliśmy się szybko i cicho. Królik podniósł MP5.

– To będzie cholernie długi dzień – mruknął, sprawdzając magazynek. – Pusty.

Obmacał martwego strażnika i znalazł nowy magazynek.

– Za mną! – szepnąłem i poczułem, że staje za moimi plecami.

Starszy stanął z boku, podniósł pistolet zabitego strażnika i omiatał nim wszystkie kąty. Ktoś w tłumie musiał mieć jakąś władzę, bo alarm ucichł, jedynie jego echo odbijało się jeszcze od ścian.

– Sprawdzajcie cele – powiedziałem cicho. – Nie wiemy, kto jest zakażony ani ilu mamy wrogów.

Zbiliśmy się w ciasną grupkę i nasłuchiwaliliśmy. Odgłosy szarpaniny dochodziły z dwóch kierunków – zza kontenera i z jego wnętrza.

– Ja zajrzę do środka – szepnąłem. – Wy dwaj obejdźcie z boku.

– Popieprzone to wszystko – powiedział Królik.

– Co ty powiesz, chłopaczku – warknął Starszy. – Ruszajmy.

Skręcili w lewo i zniknęli za rogiem kontenera, a ja wszedłem na najniższy stopień. Drzwi do sali 12 były otwarte, widziałem postacie poruszające się w środku. Na schodach zobaczyłem kolejną broń, glocka dziewiątkę, ale zamek pozostał w pozycji tylnej, więc zignorowałem go i wskoczyłem na najwyższy stopień. Śpieszyłem się, ale ten gliniarz we mnie zawsze obserwował, więc posłałem spojrzenie w stronę drzwi. Żadnych widocznych oznak sforsowania wejścia czy wyjścia. Choć nie miałem czasu, żeby się tym przejmować,

i tak cholernie mnie to dręczyło.

Przygotowałem się i wszedłem do kontenera. Wewnątrz była rzeźnia. Zmiażdżone trupy dwóch lekarzy w fartuchach, za nimi w kałużach krwi trzy ciała w szpitalnych szlafrokach. Więzień, którego dostarczyliśmy z przetwórnicy mięsa, znajdował się na sali operacyjnej oddzielonej parawanami od reszty kontenera, ale parawany zostały zerwane, a gardło więźnia rozszarpano. Lekarze, którzy próbowali uratować mu życie, zginęli. Powietrze śmierdziało kordytem i krwią. Każdy z trupów miał kilka razy przestrzeloną głowę. Na samym końcu kontenera znajdował się czwarty pacjent, powalił jednego z żołnierzy i szarpał go połamanymi zębami. Żołnierz krzyczał i machał rękami, żeby obronić się przed atakiem, a ja jeszcze nie widziałem, czy został pogryziony i jak bardzo.

Ruszyłem prosto na sztywnego.

Nie miałem czasu wykrzykiwać rozkazów ani wycofać się i czekać na wsparcie. Może pomoc nadchodziła, ale nie mogłem być tego pewien i musiałem ufać, że na zewnątrz też sobie poradzą. Skupiłem się na sztywnym, który próbował zabić tego przerażonego młodego mężczyznę.

Kontener miał długość dwudziestu metrów, a ja przebyłem całą długość w kilka uderzeń serca.

Na zewnątrz rozległy się strzały i sztywny znieruchomiał, uniósł głowę i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu źródła hałasu. Kiedy znalazłem się w odległości pięciu metrów, zdjąłem ze stołu ciężką metalową podkładkę do pisania i rzuciłem nią znad ramienia jak frisbee. Była obciążona grubym plikiem papierów, ale ja włożyłem w ten ruch dużo siły. Podkładka trafiła sztywnego w bok głowy, rzucając nim o ścianę. Puścił żołnierza, który z jękiem zwinął się w kłębek. Cios nie spowodował jednak większych obrażeń i stwór natychmiast obrócił głowę i wygiął wargi w drapieźnym grymasie, a jego martwe oczy płonęły. Rzucił się na mnie, ale ja zdążyłem się rozpędzić, dopasowując swoją prędkość i siłę do jego ataku. Kiedy do mnie sięgnął, uderzyłem go z góry w przedramiona, po czym lewą ręką chwyciłem go za gardło, a prawą uderzyłem płasko w skroń. Wiedziałem, że nie mogę go zranić, ale pchnąłem go na ścianę i poczułem, jak pęka mu kość gnykowa. Normalny człowiek zginąłby na miejscu, próbując zaczerpnąć powietrza przez zmiażdżoną krtani, ale stwór nadal warczał. Znów go uderzyłem, odpychając od siebie jego usta, a później po raz trzeci rąbnąłem go w bok głowy, ale tym razem mocno naciskałem mu dłońią skroń. W ten sposób przyszpiliłem go do ściany, utrzymując jego zakrwawione zęby z dala od siebie. Otoczyłem palcami bok głowy i wplotłem je w jego tłuste, wiszące w strąkach włosy.

Czułem, że napina wszystkie mięśnie, by mnie odepchnąć, jak zwierzę próbujące się wyrwać z uchwytu innego drapieźnika, ale tego właśnie chciałem. Kiedy sztywny odepchnął się od ściany, cofnąłem się o krok i pociągnąłem ze wszystkich sił. W efekcie stwór poleciał na mnie o wiele szybciej, niż zamierzał, a ja natychmiast przekręciłem biodra, by jeszcze zwiększyć jego przyśpieszenie.

Stwór uderzył o mnie i natychmiast poleciał dalej, jakby odepchnięty przez pole siłowe, a ja nie puszczałem jego gardła i włosów. Nadeszła krytyczna chwila, gdy jego ciało leciało szybciej i dalej, niż pozwalał mój chwyt na jego głowie, i w tym właśnie momencie szarpnąłem w dół niczym gospodyni domowa strzepująca prześcieradło. Szyja zombie złamała się z głośnym, wilgotnym trzaskiem.

Puściłem go. Spadł na kozetkę, a później osunął się bezwładnie na ziemię.

Na zewnątrz usłyszałem kolejną salwę.

Za moimi plecami rozległ się jęk, a kiedy się obróciłem, zobaczyłem, jak żołnierz podnosi się na kolana, unosząc dłoń do zakrwawionego policzka. Ugryzienie nie było duże, ale pozostawało ugryzieniem. Biedny sukinsyn. Widziałem chwilę, w której zrozumienie

pojawiło się w jego oczach. Wiedział, że jest trupem, i obaj wiedzieliśmy, że nic nie można na to poradzić.

Wyciągnąłem rękę w jego stronę i odezwałem się stanowczo:

– Zostań tutaj, żołnierzu!

Pokiwał głową, ale w oczach miał łzy.

Odwróciłem się i pobiegłem do drzwi laboratorium, zeskoczyłem na lewo i przebiegłem do końca kontenera. Dwaj żołnierze, obaj przeobrażeni w sztywnych, zostali przecięci na pół ogniem z MP5 Królika. Druga para sztywnych, na oko personel medyczny, leżała w cieniu ściany, obaj mieli w głowach rany z broni małokalibrowej. Starszy trzymał pistolet w obu rękach, kiedy ich mijiał.

– Uwaga! – wrzasnął Królik, gdy zza sterty skrzynek podniosła się zakrwawiona postać i skoczyła na mnie, ale ja słyszałem ją już wcześniej.

Odwróciłem się w stronę ataku, a gdy stwór zbliżył się do mnie, nagle odsunąłem się w bok i uderzyłem go w gardło wyciągniętym przedramieniem. Jego głowa i ramiona zatrzymały się w miejscu, ale stopy biegły do przodu, aż uniosły się w powietrze. Sztywny upadł na beton, a ja odwróciłem się, by znów go uderzyć, kiedy Królik odepchnął mnie na bok, nadepnął stworowi na pierś i posłał mu dwie kulki w głowę.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, jak Starszy schodzi z drogi kolejnemu sztywnemu i przewraca go paskudnym kopnięciem bocznym w kolano. W chwili gdy rzepki stwora dotknęły ziemi, Starszy przycisnął mu lufę do skroni i wystrzelił. Zamek pistoletu pozostał w pozycji tylnej, ale sztywny padł na ziemię jak szmaciana lalka.

Zapanowała nagle cisza przerywana tylko cichnącymi echem strzałów.

– Starszy?

– Czysto.

– Królik?

– Czysto, szefie – powiedział mi prawie do ucha. – Dopadliśmy ich wszystkich.

Odwróciłem się i spojrzałem na Królika. Na jego twarzy, zamiast zwyczajowego chłopięcego dobrego humoru, malowało się coś twardszego i o wiele bardziej niebezpiecznego. Zamknął oczy, odetchnął głęboko i pokiwał głową, zgadzając się ze swoim stwierdzeniem.

– Nic mi nie jest, szefie – powiedział po chwili.

Starszy patrzył po wszystkich kątach, sprawdzając każdy cień, oczyma zimnymi jak u grzechotnika.

Napotkał moje spojrzenie i skinął głową.

Z tyłu dobiegało łkanie rannego żołnierza.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 22:29

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł sierżant Dietrich, nadal w białym, ale ze strzelbą bojową w rękach, po piętach deptała mu Grace Courtland. Cały oddział Alfa tłoczył się za nimi, zobaczyłem też Olliego i Kapięgo, wydawali się przestraszeni. Ollie miał ręcznik kąpielowy na biodrach i pianę na włosach, Kapi trzymał w ręku toporek strażacki. Obaj wydawali się przerażeni na myśl o tym, co mogą zobaczyć. Za całą gromadą podążał doktor Hu w towarzystwie kilku wystraszonych laborantów. Lekarze i technicy prześlizgnęli się pod ścianę i tam stali z zszokowanymi minami.

– Spokojnie! – krzyknąłem, kiedy żołnierze się zbliżyli. – Wszyscy wrogowie zostali wyeliminowani.

Dietrich zatrzymał się.

– Ci idioci zamknęli drzwi na klucz – powiedział wyraźnie wściekły, że nie mógł pomóc.

Wskazałem na doktora Hu, który stał przy ścianie, a w oczach miał łzy.

– Doktorze, mamy tam rannego. Zobacz, jak możesz mu pomóc.

Hu się nie ruszył.

– Czy on... czy on...?

– Tak. – Posłałem spojrzenie w stronę ludzi tłoczących się w wejściu i zniżyłem głos. – Został ugryziony.

Hu znów przycisnął się do ściany.

– Nic dla niego nie możemy zrobić!

– Na litość boską, jesteś lekarzem... on potrzebuje pomocy.

Posłał przerażone spojrzenie w stronę kontenera i pokręcił głową. Wyraźnie nie chciał się ruszyć.

Podszedłem do niego, chwyciłem go za hawajską koszulę i szarpnąłem tak, że musiał wspiąć się na palce.

– Posłuchaj mnie, dupku, tamten chłopak jest ranny, przerażony i jest jednym z nas, nie jakąś figurką. Chcę, żebyś zrobił cokolwiek, co możesz dla niego zrobić, i zrobił to natychmiast, albo, Bóg mi świadkiem, zamknę cię tam razem z nim.

Popchnąłem go lekko i puściłem, a Hu zatoczył się do tyłu i znieruchomiał z ugiętymi nogami, jakby zastanawiał się, czy uciekać. Przełknął ślinę, skinął mi głową i ruszył w stronę kontenera, omijając mnie tak, żeby przypadkiem mnie nie dotknąć.

Poczułem lekki dotyk na ramieniu, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Grace. Przyglądała się uważnie mojej twarzy i ciału.

– Jest pan ranny?

– Nie – warknąłem, po czym stłumiłem wściekłość i zacząłem od nowa. – Nie, pani major, moim ludziom i mnie nic się nie stało. Ale żołnierze, którzy pełnili tu służbę, zginęli, podobnie jak wszyscy laboranci. Podobnie jak więzień, którego z tak wielkim poświęceniem dostarczyliśmy panu Churchowi, i lekarze, którzy go operowali. I wszyscy sztywni. Ale jeden z żołnierzy, młodziak... został ugryziony.

– Chryste – warknął Dietrich. Miał mord w oczach.

Grace była przerażona.

– Jak to się stało? Ja nie...?

Przerwała, uświadomiwszy sobie, że otaczają nas ludzie, i popatrzyła na mnie znacząco.

W strefie załadunku musiało być teraz dobrze koło setki ludzi, w mundurach polowych i po cywilnemu, a wszyscy wydawali się przerażeni i zdezorientowani. Zobaczyliśmy, że przez tłum przeciska się Church. Idący obok niego Rudy wyglądał na przerażonego i zagubionego, zatem wyszedłem im na spotkanie. Stałem tuż przed Churchem.

– Pańskie środki ostrożności są do dupy.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę i po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwe uczucia gotujące się pod powierzchnią profesjonalnego opanowania. Była to kipiąca, lodowata wściekłość. Zrobił drapieżny grymas, a później zobaczyłem, jak znów przybiera maskę opanowania, opuszczając jedną stalową płytę po drugiej.

– Zaczniemy od najważniejszego – powiedział. Jego głos brzmiał niemal spokojnie. Wyjął komórkę i wybrał numer. – Tu Church. Kod bezpieczeństwa Diakon Jeden. Całkowity zakaz opuszczania budynku.

Natychmiast rozległy się inne alarmy, a czerwone światełka umieszczone wysoko na ścianach zaczęły migać. Rozłączył się i wybrał drugi numer.

– Zamknijcie biuro nadzoru. Dobrze. A teraz chcę, żeby wszystkie logi systemu bezpieczeństwa i nagrania wideo z ostatnich dwunastu godzin trafiły natychmiast na mojego laptopa. Podobnie zapisy z kamer monitorujących ruch uliczny w promieniu dwudziestu kwartałów. Dostęp wyłącznie dla mnie. Nikt nie opuszcza budynku, dopóki osobiście na to nie pozwolę. I przekazcie pułkownikowi Hastingsowi, że chcę mieć dwa śmigłowce bojowe patrolujące teren.

Odwrócił się do Dietricha.

– Gus, opróżnij to pomieszczenie. Wybierz sześciu ludzi, którym ufasz, i osobiście zamknijcie wszystkich na klucz w ich pokojach. Żadnej elektroniki. Do roboty.

Dietrich obrócił się na pięcie i zaryczał do zgromadzonego tłumu. Gromada agentów, żołnierzy, naukowców i personelu pomocniczego cofnęła się i zaczęła przepychać przez wyjścia. Ollie i Kapi również się wycofali, spoglądając na ciała, na mnie i na Churcha. Królik i Starszy zostali na miejscu.

– W porządku, kowboju? – Spojrzenie Rudy'ego było niepewne.

– Zapytaj mnie później.

Grace znów spojrzała mi w oczy. Wyczuwałem, że coś między nami przeskoczyło, jakaś podświadoma telepatia, ale nie umiałem tego wytłumaczyć. Nie wtedy, nie w tamtej chwili. Z wysiłkiem przerwałem kontakt wzrokowy i podszedłem do swoich ludzi.

– Starszy, zbierz oddział w jednym miejscu i wyślij mi SMS-a, gdzie jesteście.

Podąłem mu swój numer.

– Coś mi tu śmierdzi, kapitanie – mruknął Starszy.

– Zgadza się. Drzwi nie zostały uszkodzone. Ktoś wypuścił te stwory, a to znaczy, że ktoś właśnie zamordował czterech żołnierzy i wszystkich tych lekarzy. Zakładam, że Church zacznie polowanie na czarownice. I dobrze, ale ja zamierzam rozpocząć własne. Jesteście ze mną?

Starszy wykrzywił się paskudnie.

– Nie zaciągnąłem się, żeby ktoś zerznął mnie od tyłka, kapitanie.

– Cholerna racja – zgodził się Królik. Zaciśnął zęby. – Czego od nas oczekujesz?

– Jak na razie zbierzcie się i siedźcie cicho. Oczy szeroko otwarte, buzie na kłódkę. Jak coś zwietrzycie, choćby małego, dajcie mi o tym znać. Wszystko jasne?

– Tajes – odpowiedzieli krótko.

Ich twarze musiały być lustrzanym odbiciem mojej – przerażenie, wściekłość i coś jeszcze, niebezpieczny i drapieżny blask, który nie powinien świecić w oczach dobrych ludzi. Nie umiałem tego określić, podobnie jak wcześniej nie umiałem zinterpretować tego, co próbowała mi przekazać Grace, ale zrozumiałem sens i czułem, że płonie to również w moich oczach.

Podszedłem pół kroku bliżej, a oni pochylili się tak, że niemal stykaliśmy się głowami.

– Najlepiej, jeśli znajdziecie czarną kawę i wypijecie parę kubków.

– Chryste, szefie – powiedział Królik – ja już jestem tak nabuzowany, że i tak nie mógłbym zasnąć... – Umilkł, kiedy dotarło do niego, co miałem na myśli.

– Dopilnuję, żeby nikt nie usnął, kapitanie – mruknął Starszy. – Na tej warcie nie zastaniesz nas śpiących.

– Tajes – powiedziałem.

Starszy lekko trącił Królika w ramię i obaj odeszli, rozglądając się z wściekłością, jakby to, co się właśnie wydarzyło, było atakiem wymierzonym w nich osobiście. Odprowadziłem ich wzrokiem, odczytując mowę ciała. Zdarzało mi się błędnie oceniać ludzi, ale niezbyt często, uznałem też za mało prawdopodobne, by wbiegli nieuzbrojeni do strefy załadunku, gdyby to któryś z nich ominął zabezpieczenia i otworzył salę 12. Mimo wszystko zamierzałem mieć oczy szeroko otwarte w każdej sekundzie dnia i nocy. W tej chwili nie ufałem nikomu w WDN – poza Rudym, a on by i tak nie wiedział, jak obejść system zabezpieczeń, a zwłaszcza tak wyrafinowany.

Wróciłem do Churcha i Grace.

– Jak na razie, panie Church, pańska supertajna organizacja nie do końca mnie przekonuje.

Nie odpowiedział.

Podszedł do nas Dietrich.

– Pomieszczenie jest czyste, sir. Nikt nie opuszcza budynku, wszystkie wyjścia zostały zamknięte, a ja dobrałem strażników w pary. Żaden nie może zejść z oczu partnerowi. Zamykamy personel w ich pokojach. – Zawahał się, spoglądając z niepokojem na laboratorium. – Sir, przed trzydziestoma minutami osobiście sprawdziłem ten oddział strażników. Znam tych chłopaków. – Przerwał, a później poprawił się z wyraźnym smutkiem. – Znałem ich wszystkich całkiem dobrze.

– Ktoś otworzył te drzwi – powiedziałem, wskazując palcem. – Widzicie jakieś oznaki, że zostały sforsowane?

– Nie będziemy podejmować decyzji, nie mając informacji – powiedział Church. –

Nagrania z monitoringu wgrywają się właśnie na mojego laptopa. Spotkajmy się w sali konferencyjnej i obejrzymy je. Do tego czasu nikt z nikim nie rozmawia.

Pozostali ruszyli w stronę wyjścia, aleja zostałem z Churchem.

– WDN w końcu ma więźnia, którego może przesłuchać, i wtedy dzieje się coś takiego. Zabawny zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

– Tak, boki można zrywać.

Wyszedł, a ja ruszyłem za nim.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Amira, Bunkier, wtorek, 30 czerwca

Abdul, porucznik Wojownika, był zaciętym mężczyzną o ponurym spojrzeniu i dziobatej twarzy, przez co wyglądał jak ofiara czarnej ospy. Związał się z El Mudżahidem podczas serii ataków finansowanych przez jednego z irańskich ajatollahów. Razem wysadzili trzy posterunki policji w Iraku, zamordowali dwóch członków nowego rządu i podłożyli bomby, które zabiły lub okaleczyły kilkunastu amerykańskich i brytyjskich żołnierzy – a wszystko to wkrótce po „wyzwoleniu” Bagdadu. Przez kolejne lata pozostawiali krwawe ślady w pięciu krajach i nagroda za głowę Abdula była niemal równie wysoka, jak za El Mudżahida.

El Mudżahid opuścił kraj, a Abdul musiał dopilnować, by nikt nie dowiedział się o jego nieobecności. Przeprowadził kilka niewielkich ataków, w tym dwa na odległe wioski z użyciem nowego, zjadliwego szczepu, generacji siódmej patogenu *Seifal Din*, i za każdym razem pozostawiał płytę CD lub kasetę wideo z nagraniem wcześniej wiadomością od Wojownika. Ponieważ El Mudżahid wspominał o ściśle określonych incydentach w czasie ataków, Abdul musiał pokierować nimi w taki sposób, by zgadzały się ze wszystkimi nawiązaniem w wiadomościach.

Następnego ranka po „uratowaniu” El Mudżahida przez wojska brytyjskie Abdul powrócił na chwilę do Bunkra, by skonsultować się z Amirą, wcześniej jednak upewnił się, że Sebastian Gault wyjechał. Teraz siedzieli w jej gabinecie, on w głębokim skórzanym fotelu, ona na krawędzi sofy. Resztę niewielkiej kanapy zajmowały sterty wyników badań i raportów z autopsji.

Abdul pociągnął łyk wody źródlanej z butelki i wskazał na raporty:

– Czy to informacja o nowym szczepie?

– Tak, wyniki badań.

Pokiwała głową. Wydawała się bardzo zmęczona, a oczy miała zaczerwienione.

– Mówił coś jeszcze na ten temat?

Abdul nigdy nie używał nazwiska Gaulta. Nienawidził go i sądził, że samo wypowiedzenie na głos jego nazwiska było obelgą dla Boga, nie wspominając już o El Mudżahidzie. Gault i ten jego zdradziecki, śpiący z mężczyznami asystent, Zabawka. Kiedy Abdul myślał o tym, co Amira mogła robić z Gaultem, z trudem ukrywał paskudny grymas. Dziwka. Jak mogła sypiać z tym mężczyzną? Nawet jeśli robiła to dla sprawy i nawet jeśli sam El Mudżahid wydał takie polecenie, to było coś... ohydne. Miał ochotę splunąć na dywan.

Jeśli Amira była świadoma jego pogardy, dobrze to ukrywała. Podniosła jedną teczkę i zważyła ją w dłoni.

– To szczegółowy schemat urządzenia wyzwalającego, które Sebastian dostarczył mojemu mężowi. Czeka na El Mudżahida w sejfie hotelowym.

Uśmiechnęła się, wstała i podeszła do niego. Abdul bardzo się pilnował, by nie dotknąć jej dłoni, gdy przyjmował schemat.

Kiedy skończył czytać, z zaniepokojeniem podniósł wzrok.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem. To urządzenie jest zaminowane. Nie ma żadnego aktywnego włącznika, lecz zostało zaprogramowane, żeby uwolnić zarazę o wcześniej ustalonej godzinie.

– Tak.

– Skąd to masz? Jak to zdobyłaś? Musi należeć do...

Machnął ręką, nadal nie chciał wypowiedzieć nazwiska Gaulta.

– Ściągnęłam to z jego laptopa – powiedziała. – A raczej dopilnowałam, żeby zostało ściągnięte, kiedy laptop znajdował się poza jego zasięgiem.

– Nie wypuszcza go z rąk – zauważył Abdul.

Na twarzy Amiry pojawił się uśmiech.

– Był rozproszony.

Te słowa zawisły w powietrzu między nimi. Abdul odwrócił twarz, nie chciał, żeby ta dziwka zobaczyła jego rumieniec. Kiedy w końcu znów odwrócił się do niej, uśmiechała się znacząco. Wiedźma.

– I jesteś pewna, że on nic nie wie o ściągnięciu tego materiału?

– Nie wie, tak samo jak nie wie, że unieszkodliwiłam program, który pozwoliłby mu wysadzić bunkier. Moi eksperci komputerowi są najlepsi na świecie. W końcu Sebastian zapłacił za najlepszych.

Ta ironia losu sprawiła, że Abdul niemal się uśmiechnął. Zaśmiał się chrapliwie, choć w rzeczywistości był pod dużym wrażeniem. Ale jednocześnie czuł niepokój.

– Czy Wojownik o tym wie?

Amira znów się zaśmiała.

– Chociaż ty powinieneś mieć więcej zaufania do El Mudżahida. Wysłałam mu schemat, który pozwoli mu przeprogramować urządzenie wyzwalające tak, żeby rzeczywiście zadziałało, jak powinno zadziałać. – Zawahała się, po czym dodała z grymasem: – Jak Gault obiecywał, że będzie działać. – Jej grymas zmienił się w przebiegły uśmiech. – A ja również będę miała swój udział w naszej sprawie.

Kiedy powiedziała mu, na czym polegał, Abdul poczuł, jak jego niechęć do tej kobiety zaczyna znikać. Prawie się uśmiechał, gdy odprowadzała go do drzwi.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Magazyn WDN, Baltimore, wtorek; 30 czerwca, 23:01

Później spotkaliśmy się w sali konferencyjnej. Church, Grace, Hu, Dietrich, Rudy i ja.

Nikt nie zamierzał się kłaść tej nocy, więc piliśmy mocną kawę, ale wbrew wszystkiemu na stole znalazł się nowy talerz ciasteczek – wafelki waniliowe, oreo i coś, co wyglądało jak, Bóg mi świadkiem, ciastka w kształcie zwierzątek od Barnuma.

– Zanim popadniemy w całkowitą paranoję – powiedziała Grace – czy możemy być pewni, że to naruszenie bezpieczeństwa, a nie błąd w przestrzeganiu procedur? Jeśli drzwi nie zostały sforsowane, może ktoś z działu naukowego niechcący je otworzył.

– Może jeden ze sztywnych się wyrwał, a laboranci wpadli w panikę? – zasugerował Rudy.

– Nie sędzę. – Church miał na stole otwarty laptop, a teraz odwrócił go, żebyśmy wszyscy mogli popatrzeć. Nacisnął przycisk i na ekranie pojawił się obraz strefy załadunku i kontenera podpisanego jako 12. – To nagranie ciągle. Patrzcie.

Obraz nagle zamigotał i zaczął śnieżyć.

– Uszkodzenie kamery? – spytał Dietrich.

– Nie wiemy. Jeśli tak, to wszystkie kamery w tej części budynku popsuły się w tej samej chwili. – Uniósł rękę. – Zanim spytacie... w tej chwili wszystkie znów działają.

Grace pochyliła się, na jej twarzy malowało się napięcie.

– To mi wygląda na elektroniczne zagłuszanie.

– Nie rozumiem – powiedział Rudy.

– Wszystkie urządzenia monitorujące są elektroniczne, wobec czego są podatne na przeładowanie sygnałami lub blokowanie sygnału – powiedziała mu Grace. – Technika nie jest nowa i w dzisiejszych czasach istnieją przenośne zagłuszacze, które mieszczą się w kieszeni.

– Czyli to sabotaż? – Rudy przetarł oczy. – Ten dzień był zbyt długi.

Church wyłączył nagranie.

– Rozważając godzinę i miejsce zakłócenia sygnału, jak również późniejsze wtargnięcie do sali dwanaście, będziemy postępować zgodnie z założeniem, że zostaliśmy zinfiltrowani przez nieznanego osobnika lub osobników. Musimy go znaleźć i zneutralizować.

– Albo ją – dodała Grace.

– Albo ich – stwierdziłem. – Ostatnio prowadziliście werbunek na dużą skalę. Nie możemy zakładać, że trafił się wam tylko jeden zbuk.

– Zgoda. Musimy dokonać oceny tego incydentu i jak najwięcej się z niego nauczyć, zarówno w kwestiach strategicznych, jak i naszego bezpieczeństwa. Musimy również rozważyć wpływ tego incydentu na morale.

– Wydaje mi się cholernie oczywiste – warknął Gus Dietrich – że te dupki chciały uwolnić zarazę.

– Możliwe – powiedziała Grace – albo prowadzili rekonesans i otworzyli niewłaściwe drzwi.

– Podoba ci się ta teoria? – spytałem ją.

– Nie bardzo, ale warto o niej pamiętać. Choć sądzę raczej, że chcieli uciszyć więźnia.

Jednym haustem wypilem pół kubka kawy.

– Church, powiedział pan, że istnieje sposób, by zdobyć ten kod dostępu. Jaki?

– Istnieją właściwie tylko trzy możliwości, przy czym dwie są bardzo mało prawdopodobne – odparł. – Po pierwsze, mogli go dostać bezpośrednio od Grace, Gusa, Hu lub mnie. – Zaczekał na komentarze, ale nikt się nie odezwał. – Po drugie, ktoś z nas było na tyle nieostrożne, by zostawić szyfrator bez opieki.

Hu zaczął kręcić głową, zanim jeszcze Church skończył. Wyciągnął swój szyfrator i położył go na stole.

– Nie ma mowy. Nie po wykładzie, który mi pan palnął, kiedy mi go pan dawał. Leży na brzegu wanny, kiedy biorę prysznic, i w kieszeni piżamy, kiedy idę spać. Wiem, gdzie go mam, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Grace i Dietrich podobnie wyjęli swoje. Church się nie kłopotał. Udowodnił, co miał udowodnić.

– A jaka jest trzecia możliwość? – spytałem.

– Że ktoś ma szyfrator albo jakieś kompatybilne urządzenie, choć trudno mi w to uwierzyć. Te szyfratory nie trafiły jeszcze do sprzedaży. Uzyskałem je bezpośrednio od projektanta. Zrobił ich pięć, a ja kupiłem wszystkie.

– Kto ma ten piąty?

– Cioteczka Sallie.

– Kto?

– Cioteczka Sallie jest dyrektorem operacyjnym WDN – wyjaśniła Grace z uśmiechem. – Kieruje Hangarem, to znaczy naszym obiektem na Brooklynie.

– I nazywacie ją „cioteczką Sallie”? Takie określenie przywołuje obraz siwowłosej starej panny ze stadkiem kotów. Mam założyć, że uważacie tę cioteczkę Sallie za osobę godną zaufania, która nie zostawiła szyfratora w koszyku z robótkami?

Dietrich uśmiechnął się.

– Jeśli będzie miał pan szczęście, kapitanie, nikt jej nigdy nie przekaze tego, co pan właśnie powiedział.

Grace uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a spadek części napięcia wyraźniej odmłodził.

Nawet Church wydawał się rozbawiony, choć u niego trudniej to było ocenić.

– Sądzę, że ci z nas, którzy ją znają, mogą za nią ręczyć.

– A siła? Czy ktoś mógłby odebrać jej szyfrator?

– Chciałbym zobaczyć, jak ktoś próbuje – powiedział Church.

Siedzący naprzeciwko niego Dietrich chichotał cicho i kiwał głową, najwyraźniej wyobrażając sobie taką sytuację.

Śmiech i uśmiechy wkrótce jednak zniknęły. Spojrzałem na Rudy'ego, który wszystkich obserwował. Wyobrażałem sobie, że podobnie jak ja rozumiał, że śmiech jest zaworem bezpieczeństwa. Cały czas wisiał nad nami ogrom tego, co wydarzyło się w sali 12.

Rozległ się dzwonek telefonu. Kiedy Church spojrział na wyświetlony numer, uniósł rękę i odebrał. Przez parę minut rozmawiał cicho.

– Dziękuję, że tak szybko oddzwoniliście – powiedział. – Proszę mnie informować.

Wyłączył telefon i odłożył go na stół, a wszelkie ślady rozbawienia zniknęły z jego twarzy.

– To był mój kontakt z biura FBI w Atlancie. Henry Cerescu, inżynier, który zaprojektował szyfrator, nie żyje. Ciało znaleziono dziś rano w jego mieszkaniu w Atlancie, był martwy od około trzydziestu godzin. Policję zawiadomiła sprzątaczką, która go znalazła. Żadnych podejrzanych, ale według raportu mieszkanie Cerescu, które służyło mu

też jako pracownia, zostało zdemolowane. Pełny raport przyślą nam faksem.

– Cholera – mruknąłem. – Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela, Church, ale założę się, że mogę panu powiedzieć, co będzie zawierać ten raport. Najprawdopodobniej będzie to wyglądać tak, jakby włamał się tam ćpun. Nie będzie telewizora i odtwarzacza DVD, do tego mnóstwo przypadkowych uszkodzeń i wielki bałagan. Najlepszym sposobem, by ukryć drobne przestępstwo, jest upozorowanie większego. Założę się, że Cerescu miał gdzieś schemat swojego szyfratora, może wydruk albo na komputerze. Twardy dysk też zniknął, podobnie jak większość jego papierów.

– Bardzo prawdopodobne – powiedział Church.

Wziął kolejne ciasteczko i popchnął talerz w moją stronę. Przejrzałem je, w końcu wzięłem słońca i małą.

– Co nam teraz pozostaje? – spytała Grace.

– Mamy teraz pewność, że zinfiltrował nas ktoś, kto rozumie, czym jest WDN – powiedział Church. – I ktoś, kto zna mnie dość dobrze, by wiedzieć, jak zdobywam sprzęt.

– Ta lista nie może być bardzo długa – zauważył Rudy.

– Nie jest – zgodził się Church – a ja przyjrę się jej uważnie po zakończeniu tego spotkania.

– Wciąż pozostaje jeszcze jedna lub więcej osób wewnątrz WDN – stwierdziłem. – W tym budynku.

– Przepraszam – powiedział Rudy – ale czy mam założyć, że skoro jesteśmy tu razem na tej sali, to nie jesteśmy na liście potencjalnych podejrzanych?

Church odchylił się i przez chwilę przyglądał się Rudy'emu, jednocześnie palcem wskazującym kreśląc krąg na blacie stołu.

– Doktorze Sanchez, bardzo niewielu ludziom ufam bezwarunkowo i w każdym przypadku zaufanie to opiera się na wielu latach doświadczenia, sposobności i oceny. Co dotyczy większości tu zgromadzonych, moje zaufanie opiera się na krótszej wiedzy. Pan i kapitan Ledger byliście ze mną w laboratorium, a później zostaliście odprowadzeni do swoich kwatery. Major Courtland była ze mną, a sierżant Dietrich zakończył właśnie obchód z dwoma innymi oficerami. Jeden z nich odprowadził go do kwatery.

– W porządku, ale czy to nie oznacza jedynie, że nie braliśmy bezpośrednio udziału w otwieraniu drzwi? Dlaczego jest pan pewien, że nie jesteśmy współnikami? – zapytał Rudy.

Church odgryzł kęs ciastka, przeżuł.

– Nie powiedziałem, że oczyściłem pana ze wszystkich podejrzeń, doktorze Sanchez, ale jak już pan sam powiedział, jeśli znalazł się pan na tej sali, to nie jest pan wysoko na liście podejrzanych.

Te słowa chyba przynajmniej częściowo zadowolili Rudy'ego, ponieważ skinął krótko głową i umilkł.

– W ciągu ostatnich paru dni przez magazyn przewinęło się wielu ludzi – zauważył Dietrich. – Ekipa od przeprowadzek, połowa ochrony, budowlańcy, kilku nowych laborantów. – Przerwał i popatrzył mi w oczy. – I cały oddział Echo.

– Jak dobrze sprawdzono tych wszystkich ludzi? – spytałem.

– FBI wypożyczyło nam trzech swoich agentów – powiedziała Grace. – Poznałeś ich, Joe. Agenci Simchek, Andrews i McNeill... agenci, którzy zabrali cię z Ocean City.

Wiadrogłowy i jego kumple, pomyślałem.

– W porządku, ale kto sprawdził sprawdzających?

– Ja – przyznała Grace.

W jej oczach widziałem niepokój. Wiedziała, że muszę myśleć o jej przeoczeniu dotyczącym rejestrów oddziału specjalnego w odniesieniu do mnie i drugiej furgonetki. Od

czasu masakry w St. Michaels żyła w wielkim stresie, który nie sprzyja staranności i skrupulatności. Zachowałem to dla siebie i wydawało mi się, że zobaczyłem w odpowiedzi ślad skinienia głową w podziękowaniu.

– Ale to ja nadzorowałem samo sprawdzanie – dodał Dietrich. – Jeśli ktoś się prześlizgnął z powodu niedbałości, winę ponoszę ja.

Podobało mi się, że nie próbował się z niczego wykręcić. Dietrich był buldogiem Churcha, wydawał się bezpośredni i szczery. Lubiłem go i znajdował się nisko na mojej osobistej liście podejrzanych.

– Kolejne pytanie – powiedziałem. – Skąd rekrutujemy? Dał mi pan akta gości z oddziału Echo, razem z wielką stertą innych możliwych kandydatów. Niektóre teczki są standardowe, zdjęte z półki w supermarkecie, ale niektóre to FBI, kilka wojsko, a parę nawet miało napis „ściśle tajne”. Czy mogę zakładać, że prowadzicie rekrutację w całym wojsku i wszystkich agencjach federalnych?

– I w policji – dodał Dietrich i skinął głową w moją stronę.

– Jak? Wydawało mi się, że jesteście tajni?

– Tajność podlega pewnym ograniczeniom, kapitanie – stwierdził Church. – Wszyscy musimy przed kimś odpowiadać, a WDN odpowiada bezpośrednio przed prezydentem. – Po chwili dodał: – Kilka dni temu spotkałem się z szefami sztabów i szefami FBI, CIA, ATF, NSA i kilku innych agencji. Zostałem poproszony przez prezydenta, by opisać krótko WDN i jego misję, a później zwrócić się do zgromadzonych z prośbą o listę kandydatów, którzy mogliby znaleźć zatrudnienie w WDN. Dostaliśmy akta, agent Simchek i jego ludzie je ocenili i przepuścili każdego z kandydatów przez MindReadera. Ktokolwiek z choćby śladem wątpliwości był natychmiast odrzucany. Muszę jednak przyznać, że preferowaliśmy jednostki o umiejętnościach przydatnych w obecnym kryzysie, i to właśnie mogła być luka. Simchek i jego ludzie mogli kłaść zbyt wielki nacisk na obecne potrzeby. Albo też... zdrajca ma nieskazitelnie czyste akta i nie uruchomił żadnych alarmów.

– Jeśli brał udział w czarnych operacjach albo był w Delta Force – zauważyła Grace – to jego akta mogły zostać zmienione lub utajnione. Nazwiska tajnych agentów często są usuwane z raportów z przebiegu działań, zwłaszcza gdy agent jest wojskowym w służbie czynnej, a akcja była formalnie nielegalna. Zabójstwo albo przeniknięcie na terytorium wroga. Wiarygodne zaprzeczenie i takie tam, co oznacza, że ten skurwiol mógł się ukryć nawet przed MindReaderem.

– Jakiego człowieka szukamy? – spytał Rudy. – Agenta-renegata, sympatyka terrorystów...

– Nie wiadomo – powiedziała Grace. – Wiemy jedynie, że ta osoba, lub osoby, z nieznanymi przyczyn otworzyła salę dwanaście.

Church pokiwał głową.

– Największy wpływ ma to jednak na pana, kapitanie. Nie wiemy, jaki to ma związek z planowanym nalotem na przetwórnnię krabów ani czy w ogóle go ma. Przed spotkaniem major Courtland radziła mi, byśmy przesunęli go na później, a sierżant Dietrich chciałby uderzyć wszystkimi siłami i pozamiatać. Jednak decyzja należy do pana.

– Jezu Chryste – powiedział Rudy – on dopiero co wyszedł z sytuacji bojowej. Dwóch sytuacji bojowych...

Przerwałem mu, dotykając jego ramienia.

– Nie, Rudy. Później wyląduję u ciebie na kozetce, ale teraz słyszę coraz głośniejsze tykanie zegara. Jeśli to, co wydarzyło się w sali dwanaście, nie jest bezpośrednio związane z przetwórnnią krabów, zjem skarpetki sierżanta Dietricha.

– Ugotuję je dla pana – powiedział Dietrich.

– Church – odezwałem się. – Mieliliśmy zaatakować przetwórnice o świcie?
– Tak?
– Pieprzyć to. Chcę zaatakować już teraz.
Rudy aż sapnął, ale Church przytaknął.
– Tak właśnie sądziłem. Śmigłowce są w gotowości, a moi komputerowcy właśnie przygotowują wam sprzęt komunikacyjny.
Uśmiechnąłem się do niego.
– Joe – odezwała się Grace – pewien jesteś?
– Pewien? Nie. Wolałbym zrzucić na to miejsce dwustukilową bombę i skreślić ich z listy zadań, ale teraz bardziej niż wcześniej musimy wejść łagodnie i spróbować złapać jeńców. Sądzę jednak, że przesłuchanie powinno odbyć się natychmiast.
– W porządku – powiedziała Grace. – Mój oddział będzie gotów wpaść do środka na pierwszy sygnał, że coś jest nie tak. Ale jeśli chcesz, żeby wszyscy pozostali trzymali się z tyłu w dyskretnej odległości, oznacza to pięć do dziesięciu minut opóźnienia przed frontalnym atakiem.
– Joe... to samobójstwo! – wykrzyknął Rudy. – Nie ma możliwości, żeby...
– To moja decyzja – stwierdziłem stanowczo. – I nie widzę lepszego planu, który moglibyśmy teraz wprowadzić w życie. Im dłużej czekamy, tym więcej czasu ma szpieg na wysłanie wiadomości.
– W tej chwili żadne wiadomości nie wychodzą na zewnątrz – powiedział Church. – W całym budynku działają zagłuszacze. Nadal jednak musimy rozważyć możliwość, że wiadomości i informacje zostały wysłane wcześniej.
Odchyliłem się i popatrzyłem po ich twarzach.

Część trzecia

Bestie

Aż do dnia śmierci nie możemy być pewni własnej odwagi.

Jean Anouilh

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Magazyn WDN, Baltimore, środa, 1 lipca, 0:59

Członkowie oddziału Echo, którzy wbiegli truchtem do dużej hali magazynowej, wydawali się bardzo przytomni. Podminowani, przestraszeni i wyraźnie wkurwieni, ale przytomni. Kazałem im się przygotować, a oni ruszyli za Gusem Dietrichem do szaf z bronią. Oddział Alfa już tam był.

Rudy odwrócił się do Churcha.

– To pana zabija, prawda?

Church popatrzył na niego.

– Nie znam pana, panie Church – powiedział Rudy. – Przeprowadziliśmy tylko kilka dziwnych rozmów. – Machnął ręką. – Zombie i inne takie. Ale po tym, co się wydarzyło w sali dwanaście, zacząłem się zastanawiać nad tą sytuacją, nad tą organizacją, którą pan stworzył. Nie wiem zbyt wiele o wojsku, ale dość, by rozumieć, że tak się zwykle nie postępuje. I wiem dość o rządach, by rozumieć, że WDN działa niezależnie. Jest właściwie wolny od biurokracji. Mnóstwo władzy, i to dzielonej. – Przygryzł wargę. – Musi pan mieć wykształcenie lub praktykę w psychologii, psychoterapii lub psychomanipulacji. Może we wszystkich trzech. Wie pan, jak wprowadzić odpowiedni nastrój i wzbudzać zaufanie, najwyraźniej troszczy się pan o dobre samopoczucie swojego personelu. Lubi pan zabawki i szczyli się, że ma najlepsze na całym podwórku. Laboratoria są wręcz przesadnie wyposażone. Ma pan sprzęt, o którym nigdy nie słyszałem, nie mówiąc już o oglądaniu go na własne oczy. Wszyscy są ponadprzeciętnie inteligentni. Mnóstwo jednostek, niezbyt wielu graczy zespołowych.

– Do czego pan zmierza? – spytał Church, choć jeśli był zniecierpliwiony lub podenerwowany, nie okazywał tego po sobie.

– To, co Joe i ja tu widzimy, to pewnie WDN w wersji light. Założę się, że pański brookliński hangar jest wypasiony do kwadratu. Najściślejsze bezpieczeństwo, wszystko sprawdzane po trzy razy, mnóstwo redundancji w zabezpieczeniach. Ale ten obiekt musiał pan zorganizować w ciągu kilku dni. Żeby nie było, przez te kilka dni osiągnął pan coś niewiarygodnego i szczerze mówiąc, nie sądziłbym, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Jest pan wyjątkowym człowiekiem, panie Church.

– Nie musi pan łechtać mojego ego, doktorze.

– I nie jestem w odpowiednim nastroju – odparł Rudy z nutą surowości w głosie. –

Chodzi mi o to, że z konieczności musiał pan zorganizować to zbyt szybko i pod zbyt wielką presją. Brookliński model jest pewnie dobry, ale odpowiednie zabezpieczenie wymaga czasu. Więcej, niż go pan ma. Pewnie musiał pan powołać się na stare przysługi i poprosić o nowe w innych agencjach, pewnie musiał pan załatwiać sprawy kanałami, z których normalnie pan nie korzysta, a bolesna prawda jest taka, że w zabezpieczeniach siedziby WDN w tym magazynie są luki. A w efekcie tego... zginęli ludzie.

– Rude, daj spokój – powiedziałem cicho.

Zignorował mnie.

– Nie powiedziałem tego, by zrzucić na pana winę, panie Church. W najmniejszym stopniu.

Chodzi mi o to, że został pan przyparty do muru i całe wyćwiczone opanowanie nie zmieni wpływu, jaki ma to na pana jako istotę ludzką. Jedynie częściowo panujemy nad chemią mózgu. Znajduje się pan w stanie ogromnego napięcia fizycznego i psychicznego... a w tej chwili pewnie biczuje się pan wewnętrznie z powodu tego, co wydarzyło się w sali dwanaście.

– Nie sądzę, byśmy mieli na to czas – stwierdził Church, ale jego wzrok nie schodził z twarzy Rudy'ego. Chyba nawet nie mrugał.

– Nie mamy czasu wejść w to tak głęboko, jak powinniśmy – sprzeciwił się Rudy – ale musimy się do tego odnieść, przynajmniej częściowo. Życie mojego przyjaciela jest w niebezpieczeństwie. Po raz trzeci tego dnia. Moje własne życie jest potencjalnie zagrożone, dopóki przebywam w tym obiekcie i dopóki jest tu zdrajca.

– Wszyscy ryzykujemy...

– Nie. Nie o to mi chodziło i sądzę, że pan o tym wie. Nie proszę pana, by się pan przede mną otworzył, Church, nie tutaj i nie, o ile sam pan nie podejmie takiej decyzji. Chcę jedynie zwrócić uwagę, że te wydarzenia i obecność zdrajcy są związane z działaniami, które pan podjął. – Uniósł palec, by powstrzymać Churcha przed przerywaniem mu. –

Działaniami, które był pan zmuszony podjąć. Gdybyśmy mogli cofnąć czas i zacząć od początku, nie jestem pewien, czy cokolwiek można by zrobić inaczej. Być może, biorąc pod uwagę okoliczności, było to nieuniknione. Dlatego musi pan pamiętać, że mógł pan wcale nie mieć wpływu na dzisiejsze wydarzenia. Tak, musi pan zaostrić środki bezpieczeństwa, z perspektywy czasu to rozsądne posunięcie. Tak, musi pan prowadzić poszukiwania zdrajcy, poruszyć w tym celu niebo i ziemię. Tak, musi pan po trzy razy sprawdzić historię całego personelu WDN, a szczególnie tych, których zatrudniono niedawno. Ale, 1 to jest najważniejsze, musi pan zachować skupienie, cały czas mieć przed oczami cel i nie pozwolić, by poczucie winy lub złość odwróciły pańską uwagę od priorytetu, jakim jest powstrzymanie terrorystów przed użyciem tej straszliwej broni. Jeśli dzisiejsza tragedia wytrąci pana z równowagi, wszyscy możemy zginąć. Jeśli mogę coś doradzić, panie Church, niech pan swoje poczucie winy i gniew odłoży na półkę, przynajmniej do chwili, gdy Joe i jego oddział wrócą z przetwórnicy krabów. Niech pan pozostanie skupiony i panuje nad sytuacją.

Church nie odzywał się przez około pięciu sekund.

– Myśli pan, że nie jestem tego świadom, doktorze?

– Nie wiem, czego jest pan świadom, panie Church. Panuje pan nad uczuciami lepiej niż ktokolwiek, kogo miałem okazję poznać. Ale niezależnie od tego, jak twardy pan jest, a ja sądzę, że jest z pana kawał twardego hombre, nadal jest pan człowiekiem. W środku może się pan gotować z wściekłości, a jeśli Bóg jest miłosierny, mam nadzieję, że nigdy nie postawi mnie na pańskiej drodze, kiedy jest pan rozwścieczony. Pan i Joe jesteście do siebie podobni. Przez większość czasu panujecie nad sobą, ale nadchodzi moment, w którym całe to opanowanie idzie w diabły i pozostaje jedynie czysta, zabójcza furia. Co może się przydać, jeśli znajdzie się pan... oby nie... w pomieszczeniu pełnym sztywnych. Wolałbym jednak nie myśleć, że człowiek zajmujący się szczegółami operacji tego rodzaju kieruje się wściekłością i szuka zemsty. Problem z panem polega na tym, że nie umiem ocenić, jak blisko utraty panowania nad sobą się pan znalazł. Nie jest pan robotem, więc musi pan tłumić uczucia. Proszę tylko pamiętać, że tłumienie uczuć nie oznacza wcale usunięcia ich ze swojej psychiki. Jeśli jest pan tak inteligentny, jak mi się wydaje, rozważy pan, co powiedziałem. Musi pan rozpoznać rozprasające emocje i upewnić się, że nie wpłyną one na decyzje, które pan podejmuje, ani na czas podejmowania tych decyzji.

Rudy cofnął się o pół kroku. Wydawało się, że w tym drobnym ruchu zmniejszył się z olbrzyma do zwyczajnego człowieka. Wyłączył prześwietlenie, wycofał własną energię i pozostawił lukę, którą mógł wypełnić Church. Sposób, w jaki Church wypełnił tę lukę, miał ogromne znaczenie, a ja żałowałem, że nie czytam w myślach Rudy'ego, żeby zobaczyć, jak ocenił tę chwilę.

Church milczał około piętnastu sekund. Wstrzymałem oddech. Wtedy Church uśmiechnął się tym swoim zdawkowym uśmiechem i skinął głową.

– Wezmę to pod uwagę.

Rudy wpatrywał się w niego i musiał zobaczyć coś w tej kamiennej masce, jaką była twarz Churcha, ponieważ również skinął głową w odpowiedzi.

– W porządku.

– Panowie – powiedziałem – nie chcę przerywać tej chwili zwierzeń, ale wiecie, muszę iść walczyć z zombiakami.

Rudy zaklął plugawie po hiszpańsku, a Church odwrócił się, żeby ocenić stan przygotowań, choć sądziłem, że tak naprawdę ukrywał uśmiech.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Magazyn WDN, Baltimore, środa, 1 lipca, 01:16

Wcisnęliśmy się do śmigłowca SH-60 Seahawk, wyposażonego we wszystkie dostępne podwieszane działka i wyrzutnie rakiet. Kiedy weszliśmy do środka, a drzwi zostały zatrzaśnięte, usiedliśmy i uruchomiliśmy zestawy słuchawkowe, żeby móc porozumiewać się ponad hałasem wirników. Dołączył do nas Church. Na rogu mapy postawił otwartą paczkę wysokoenergetycznych batoników zbożowych. Bojowa wersja ciasteczek, pomyślałem. Gość ma świra.

Kiedy weszliśmy na pokład, wcisnąłem Rudy'ego w kąt.

– Siedz cicho, patrz i słuchaj – powiedziałem.

Pokiwał głową, ale wydawał się przestraszony. Miał lecieć jedynie do punktu zbiórki, ale chciałem, żeby przez cały czas towarzyszył Churchowi.

Wielkie silniki seahawka – T700-GE-701C – zaryczały, śmigłowiec podniósł się i skierował na południowy wschód z prędkością stu pięćdziesięciu węzłów, a za nim podążyły trzy inne śmigłowce – w dwóch leciał oddział Alfa, w trzecim personel pomocniczy.

– Oto najważniejsza kwestia – zacząłem mówić, gdy wszyscy siedzieli już wokół mapy. –

Ktoś złamał zabezpieczenia i otworzył drzwi do sali dwanaście. Efektem jest dziesięć ofiar: sześcioro członków personelu medycznego, nasz więzień i trzech żołnierze, do tego jeden żołnierz, który został ugryziony i zakażony przez sztywnych. A to znaczy, że wkrótce on również będzie martwy.

Królik i Starszy nic nie mówili – byli przy tym. Ollie przecesał włosy drżącą dłonią. Kapi wyglądał jak przestraszony dziesięciolatek.

– Kto to zrobił? – spytał Kapi.

– W chwili obecnej nie wiemy.

– To był wypadek, tak? – odezwał się Ollie.

Pozwoliłem, by milczenie odpowiedziało za mnie.

– O rany – westchnął.

Spojrzał z góry na łożę swojego MP5.

Kapi był nieco powolniejszy.

– Zaraz... chcesz powiedzieć, że to nie był wypadek? Ktoś zrobił to celowo?

– Mówimy tu o szpiegu – spytał Ollie – czy zostaliśmy zinfiltrowani przez terrorystów?

– Musimy rozważyć obie te możliwości – powiedział Church, a kiedy Ollie zaczął coś mówić, dodał: – I to koniec tej dyskusji, do odwołania.

Moi ludzie spojrzeli na mnie, a ja mimo tego, co powiedział Church, postanowiłem mieć ostatnie słowo.

– Na razie nie wiemy, kto to zrobił ani ilu ich jest, więc aż do odwołania wszyscy, absolutnie wszyscy, są podejrzani. Nie podoba wam się? Co za pech. Nie proszę teraz o uwagi, ale wysłuchajcie, co mam do powiedzenia: znajdę tego, kto to zrobił, a kiedy to zrobię, bardzo tego pożałuje. Jeśli ktokolwiek wie cokolwiek, co ma z tym związek, albo się

czegoś dowie, chcę się o tym dowiedzieć. Przyjdźcie do mnie, porozmawiajcie w cztery oczy. Jak na razie wywiesiłem białą flagę i prowadzę rozmowy, ale ta propozycja wygasa w ciągu dwudziestu czterech godzin, a później pod czarną flagą zacznę polowanie na czarownice. Chcę wiedzieć, że to usłyszeliście i zrozumieliście.

– Tajes – warknął Starszy.

Królik pokiwał głową.

– Głośno i wyraźnie, szefie.

– Tak jest, sir – powiedział Kapi.

Ollie odsłonił zęby w paskudnym grymasie.

– Znajdziemy tego gościa, który próbował dobrać się nam do dupy, ty go przytrzymasz, a ja obetnę mu jaja.

Napięcie w powietrzu było gęste jak ruchome piaski. Rozdałem raporty.

– Zapoznajcie się z materiałami. Macie piętnaście minut.

* * *

– Jakies pytania? – spytałem, kiedy wszyscy odłożyli dokumenty.

Królik odchrząknął.

– Szefie, nie chcę być upierdliwy, ale w tym całym raporcie ciągle powtarza się „tego nie wiemy”, „tamtego nie wiemy”. Chodzi mi o to... Co wiemy?

– A co chcesz wiedzieć?

– No – Królik zwrócił się do Churcha – na początek, kim są wrogowie. „Terrorysta” głównie mi daje. Sir.

– Powiem ci, co powiedziałem kapitanowi Ledgerowi – odparł Church. – W komórce wyeliminowanej przez oddział specjalny znajdowali się przedstawiciele szerokiego wachlarza organizacji terrorystycznych i ekstremistycznych. – Odwrócił się i spojrzał na Królika, który miał krzywą minę. – Dalej, sierżancie – zachęcił – proszę o to spytać.

– Jaki to ma sens? To znaczy pewnie, mówimy o „międzynarodowej współpracy terrorystów”, ale przecież nie chodzi o to, że wieczorami wszyscy idą razem na kręgle. To przecież nie klub, co nie?

A my mamy uwierzyć, że ci kolesie, nie wiem, umawiają się na ploteczki przy kawie i ciasteczkach?

Rozległy się chichoty, nawet Church uśmiechnął się lekko. Uśmiech pewnie był udawany, ale jednak był.

– Uważasz to za mało prawdopodobne? Jesteś podoficerem, masz osiem lat doświadczenia i uważasz, że Bezpieczeństwo Krajowe myli się w interpretacji informacji zebranych przez oddział specjalny?

Patrzył Królikowi w oczy, a Królik odpowiadał tym samym.

– Tak jest, sir, uważam, że to stek bzdur.

Church znów się uśmiechnął.

– Oczywiście, że tak, sierżancie, inaczej by cię tu nie było. – Pozwolił, by te słowa dotarły do wszystkich. – A jeśli którykolwiek z was kiedykolwiek przyjmie informacje bez zastanowienia się nad nimi i wypowiedzenia na głos uzasadnionych wątpliwości, wylecicie stąd tak szybko, że aż zrobi się wam niedobrze.

– W takim razie...

Królik nie spodziewał się takiej reakcji i na chwilę wybiło go to z rytmu.

– Powiedz mi, jakie wnioski powinniśmy wyciągnąć, sierżancie – zachęcił go Church. – Ponieważ informacje, przynajmniej jeśli chodzi o szczegóły, są prawdziwe. Ci mężczyźni

pochodzili z różnych grup. Sprawdziliśmy to. Bezpieczeństwo Krajowe sądzi, że to oznacza, iż wspólnota terrorystów jednoczy się przeciwko Ameryce. Co ty o tym sądzisz?

Królik posłał mi spojrzenie, a ja skinąłem głową. Podobało mi się, że Królik kierował się tą samą logiką, co ja w czasie rozmowy z Churchem.

– Cóż – powiedział, chwytając za skórzany uchwyt, kiedy śmigłowiec skręcił gwałtownie – mamy tam mnóstwo oczu i uszu. CIA ma od cholery szpiegów. We wszystkich służbach podsłuchują cały Bliski Wschód. Gdyby ekstremiści tworzyli jakąś „oś zła” – przerwał, czekając na śmiechy, które rzeczywiście się rozległy – nie ma mowy, żeby coś do nas nie dotarło. Cały ten czas ani nie pisnęli? Nie ma mowy.

– Mów dalej. – Uśmiech Churcha wydawał się szczerzy.

– Czyli... naprawdę nikt nie pomyślał, że to wcale nie jest początek Wielkiej Orkiestry Terrorystycznej Pomocy, tylko raczej, jak to się nazywa? Trust mózgow?

– Mów dalej – powiedziałem.

– Może ktoś... może ten chory skurwiel, który wymyślił te całe priony... miał genialny pomysł, ale potrzebował Drużyny A, żeby mu się udało. Nie przeciętnych fanatyków, tylko gości z działającymi mózгами. Według raportu doktora Hu mamy do czynienia z... jak on to ujął... „radykalnie rozwiniętą” techniką. Może nasz zły gość rozpuścił wici, że rekrutuje tylko najlepszych.

– Nie kupuję tego – stwierdził Ollie.

– Ja też nie – zgodził się Starszy Sims. – Też by się rozniosło. Coś byśmy usłyszeli. Nie, ten skurwiel ma dostęp do społeczności terrorystów i werbuje bezpośrednio. W cztery oczy. Tak jest bezpieczniej.

– Jasne – przytaknął Ollie. – Łatwiej wszystko utrzymać w tajemnicy.

– Ale wtedy pojawia się kolejny problem – zaczął Królik, zaraz jednak pokręcił głową. – Nie, może raczej ślad. Jeśli werbuje poza swoją macierzystą organizacją, trzeba założyć, że pewien procent mu odmówi. Nie każdy chce się bawić w coś takiego. Jeśli ten gość jest rzeczywiście tak bystry, jak się nam wydaje, na pewno nie pozwoliłby odejść nikomu, kto mógłby się czegokolwiek domyślać.

Kapi pstryknął palcami.

– Racja! Powinniśmy sprawdzić w międzynarodowych raportach, czy jacyś terroryści specjalizujący się w zaawansowanej broni lub medycynie ostatnio wypadli z gry. Ten gość pewnie zabijał każdego, kto nie zaciągnął się do jego drużyny.

Church odwrócił się do mnie.

– Wygląda na to, że pański oddział czyta panu w myślach. – Zwrócił się do pozostałych: – Kapitan Ledger miał podobny pomysł i dlatego rozpoczęliśmy przeszukiwanie baz danych. Zgodnie z jego sugestią zaczęliśmy również poszukiwać niezwiązanych z terrorystami naukowców zajmujących się odpowiednimi dziedzinami, którzy zaginęli lub których rodziny zniknęły w podejrzanych okolicznościach.

– Naukowcy mogą podjąć wszelkiego rodzaju ryzykowne badania, jeśli wiedzą, że ich żony albo córki siedzą gdzieś z pistoletem przy głowie – zgodził się Starszy. – Gdyby moje dzieciaki znalazły się w takim niebezpieczeństwie, zrobiłbym dla nich wszystko.

Zobaczyłem grymas na jego twarzy i przypomniałem sobie, że jego syn zginął, a córka została okaleczona przez tę wojnę.

– W porządku, powiedzcie nam, dlaczego nasz tajemniczy gość werbuje tak daleko od swojej macierzystej grupy.

Królik miał się odezwać, ale Ollie był pierwszy.

– Ponieważ nawet w dużej grupie albo w małym kraju nie ma dosyć błyskotliwych naukowców zajmujących się odpowiednimi dziedzinami, którzy jednocześnie są ekstremistami gotowymi zginąć za sprawę.

– Racja – powiedział Kapi.
Starszy pokiwał głową.

– Tak, to zbyt wielkie wymagania jak na takie małe łowisko. Trzeba starannie wybierać, znaleźć właściwych gości, kurewsko inteligentnych i gotowych na śmierć. Nawet na całym świecie nie jest to wielka gromada.

– Dokładnie o to mi chodziło. – Królik pokiwał głową. – Sprytna robota. Naprawdę sprytna. – Pociągnął łyk kawy z metalowego kubka izotermicznego i popatrzył znad niego na mnie i Churcha.

– Nikt w Bezpieczeństwie Krajowym o tym nie pomyślał?

– Wielopoziomowa biurokracja słynie z wywierania negatywnego wpływu na praktyczne myślenie – stwierdził Church.

– Co jest eleganckim sposobem na powiedzenie, że gówno robią – przetłumaczył Ollie. Church nie skomentował, ale raczej się nie sprzeciwił.

Starszy zmrużył oczy i popatrzył z namysłem na Churcha.

– Sir... domyślam się, dlaczego wybrał pan właśnie nas. A te myślaki w naszym zespole? Założę się, że nie ma wśród nich żadnego, który zająłby drugie miejsce w olimpiadzie.

Church uśmiechnął się.

– Czyli mamy tutaj – powiedział Kapi – drużynę gwiazd.

Ollie wyszczerzył zęby.

– Dobra, oni mają oddział myślaków i my mamy oddział myślaków. Ale my mamy też ekipę doskonałych strzelców. Kogo mają oni?

– Javad Mustapha, jeden gracz z ich drużyny, wywołał epidemię, która zmiotła z powierzchni ziemi dwa oddziały WDN i ponad dwustu cywilów – powiedziałem. – Sami widzieliście na własne oczy, co sztywni zrobili z tymi dziećmi, strażnikami i laborantami w Delaware, wiecie też, co wydarzyło się w sali dwanaście. My mamy strzelców, oni mają sztywnych.

Te słowa sprawiły, że wszyscy ucichli i przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu w śmigłowcu przelatującym nad Delaware.

– Zaskoczenie odgrywało ważną rolę w szpitalu. Podobnie, jeśli chodzi o to, co wydarzyło się tej nocy – powiedziałem. – Jakie są szanse, że którykolwiek z nas będzie zaskoczony, jeśli w przetwórni krabów wpadniemy na sztywnego?

Królik prychnął.

– Jeśli coś jęczy i się rusza, zabiję to.

– Tajes – powiedzieli wszyscy.

– A jeśli będzie ich dużo? – spytał Church.

– Zabiłem całą bandę sztywnych w Delaware, sir – odparł Starszy – a wtedy byłem w dobrym humorze. Po sali dwanaście jestem z deczka wkurwiony.

– Ano – zgodził się Kapi.

– Świetnie – stwierdził Church – ale tu się pojawia pewien problem. Oddział Echo ma wejść, rozejrzeć się i niczego nie dotykać. Jak sami zauważyliście, mamy mało informacji. Celem waszej misji jest zdobyć ich więcej, bo z Delaware nie wyciągnęliśmy właściwie nic wartościowego. Jeśli okaże się, że najlepiej będzie się wycofać i przegrupować, tak właśnie zrobimy. Istnieje możliwość przejścia do frontalnego ataku, ale mamy również pewne priorytety, wśród nich zabezpieczenie nieuszkodzonych komputerów i dysków i zatrzymanie podejrzanych. Jeśli już będziecie musieli pociągnąć za spust, to chociaż spróbujcie... naprawdę się postarajcie... przyprowadzić mi kogoś z wciąż bijącym sercem.

– Wydawało mi się, że te świry umierają po sześciu, najdalej ośmiu godzinach, jeśli nie dostaną pigułki – zauważył Kapi. – Jak zamierza pan wycisnąć z nich informacje w tak krótkim czasie?

Pan Church miał kamienną twarz.

– Mój egzemplarz Konwencji Genewskiej spłonął w pożarze. Nie będę potrzebował sześciu godzin.

Wszyscy czterej byli bardzo twardymi gośćmi, a jednak bezkompromisowy ton głosu Churcha sprawił, że zamilkli. Po chwili Ollie odchrząknął.

– Co mamy zrobić, jeśli natrafimy na zbrojny opór?

– Jeśli zostanieie ostrzelani, odpowiedzcie ogniem. To nie jest samobójcza misja, poruczniku Brown. Zbyt wielu swoich ludzi pochowałem w ciągu tego tygodnia. – Przerwał, by się upewnić, że wszyscy skupiają na nim całą uwagę. – Spróbujcie osiągnąć cele misji zgodnie z ich priorytetem, ale róbcie, co musicie, żeby pozostać przy życiu.

– W porządku – powiedziałem – popatrzcie na mapę. Przetwórnia krabów znajduje się nad Zatoką Chesapeake niedaleko cieśniny Tangier. Południowo-wschodnia ściana budynku jest zwrócona w stronę rzeki Pocomoke około siedmiuset metrów od miejsca, w którym uchodzi ona do zatoki. Znajduje się tam drewniane nabrzeże, przy którym cumują łodzie poławiaczy krabów. Resztę nieruchomości zajmuje parking w kształcie litery U. Mnóstwo otwartej przestrzeni.

Ollie postukał w mapę.

– Nie ma gdzie się chować. Jeśli mają kamery z noktowizją, zostaniemy posiekani na kawałki. Musimy odwrócić ich uwagę albo znaleźć inną drogę wejścia.

– Mam pewien pomysł – powiedziałem. – Budynek jest parterowy, o płaskim dachu, i ma powierzchnię około pięciu tysięcy metrów kwadratowych. Zanim zaczęto wykorzystywać go do przetwarzania owoców morza, był hangarem dla łodzi, ale został przebudowany. Z raportu inspektora budowlanego ze stycznia tego roku wiemy, że w północno-wschodnim rogu są biura i przestrzeń magazynowa: puste pojemniki, metki, folia spożywcza i inne takie. Reszta to już przetwórnia.

– Wciąż przerabiają tam kraby? – spytał Kapi.

– Nie. Przedsiębiorstwo przeszło pod przymusowy zarząd masy upadłościowej. Załogę zwolniono piętnastego lutego.

– Dobra, skoro przetwórnia jest zamknięta, to dlaczego na parkingu stoi... Ile właściwie? Osiem, dziewięć aut?

– Jest to jedna ze spraw, których nie wiemy – przyznałem. – W normalnej sytuacji założyłbym, że są tu, żeby nadzorować reorganizację firmy, ale oddział specjalny śledził furgonetkę tego samego modelu, co te trzy tutaj.

– Furgonetki z jakim ładunkiem? – spytał Królik.

– Nieznany, ale mogły to być kolejne duże niebieskie pojemniki.

Ollie zmrużył oczy, wpatrując się w obraz satelitarny.

– Czy od tego czasu był jakiś ruch wokół przetwórni?

– Żaden, poza ochroniarzem – odparłem.

Starszy wyraźnie miał wątpliwości.

– Widzieliśmy w ogóle kogoś poza ochroniarzem?

Pokręciłem głową.

– Nie. Tylko jeden ochroniarz, ma cztery dziesięciogodzinne zmiany tygodniowo, od dwudziestej drugiej do szóstej rano. Dzięki zdjęciom teleobiektywem wiemy, że to Simon Walford, lat pięćdziesiąt trzy, ochroniarz zatrudniony przez firmę z siedzibą w Elkton, choć sam mieszka niedaleko stąd. Pracuje w przetwórni od ponad dwóch lat.

– Wiemy coś o nim? – spytał Kapi.

– Nic, co by pasowało do profilu sympatyka terrorystów. Wdowiec, mieszka samotnie. Nie służył w wojsku, nie ma kartoteki kryminalnej, żadnych kart członkowskich, co najwyżej Netflix i karta stałego klienta BJ's Wholesale. Oszukuje przy wypełnianiu

rozliczenia podatkowego, ale chodzi o ukrywanie drobnych dochodów, jakie czerpie z naprawiania silników dwusuwowych. Kosiarki do trawy, odchwaszczarki. Jego syn ma firmę zajmującą się pielęgnacją trawników. Wyciągi z banku wyglądają dokładnie tak, jak byście się spodziewali: właściwie żadnych oszczędności, żadnych inwestycji, dochód rzędu dwa tysiące. Nie żyje od pierwszego do pierwszego, ale blisko. Jego konto e-mailowe jest czyste, a z internetu korzysta jedynie, by zaglądać na classmates.com. Jego klasa spotyka się w sierpniu z okazji trzydziestopięciolecia.

– Czyli jest nikim – uznał Kapi, ale Królik i Starszy natychmiast się na niego rzucili.

– Szef wcale tego nie powiedział, chłopcze – warknął Starszy. – Mówi, że nie ma żadnych śladów. Co nie oznacza, że nie jest zamieszany.

– Nie ufaj nikomu – dodał Królik. – Nie oglądałeś *Archiwum X*?

Kapi poczerwieniał.

– Przejrzałem profil tego gościa – powiedziałem – i owszem, wydaje się, że jest w porządku, ale tak naprawdę może być kimkolwiek: zdrajcą, zakamuflowanym najemnikiem albo nawróconym. Albo po prostu nie ma o niczym pojęcia. Nie dowiemy się, dopóki nie dotrzemy na miejsce.

– Tylko jeden strażnik? – spytał Kapi, bardzo pragnąc naprawić swój błąd. – Cztery zmiany tygodniowo?

– Jeden, którego widzieliśmy – poprawił Church wyraźnie zadowolony z tej uwagi.

Pochylił się i przesunął pudełko batoników zbożowych w stronę młodego marynarza. Kapi po chwili wahania wziął ten z musli i przez całe pięć sekund patrzył na niego, nie otwierając opakowania. Zastanawiałem się, czy oprawi go w ramki.

– Teren nie jest patrolowany w ciągu dnia – powiedziałem. – Kiedy Walford jedzie do domu, zamyka bramę od zewnątrz. Poza Walfordem nikt nie opuszcza terenu i nikt na niego nie wchodził.

– Jeśli powiem „to dziwne”, nie dostanę ciasteczka, prawda? – powiedział Królik, a Church jakby się uśmiechnął.

Królik zrobił minę z gatunku „mamusiu, mogę?”, wziął batonik w czekoladzie i po rozerwaniu opakowania wrzucił sobie do ust.

Rozległ się trzask i pilot ogłosił:

– Przewidywany czas przybycia: czterdzieści minut.

– W porządku, panowie... ocena sytuacji – powiedziałem i wszyscy się skupili.

– Dziewięć aut... – powiedział Kapi – czyli dziewięciu potencjalnych wrogów.

– W furgonetce było dwóch – dodał Ollie, zaglądając do notatek – więc lepiej dziesięciu.

– Nie – sprzeciwił się Starszy, szeleszcząc swoim egzemplarzem raportu – popatrzcie na stronę czwartą. Furgonetki są zarejestrowane na firmę. Pewnie parkowały tam regularnie, co oznacza, że prowadzący je goście najpewniej dojeżdżali do pracy własnymi autami. Na parking stoi sześć samochodów. – Podniósł wzrok. – Skan termiczny?

– To przetwórnia owoców morza – stwierdził Church. – Mają lodówki i zamrażarki. Sygnały termiczne są słabe. Wyłapywaliśmy maksymalnie cztery słabe ludzkie sygnały jednocześnie. Zniekształcenia są jednak zbyt wielkie, by móc zgadywać, jak wielu ludzi tam przebywa.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Królik – jeśli ta fabryka jest zamknięta od początku roku, to po kiego diabła wciąż mają działające zamrażarki i lodówki?

Uśmiechnąłem się promiennie.

– To cholernie dobre pytanie, czyż nie?

Church zastanawiał się przez chwilę, po czym popchnął pudełko z batonikami w stronę Królika.

Kapi wydawał się zadowolony.

– Cholera – mruknął Starszy. – Innymi słowy, nie mamy pojęcia, w jakie gównno się pakujemy.

W środku może być ze dwudziestu ludzi. I może być też ze dwadzieścia zombiaków.

– Musimy być otwarci na każdą możliwość – zgodziłem się.

Church pokiwał głową.

– Wiemy jedno: zgodnie z prezydenckim rozkazem, który mam w kieszeni marynarki, przetrwornia krabów została uznana za terytorium wroga. Obowiązują zasady postępowania w czasie wojny, konstytucja ulega zawieszeniu. Nieprzyjaciele zostają uznani za wrogich bojowników.

– Aż mi ich żal – mruknął Królik, żując batonika.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Crisfield, Maryland, środa, 1 lipca, 02:33

Wylądowaliśmy za remizą ochotniczej straży pożarnej półtora kilometra od przetwórni. W pobliżu stał drugi śmigłowiec, a na parkingu tłoczyły się wszelkiego rodzaju służbowe samochody, w większości pomalowane tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Ale ja widziałem już dość, by je rozpoznać.

Opuściliśmy śmigłowiec i pośpiesznie weszliśmy przez tylne drzwi remizy. Gus Dietrich już był na miejscu, stał przy dwóch ruchomych stojakach na sprzęt. Każdy z oddziału dostał komunikator, który wyglądał jak unowocześniony zestaw słuchawkowy na bluetooth. Stuknięcie w słuchawkę zmieniało kanał. Kanał pierwszy był zastrzeżony dla oddziału i monitorowany przez Churcha i jego sztab z furgonetki zaparkowanej w odległości niecałego kilometra od przetwórni. Inne kanały były przeznaczone dla szerszej komunikacji, gdyby trzeba było wprowadzić do gry SWAT, komandosów i pozostałych czekających w gotowości. Jeden kanał był moim prywatnym łączem z Churchem.

Saratoga Hammer Suits dotarły na miejsce i wszyscy je przymierzyliśmy. Leżały jak luźny kombinezon, były zaskakująco wygodne i nie utrudniały ruchów. Wyprowadziłem kilka kopnięć i ciosów pięścią i choć miałem na sobie kevlarową kamizelkę i inne osłony, kombinezon zbytnio mnie nie spowalniał. Na Króliku był nieco ciasniejszy, przez co potężny mężczyzna wyglądał jak kielbaska.

Wybraliśmy sobie broń. Nadal nie miałem tłumika dla swojej czterdziestki piątki, więc zachowałem berettę M9-zresztą była lżejsza i naładowana dziewięciomilimetrowymi nabojami parabellum z wgłębieniem wierzchołkowym. Kiedy podniosłem wzrok, napotkałem spojrzenie Rudy'ego, w oczach miał wątpliwości i troskę.

– *Si vis pacem, para bellum* - zacytowałem, chowając broń do kabury.

Zmrużył oczy, pracując nad tłumaczeniem.

– „Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny”.

– Tajes – mruknął stojący niedaleko Starszy.

– To hasło reklamowe producenta? – spytał Rudy.

– Nie – powiedziałem, sprawdziłem magazynek i założyłem go z powrotem. – Amunicja to parabellum kaliber dziewięć milimetrów. Nazwa pochodzi od cytatu z rzymskiego pisarza Publiusza Flawiusza Wegecjusza Renatusa.

– Widzę, że nie marnowałeś czasu w szkole – powiedział Rudy. Odchrząknął. – Życzę wam wszystkim powodzenia. Wracajcie cali i zdrowi.

Cofnął się i usiadł na tylnym zderzaku jednego z wozów strażackich, splótł nerwowo dłonie i oparł je na kolanach. Pocił się, ale wątpię, by miało to cokolwiek wspólnego z gorącą lipcową nocą.

Mrugnąłem do niego i wcisnąłem zapasowe magazynki do przypinanej na rzepy ładownicy u pasa. Każdy z moich ludzi miał MP5 z łatwo zdejmowalnym tłumikiem. Na łydce umocowałem porządny nóż – nóż Rangersów, długi na dwadzieścia siedem

centymetrów od rękojeści do końca czarnego stalowego ostrza i doskonale wyważony do walki w zwarciu i do rzucania.

Śmigłowiec Grace Courtland wylądował, gdy moi ludzie sprawdzali sobie nawzajem sprzęt. Ona wprowadziła do środka oddział Alfa, tamci natychmiast zabrali się do wkładania kombinezonów Hammer. Grace podeszła do mnie.

– Podoba ci się pierwszy dzień w WDN? – spytała ze złośliwym uśmiechem.

– Tak. Bardzo tu spokojnie.

– Może jutro znajdziemy ci jakieś bomby do rozbrojenia.

– Byłaby to miła odmiana.

Uśmiechała się do mnie, ale w jej uśmiechniętych oczach kryły się zmory. St. Michael był dla niej czymś równie żywym, jak dla mnie Delaware i sala 12. „Piętno” było w jej oczach, wiedziałem też, że ona widzi je w moich. Uznałem to wzajemne rozpoznanie za dziwnie uspokajające.

– Jak twój oddział? – spytała.

– Gotów, by wykonać zadanie. A twój?

– Moi będą czekać w gotowości przez cały czas. Powiedz tylko słowo, a przybiegniemy.

– Zawahała się. – Żałuję, że nie mogę wejść tam z tobą.

– Dzięki. Kiedy to się skończy, chciałbym się upić. Dołączysz do mnie?

Przez chwilę patrzyła mi w twarz.

– Wspaniały pomysł. Ja stawiam pierwszą kolejkę. – Podała mi rękę. – Jesteś dobrym człowiekiem, Joe. Church tak sądził od samego początku, a on rzadko się myli. Przepraszam, że przekonanie się zajęło mi tak długo.

Ścisnąłem jej dłoń.

– Było, minęło.

– Nie daj się zabić.

Spróbowała powiedzieć to żartobliwym tonem, ale jej oczy nieco się zaszklily. Odwróciła się szybko i dołączyła do swoich ludzi, którzy właśnie ładowali sprzęt na tył wozu strażackiego.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie Church właśnie skończył rozmowę przez komórkę. Pomachałem do niego i podszedłem.

– Zanim ruszymy, chciałbym wprawić parę rzeczy w ruch – powiedziałem. – Chcę, żeby zaczął pan dla mnie tworzyć najwyższej klasy ekipę dochodzeniową. Żadnych drugorzędnych specjalistów i nikogo, kogo bym nie znał osobiście.

– Kogo ma pan na myśli?

Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru.

– To lista ekspertów, których znam i którym ufam. Najbardziej chcę Jerry'ego Spencera z DC. Jak sądzę, już go pan poznał.

– Złożyliśmy mu propozycję, ale odmówił.

– Złóżcie lepszą propozycję. Jerry to najlepszy śledczy, jakiego znam.

– W porządku. – Church dotknął mojego ramienia. – Nie mamy żadnych wskazówek, kim może być ten szpieg, kapitanie. A to znaczy, że może nim być ktokolwiek. – Spoglądał ponad moim ramieniem w stronę oddziałów Echo i Alfa. – Niech pan uważa na siebie.

Wyciągnął rękę, a ja ją uściśnąłem.

Odwróciłem się i krzyknąłem na całe gardło:

– Oddział Echo, do roboty!

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Crisfield, Maryland, środa, 1 lipca, 02:51

Do czwartego lipca pozostały trzy dni, ale pojawiły się już pierwsze fajerwerki. Nie śliczne gwiazdki czy ogniste kwiaty na nocnym niebie, lecz pojedynczy wybuch czerwopomarańczowych płomieni, wznoszący się nad podniszczonymi drewnianymi schodami, które łączyły wzburzone wody cieśniny Tangier z impregnowanymi deskami nabrzeża przetwórni Blue Point Crab and Seafood w Crisfield. Wcześniej rozległ się głośny ryk silników-to niebieska motorówka płynęła zygzakiem po ciemnych wodach, a wyraźnie pijany sternik próbował nieudolnie wrócić na kurs. Łódka wbiła się z impetem w nabrzeże, pod wpływem uderzenia pękł pełen bak, a paliwo zapaliło się od wciąż działającego silnika. Rozległ się gardłowy ryk, jak rozwścieczonego smoka, a płomień wzniosł się w niebo, rozświetlając całą scenę pomarańczowym i czerwonym blaskiem.

Ze względu na późną porę nie było świadków wypadku, ale ludzie, którzy spali na przycumowanych w okolicy łodziach w ciągu kilku minut sięgnęli po komórki lub nadajniki radiowe. Ciszę niemal natychmiast przeszyły syreny wozów strażackich i karettek.

Simon Walford był tej nocy na służbie w budce ochroniarza, a kiedy łódka uderzyła w nabrzeże, przy świetle niedużej lampki czytał powieść Davida Morrella i popijał kawę. Wylał pół kubka kawy na koszulę od munduru i wstrząśnięty spróbował się połączyć ze swoim przełożonym, który jednak nie odebrał. Minęły dwa dni, od kiedy Walford rozmawiał z kimkolwiek z przetwórni, i dwa tygodnie, od kiedy widział żywą duszę na terenie. Ale samochody nadal stały na parkingu. To nie miało sensu.

Chwycił krótkofalówkę, wybiegł z budki i przebiegł przez parking na nabrzeże, ale kiedy tylko zobaczył płomień, wiedział, że nie ma szans na znalezienie kogoś żywego. Gorąco sprawiło, że aż się cofnął. Zobaczył jedynie poczerniałą sylwetkę pochyloną na miejscu sternika. Ciało spowijały płomień, a kończyny były sztywne i nieruchome jak u manekina.

– Dobry Boże! – sapnął Walford.

Zadzwoił na 911, ale zanim zdążył się połączyć, usłyszał odległe syreny. Gdyby był nieco mniej wstrząśnięty, mógłby się czuć zaskoczony niewiarygodnie szybką reakcją miejscowej ochotniczej straży pożarnej, zwłaszcza w środku nocy. Jednak w tej sytuacji mógł myśleć tylko o tym, jaki bezradny się czuł. Znowu wybrał numer przełożonego, ale odpowiedziała poczta głosowa, więc pozostawił pilną i niemal niezrozumiałą wiadomość. Wstrząśnięty i bezradny wrócił do budki i otworzył bramę, żeby wpuścić wozy strażackie.

Rozdział sześćdziesiąty

Crisfield, Maryland, środa, 1 lipca, 02:54

Oglądaliśmy wybuch łodzi na laptopie Dietricha.

– Pięknie – mruknął Kapi.

Zaparkowaliśmy na poboczu drogi kilometr od przetwórci i zgasiliśmy światła.

– Chryste – jęknął Królik – gotuję się w tym cholerstwie.

– Życie jest ciężkie, co nie? – powiedział Starszy, który pocił się tak samo jak my wszyscy, ale nie wydawało się, że to dla niego problem. Jestem pewien, że gdyby Starszy Sims miał strzałę w nerce, nie pozwoliłby, żeby na jego twarzy malował się ból.

Niektórzy faceci już tacy są.

– Dobra – ryknął Gus Dietrich – właśnie zadzwonili na 911.

– Zapalaj – powiedziałem mu, a wtedy kierowca uruchomił silnik i włączył światła i syreny.

Jak na razie nasz pośpiesznie wymyślony plan działał nieźle. Jeden z inżynierów Churcha podłączył zestaw zdalnego sterowania do motorówki, którą oddział specjalny skonfiskował po nalocie na magazyn, do tego Bóg jeden wie skąd wzięli dwa sklepowe manekiny, które przypięli na przednich siedzeniach.

Dietrich operował zdalnym sterowaniem i zrobił całkiem niezły spektakl, płynąc zygzakiem między zacumowanymi łodziami i generalnie wywołując spore zamieszanie. Jeśli byli jacyś świadkowie, opowiedzą o pijanym gościu, który sterował jak wariat. Motorówka była załadowana po burty kanistrami z benzyną i małymi ładunkami C4, które Dietrich zdetonował przez radio w chwili, kiedy łódź uderzyła w dok. Wybuch był stanowczo zbyt wielki, jak coś, co można zobaczyć na filmie, i cholernie imponujący.

Po kilku minutach znaleźliśmy się na miejscu, a ochroniarz gorączkowo machał rękami, żebyśmy wjechali przez otwartą bramę. Nasz kierowca skręcił w lewo i skierował się w stronę wielkiego, pomalowanego na czerwono hydrantu, a w chwili, gdy zatrzymał się z piskiem opon, wszyscy wybiegliśmy na zewnątrz. Drugi wóz zatrzymał się bliżej nabrzeża, a czekaliśmy jeszcze na trzy. Dzięki temu po okolicy miało biegać mnóstwo mężczyzn i kobiet w identycznych kurtkach i hełmach.

Niektórzy z nich nawet rzeczywiście byli strażakami. Na miejscu pojawiły się też dziesiątki radiowozów należących do policji stanowej i lokalnej. Wiedziałem, że Grace jest w jednym z nich, a oddział Alfa tkwi rozrzucony w pozostałych. Church siedział w furgonetce dowodzenia zaparkowanej za rogami drogi dojazdowej, a komandosi w furgonetkach za nim. Blisko, ale czy dość blisko, jeśli napotkamy opór?

Kiedy wysypaliśmy się na zewnątrz, Królik i Starszy ruszyli od razu do hydrantu, mijając rząd zaparkowanych samochodów i furgonetek, które widzieliśmy na zdjęciach z satelity i śmigłowców. Kapi i Ollie ściągnęli wąż z wozu i zaczęli go rozwijać, idąc tyłem w stronę hydrantu.

– Kamera na mojej drugiej – powiedział Królik w mojej słuchawce. – Powolny obrót, kąt dziewięćdziesiąt stopni.

– Przyjąłem. Idę. Dajcie mi osłonę.

Na moje polecenie zaczęli mocować wylot węża do hydrantu. Zbliżyłem się do nich, kątem oka obserwując kamerę. Kiedy skierowała się w stronę głównego parkingu, gdzie akcja właśnie się rozwijała, rzuciłem się do przodu i przycisnąłem do ściany w miejscu, które uznałem za martwe pole obiektywu. Kiedy ja biegłem do ściany, ukryty za drzwiami wozu strażak wybiegł i szybko zajął moje miejsce. Powtórzyliśmy to jeszcze cztery razy, później oddział Echo przyciskał się do ściany, a prawdziwi strażacy mocowali wąż do hydrantu.

– Kapi... miej oko na kamerę – powiedziałem.

Królik wyjął czujnik z kieszeni i przeciągnął nim po drzwiach, centymetr po centymetrze, a później pokazał mi odczyt.

– Standardowy przełącznik dotykowy – powiedział. – Alarm uruchomi się, kiedy otworzymy drzwi.

– Doskonale. Ollie, do roboty.

Ollie sam zaproponował, że zajmie się zamkiem, który wydawał się całkiem solidny.

Musiał się napracować, ale w ciągu niecałych dwóch minut go otworzył. Nie otwierał jednak drzwi, bo w chwili ich otwarcia rozległby się alarm. Jeśli tuż za drzwiami nikogo nie było, nasze przedstawienie miało się opłacić, ale jeśli w środku znajdowała się choć jedna osoba, to całe ukrywanie się szło w diabły.

– Dobra – powiedziałem do mikrofonu – wezwijcie gliny.

Sygnal został przekazany i wkrótce do drzwi podszedł masywny oficer policji stanowej. Gestem kazałem mu zwolnić, żeby kamera wyraźnie zobaczyła, jak rusza w stronę drzwi, a później, gdy tylko skierowała się w drugą stronę, machnąłem do niego, a on przebiegł ostatnie kilka metrów.

Odwrociłem się i przez trzy sekundy waliłem w drzwi, a później je otworzyłem i wszyscy wpadliśmy do środka. Rozległ się alarm. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nami, Ollie odwrócił się i znów zamknął je na zamek, a policjant zaczął walić w drzwi i potrząsać nimi.

Całą piątką natychmiast rozproszyliśmy się, wyciągając broń – ale wcale nie musieliśmy, gdyż pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, było wielkie, brudne i puste. I zimne. Jak w przetwórni mięsa, najwyżej pięć stopni, wilgotne powietrze i czarna pleśń na ścianach. Pośrodku wyłożonej starymi płytkami podłogi biegł wielki ściek, a po lewej mieliśmy niski kamienny murek, za którym znajdowały się wielkie prysznice. Na rzędzie masywnych haków nadal wisiało kilka impregnowanych kurt. Tu pewnie przychodzili poławiacze krabów po rozładowaniu połowu, żeby zmyć słoną wodę i resztki krabów ze sztormiaków, zanim ruszyli w głąb przetwórni. Po prawej mieliśmy rząd śmierdzących kabin toaletowych, a przed sobą ścianę z rzędami szafek. Za szafkami korytarz odbijał w lewo. Wszystko to widzieliśmy w chorobliwym żółtym świetle migających jarzeniówek.

Kazałem Kapiemu obserwować korytarz, kiedy zdejmowaliśmy kurtki i hełmy i chowaliśmy je w kabinie prysznicowej.

Kapi ostrzegł nas cichym sygnałem dźwiękowym, a rękami pokazał, że ktoś się zbliża. Wszyscy się ukryliśmy. Ollie i Kapi weszli do kabin toaletowych i kucnęli na sedesach, Starszy i Królik schowali się w kabinach prysznicowych, a ja kucnąłem za niskim betonowym murkiem. Spoglądałem tuż ponad jego krawędzią, a za sobą miałem cienie, więc byłem całkiem nieźle ukryty. Trzymałem beretę w obu dłoniach, próbując usłyszeć kroki ponad hałasem alarmu.

W chwili kiedy usłyszeliśmy kroki, alarm ucichł. Policjant nadal walił w drzwi, a do tego zaczął krzyczeć, jakby był oburzony, że nikt nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje. W moim polu widzenia pojawił się mężczyzna z kałasznikowem w ręku. Wydawał się

zdenierwowany i spocony, oczy miał szeroko otwarte, gdy wpatrywał się w drzwi. Oblizwał wargi i rozejrzał się po sali, ale nic nie zobaczył. Pilnowaliśmy się, żeby nie zostawić śladów na podłodze.

Po chwili niezdecydowania cofnął się, otworzył jedną z szafek, schował karabin, zamknął ją i wyjął z kieszeni krótkofalówkę. Kiedy ją uruchomił, wszedł w krąg słabego światła z jednej z nielicznych nadal działających jarzeniówek. Miał bliskowschodnią urodę, początki łysiny, krótką brodę i haczykowaty nos.

– Jestem przy tylnym wejściu – powiedział do krótkofalówki, posługując się dialektem z Waziristanu w południowym Iranie. Ledwie go rozumiałem. – Nie... drzwi są zamknięte, ale wydaje mi się, że strażacy chcą wejść do środka. Wałą w drzwi.

Słuchał przez chwilę, ale głos po drugiej stronie był zbyt zniekształcony, żebym go zrozumiał.

– Dobrze – powiedział i wyłączył krótkofalówkę.

– W porządku, już idę! – zawołał bardzo poprawną angielszczyzną.

Otworzył drzwi, a wtedy wielki policjant wypełnił wejście całym sobą i poświecił latarką prosto w twarz mężczyzny.

– Nie słyszał pan stukania? Nie słyszał pan wybuchu? Jak może pan nie wiedzieć, że po pańskim parkingu biegają strażacy z połowy hrabstwa?

Zgodnie z rozkazami policjant natychmiast zaczął wygłaszać wściekłą tyradę, co wywołało reakcję obronną drugiego mężczyzny i po kilku chwilach obaj na siebie wrzeszczeli. Irańczyk wyraźnie żałował, że otworzył drzwi, ale musiał odgrywać swoją rolę, to znaczy zdezorientowanego i uszkodzonego pracownika, który nie chce mieć nic wspólnego z czymś, co wydarzyło się na nabrzeżu. Wrzeszczał, że nadzoruje ekipę planującą renowację budynku, który został już sprzedany. Wykrzykiwał nazwiska i numery telefonów do ludzi, do których powinna zadzwonić policja. Powiedział też gliniarzowi, żeby przestał mu świecić tą cholerną latarką w twarz. Musiał powtórzyć to trzy razy, zanim policjant to zrobił. Kłócili się jak przekupki. Sprawdziłem godzinę. Kłótnia trwała dwie minuty. Za chwilę kolejny policjant wezwie wielkiego gościa i pozwolą „nadzorcy” zająć się swoimi sprawami – i rzeczywiście, usłyszałem, jak Gus Dietrich woła gliniarza.

– Zgłosi się do pana inspektor straży pożarnej z formularzem do podpisania – ryknął policjant.

– Jasne, jasne, w porządku. Przestańcie mnie zadręczać. To jakieś bzdury. Proszę, to wizytówka prawnika, który się wszystkim zajmuje. On z chęcią zajmie się wszystkim, co trzeba załatwić.

Policjant wyrwał wizytówkę z ręki Irańczyka i odszedł, tupiąc głośno. Imponujące przedstawienie, doprawione stosowną dozą oburzenia.

Irańczyk znów zamknął drzwi i dwa razy sprawdził zamek. Włączył krótkofalówkę i szybko zrelacjonował wydarzenia.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Wracam.

Schował radio do kieszeni, jeszcze raz się rozejrzał, zabrał kałasznikowa z szafki i ruszył z powrotem korytarzem. Odczekałem pełną minutę od chwili, gdy ucichł odgłos jego kroków, i wstałem. Pozostali wyslizgnęli się z ukrycia.

– Kapi, znów obserwujesz korytarz – szepnąłem. – Jeśli zobaczysz choć karalucha, dajesz podwójny sygnał. Starszy, Królik, chcę, żebyście utrzymali tę pozycję. Ollie, jesteś ze mną. Od tej pory używamy kryptonimów. Tylko broń ręczna.

Pokiwali głowami i ruszyliśmy. Kapi ukląkł na jedno kolano, wykorzystując rząd szafek jako osłonę. Światła nie było wiele, ale gdyby go zabrakło, mieliśmy jeszcze noktowizory. Królik zajął stanowisko za niskim murkiem, który mógł posłużyć jako bunkier, gdyby

zaczęli nas gonić. Starszy prześlizgnął się na drugą stronę pomieszczenia i zniknął wśród cieni.

Ollie zlustrował ciemny korytarz.

– Czysto – mruknął.

Wyruszyliśmy w głąb trzewi bestii.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 03:15

Budynek był cichy jak grób i zimny jak lodówka. Bardzo mi się to nie podobało, bo wiedziałem, co może oznaczać. Słyszałem jedynie cichy szmer kompresorów lodówek dochodzący z drugiego końca magazynu. Podeszwy naszych butów nie robiły żadnego hałasu, kiedy wraz z Olliem skradałem się wzdłuż ściany, rozglądając się w poszukiwaniu kamer monitoringu i przeskakując od cienia do cienia.

Według planów przez środek budynku biegł centralny korytarz – a przynajmniej taka była pierwotna wersja. Jednak korytarz przed nami nie wyglądał na dość długi, by prowadzić na drugi koniec przetworni.

Nie mieliśmy planów pokazujących przebudowę, jaka nastąpiła od czasu, gdy budynek przejął syndyk masy upadłościowej. Korytarz biegł prosto przez około stu metrów, a później znikał w cieniach, które wydawały się dość gęste, by ukrywać mur. Co jakieś dziesięć metrów w ścianach umieszczono masywne stalowe drzwi. Zbliżając się do pierwszych, sprawdziliśmy każdy centymetr podłogi, ścian i sufitu w poszukiwaniu kamer, ale żadnych nie znaleźliśmy.

Pierwsze drzwi, do których dotarliśmy, miały prosty zamek na kartę. Nic, co bardzo by nas spowolniło, gdybyśmy się śpieszyli.

– Pluskwa – powiedziałem, a wtedy Ollie sięgnął do kieszeni i wyjął dwa małe urządzenia.

Pierwsze miało wielkość znaczka pocztowego i neutralny szary odcień. Podał mi je, a ja zdjąłem osłonę z przezroczystego plastiku, by odsłonić wrażliwe na światło chemikalia, a później na trzy sekundy przycisnąłem je do metalowych drzwi.

Kiedy skończyłem odliczanie, oderwałem pasek i zobaczyłem, że ma teraz taki sam odcień, jak drzwi. Obróciłem urządzenie i oderwałem taśmę, odsłaniając warstwę mocnego kleju, a później przycisnąłem je do metalu na wysokości kolan, znacznie poniżej miejsca, na które naturalnie pada wzrok przy otwieraniu drzwi. Przyjrzałem się efektowi i razem z Olliem popatrzyliśmy po sobie z uniesionymi brwiami. Jeśli ktoś nie wiedział, czego szuka, pluskwa była całkowicie niewidzialna, idealnie stapiała się z farbą na drzwiach. Małe pluskwy kameleonowe podobno świetnie zbierały dźwięk i mogły go przekazywać na odległość czterystu metrów.

– Nieźle – powiedział Ollie i podał mi drugie urządzenie, srebrny dysk wielkości drobnej monety.

Zdjąłem osłonę warstwy samoprzylepnej i umieściłem urządzenie na dolnej ścianie czytnika kart.

Pluskwa nie miała żadnego zastosowania do chwili, gdy ktoś użyje karty, żeby otworzyć drzwi. Wtedy miała zapisać kod magnetyczny i przesłać go do WDN, gdzie zostałyby przepuszczone przez MindReadera i odesłane do nas. Każdy z nas nosił czyste karty, które mogły zostać zakodowane na odległość przez techników z WDN. W ciągu dziewięćdziesięciu sekund od użycia karty wszyscy mielibyśmy karty z tym samym

kodek.

Nasze czyste karty mogły pomieścić do sześciu różnych kodów. Church naprawdę miał dostęp do niezłych zabawek, aleja miałem nadzieję, że rzeczywiście zadziałają tak, jak obiecał.

Postukałem w słuchawkę.

– Pierwsza na miejscu.

Ruszyliśmy dalej i powtórzyliśmy ten proces przy każdych drzwiach. Licząc obie strony korytarza, drzwi było w sumie jedenaście. Później korytarz kończył się rozgałęzieniem w kształcie litery T, pod kątem prostym odchodziły od niego dwa krótsze korytarze.

– Rozdzielamy się? – zasugerował Ollie.

Pokiwałem głową.

– Jeden sygnał, jeśli coś znajdziesz, dwa sygnały, jeśli mam natychmiast przybiec.

– Przyjąłem – odparł i zniknął.

Ta część budynku była kiepsko oświetlona, jarzeniówki wisiały na drutach jak śmieci, które złapały się w ogromną pajęczynę. Sufit był popękany, z jakiejś ukrytej w ścianie pękniętej rury kapiała woda. Podłoga była wilgotna, do tego koszmarnie śmierdziało. Ostrożnie ruszyłem naprzód, przez chwilę zastanawiając się nad noktowizją, ale światła był dość, by znaleźć drogę. Trąciłem coś nogą, a kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem truchło szczura, miał otwarte oczy i język zwisający z pyska. Przystąpiłem nad nim i szedłem przed siebie, aż dotarłem do pierwszych drzwi. Były zamknięte i zablokowane rzędem powgniatanych koszy na śmieci wypełnionych wszelkiego rodzaju odpadami – stare ciuchy, połamane parasole, zepsute zabawki, gazety, zużyte pieluchy. Mimo zimna wokół kłębiły się muchy, a smród się wzmógł. Wstrzymałem oddech, mocując kameleona i skaner kart, i z wdzięcznością odszedłem.

W korytarzu było więcej śmieci. Dziwne rzeczy. Skłęsa piłka futbolowa obok nowiutkiego lewego trampka. Otwarta teczka, z której wysypały się papiery i nasiąkły rdzawą wodą. Zmiażdżona komórka. Dwa frisbee i usztywniany stanik. Pół tuzina iPodów. Dziesiątki listów – w większości reklamy i rachunki – w zaklejonych, podstemplowanych kopertach. Połamana, bezgłowa lalka Barbie. Przewrócony sklepowy koszyk wypełniony aluminiowymi puszkami.

Widok śmieci rozrzuconych w ciemnej, rdzawej wodzie, przeszył mnie dreszczem. W głowie zaczęły mi się pojawiać paskudne myśli, a rozsądna część umysłu kazała się obrócić na pięcie i wynosić w diabły. Ruszyłem dalej, żeby przykleić pluskwy do ostatnich trzech drzwi przed zakrętem korytarza.

Trzymając pistolet w obu rękach, przycisnąłem się do ściany, a później szybko wyjrzałem za róg, błyskawicznie wystawiłem głowę i znów ją cofnąłem, po czym przeanalizowałem obraz. To, co zobaczyłem, przeszyło mnie lodowatym dreszczem.

O rany, pomyślałem. Nie chcę mieć racji.

Wyszedłem za róg, nadal rozglądając się w poszukiwaniu kamer i zagrożeń, lufa pistoletu podążała za moim spojrzeniem, celując zawsze w miejsce, na które patrzyłem. Przed sobą miałem wielkie podwójne drzwi. Nie chodziło o same drzwi ani nawet o smród, który sprawiał, że zdawało się brakować powietrza do oddychania. Na podłodze leżały kolejne sterty ubrań, rzeczy osobistych, ludzkich odpadków. Niektóre z nich wydawały się nowe, nieuszkodzone. Wyglądały jak rzeczy odebrane zwykłym ludziom. Dziesiątkom zwykłych ludzi.

Drzwi były zamknięte na wielką kłódkę założoną na ciężkie metalowe pierścienie przyspawane do stalowej futryny. Natomiast same drzwi, ściany wokół nich i podłogę wysmarowano lepką substancją, która po wyschnięciu nabrała czekoladowego odcienia. Pochyliłem się i zobaczyłem, że maż ukrywa przewody prowadzące w górę ściany

i znikające w niewielkich otworach wywierconych w betonie. Odwróciłem się i ruszyłem wzdłuż ściany, śledząc przebieg drutów. Półtora metra dalej znikają za gaśnicą zamontowaną na wysokości piersi. Pułapka. I to nieźle zakamuflowana. Pytanie brzmiało tylko, czy ładunek jest wewnątrz gaśnicy, czy wewnątrz zamkniętego pomieszczenia. A może w obu tych miejscach.

Pieprzyć to. Cofnąłem się ostrożnie, zatrzymałem i wpatrzyłem w wodę liżącą dolną część drzwi. Rdzawy odcień był tu mocniejszy i czerwiejszy, jakby zabarwiało go coś od środka.

Zrozumienie uderzyło mnie jak cios w twarz. Podniosłem się szybko i cofnąłem od drzwi, czując, że serce wali mi w piersiach i wypełnia mnie atawistyczne przerażenie. Gapiłem się na zabrudzoną wodę i plamy na ścianach i zrozumiałem wszystko. Ciemna maź na drzwiach to nie błoto, a wody nie plamiła rdza.

Wszystko, każdy centymetr kwadratowy, to była krew.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 03:23

Zrobiłem krok do przodu i zbliżyłem się do drzwi najbardziej, jak mogłem, nie dotykając ich. Za nimi panowała cisza. A jednak... była to dziwna cisza, jak ktoś wstrzymujący oddech po drugiej stronie połączenia telefonicznego. Człowiek wie, że ktoś tam jest, ale nic nie słyszy. Ani trochę mi się to nie spodobało, więc wróciłem za zakręt. Żadnych śladów Olliego i żadnych dźwięków dochodzących z tamtej strony. Ta cisza też nie brzmiała dobrze, ale nie była taka sama jak to, co wyczułem – albo wyobraziłem sobie – za tymi makabrycznymi drzwiami.

Przykucnąłem za kozłami na śmieci i postukałem w słuchawkę, żeby nawiązać zabezpieczone połączenie z WDN.

– Diakon, czy mnie słyszysz? Tu Kowboj – powiedziałem, wykorzystując kryptonimy, które wybraliśmy przed rozpoczęciem akcji.

Mój zaproponował Rudy. Znając wojskowe poczucie humoru, mogłem trafić znacznie gorzej. Znałem gościa z Rangersów, który utknął z kryptonimem Cindy-Lou Who.

– Tu Diakon, słyszę cię.

Zestawy słuchawkowe były tak dobre, że miałem wrażenie, że Church znów się do mnie podkradł i szeptał mi do ucha.

Szybko przekazałem mu, co znalazłem, uwzględniając zamknięte drzwi i krew.

– Na razie je zostaw. Kiedy weszliście do budynku, wszystkie łącza wideo padły. Nie dostajemy żadnych sygnałów bezprzewodowych. Sygnał audio jest zmienny, ale nadal działa. Zakładamy sprzęt zagłuszający. Jaki jest status twojego oddziału?

– Blizna ruszył na spacer korytarzem. Joker prowadzi obserwację, reszta jest przy drzwiach. – Postanowiłem dać swoim ludziom przydomki, które przyszły mi na myśl, kiedy ich poznałem. Joker, Blizna, Sierżant Rock i Hulk. – Temperatura w budynku niewiele przekracza zero. Klimatyzacja. Proszę o potwierdzenie.

– Przyjąłem.

Zapanowała cisza i mogłem się domyślać, że obaj patrzymy na tę kwestię pod tym samym kątem.

– Decyzja należy do ciebie, Kowboju – powiedział w końcu Church. – Wracaj do domu, idź na spacer albo urządz imprezę.

– Przyjąłem. – Przez chwilę rozważałem możliwości. – Kontynuuję spacer. Nie wykluczam jednak żadnej możliwości. Potwierdź, że Amazing jest w gotowości.

Amazing, skrót od *Amazing Grace*.

– Potwierdzam.

– Kowboj bez odbioru.

Postukałem znów słuchawkę, by wejść na kanał oddziału.

– Blizna. Gdzie jesteś?

Nie było żadnej odpowiedzi, nawet sygnału.

– Blizna... tu Kowboj. Czy mnie słyszysz?

Nic. Cholera. Spojrzałem w głąb korytarza, ale był tak samo pusty, jak wcześniej. Nic mi to nie dało.

– Hulk i Sierżant Rock do mnie, szybko i cicho.

– Przyjąłem, Kowboju.

Najszybciej jak się odważyłem, wycofałem się do głównego korytarza, z radością oddalając się od tych koszmarnych drzwi. Na skrzyżowaniu w kształcie litery T zatrzymałem się. Wkrótce zobaczyłem zbliżającą się masywną sylwetkę Królika, za którym podążał Starszy Sims.

– Blizna tam poszedł, a teraz nie odpowiada – powiedziałem, po czym szybko opowiedziałem im o zamkniętym i zabarykadowanym pomieszczeniu oraz przewodach w ścianach.

Królik zmarszczył czoło.

– Pułapka?

Starszy Sims odwrócił się do niego.

– Jeśli coś wygląda jak kaczka i kwacze jak kaczka...

– Mamy przejebane, co, szefie? – spytał Królik, rozglądając się po korytarzu. – Ta mała scena przy wejściu mogła być przedstawieniem również z ich strony, nie tylko z naszej.

– Pewnie tak było – odparłem – ale dopóki się nie upewnimy, musimy spróbować doprowadzić zadanie do końca. Zebrać informacje i wydostać się w jednym kawałku.

– Ten fragment o „jednym kawałku” bardzo mi się podoba – stwierdził Królik.

– Tajes – mruknął Starszy, po czym popatrzył na mnie. – Zniknięcie Olliego bez jednego strzału jest trochę dziwne, nie sądzisz?

– Odrobinę.

– Wciąż nie wiemy, kim jest kret, kapitanie – zauważył.

– Zgoda, sierżancie, ale nie będę przypinać etykietki żadnemu ze swoich ludzi, dopóki nie będę mieć pewności.

Starszy patrzył mi w oczy przez dziesięć sekund, zanim w końcu powiedział niechętnie:

– Tak jest, sir.

– Nie chciałbym wprowadzać zamieszania – przerwał Królik – ale nie wydaje się wam, że w tej chwili nie ma to nic do rzeczy? To znaczy z całym szacunkiem i w ogóle, bo obaj jesteście wyżsi stopniem od skromnego sierżanta.

– Wepchnij to sobie tam, gdzie słońce nie sięga, chłopaczkę – powiedział Starszy, ale uśmiechał się szeroko.

Królik przetarł oczy.

– Rany... zapowiada się cholernie długi dzień.

Skinąłem w stronę korytarza, gdzie zniknął Ollie.

– Priorytety zadania nadal obowiązują. Obserwujemy i czekamy. Żadnego strzelania, chyba że na mój rozkaz, a nawet wtedy pilnujcie się i starannie wybierajcie cele.

Podeszliśmy do skrzyżowania i skręciliśmy w prawo, a później w lewo. Znajdowaliśmy się w trzech czwartych korytarza, kiedy jedno z bocznych drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka wyszedł mężczyzna w białym fartuchu laboratoryjnym. Pochylał głowę nad notatkami na podkładce, niewiele ponad metr od Starszego.

Nie było żadnej kryjówki ani czasu na ucieczkę. Mężczyzna podniósł wzrok nad podkładki i szeroko otworzył oczy. Otworzył usta i widziałem, jak jego pierś się unosi, gdy nabrał tchu do krzyku, ale Starszy poderwał się błyskawicznie i czubkiem okutego buta kopnął go w splot słoneczny. To był paskudny kopniak i mężczyzna zgiał się wpół jak tracący powietrze balon, a później ze zduszonym piskiem osunął się na ziemię.

Dopadliśmy go i założyliśmy mu plastikowe kajdanki na nadgarstki i kostki, nim zaczerpnął tchu. Jego ciemna skóra posiniała. Starszy podszedł do drzwi, przez które

wyszedł mężczyzna, zajął do środka, a później odwrócił się do mnie i pokręcił głową. Królik chwycił faceta za koszulę i wcisnął mu lufę pistoletu między oczy.

– Bądź cicho, a nie umrzesz – szepnął.

Facet nadal miał wybałuszone oczy po kopniaku, a wybałuszył je jeszcze bardziej, kiedy zorientował się, że otacza go trzech potężnych i dobrze uzbrojonych gości. Byliśmy panami jego życia i śmierci i on o tym wiedział. Całkowita i niespodziewana bezradność może być wydarzeniem, które oczyszcza duszę. Wyostrza skupienie umysłu.

Pochyliłem się nad nim i odezwałem w farsi:

– Mówisz po angielsku?

Pokręcił głową, na ile pozwolił mu pistolet Królika, a później wybełkotał coś w języku kraju zwanego obecnie Myanmar, a kiedyś Birmą. Nie znałem go.

– Mówisz po angielsku? – zapytałem go w swoim ojczystym języku.

– Tak... tak angielski. Mówię bardzo dobrze.

– Masz szczęście. Zadam ci kilka pytań, a jeśli odpowiesz mi szczerze i wyczerpująco, mój kolega cię nie zastrzeli. Rozumiesz?

– Tak, tak, rozumiem!

– Jak się nazywasz?

– Nujoma.

– Hindus? Birmańczyk?

– Tak, tak, pochodzę z Rangunu. W Birmie.

– Ilu ludzi jest w tym budynku?

– Jestem tylko... – Głos mu się załamał, zaczął od nowa. – Jestem tylko laborantem.

– Nie o to pytałem. Jak wielu...?

– Ja... nie mogę. Zabiją mnie...

Chwyciłem go za gardło.

– A jak myślisz, co ja zrobię, jeśli mi nie odpowiesz?

– Mają moją żonę. Dzieci. Siostry. Nie mogę.

– Kto je ma? Gdzie? Są w tym budynku?

– Nie. Zabrali je z naszego domu. Mają je.

– Kto je zabrał? – znów spytałem.

Pokręcił głową.

Królik postukał go lufą w czoło.

– Odpowiedz na jego pytania albo ten dzień skończy się w sposób, jaki ci się nie spodoba.

Groźba Królika na nic się nie przydała. W oczach mężczyzny pojawiły się łzy, zacisnął wargi i pokręcił głową. Spojrzałem mu w oczy i miałem wrażenie, że mogę zajrzeć w głąb jego duszy. Nie był terrorystą, lecz kolejną ofiarą.

Cofnąłem się o kilkanaście centymetrów, żeby nie robić tak groźnego wrażenia, a kiedy się odezwałem, złagodziłem ton głosu.

– Jeśli będziesz z nami rozmawiał, obiecuję, że zrobimy wszystko, żeby pomóc twojej rodzinie.

Pokręcił głową, przerażony, lecz zdecydowany.

– Tik-tak – mruknął Starszy.

– Dobra – powiedziałem – dajcie prochy.

Starszy wyciągnął z kieszeni na piersi strzykawkę, zdjął plastikową osłonkę i podał mnie. Laborant szerzej otworzył oczy i zalał się łzami. Kiedy umieściłem igłę nad jego szyją, zaczął mamrotać coś w ojczystym języku. Pochyliłem się, licząc, że wyłapię jakieś słowo albo frazę, ale rytm słów świadczył, że szeptał modlitwę. Wbiłem igłę. Głupi jaś zadziałał błyskawicznie i technik po trzech sekundach osunął się na podłogę.

– Królik, zabierz go do tylnego wejścia. Powiedz Kapiemu, żeby dał znać Churchowi, że mamy jego jeńca. Jeśli został zakażony tą samą chorobą, co pozostali, musimy go przesłuchać, nim zacznie działać. Rzuć go i wracaj jak najszybciej.

– Jasne, szefie... ale, rany, nie chciałem się znaleźć w sytuacji tego gościa. Nie chciałem, żeby Church mnie przesłuchiwał.

Zarzucił sobie Nujomę na plecy i pobiegł korytarzem tak szybko, jakby wcale nie dźwigał co najmniej siedemdziesięciu dodatkowych kilogramów.

Kiedy zostaliśmy sami, dotknąłem jego ramienia.

– Starszy... wydaje się, że masz problem z Olliem. Dlaczego on?

Wciąż patrzył w głąb korytarza.

– Królik był z nami w sali dwanaście. To wiele znaczy. Ollie przybiegł ze wszystkimi pozostałymi. Nie sądzę, żeby zareagował tak wolno.

– Kapi również.

– Kapi to dzieciak. Kimkolwiek jest ten kret, ma doświadczenie. Jest dość sprytny, żeby oszukać Churcha i całe WDN. Poza tym Ollie sporo robił dla Firmy.

– CIA? Skąd wiesz?

– Opowiedział nam, kiedy próbowaliśmy zdecydować, kto powinien zostać szefem. Mówił, że brał udział w wielu tajnych operacjach. Jest szpiegiem, a ja nie ufam szpiegom.

– To mógł być ktokolwiek – sprzeciwiłem się. – W WDN szpiegów jest do licha i ciut, ciut.

– Jasne – zgodził się Starszy – to mógł być ktokolwiek. Równie dobrze mogłem to być ja. Gdybym otworzył te drzwi, powrót do sali dwanaście z tobą i Królikiem byłby doskonałą przykrywką. Wejść i wystrzelić parę pocisków. Kto by mnie podejrzewał?

– Jednak oczyściłeś Królika, bo tam był. Podwójne standardy, Starszy?

– Może próbuję zamieszać ci w głowie, kapitanie.

– Wcale nie. Na czym w takim razie stoimy?

Na jego ciemnej twarzy pojawił się uśmiech. Odmienił go, odmłodził, ale mimo wszystko nie sięgnął oczu.

– Pewnie stoimy po szyję w szambie, kapitanie. Osobiście zamierzam nie ufać nikomu.

– W tym świecie trudno o zaufanie.

– Zgoda.

Daliśmy sobie spokój z tym tematem i skupiliśmy się na pomieszczeniu, z którego wyszedł birmański laborant. Włączyłem światła i wpatrzyliśmy się w rzędy komputerów. Wielkie maszyny przez cały czas warczały. Temperatura była niższa niż w pozostałej części budynku, termometr na ścianie wskazywał dwa stopnie. Przyjrzałem się najbliższemu komputerowi, który miał rozmiar dystrybutora do napojów. Na mosiężnych tabliczkach przykręconych do obudowy podano markę i model. Postukałem w słuchawkę.

– Kowboj do Diakona, odbiór.

– Diakon.

– Czy nazwa IBM Blue Gene/L coś panu mówi?

– Owszem. Skąd to pytanie?

– Stoję w pomieszczeniu, w którym jest ich mnóstwo. Rady?

– Kowboju, wiedz, że trzymasz w ręku zwycięski los na loterii.

– Dobrze wiedzieć. Zaczyna się robić hałas. Jeden gość się zdrzemnął. Hulk zabrał go do tylnego wyjścia, Joker pilnuje okolicy. Rady?

Zapanowała cisza, a ja wyobrażałem sobie Churcha pogryzającego waniliowego wafelka, gdy rozważał odpowiedź.

– Stan oddziału?

– Blizna zaginął w akcji. Prowadzimy poszukiwania. Moja propozycja: cisza w eterze

przez dziesięć minut plus sekunda, później wykopcie drzwi. Kowboj bez odbioru.

W chwili gdy przełączyłem się na kanał oddziału, usłyszałem głos Królika.

– Kowboj, Kowboj, tu Hulk. Joker zaginął w akcji.

Popatrzyłem na Starszego, który marszczył czoło.

– Powtórz i potwierdź, Hulk.

– Powtarzam, Joker zaginął w akcji. Nie ma czasu na kryptonimy, szefie. Nasza broń długa zniknęła, a tylne wyjście jest zablokowane. Zasłania je jakaś roleta przeciwwłamaniowa. Jesteśmy w pułapce.

– Rzuć ładunek i wracaj biegiem! – warknąłem.

Wybiegłem razem ze Starszym na korytarz, trzymając broń w gotowości.

– To już dwóch – powiedział Starszy.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, jak Królik biegnie korytarzem jak agresywny blokujący za powolnym rozgrywającym. Zatrzymał się gwałtownie.

– Zostawiłem jeńca przy drzwiach i wróciłem. Nigdzie nie widziałem Kapiego.

Wywołałem kanał WDN.

– Kowboj do Diakona, Kowboj do Diakona, proszę o natychmiastowe wsparcie. Wyłamać drzwi, powtarzam, wyłamać drzwi.

Ale w słuchawce słyszałem jedynie szmer zakłóceń. Sygnał zanikł.

Nagły hałas sprawił, że wszyscy podskoczyliśmy i ustawiliśmy się w kółku z bronią wystawioną na zewnątrz. Gdzieś w głębi budynku rozległ się odgłos jak ostatnie westchnienie umierającego olbrzyma, gdy wielkie silniki wyłączyły się i powoli przestawały się obracać.

– Co to było, do diabła? – warknął Starszy.

– Chyba klimatyzacja właśnie się wyłączyła – szepnął Królik.

Później rozległ się głośny huk, gdy pokrywy umieszczonych na ścianach wentylatorów się otworzyły i do środka wpadło gorące powietrze.

– Oho – mruknął Starszy.

Powietrze wpadające przez wentylatory było bardzo gorące i w krótkim czasie temperatura w korytarzu wzrosła o dziesięć, później o piętnaście stopni. Cały czas rosła.

– Coś mi mówi, że to nie są dobre wieści – powiedział Królik, oglądając się przez ramię.

Znów próbowałem skontaktować się z Churchem, ale odpowiedzią ponownie była tylko cisza.

Tak samo na pozostałych kanałach.

– Sygnał jest zagłuszany.

– Ano – potwierdził Królik – kiepskie wieści.

– Mówiłem ci, że to pieprzona pułapka – stwierdził Starszy.

W tej właśnie chwili zamki wszystkich drzwi wzdłuż korytarza otworzyły się. Wtedy właśnie usłyszeliśmy pierwsze jęki, gdy dziesiątki bladych ludzi wytoczyły się na korytarz przed nami i za nami.

To nie była pułapka... tylko rzeźnia.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 03:31

Byliśmy otoczeni, z przodu i z tyłu.

Najbliżej nas, w odległości około siedmiu metrów, znajdowała się kobieta w średnim wieku, z przetłuszczonymi jasnymi włosami, ubrana w poplamioną podomkę. Oczy miała szeroko otwarte, zataczała się i prawie upadła, gdy tłum ją popchnął. Uniosłem pistolet i wycelowałem w jej czoło. Królik i Starszy celowali w przeciwne strony korytarza, ale żaden jeszcze nie wystrzelił. Palec nadal trzymałem na kabłąku i czułem ściskanie w żołądku. To byli cywile. Za kobietą stał mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, a obok niego ładna nastolatka w dzinsowej mini. Widziałem ludzi w garniturach i w kostiumach kąpielowych, a nawet jednego listonosza.

– Rozkazy, sir? – syknął Starszy.

Wciąż trzymałem palec na kabłąku.

– Musimy się upewnić.

– Szefie... robi się ciasno – szepnął Królik.

Zastanawiałem się, czy tak się właśnie czuły oddziały Bravo i Charlie w St. Michaels. Czy to całkowicie nieludzki charakter koniecznej reakcji powstrzymał ich przed naciśnięciem spustu?

W przetwórni mięsa było inaczej – typowa strzelanina dobrych i złych gości – ale ci ludzie nie byli wrogimi bojownikami. A przynajmniej jeszcze nie. Tłum wypełnił oba końce korytarza, ale na razie kręcili się tam i nie zbliżali w naszą stronę. Gapili się na nas, a my gapiliśmy się na nich. Wszystko robiło zupełnie surrealistyczne wrażenie.

– Utrzymać pozycje – powiedziałem, wpatrując się w tłum.

Wydawało mi się, że chwila trwa całą wieczność, ale w rzeczywistości minęła sekunda albo dwie.

– Może to nie są sztywni – stwierdził Królik.

– Może byś tak poszedł i sprawdził im puls, chłopaczku? – zaproponował Starszy.

– Pieprzyć to.

Kobieta w średnim wieku zrobiła niepewny krok w naszą stronę.

Opuściłem palec na spust.

Otworzyła usta i przez chwilę myślałem, że widzę jej uśmiech, jakby okazywała ulgę, że ktoś przyszedł jej na pomoc. Jednak ten uśmiech stawał się coraz szerszy i szerszy, aż zmienił się w żarłoczny grymas. Z wrzaskiem, jak dzikie zwierzę, rzuciła się w moją stronę.

Kiedyś pewnie była czyjąś matką, czyjąś żoną. Może miała małe wnuczęta, które rozpieszczała. Nie wiedziałem, kim była ani jak znalazła się w tym strasznym miejscu – wiedziałem jedynie, że była tutaj, a jej być może wspaniały charakter i wszelkie wspomnienia i tajemnice, jakie mogła mieć, zniknęły rozerwane na strzępy przez prionowego pasożyta w jej krwi, który pozostawił jedynie skorupę. Drapieżną istotę w ludzkim ciele. Z pewnością to właśnie czuły oddziały Bravo i Charlie – straszną

pewność, że żadne działanie nie może być właściwe w tak całkowicie niewłaściwej sytuacji. Musieli czuć grozę, którą sam czułem, kiedy ta kobieta rzuciła się na mnie, biegnąc na białych nogach z widocznymi żyłkami, zmniejszając dystans w kapciach w kwiaty bzu. Jej brzuch podskakiwał, piersi się kołysały, a usta były otwarte w dzikim grymasie nienaturalnego głodu. Coś takiego wystarczyło, by pozbawić każdego serca i duszy. Odebrało ducha wszystkim tym mężczyznom i kobietom z dwóch oddziałów WDN.

Ale ja bez wahania strzeliłem jej w głowę.

Dobry Boże, jak to o mnie świadczy?

Za mną Królik i Starszy otworzyli ogień. Wciąż mieliśmy założone tłumiki, więc walka zmieniła się w balet cichej rzezi. Sztynni z tyłu jęczeli – a odgłos ten wydawał się niski i odległy – ci z przodu syczeli jak koty, a nasze pistolety wydawały wysokie, ciche dźwięki, jak ktoś, kto chrząknięciem chciał zwrócić na siebie uwagę. Nawet kiedy zaczęliśmy strzelać, wszystko nadal wydawało się nierealne.

Po mojej stronie korytarza było ich co najmniej dwudziestu, podobna liczba pewnie atakowała moich ludzi. Wąski korytarz nie pozwalał nam uciec, ale jednocześnie zmuszał ich, by atakowali w rzędach po dwóch. Nie mogli nas otoczyć, nie mogli przytłoczyć swoją liczbą. W magazynku beretty miałem piętnaście naboju, zabiłem nimi ośmiu sztywnych. Jeden strzał w pierś, żeby ich spowolnić, drugi w mózg. Później zastrzeliłem listonosza i nastolatkę. Dwóch mężczyzn w garniturach i jednego bezdomnego w łachmanach. Piętnastym zabiłem małego chłopca.

Jak najszybciej odrzuciłem magazynek i wcisnąłem nowy na jego miejsce wyćwiczonym przez lata ruchem, ale mimo to niemal mnie dopadli. Dwudziestoparolatka, na oko studentka, wspięła się na ciało i kucnęła do skoku, kiedy uniosłem broń. Strzał trafił ją w gardło i rzucił na innych, którzy przeciskali się do przodu. Kupiłem sobie dość czasu, by wycelować po raz kolejny. I jeszcze raz.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – powtarzał za mną Królik. Opróżnił magazynek i sięgnął po nowy.

Starszy walczył w milczeniu, ale wydawało mi się, że czuję płynące od niego fale przerażenia, gdy strzelał.

Zabiłem dwóch kolejnych i mój koniec korytarza został zablokowany przez ciała. Sztynni po drugiej stronie góry trupów szarpali ciała, które stały im na drodze. Odrzuciłem drugi magazynek i sięgnąłem po trzeci, ale ręce drżały mi tak bardzo, że niemal go upuściłem. Złapałem go i wcisnąłem niezręcznie na miejsce, puściłem zamek, uniosłem broń, gotów, gotów...

– Czysto! – ryknął Starszy, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że ich połączony ostrzał zabił wszystkich sztywnych po ich stronie.

Nie wahałem się.

– Ruchy, ruchy, ruchy!

Popchnąłem obu do przodu i zaczęliśmy się wspinać na sterty ciał. Starszy patrzył przed siebie, a ja sprawdzałem tyły, gdy przeciskaliśmy się niezgrabnie wśród gryzącego dymu, między splątanymi kończynami. Z gęstwiny wysunęła się ręka i zacisnęła na kostce Starszego. Kopnąłem ją, a Starszy strzelił z góry w stertę ciał. Może trafił, a może nie – nie zaczęliśmy, żeby sprawdzić.

– To zupełnie popieprzone – mruknął Królik, odpychając na bok grubego mężczyznę w koszulce polo.

Nasze kombinezony Hammer pokrywała warstwa krwi, czułem też, jak płonie mi twarz. Usłyszałem odgłos za plecami i odwróciłem się, czując nagłe przerażenie.

– Nadchodzi – rzuciłem, kiedy pierwszy ze sztywnych wspiął się po stercie zabitych na drugim końcu.

Przyklęknałem i strzeliłem dwa razy. Jego ciało zapchało wyłom, kupując nam kilka sekund.

Biegliśmy. Przed nami drzwi się otworzyły, wyszedł zza nich mężczyzna i wymierzył z kałasznikowa. Widzieliśmy go wcześniej, to on kłócił się z gliniarzem. Starszy wpakował mu dwie kulki, zanim facet zdążył wystrzelić.

Na końcu korytarza znajdowało się kolejne skrzyżowanie w kształcie litery T. Korytarz po lewej kończył się ceglany murem, po prawej ciężkie stalowe drzwi wciąż były otwarte. Jakiś mężczyzna próbował je zamknąć, kiedy Królik skoczył do przodu, chwycił go za włosy i ramię i wbił twarzą w ścianę. Następnie posłał mu trzy paskudne haki w nerki. Mężczyzna jęknął i padł na kolana. Jeśli to przeżyje, przez miesiąc będzie sikał krwią.

– Wciągnij go do środka – poleciłem.

Strażnik pilnował korytarza, a Królik chwycił oszołomionego mężczyznę jak worek mąki i wrzucił go do sąsiedniego pomieszczenia. Stanęliśmy po obu stronach drzwi, żeby w razie czego zapewnić krzyżowy ogień. Wewnątrz pomieszczenia, dużego laboratorium wypełnionego dziesiątkami stołów roboczych i metalowych półek z chemikaliami, znajdowali się czterej mężczyźni. Przy jednej ze ścian stały dwie znajome niebieskie skrzynie.

Obie wciąż były zamknięte. Trzech mężczyzn miało bliskowschodnią urodę, dwaj nosili fartuchy, a jeden dzinsy i koszulkę bez rękawów. Gość w koszulce miał czterdziestkę piątkę i właśnie ją unosił, kiedy strzeliłem do niego trzy razy – dwa w pierś i raz w głowę. Mężczyźni w fartuchach byli nieuzbrojeni, ale ten najbliżej mnie trzymał w ręku nieduże urządzenie z czarnego plastiku. Drugi już podnosił rękę.

Czwartym mężczyzną był Ollie Brown. Został przywiązany do krzesła, a twarz miał zalaną krwią.

Wycelowałem w mężczyznę z plastikowym urządzeniem.

– Nie rób tego! – krzyknąłem w farsi, a później jeszcze kilku innych językach.

Wysokim, histerycznym głosem zawołał:

-*Seif al Din!*

I zrobił swoje. Postrzeliłem go w ramię, żeby spróbować powstrzymać go przed naciśnięciem detonatora, ale to nic nie dało – urządzenie było wyposażone w czuwak. W chwili gdy kule rozszarpały mu ramię, jego dłoń się otworzyła. Sygnał został wysłany.

Nagle rozległ się głośny wybuch po drugiej stronie budynku i cała przetwórnica zatrzęsała się w posadach. Płytki podłogi zafalowały pod naszymi stopami. Sprzęt laboratoryjny przesunął się na krawędź stołów i z trzaskiem spadł na ziemię.

Mężczyzna, którego postrzeliłem, wił się z bólu, ale jednocześnie śmiał się triumfalnie i wciąż powtarzał:

-*Seif al Din!*

Miecz Wiernych. Święta broń Boga.

Niskie dudnienie wybuchów cichło powoli.

– Matko Boska! – sapnął Królik.

– To powinna być wskazówka dla kawalerii – powiedział Starszy. W korytarzu rozległ się hałas, więc wyjrzał na zewnątrz. – Kurwa. Mamy towarzystwo.

– Sztynni? – spytałem.

Rozległ się świst pocisków. Starszy odskoczył i kopnięciem do tyłu zatrzęsł drzwi. Kule odbijały się od grubej stali.

– Raczej nie – powiedział krótko.

– To kałasznikowy – stwierdził Królik, wsłuchując się w odgłos strzałów. – Nie nasi.

– Kawaleria zawsze się spóźnia – mruknął Starszy, zamykając zamki.

Królik chwycił ostatniego laboranta, uderzył go w brzuch i założył mu plastikowe kajdanki.

– Później się tobą zajmę, dupku. – Podeszedł do Olliego i przeciął jego więzy nożem sprężynowym. -Jak się czujesz, staruszk?

Ollie splunął krwią na podłogę.

– Bywało lepiej.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Crisfield, Maryland, środa, 03:32

– Straciliśmy sygnał – poinformował technik skulony nad sprzętem łącznościowym w środku jednej z karetek. Wypróbował kolejną linię, później jeszcze następną. – Połączenia komórkowe też padły. Jeszcze nie mamy łącza przewodowego do komandosów. Jesteśmy ślepi i głusi. Wszystko jest zagłuszane przez bardzo potężny nadajnik. Musi być wojskowy, nic innego by nas aż tak nie odcięło.

Grace pochyliła się nad jego wyświetlaczem, a później postukała w słuchawkę, ale usłyszała jedynie szum.

– Tuż przed tym, jak straciliśmy łączność, audio zarejestrowało zmianę odgłosów w tle – odezwał się znowu technik. – Sądzę, że chłodziarki się wyłączyły. Zanim oślepiśmy, przez dziesięć sekund miałem jeszcze odczyty termiczne i wydaje się, że temperatura wewnątrz budynku zaczęła gwałtownie rosnać.

Allenson, zastępca Grace, spojrzał na nią ostro.

– Pan Church mówił, że kapitan Ledger prosił o wsparcie po dziesięciu minutach ciszy.

Odwróciła się do technika.

– Mamy już to łącze przewodowe?

– Nie. Powinno być gotowe za pięć minut.

– Do diabła z tym. – Odwróciła się do Allensona. – Coś tu jest bardzo nie tak, myślę, że oddział Echo ma kłopoty.

– Oddział Alfa jest gotowy – rzekł z uśmiechem Allenson.

Grace wskazała palcem technika, który siedział przed ekranem pokazującym jedynie biały szum.

– Ty! Jesteś gońcem. Znajdź pana Churcha i poinformuj go o całkowitym wyłączeniu komunikacji. Niech się dowie o zmianie temperatury. Musimy zaatakować pełnymi siłami, i to natychmiast. Powiedz mu, że następnym dźwiękiem, który usłyszysz, będzie oddział Alfa wyważający drzwi. Biegiem!

Goniec wyskoczył z furgonetki i przebiegł przez parking do fałszywego samochodu miejscowej stacji telewizyjnej, który parkował przed bramą. Grace Courtland chwyciła hełm.

– Ruszajmy.

Nim cały oddział zebrał się przy drzwiach, jeden z jej ludzi zdążył przymocować ładunek obok klamki.

– Kryć się! – ryknął i wszyscy się rozbiegli.

Zamek się rozpadł, a drzwi otworzyły na zewnątrz, ale za nimi była płaska szara ściana. Agent uderzył w nią pięścią.

– Stalowa płyta. Potrzebne będzie wielkie bum, żeby się przez nią przebić.

Chwilę później rozległ się drugi, o wiele głośniejszy wybuch, ale daleko w głębi budynku. Rozbił szkło w oknach i zakołysał ścianami, po czym zapadła złowroga cisza.

– To było w środku – stwierdził Allenson.

Rozległ się kolejny hałas-to ciężkie stalowe rolety opadły na wszystkich oknach w budynku.

Grace zaklęła. Miała nadzieję, że Church szybko wyśle im wsparcie.

- Wywal w tym dziurę, kapralu - warknęła, ale agent już zakładał detonatory.

Boże, modliła się, gdy cofnęli się przed wybuchem, niech to nie będzie kolejne St. Michaels. Na chwilę zamknęła oczy i wyobraziła sobie Joego Ledgera pochłanianego przez morze wygłodzonych białych ghuli. Boże, proszę!

Ściana budynku eksplodowała.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 03:33

– Co się stało? – spytałem Olliego.

Pokręcił głową jak pies otrząsający się z pcheł.

– Nie wiem. Zaszli mnie od tyłu. Może oberwałem paralizatorem. Pamiętam mnóstwo bólu, a później była tylko ciemność. Kiedy się ocknąłem, siedziałem przyklejony taśmą do tego krzesła, a jakiś dupek walił mnie w twarz i wrzeszczał po arabsku.

Starszy obejrzał go szybko i znalazł wilgotny ślad od oparzenia na szyi tuż nad kołnierzem. Tył jego koszuli był przemoczony.

– Wygląda na to, że oberwałeś z wodnego paralizatora, chłopcze.

– Cholera. Nie wiedziałem, że ten sprzęt działa tak dobrze.

– Jedno małe chlapnięcie cię załatwi – powiedział Starszy znad naukowca, którego postrzeliłem. Zakładał opatrunek uciskowy na jego rany.

Kule wciąż odbijały się od drzwi, ale jak na razie nie udało im się dostać do środka i w końcu przestali strzelać. Nie wiedziałem, czy Królik, Ollie albo Starszy uznali to za dziwne, aleja z pewnością tak.

Na zewnątrz był zamek na kartę. Jak to możliwe, że nikt nie próbował użyć karty? Prawie wspomniałem o tym pozostałym, ale postanowiłem się powstrzymać. Jak to mówią: „To, że masz paranoję, wcale nie oznacza, że nikt cię nie śledzi”. W tym miejscu zbyt wiele rzeczy nie pasowało do siebie.

– Wojsko powinno pojawić się lada chwila – powiedziałem. Spojrzałem na zasłonięte okna wysoko pod sufitem. – Założę się o dziesiątaka, że wejdą przez nie, więc bądźcie rozsądni, kiedy to zrobią. Jeśli wydadzą rozkaz, żebyście położyli się na ziemi z rękami na głowie, zróbcie to. Pamiętajcie, będą myśleć, że zostaliśmy zabici albo zarażeni. Nie dajcie im powodu, żeby za szybko pociągnęli za spust.

– Zgadzam się z tobą, szefie – mruknął Królik.

– Ej – odezwał się Ollie, podnosząc się z trudem – gdzie Kapi?

Królik popatrzył na mnie.

– Nie wiadomo – powiedziałem. – Zaginął w tym samym czasie, co ty.

Ollie wyglądał, jakby zamierzał o coś zapytać, ale odwróciłem się i spojrzałem na umierającego naukowca.

– Co z nim, Starszy?

– Zaraz odpłynie. Jeśli chcesz go o coś spytać, zrób to teraz.

Przykucnąłem.

– Umierasz – powiedziałem w farsi. – Masz szansę zrobić coś dobrego, zmienić wszystko, zanim umrzesz. Powiedz mi, czym jest *Seifal Din*.

Wyszczrzył się paskudnie.

– Wszyscy niewierni utoną w morzu krwi.

– Tak, tak, jak mówisz. Chcę, żebyś powiedział mi o Mieczu Wiernych.

Zaśmiał się.

– Już widzieliście jego moc. Pochłonie cały wasz kraj – powiedział, kiwając głową, wyraźnie ucieszony tą perspektywą.

– Jeśli to coś jest zarazą, pochłonie również twoich rodaków.

Zaśmiał się, a wtedy na jego wargach pojawiła się krew.

– Allah ochroni swój lud.

Wymamrotał coś jeszcze, ale usłyszałem jedynie słowa „dwunasta generacja”, które nic dla mnie nie znaczyły.

Pochyliłem się nad nim.

– W tej właśnie chwili około dwustu komandosów zbliża się do tego miejsca. Żaden z waszych zakażonych obiektów nie wydostanie się stąd. Ani jeden. Wszystko, nad czym pracowaliście, skończy się tu i teraz.

Spróbował mnie opluć, ale brakowało mu siły. Szybko gasł. Spojrzałem na Starszego, a on pokręcił głową.

– Niczego nie powstrzymaliście – szepnął umierający, po czym powtórzył to słowo, smakując je. – Niczego.

– Istnieje inne laboratorium, inna komórka?

– Ten czas... minął – powiedział z krwawym uśmiechem. – Nadchodzi El Mudżahid. On dzierży Miecz Wiernych. Spóźniliście się. Wkrótce cały islam będzie... wolny... od was.

Odrzucił głowę do tyłu i wykrzyknął imię swojego Boga z taką siłą, że zabrało to resztki jego życia. Osunął się na Starszego i głowa przechyliła mu się na bok.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 03:34

– Oddział Alfa! Do mnie!

Grace pobiegła w stronę otworu wybitego w ścianie budynku. Agenci z oddziału Alfa wkroczyli do czegoś, co wyglądało jak przemysłowa łaźnia, ale brudne ściany popękały od wybuchu, a jeden rząd metalowych szafek oderwał się od ściany. Nie było śladów życia.

– Redman – rzuciła, a specjalista od materiałów wybuchowych od razu znalazł się przy niej. – Ten korytarz wygląda na jedyne wyjście. Zaminuj go C4. Jeśli wsparcie nie zdąży dotrzeć, a w tym miejscu pojawi się coś, co nie będzie wyglądać przyjaźnie, wysadź cały ten fragment budynku. Powtórz rozkazy.

Zrobił to.

– Pani major! – zawołał Allenson oddalony od niej o kilka metrów. Klęczał nad ciałem mężczyzny w białym fartuchu laboratoryjnym, z plastikowymi kajdankami na rękach i nogach. – Jeniec nie żyje. Ma skręcony kark. Wybuch musiał nim rzucić o ścianę.

– Będziemy się tym martwić później. – Poświeciła latarką w głąb korytarza. Wszystkie drzwi na całej jego długości były otwarte. – Czworkami, szyk obronny – rozkazała.

Agenci minęli ją i osłaniając się nawzajem, otwierali szerzej drzwi, świecili latarkami i celowali lufami do środka każdego z pomieszczeń. Cztery z nich były puste, ale śmierdziały odchodami, potem i cierpieniem. W kątach leżały bliżej nieokreślone bryły, które mogły być ciałami. Albo kawałkami ciał.

Około czterdziestu metrów dalej znajdowały się ślady kolejnego wybuchu – pewnie tego, który słyszeli z zewnątrz. Ściany wyleciały na zewnątrz, a w korytarzu było pełno gruzu. Pośpieszne spojrzenie do środka ukazało wysokiej klasy komputery typu mainframe, o których mówił Joe. Większość została stopiona albo rozerwana na kawałki, ale wydawało się, że kilka wytrzymało wybuch.

– Pani major! – zawołał Allenson. – Mój Boże!

Grace wyszła z sali komputerowej i serce zamarło jej w piersiach. To, co uznała za gruz po wybuchu, okazało się czymś zupełnie innym. Nieruchome światło latarek ukazywało sterty trupów.

Pokrywały je gruz i pył, ale kiedy Grace poświeciła własną latarką po jednej ze stert, zobaczyła dziesiątki ciał.

– Kurwa mać – sapnęła. – To nie efekt wybuchu.

Na podłodze leżały łuski po pociskach, a w powietrzu unosił się zapach kordytu.

Pozostało im jeszcze jedno pomieszczenie do sprawdzenia, zanim będą musieli wspiać się na zabitych, żeby ruszyć dalej korytarzem. Dwaj agenci stanęli po obu stronach drzwi, a jeden wszedł do środka.

– Pani major! Tutaj.

Grace weszła do środka. Na podłodze leżało siedem ciał, wszyscy zostali zabici kilkoma strzałami w głowę. A w kącie siedział mężczyzna, skulony i drżący z zimna i przerażenia mimo straszliwego gorąca. Jego ubranie było poszarpane, twarz miał zalaną krwią,

spojrzenie oszalałe. Na podłodze wokół niego leżały łuski, a w drżących dłoniach trzymał pistolet.

– Broń! – krzyknął Allenson, a na piersi mężczyzny natychmiast pojawiły się czerwone światełka celowników laserowych.

– Nie strzelajcie! – krzyknął i szybko opuścił pistolet. – Proszę... nie strzelajcie.

Grace Courtland poświeciła mu w twarz.

To był Kapi. Grace podeszła bliżej, odebrała mu broń i przekazała ją Allensonowi.

– Bosmanie Tyler... jesteś ranny? Tyler, zostałeś ugryziony? – warknęła.

– Nie – sapnęła i pokręcił głową. Popatrzył na krew na ubraniu. – Nie... moja. To... To...

– Spokojnie, marynarzu – powiedziała łagodnie. – Gdzie oddział Echo? Gdzie są twoi ludzie? – I choć nie zamierzała tego robić, dodała: – Gdzie kapitan Ledger?

Kapi pokręcił głową.

– Nie wiem. Coś się stało... Straciłem przytomność i obudziłem się tutaj... a te stwory były wszędzie!

Rozmasowała szyję, a Grace na nią poświeciła.

– Wygląda jak oparzenie – stwierdził Allenson i po chwili dodał: – Wodny paralizator?

Grace machnęła na jedną z agentek.

– Beth, wróć do wyjścia i poinformuj wsparcie o sytuacji. Powiedz im, żeby nas znaleźli i się pośpieszyli. My ruszymy i spróbujemy zlokalizować oddział Echo.

Beth przeniosła spojrzenie na stertę trupów, która blokowała korytarz.

– Mój Boże... naprawdę chcecie po tym przejść?

– Jak to mówią, życie to dziwka.

Żart był kiepski i Grace od razu pożałowała, że otworzyła usta. Druga część powiedzenia brzmiała „a potem umierasz”. Niewypowiedziane słowa wisiały w powietrzu jak urok.

Wspinaczka po trupach była koszmarem.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym, nie myśl o tym, powiedziała sobie, czolgając się na szczyt sterty trupów. Nie myśl o tym. Zsunęła się po drugiej stronie i jak najszybciej zeskoczyła na beton. Cieszyła się, że czuje pod butami twardą rzeczywistość, a nie miękkie szaleństwo ciała i kości, przez które przeszła. Kiedy oddział dołączył do niej, zobaczyła, że wszyscy mają blade twarze, mocno zaciśnięte usta, błyszczące oczy. Niektórzy wydawali się wściekli, inni cierpiący. W milczeniu przebyli drugą część korytarza i sprawdzili ostatnie drzwi, ale nie znaleźli nikogo żywego.

Zatrzymała się na skrzyżowaniu w kształcie litery T. Pod nieobecność Beth, Redmana i Strzelca przy wejściu zostało jej dziewięcioro ludzi, dziesięcioro razem z nią. Wysłała Allensona z czterema agentami lewym korytarzem, a sama skręciła w prawo.

* * *

Starszy sierżant Mark Allenson miał trzydzieści lat, przez cztery lata służył w zwiadzie marines, a od czternastu miesięcy był agentem WDN. Był bystry, inteligentny i major Courtland od razu wybrała go na swojego zastępcę. Ufała jego ocenie sytuacji i polegała na zdolnościach i umiejętnościach, które zademonstrował w siedmiu różnych strzelaninach z udziałem WDN. Oddział go lubił, a Grace była świadoma, że szeregowi agenci lubią go bardziej od niej, i tak powinno być. Zawsze lepiej, jeśli zastępca jest człowiekiem, wtedy dowódca może zachować niezbędny dystans.

Allenson biegł korytarzem z uniesioną bronią. Dotarli do kolejnego skrzyżowania i sierżant podniósł rękę, by zatrzymać swoich ludzi. Na podłodze leżały dziwne śmieci.

Ubrania, rzeczy osobiste, zabawki. Porównał ich liczbę z liczbą trupów, które widzieli w korytarzu, i wynik mu się nie spodobał. Ciało leżało sporo, ale śmieci wyglądały, jakby należały do dwa razy większej grupy ludzi. Może nawet trzy razy większej.

Brodząc przez rdzawą wodę, dotarł do skrzyżowania i wyrzwał za róg. Zobaczył stalowe drzwi zabezpieczone grubym łańcuchem. Przeszedł go dreszcz. Zauważył również czekoladowe plamy na ścianach i złożył wszystko w obraz, który bardzo, ale to bardzo mu się nie podobał.

– Chryste – szepnęła i cofnęła się.

Po jego lewej światło awaryjne osadzone w ścianie nagle wybuchło, strzelając iskrami, które padły na wielką stertę starych gazet i podartych ubrań wylewających się z kosza na śmieci. Papier natychmiast zajął się ogniem, płomień wznosił się wysokie i gorące. Allenson cofnął się jeszcze o krok, ale kawałek płonącego papieru wypadł z kosza i wylądował na kolejnej stercie szmat. Allenson poczuł słaby smród chemikaliów, kiedy szmaty zajęły się ogniem.

– Sierżancie! – zawołał jeden z jego ludzi. – Tu jest gaśnica! – Wyciągnął do niej rękę.

Allenson obrócił się gwałtownie i otworzył usta, by krzyknąć:

– Nie!

Świat wybuchł, zanim słowo opuściło jego usta. On i jego ludzie zostali w jednej chwili spopieleni. * * *

Grace poczuła wybuch zanim go usłyszała, a w chwili gdy odwróciła się w stronę źródła dźwięku, fala ją pochwyliła i rzuciła nią o ścianę. Odbiła się i padła na kolana. Uderzenie zaparło jej dech w piersiach, a gdy spróbowała złapać oddech, przetoczyła się nad nią chmura dymu wypełniająca płuca i zmuszająca do bolesnego kaszlu. Oczy zapiekły ją od pyłu. W pobliżu słyszała kaszel i krztuszenie się innych agentów, ale dźwięk był dziwnie stłumiony. Dopiero po chwili zorientowała się, że wybuch ją na wpół ogłuszył.

Wybuch.

– Allenson... – szepnęła. – Mój Boże...

Grace zaczęła macać podłogę w poszukiwaniu broni, znalazła ją na wpół zagrzebaną w gruzie i przyciągnęła do siebie. Użyła lufy jako laski, na której wsparła się, żeby się podnieść. Dym rzedł, ale wciąż widziała jedynie szary, zamglony świat.

Wyciągnęła koszulkę przez otwór keplarowej kamizelki i użyła jako filtra. Płuca protestowały, chciały kaszleć dalej, ale Grace zwalczyła odruchy i próbowała odzyskać spokój. Kiedy mogła zaufać swojemu gardłu, wychrypięła:

– Oddział Alfa, kolejno odlicz!

Odpowiedziało kilka głosów. Tylko kilka, a gdy zebrała ich razem, zobaczyła, że z jej oddziału pozostało tylko czterech agentów, a wszyscy byli pokrwawieni i posiniaczeni. Zatoczyła się z powrotem do skrzyżowania ze słabą nadzieją, że ktoś jeszcze przeżył. Ale nie było nikogo.

Korytarz został całkowicie zniszczony, a w podłodze ział wielki krater. Widziała gruzy. Kawałek pistoletu. Dłoń. Niewiele więcej.

Przed nią, za dymiącym kraterem wyrwanym w korytarzu, w którym wcześniej były stalowe drzwi, zaczął się ruch. W jej stronę ruszyły postacie, blade jak dym, w którym się kryły. Grace uniosła latarkę i zaświeciła w głąb obszernego pomieszczenia. Widziała co najmniej tuzin trupów rozerwanych przez wybuch, ale za nimi salę wypełniali sztywni. Całe setki.

Niektórzy, ci najbliżej drzwi, byli poszarpani, brakowało im rąk i kawałków ciała. Ci dalej byli cali. Wszyscy gapili się na otwór w ścianie. Zobaczyli światło i podążyli za jego promieniem do źródła, a ich spojrzenia skupiły się na Grace. Tłum niezgrabnych martwych stworów, wszystkie z czarnymi oczami i szeroko otwartymi czerwonymi

ustami, które się poruszały, jakby przygotowywały się do makabrycznej uczty. Jak jeden mąż wydały z siebie straszliwy ryk nienaturalnego głodu i ruszyły w jej stronę.

– Nie... Boże, nie... – szepnął ktoś obok niej.

Jackson, jej jedyny ocalały sierżant. Grace wiedziała, że próba stawiania oporu byłaby samobójstwem.

– Wycofać się! – krzyknęła, ale kiedy zrobiła krok do tyłu, sztywni ruszyli naprzód, deptając ciała własnych zabitych.

Nagle zza zakrętu korytarza dobiegł charakterystyczny terkot broni automatycznej.

Nawet na wpół ogłuszona Grace rozpoznała odgłos kałasznikowa.

– Joe... – powiedziała do siebie. – Joe! – dodała głośniej.

Obróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem w stronę odgłosów ostrzału. Jackson, Kapi i pozostali agenci Alfy ruszyli za nią. Tam przynajmniej było coś, z czym mogli walczyć. Coś, co rozumieli.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 03:38

Budynkiem wstrząsnął drugi wybuch, ten był dziesięć razy głośniejszy. Z sufitów zaczęły spadać metalowe elementy instalacji i tynk, a kilka lamp rozjarzyło się nagle i wybuchło w fontannie iskier. Wszyscy przykucnęliśmy, rozglądając się dookoła i czekając na rozwój sytuacji, ale po chwili dudnienie ucichło i w budynku zapanowała niesamowita cisza.

– Co to, kurwa, było? – mruknął Królik.

Starszy wypluł pył z ust.

– To nadal nie kawaleria, chłopaczku. Nie ten odgłos.

Za drzwiami znów zaczął się ostrzał, choć nie mieli szans przebić się przez drzwi. Zastanawiałem się, po co w ogóle to robią. I nagle zrozumiałem... ostrzał nie zawsze musi być atakiem – czasem bywa też przynętą.

– Grace! – powiedziałem i rzeczywiście wkrótce rozległ się kolejny odgłos wystrzałów, tym razem zdecydowanie z MP5.

Popatrzyłem na Królika, który uśmiechnął się szeroko.

– A to jest zdecydowanie kawaleria – powiedział.

Zrobił krok w stronę drzwi, kiedy ściana wybuchła. Rzuciłem się na ziemię i zepchnąłem Olliego z drogi w chwili, kiedy całe drzwi wpadły do środka. Starszy zrobił krok w bok, uchylając się przed kawałkiem poskręcane metalu, ale fragment pustaka wielkości piłki bejsbolowej trafił Królika w hełm i go przewrócił.

W dymie pojawiły się sylwetki – razem ze Starszym rzuciliśmy się na boki, skuliliśmy za stołami laboratoryjnymi i unieśliśmy broń. Do środka wskoczyły dwie postacie z uniesioną bronią. Wrzeszczały, że mamy się nie ruszać i rzucić broń. Wrzeszczały po angielsku. Najbardziej donośny głos należał do kobiety.

Grace.

Zacząłem się uśmiechać, ale wtedy zobaczyłem krew na jej twarzy i oszalały, niemal nieludzki wyraz oczu. Palec na spuście zadrżał dokładnie w tej samej chwili, w której serce uderzyło o żebra.

Boże! Jest zarażona?

– Wstrzymać ogień! – wrzasnąłem i wszyscy znieruchomieli. – Grace! Opuść broń, opuść broń! Odwróciła się w moją stronę, unosząc lufę karabinu. Jej włosy były szare od pyłu, a z ran na czole i policzku płynęła krew. Dyszała ciężko – nie umiałem ocenić, czy z wysiłku, zdenerwowania, czy też może na skutek zakażenia. Choć bolało mnie serce, umieściłem zabójczą czerwoną plamkę laserowego celownika na jej piersi, tuż nad sercem.

– Grace... opuść broń! – krzyknąłem.

– J... Joe?

Kilku innych agentów oddziału Alfa tłoczyło się wokół niej, wszyscy krwawili, wszyscy mieli podarte i zakurzone mundury. Celowali w moją stronę. Nie widzieli Starszego w jego kryjówce.

Ollie był ze mną, za stołem, nieuzbrojony. Królik nie ruszył się z miejsca, w którym

upadł.

– Opuść broń – powtórzyłem z naciskiem. – Nie będę powtarzał.

– Joe... jesteś ranny? Sztynni...

– Tutaj nikt nie jest zakażony, Grace. A co z wami?

Odetchnęła głęboko, pokręciła głową i opuściła broń.

– Opuście broń – powiedziała do swoich ludzi.

Wszyscy oprócz Starszego i mnie powoli wypełnili jej polecenie. Sierżant pozostał na swoim miejscu, cichy i w gotowości, gdy ja podniosłem się i ruszyłem w jej stronę z wyciągniętą bronią. Czerwona kropka przez cały czas pozostawała na jej piersi.

– Joe – powiedziała z wyraźną ulgą – cieszę się, że nic ci nie jest.

– Nie zamierzam ryzykować, Grace. Powiedz mi, co się wydarzyło.

– Grupa nieprzyjaciół broniła tego końca korytarza i próbowała się dostać do środka.

Zwróciłem uwagę na użycie czasu przeszłego. Wśród pyłu pojawiła się kolejna postać, a kiedy weszła do środka, rozpoznałem ją. Opuściłem broń.

– Kapi? Gdzieś ty się, do diabła, podziewał?

– Przepraszam, kapitanie... zaszedli mnie od tyłu.

Chłopak wyglądał gorzej niż Grace. Spojrzenie miał niepewne, cały czas rozglądał się wokół siebie, a jego uśmiech był krótki i drżący. Skinąłem mu głową, a on pozostał na miejscu, rozglądając się niepewnie, jakby nie wiedział, do którego oddziału należy.

Podszedłem do Grace.

– Powiedz mi, co się wydarzyło.

Zrelacjonowała wszystko w kilku krótkich zdaniach. Cierpienie na jej twarzy i w głosie było bezgraniczne.

– Widzieliśmy grupę wrogich bojowników, którzy usiłowali się dostać do środka – skończyła. – Wyeliminowaliśmy ich. Łączność została odcięta, nie mogliśmy ściągnąć kodu do karty, więc kazałam Jacksonowi wysadzić drzwi.

Za moimi plecami Królik zaklął. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Starszy pomógł olbrzymowi usiąść.

Królik na wpół przytomnie potrząsał głową, po lewej stronie jego twarzy płynęła krew. Starszy zdjął mu hełm i przyjrzał się siniakowi, po czym odwrócił się do mnie i skinął głową.

– Chłopaczek dostał cios tępym narzędziem w głowę. Nic mu nie będzie.

– Nie jestem chłopaczkiem – jęknął Królik.

Starszy poklepał go po ramieniu.

– Skoro przybyła kawaleria, najwyższa pora wsiąść na konie i odjechać.

– Kawaleria jeszcze nie przybyła – powiedziała cicho Grace. – Tylko mój oddział... Gus Dietrich i pozostali powinni zaraz zacząć przebijać się przez ściany.

Nagle poczułem się stary i zmęczony.

– Cóż, w takim razie musimy poczekać i stawiać opór tutaj. Nie ma tylnego wyjścia, a ja szczególnie mam ochotę wrócić do tamtego korytarza.

– Do diabła z nim – mruknęła Grace.

Ollie stał przy stole i podobnie jak Kapi robił wrażenie niemile widzianego gościa. W tej chwili nie chciałem patrzeć na żadnego z nich. Obaj zniknęli w jak na razie niewyjaśniony sposób, obaj w cudowny sposób pozostali przy życiu mimo obecności terrorystów i sztywnych. Musiałem usiąść i poważnie porozmawiać z każdym z nich. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby obaj mieli porządną, jasną i wiarygodną historię do opowiedzenia.

Stojący przy drzwiach Jackson zawołał głośno:

– Pani major... kapitanie Ledger... zaraz będziemy mieli towarzystwo!

– Kogo widzisz? – spytałem.

Jackson wydawał się przerażony.

– Sztywni! Całe setki.

– Cudownie – mruknął Starszy. – Został mi już tylko jeden magazynek, kapitanie.

– Są tutaj!

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy sztywnych wychodzących zza rogu korytarza i stojących w drzwiach. Całe szeregi.

Nie było czasu na myślenie, tylko na działanie.

– Barykada!

Chwyciłem najbliższy stół i pociągnąłem. Grace złapała za drugi koniec i popchnęliśmy go do przodu. Jego nogi piszczwały na betonowej podłodze, wibracje sprawiły, że delikatne instrumenty spadły na ziemię, a ja miałem tylko nadzieję, że nie rozbiliśmy niczego, co zawierało wirusy albo pasożyty. Kombinezony Hammer chroniły nas przed kontaktem przez skórę, ale nikt z nas nie miał maski.

Królik był oszołomiony po uderzeniu w głowę, ale nie zwracając na to uwagi, chwycił jeden wielki stół za róg, z sapnięciem przekręcił go na bok i popchnął ramieniem w stronę drzwi. Starszy zaczął ciskać krzesła na stół, żeby zrobić sztywnym tor przeszkód. Ollie rzucił się na pomoc. Kapi rozejrzał się, chwycił kolejny stół i bez większych efektów zaczął go ciągnąć. Chwyciłem za drugi koniec i razem wepchnęliśmy go na pozostałe sprzęty.

Masa sztywnych uderzyła w barierę jak przypływ. Nie byli silniejsi od zwyczajnych ludzi, ale było ich tak wielu, że sama ich masa zadziałała jak taran, który popchnął barykadę o prawie metr do tyłu. Jackson wyjrzał za krawędź barykady i otworzył ogień do masy ciał. Kilku upadło, ale większość jego kul wbiła się w piersi i kończyny, nie powstrzymując ich.

– Jackson, celuj, kurwa! – warknęła Grace. – Strzelaj w głowę.

Barykada znów zadrżała i wsunęła się w głąb pomieszczenia, gdy naparły na nią setki żywych trupów. Na przedzie tłumu kilku sztywnych przewróciło się zmiażdżonych przez tych z tyłu, słyszałem też trzask miażdżonych kości. Wszystko robiło jednak dziwne wrażenie, żadnych krzyków czy sapnięć, jedynie ciche jęki, nawet tych, którzy zostali stratowani.

– Nie wytrzyma – ostrzegł Ollie, popychając kolejny stół na barykadę.

– Nic nie przejdzie przez tę ścianę! – krzyknęła Grace, uniosła karabin i otworzyła ogień.

Powaliła dwóch sztywnych strzałami w głowę, trzeciemu wyrwała szczękę. Uniosłem pistolet, stanąłem obok niej i wystrzeliłem. Starszy i Królik stanęli po obu bokach, później dołączyli do nich Kapi i Jackson. Ollie i Kapi wzięli broń krótką od agentów Alfy, którzy mieli MP5. W końcu wszyscy utworzyliśmy szereg kilka metrów od barykady, strzelając z bliska do sztywnych, którzy wspinali się po stołach i przewróconych krzesłach. Grzmot wystrzałów był ogłuszający, a my nie przerywaliśmy ostrzału. Sztywni padali, ale ich fala się nie zatrzymywała. Kiedy stwory z przodu ginęły, inni wspinali się na nich, by nas dopaść.

Zamek mojego pistoletu pozostał w pozycji tylnej, więc sięgnąłem po ostatni magazynek i założyłem go. Piętnaście naboju.

– Ostatni magazynek! – krzyknąłem.

– U mnie koniec! – powiedział po chwili Starszy.

Wyszedł z szeregu, żeby odszukać kałasznikowa, znalazł go i znów zaczął strzelać, ustawivszy selektor na ogień półautomatyczny.

Grace strzelała wolniej od nas, ale za to skuteczniej. Celowała i strzelała, celowała i strzelała, a za każdym jej strzałem zombie padał do tyłu, jego piekielna wola życia gasła. Podążyłem za jej przykładem i też zwolniłem.

Sztywni padali dziesiątkami. Dwudziestkami.

Sztywni padali dziesiątkami. Dwudziestkami. Sterta trupów była tak wysoka, że przez chwilę blokowała wejście, ale później przyływ znów uderzył i góra ciał poleciała do środka. Musieliśmy odskoczyć do tyłu, żeby w nich nie utonąć, i nasz szereg się przerwał. Barykada zniknęła, a sztywni wdrapywali się do środka po stertach zabitych.

– Pamiętajcie o Spartanach – mruknął Królik, cofając się.

– Jeszcze nie jesteśmy martwi, chłopaczku – powiedział Starszy.

– Już ci mówiłem, że nie jestem... kurwa. – Zastrzelił dwóch sztywnych, którzy próbowali zająć go z boku. Rozległ się trzask, gdy zamek jego broni pozostał w pozycji tylnej. – Cholera, ktoś ma magazynek?

Nikt mu nie odpowiedział. Ci z nas, którzy wciąż mieli naboje, strzelali.

– Kurwa! – zaklął znowu i rzucił pistoletem tak mocno, że biegnący na niego stwór poleciał na plecy.

Królik podbiegł do przeciwległej ściany i wyrwał z uchwytów toporek strażacki.

– Dalej, wy nieumarłe skurwiele!

Nadeszli. Otoczyli go, a on walił ich toporkiem, machając nim z tak niewiarygodną siłą, że ręce i głowy wylatywały w powietrze. Cios na odlew sprawił, że dwaj sztywni padli na ziemię ze złamanymi karkami. Jeden sztywny rzucił się na niego i wbił zęby w tkaninę jego kombinezonu.

I choć Królik złamał mu kark toporkiem, ugryzienie stwora rozerwało kombinezon.

Wystrzeliłem ostatni nabój i odrzuciłem broń. Grace i jej ludzie wciąż mieli amunicję, ustawili się ciasniej i nadal strzelali, ale teraz ich strzały zabijały jednego na dwóch, a później jednego na trzech, gdy ich ręce drętwiały od odrzutu, a serca nieruchomiały w piersiach. Nawet Grace pudłowała w prawie połowie przypadków.

– Koniec! – zawołał Starszy i cofnął się. Napotkawszy moje spojrzenie, uśmiechnął się paskudnie. – Miło by było, gdyby było jak na filmie. W cholernych filmach nikomu nie kończy się amunicja.

Ollie wystrzelił ostatni nabój i też się cofnął.

– I co teraz? – spytał.

Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym wykorzystać jako broń, i zauważyłem regał skonstruowany z drucianych półek i chromowanych rur. Złapałem go i z całej siły uderzyłem nim o ścianę, aż rozpadł się na części składowe. Wyjąłem długi na dwa metry pionowy wspornik i zamachnąłem się nim, a sił dodawały mi konieczność i przerażenie. Rzuciłem się na pierwszy szereg sztywnych, jednemu zmiażdżyłem głowę, a drugiemu złamałem kark. Usłyszałem głośny ryk i zorientowałem się, że to mój własny głos zmieniony w zwierzęce wycie wściekłości, gdy machałem, miażdżyłem i uderzałem żywe trupy.

Zamachnąłem się nisko, by podciąć dwa stwory, i nagle Starszy i Ollie znaleźli się obok mnie, obaj trzymali w rękach krótsze kawałki chromowanej rury. Zmiażdżyli głowy sztywnych, których przewróciłem, i wkrótce się zgraliśmy. Ja przewracałem sztywnych, a oni ich wykańczali. Za plecami słyszałem ryk Królika, równie głośny jak mój własny. Ręka Starszego była czerwona aż do ramienia. I wtedy Ollie poślizgnął się w kałuży krwi i upadł, a trzy stwory rzuciły się na niego. Kapi błyskawicznie znalazł się obok, nie miał już amunicji, ale w ręku trzymał nóż KA-BAR, jego ostrze migotało, przecinając ścięgna i podryznając gardła. Starszy pomógł Olliemu wstać i cała trójka rozproszyła się za mną, gdy stawiliśmy czoło kolejnej fali. I kolejnej. I kolejnej.

Rzuciło się na mnie pięciu sztywnych, uderzyłem tego z brzegu w skroń tak, że wpadł na pozostałych i wytrącił ich z równowagi. Starszy skoczył na nich, machając rurą, ale widziałem, że ciosy zadaje wolniej i słabiej. Męczył się. Ja też. To był niewiarygodnie długi

dzień i osiągnęliśmy granice ludzkiej wytrzymałości.

Kątem oka zauważyłem ruch, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem trzech sztywnych zachodzących Grace z boku.

– Grace! Z lewej! – ryknąłem i zamachnąłem się prętem.

Zobaczyła mój ruch i przykucnęła, a rura trafiła w głowę jednego z atakujących. Zastrzeliła pozostałych dwóch i skończyła się jej amunicja.

Odciągnąłem ją i popchnąłem za siebie.

– Cofnąć się! – krzyknąłem do pozostałych. Z tyłu pomieszczenia było sześć stołów. Mogliśmy spróbować wykorzystać je jako drugą barykadę. – Królik, oczyść nam drogę!

Królik rzucił się do przodu i ciął dwa ghule tak mocno, że jednego przeciął niemal na pół. Przebił się do nas. Zorientowałem się, że po obu stronach laboratorium stoją wysokie metalowe szafy. Stały swobodnie, nie były przyśrubowane do ścian, co dało mi nadzieję.

– Kapi... Ollie!

Kiedy odwrócili się do mnie, chwyciłem za róg jednej z szaf i pociągnąłem ją ze wszystkich sił. Przechyliła się bez trudu i upadła z ogłuszającym hukiem, miażdżąc swoim ciężarem jednego ze sztywnych. Pozostali natychmiast zrozumieli, o co im chodzi, i zaczęli przewracać szafki, tworząc stalowy korytarz, znacznie utrudniający sztywnym podejście do nas.

Grace zebrała swój oddział, a Jackson zachował dość przytomności, żeby pociągnąć za sobą jeńca.

Pomyślałem, że to oznaka optymizmu. Nagle coś zwróciło moją uwagę, odwróciłem się i spojrzałem na stalową szafkę przymocowaną do ściany. Była zamknięta na łańcuch i nosiła odrysowany od szablonu napis BRONŃ w farszi.

– Starszy! Szafka z bronią na twojej dziewiątej!

Odwrócił się, zobaczył szafkę i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Nie znał farszi, ale domyślił się, o co chodzi. Z wysiłkiem opuścił pręt na zamek, miażdżąc go. Otworzył drzwi, a wtedy zobaczyliśmy sześć policyjnych rewolwerów kaliber .38 i pudełka z nabojami. Uśmiech Starszego zniknął. Broń automatyczna i magazynki byłyby o wiele lepsze.

– Kup mi trochę czasu, chłopaczku! – zawołał do Królika.

Razem z Grace zaczęli zdejmować rewolwery i otwierać pudełka.

Wyszedłem na korytarz, żeby powstrzymać sztywnych, którym udało się wspiąć na sterty zabitych. Królik stanął obok mnie i natarliśmy razem. Rura ważyła chyba tonę, a przy każdym uderzeniu czułem bolesne dreszcze w nadgarstkach i ramionach. Z trudem łapałem oddech, oczy piekły mnie od potu. Królik musiał czuć się podobnie, a jednak staliśmy razem i walczyliśmy. Co kilka sekund musieliśmy jednak cofać się o krok, a później kolejny.

– Joe! – krzyknęła Grace. – Cofnij się.

I nagle powietrze wokół mnie eksplodowało, gdy wystrzeliło sześć rewolwerów jednocześnie.

Pierwszy szereg sztywnych został odrzucony do tyłu, kolejna salwa powaliła następnych. Jeden pocisk przeleciał tak blisko mnie, że powietrze przy moim uchu zapłonęło. Odwróciłem się i zobaczyłem Olliego gapiącego się na mnie ze wstrząśniętą miną. Czy to było zmęczenie? Strach przed sztywnymi? A może źle wycelował? Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale posłałem mu ostre spojrzenie i pobiegłem za szereg strzelających.

Oddział Grace zepchnął razem stoły, tworząc redutę. Kapi siedział na samym końcu, wciśnięty między krawędź stołu i ostatnią szafkę, reszta stała ramię przy ramieniu za prowizorycznymi umocnieniami. Były liche, ale nic lepszego nie mieliśmy. Na podłodze

u stóp Kapiego leżał przerażony laborant.

Starszy podał mi broń i mruknął:

– Najwyższa pora na tę kawalerię, kapitanie.

– Modlitwa może pomóc – powiedziałem. – Chodzisz do kościoła, Starszy?

– Ostatnio nie, ale jeśli przeżyję, mogę znów zacząć.

Staliśmy z Grace za stołem i korzystaliśmy z tego samego pudełka nabojów. Kiedy jedno strzelało, drugie ładowało broń.

– Niezła pomoc, co? – powiedziała, próbując zażartować, choć w kącikach jej oczu błyszczały łzy.

– Przykro mi z powodu twojego oddziału.

Pociągnęła nosem i odchrząknęła.

– Trwa wojna. Ludzie giną.

Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę, ale ona odwróciła się do drzwi i widziałem, jak jej rysy tężeją jak beton twardniejący na ostrym słońcu. Pomijając wszystko inne, strata oddziału była strasliwym ciosem, miałem nadzieję, że nie zabójczym. Nie tylko dla nas w tej chwili, ale gdyby to wszystko przeżyła. Może Rudy mógłby pomóc. Albo ja. Miałem nadzieję, że ta rana nie będzie zbyt głęboka, by mocją uleczyć.

Odetchnąłem głęboko. W korytarzu pojawili się dwaj kolejni sztywni, później trzej, później dziewięciu. Jęczeli jak zagubione dusze, choć zastanawiałem się, czy rzeczywiście byli bezduszni, czy też w jakiś strasliwy sposób człowiek, którym kiedyś był ten potwór, został uwięziony w nieumarłej powłoce, niezdolny kontrolować maszyny do zabijania, którą stało się jego ciało, patrzący ze strasliwą bezradnością, jak wlecze się w stronę mordu lub śmierci.

To nie były dobre myśli i zastanawiałem się, czy dopadł mnie szok. Kurwa, warknąłem w duchu. Muszę zachować spokój. Muszę zachować rozum.

Nacisnąłem spust i pierwszy sztywny poleciał do tyłu na pozostałych, jego twarz zmieniła się w różową mgiełkę. Znów wystrzeliłem, jednocześnie zrobiła to Grace. Później strzelali już wszyscy i laboratorium po raz kolejny zmieniło się w piekło ogłuszających wystrzałów, jęków martwych i krzyków żywych. Żywe trupy wciąż nadchodziły, fala po fali. Strzelaliśmy dobrze, właściwie za każdym razem trafialiśmy w głowę, ale oni wciąż nadchodzili.

Kurek rewolweru Grace uderzył o pusty cylinder.

– Kurwa – syknęła. – Skończyły się.

Jeden po drugim wystrzeliliwaliśmy ostatnie naboje, a oni wciąż nadchodzili, jęczeli i sięgali do nas. Kątem oka widziałem profil Grace. Nawet brudna i wyczerpana była piękna. Tak odważna i szlachetna. Kiedy wystrzeliłem ostatni nabój, poczułem ból w sercu. Martwi mieli nas dopaść.

W laboratorium było ich jeszcze około czterdziestu, a kolejni usiłowali dostać się do środka. Wiedziałem, co będę musiał zrobić. Nietrudnego... wstać, chwycić ją jedną ręką za brodę, a drugą za włosy. Łatwizna, wystarczy gwałtownie przekręcić jej głowę, a będzie wolna, poza zasięgiem sztywnych i zarazy. Mogłem to zrobić.

Zrobiłem to dwa razy ze sztywnymi – z Javadem i sztywnym w sali 12. Mogłem to zrobić teraz dla Grace, by nie pozwolić jej osunąć się w to piekło. Rozległ się ostatni trzask kurka trafiającego w pusty cylinder. Wokół nas rozlegały się jęki wygłodzonych martwych.

Poczułem, że się podnoszę się, otwieram dłonie, zaczynam iść w stronę Grace. Ruch był konieczny, ale spowalniały go wątpliwości. A jeśli się mylę? A jeśli spróbuje mnie powstrzymać, a oni dopadną nas oboje podczas szarpaniny? A jeśli...? I wtedy na ścianie nad nami sześć zasłoniętych stalowymi roletami okien wpadło do środka.

Wszyscy podnieśliśmy wzrok, nawet niektórzy sztywni zwrócili martwe twarze do

góry, kiedy stalowe płyty – pocięte i w kawałkach – wpadły do pomieszczenia.

– Uwaga! – krzyknąłem, a moje wyciągnięte ręce zacisnęły się na ramionach Grace i pociągnęły ją do tyłu.

Wielki kawałek stali wbił się jak młot dokładnie w miejsce, nad którym przed chwilą pochylała się kobieta, i rozciął stół na połowę.

Oboje krzyknęliśmy, kiedy moje szarpnięcie rzuciło nas do tyłu i na ziemię, a później przetaczaliśmy się, aż uderzyliśmy o ścianę. Objąłem ją i ukryłem twarz w zagłębieniu jej szyi, czując na plecach uderzenia odłamków. Inni schowali się pod ciężkimi stołami albo tłoczyli się w kątach, gdy setki kilogramów poszarpanej stali uderzały w ziemię. Pierwsze trzy szeregi sztywnych zostały zmiażdżone i rozszarpane na kawałki, ale pozostali, niezdolni czuć wstrząsu lub zaskoczenia, ruszyli bez wahania naprzód. Nie mieliśmy żadnej osłony poza zmiażdżonymi fragmentami reduity, ale w chwili kiedy podnieśliśmy głowy, rozległy się strzały z broni automatycznej. Przytuliliśmy się bardziej do ścian, zasłoniliśmy uszy i oczy, gdy deszcz pocisków rozszarpywał tłum sztywnych na kawałki. Rykoszety uderzały w ściany nad naszymi głowami i zasypywały nas tynkiem.

Napotkałem spojrzenie Starszego, popatrzył na mnie, popatrzył w górę i pokręcił głową. Mimo pełnego szaleństwa tej chwili ruchem warg wypowiedział słowa „Wiwat kawaleria”. I zaczął się śmiać.

Pośród świszczących dookoła kul i otaczającej nas śmierci poczułem ucisk w gardle i pomyślałem z przerażeniem, że zaraz się rozplączę, ale wybuchnąłem śmiechem. Grace patrzyła na nas jak na wariatów. Dołączył do nas Królik i wszyscy trzej wyliśmy jak szaleńcy.

– Cholerni Jankesi – powiedziała Grace i również się roześmiała, choć po jej policzkach płynęły łzy.

Przytuliłem ją do siebie i nie puszczałem, gdy jej śmiech zmienił się w łkanie.

Wciąż ją tuliłem, kiedy Gus Dietrich zjechał przez okno na linie, strzelając z karabinu automatycznego.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

SS Albert Schweitzer, środa, 1 lipca

Ludzie w bandażach spacerowali po pokładach, spoczywali na kanapach albo siedzieli na wózkach inwalidzkich z hamulcami zablokowanymi z powodu powolnego kołysania frachtowca. SS *Albert Schweitzer* był od ponad szesnastu lat wykorzystywany przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, a przez ponad pięć lat pomagał brytyjskiej i amerykańskiej marynarce w transporcie rannych i rekonwalescentów z teatrów działań wojennych do ich ojczyzn albo krajów, w których było dostępne właściwe leczenie. Eksperymentalna chirurgia w Szwajcarii i Holandii, chirurgia plastyczna w Brazylii, mikrochirurgia w Kanadzie, torakochirurgia i neurochirurgia w Stanach. Personel statku i ogromne koszty działania opłacały rządy pięciu państw, ale w rzeczywistości dolary i centy wypłacane przez te państwa ledwie wystarczały na paliwo. Pensje załogi i personelu, sprzęt medyczny, leki i materiały chirurgiczne, a nawet żywność opłacano ze szczodrych grantów od trzech międzynarodowych korporacji: Hamish Dunwoody ze Szkocji, Ingersol-Spungen Pharmaceuticals z Holandii i amerykańskiego producenta szczepionek Synthetic Solutions. Trzy firmy nie miały żadnych widocznych związków ze sobą, ale wszystkie trzy należały w części, i przez wielu pośredników, do Gen2000. A Gen2000 to Sebastian Gault.

Potężny mężczyzna stojący przy relingu wiedział jedynie, że Gault miał swój udział, choć nie miał pojęcia o rozmiarach i skali tego udziału. I tak go to nie obchodziło. Dla El Mudżahida liczyło się jedynie, że na pokładzie statku uważano go za Sonny'ego Bertucciego, syna włoskich emigrantów wychowanego na nędznych ulicach otaczających Coney Island na Brooklynie. W kieszeni miał zdjęcie Sonny'ego z żoną Giną i synkami Vincentem i Dannym. Gdyby ktoś sprawdził jego odciski palców, dowiedziałby się, że pracował jako cywilny ochroniarz bazy Straży Wybrzeża i że przez trzy lata służył w Global Security, prywatnej firmie działającej w Iraku i Afganistanie. Nawet najbardziej skrupulatne przeszukanie baz danych potwierdziłoby tę tożsamość, ponieważ wszystkie dokumenty, od prawa jazdy wydanego przez stan Nowy Jork, przez legitymację honorowego krwiodawcy, którą nosił w kieszeni, aż po dokumenty potwierdzające tożsamość zamknięte w sejfie, zostały wydane przez odpowiednie instytucje. Gault miał swoje wtyczki wszędzie.

Wojownik oparł muskularne przedramiona na chłodnym metalowym relingu i wpatrzył się ponad wodą w daleki horyzont. Wielkie letnie słońce opadało ku zachodowi, a jego czerwone promienie rozpałały czubek każdej fali. Wszystko spowijał piekielny blask, a odległe miasto wydawało się czarne jak zwęglone kikuty na tle ognistego nieba. Bliżej statku Statua Wolności, osamotniona wśród płonącej wody, topiła się w ogniu słonecznego blasku i zajadłym spojrzeniu El Mudżahida.

Część czwarta

Zabójcy

Szalone, mroczne czasy zbliżają się z dudnieniem w naszą stronę, a prorok, który chciałby napisać nową apokalipsę, będzie musiał wymyślić zupełnie nowe bestie, bestie tak straszliwe, że starożytne symbole świętego Jana będą się wydawać w porównaniu z nimi gruchającymi gołębiami i amorkami.

Heinrich Heine „Lutecja; albo Paryż”, *Augsburg Gazette*, 1842

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

Chrisfield, Marylandśroda, 1 lipca, 05:01

Church nie spytał, czy dobrze się czuję. Opierał się o błotnik należącego do WDN humvee i słuchał, gdy relacjonowałem wszystko, co wydarzyło się w przetwórni. Agenci WDN i ich koledzy z większości agencji cywilnych i federalnych wzięli się do roboty. Ustawiono stadionowe reflektory i było jasno jak za dnia, mimo że od świtu dzieliła nas jeszcze godzina. Przestrzeń powietrzna została zamknięta dla wszystkich poza wojskowymi śmigłowcami; wszystkie budynki mieszkalne i komercyjne w okolicy zostały opróżnione, a mieszkańców ewakuowano na bezpieczną odległość. Prasy nie zaproszono, a miejsce oficjalnie określono jako cel „możliwego” ataku terrorystycznego.

Według skomplikowanego podręcznika działania Bezpieczeństwa Krajowego oznaczało to, że okolica jest traktowana jako teren działań wojennych, a to z kolei oznaczało, że wojsko dyktowało warunki.

Kiedy skończyłem, przez chwilę wpatrywał się we mnie z namysłem, a później pokiwał głową.

– Czy wszyscy zostali starannie sprawdzeni przez lekarzy?

– Tak. Mnóstwo zadrapań i ran ciętych, ale żadnych ugryzień. Moi ludzie są wyczerpani, a poza tym wszyscy są w szoku, w mniejszym lub większym stopniu.

– Pan też? – Przeszywał mnie wzrokiem.

– Zdecydowanie. Fizycznie i psychicznie. A kto by nie był? Mam dreszcze i wrażenie, jakby ktoś przepuścił mnie przez maszynkę do mięsa. Hu zrobił mi zastrzyk z witamin, dostałem kawę, jedzenie i koktajl białkowy, który smakował, jakby naszczał do niego koń. Samopoczucie mam gówniane, ale przeżyję.

Lekko skinął głową. Pan Cieplutki.

– Jak ocenia pan to, co wydarzyło się dziś tam w środku? – zapytał.

Przyszedł mi na myśl tuzin przemądrzałych odpowiedzi, ale ugryzłem się w język.

– To była pułapka, a my się w nią wpakowaliśmy.

– Wydostaliście się.

– Dostawaliśmy w dupę. Miałem szczęście.

– Nie licząc dwóch spotkań z Javadem, to pańska trzecia walka ze sztywnymi, podczas której pański oddział nie poniósł strat. W tego rodzaju walce „szczęście” może wystarczyć.

– Nie dla ludzi Grace. Oddział Alfa został posiekany na kawałki. To trudne.

– Bardzo trudne – zgodził się.

– Cały obiekt był zaminowany, a kiedy włamaliśmy się do laboratorium, zdetonowali salę komputerową. Zagrody dla sztywnych były zaprogramowane, żeby otworzyć się jednocześnie, a to znaczy, że natknęliśmy się na jakieś zabezpieczenia, których nawet nie zauważyliśmy. Nic z tego nie było przypadkiem. Ci skurwiele wiedzieli, że nadchodzimy.

– Wiedzieli, że zrobimy to dzisiaj, czy wiedzieli, że to nieuniknione?

Kluczowe pytanie, które rozważałem przez ostatnie kilka godzin. Cała nasza ocena wroga i jego możliwości zależała od tej odpowiedzi.

– Nie wiem. Byli przygotowani, ale nie do końca. Wybuchły tylko dwie bomby. Sztynwi nie zaatakowali nas wystarczająco szybko. Powinni nas potraktować jak bufet, a jednak przeżyliśmy.

A żaden sztynwi się nie wydostał. To nie ma sensu.

– Nie – zgodził się i wydawał się przy tym równie zaniepokojony jak ja.

– Wie pan, nie wiem, czy patrzymy na tę sprawę pod właściwym kątem.

– Jestem niemal pewien, że nie.

– Spodziewaliśmy się znaleźć... Co właściwie? Bandę gości siedzących przy stole i planujących upadek zachodniej cywilizacji? A znajdujemy coś, co wygląda na ośrodek badawczy. Ci goście badali sztynw. Dokładniej niż w Delaware.

– A co z pańskim oddziałem? Czy zachowali się zgodnie z pańskimi oczekiwaniami? –

Kiedy nie odpowiedziałem, dodał: – Oczekuję szczerego raportu, kapitanie. To nie czas na udawaną skromność.

– Nie jestem skromny, Church. Znam tych facetów krócej niż dobę, a cały ten czas wypełniała akcja. Wczoraj poradzili sobie doskonale. Tej nocy trafiliśmy na pewne wyboje. Kapi Tyler i Ollie Brown zaginęli w podejrzanych okolicznościach, a ja nie miałem jeszcze czasu wysłuchać ich pełnego raportu. Pojawiły się pewne... wątpliwe kwestie. Kapi twierdzi, że ktoś go zaszedł od tyłu i zaatakował paralizatorem, ale to mało prawdopodobne, bo z sali prysznicowej były tylko dwa wyjścia: drzwi, przez które wszedł mój oddział, i korytarz, który Kapi obserwował. Powiedział, że został unieszkodliwiony, a później obudził się w magazynie, udało mu się przeciąć więzy i odzyskać broń, a potem otoczyli go sztynwi. Historia Olliego jest podobna. Mówi, że ktoś musiał otworzyć drzwi i potraktować go paralizatorem. Obaj mają poparzenia na szyi, a większość strażników w przetwórni nosiła paralizatory.

Nie wspomniałem, że podczas walki Ollie prawie rozwalił mi głowę. Zamierzałem to przedyskutować z Olliem przy innej okazji.

– Czyli przez większość czasu nie wie pan, co robili obaj mężczyźni?

– Raczej nie.

– Jak sam pan stwierdził, na pewien czas pozostał pan sam, co oznacza, że Sims i Królik nie przebywali z panem w czasie całego zadania. I powiedział mi pan, że sierżant Królik zaniósł więźnia do wejścia i to on zgłosił zaginięcie Tylera. Skąd pan wie, że to nie on unieszkodliwił Tylera, a później złamał kark jeńcowi? Nie mamy dowodów, że jeniec zginął, kiedy oddział Alfa wysadził drzwi.

– Czy atakuje pan oddział Echo? Sądzi pan, że to w nim kryje się kret?

– Nie mam pojęcia, gdzie kryje się kret, i wątpię we wszystkich – powiedział z naciskiem w głosie. – Nie jestem wielbicielem robienia założeń, kapitanie. Dopóki nie udowodnimy, że jest inaczej, będę miał na oku wszystkich.

Przez dłuższy czas piorunowaliśmy się wzrokiem, aż w końcu pokiwałem głową.

– Tak, cholera.

Church odwrócił się, żeby spojrzeć na przejeżdżającą obok ciężarówkę, a kiedy znów zwrócił się do mnie, był całkiem opanowany.

– Może powinien pan rozszerzyć poszukiwania – zaproponowałem. – Zamiast prowadzić polowanie na czarownice w obrębie WDN, może powinien się pan przyjrzeć tym, którzy wysłali panu tych ludzi. Wszyscy, którzy do pana trafili, zostali starannie wybrani, tak? Cóż, jak bardzo jest pan pewien tych, którzy ich wybierali?

Church patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a ja miałem wrażenie, że słyszę odgłos przeskakujących kłapek w jego umyśle.

– Dziękuję za tę sugestię, kapitanie. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby ten kret został umieszczony tylko po to, by doprowadzić do upadku WDN. Może nawet wcale nie ma

związku z terrorystami. W końcu w społeczności wywiadu wszyscy ciągle walczą o fundusze i pewnie niektórzy mają żal, że dostajemy ich pieniądze.

– A tak jest?

– Pewnie, ale trwa wojna, a my jesteśmy nieco bardziej „na linii frontu” niż większość. Musi pan pamiętać, że w służbach wywiadu ciągle mamy do czynienia z politycznym szpiegostwem i wbijaniem noża w plecy. Zawsze tak było i traktujemy to jako nasz chleb powszedni. Wypuszczenie sztywnych z sali dwanaście mogło być aktem terrorystycznym albo też miało utrudnić pracę WDN, a mnie zdyskredytować.

– Morderstwo na wielką skalę wydaje mi się nieco ekstremalnym posunięciem, by kogoś zdyskredytować. Jest pan aż tak ważny?

Wzruszył ramionami.

– W takim razie może ujmę to inaczej: czy jest pan aż tak narażony na atak?

Nie spodziewałem się odpowiedzi, ale mnie zaskoczył.

– Nie tak bardzo, jak sądzą niektórzy. – Nie rozwinął jednak tego dość zagadkowego stwierdzenia ani też nie wrócił do tematu. Jego komórka zabręczała, odebrał, słuchał przez kilka chwil, a później bez słowa się rozłączył. – Doktor Hu skończył przygotowywać więźnia do przesłuchania.

Kiedy odwrócił się, żeby odejść, stanąłem mu na drodze.

– Niech pan jeszcze chwilę zaczeka. Zawiodłem, Church. Wniknięcie po cichu zmieniło się we frontalny atak, zginęli ludzie. Zatrudnił mnie pan, żebym prowadził oddział Echo, a ja zaprowadziłem ich prosto w pułapkę.

Patrzył na mnie spokojnie przez niemal nieprzezrocyste szkła okularów.

– Co pan chce usłyszeć? Że jestem rozczarowany? Że to była źle poprowadzona misja? Że chcę, żeby pan zrezygnował?

Nie chciałem mu dawać gotowego scenariusza swojej dymisji, więc czekałem.

– Bardzo mi przykro – powiedział – ale nadal jest pan dowódcą oddziału Echo. Nie bardzo interesuje mnie mądrość poniewczasie. Jak na razie i tak wygrywa pan cztery do zera ze sztywnymi. Oddziały Bravo i Charlie zostały całkowicie zniszczone, Alfa stracił połowę ludzi... a Echo, choć niewielki, pozostaje cały.

– Co nie znaczy, że jestem właściwym człowiekiem...

Sapnął.

– Jeśli potrzebuje pan odpuszczenia win, niech pan idzie do księdza. Jeśli chce pan wyrzucić to z siebie, niech pan porozmawia z doktorem Sanchezem. Jeśli jednak uważa pan, że trzeba uporządkować sprawy i przywrócić równowagę, niech pan pomoże mi to powstrzymać. Poza tym... wczoraj wieczorem powiedział mi pan, że chce poczekać, aż pański oddział wypocznie. Nie zrobiliśmy tego i obu nas można obarczyć winą, jeśli rzeczywiście koniecznie trzeba kogoś nią obarczyć.

– A co ze wsparciem? – spytałem. – Sądziłem, że w drodze są kolejni kandydaci do oddziału Echo.

– Niektórzy z nich już dotarli. W czasie tej rozmowy zajmują się nimi w magazynie. Obejrzą nagrania, usłyszą wykład, a kiedy pan do nich wróci, będzie mógł pan zacząć szkolenie.

– Może powinniśmy posłać tam Starszego Simsa. Jego i Królika. Od razu mogą zacząć szkolić nowych.

– Nie Browna i Tylera?

– Z nimi muszę najpierw porozmawiać.

Jego komórka znów zadzwoniła. Spojrzał na wyświetlacz i na jego wargach pojawił się grymas zniecierpliwienia. Odebrał.

– Tak, panie prezydencie – powiedział.

Uniosłem brwi, ale Church zachował swój zwyczajowy spokój. Słuchał przez chwilę, po czym stwierdził:

– Panie prezydencie, nie mam ani czasu, ani dość informacji, by złożyć panu kompletny raport. Jak na razie mogę panu powiedzieć, że przetwórnia krabów chyba była pułapką. Tak, sir, ponieśliśmy poważne straty.

Krótko opisał atak. Prezydent przerywał mu co najmniej sześć razy.

– Mamy jednego więźnia, panie prezydencie. Tak, zgadza się, tylko jednego. Jestem właśnie w drodze na przesłuchanie, więc znajduję się pod presją czasu.

Church słuchał dalej i dokładnie widziałem chwilę, w której stracił cierpliwość. Zrobił coś, o czym nie słyszałem nigdy wcześniej i nie sądziłem, by nawet Church się na to odważył.

– Panie prezydencie, z całym szacunkiem, ta rozmowa to marnowanie mojego czasu. Zegar tyka, a jeśli wciąż będzie pan próbował mikrozarządzania, stracimy największą szansę, jaką mamy.

A teraz proszę, sir, trzymajmy się pierwotnego porozumienia. Zostanie pan odpowiednio poinformowany, kiedy będę gotów złożyć raport. Do widzenia, sir.

Nie zaczekał na odpowiedź. Po prostu rozłączył się i schował komórkę do kieszeni. Zobaczył moje wybałuszone oczy i spytał:

– Co takiego?

– Church... właśnie spoliczkował pan prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Nic nie powiedział.

– Nikt tego nie robi. Nikt nie może tego zrobić. Jak, do diabła...?

Church machnął lekceważąco ręką.

– Mamy porozumienie. WDN powstało i działa zgodnie z tym porozumieniem.

– Powie mi pan, na czym ono polega?

– Nie – odpowiedział.

Rozdział siedemdziesiąty

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 05:22

Doktor Hu przygotował jeńca do przesłuchania w dużej białej furgonetce wyposażonej w sprzęt diagnostyczny.

Mężczyzna siedział na czymś, co wyglądało jak fotel dentystyczny, a jego nadgarstki i kostki unieruchomiono nylonowymi taśmami. Z kroplówki płynął do jego żył przezroczysty płyn.

Hu nie patrzył mi w oczy. Nie zapomniał naszej małej sprzeczki po incydencie w sali 12. Ja też nie.

Church podciągnął sobie stołek i usiadł. Ja zostałem przy drzwiach. Więzień spoglądał to na Churcha, to na mnie, pewnie usiłował ocenić, który będzie dobrym, a który złym gliną.

– Jak się nazywasz? – spytał Church.

Mężczyzna po chwili wahania pokręcił głową.

Church pochylił się i oparł przedramiona na kolanach.

– Mówisz po angielsku. To stwierdzenie, nie pytanie, więc nie udawaj, proszę, że mnie nie rozumiesz. Jestem przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych. Inni ludzie w tym pomieszczeniu pracują dla mnie. Wiem, że zostałeś zakażony patogenem, który cię zabije, jeśli nie będziesz otrzymywać regularnych dawek substancji, która ogranicza jego rozwój. Wierzysz, że jeśli będziesz unikał odpowiedzi, umrzesz, choroba w twoim organizmie zabije cię, zanim zostaniesz zmuszony do mówienia. W normalnych warunkach mogłoby to być prawdą, zwłaszcza gdyby ktoś inny prowadził przesłuchanie. Posłuchaj mnie uważnie – powiedział Church spokojnie, jakby prowadził miłą pogawędkę. – Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Nie umrzesz, chyba że ci na to pozwolę. Nie będziesz milczeć. Nie zostaniesz uratowany.

Mężczyzna pocił się, a jego spojrzenie już nie kierowało się co chwila w moją stronę. Fizycznie i umysłowo skupiał się na panu Churchu.

– Wiemy o chorobie, którą was zakażono. Znamy jej naturę. W kroplówce jest substancja, która ogranicza jej rozwój. To był bardzo sprytny pomysł, by ukryć ją w zwykłej aspirynie, ale jak widzisz, nie dość sprytny. Śmierć nie ocali cię przed tą rozmową. Śmierć nie ocali cię przede mną. Powiedz mi, że rozumiesz.

Mięśnie szczęki mężczyzny napięły się, gdy próbował zacisnąć usta.

– Jeden z twoich towarzyszy powiedział nam, że jego rodzina jest zakładnikami, że zginą, jeśli będzie z nami rozmawiać. Czy tak właśnie cię kontrolują?

Church dał mu prawie trzydzieści sekund, ani razu nie mrugając, i mężczyzna w końcu spazmatycznie skinął głową.

– Dziękuję. Mam tajne jednostki w każdym kraju Azji i Bliskiego Wschodu. Jeden telefon wystarczy, by wysłać taki oddział na poszukiwanie twojej rodziny. Mogę wydać temu oddziałowi rozkaz, by ich uratował. A mogę wydać rozkaz, by ich torturował aż do śmierci. Mogę wydać im rozkaz, by pojmali twoją rodzinę... żonę, dzieci, rodziców,

rodzeństwo cioteczne, bratanków i siostrzenice, aż do czwartego pokolenia. Jeśli wydam ten rozkaz, cała twoja rodzina, może nawet cała wioska, przestaną istnieć. Czy trafią do więzienia, będą torturowani, czy też trafią do innego kraju z fałszywą tożsamością i pieniędzmi na rozpoczęcie nowego życia, zależy tylko od ciebie.

Mężczyzna wyrzucił z siebie jedno słowo. Irańskie określenie psa.

– Słowem, którego potrzebujesz – powiedział Church – jest „potwór”. – Wypowiedział to po irańsku, bez śladu akcentu. Słowo uderzyło mężczyznę jak cios, aż się cofnął. – Nie zrozum mnie źle. Wiem, że jesteś podwładnym, naukowcem albo laborantem. Zyskali twoją lojalność, ponieważ boisz się o swoje życie i życie swoich bliskich. Zrobił to potwór. Ktoś taki jak ja. Ten człowiek był gotów zabić niewinnych ludzi, ludzi których kochasz, żeby stworzyć i uwolnić broń, która zabija miliony. Wyobraź sobie, do czego będę zdolny ja, wobec ciebie i twojej rodziny, by ochronić wszystkich, których kocham.

Mężczyzna zaczął otwierać usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nie wiedziałem, czy było to wyznanie, czy przekleństwo, gdyż znalazł w sobie jeszcze odrobinę zdecydowania i ugryzł się w język. Znow zacisnął usta.

Church odchylił się do tyłu i przez dwie minuty wpatrywał się w więźnia. To dużo czasu, by znieść czyjeś spojrzenie, a zwłaszcza kogoś obdarzonego taką siłą osobowości, jak pan Church. Mężczyzna kręcił się i pocił.

– Wątpię, byś był wojskowym – powiedział Church. – Wojskowych szkoli się, żeby byli twardzi, wytrzymali, opierali się torturom. Widzę w twojej twarzy, w miękkości twoich dłoni, że nie wytrzymasz tortur. Mamy chemikalia. Mamy urządzenia. Możemy być bardzo prymitywni, a w końcu każdy zaczyna mówić. Każdy. Nawet ja nie zniósłbym niektórych używanych przez nas technik, a nie jestem miękki. Ten człowiek tutaj – po raz pierwszy wskazał na mnie – jest zaprawionym w boju żołnierzem. Widziałeś go dziś w walce, widziałeś, jak zabija wielu ludzi. Jest żołnierzem, przywódcą, twardym zabójcą. Nawet on by nie wytrzymał, gdyby torturujący był zdecydowany.

– Ja... nie mogę – powiedział mężczyzna głosem tak szorstkim, jakby w gardle miał ostre odłamki skał.

– Możesz. I zrobisz to. Nikt nie wytrzyma tego, co mamy. Nasza nauka jest zbyt rozwinięta. Badałem tortury, rozumiem ich magię. Jedyne, co możesz zrobić, jest porozmawiać teraz z nami, współpracować z nami, pomóc nam w walce z tym czymś.

– Moje dzieci...

– Popatrz na mnie – powiedział Church z cichym naciskiem. – Zrozum mnie. Jeśli od razu powiesz nam wszystko, wyślę moje oddziały i zapewnię im bezpieczeństwo. Jeśli tego nie zrobisz, i tak wyciągnę z ciebie informacje, ale upewnię się, że każdy, kto choć raz usłyszał twoje imię, zostanie wytropiony i wyeliminowany, by na ziemi nie pozostało nawet wspomnienie o tobie i twojej rodzinie.

Poczułem dreszcz na plecach i chciałem uciekać jak najdalej od tego człowieka. Jeśli Church jedynie mieszał w głowie temu facetowi, to robił to aż za dobrze. Mieszał w głowie również mnie.

Więzień znow otworzył usta, zamknął je, znow je otworzył... i w końcu powiedział:

– Musisz obiecać mi, że moje dzieci będą bezpieczne. Kiedy znajdą się bezpieczne w amerykańskich rękach, wtedy...

Twarz Churcha była jak wykuta z lodu, a jego spojrzenie przerwało mężczyźnie w pół słowa.

– Źle mnie rozumiałeś, przyjacielu. Wyślę oddziały, kiedy dostanę od ciebie informacje. Każda sekunda, którą marnujesz, to kolejna sekunda dla twoich panów, by zorientowali się, że zostałeś uwięziony, a to oznacza, że twoje dzieci znajdują się sekundę bliżej śmierci. Marnujesz sekundy ich życia. Tego chcesz? Chcesz zabić własne dzieci?

– Nie! Na Allaha, nie!

– W takim razie mów. Ocal je. Bądź bohaterem dla nich i dla świata. Ocal wszystkich i zacznij mówić. Już. – Milczał przez chwilę, po czym powtórzył: – Już.

Mężczyzna zamknął oczy, spod opuszczonych powiek popłynęły łzy. Spuścił głowę i przez kilka chwil nią kręcił.

– Nazywam się Aldin – powiedział w końcu z łkaniem. – Powiem wam wszystko, co wiem. Proszę, nie pozwólcie umrzeć moim dzieciom.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 06:47

Kiedy wyszedłem z furgonetki przesłuchań, czułem się brudny. Rozumiałem, dlaczego to, co zrobił Church, było konieczne, ale i tak czułem się jak śmieć. Church nazwał siebie samego potworem i sędzę, że mówił poważnie.

– Joe!

Usłyszałem swoje imię, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Rudy'ego biegnącego przez parking. Chwytał mnie za rękę i ścisnął, a później cofnął się i spojrzał mi w twarz.

– *Dios mio!* Major Courtland opowiedziała mi, co się wydarzyło. Ja... brak mi słów, Joe. Jak się czujesz?

– Bywało lepiej – przyznałem, ale zanim zdążyłem wyjaśnić, podszedł do nas Gus Dietrich.

– Kapitanie Ledger – powiedział-zgromadziłem ekspertów kryminalistyki, o których pan prosił. Większość jest w drodze i powinna dotrzeć tu do południa. Jerry Spencer już jest na miejscu.

– Dobrze. Sierzancie, chcę, żeby wszyscy opuścili budynek. Proszę przekazać Jerry'emu, że przyjdę do niego za kilka minut, żeby razem z nim przeprowadzić wizję lokalną.

Dietrich uśmiechnął się.

– Detektyw Spencer jest chyba na pana wściekły, że go pan w to wciągnął, zwłaszcza o tak wczesnej porze.

– Przejdzie mu. Szczególnie że będzie miał tu kawał interesującej sceny zbrodni do zbadania.

– Pan Church zamówił średniej wielkości namiot cyrkowy, żeby służył jako tymczasowe laboratorium śledcze. Właśnie go rozstawiają za rogiem na drugim końcu parkingu.

– Churchowi udało się tak szybko zdobyć namiot cyrkowy? – spytał Rudy.

Dietrich uśmiechnął się do niego smutno.

– Pan Church ma znajomego w branży.

– Jezu. – Rudy pokręcił głową.

– A, Gus... – odezwałem się, kiedy Dietrich zaczął odchodzić.

– Sir?

Wyciągnąłem rękę.

– Dzięki za uratowanie nam tyłków.

Sprawił wrażenie zażenowanego, kiedy ściskaliśmy sobie dłonie.

– Przepraszam, że nie dało się szybciej.

– Uwierz mi, dotarliście w samą porę.

Pokiwał głową i odszedł. Rudy i ja odprowadziliśmy go wzrokiem.

– To dobry gość – powiedział Rudy. – Miałem okazję poznać go wczoraj, a nad ranem widziałem go w akcji. Jeśli w WDN naprawdę jest kret, to nie jest nim on.

– Dałbyś za to głowę?

Rudy zamyślił się, po czym przytaknął.

- Z pewnością.
- Cieszę się, że to słyszę.

Ruszyliśmy w stronę stolika do kart, na którym stały plastikowe wiadra z lodem. Sięgnąłem do jednego z nich, wyciągnąłem butelkę zielonej herbaty dla Rudy'ego i colę dla siebie.

Rudy stuknął swoją butelką w moją.

- Za życie.

- Amen. Posłuchaj, Rude, Church właśnie skończył przesłuchiwać więźnia.

Opowiedziałem mu, co Church mówił Aldinowi.

- Naprawdę ocali jego rodzinę?

- Tak sądzę. Słyszałem, jak dzwonił, i wątpię, żeby to był blef.

- To pocieszające.

- I tylko tyle masz do powiedzenia? Na litość boską, ten facet sam przyznał, że jest potworem!

- Joe, jesteś zmęczony i masz objawy stresu pourazowego, więc potraktuję cię łagodniej. Jesteś cały zdenerwowany, bo Church zagroził rodzinie tego człowieka, bo wykorzystał manipulację psychologiczną, bo...

- Zrobił więcej, Rude. Rozerwał gościa na kawałki.

- Fizycznie?

- Nie, ale...

- Czyli samym zastraszaniem zmusił do współpracy. Żadnych tortur fizycznych, żadnego miażdżenia kciuków, żadnego upokarzania na tle seksualnym czy religijnym. - Pokręcił głową. - Żałuję, że tego nie widziałem. Brzmi genialnie.

Zagapiłem się na niego.

- Chryste! Nie mówisz mi chyba, że to apróbujesz?

- Aprobuję? Może. Na pewno podziwiam. Ale spójrz na to z drugiej strony, kowboju, i powiedz mi, jak ty byś wydobyl z niego te same informacje. Mógłbyś zmusić go do mówienia bez sięgnięcia po tortury fizyczne? Nie, denerwuje cię, że nie wiesz, czy blefował, kiedy groził rodzinie tego mężczyzny. Wy, żołnierze i gliniarze, mówicie bardzo ostro. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin słyszałem mnóstwo tekstów w stylu „Zabijcie wszystkich” i „Bóg rozpozna swoich”; mnóstwo bzdur w rodzaju „jesteśmy bezlitosnymi zabójcami”. W pewnym stopniu może nawet jest to prawda, ale duża część tej gadaniny przypomina okrzyki, które zagrzewają graczy do walki. Realnie każdy z was jest człowiekiem i nie możecie się całkowicie odseparować od rzeczywistości wojny. Być może musiałbyś sprawić Aldinowi fizyczny ból, żeby zmusić go do mówienia, może nawet zadać mu trwałe obrażenia. Byłoby to dla ciebie przykre, ale w ostatecznym rozrachunku niewiele różniłoby się od ciosu mieczem czy kopniaka w *cojones*. Twoja reakcja wynika z tego, że Church wyrządził krzywdę na zupełnie innym poziomie. Zranił tego mężczyznę psychicznie i emocjonalnie. Choć jesteś twardzielem, nie mam pewności, czy byłbyś do tego zdolny, a ty masz całkowitą pewność, że nie. A jednak... Church nawet nie spoliczkował tego mężczyzny.

- Dobra, dobra, pojąłem względność całej sytuacji, o mądry mistrzu Yodo - mruknąłem - ale tu chodzi o coś więcej.

- Wiem - Rudy pokiwał głową - boisz się, że Church mógł mówić poważnie, kiedy groził dzieciom tego mężczyzny.

Wpatrywałem się w butelkę coli.

- Tak - powiedziałem. - Nazwał się potworem.

- Owszem, ale miejmy nadzieję, że tak naprawdę nie jest tego rodzaju potworem.

- A jeśli jest?

Rudy pokręcił głową.

– Mówiłem to już wcześniej. Bycie nim musi być straszne.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 06:50

Rudy wrócił do jednej z przyczep, żeby przeprowadzić kilka sesji z niedobitkami oddziału Alfa. Zauważyłem Grace stojącą przy punkcie pierwszej pomocy i ruszyłem w jej stronę. Oczy miała zaczerwienione, ale już nie płakała. Może się wyplakała, opróżniła magazynek? Miałem nadzieję, że Rudy wkrótce znajdzie dla niej czas.

Kiedy się zbliżyłem, podniosła wzrok i w ciągu kilku sekund na jej twarzy pojawiło się wiele różnych uczuć.

Żal, to oczywiste, ale też zadowolenie i odrobina zaskoczenia, może kiedy się zorientowała, że uśmiecha się, widząc mnie. Podobnie jak ja uśmiechałem się do niej, a jej widok sprawił, że poczułem falę przyjemnego ciepła w brzuchu. Kiedy to sobie uświadomiłem, również poczułem lekkie zaskoczenie. Czułem to bardzo głęboko. Musicie wiedzieć, że zawsze gardziłem romansami w pracy, uważałem, że kochankowie popełniają poważny błąd, ale kiedy stałem się świadom swoich uczuć wobec Grace – niezależnie od tego, jak nowe były i nieukształtowane – nie umiałem w sobie wzbudzić choć odrobiny pogardy wobec samego siebie. Anioł na moim prawym ramieniu dostawał lanie od diabła na lewym.

– Jak się masz? – spytałem. – A może to najgłupsze pytanie w historii od czasów, kiedy Neron spytał przyjaciół, czy chcieliby posłuchać muzyki?

– Przeżyję – odpowiedziała i podała mi tekturowy kubek z kawą. – Nie pozwalam sobie za dużo myśleć... o moim oddziale. – Pociągnęła nosem i spróbowała się uśmiechnąć. – Planuję całkiem się załamać, kiedy będzie po wszystkim.

– Gdybyś potrzebowała towarzystwa, daj mi znać.

Wpatrzyła się we mnie przenikliwie i pokiwała głową.

– Być może wezmę cię za słowo. – Zmieniła temat. – Twój kumpel, detektyw Spencer, pytał o ciebie. A raczej, jeśli mam być dokładna, pytał, gdzie, do diabła, się podziewasz i co sobie myślałeś, kiedy wysłałeś po niego bandę zbirów, którzy go tu przyciągnęli, choć jest na zwolnieniu. Mniej więcej coś w tym stylu. Nie jest najspokojniejszym z ludzi.

– Jerry jest w porządku. Dobry glina.

– Musisz wiedzieć, że z nim rozmawialiśmy. – Zawahała się. – Dlatego pan Church i ja byliśmy w St. Michael's. Mieliśmy oko na Spencera od czasu, gdy zgłosił się do oddziału specjalnego, a po tym, jak został postrzelony, pojechaliśmy za jego karetką do szpitala i „pożyczliśmy” go sobie, kiedy wypuścili go z Izby Przyjęć. – Zadrżała. – Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby pana Churcha nie było na miejscu, kiedy zakażenie zaczęło się rozprzestrzeniać po szpitalu.

– Myślisz, że mogło być gorzej?

– Wiem, że tak by było. – Uśmiechnęła się dziwnie. – Zabawne, przez cały czas naszej znajomości, od kiedy zostałam przeniesiona z Zapory do WDN, tylko wtedy widziałam, że podjął bezpośrednie działania.

– Mam przeczucie, że był bardzo skuteczny. Robi takie wrażenie. Skąd on jest,

z jednostek specjalnych?

– Nie mam pojęcia, jakie jest jego pochodzenie, a próbowałam ukradkiem się dowiedzieć. Sądzę, że wykorzystał MindReadera, żeby wymazać swoją przeszłość. Żadnych odcisków palców w bazach, podobnie DNA, głos, niczego nie znalazłam. Jest duchem, a w tych czasach nikt nie jest duchem. – Pokręciła głową. – Kiedy sztywni wypełnili korytarze i ruszyli w stronę holu wejściowego, Church się nie rozłościł, nawet nie okazywał po sobie zaskoczenia, które musiał czuć. Po prostu zaczął działać. Byłam wtedy na zewnątrz, zabezpieczałam otoczenie szpitala, więc jedynie widziałam go czasem przez wielkie szklane drzwi holu. Wydawało się, że niewiele robi, ale kiedy sztywni zbliżali się do niego, padali, jeden po drugim. Oprócz niego widziałam tylko jedną osobę, która poruszała się z taką bezlitosną skutecznością.

– Naprawdę? Kogo? Może powinniśmy go zwerbować?

– Zrobiliśmy to – powiedziała i spojrzała mi w oczy.

– Aha. – Poczujęm się ogromnie niezręcznie. – Pewnie powinienem dodać „bezlitosną skuteczność” do swojego CV.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie wahasz się. Wydaje się, że nic na ciebie nie działa.

W mojej głowie pojawił się obraz sztywnych wspinających się jeden na drugiego, żeby mnie dopaść, i jak prawie wypuściłem z rąk magazynek, który właśnie zakładałem. A później na wielkim ekranie mojego umysłu zaczął się wyświetlać drugi, bardziej przerażający obraz – moje ręce wyciągnięte do Grace w laboratorium i chwila wahania, kiedy próbowałam zebrać odwagę, by złamać jej kark, by ocalić ją przed przemianą w zombie.

– Uwierz mi, Grace, działa. Mówię to absolutnie szczerze. W ciągu ostatniej doby parę razy prawie straciłem panowanie nad sobą. Nie żartuję.

Grace pokręciła głową.

– „Prawie” się nie liczy. Ale mimo wszystko... Church jest inny, bardziej zimny. Jest mniej... – Próbowała znaleźć właściwe słowo, nie umiała.

– Tak – zgodziłem się. – Widziałem to dzisiaj.

Opowiedziałem jej o przesłuchaniu, ale podobnie jak Rudy nie wydawała się poruszona.

– Czego się dowiedzieliście? – spytała.

– Niewiele, choć Church nadal nad nim pracuje. Kryptonim patogenu to *Seifal Din*.

W tłumaczeniu „Miecz Wiernych”, ale ma też drugie znaczenie, i to być może najważniejsza informacja, jaką uzyskaliśmy od Aldina. Potwierdził, że El Mudżahid czasem przybiera imię *Seifal Din*. Coś jak Carlos będący Szakalem.

Pokiwała głową.

– El Mudżahid to bystry sukinsyn. Wśród antyterrorystów jest wielu gości, którzy chcieliby go wieszać bardzo powoli na wysokim drzewie.

– Kupię sznur. Ale nie jestem pewien, czy powinniśmy od razu uznać El Mudżahida za naszego geniusza zbrodni, Grace. Przeczytałem jego profil dostarczony przez Bezpieczeństwo Krajowe, kiedy byłem w oddziale specjalnym, i nic nie świadczy o tym, że ma odpowiednie wykształcenie. Może zna się na materiałach wybuchowych, ale nie na medycynie. Jest raczej generałem niż gościem z laboratorium.

– I dlatego zatrudnił takich gości. Bin Laden nie jest pilotem, ale jego ludzie i tak wlecieli samolotami w wieże.

– Aha – mruknąłem niezobowiązująco. – Lepiej wejść do środka, zanim Jerry się wścieknie. Wzięła mnie za rękę i uściśniła krótko, mocno. Zaczęła się odwracać, ale po chwili zatrzymała się, a na jej twarzy malowała się niepewność.

– Joe...? Mamy przetwórnię, armię sztywnych, którą tworzyli, komputery. Czy Aldin

wspomniał coś o innych lokalizacjach? Przegapiliśmy jakieś komórki?

– Nie. Powiedział, że podsłuchał strażników wspominających o możliwych lokalizacjach kolejnego obiektu, ale wydawało mu się, że nie podjęli jeszcze decyzji. Ta przetwórnia to ich główna siedziba. Fabryka, można by powiedzieć, i spora część rzeczy, które tu przechowywali, miała zostać wykorzystana przez przyszłe komórki. Powiedział, że przetwórnia mięsa w Delaware była względnie nowa. Małutkie laboratorium, żadnych komputerów, jedynie garstka sztywnych. Nie wiedział nawet o uwięzionych dzieciach i planowanych eksperymentach na nich.

– Myślisz, że kłamał?

Pokręciłem głową.

– Nie było cię tam. Kiedy zaczął mówić, nie przestawał. Hu zdobył dość informacji, by zacząć pracę nad protokołem badawczym.

– A co ci podpowiada intuicja? Powstrzymaliśmy bezpośrednie zagrożenie? Mamy czas odbudować oddziały? A może zegar wciąż tyka?

– Ja... nie wiem, Grace – powiedziałem jej szczerze.

Pokiwała ponuro głową i odeszła, a ja ruszyłem na poszukiwanie Jerry'ego Spencera.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 07:07

Jerry Spencer był wkurzony.

– Cześć – powiedziałem. – Dzięki, że przy...

– Chyba ci mówiłem, żebyś dał sobie spokój z tym cholerstwem, Joe.

– Nie, powiedziałaś mi, że nigdy nie słyszałeś o WDN i że ja też nigdy o nim nie słyszałem.

– Jedno i to samo. Bystrzejszy glina by się wycofał, a mnie się wcale nie podoba, że zostałem w to wciągnięty. Powiedziałem to jasno Churchowi i temu angielskiemu babsztylowi, wydawało się, że wobec ciebie też wyraziłem się jasno.

– Ten babsztyl nazywa się major Courtland – warknąłem. – I bardzo mi, kurwa, przykro, że nie chciałeś się mieszać. Posłuchaj, wiem, że zostało ci już niewiele czasu i zaplanowałeś sobie całą emeryturę, ale tu chodzi o bezpieczeństwo narodowe. To kryzys porównywalny z jedenastym września, a nawet gorszy. Dlatego przestań jęczeć, zaciśnij zęby i pomóż nam zapakować do pierdła tych skurwieli.

Spróbował innego podejścia.

– Dlaczego mnie w to wciągnąłeś? FBI ma lepszych techników kryminalistyki ode mnie.

– Bzdura. Może i trudno cię czasem znieść, Jerry, ale jesteś jednym z najlepszych. Nie mam czasu na inną ekipę. Ty jesteś mistrzem i jesteś pod ręką. Mam cię błagać? O to chodzi?

Piorunowaliśmy się wzrokiem, ale w pewnej chwili zobaczyłem, że jego spojrzenie się zmienia. Któreś z moich stwierdzeń trafiło w cel. Cofnął się i machnął ręką.

– Ech... cholera!

– Co to znaczy? Wchodzisz?

Znajdowaliśmy się w sali prysznicowej przetwórci krabów, Jerry wpatrzył się w podłogę i w zamyśleniu masował się po piersi w miejscu, gdzie trafiły kule.

– Trzydzieści lat, Joe. Trzydzieści lat w tej robocie i nawet nie zostałem draśnięty. Nawet nie wbiłem sobie drzazgi, a później ten dupek prawie mnie skasował. Gdyby nie kevlar, byłbym martwy.

– Tak, wiem. Z drugiej strony miałeś kevlar. Wszechświat się do ciebie uśmiechnął.

– Chryste, czytałeś ostatnio *Sekret* czy inne śmieci? – Zrobił ponurą minę i znów głęboko westchnął, krzywiąc się przy tym. Po chwili uśmiechnął się krzywo. – Wiesz, że jesteś nie do zniesienia? Mam nadzieję, że przynajmniej załatwiłeś mi tę motorówkę.

– Yyy... nie – przyznałem – tak jakby ją... wysadziliśmy.

– Cholera. – Odwrócił się i rozejrzał po zrujnowanej sali prysznicowej. – Dobra, niech to diabli, ruszajmy z tym cyrkiem.

Wyciągnąłem rękę, a on ją uścisnął.

– Dzięki, Jer. Jestem twoim dłużnikiem.

– Jesteś mi winien cholerną łódkę.

– Zobaczą, co da się zrobić – odparłem, zastanawiając się, czy Church ma znajomych

również i w tej branży.

Jerry'emu miał pomóc technik kryminalistyki z FBI, a ja z rozbawieniem stwierdziłem, że jest nim agent Simchek – mój stary znajomy Wiadroglowy, który zaczepił mnie na plaży i wciągnął w ten cały burdel. Nie odpowiedział na moje skinienie głową, a Jerry'emu posłał mało sympatyczne spojrzenie. FBI nigdy nie lubiło grać drugich skrzypiec przy zwyczajnych glińiarzach. Simchek miał przy sobie pełen zestaw do zbierania dowodów i emanował dezaprobatą.

Nie próbowałem łechtać ego Jerry'ego, kiedy powiedziałem, że jest najlepszy. Współpracowałem z nim w oddziale specjalnym i w paru innych sprawach, w których istniały związki między Waszyngtonem a Baltimore. Umieję sobie poradzić na miejscu zbrodni, ale Jerry jest lepszy ode mnie i od wszystkich, o których słyszałem. Jeśli istnieje jakiś sposób, by przekonać go do zatrudnienia się w WDN jako szef działu dochodzeniowego, musiałem się bardzo postarać. Church powiedział, że dostanę, co tylko zechcę.

Jerry spojrzał na rzędy szafek, za którymi ukrywał się Kapi.

– Tu się odbyła walka.

Kucnął ostrożnie, uważając na mostek, wpatrzył się w podłogę i poświecił latarką pod różnymi kątami, by ocenić cienie rzucone przez kurz i gruz. Poprosił Simcheka o znaczniki i dostał całą stertę niedużych plastikowych daszków. Postawił cztery ponumerowane pomarańczowe znaczniki na podłodze i zaczął wstawiać, jednak zatrzymał się, znów kucnął, zmrużył oczy i mruknął:

– Interesujące.

Popatrzyliśmy po sobie z Simchekiem. Jerry zmarszczył czoło, po czym dodał piąty znacznik, dokładnie między pierwszym a drugim rzędem szafek. Wtedy właśnie to zauważyłem, ale nie mogę udawać, że w ogóle bym to zobaczył, gdyby Jerry nie zwrócił mi uwagi. Simchek, co trzeba mu przyznać, był pół kroku za mną.

– Czy to drzwi? – spytał.

– Aha – odparł Jerry, wstając. – Jak rozumiem, jeden z twoich chłopaków zaginął w tym właśnie miejscu. Nie ma innego wejścia do tego pomieszczenia poza korytarzem i drzwiami, które zostały wysadzone. Ślady na kurzu wyraźnie wskazują, że wykorzystywał pierwszy rząd szafek jako osłonę. Doszedłem do wniosku, że o ile nie jest cholernym tępakiem, musi istnieć jakieś inne wejście, bo inaczej nie mogliby się podkraść do uzbrojonego wartownika. Największy sens miały kolejne drzwi, więc zacząłem ich szukać i *voilà!* Ale zanim je otworzymy, niech sprawdzą je saperzy. Mogę się jednak założyć o dziesiątaka, że otwierają się bezgłośnie.

Przekazałem informację i ruszyliśmy dalej, ale zatrzymaliśmy się niemal od razu, kiedy Jerry i Simchek po raz pierwszy zobaczyli to, co wypełniało korytarz. W powietrzu było gęsto od much. Ciały leżały samotnie lub w grupkach jakby w groteskowym tańcu, opierały się o ściany lub leżały w kawałkach. Za kilkoma pierwszymi trupami wznosił się cały łańcuch górski zabitych. Bzyczenie much wydawało się bardzo głośnie.

– A niech to... – Głos Simcheka się załamał, mężczyzna zamknął oczy.

Jerry oklapł i prawie oparł się o ścianę. Po kilku chwilach wyjął z kieszeni buteleczkę Vicks VapoRub, nałożył trochę na górną wargę i bez słowa mi ją podał. Wziąłem trochę i przekazałem ją Simchekowi. Mimo mentolowej mazi, która ograniczała smród, całe to miejsce i tak było trudne do zniesienia.

Musieliśmy dosłownie przeczołgać się po trupach, żeby dotrzeć do końca korytarza. Wiedziałem, że to doświadczenie zapamiętam na zawsze.

Kiedy dotarliśmy do odnogi korytarza, w której wybuchła bomba, zobaczyłem, że spora część dowodów – ubrania i inne rzeczy osobiste – zniknęła rozbita w pył razem z kilkoma

członkami oddziału Alfa. W niektórych miejscach pozostały tylko kawałki tkaniny i czerwone plamy. Jerry stał tam przez długi czas i wpatrywał się w pozostałe ubrania, pogwizdując bezgłośnie.

Simchek nachylił się do mnie i szepnął:

– Zabrakło mu pomysłów?

– Nie ucz włoskiej matki, jak robić sos do spaghetti – powiedział Jerry, nie odwracając się do mnie.

Simchek zmarszczył czoło.

– Co?

– Chciał powiedzieć, żebyś się do cholery zamknął – przetłumaczyłem i Simchek umilkł.

Jerry znów zaczął spacerować po miejscu zbrodni, ale nie powiedział ani słowa. Humor wyraźnie mu się popsuł, być może w końcu dotarł do niego ogrom sprawy.

– To trochę zajmie, Joe... – powiedział w końcu. – Pozwól mi popracować samemu, dobrze?

– Pewnie, Jer – odparłem i zostawiłem go.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 11:54

Siedziałem przy składanym stoliku naprzeciwko Olliego Browna i przez całe dwie minuty patrzyłem na niego i nie odzywałem się. On przez cały czas patrzył mi w oczy. Czekałem, aż zacznie się pocić, kręcić, odwróci wzrok.

Nie zrobił tego.

Siedzieliśmy w małym pomieszczeniu na tyłach wozu kempingowego należącego do WDN. Twarz Olliego była poszarzała z wyczerpania, a pod oczami miał ciemne plamy.

– Traktujesz mnie „spojrzeniem”, kapitanie – powiedział w końcu.

– Jakim spojrzeniem?

– Tym, które mówi, że masz ze mną problem.

– Tak to odbierasz?

– Chcesz, żebym przyznał, że dałem dupy? W porządku. Dałem dupy. Powiedziałem to. Czekałem. Westchnął.

– Pozwoliłem, żeby zaszedli mnie od tyłu. Jeśli spodziewasz się, że będę się usprawiedliwiał albo próbował się wykręcić, zapomnij. Jeśli chcesz mnie wykopać z oddziału, nie żałuj sobie.

– Myślisz, że o to w tym wszystkim chodzi?

– A nie? Wezwałeś mnie tutaj, kazałeś czekać godzinę, zanim przyszedłeś, a później siedzisz i traktujesz tym spojrzeniem. O co jeszcze może chodzić? Albo... zamierzasz zmyć mi głowę za to, co wydarzyło się w czasie walki?

Nic nie odpowiedziałem, a on się skrzywił.

– Cholera. Posłuchaj... sir... ta cała sprawa z zombiakami może cię nie ruszać, ale mnie przeraża jak jasna cholera. Przegrywaliśmy, a ja zacząłem myśleć o tym, co się wydarzy. Myślałem, że zaraz zostanę ugryziony. Po tym, jak wczoraj zobaczyłem te dzieciaki, nie mogę o tym zapomnieć. No i tak, zacząłem się trząść. Ręce nadal mi się trzęsą. Zobaczyłem jednego z tych sztywnych i strzeliłem. Ty ruszyłeś się w chwili, kiedy strzelałem, pocisk przeleciał tuż obok. Zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, a ja wychodziłem z siebie z przerażenia. Przyznałem się. Zadowolony? Nie, pomyślałem. Nie takiego obrotu rozmowy się spodziewałem.

– Opowiedz mi raz jeszcze, jak cię złapali.

– Dwa razy ci opowiadałem. Doktorowi Sanchezowi opowiedziałem cztery razy, a sierżantowi Dietrichowi pięć. Historyjka się nie zmieni, bo jest zbyt krótka, żeby się zmienić. Poczulem pieczenie na karku, a kiedy się obudziłem, siedziałem przywiązany do krzesła, a jakiś beżowy mnie tłukł. A później pojawiłeś się ze Starszym i Królikiem, resztę już wiesz.

Zaczekałem jeszcze chwilę, ale Ollie nie wyglądał, jakby miał zacząć się pocić. Jeśli udawał, to był świetnym aktorem.

– Sala dwanaście – powiedziałem.

Kiepski aktor poderwałby się na równe nogi, przewrócił krzesło i zaczął drzeć się

wniebogłosy. Ollie przechylił głowę i popatrzył na mnie, jakbym poprosił go o wyjaśnienie jego roli w splądrowaniu Rzymu.

– Aha – powiedział cicho, z półuśmiechem. – O to chodzi.

– O to chodzi.

Odchylił się do tyłu i założył ręce na piersi.

– Nie – powiedział i to było jego ostatnie słowo.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 12:44

Kapi wydawał się zdenerwowany po tym, co wydarzyło się w przetwórni. Niezłe oberwał spadającymi odłamkami, kiedy ludzie Dietricha wpadli do środka, na twarzy miał sińce i plastry. Kiedy czekał, aż się odezwę, cały czas nerwowo bawił się dłońmi na blacie stolika.

– To było niezłe cholerstwo, co nie? – spytał i zaśmiał się nerwowo.

– Niezapomniane – zgodziłem się i znów potraktowałem go długim milczeniem.

Jego reakcja była całkowitym przeciwieństwem reakcji Olliego – Kapi był młodszy i bardziej zdenerwowany. Jego dłonie i oczy nie zatrzymywały się nawet na chwilę. Był tak roztrzęsiony, że z trudem mogłem go odczytać. Jak na razie wydawał się najmniej „wojowniczy” z całego oddziału, choć musiałem przyznać, że w obu walkach przeciwko sztywnym był szybki i skuteczny. Grace powiedziała, że kiedy oddział Alfa go odnalazł, był na wpół oszalały, i może to właśnie obserwowałem – następstwa samotnej walki przeciwko tym potworom. Przypomniałem sobie własne reakcje po walce z Javadem. Odleciałem, zwymiotowałem i dostałem trzęsionki.

Z drugiej strony – podobnie jak Ollie – powiedział nam, że został zaskoczony w przetwórni. Wpatrywałem się w jego twarz. Nie wiedziałem, czy kret był w ogóle w moim oddziale, nie wspominając już o tym, czy był nim Ollie Brown lub Kapi Tyler. Ale z tych dwóch możliwości najtrudniej mi było uwierzyć, że to Kapi. Może taką rolę odgrywał, a może był rzeczywiście tak niewinny, jak się wydawał. Wyczerpanie sprawiało, że nie wierzyłem we własną zdolność oceny sytuacji.

– Nasz ekspert kryminalistyki zorientował się, jak cię złapali – powiedziałem po chwili.

Natychmiast nadstawił uszu, jak pies myśliwski.

– Jak do tego doszło? Ukryte drzwi?

– Ukryte drzwi – zgodziłem się.

– Sukinsyny.

Pokiwałem głową. Kapi przez dłuższą chwilę wpatrywał się w blat stołu, a kiedy podniósł głowę, oczy miał wilgotne.

– Przepraszam, sir.

Czekałem.

– Powinienem był sprawdzić.

– Masz szczęście, że nie zostałeś zabity.

Odwrócił wzrok i odetchnął.

– Sir... po tym, co widziałem tam wczoraj i dzisiaj, po tym, co zrobiłem...

– Co zrobiłeś?

– Ja... strzelałem do kobiet. I dzieci. Staruszek. Ludzi. Zabiłem mnóstwo ludzi – dodał szeptem. Jego wargi zadrżały, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

Odchyliłem się do tyłu na krześle i obserwowałem go. Jego żal był wszędzie. Wypełniał pomieszczenie.

Zastanawiałem się, co o tym wszystkim sądzi Rudy. WDN miało kamery, których nikt nie mógł zauważyć, a Rudy siedział w sąsiednim pomieszczeniu i wszystko obserwował.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 13:18

Kiedy zwolniłem Kapięgo, zadzwonił mój telefon. Grace.

– Joe! – powiedziała z naciskiem. – Chodzi o Aldina... pośpiesz się.

Wyskoczyłem z pomieszczenia i pobiegłem przez parking do furgonetki przesłuchań. Aldin leżał na podłodze, zajmował się nim doktor Hu z dwiema pielęgniarkami. Drobnym więźniem targały dreszcze. Wszyscy mieli na sobie maseczki chirurgiczne i lateksowe rękawiczki. Chwyciłem parę ze stołu i naciągnąłem je na dłonie.

– Tracimy go – syknął z rozpaczą Hu.

– Co się dzieje? – spytałem, klękając obok Grace, która trzymała Aldina za nogi.

– To choroba, którą został zarażony. Uaktywniła się... on umiera.

Posłałem spojrzenie Churchowi.

– Chyba pan mówił, że podał mu pan antidotum.

– Zrobiliśmy to – stwierdził Church. – Nie działa.

– Sądzę, że to inna choroba – powiedział Hu, nie przerywając pracy. – Ta jest o wiele bardziej agresywna. Może inny szczep, nie wiem.

Położyłem dłonie na piersi Aldina, by powstrzymać jego drgawki, ale byłem wkurzony.

– Daj spokój, doktoru... dwa różne wirusy? Bzdura.

Jakby chcąc zaprzeczyć moim słowom, Aldin dostał silniejszych drgawek, wydawało się, że wszystkie mięśnie jego ciała kurczą się jednocześnie. Atak był tak nagły i gwałtowny, że prawie nas z niego zrzucił.

– Moje... moje... – Aldin próbował odezwać się przez zaciśnięte zęby.

– Opróżnij mu usta – warknąłem.

Hu zawahał się, spojrzał na Churcha, który pokiwał głową.

– Kapitan wydał polecenie, doktorze.

Hu z wielką niechęcią wyciągnął respirator. Aldin zakaszłał i zakrztusił się.

– Moje... dzieci? – wydyszał. – Czy są... bezpieczne?

– Tak – powiedziałem, choć nie miałem pojęcia, czy to prawda. – Dotarliśmy do nich na czas. Są bezpieczne.

Zamknął oczy, a gwałtowność drgawek jakby się zmniejszyła, gdy na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Dziękuję. Dzięki... Allahowi.

Położyłem dłoń na jego ramieniu i lekko je ścisnąłem. Znow położył się na podłodze, drgawki na chwilę ustąpiły.

– Powiedz nam, jak mamy ci pomóc.

Aldin pokręcił głową.

– Nie wiem. Pigułki zawsze... działały.

Hu popatrzył na mnie.

– Nie mamy twoich pigulek. Używamy tego, co znaleźliśmy w dwóch pozostałych miejscach.

Aldin dostał kolejnego ataku, a kiedy ten minął, mężczyzna był znacznie słabszy, bardziej martwy niż żywy. Próbował coś powiedzieć, ale jego głos był słabym szeptem. Nachyliłem się, by go usłyszeć.

– Ocalcie... ich.

– Twoje dzieci są bezpieczne – zapewniłem go, ale on pokręcił głową.

– Nie. Ocalcie ich. Ocalcie... ich wszystkich. Wciąż jest czas. Ocalcie ich!

– Kogo? Kogo chcesz, żebyśmy ocalili?

– L-L...

Nie mógł wypowiedzieć słowa. Z nosa sączyła mu się krew. Zamknął oczy, a wtedy z jego lewego oka popłynęła krwawa łza. Kiedy znów otworzył oko, jedna ze źrenic była ogromna, co świadczyło o krwotoku wewnątrz czaszki. Walczył ze wszystkich sił, a ja poczułem, że podziwiam go za gwałtowność tej walki... i, prawdę mówiąc, za to, do czego był gotów, by ochronić swoje dzieci... ale tej walki nie mógł wygrać. On też to wiedział. Wszyscy to wiedzieliśmy. Spróbował powoli wypowiedzieć słowo.

– L-Lester...

– Lester? – powtórzyłem. Pokiwał głową. – Jaki Lester?

Aldin spróbował odpowiedzieć, nie udało mu się, pokręcił głową. Odwrócił się i splunął krwią na ziemię.

– Aldinie... kim jest ten Lester? Podaj nazwisko. Kim on jest? Co robi? Powiedz mi coś.

– Znajdźcie... L-Lester... – szepnął, walcząc z kolejną falą drgawek.

Krew wzbierała mu pod skórą, wypływała przez pory. Zupełnie, jakby całe jego ciało się rozpadało. Ostatkiem woli wypowiedział ostatnie słowo, a ja nachyliłem się, żeby je usłyszeć. Jego głos był bardzo słaby.

– B-Bell... Bellmaker...

I odszedł. Opadł na ziemię i znieruchomiał.

Grace wypuściła powietrze, które wstrzymywała, i odsunęła kosmyk wilgotnych włosów z oczu.

Popatrzyła na Aldina, a później na mnie.

– Lester Bellmaker – powiedziała. – Słyszałeś o nim?

Zamknąłem oczy Aldina.

– Nie – odparłem zmęczonym głosem. – Z niczym mi się nie kojarzy.

– Nic ci nie dzwoni? – rzucił Hu swobodnym tonem, a ja gwałtownie się do niego odwróciłem.

– Jesteś o krok od życia pod respiratorem, dupku.

Hu cofnął się.

– Rany, przepraszam. Próbowiałem zażartować. To w końcu nie był jeden z dobrych gości.

– Zamknij się – powiedział Church, nie podnosząc głosu.

Hu wzdrygnął się, jakby Church go spoliczkował, wstał, przeszedł na drugi koniec furgonetki i padł na krzesło.

Również wstałem i spojrzałem z góry na Aldina.

– Okłamałem go, Church? A może rzeczywiście ocaliliśmy jego dzieci?

Church podniósł się, zdjął maseczkę i rękawiczki.

– Spóźniliśmy się o jakieś trzy dni. Cała wioska już została zrównana z powierzchnią ziemi. Ktoś wypuścił sztywnych. Wszystkie ciała czekały na odnalezienie przez nas. Była też kolejna taśma. El Mudżahid. Mam nagranie na laptopie.

Uderzyłem pięścią w pobliską szafkę tak mocno, że aż zostało wgniecenie.

– Nawet nie wiecie, jak bardzo chcę znaleźć tego faceta. Może pan zatrzymać moją wypłatę, Church, niech mi pan tylko obieca, że kiedy znajdziemy El Mudżahida, zostaną

z nim zamknięty w jednym pomieszczeniu. Tylko on i ja.

– Będziesz się musiał ustawić w kolejce – warknęła Grace.

– Wszystko po kolei – stwierdził Church. – Musimy zidentyfikować tego Lestera Bellmakera. Jeśli ma powiązania z El Mudżahidem, musimy to wykorzystać.

– Przepuszczę go przez MindReadera – zaproponowała Grace. – Jeśli jego nazwisko znajduje się w jakiegokolwiek bazie danych, znajdziemy go.

Wybiegła.

Razem z Churchem staliśmy i patrzyliśmy na Aldina.

– Coś jeszcze z niego wyciągnęliście? – spytałem.

– Trochę. Wygląda na to, że przetwórnia krabów była sercem całej operacji. Ludzie byli porywani, zarażani i badani. Aldin mówił, że nie było żadnego planu, by wypuścić ich w najbliższym czasie. Kiedy badany obiekt w całości przeszedł na drugą stronę... to jego określenie... był po prostu magazynowany. Powiedział mi, że jego ekipa badała prędkość zakażenia w zależności od czynników takich jak wiek, rasa, masa ciała, pochodzenie itd. Dzieci w Delaware były nową fazą eksperymentów, ale nie znał zbyt wielu szczegółów. Sierżant Dietrich powiedział mi, że wybuch nie zniszczył wszystkich komputerów, które znaleźliście, co oznacza, że powinniśmy uzyskać przynajmniej część wyników ich czternastomiesięcznych badań. Doktor Hu – tu posłał krótkie, ostre spojrzenie swojemu ulubionemu szalonemu naukowcowi – uważa, że to może skrócić jego poszukiwania lekarstwa.

– Lekarstwa? Podobno chorób prionowych nie da się wyleczyć.

– Doktorze? – Church wezwał go gestem. – Jeśli mogę prosić.

Hu podszedł do mnie tak, jak kulejące karibu mogłoby podejść do geparda.

– Jasne, nie da się wyleczyć choroby prionowej. Kluczem jest powstrzymanie pasożyta, który wywołuje agresję i przyspiesza zakażenie. Może uda nam się to rozgryźć dzięki paru informacjom, jakich udzielił nam Aldin. Powstrzymanie pasożyta oznacza spowolnienie infekcji z minut do miesięcy. Jeśli uda nam się przyspieszyć badania, być może stworzymy szczepionkę przeciwko pasożytowi. Oczywiście nie uratuje nikogo zakażonego chorobą prionową, ale da nam czas na odizolowanie nosicieli, a oni najpewniej nie staną się agresywni i nie zaczną gryźć innych. Będą po prostu chorzy.

– Mówisz, że moglibyście zaszczepić „wszystkich”? Amerykanów jest ponad trzysta milionów, do tego podróżujący, turyści, nielegalni imigranci... jak moglibyście wyprodukować i rozprowadzić dosyć antidotum?

– Cóż – powiedział niezręcznie – nie moglibyśmy. Musielibyśmy zatrudnić do pomocy wielkie koncerny farmaceutyczne. Może wiele z nich, a to by kosztowało. Mówimy tu o miliardach dolarów na badania i jeszcze większej kwocie na dystrybucję. Aby zaszczepić wszystkich, którzy mieszkają w Stanach albo zamierzają je odwiedzić... mówimy o bilionach.

– Co może być tak naprawdę celem tego wszystkiego – stwierdził Church. – Kryzys tych rozmiarów mógłby bez trudu przenieść ciężar wydatków Stanów Zjednoczonych z wojny na ochronę zdrowia. Gdybyśmy musieli przeznaczyć takie środki na walkę z chorobami, nie moglibyśmy prowadzić dalej działań wojennych za oceanem. Dżihadyci wiedzą, że nie mają tak wielkich sił, by przeciwstawić się Amerykanom w walce, wygląda więc, że wybrali inne pole bitwy, w którym nasza większa liczebność przemawia przeciwko nam.

Zagwizdałem. Plan był przerażający, ale cholernie sprytny.

– I nie możemy podjąć decyzji, by tego nie robić – dodał Hu. – Musimy, bo wiemy, że nadal mają chorobę.

Pokiwałem głową.

– A sam fakt, że o tym wiemy, nie oznacza jeszcze, że nie spróbują wypuścić wirusa.

– Chyba powinniśmy zacząć się zastanawiać, do których firm farmaceutycznych powinniśmy się zwrócić-stwierdził Hu. – To znaczy... kiedy już pan porozmawia z prezydentem.

– Panie Church – powiedziałem – naprawdę mam cholernie wielką nadzieję, że ma pan znajomych również w tej branży.

Prawie się uśmiechnął.

– Jednego albo dwóch.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

Crisfield, Maryland, środa, 1 Upca, 17:37

Po wyjściu z furgonetki przesłuchań poszedłem do centrum łączności i poprosiłem o szyfrowane połączenie ze Starszym Simsem, który zabrał oddział Echo z powrotem do magazynu. Zdał mi szybki raport i przez kilka minut omawialiśmy strategię. Później spędziłem kilka godzin z Jerrym Spencerem, któremu ze szczegółami opisałem działania oddziału Echo.

Kiedy to załatwiłem, zarekwirowałem należącego do WDN forda crown victoria, mruknięciem wygoniłem kierowcę, a sam położyłem się na tylnym siedzeniu i spróbowałem się przespać. Czułem się bardziej niż wyczerpany – miałem wrażenie, jakbym został rozcięty, rozłożony i pobity młotkami. To z pewnością nie mogło się przysłużyć śledztwu.

Czekając, aż zmorzy mnie sen, próbowałem uporządkować wszystko, co się wydarzyło, i porównać z tym, co wiedzieliśmy. Kiedy skończyła się walka, kierownictwo przejął gliniarz we mnie. W głowie rozłożyłem dowody i czekałem, aż przemówią do mnie tak, jak scena zbrodni przemawia do Jerry'ego.

Zasnąłem, ale glina pełnił straż.

* * *

Obudziłem się dopiero po północy, choć dźwięki na zewnątrz brzmiały dokładnie tak samo – krzyki, szum przenośnych prądnic, łoskot wirników śmigłowców, gwar niezrozumiałych rozmów.

Leżąc, uświadomiłem sobie, że wiem, co się działo. Z przetwórnią, ze sztywnymi... może ze wszystkim.

Czasami tak się właśnie dzieje – człowiek kładzie się spać z rozrzuconymi kawałkami układanki, a w otchłani snu kawałki wskakują na właściwie miejsce. W chwili przebudzenia widzi się czasem wszystko z zaskakującą jasnością.

Otworzyłem oczy i wpatrzyłem się w ciemną podsufitkę.

– O rany... – powiedziałem.

Pięć sekund później wybiegłem na poszukiwania Jerry'ego Spencera.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

Sebastian Gault, Hotel Ishtar, Bagdad, czwartek, 2 lipca

– Linia?

– Czysta jak łza, kochanie.

– Sebastianie... – Sposób, w jaki Amira to powiedziała, sprawił, że Gault poczuł przyjemne ciepło.

– Tak za tobą tęskniłam.

– Ja też. – Mówił chrapliwym i niemal załamującym się głosem. Zasłonił słuchawkę, odchrząknął.

– Pragnę cię – szepnął.

– Potrzebuję cię – odpowiedziała, a Gault poczuł pot zbijający mu się na czole.

Otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju hotelowym. Wydawał się tak bezbarwny, tak pusty.

Zabawka poszedł na zakupy na bazar w towarzystwie gwiazdki rocka, która przyjechała do miasta, by zabawić żołnierzy. Gault żałował, że nie jest w Afganistanie. Z nią. Pokręcił głową i zmienił temat.

– Dużo się wydarzyło – powiedział głosem rzeczowym i energicznym.

Opowiedział jej o nalocie na przetwórnice krabów.

– Pozwoliłeś, żeby komputery dostały się w ich ręce?

W jej głosie brzmiał szok, niemal przerażenie.

– Pozwoliłem, żeby dostali część komputerów. Same stare dane, nic powyżej generacji trzeciej, choć znaczniki czasowe każą im myśleć, że jest inaczej. Uznają, że to najnowsze badania.

– Pewien jesteś?

– Tak. Będą mieli więcej, niż potrzebują, żeby zrozumieć wcześniejsze generacje patogenów. Naukowcy będą się ustawiać w kolejce po federalne granty na badania nad nimi.

– Co ty mówisz? Że już po wszystkim? Że powinniśmy odwołać operację?

– Dobry Boże, nie! Twój kochający małżonek i jego mały psikus będą lukrem na torcie. Bez niego Jankesi znów mogą ugrząźć w tej fazie biurokracji, kiedy wszystko omawia się na komisjach, ale nikt nic nie robi. Nie, kochana, musimy ich przerazić... przerazić tak bardzo, żeby bali się nic nie robić. Kiedy El Mudżahid odstawi swój numer, bez wątpienia się rozkręca.

– „Numer”? – powtórzyła Amira, a Gault usłyszał zmianę w tonie jej głosu, który nagle stał się lodowaty. – Ja bym nie nazwała bohaterskiej ofiary „numerem” czy „psikusem”.

– Przepraszam – wymruczał – nie chciałem zlekceważyć jego poświęcenia. Uraziłem cię?

Bardzo uważnie wsłuchał się w jej odpowiedź i zauważył wahanie – choć krótkie – nim się odezwała.

– Och, oczywiście, że nie. – Jej głos brzmiał swobodnie. – Ale sądzę, że powinniśmy

zachować szacunek. W końcu on jest... bojownikiem o wolność. Wierzy w swoją sprawę, nawet jeśli my nie.

I znowu. Odrobina wahania, zanim powiedziała „my”. Niemal złamało mu to serce.

– Jak przebiega proces zamykania? – spytał, znów zmieniając temat.

– Idzie... dobrze. – I znowu. A niech to diabli. – Powinniśmy całkowicie się zamknąć przed końcem tygodnia.

– A personel?

– Zajmę się nimi.

Teraz, kiedy El Mudżahid był w drodze do wypełnienia swojej „bohaterskiej ofiary”, od początku planowali zgromadzenie mniej ważnego personelu i wyeliminowanie go. Największe pomieszczenie socjalne było tak zaprojektowane, by można je było zamknąć i wpuścić gaz. Jedynie pewni kluczowi pracownicy mieli zostać ocaleni, jednostki te miały stać się załącznikiem nowej ekipy, która miała rozpocząć zupełnie nowe badania. Wszystkie dane na temat patogenu *Seifal Din*, efekty całych lat pracy laboratoryjnej, których wymagało jego stworzenie, miały zostać zgrane na zaszyfrowane dyski i umieszczone w najlepiej strzeżonym obiekcie Gaulta. Wszystko inne miało zostać wykasowane lub zniszczone, wszystkie pamięci komputerowe miały zostać wymazane. Takie było obecne zadanie Amiry, obiecała, że to zrobi, ale coś w jej głosie niepokoiło Gaulta.

– Cieszę się, że się wszystkim zajmujesz, kochana. Chciałabyś, żebym przyjechał i pomógł ci z ostatnimi drobiazgami?

– Nie – odpowiedziała szybko. – Panuję nad wszystkim, a ty masz ważniejsze rzeczy do roboty.

– Pewnie masz rację. – Zawahał się i dodał cicho: – Kocham cię, Amiro.

Znów zapadła cisza, po czym kobieta szepnęła:

– Ja też cię kocham.

Kiedy się rozłączyła, Gault przez długi czas wyglądał przez okno na plac poniżej. Erotyczne uniesienie, które poczuł, kiedy usłyszał jej głos, zniknęło całkowicie. Nie, mylił się... pozostała ta odrobina, która sprawiała, że bolało go serce.

– Amira... – wyszeptał w noc.

Smutek ciążył mu jak kamień u szyi. Gault był zbyt wprawnym oszustem, żeby dać się oszukać – Amira, choć bystra, miała o wiele mniejsze doświadczenie. Jak brzmiało to amerykańskie powiedzenie? Nigdy nie oszukuj oszusta. Milczała zbyt długo i w niewłaściwych momentach, czasami brzmiała niepewnie. Zastanawiał się, czy miała tego świadomość, ale uznał, że nie. Była zbyt przekonana o swojej erotycznej władzy nad nim, tego był pewien, podobnie jak był pewien, że go okłamywała. W kwestii laboratorium i personelu. To mogło się okazać prawdziwym problemem i wiedział, że będzie musiał sprawdzić, będzie musiał wrócić do Afganistanu, nawet jeśli w chwili obecnej oznaczało to wielkie ryzyko. I bez wątplenia okłamywała go w odniesieniu do El Mudżahida. Jej uwaga na temat „ofiary” była znacząca, a wynikające z niej implikacje złamały mu serce.

Zrobił sobie dżin z tonikiem, ale kiedy wrzucał lód do szklanki, zobaczył, że ręce mu drżą.

– Niech ją wszyscy diabli! – ryknął i rzucił szklanką przez cały pokój z taką siłą, że rozpadła się na tysiące srebrzystych odłamków, które błyszczały na dywanie.

Oparł się o wilgotny bufet.

– Niech cię diabli – powtórzył, a w oczach miał łzy.

Co powinien wywnioskować z tej rozmowy i innych wskazówek, które wyłapał przez ostatnie tygodnie? Czy Amira naprawdę darzyła uczuciem swego prymitywnego męża? Czy to w ogóle możliwe? Mimo całego seksu, bezustannych zdrad i spiskowania za plecami Wojownika, czy mogła znów zakochać się w El Mudżahidzie? Gault wziął kolejną szklankę

i nalał sobie nowego drinka, jednym haustem wypił połowę i dolał sobie jeszcze džinu, bez toniku.

I nagle przyszło mu do głowy coś, co sprawiło, że serce przestało mu bić w piersiach. Słyszał dudnienie pulsu w uszach, gdy nowa myśl rozkwitła od nasienia wątpliwości do pełnego przekonania.

Od džinu w żołądku zrobiło mu się niedobrze, kiedy zrozumiał, że wszystkie kawałki układanki jednak pasują do siebie, ale obrazu, który tworzyły, nigdy by się nie spodziewał.

A jeśli Amira nigdy nie przestała kochać El Mudżahida? Jeśli całość, od pierwszego potajemnego spotkania w Tikricie, jeśli wszystko, co robiła dla niego, z nim i jemu, było częścią starszego spisku, który nie on wymyślił? A jeśli to było coś, co Amira i El Mudżahid wymyślili we dwoje, coś, co przeprowadzili tak mistrzowsko, że uznał, że to on ich zwerbował? A jeśli naciągnęli go, żeby sfinansował ich plan, a nie odwrotnie? Zabawka kiedyś zasugerował taką możliwość, ale Gault zbył go śmiechem.

Ale teraz... a jeśli to wszystko prawda?

– Dobry Boże – powiedział, a ręce drżały mu tak bardzo, że džin wylał się ze szklanki i zachlapał koszulę.

A jeśli Amira i El Mudżahid wcale nie pomagali mu oszukać amerykańskiego rządu na miliardy dolarów na badania i produkcję? A jeśli nie chodziło wcale o pieniądze? Czy to możliwe? Zastanawiał się, ale odpowiedź była oczywista. Zabawka od początku miał rację. Prawda płonęła w jego umyśle jasno jak flara. Istniała tylko jedna kwestia potężniejsza od pieniędzy, przynajmniej w tej części świata.

A jeśli to džihad?

Gault zatoczył się do tyłu i uderzył plecami w wilgotny bufet. Nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię, wylewając sobie resztki drinka na spodnie. Nie czuł wilgoci ani zimna, jedynie coraz większe przerażenie, kiedy uświadomił sobie, że oddał najstraszliwszą broń świata przerażająco bystremu zabójcy i upewnił się – upewnił – że nic nie powstrzyma wypuszczenia patogenu *Seifal Din* na świat. Gault był teraz pewien, że El Mudżahid nie przynosił słabszego szczepu patogenu. Wojownik zabrał ze sobą najnowszy szczep Amiry, generację siódmą. Niepowstrzymaną. Tę, która zakażała zbyt szybko, by jej przeciwdziałać. Wojownik wypuści ją, a zaraza spustoszy półkulę zachodnią. Czy Amira sądziła, że oceany powstrzymają jej rozprzestrzenianie się? A może religijne szaleństwo sprawiało, że wcale jej to nie obchodziło?

Podpełzł po podłodze do stołu, chwycił komórkę, wybrał numer i odczekał cztery niekończące się sygnały. W końcu Zabawka odebrał z melodyjnym „Haaalol”.

– Wracaj tu! – szepnął chrapliwie Gault.

– Co się stało? – spytał gwałtownie Zabawka. Głos miał cichy i pełen nacisku.

– To... – zaczął mówić Gault i z jego piersi wyrwało się łkanie. – Mój Boże, Zabawka... myślę, że zabiłem nas wszystkich.

Komórka wypadła mu z dłoni, a w jego umyśle, niczym chmura wybuchu nuklearnego, pojawił się obraz apokalipsy.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

Crisfield, Maryland, czwartek, 2 lipca, 15:13

Pół dnia spędziłem z Jerry'ym. Kiedy już wyjaśniłem mu swoje teorie, zabraliśmy się do porównywania ich z tym, co wywnioskował ze swoich oględzin. Obaj doszliśmy do tych samych wniosków. Powiedziałem Jerry'emu, żeby zebrał techników kryminalistyki, którzy przybyli, kiedy spałem, i ruszyłem na poszukiwanie Churcha.

Na zewnątrz wpadłem na Rudy'ego. Poszedł ze mną do furgonetki komputerowej, w której Church i Grace za pomocą MindReadera szukali Lestera Bellmakera.

– Jerry Spencer jest gotów przedstawić wstępny raport z oględzin miejsca zbrodni – powiedziałem. – Sądzę, że powinniśmy załatwić to jak najszybciej.

– Macie coś? – spytała Grace, patrząc mi w oczy.

– Może, ale wolałbym, żebyście oboje wysłuchali raportu, a później możemy się pobawić w zgadywanki.

Church zadzwonił, żeby przygotowali nam miejsce na spotkanie.

Grace wyjaśniła, że MindReader znalazł dwóch Lesterów Bellmakerów w Ameryce Północnej i sześciu w Wielkiej Brytanii, ale u żadnego z nich nic nie wykazywało najmniejszego powiązania z terrorystami, chorobami ani Baltimore. Najbliższy był Richard Lester Bellmaker, który w latach 1984-1987 służył w lotnictwie, a następnie przeszedł do rezerwy. I tyle. Facet kierował pizzerią sieci Chuck E. Cheese pod Akron w stanie Ohio i niezależnie od tego, jak głęboko Grace sięgnęła, nie rozlegały się żadne dzwonki alarmowe.

– Zmierzamy donikąd – powiedziała.

– I do tego powoli – zgodził się Church.

– Czy Aldin mógł nas okłamać? – spytała Grace, posyłając spojrzenie Rudy'emu. – Oglądałeś nagrania z przesłuchań, miałeś też dostęp do danych z telemetrii. Jak go oceniasz?

Rudy wzruszył ramionami.

– Z tego, co widziałem, desperacko chciał powiedzieć prawdę. Tyle było w jego głosie. Próbował wypowiedzieć swoje ostatnie słowa i odejść z czystym sumieniem.

– Czyli mówił prawdę? – spytała Grace.

Rudy zacisnął wargi.

– Bezpieczniej byłoby stwierdzić, że mówił to, co uważał za prawdę, ale nie możemy zlekceważyć możliwości, że przekazywał kłamstwa, które rozsiewali strażnicy.

– Racja – zgodziła się Grace. – Co oznacza, że możemy marnować czas i zasoby na szukanie wiatru w polu.

– Co teraz robimy? – spytał Rudy.

– Szukajcie dalej – powiedział Church.

Rozdział osiemdziesiąty

Sebastian Gault, Hotel Ishtar, Bagdad, 2 lipca

Drzwi do pokoju Gaulta otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Zabawka z pistoletem w rękę. Kiedy omiatał pomieszczenie lufą, cała afektacja zniknęła zastąpiona gadzimi chłodem. Widząc Gaulta na podłodze, Zabawka kopniakiem zatrzaskał za sobą drzwi i podbiegł do pracodawcy.

– Coś się panu stało? – spytał szybko, szukając śladów krwi i innych uszkodzeń.

– Nie – jęknął Gault. – Nie... to...

Rozpłakał się.

Zabawka wpatrzył się w niego zmrużonymi oczyma. Zabezpieczył broń i wsunął ją do kabury pod pachą, którą ukrywał pod marynarką. Następnie wziął Gaulta pod ramiona i z zadziwiającą siłą podniósł go i zaprowadził na krzesło. Gault usiadł, ukrył twarz w dłoniach i płakał dalej.

Zabawka zamknął drzwi na klucz, sprawdził, czy elektroniczne wykrywacze pluskiew działają nadal, po czym podciągnął otomanę i usiadł przed Gaultem.

– Sebastianie – powiedział łagodnie Zabawka. – Powiedz mi, co się stało.

Gault powoli uniósł zalaną łzami twarz w jego stronę. W oczach miał bezradną panikę.

– Cokolwiek to jest, poradzimy sobie – zapewnił go Zabawka.

Niepewnie, jękając się, Gault opowiedział mu o rozmowie z Amirą i przerażających wnioskach, do których doszedł. Wyraz twarzy Zabawki zmieniał się od głębokiej troski, przez niedowierzanie, po wściekłość.

– Ato kurwa!

– Amira...

Gault znów się rozpłakał.

Zabawka bez ostrzeżenia z całych sił spoliczkował Gaulta. Mężczyzna niemal spadł z krzesła i gapił się na niego. Łzy zniknęły zastąpione przez niedowierzanie.

Zabawka nachylił się nad nim i odezwał lodowatym tonem:

– Przestań bełkotać, Sebastianie. I to, kurwa, już.

Gault był zbyt oszołomiony, żeby się odezwać.

– Choć raz spróbuj pomyśleć głową, a nie kutasem. Gdybyś tak robił, domyśliłbyś się wcześniej.

Ja się, kurwa, domyślałem, i od lat ostrzegałem cię przed tą kurwą i jej mężem. Chryste, Sebastianie, powinienem ci skopać tyłek.

Gault znów wspiął się na krzesło. Nadal nie mrugał.

Zabawka usiadł wygodniej i zaczął, aż minie pierwsza wściekłość.

– Jak pewien jesteś? Domyślasz się czy wiesz?

– Ja... nie jestem pewien – wykrztusił Gault. – Nagle wszystko zrozumiałem. W przebłysku.

– Zrozumiałeś w przebłysku – powtórzył szyderczo Zabawka. – Matko Boska, miej litość nade mną.

– Ja... jeśli oni...

– Zamknij się – powiedział Zabawka, wyciągając telefon. Wybrał numer. Rozmówca odebrał po trzecim sygnale.

– Linia?

– Czysta – odpowiedział Amerykanin.

– Dzwonię w imieniu naszego dobroczyńcy. Pojawił się problem. Proszę posłuchać mnie uważnie i podjąć stosowne działania. Księżniczka i Bokser opuścili rezerwat.

– Co takiego? Dlaczego?

Zabawka wykrzywił usta w paskudnym grymasie, kiedy powiedział:

– Sądzą, że są nadal w kościele.

Nie było to ustalone hasło, ale Zabawka był pewien, że Amerykanin pojmie jego znaczenie, i tak też się stało.

– Od początku nie ufałem tym dwojgu. Jezu Chryste.

– Cóż, tak, to chyba pocieszające dla nas wszystkich, czyż nie?

Zabawka rozłączył się i wpatrzył w Gaulta.

– Posłuchaj mnie, Sebastianie... jeśli El Mięśniak zamierza wypuścić najnowszą generację zarazy w Ameryce, musimy założyć, że Amira podjęła pewne środki ostrożności.

Gault znów skupił wzrok.

– Środki ostrożności?

– Zgadzam się, że jest wariatką, ale wątpię, by chciała zniszczyć cały świat. Nie zapominaj, że żyje na nim wielu wyznawców prawdziwej wiary.

Gault usiadł prosto.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że najpewniej ma lekarstwo na to kurewstwo. Albo przynajmniej jakąś kurację. Coś, co nie pozwoli, by zaraza wyniszczyła jej rodaków. El Mudżahid mógł już zostać zaszczepiony, ale to bez znaczenia. Musimy ruszyć dupy, dostać się do Bunkra, wydobyć informacje z twojej dziewczyny, a później upewnić się, że Gen2000 zacznie produkcję lekarstwa na wypadek, gdyby naszemu amerykańskiemu przyjacielowi nie udało się powstrzymać Wojownika.

– Bunkier... tak. – Gault pokiwał głową, twarz mu stężała, a w oczach pojawił się chłód.

– Tak, Amira z pewnością to przemyślała.

Zabawka mu przerwał.

– Zrozum mnie, Sebastianie – powiedział lodowatym tonem – pracuję dla ciebie i kocham cię jak brata, ale pozwoliłeś, żeby ta sprawa wymknęła ci się z rąk i przez to zagroziłeś mojemu bezpieczeństwu. Setki razy ostrzegałem cię przed Amirą, a ona teraz wbiła ci nóż w plecy. Jeśli ma lekarstwo, wydobędziemy je. – Jego zielone oczy błyszczały. – A później wpakujemy jej kulkę w prosto ten błyskotliwy mózg.

Gault zamknął na chwilę oczy, jakby chciał się odciąć od tego obrazu, ale kiedy znów je otworzył, Zabawka zobaczył, że zaszła w nim zmiana. Oczy, które patrzyły na niego z opuchniętej i zalanej łzami twarzy Gaulta, były bezwzględne, niemal brutalne w nienawiści.

– Tak – warknął.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

Crisfield, Maryland, czwartek, 2 lipca, 18:00

Namiet techników kryminalistyki rozstawiono w rogu parkingu. Dietrich nie żartował, rzeczywiście był to namiot cyrkowy. Jedwabne ściany i kopułę zdobiły kolorowe zwierzęta – słonie, zebry, żyrafy i małpki – a wzdłuż dolnej krawędzi wymalowano szereg rozbawionych klaunów. Wewnątrz obowiązki konferansjera pełnił Jerry Spencer.

Grupy ekspertów spędziły cały dzień na zbieraniu dowodów i wynoszeniu ich z budynku w plastikowych woreczkach. W namiocie znajdowało się kilka hermetycznych plastikowych izolatek z logo CDC, Centrum Prewencji i Zwalczenia Chorób. W jednej z nich pracowali mężczyźni i kobiety w białych kombinezonach przeciwskażeniowych, mieli wręcz linię produkcyjną, na której przeprowadzali jedną sekcję zwłok po drugiej. Przy tym końcu namiotu stał samochód-chłódnia, ciała zbadanych sztywnych pakowano w worki i umieszczano w środku w stertach jak drewno na podpałkę.

Na spotkaniu oprócz Jerry'ego, Grace, Dietricha, Rudy'ego i Hu było też kilkanaścioro ekspertów. Church jakimś cudem zdołał się przebrać w czysty garnitur. Ja wciąż miałem na sobie poplamione spodnie od munduru polowego i koszulkę, które nosiłem pod kombinezonem Hammer. Musiałem niezłe śmierdzieć.

– Zacznijmy od ciał – powiedział Jerry, gdy wszyscy usiedli.

Skinął na wysoką czarnowłosą kobietę o złocistej skórze i jasnobrązowych oczach.

Doktor Clarita McWilliams była profesorem patologii sądowej i pracowała w szpitalu Uniwersytetu Thomasa Jeffersona w Filadelfii.

– Mamy w sumie dwieście siedemdziesiąt cztery ciała, które możemy podzielić następująco: jedenastu wrogich bojowników, pięciu naukowców lub laborantów, dwóch członków personelu pomocniczego, pięciu agentów WDN i dwustu pięćdziesięciu jeden, no... „sztywnych”. – Rozejrzała się po sali ponad szklami okularów, odchrząknęła i mówiła dalej. – Z tego dziewięćdziesięciu jeden dorosłych sztywnych płci męskiej, sto dwadzieścia dwie dorosłe sztywne płci żeńskiej, dwudziestu jeden chłopców w wieku do około osiemnastu lat i siedemnaście dziewczynek w podobnym wieku. Podział etniczny wygląda następująco: stu dwudziestu czterech białych, siedemdziesięciu trzech czarnych, dwudziestu ośmiu Azjatów i dwudziestu sześciu Latynosów. Jeśli potrzebują państwo bardziej precyzyjnego podziału etnicznego, obawiam się, że to może trochę potrwać.

– Co nam to daje? – spytałem.

– Ten rozkład jest dość zbliżony do standardowego przekroju społeczeństwa – odparła McWilliams. – Może nieco zbyt wielu mężczyzn w stosunku do kobiet. Jeśli istnieje jakiś wzorzec, jeszcze go nie dostrzegliśmy.

– Co wiemy na temat pochodzenia tych ludzi? – spytałem.

Dietrich podniósł rękę.

– Pracowałem nad tym, wykorzystując znalezione portfele, komórki i tak dalej. Większość z tych ludzi pochodzi ze stanów Maryland, New Jersey i Pensylwania. Na razie nie znaleźliśmy nikogo z innych okolic.

– Zupełnie jak te dzieciaki z Delaware – zauważyłem. – Przypadkowe, ale ze Wschodniego Wybrzeża.

– Jakież dowody tożsamości na nazwisko Lester Bellmaker? – spytała Grace. – Albo podobne do Bellmaker? Może Belmacher albo coś w tym rodzaju?

Dietrich rzucił okiem na kartkę papieru na podkładce.

– Nie. Najbliższe, co mamy, to Jennifer Bellamy. Żadnych Lesterów.

– To ślepa uliczka – powiedział cicho Church. – Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że to pseudonim.

– Aldin sprawiał wrażenie, że uważa to za coś bardzo ważnego – stwierdziłem. – Wykorzystał swoje ostatnie tchnienie, żeby nam powiedzieć.

– W swoim czasie się dowiemy – powiedział Church. – Coś jeszcze, doktor McWilliams?

Pokręciła głową.

– Z punktu widzenia medycyny nie dowiedzieliśmy się niczego, co wykraczałoby poza informacje, którymi podzielił się z nami wcześniej doktor Hu. Jedna interesująca obserwacja: mniej niż połowa ofiar, które widziałam, miała widoczne ślady po ugryzieniu. Większość miała ślady wstrzyknięć, najprawdopodobniej zostali zakażeni w taki właśnie sposób.

– Jeśli chodzi o tych, którzy mieli ślady ugryzienia, udało się wam określić, czy którykolwiek z nich został ugryziony post mortem? – spytała Grace.

– Nie. Nie ma dowodów, że sztywni atakowali siebie nawzajem. To mogłoby wskazywać, że pociągają ich jedynie żywi – odparła z miną, jakby było jej niedobrze.

– Jak na filmach – powiedział Hu, ale ona go zignorowała.

Odwrociłem się do Jerry'ego.

– Co dalej?

– Frank? – powiedział.

Odwrocił się do Franka Sessa, krępego mężczyzny po sześćdziesiątce, w drucianych okularach i ogolonego na łyso. Liczne odciski na kostkach jego dłoni świadczyły, że od wielu lat ćwiczył karate. Znałem Franka od lat, zarówno ze względu na sztuki walki, jak i z analiz chemicznych, które przeprowadzał dla policji.

Sessa splótł palce i się pochylił.

– Wasi terroryści dokonali kilku dość dziwnych wyborów, jeśli chodzi o materiały wybuchowe. Wykorzystali wybuchowy nadtlenek wodoru. To bezbarwny płyn o mocnym zapachu. Zazwyczaj przechowuje się go jako dwudziestopięcioprocentowy roztwór we ftalanie dimetylu, by nie dopuścić do wybuchu, więc ktokolwiek stworzył te bomby-pułapki, musiał coś wiedzieć na temat utrzymywania niskiej temperatury przy materiałach wybuchowych. Z tym towarem trudno się pracuje, wymaga on umiejętności znacznie wykraczających poza to, czego bym się spodziewał po naśladowcach Unabombera.

Krótko opisał, jak się wytwarza tę substancję, jak należy się z nią obchodzić i jak się ją wykorzystuje. Były to cholernie niepokojące wieści.

– Jak rozumiem, ci sztywni w niskich temperaturach również przechodzą w stan spoczynku – powiedział Sessa – więc na pierwszy rzut oka można by sądzić, że cóż, tu jest i tak bardzo zimno, więc nic dziwnego, że wybrali materiał wybuchowy, który w niskich temperaturach jest względnie bezpieczny, ale ja nie jestem do końca przekonany. Istnieje mnóstwo materiałów wybuchowych, które nie są tak wrażliwe na wzrost temperatury. Nie mam pojęcia, kim są wasi wrogowie, ale odnoszę wrażenie, jakby ktoś robił to na pokaz. Zbyt wielka bomba jak na cel, do jakiego została wykorzystana, a w przynajmniej dwóch miejscach zastosowali nieodpowiednią ilość.

– Co pan ma na myśli? – spytał Dietrich.

Nie odezwałem się – sądziłem, że znam już odpowiedź. Jerry również.

– Cóż, ilość, jaką umieścili przy drzwiach pomieszczenia, w którym przechowywali zakażonych ludzi... była zbyt duża lub zbyt mała, zależnie od tego, z której strony spojrzeć. Za duża, jeśli zamierzali wysadzić drzwi albo zabić kogoś, kto próbowałby je otworzyć. Z drugiej strony, jeśli ich zamiarem było zniszczenie zawartości pomieszczenia, użyli go stanowczo za mało. Gdyby używali dynamitu, uznałbym po prostu, że jakiś idiota nie miał pojęcia, jak działają materiały wybuchowe, ale jest jeszcze kwestia sali komputerowej. Było w niej sporo materiałów wybuchowych, ale wszystkie zgromadzone na jednym końcu. Gdyby zamierzali zniszczyć wszystkie komputery, mogliby użyć znacznie mniej substancji, wystarczyło umieścić po trochu wewnątrz każdej jednostki. Mniejszy huk, ale bardziej skuteczny, jeśli chodzi o zniszczenia. – Pokręcił głową. – Nie, to połączenie dużej wiedzy technicznej, mnóstwa pieniędzy i dziwnych decyzji.

Jerry uśmiechnął się do mnie znacząco, ale ja zachowałem poważną minę.

Przez następne dwie godziny wysłuchiwalismy kolejnych ekspertów. Balistycy powiedzieli nam to, czego się spodziewalismy-terrorysty używali kałasznikowów i różnego rodzaju broni krótkiej dostępnej na czarnym rynku. Kałasznikowy zostały przerobione, by pasowały do nich magazynki M-16 i standardowa amunicja NATO kalibru 7,62mm. Nic nowego, kolekcjonerzy broni robili to od lat. Goście od odcisków palców zebrali ich mnóstwo i jak na razie w bazach danych znaleźliśmy trzech terrorystów, wszyscy mieli związki z Al-Kaidą albo El Mudżahidem. Naukowców nie udało się odnaleźć, ale to też nie było zaskoczeniem.

Jako następny odezwał się Utada, główny magik od komputerów pracujący dla Churcha.

– Jak zauważył pan Sessa, nie straciliśmy wszystkich komputerów. Właściwie mamy sporo szczęścia, bo dwa z nich są nietknięte, a z trzech innych udało nam się coś wydobyć.

– Co znaleźliście? – spytała Grace.

Na to pytanie odpowiedział Hu.

– Mnóstwo. Jeśli dane znajdą potwierdzenie w badaniach, które w tej chwili prowadzą moi ludzie, wkrótce możemy poznać większość pasożytów, które składają się na patogen, a może i wszystkie. To oszczędzi nam mnóstwo czasu przy tworzeniu protokołu.

Podziękowałem ekspertom i pozwoliłem im wrócić do pracy, ale Jerry został.

– Jeszcze się pan nie wypowiedział, detektywie Spencer – odezwał się Church. – Co pan o tym wszystkim sądzi?

Jerry uśmiechnął się i spojrzał na mnie przebiegle.

– Obecny tu kapitan Mądrała już wie, co sądzę, ale pozwólcie, że wyłuszczę to tym z was, którzy nie są gliniarzami.

Bardzo ładny przytyk pod adresem zebranych federalnych. Z trudem powstrzymałem złośliwy uśmieszek.

– Po pierwsze – powiedział, odliczając na palcach – to miejsce zbudowano jak labirynt dla szczurów. Jedynym realnym punktem wejścia były drzwi, z których skorzystał oddział Joego.

Z punktu widzenia kogoś, kto chciałby się dostać do środka, nic innego nie było nawet względnie bezpieczne. Sądzę, że ci frajerzy tak to właśnie zaplanowali. Po drugie, kiedy Joe i jego chłopcy znaleźli się w środku, mieli tylko jedną drogę. Każdy, kto siedzi w tym biznesie, wie, że musieli pozostawić kogoś do pilnowania drzwi. Strzelec mógł się ustawić tylko w jednym miejscu, by bronić tej pozycji, a tuż za jego plecami znajdowały się ukryte drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach. Otwierały się całkowicie bezgłośnie, co pozwoliło im zajść od tyłu i potraktować paralizatorem młodego jakmutam.

– Kąpiego Tylera – podpowiedziałem.

– Właśnie, Tylera. Obezwładnili go wodnym paralizatorem, odciągnęli i zamknęli, ale pozostawili jego broń w widocznym miejscu? Dlaczego nie poderżnęli mu gardła albo nie nakarmili nim sztywnych? Ma to sens tylko w jednej sytuacji. – Nie rozwinął na razie tej kwestii. – Po trzecie, wyeliminowali drugiego gościa. – Pstryknął palcami i spojrzał na mnie.

– Olliego Browna.

– Właśnie, potraktowali paralizatorem Olliego Browna i zaciągnęli go do swojego laboratorium. Wrogowie wiedzą już, że zostali zinfiltrowani. Po co więc cały ten cyrk? Dlaczego pojмали ludzi Joego, zamiast ich zabić? Pozostało jedynie trzech uzbrojonych agentów WDN, a mając uzbrojonych strażników i parę setek sztywnych, bez trudu mogliby zabić oddział albo wziąć ich w niewolę, by wykorzystać jako kartę przetargową. Nie spróbowali. Nie spróbowali nawet użyć Browna jako zakładnika, kiedy Joe wpadł do środka. Nie próbowali uciekać. Nie, to się nie trzyma kupy. Całość mogła łatwo zmienić się w masakrę albo w impas... a jednak do tego nie doszło.

– Było cholernie blisko – mruknęła Grace.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, pani major – powiedział Jerry. – Nie mówię, że troszczyli się o zdrowie waszych oddziałów. Pewnie ich plan powiodłby się równie dobrze, gdybyście wszyscy zginęli.

– To urocze – powiedziała Grace.

– Chodzi mi o to, że oni wcale nie stawiali wam oporu. Nic, co widziałem, tego nie potwierdza. Powiedz mi, że się mylę, Joe.

– Wiesz, że masz rację, Jerry – odpowiedziałem.

Pozostali zgromadzeni gapili się na nas z różnymi minami. Twarz Churcha jak zwykle była obojętna, ale Grace kiwała głową, łącząc ze sobą kawałki układanki. Rudy uniósł jedną brew, jak zawsze, kiedy głęboko się zamyślił. Dietrich wydawał się trochę zagubiony i ciągle patrzył na Churcha, jakby czekał na polecenia. Na twarzy Hu malowały się wątpliwości.

– Dlaczego mieliby to zrobić? – spytał Hu.

– Ponieważ chcieli, żebyśmy znaleźli to, co znaleźliśmy – odpowiedziałem.

Hu pokręcił głową.

– Nie... nie ma mowy. To nie ma sensu.

– Ma sens – mruknął Church. Wszyscy popatrzyliśmy na niego, ale on skinął głową na mnie. – Oddaję panu głos.

– To było jedno wielkie przedstawienie – powiedziałem. – Jerry ma absolutną rację, mogli nas zlikwidować i powinni to zrobić. Mieliśmy mały oddział i żadnych informacji na temat wnętrza budynku. Kiedy znaleźliśmy się w środku, wyłączyli chłodzenie i podkręcili ogrzewanie, żeby aktywować wszystkich sztywnych, którzy pozostawali uśpieni, zanim dotarliśmy do środka. I tak dzięki bombie-pułapce w wielkiej sali magazynowej, sztywnym wypuszczonym na korytarze i pojawieniu się strażników, którzy nagle postanowili otworzyć ogień z kałasznikowów, zostaliśmy zapędzeni do laboratorium. Zaminowali salę komputerową, ale nie dość, żeby zniszczyć całość badań, a żaden z uzbrojonych strażników na korytarzu nie próbował użyć karty, żeby wejść do laboratorium. Jerry sprawdził... mieli właściwy kod na kartach, ale ich nie użyli. Zagrali nami.

– W jakim celu? – spytał Rudy. – To znaczy, kiedy tak to przedstawięś, rozumiem wszystko, ale jaki jest w tym sens? Udało wam się zabić wszystkich sztywnych, wszyscy ich naukowcy i cały personel nie żyją, mamy ich komputery i wszystko, co uda nam się odzyskać z laboratorium. Opiszysz to w taki sposób, jakby terroryści podali nam na tacy rozwiązanie problemu zarazy.

Kiedy nie odpowiedziałem, dodał:

– Dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

Rozdział osiemdziesiąty drugi

El Mudzahid, nabrzeże 12, Brooklyn, Nowy Jork

Frachtowiec *Albert Schweitzer* przycumował do nabrzeża 12. w cieniu *Queen Elizabeth 2*. Na parkingu czekały na niego karetki, samochody do przewozu niepełnosprawnych, limuzyny i taksówki. Ranni mogący chodzić zostali sprowadzeni po trapie przez sanitariuszy i pielęgniarki, bardziej poważne przypadki wyjeżdżały na wózkach inwalidzkich lub łózkach. Sonny Bertucci wyszedł samodzielnie, choć wspierał się na lasce i wydawał się słaby. Czekają na niego dwóch przedstawicieli Global Security. Odprowadzili go do białej furgonetki z nazwą prywatnego przedsiębiorstwa transportu sanitarnego odbitą od szablonu na drzwiach. Agenci usiedli z tyłu razem z Bertuccim, a kierowca zamknął drzwi, usiadł z przodu i wyjechał z parkingu. Pół godziny później wjechali na New Jersey Turnpike, kierując się na południe.

Kiedy dojechali do parkingu Thomas Edison Rest Stop, furgonetka objechała rząd zaparkowanych ciężarówek i zatrzymała się obok czarnego forda explorera z rejestracją z Pensylwanii. Obaj kierowcy wysiedli i uścisnęli sobie ręce, po czym podeszli od tyłu do białej furgonetki. Kierowca furgonetki zapukał trzy razy, zaczekał, zapukał jeszcze raz i otworzył drzwi.

– Twój samochód...

Więcej nie zdołał powiedzieć. Kierowca explorera przycisnął tłumik dwudziestki dwójki do tyłu jego głowy i wystrzelił dwa razy. Kierowca furgonetki zaczął się osuwać na ziemię w chwili, kiedy drzwi się otworzyły. Sonny Bertucci złapał go, z pomocą kierowcy explorera wciągnął trupa do środka i ułożył go obok ciał przedstawicieli Global Security. Obaj mieli poderżnięte gardła, a potężny mężczyzna trzymał w lewej dłoni rączkę laski. Rączka kończyła się długim na piętnaście centymetrów i bardzo ostrym sztyletem, który mieścił się w trzonie laski, a miejsce połączenia maskowało ozdobne metalowe okucie.

Bertucci rzucił broń za siebie i razem z kierowcą explorera zamknął na klucz drzwi furgonetki. Kiedy skończyli, objęli się i pokleпали po plecach.

– Dobrze cię widzieć! – rozpromienił się kierowca.

El Mudzahid uśmiechnął się mimo bólu gojących się ran.

– Ahmed, dobrze widzieć przyjaciela w tym miejscu. – Przerwał i wskazał brodą na furgonetkę. – Gault wie?

– Na to wygląda – powiedział Ahmed. – Piętnaście minut temu dostałem wiadomość, że masz zostać wyeliminowany. Zakładam, że jeden z nich – dodał, wskazując głową w stronę zamkniętej furgonetki – też ją dostał.

– Tak. Przyszła, kiedy jechaliśmy. Nie słyszałem słów, ale zobaczyłem w jego oczach, że dostał rozkaz, by mnie zabić. Dziękuję, że się tym zająłeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chodźmy... wkrótce mogą się tu pojawić inni agenci Gaulta.

Kiedy obaj usiedli w explorerze i znów włączyli się do ruchu, Ahmed spytał:

– Są jakieś wieści z domu? Jak się miewa moja siostra?

- Amira śle pozdrowienia – rzekł El Mudżahid z uśmiechem.
 - Tęsknię za nią.
- Wojownik poklepał go po ramieniu.
- Wkrótce wszyscy będziemy razem, na tym świecie albo w raju.
 - Chwała niech będzie Allahowi – powiedział Ahmed, przyśpieszył do setki i skierował się na południe.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

Sebastian Gault, przestrzeń powietrzna Afganistanu, czwartek, 2 lipca

– Wizyta pana Gaulta to prawdziwy zaszczyt – powiedział Nan Yadreen, łącznik Czerwonego Krzyża w Afganistanie. – I pewne zaskoczenie. Gdybyśmy zostali poinformowani wcześniej, byłibyśmy lepiej przygotowani.

Zabawka zmusił się do uśmiechu.

– Wcale nie, panie doktorze. To wizyta, nie inspekcja.

Ryk śmigłowca utrudniał rozmowę, za co Zabawka był wdzięczny. Lekarz musiał krzyczeć, żeby go było słyhać. Gault siedział naprzeciwko i udawał, że śpi, ale Zabawka zbyt dobrze go znał.

Lekarz pokiwał głową.

– Rozumiem. I pewnie wcześniejsza zapowiedź nie byłaby dobra dla bezpieczeństwa.

– Owszem.

– Rozsądne podejście, sir – powiedział lekarz.

Cholerna racja, że to rozsądne, pomyślał ponuro Zabawka. Jeszcze tylko brakowało, żeby Amira dowiedziała się o ich przybyciu. Jedynymi, którzy spodziewali się ich przybycia do Afganistanu, była starannie dobrana grupa najemników z Global Security, kierowana przez jednego z ulubieńców Zabawki, bezwzględnego kapitana Zellera z RPA. Zabawka zadzwonił i ustalił wszystko, wyjaśniając, co zaplanował. Zeller nawet nie mrugnął, kiedy Zabawka powiedział mu, że to będzie mokra robota. Specjalizowali się w mokrej robocie, a bardzo spodobała mu się premia, którą im obiecał.

Śmigłowiec leciał w stronę szpitala polowego Czerwonego Krzyża. Gault wziął się w garść w drodze na lotnisko, ale Zabawka wolał zachować ostrożność. W sprawach serca nic nie było pewne. Cieszył się, że sam go nie ma.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

Crisfield, Maryland, czwartek, 2 lipca, 20:30

– I na tym właśnie polega problem – powiedziałem. – Przez ostatnie parę dni powtarzałem, takimi czy innymi słowami, że trudno mi kupić scenariusz, który nam przedstawiono: że chodzi o grupę terrorystów, która ma wiedzę, fundusze i technikę niezbędne, by stworzyć kilka nowych chorób, by prowadzić pionierskie badania naukowe w celu manipulowania tymi chorobami i uczynienia z nich broni, by zlokalizować i wziąć jako zakładników rodziny kluczowych naukowców i by panować nad tymi naukowcami za pomocą niejednej, ale dwóch chorób, którymi zostali zakażeni. I to wszystko w tak wielkiej tajemnicy, że nie zauważyły ich najważniejsze organizacje wywiadowcze na całym świecie?

– Jeśli ująć to w taki sposób... – mruknął Dietrich, kręcąc się niezręcznie.

– Od samego początku niepokoiła mnie choroba, którą zarażono naukowców, bo była zbyt wyrafinowana. Jeśli ktoś z obecnych wierzy, że naprawdę wymyśliła ją banda terrorystów, proszę o podniesienie ręki.

Kiedy nikt nie podniósł ręki, odezwał się Dietrich.

– Ale przecież wiemy, że tak właśnie jest.

Zamiast mu odpowiedzieć, mówiłem dalej.

– Kolejną rzeczą, nad którą musimy się zastanowić, jest przetwórnia krabów. Jak zauważył Jerry, była pułapką od samego początku, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Praktycznie rzecz biorąc, personel w środku można uznać za zamachowców samobójców. Albo wiedzieli, że nie ujdą z życiem, albo uwierzyli w kłamstwo, że są silniejsi niż w rzeczywistości.

– Wątpię, by naukowcy mieli w tym swój udział – zauważyła Grace.

– Co najmniej jeden miał – odparłem i przypomniałem im o facecie z detonatorem. – Powiedział, że się spóźniliśmy. Nie jestem pewien, co miał na myśli, choć jest oczywiste, że wiedzielibyśmy, gdyby patogen *Seif al Din* wydostał się na świat.

– Wciąż szukamy kolejnych komórek – powiedział Church. – Cała historia jeszcze się nie skończyła, a bezpośrednio po tym spotkaniu czeka mnie telekonferencja z CDC i Białym Domem.

– Doskonale. Wracając do mojej teorii. Nie jestem naukowcem, ale z tego, co powiedzieli Rudy i Hu, wynika, że wszystko, co widzieliśmy, jest absolutnie nowatorskie. A nawet trudne do uwierzenia, gdyby nie to, czego sami doświadczyliśmy.

– Do czego pan zmierza? – spytał Dietrich. – Wiemy, że te dupki są bystre.

Pokręciłem głową.

– Cóż, „bystry” to określenie względne. Prawdziwi geniusze czasami zachowują się jak idioci. – Bardzo się starałem nie patrzeć na Hu, kiedy to mówiłem, ale kątem oka zobaczyłem, jak się kręci. – Widzicie, to, co zrobili ci goście, jest przesadnie wyrafinowane. Choroby, którymi zarażili naukowców, wymyślne materiały wybuchowe. Ktokolwiek za tym stoi, sądzi chyba, że drogie zabawki działają lepiej, ale tak naprawdę jedynie

wywołuje w ten sposób zainteresowanie. Przyciąga uwagę do własnych prób bycia przebiegłym. Doktorze – zwróciłem się do Hu – proszę mnie poprawić, jeśli się myślę, ale środek leczniczy znaleziony w magazynie, kiedy już został wydobyty z aspiryny, rozpuszczał się w zwyczajnym roztworze soli fizjologicznej, zgadza się?

– Tak. To bardzo niewielka ilość związku, kilka substancji chemicznych, które rozpuszczają się w wodzie lub roztworze soli fizjologicznej. Właściwie nie zabarwiły płynu.

– Jak łatwo byłoby go wykryć?

– To znaczy w jedzeniu? Pewnie wcale. To w większości substancje organiczne pochodzenia roślinnego. Żaden ze związków nie wpłynąłby znacząco na smak lub zapach większości potraw.

– Czyli dałoby się go rozpuścić w czymś o mocnym smaku, powiedzmy w soku pomarańczowym, i nikt by tego nie zauważył?

– Pewnie tak.

– Dlaczego więc tego nie zrobili?

Inni gapili się na nas i widziałem, jak zaczynają rozumieć, jedno po drugim.

– Sukinsyn – warknął Dietrich.

– Masz rację – powiedziała Grace. – Pomysł ukrycia go w aspirynie był aż za sprytny. Imponujący, ale niepotrzebny.

Zrozumiała mój tok myślenia i teraz już mi towarzyszyła, krok po kroku.

– To jedna kwestia – powiedziałem. – Drugą są ich zamiary. Możemy założyć, że wiedzieli, że przez cały czas są obserwowani, co oznacza, że mogli wypuścić sztywnych, łyknąć pigułki z trucizną i wysadzić cały kompleks. Dlaczego czekali do chwili, gdy zostali zinfiltrowani?

Rudy pstryknął palcami.

– Chcieli, żebyście znaleźli działające laboratorium i wzięli udział w heroicznej walce. Chcieli, żebyście uwierzyli, że walczyliście o dowody i je zdobyliście, choć uszkodzone i niekompletne.

– Zgadza się. Nasz zły gość chciał zainscenizować wielkie, straszliwe wydarzenie, które cholernie nas przerazi.

– I mu się, kurwa, udało – mruknęła Grace z goryczą.

– Po śmierci Aldina stało się jasne, że terroryści próbowali nas przerazić możliwością epidemii. Że może to być nowe zagrożenie, nowy rodzaj działań wojennych, który zmusiłby USA do zmniejszenia wydatków na czołgi i pociski raketowe, a zwiększenia na medycynę. I tak pewnie do tego dojdzie, przynajmniej częściowo, bo wiemy, że ta choroba rzeczywiście istnieje i że terroryści nią dysponują. Ale... zanim uznamy, że rozumiemy sytuację, pozwólcie, że was spytam: jeśli rzeczywiście zaczniemy gorączkowo poszukiwać nowych leków i terapii, kto na tym zyska?

– *Dios mio!* Mnóstwo ludzi się wzbogaci – powiedział Rudy. – Firmy farmaceutyczne, apteki, służba zdrowia, szpitale... właściwie wszyscy, którzy są powiązani z medycyną.

Odchyliłem się do tyłu i popatrzyłem na niego, a później na wszystkich siedzących przy stole.

– W takim razie... dlaczego jesteśmy tak cholernie pewni, że za tym wszystkim stoją jedynie terroryści?

Rozdział osiemdziesiąty piąty

Amira, Bunkier, czwartek; 2 lipca

– Jeden z naszych ludzi zauważył Sebastiana Gaulta w placówce Czerwonego Krzyża.

Amira podniosła wzrok znad ekranu komputera i spojrzała na młodą Jemenkę, która stała obok jej biurka.

– Kiedy tu dotrze?

– Najpóźniej pojutrze.

Amira z namysłem przygryzła wargę.

– Chce pani, żeby Abdul...? – Ana nie dokończyła pytania.

Amira pokręciła głową.

– Nie, niech przyjedzie. To będzie dla niego pouczające doświadczenie.

Uśmiechnęła się do Any, która wzdrygnęła się, po czym odpowiedziała uśmiechem. Jemenka odwróciła się i wyszła z pomieszczenia, bezgłośnie recytując modlitwę. Przez krótką chwilę twarz Amiry wyglądała jak oblicze pustynnego demona, dzina. Ana cieszyła się, że uciekła przed tym złym i pozbawionym wszelkiej wesołości grymasem.

Rozdział osiemdziesiąty szósty

Crisfield, Maryland, czwartek, 2 lipca, 20:44

– Zgubiłem się – przyznał Dietrich. – Wydawało mi się, że pańskim zdaniem w tym wszystkim chodziło o ograniczenie wydatków USA na działania wojenne, by zwiększyć budżet na badania nad profilaktyką. Czyli co... mówimy o osi zła stworzonej przez sieci aptek Walgreens i CVS?

– Proszę się nie ograniczać – poradził Rudy.

– Lekarze, szpitale? Firmy farmaceutyczne?

– Bingo – powiedziałem. – To one mogłyby zarobić jeszcze więcej, gdyby wieści o tym czymś się rozeszły.

– Czyli cały ten bajzel to jakaś pierdolona kampania reklamowa? – spytał Dietrich.

– W pewnym sensie – odparłem. – Pokazać nam wielkie, przerażające choróbko, udowodnić, że terroryści są zdolni, by je rozprzestrzenić, a później pozwolić nam na powstrzymanie pierwszej fali, żebyśmy czuli, że nam się udało. Ale jednocześnie przestraszyć nas, że ten zarazek może nadal istnieć i znajdować się w rękach terrorystów, żebyśmy musieli gorączkowo szukać lekarstwa. Wszystko, co się wydarzyło w przetwórni, to potwierdza. Pokazali nam pierwsze kroki do opracowania terapii, jasne, ale nawet Hu powiedział, że badania wymagałyby miliardów dolarów, a dystrybucja leków może nawet bilionów.

– To kim w takim razie jest ten zły gość? – spytał Dietrich.

– I tak brzmi właśnie podstawowe pytanie, czyż nie? – odparła Grace. – Jestem pewna, że ktokolwiek za tym stoi, postara się, by być jedną z wielu firm, które zarobią krocie. Nie będzie aż tak pochopny, by się wyróżnić i pojawić na rynku z jedynym lekarstwem.

– Oczywiście – zgodziłem się.

Church wydał wargi, a my czekaliśmy. W końcu skinął głową.

– Chyba trafił pan w dziesiątkę, kapitanie. Doskonała robota.

– Dostanę ciasteczko?

– I nadal jest pan mądrąłą pierwszej klasy.

Pochyliłem głowę.

– Ale czy to cokolwiek nam daje? – spytał Rudy. – Wiecie, jak wiele jest firm farmaceutycznych?

– Zbyt wiele – stwierdził Church. – Ale nie wszystkie mogłyby sfinansować coś takiego.

– Musimy znaleźć firmę, która ma dość duży majątek, by ukryć wydatki niezbędne do prowadzenia badań i stworzenia takiej choroby. A nawet chorób – poprawiłem się. – Albo grupę, która połączyła zasoby.

– Z pewnością musi istnieć sposób, by jeszcze bardziej zawęzić tę listę – upierał się Rudy. – Nie wszystkie firmy farmaceutyczne zajmują się patogenami. Nie wszystkie zajmują się profilaktyką.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – spytał Dietrich.

– Jasne – odparł Rudy. – Jeśli nie są przygotowane do prowadzenia badań albo

wytwarzania leków na wielką skalę, to nie załapią się na pierwszą falę gotówki. Falę wielkich pieniędzy. Ich fabryki nie będą odpowiednio wyposażone. Ale nawet jeśli pominiemy te firmy, i tak pozostało ich sporo.

– Pewnie wszystko okaże się o wiele bardziej skomplikowane – powiedziała Grace – ponieważ wiele z wielkich firm to międzynarodowe korporacje z oddziałami właściwie na całym świecie. Wątpię, by którakolwiek z nich była na tyle tępa, by zorganizować wszystko w granicach jednego z supermocarstw. Zbyt wielkie ryzyko związane z państwową kontrolą nad surowcami i przepływami pieniężnymi. Założę się, że te skurwysyny mają obiekt badawczy gdzieś w trzecim świecie. Jak będziemy wiedzieć, w którym miejscu zacząć szukać?

– MindReader – stwierdził Church. – Choć będziemy musieli zgadywać, jakich argumentów wyszukiwania użyć. Do tego całość to wciąż spekulacje, co oznacza, że pewnie będziemy się potykać o własne założenia. I tu pojawia się jeszcze jedna komplikacja. Niezależnie od tego, kto okaże się winnym, i tak musimy poinformować o wszystkim prezydenta, a później poprosić o pomoc firmy farmaceutyczne, by przygotowały się na wypadek, gdyby patogen jednak został uwolniony, czy to celowo, czy też, co bardziej prawdopodobne, przypadkiem.

– O rany-jęknął Dietrich – to oznacza, że nasz zły gość pewnie bardzo się wzbogaci.

– Do chwili gdy wpakujemy mu kulkę w łeb – powiedziała Grace.

Nie żartowała i nikt nie potraktował jej słów jako żart.

– Tymczasem – powiedziałem – wciąż musimy brać pod uwagę możliwość, że w tym wszystkim biorą udział terroryści. Domyślam się, że nasza widmowa firma farmaceutyczna finansowała terrorystów, by zapewnić sobie ich współpracę.

– To ma sens – stwierdził Church. – Terroryści skorzystają na przesunięciu środków finansowych przez supermocarstwa, co w oczach świata da im prawdziwe zwycięstwo. Wiedzą, że branie zakładników nie działa. Porywanie samolotów i wbijanie ich w budynki nie działa. Wyszakowanie pociągów metra nie działa. Być może spowodowali znaczne zniszczenia, ale w ogólnym rozrachunku mają kiepskie statystyki. To jednak mogliby przypisać sobie jako sukces.

Dietrich się zamyślił.

– Czyli byliby czymś w rodzaju wynajętych zabójców dla stojącej za tym firmy farmaceutycznej.

– Owszem, coś w tym rodzaju – powiedziałem – ale wszyscy wiemy, że terroryści nie poddają się łatwo i rzadko satysfakcjonuje ich dyskretne zwycięstwo. Nie umieją działać w zespole, nie znoszą wypełniać rozkazów innych i nie trzymają się zasad.

– Co to znaczy? – spytał Rudy.

– To znaczy – powiedziałem – że nawet jeśli nasz zły gość zapłacił im za zorganizowanie paru pokazów tej choroby i wszystko się udało, oni wcale nie muszą się teraz spakować i wrócić do domów. Po drodze zginęło mnóstwo ich ludzi. Jeśli w tym wszystkim bierze udział El Mudżahid, zaszkodzenie amerykańskiej gospodarce może nie wystarczyć, by zaspokoić jego potrzeby.

– Jakie potrzeby? – spytał Rudy.

– Potrzeby religijne – odpowiedziałem.

– Cholera – mruknął Dietrich.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

Sebastian Gault, Afganistan, czwartek; 2 lipca

– Linia? – spytał Amerykanin.

– Czysta – odpowiedział Gault.

Zabawka siedział tuż obok i przysłuchiwał się rozmowie.

– Mam dla pana złe wieści. Bokser uchylił się przed ciosem.

Gault usłyszał ciche syknięcie Zabawki.

– Jak? – spytał.

– Znokautował innych zawodników. Sądźmy, że miał swojego człowieka w narożniku.

Policja znalazła pojazd na parkingu przy Jersey Turnpike. Żadnych śladów Boksera. Wydaje się, że trwał już inny mecz i rozkaz nokautu dotarł do nich za późno.

Gault wstał, przeszedł przez namiot i wpatrzył się w afgańską pustynię. Obóz Czerwonego Krzyża był cichy, a na niebie świeciły liczne gwiazdy.

– A co z pudełkiem czekoladek? – spytał Gault, po czym nagle zaklął z frustracją. –

Chryste, dajmy sobie spokój z pierdolonym kodem. Co się stało?

Po długim czasie Amerykanin powiedział:

– Urządzenie wyzwalające już zostało odebrane. Kobieta, która przedstawiła się jako żona Sonny'ego Bertucciego, zabrała je przed godziną. Rysopis pasuje do kochanki Ahmeda Mahouda, szwagra El Mudżahida.

– W takim razie są dwa kroki przed nami – powiedział Gault. – To znaczy, że będzie pan musiał znaleźć jakiś sposób, by go powstrzymać, kiedy podejmie działania.

Amerykanin zaklął i rozłączył się.

– Kurwa mać – zaklął Gault. – Wszystko się rozpada.

– Nie zaczynaj – warknął Zabawka.

Od chwili kiedy spoliczkował Gaulta, dynamika ich relacji się zmieniła. Znalazł się na silniejszej pozycji, nawet jeśli zdrada Amiry sprawiła jedynie, że Gault się potknął, a nie upadł. Nie powrócili do starych układów i być może nigdy do tego nie dojdzie. Obaj byli tego świadomi, ale żaden nie podnosił tematu.

– Musimy być teraz bardzo ostrożni. Sebastianie. Jeśli Jankes wygada się przed władzami, żeby powstrzymać El Mudżahida, twoje nazwisko zostanie obrzucone błotem na pięciu kontynentach.

Gault prychnął.

– Tak sądzisz?

– Cóż, ciesz się, że zaplanowaliśmy to z dużym wyprzedzeniem. Masz dość fałszywych tożsamości i kryjówek, by pozostać w ukryciu przez lata, może na zawsze. – Pociągnął nosem i odsunął pasmo jasnych włosów z oczu. – Co oznacza, że ja też będę musiał się ukryć. Będziemy potrzebować nowych twarzy, nowych odcisków palców... – Westchnął. – Pieprzyć to wszystko.

Gault zauważył przygnębienie na twarzy Zabawki.

– Przepraszam. Wszystko szło tak dobrze.

– Cóż za pocieszenie.

Gault wpatrzył się w nieskończoną pustkę nieba.

– Pojutrze będziemy w Bunkrze. Jeśli pozostała nam choć odrobina szczęścia, Amira będzie miała lekarstwo, a wtedy może znajdziemy sposób, by wprowadzić je na rynek, póki jeszcze istnieje światowa gospodarka.

Albo świat, pomyślał Gault, ale nie powiedział tego.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy

Crisfield, Maryland, piątek, 3 lipca, 22:01

Tę noc również przespałem w przetwórni, a w piątek pracowałem z Jerrym albo pomagałem Churchowi wymyślić historyjkę dla mediów, która uspokoiłaby opinię publiczną. Według komunikatu, przekazanego mediom przez biuro prasowe gubernatora stanu Maryland, oddział specjalny pod dowództwem ATF zrobił nalot na duże laboratorium produkujące metamfetaminę, ale podczas akcji doszło do wybuchu. Komputerowcy Churcha skleili razem nagrania z innych nalotów – doprawione zręcznymi grafikami komputerowymi – które pokazywały jednostki specjalne atakujące przetwórnię. Całość była dość przekonująca i osiągnęła swój cel – fraza „atak terrorystyczny” błyskawicznie zniknęła z nagłówków i pasków w CNN.

* * *

Późnym wieczorem w piątek byłem już kompletnie wyczerpany. Podobnie jak wszyscy pozostali, zebraliśmy się zatem i postanowiliśmy wrócić do Magazynu. W dialektie WDN tymczasowa kwatera główna w dokach w Baltimore była teraz nazywana Magazynem, wielką literą; obiekt na Brooklynie, na dawnym lotnisku a obecnie w parku Floyd Bennett Field nazywano z kolei Hangarem. Grace powiedziała, że Magazyn pewnie zostanie jednym ze stałych obiektów agencji, ponieważ znajdował się dogodnie blisko Waszyngtonu.

Church nie jechał z nami. Powiedział, że musi osobiście poinformować prezydenta, i poleciał śmigłowcem Bell JetRanger do Waszyngtonu, a towarzyszył mu Hu. Nim jednak weszli na pokład, odciągnąłem Churcha na bok.

– Zawsze kiedy zamykam oczy, widzę twarz tego laboranta z detonatorem, który mówi, że się spóźniliśmy. To mnie dręczy.

– Nie tylko pana – przyznał. – Ma pan jakieś sugestie?

– Owszem. Powiedział pan wcześniej, że gdyby patogen został wypuszczony podczas jakiegoś wielkiego wydarzenia, nie dałoby się nad nim zapanować. Jutro jest czwarty lipca, a nie ma większego wydarzenia od ponownego poświęcenia Dzwonu Wolności.

Pokiwał głową.

– Już ostrzegłem ich ochronę, by była w najwyższym pogotowiu.

– Miałem być w tym oddziale – powiedziałem – i chyba chciałbym doprowadzić to do końca. Ale chętnie zrobiłbym z tego wycieczkę. Zabrałbym oddział Echo do Filadelfii, niech też się rozglądają. Dostaną jakieś zadanie, które nie wiąże się z zombie. Może wziąłbym też Grace i Gusa.

Kiedy wypowiedziałem imię Grace, na jego twarzy pojawił się grymas rozbawienia, ale natychmiast zniknął. Może go sobie wyobraziłem?

– To jakieś przeczucie? – spytał.

– Właściwie nie. Może pół przecucia. Po prostu, gdybym to ja miał zrobić coś takiego, wybrałbym tę właśnie okazję.

Church oparł się ramieniem o śmigłowiec i przez chwilę się zastanawiał.

– Będzie tam pierwsza dama. Może powinienem poprosić, by zrezygnowała z udziału w tym wydarzeniu.

– To pańska decyzja. Mogę się mylić. Jutro jest mnóstwo wielkich imprez w całym kraju, a może ci goście są zbyt bystrzy, żeby wybrać taką, gdzie co trzeci obecny w tłumie jest agentem takiej czy innej służby. Nie, nie chciałbym zakłócać tego wydarzenia na podstawie niejasnego wrażenia, ale sądzę, że powinien pan powtórzyć swoje ostrzeżenie do wszystkich jednostek, by zachowały wyjątkową czujność.

Pokiwał głową.

– Zrobię to. Za kilka godzin będę rozmawiał z prezydentem, a on może dodać wagi temu poleceniu. Ale na wszelki wypadek będę miał też w gotowości kilka jednostek Gwardii Narodowej.

– W porządku.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i Church wszedł do śmigłowca.

Cała reszta zajęła miejsca w seahawkach, które wzniosły się w nocne niebo i przeleciały nad stanem Maryland. Towarzyszyły nam dwa apache. Z jakiegoś powodu powrót do Magazynu wydawał się powrotem do domu.

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty

Baltimore, Maryland, sobota, 4 lipca, 1:12

W Magazynie każdy z nas ruszył w swoją stronę. Oddział Echo już się położył, ale Starszy zostawił mi notatki na temat nowych rekrutów. Odłożyłem je na później i poszedłem się umyć. Długo stałem pod strumieniem gorącej wody. Najlepiej mi się myśli pod prysznicem, a kiedy się myłem, spłukiwałem i powtarzałem proces, zastanawiałem się, kim może być Lester Bellmaker, ale mimo gorączkowego namydlenia się do niczego nie doszedłem.

Minęła już północ. Doszedłem do wniosku, że wyruszymy wcześniej i dotrzemy do Filadelfii na czas, by wzmocnić ochronę wydarzenia. A jeśli do niczego by nie doszło... w tym mieście mają przynajmniej świetne hot dogi, precelki i piwo.

W pokoju zauważyłem z niejaką konsternacją, że Cobbler został nakarmiony i ktoś nawet sprzątnął w kuwecie.

Kiedy wsunąłem się pod kołdrę, Cobbler usadowił się w nogach łóżka i patrzył na mnie, jakbym był kimś obcym. Powiedziałem sobie, że jest po prostu przestraszony, bo zajmował się nim ktoś, kogo nie znał, wiedziałem jednak, że nie o to chodziło. Rudy miał rację – ja też zostałem odmieniony. Cobbler widział to w moich oczach i trzymał się na dystans. Po pięciu minutach zachęcania go, by podszedł bliżej, poddałem się i zgasilem światło.

Czułem, jak wpatruje się we mnie swoimi mądrymi kocimi oczyma.

Zasnąłem w końcu koło pierwszej, ale po kilku minutach obudziło mnie pukanie do drzwi. Było ostrożne. Leżałem w ciemności i słuchałem niepewny, czy nie był to fragment skomplikowanego snu. Wtedy znów się rozległo. Tym razem bardziej stanowcze.

Włączyłem lampkę przy łóżku i w szortach i podkoszulku podszedłem do drzwi. Nie było judasza ani domofonu, więc uchylilem je i spojrzałem przez wąski otwór. Spodziewałem się Rudy'ego alb Churcha. Może Starszego Simsa albo sierżanta Dietricha.

Grace Courtland w życiu bym się nie spodziewał.

Rozdział dziewięćdziesiąty

Baltimore, Maryland, sobota, 4 lipca, 1:17

Miała na sobie namiastkę pizamy – niebieskie szpitalne spodnie i czarną koszulkę bez rękawów. Była rozczochrana, a pod oczami miała cienie. W ręku trzymała sześciopak piwa Sam Adams Summer Ale w kartonowym pudełku.

– Obudziłam cię?

– Tak.

– To dobrze, bo ja nie mogę spać. Wpuść mnie.

Pomachała sześciopakiem piwa.

– W porządku – powiedziałem i cofnąłem się, żeby otworzyć drzwi.

Grace skinęła głową i weszła do środka. Rozejrzała się po pokoju i chrząknęła.

– Przywieźli sporo twoich rzeczy.

– Przywieźli mojego kota – powiedziałem, zamknąwszy drzwi.

Cobbler zeskoczył z łóżka i podszedł do niej, zaczął ją ostrożnie niuchać.

– Cobbler, bądź grzeczny dla pani major.

Kot wciąż zachowywał się powściągliwie, ale kiedy Grace przykucnęła, by go pogłaskać, pozwolił jej na to. Jej palce przeczesywały futro.

– Usiądź – zaproponowałem, wskazując na rozkładany fotel.

Wyjąłem breloczek do kluczy, który był jednocześnie otwieraczem, otworzyłem dwie butelki i jedną podałem jej. Sam wziąłem drugą i usiadłem na łóżku.

Podniosła się i przez chwilę stała, wpatrując się w kota i z namysłem popijając piwo.

– Lubię twojego przyjaciela doktora Sancheza.

– Rudy'ego.

– Rudy'ego. Spotkaliśmy się przy prysznicach, trochę szczerze pogadaliśmy. To dobry człowiek.

– Masz powód, żeby tak sądzić?

– W swoim czasie poznałam paru świrologów.

Odwróciła wzrok, ale widziałem, że ma wilgotne oczy. Cobbler wciąż był blisko, więc zajęła się drapaniem go za uszami, a później uniosła butelkę i wypła ją prawie do dna.

– Te ostatnie dni były zupełnie nierealne – powiedziała cicho. – Nieludzkie...

Pokręciła głowę, powstrzymując łzy. Dopiła piwo, wzięła sobie kolejne. Podałem jej otwieracz, a kiedy go odbierała, jej palce musnęły moje. Chciała, by wydawało się to przypadkowo, ale nie była aż tak dobrą aktorką. W miejscu, w którym mnie dotknęła, moja skóra płonęła.

– W szpitalu musiało być paskudnie – powiedziałem. – Wciąż jeszcze nie widziałem taśm, ale Rudy mi opowiedział. Z tego, co mówił, gorzej nawet niż w przetwórni krabów.

Usiadła na fotelu i wpatrzyła się w butelkę piwa, jakby zainteresowało ją coś na etykietce. Kiedy się odezwała, mówiła niemal szeptem.

– Kiedy zaczęliśmy rozumieć coś... coś z tego, co się działo, kiedy zobaczyliśmy, że tracimy panowanie nad sytuacją w St. Michael's... ja... – Przerwała, pokręciła głowę, znów

zaczęła. – Kiedy sobie uświadomiliśmy, co musimy zrobić... to była najgorsza chwila w moim życiu. Gorsza niż...

W kąciку jej oka pojawiła się łza.

– Napij się – zaproponowałem cicho.

Wypiła, podniosła głowę i spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczyma.

– Joe... kiedy miałam osiemnaście lat i byłam na pierwszym roku studiów, zaszłam w ciążę. Oboje byliśmy dziećmi, rozumiesz? On się przeraził i spierdolił, ale wrócił, kiedy byłam w ostatnim trymestrze. Wzięliśmy ślub. Cywilny. Tak naprawdę się nie kochaliśmy, ale został ze mną aż do narodzin dziecka. Briana Michaela. Ale... on urodził się z dziurą w sercu.

W pokoju panowała cisza.

– Próbowali wszystkiego. Przeprowadzili cztery operacje, ale serce nie uformowało się właściwie. Brian przeżył trzy miesiące. Mówili mi, że właściwie od początku nie było szans, by przeżył. Po ostatniej operacji dzień i noc siedziałam ze swoim dzieckiem. Schudłam tak bardzo, że wyglądałam jak duch. Ważyłam czterdzieści kilo. Chcieli mnie wziąć na oddział.

Zacząłem coś mówić, ale przerwała mi potrząśnięciem głową.

– Pewnego popołudnia lekarz powiedział mi, że mózg nie wykazuje żadnej aktywności, że praktycznie rzecz biorąc, moje dziecko jest martwe. Oni... chcieli, żebym... spytała mnie, czy wyrażę zgodę na odłączenie respiratora. Co mogłam powiedzieć? Krzyczałam, wrzeszczałam na nich, klóciłam się z nimi. Modliłam się. Całe dni.

Łzy popłynęły, pozostawiając srebrne ślady na jej twarzy. Wyglądały jak blizny.

– Kiedy w końcu się zgodziłam, to było straszne. Pocałowałam swoje dziecko i trzymałam je za rączkę, gdy wyłączali maszyny. Opuściłam głowę, żeby nasłuchiwać bicia jego serca, miałam nadzieję, że będzie wciąż biło, ale usłyszałam tylko jedno uderzenie serca. Tylko jedno, tak szybko umarł. Jedno uderzenie, a później straszliwa cisza. Czulałam, jak umiera, Joe. To było tak koszarne, tak przerażające, i wiedziałam, że nigdy nie poczuję... nie mogę poczuć niczego gorszego. – Dopijała drugą butelkę. – To mnie zniszczyło. Mąż odszedł po drugiej operacji. Pewnie dla niego Brian już wtedy nie żył. Moi rodzice nie żyli już od dawna. Nie miałam nikogo w życiu. Robiłam się coraz bardziej chora i na prawie trzy miesiące wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym. Jesteś wstrząśnięty?

Popatrzyła na mnie wyzywająco, ale coś w mojej twarzy musiało ją uspokoić. Pokiwała głową.

– W szpitalu miałam terapeutkę i ona zasugerowała, bym poszukała czegoś, co dałoby mi oparcie. Nie miałam żadnej rodziny, a ona знаła kogoś zajmującego się werbunkiem. Napisała mi list polecający i dwa tygodnie po wyjściu ze szpitala trafiłam do wojska. Stało się moim życiem. Stamtąd trafiłam do SAS. Widziałam walki w tuzinie miejsc. Widziałam śmierć. Sama zabijałam. Nic z tego mnie nie dotknęło. Wierzyłam, że to coś, co czyniło ze mnie człowieka, istotę ludzką, umarło, zostało pochowane w niewielkiej trumnie z malutkim ciałkiem. Oboje byliśmy martwi, zabici przez niedoskonałe serca.

Otarła łzy i wpatrzyła się z niejakim zaskoczeniem w wilgoć na palcach.

– Właściwie już nie płaczę. Chyba że czasami w nocy, kiedy budzę się ze snu, w którym trzymam Briana za rękę i słyszę ostatnie uderzenie jego serca. Od lat nie płakałam, Joe. Od lat.

W ustach miałem sucho, wypilem trochę piwa, żeby móc zaczerpnąć tchu.

– Kiedy Al-Kaida zaatakowała WTC, nie płakałam – powiedziała Grace. – Po prostu byłam wściekła. Kiedy w londyńskim metrze wybuchły bomby, moja determinacja jeszcze się wzmożła. Grace Courtland, major SAS, weteran działań wojennych, zawodowy

twardziel. – Odetchnęła głęboko, wydeła policzki.-A później St. Michael. Boże! Weszliśmy tam, błyskawicznie i bez wahania, byliśmy tacy twardzi i wyszkoleni. Nie miałeś okazji widzieć WDN w akcji, ale wszyscy w oddziałach Bravo i Charlie byli pierwsza klasa. Najlepsi z najlepszych weterani, ani jednego żółtodzioba między nimi. Najnowocześniejszy sprzęt, nowatorska taktyka, niczego nie pozostawiono przypadkowi. I wiesz, co się stało? Zostaliśmy wyróżnieni! Dorośli mężczyźni i kobiety rozerwani na strzępy. Cywile zabijający uzbrojonych wojskowych zębami i pazurami. Dzieciaki wielokrotnie trafiane w korpus, padające i znów się podnoszące, ich ciała były poszarpane, ale one i tak rzucały się na naszych ludzi, szarpały ich i gryzły. Pożerały ich.

– Boże – szepnąłem.

– Boga tego dnia tam nie było – syknęła głosem ociekającym goryczą. – Nie jestem religijna, Joe. Od czasu, kiedy pogrzebałam Briana, nie radzę sobie z wiarą. Ale jeśli pozostał we mnie choć okrucuch wiary lub nadziei, tamtego dnia zniknął. Został pochłonięty przez to, co się wydarzyło.

– Grace... wiesz, że ty i Church nie mieliście wyboru?

– I to ma sprawić, że poczuję się lepiej? Naprawdę myślisz, że to ma dla mnie jakieś znaczenie? Wiem, że nie mieliśmy innego wyboru, dlatego właśnie dokonaliśmy takiego. Przegrywaliśmy, Joe. Przegrywaliśmy. Nagle całe wyszkolenie i wszelka siła, których byliśmy tacy pewni, zniknęły. Zawiodły nas. Podobnie jak medycyna i modlitwa zawiodły Briana. Mogliśmy tylko odłączyć kolejny sprzęt, wyłączyć kolejne życia, ponieważ nic innego nam nie pozostało.

Z jej oczu płynęły łzy, ale nie próbowała ich wycierać. Uśmiechnęła się do mnie krzywo.

– Cały problem polega na tym... że to było nawet gorsze od odłączenia mojego dziecka od systemów podtrzymywania życia. Gorsze, rozumiesz? I wiesz, co czułam po wszystkim? Winę. Nie z powodu tego, że musiałam zabić tych wszystkich ludzi. Nie, czułam się... czuję się... winna, ponieważ to była najgorsza chwila mojego życia. I pewnie zawsze będzie. Dlatego czuję się, jakbym w jakiś sposób zdradziła, a może porzuciła moje dziecko, ponieważ to wydarzenie było większe i gorsze. Czuję się tak, jakbym znów utraciła Briana. Tym razem na zawsze. To tak cholernie...

Jej głos nagle ucichł zastąpiony łkaniem. Upuściła butelkę i ukryła twarz w dłoniach. Podniosłem się i przeszedłem przez pokój, zanim jeszcze butelka przestała się toczyć. Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie, podnosząc z krzesła, przygarnąłem do piersi. Odgłos jej łkania ranił moje ciało i serce. Objemowałem ją – tę gniewną kobietę, tego rozgoryczonego żołnierza – całowałem jej włosy i tuliłem najmocniej, jak potrafiłem.

* * *

Płakała bardzo długo.

Zaprowadziłem ją do łóżka i położyliśmy się razem, jej łzy moczyły mój podkoszulek, ciało miała rozpalone jak w gorączce. Może coś powiedziałem, jakieś bzdury, ale nie pamiętam.

Jej ciało drżało wstrząsane łkaniem, aż powoli, jakże powoli, zaczęła się uspokajać. Objemowała mnie, zaciskając palce na koszulce. Jej napięcie ustępowało bardzo powoli.

Leżeliśmy tak bardzo długo, aż wyczułem w niej zmianę, gdy napięcie zmieniło charakter, z wszechogarniającego smutku w niezręczną świadomość. Byliśmy blisko jak kochankowie, jednak w jej łzach, moich objęciach czy nawet leżeniu razem nie było nic choćby odrobinę erotycznego.

A przynajmniej na początku. Teraz jednak pojawiło się nowe napięcie, gdy oboje

staliśmy się przejmująco świadomi wszystkich punktów, w jakich stykały się nasze ciała – splecionych ud, przyciśniętych do siebie lędźwi, jej piersi na moim torsie, rozpalonych oddechów, zwierzęcego gorąca i naturalnego piżma.

To była ta chwila, kiedy powinniśmy się rozdzielić, wymienić parę niezręcznych dowcipów i wycofać się do odległych zakątków wszechświata. Ale ta chwila minęła.

Po minucie albo dwóch powiedziała bardzo cicho:

– Nie po to tutaj przyszłam.

– Wiem.

– Po prostu... cóż, nie ma nikogo innego. Nie mogę porozmawiać z panem Churchem. Nie o tym. Nie w taki sposób.

– Nie.

– A doktora Sancheza jeszcze nie znam. Nie tak dobrze.

– Mnie też nie znasz.

– Znam – powiedziała cicho. Opierała czoło pod moją brodą. – Wiem o Helen. Wiem o twojej matce. Straciłeś tak wiele. Równie dużo, jak ja.

Pokiwałem głową, ona to poczuła.

– Chcesz się ze mną kochać? – spytała.

Odchyliłem się i spojrzałem na nią.

– Nie teraz – powiedziałem. Kiedy zobaczyłem ból na jej twarzy, uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. – Wypiłaś dwa piwa, jesteś w żałobie, wyczerpana i wstrząśnięta. Musiałbym być największym dupkiem na świecie, żeby wykorzystać taką słabość.

Grace długo się we mnie wpatrywała.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, Joe Ledgerze. – Wsunęła dłoń między nas i dotknęła mojej twarzy. – Nie spodziewałam się, że będziesz dobry. Nie dla mnie. Jesteś prawdziwym dżentelmenem.

– Jesteśmy wymierającym gatunkiem... odstrzeliwują nas jednego po drugim.

Roześmiała się i oparła głowę o moją pierś.

– Dzięki, że mnie wysłuchałeś, Joe.

Po kolejnej chwili milczenia powiedziała:

– W przetwórni zadałam ci pytanie, czy twoim zdaniem to powstrzymaliśmy. Czy to była ostatnia komórka? Czy powstrzymaliśmy terrorystów, przynajmniej w Stanach, czy też właśnie wysadziliśmy ostatni trop?

– Takich pytań nie należy zadawać w ciemnościach – powiedziałem, głaszcząc ją po głowie.

– Pan Church rozmawiał z prezydentem i szefem FDA. Machina została wprawiona w ruch, firmy farmaceutyczne wkrótce zostaną poproszone o pomoc. Prezydent za dwa dni przemówi na zamkniętych obradach Kongresu. USA, Anglia i inne państwa sojusznice przeznaczą na ten cel wielkie środki.

– Owszem.

– Dlaczego więc wciąż tak się boję? – spytała.

Cisza wirowała wokół nas.

– Z tych samych powodów, co ja – odparłem.

Nic już nie powiedziała, a po jakimś czasie jej oddech się uspokoił. Pocałowałem jej włosy, a ona przytuliła się do mnie i po chwili usnęła. Po dłuższym czasie ja również zapadłem w sen.

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy

Magazyn WDN, Baltimore, sobota, 4 lipca, 6:01

Jeszcze przed wschodem słońca zjedliśmy z Grace śniadanie w mesie, później ona ruszyła zebrać swój oddział, ja zaś wybrałem numer. Miałem nadzieję, że obudzę Churcha i usłyszę go wytrąconego z równowagi, ale odebrał po pierwszym dzwonku. Cholerny robot. Nie powiedział „Halo”, tylko spytał:

– Jakiś problem?

– Nie, chciałem tylko się skontaktować w sprawie Dzwonu Wolności. Nadal nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy zabrali oddział Echo do Filadelfii?

– Oczywiście – powiedział, sugerując w ten sposób, że dowiedziałbym się, gdyby zmienił zdanie.

Rozmowa z nim wymagała sporego przyzwyczajenia – zwykle miałem do czynienia z dużo większą biurokracją.

– Poinformowałem prezydenta o naszych obawach związanych z bezpieczeństwem podczas uroczystości, a on zaakceptował wszystkie moje rekomendacje. Machina została już wprawiona w ruch i firmy farmaceutyczne wkrótce zostaną poproszone o pomoc. Prezydent przemówi jutro na zamkniętych, zwołanych w trybie pilnym obradach Kongresu. USA, Anglia i inne państwa sojusznicze przeznaczą na ten cel wielkie środki.

Church krótko opisał kroki, jakie podjął, by wzmocnić środki bezpieczeństwa podczas dwudziestu najważniejszych uroczystości z okazji czwartego lipca w całym kraju. Oznaczało to zmobilizowanie dziesiątków tysięcy policjantów i żołnierzy. I choć musiał to być biurokratyczny koszmar, Church wydawał się pewien, że wszystko zostanie załatwione. Domyślałem się, że zgoda głównodowodzącego dała kopa we właściwe tyłki. Punkt dla Churcha.

– Moje pytanie brzmi – powiedziałem, kiedy skończył–jaki będzie nasz status w Filadelfii? To znaczy... raczej nie możemy się pochwalić odznakami WDN, prawda?

– Nie mamy odznak – odparł. – Tę kwestię również omówiłem z prezydentem i dostałem pozwolenie, by oddział Echo został przedstawiony jako wydzielony oddział Secret Service. Jak dobrze zna pan ich protokoły?

– Poradzę sobie.

– Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do znajomego w branży tekstylnej, stosowna odzież powinna dotrzeć przed szóstą trzydzieści. Identyfikatory już zostały wysłane kurierem, ma je sierżant Dietrich.

– Nie lubi pan marnować czasu, prawda?

– Nie – odparł i rozłączył się.

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. Czyli tak wyglądała praca w ekstraklasie.

Znalazłem Dietricha i odebrałem materiały, które wysłał Church. Identyfikator dla każdego, dodatkowo szczegółowe notatki zawierające nazwiska i numery ludzi, z którymi mieliśmy porozmawiać.

Znalazłem Grace w przyczepie z komputerami. Opowiedziałem jej o rozmowie

z Churchem.

– Jak to możliwe, że on ma taki wpływ na prezydenta? Chodzi mi o to... kim właściwie jest Church?

Grace pokręciła głową.

– Przez ostatnie parę lat dotarło do mnie trochę pogłosek i fragmentarycznych informacji, które chyba sugerują, że ma haki na mnóstwo ludzi w Waszyngtonie.

– Haki? To znaczy... szantaż?

– Sądzę, że całkiem dosłownie wie, jak w tym powiedzeniu, w których szafach ukryto szkielety. Może wywierać naciski na wielu ważnych graczy i wykorzystuje je, żeby dostać to, czego potrzebuje.

– Dobrze, że jest po naszej stronie. – Zawahałem się. – Jest po naszej stronie, prawda?

– Jezu, taką mam nadzieję.

– Jak zgromadził te informacje?

– Sądzę, że mogę się domyślać – powiedziała, unosząc brew, a później skinęła głową w stronę wypełniającego pomieszczenie skomplikowanego układu terminali.

– MindReader?

Wzruszyła ramionami.

– To ma sens. Doskonale sobie radzi z grzebaniem w cudzych sprawach bez pozostawiania śladów swojej obecności. To jedna z jego wyjątkowych i najbardziej niebezpiecznych cech. Za pomocą MindReadera może wkraść się do Pentagonu, przeczytać cokolwiek, co tylko zechce, a później wyjść bez pozostawiania śladów. Widziałam, jak to robi.

– A niech to. – Gapiłem się na komputer, jakby to była lampa Aladyna. – Słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Gdyby to wpadło w niepowołane ręce, to byłby koniec wolnego świata”? Cóż, tu pasuje.

– Święta racja. Na całym świecie jedynie garstka ludzi ma dostęp, a Church musi codziennie osobiście autoryzować każdego z nas przez swoją jednostkę centralną, żebyśmy mogli się zalogować. To nie żart, i choć MindReader nie pozostawia śladów na innych komputerach, wszystkie wyszukiwania i operacje są zapisywane na jego twardym dysku.

– Czyli Wielki Brat rzeczywiście patrzy – mruknąłem.

– Przez cały czas.

– Czy on w ogóle śpi?

– Boże, nigdy nie widziałam, żeby choćby ziewnął. Myślę, że jest cyborgiem.

– Wcale by mnie to nie zaskoczyło. Może w tych wafelkach waniliowych coś jest.

Podniosła wydruk.

– To nazwiska szefów agencji, którzy wysłali personel do WDN. Prawie połowa z nich będzie dziś w Filadelfii na uroczystościach Dzwonu Wolności, czy to jako zaproszeni goście, czy służbowo. Ze względu na obecność pierwszej damy, żony wiceprezydenta, żon pięćdziesięciu kongresmenów i ponad stu kongresmenów, w kwestii ochrony będzie wielkie zamieszanie. Większość wodzów przybędzie, by się upewnić, że ich Indianie nie pozwolą na oskalpowanie nikogo ważnego.

– Wiem, pierwotnie sam zostałem wyznaczony do tego zadania. Co to nam daje?

– Prezydent, pod naciskiem pana Churcha, skontaktował się ze wszystkimi szefami, by oddali się nam do dyspozycji. Możemy ustalić terminy spotkań i osobiście z nimi porozmawiać.

– Podczas tak ważnego wydarzenia? – Wybałuszyłem oczy.

– Cóż... będziemy musieli wybierać odpowiednie momenty – przyznała.

Byłem sceptyczny.

– Wszystko pięknie, ale jak możemy przepytac ich wszystkich podczas trwania tych przemów?

– Uroczystosc ponownego poswiecenia trwa zaledwie dwie godziny.

– Racja – powiedzialem. – W porzadku, wsiadajmy na kon i ruszajmy.

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi

El Mudżahid, motel Motorways, 4 lipca

Wojownik siedział na motelowym łóżku w bawełnianych spodniach i koszulce bez rękawów, która ukazywała jego masywne barki, byczy kark i muskularne ramiona. Zdjął bandaż, by goście mogli przyjrzeć się jego twarzy. Rana była sinoczerwoną linią otoczoną zielonkawymi i fioletowymi sińcami.

Dwaj mężczyźni siedzący na kanapie gapili się na niego. Ahmed, brat Amiry, siedział po lewej, a na jego twarzy malowała się troska o szwagra. Towarzyszył mu młody czarnoskóry mężczyzna w okularach w drucianej oprawie. Na głowie miał zrobioną na szydełku czapkę *kufi*, spod której wystawały krótko przycięte włosy. Nazywał się Saleem Mohammad, ale urodził się dwadzieścia sześć lat wcześniej jako John Norman w zachodniej Filadelfii. Ukończył studia teatralne na Tempie University ze specjalizacją w makijażu scenicznym i projektowaniu kostiumów. Przez dwa lata po ukończeniu studiów pracował na Broadwayu i poza nim, ale przed osiemnastu miesiącami poznał czarnoskórego amerykańskiego mułę, który najpierw przedstawił mu nauki Mahometa, a później bardziej radykalne nauki El Mudżahida. Saleem był urzeczony i przez kolejne miesiące przeszedł płynnie od studiowania Koranu do bardziej wyspecjalizowanych studiów polityki fundamentalistów. Tłumiona przez lata wściekłość wypłynęła na powierzchnię i zagotowała się, kiedy zobaczył nagrania przemówień El Mudżahida przeciwko wtrącaniu się krajów Zachodu w bliskowschodnią kulturę i religię. W przeciwieństwie do wielu nawróconych Saleem był całkowicie gotów przyjąć przekonanie, że zapewnienie bezpieczeństwa wyznawcom jedyne prawdziwego Boga wymaga czasami skrajnych środków. Saleem miał wygląd artysty, którym bez wątpienia był, ale w jego piersi biło serce prawdziwego bojownika o Wiarę.

El Mudżahidowi Saleem wydawał się bardzo młody, ale Wojownik widział w jego oczach znajome ognie. Cieszyły go. Młody mężczyzna go bawił, ale jednocześnie głębia jego przekonania napełniała go dumą. Przez prawie godzinę omawiali pisma i modlili się razem. Teraz, po zwinięciu dywaników modlitewnych, siedzieli i rozmawiali. El Mudżahid zdjął koszulę i bandaż, żeby Saleem mógł się przyjrzeć.

– Poradzisz sobie? – spytał Wojownik.

– Tak. To, o co prosisz, jest... proste. To znaczy nie ma w tym nic szczególnego. – Saleem spojrzał na Ahmeda. – Wydawało mi się, że chciałeś, żebyśmy zrobił coś trudnego?

Ahmed pokręcił głową.

– Powiedziałem, że chcę, żebyś zrobił coś ważnego.

– Musi ukryć wszystko – stwierdził El Mudżahid. – Ranę i sińce.

Saleem uśmiechnął się szeroko.

– Daj mi godzinę, a mogę ci zagwarantować, że nikt cię nie pozna ani nie zauważy tego obrażenia. W mieszkaniu mam wszystko, co konieczne.

– Doskonale.

Ustalili godzinę, o której Saleem miał powrócić, i młody mężczyzna wyszedł. Wydawał

się nieco oszołomiony spotkaniem z El Mudżahidem. Jeden z agentów Ahmeda śledził go ukradkiem, choć zarówno on, jak i sam Wojownik byli przekonani, że chłopak jest oddany sprawie. Po jego wyjściu El Mudżahid włożył koszulę i zapiał ją.

– Gault wie już, że uniknąłem jego zabójców i że mamy urządzenie wyzwalające – powiedział El Mudżahid. – Gdyby był prawdziwym mężczyzną, już by się wycofywał. Musi być bardzo zdezorientowany przebiegiem wydarzeń. – Zawahał się. – Gdzie jest ładunek od Amiry?

– Andrea zainstalowała go przed tygodniem, jest bardzo sprytnie ukryty. Nikt go nie odkryje – powiedział Ahmed, mówiąc o swojej amerykańskiej dziewczynie, kobiecie, którą przed kilku laty nawrócił na ich wersję islamu.

Wskazał na walizkę, którą ze sobą przyniósł.

– Którą wersję wysłała Amira? Wypróbowałem generację siódmą na wiosce i byłem pod wrażeniem.

– Generację dziesiątą.

– Dziesiątą – sapnął Wojownik. – Chcesz powiedzieć, że generacja siódma...

Ahmed uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Moja siostra jest ambitna i przepełnia ją wielki gniew wobec zachodniego szatana. Nie powiedziała wiele w swojej zaszyfrowanej wiadomości, ale mówiła, że zmiecie Amerykę jak tchnienie Boga.

El Mudżahid wymamrotał modlitwę.

– Twoje ubranie, dowód tożsamości, broń... tu jest wszystko. Kiedy Saleem skończy swoje magiczne sztuczki, będziesz mógł chodzić między nimi, nie wzbudzając podejrzeń. Wszystko jest załatwione, bracie, a Andrea będzie na miejscu, żeby się upewnić, że wszystko pójdzie gładko. – Przerwał i nerwowo oblizwał wargi. – Jeszcze jedno. Moja siostra coś nam przysłała. Wysłała to z wykorzystaniem kanałów Gaulta, przesyłka została wczoraj wieczorem dostarczona przez międzynarodową firmę kurierską specjalizującą się w materiałach niebezpiecznych do szpitala w Trenton w New Jersey. Towarzyszące dokumenty i formularze były idealne, więc nikt nawet nie uniósł brwi. Moja siostra jest bardzo sprytna.

– Owszem. Co przysłała?

Ahmed się uśmiechnął.

– Cóż... przesyłka została opisana jako próbki do badań biologicznych. Coś związanego z zarazą roślin. I większość zawartości rzeczywiście tym była, została wysłana z jednego z laboratoriów Gaulta w Indiach do jego centrum badawczego w Stanach, ale z dwudziestu czterech fiolek materiałów zakaźnych dwie zawierały coś zupełnie innego. – Zawahał się i powtórzył: – Zupełnie innego, chwała niech będzie Allahowi.

– Powiedz mi...

– Wysłała dwunastą generację *Seifal Din*.

– Potrzebujemy więcej? Wydawało mi się...

Ahmed pokręcił głową.

– To nie broń, bracie mój. Jeśli dziesiąta generacja to Miecz, dwunasta generacja jest tarczą.

Wojownik wydawał się zdezorientowany, ale gdy w końcu zrozumiał, odetchnął głęboko, a jego ciało opuściło napięcie.

– Chwała niech będzie Allahowi, dla niego wszelkie błogosławieństwo.

Ahmed uściskał ramię El Mudżahida.

– Udało jej się! – powiedział podekscytowanym szeptem. – Mamy antidotum. Amira dokonała czegoś, co nie udało się nikomu innemu... stworzyła lekarstwo na zarazę. Możemy uwolnić ją tak, jak zaplanowaliśmy, a później zginą tylko bezbożni Amerykanie,

ale my... my, bracie... przeżyjemy!

Pokój zakołysał się i El Mudżahid osunął się z krzesła na kolana. Od tygodni psychicznie i duchowo przygotowywał się do samobójczej-jak uważał-misji. Akceptował wolę Allaha i świadomość, że wypuszczony na Amerykanów *Seifal Din* musi go zabić. Jakże niewielka cena za zadanie zabójczego ciosu nieporównywalnego z niczym. Całkowite unicestwienie Amerykanów i ocean między ziemią jałową, którą miała stać się Ameryka Północna, a resztą świata. Ale teraz... teraz!

Opuścił głowę do podłogi i wychwalał Allaha, płacząc z radości, płacząc ze świadomością, że jedyny prawdziwy Bóg postanowił go ocalić i pozwolić mu kontynuować walkę w imię Jego prawdy na Ziemi. Raj był cudowną obietnicą, ale El Mudżahid był wojownikiem i żałował, że musi odejść z pola bitwy, gdy tak wiele pozostawało jeszcze do zrobienia.

W oczach Ahmeda pojawiły się łzy, on również ukląkł obok szwagra i przyjaciela, i razem się modlili. Obaj wiedzieli, że wszystko się uda, że nic nie może już powstrzymać *Seifal Din*.

Nic.

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci

Magazyn WDN, Baltimore, sobota, 4 lipca, 6:44

Wzięliśmy dwa samochody, dwa nowiułki, należące do WDN bmw X6, wyposażone jak auta Jamesa Bonda: liczne schowki, nagrywanie obrazu przed samochodem i za nim, łączność z satelitami szpiegowskimi, a nawet gniazda karabinów maszynowych z przodu i z tyłu ukryte pod atrapą świateł przeciwmgielnych. Church naprawdę kochał swoje zabawki.

– Żadnych wyrzucanych foteli? – spytałem Grace, kiedy wsiedliśmy do pierwszego auta.

– Żartujesz, ale rzeczywiście mamy porsche cayenne z możliwością katapultowania siedzenia kierowcy i pasażera.

– Naprawdę? – Wyszczrzyłem się i odezwałem z akcentem Seana Connery'ego. – Nazywam się Ledger. Joe Ledger.

Posłała mi lodowate spojrzenie.

– Bóg mi świadkiem, że jeśli nazwiesz mnie Pussy Galore albo Holly Goodhead, zastrzelę cię i zostawię na poboczu.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – powiedziałem, a pod nosem dodałem: – Panno MoneyPENNY.

– Poważnie mówię. Trup w rowie.

Zrobiłem gest zamykania ust na zamek. Wszyscy włożyliśmy ciemne garnitury, czerwone krawaty i białe koszule, na kłapach mieliśmy niewielkie naszywki z amerykańską flagą, a za uszami przewody. Niezła robota jak na coś, czego przygotowanie zajęło dwanaście godzin.

Owszem, ja mogę nosić gotowe ubrania, ale Królik jest wielki jak łoś. Podziwiałem sieć kontaktów Churcha. To musi być miłe, mieć tak wielu znajomych w tak wielu „branżach”. Pewnego dnia zamierzałem się dowiedzieć, kim, do diaska, jest Church.

Co zaś się tyczy sprzętu, miałem przy sobie swoją starą, dobrą czterdziestkę piątą, przyciśniętą do żeber, z dwoma dodatkowymi magazynkami u pasa. Nad prawą kostką ukryłem uroczy, malutki bezkurkowy rewolwer kaliber .38, Smith & Wesson Model 642 Airweight Centennial – jedną z najlepszych broni wsparcia dostępnych na rynku. Zabrałem również Rapid Response Folder, nóż taktyczny z zaczepem, otwierany strzepnięciem ręki. Ostrze nie było długie, zaledwie osiem i pół centymetra, ale w oczach doświadczonego nożownika śmiertelnie niebezpieczne. Ja jestem bardzo dobrym nożownikiem, a szybkość uważam za ważniejszą od długości ostrza. Miałem przy tym wrażenie, że trochę za bardzo się wystroiłem jak na tę imprezę, w końcu mieliśmy rozmawiać z urzędnikami państwowymi, a nie szturmować Bastylię. Ja jednak jestem jednym z tych gości, którzy uważają motto skautów za jedną z najważniejszych i najbardziej rozsądnych rad: „Bądź przygotowany”.

Grace wyglądała bardzo ładnie w dopasowanym kostiumie, który z jednej strony doskonale ukrywał broń, a z drugiej podkreślał kształty. Nie ma mowy, musiał być szyty na miarę. Nałożyła odrobinę makijażu i bardzo kuszącą różową szminkę. Makijaż nie

wykraczał poza profesjonalne standardy, ale byłem cholernie pewien, że szminkę wybrała w zupełnie innym celu – miałem tylko nadzieję, że nie przemawiało przeze mnie męskie ego albo myślenie życzeniowe.

– Dobrze pani wygląda, pani major – powiedziałem tylko.

Mówiąc, uśmiechnąłem się do niej swoim najlepszym uśmiechem, tym, który sprawiał, że wokół moich oczu pojawiały się zmarszczki. Grace jednak nie zawróciła na tył budynku i nie zaczęła się rozbiierać. W świetle tego uśmiechu jej opanowanie było godne podziwu.

– Zapnij pasy – powiedziała w taki sposób, że nadała swoim słowom co najmniej pięćdziesiąt możliwych znaczeń.

W chwili gdy ruszyliśmy w stronę głównego wejścia do Magazynu, ktoś stanął nam na drodze: Rudy, również w stroju agenta Secret Service. Grace zwolniła, a kiedy się zatrzymała, Rudy otworzył tylne drzwi i wsiadł do środka.

Odwróciłem się do niego.

– Halloween jest dopiero w październiku.

– Bardzo śmieszne – mruknął i wcisnął mi w rękę odznakę w skórzanych okładkach.

– Rudolfo Ernesto Sanchez y Martinez, lekarz medycyny. Agent specjalny, Secret Service. To jakiś żart?

– Jeśli tak, to jedynie pan Church zna puentę.

Grace się uśmiechnęła.

– Zrobił pan duże wrażenie na panu Churchu, doktorze.

– Mów mi Rudy.

– Przepraszam. Powiedział mi, że parę dni temu porządnie go przepytaleś.

Byłem zaskoczony.

– Przyznał się do tego?

– Nie wchodził w szczegóły, ale robił wrażenie, że nieźle go odczytałeś.

– Interesujące – powiedział Rudy. – Joe... on chce, żebym był z wami, kiedy będziecie prowadzić rozmowy.

– Nie mam nic przeciwko, Rude, ale jeśli w coś się dziś wpakujemy... – Nie dokończyłem.

– Nie martw się, kowboju, wtedy ucieknę i się schowam. Jestem kochankiem, nie wojownikiem.

Grace odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Załóżę się, że dobrze byś sobie poradził.

Jej słowa znów można było zinterpretować na wiele różnych sposobów. Rudy elegancko pochylił głowę i usadowił się wygodniej.

– Masz broń? – spytałem go.

Na prośbę Rudy'ego przed kilku laty nauczyłem go strzelać – niedługo po tym, jak rozpoczął pracę jako policyjny psychiatra. Uznał, że będzie mu łatwiej zrozumieć pacjentów, jeśli w pełni pojmie potęgę – realną i wyobrażoną – broni palnej.

– Widziałeś, jak strzelam, kowboju. Czy byłbym zdolny nosić broń palną w miejscu publicznym?

– Nie byłoby to w najlepszym interesie bezpieczeństwa publicznego.

– No i widzisz.

Grace wrzuciła bieg i wytoczyliśmy się z Magazynu, za nami jechał oddział Echo. Kiedy znaleźliśmy się na 1-95, kierując się w stronę Filadelfii, Rudy spytał:

– Czy prawdziwa Secret Service nie zorientuje się, że jesteśmy lipni?

Grace wzruszyła ramionami.

– Tylko jeśli im powiemy, a powiemy tylko tym, którzy muszą wiedzieć. Nasze uwierzytelnienia są jak najbardziej prawdziwe, podpisane przez samego prezydenta.

– A niech to – powiedział Rudy.

Nie głosował na obecnego prezydenta, ale urząd i to, co symbolizował, były większe i bardziej znaczące od osoby, która go sprawowała. Może większe od wszystkich prezydentów razem wziętych. Pewna doza szacunku była wymagana niezależnie od osobistych poglądów politycznych.

– To duża władza.

– Pan Church zna... – zaczęła mówić Grace, ale Rudy jej przerwał.

– Nie, to duża władza dla nas. Naszego oddziału. – Zawahał się. – Naszej ósemki. – Kiedy odwróciłem się w jego stronę, mówił dalej: – W WDN wciąż mamy zdrajcę, a to oznacza, że jeden z mężczyzn w jadącym za nami samochodzie może być szpiegiem albo zabójcą. Albo, co gorsza, sympatyzować z terrorystami. – Pomachał odznaką. – A to jest przepustka pozwalająca na nieograniczony dostęp do żony prezydenta i połowy Kongresu. Czy to mądre?

Grace uśmiechnęła się w lusterku wstecznym.

– Pan Church jest przekonany, że zachowamy panowanie nad sytuacją.

– Sala dwanaście – odpowiedział Rudy.

Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty

Sebastian Gault, prowincja Helmand, Afganistan, 4 lipca

Helikopter Gaulta wylądował dwieście kilometrów od Bunkra, w pobliżu placówki WHO. Kierownik placówki, posiwiący epidemiolog nazwiskiem Nasheef, chętnie pożyczył Gaultowi samochód, ale ostrzegł go o niebezpieczeństwach wiążących się z podróżowaniem przez afgańską pustynię bez wojskowej eskorty.

– Nic nam nie będzie – zapewnił go Gault. – Mamy dokumenty uwierzytelniające z Czerwonego Krzyża i WHO. Nawet tutaj zwykle zapewniają nam bezpieczny przejazd.

Ale Nasheef upierał się przy zapewnieniu im kierowcy, swojego krzepkiego bratanka, który walczył w partyzantce przeciwko Sowiecom. Żadna argumentacja go nie zniechęcała, a zbyt wielki upór wzbudziłby podejrzenia, więc niechętnie się zgodzili.

Godzinę później wyjechali z obozu, kierując się na zachód.

Gault odzyskał swoją dominującą pozycję w relacji z Zabawką, choć od czasu do czasu powracało wspomnienie Bagdadu i policzka.

– Jedźcie z Bogiem! – zawołał za nimi Nasheef.

Obaj się uśmiechnęli z zupełnie niewłaściwych powodów.

Rozdział dziewięćdziesiąty piąty

Filadelfia, Pensylwania, 4 lipca, 9:39

W miarę zbliżania się do Filadelfii ruch gęstniał coraz bardziej. Drużyna baseballowa The Phillies grała dwa mecze jeden po drugim, a w Wachovia Center niedaleko lotniska zorganizowano koncert gwiazd rocka pod hasłem Freedom Rocks. Do tego około pół miliona ludzi kierowało się w stronę Centrum Wolności.

W sumie miał to być najważniejszy, najgłośniejszy i najbardziej ruchliwy dzień w historii Filadelfii.

– Cudowny dzień na podróż – mruknął Rudy z tylnego siedzenia.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedziała Grace, zjeżdżając z 1-95 w pobliżu Penn's Landing.

Ja sam zadzwoniłem z wyprzedzeniem i załatwiłem dwóch gliniarzy na motocyklach, którzy mieli wyjechać nam na spotkanie i eskortować nas przez korki.

Grace opowiedziała nam o ludziach, z którymi mieliśmy porozmawiać. Różnymi aspektami bezpieczeństwa zajmowało się sześć różnych agencji. Nas najbardziej interesowało dwóch – Robert Howell Lee, dyrektor operacji specjalnych we wspólnym dowództwie FBI i Bezpieczeństwa Krajowego, oraz Linden Brierly, dyrektor regionalny Secret Service i łącznik z jego macierzystym departamentem w Bezpieczeństwie Krajowym. Tych dwóch rekomendowało więcej rzeczywistych i potencjalnych członków WDN niż wszystkie pozostałe agencje razem wzięte. Obaj mieli rozległe kontakty w armii i przysyłali kandydatów ze wszystkich rodzajów wojsk. Sądziliśmy, że najlepiej wykorzystamy czas, jeśli zaczniemy od nich. To oni również byli w największym stopniu odpowiedzialni za bezpieczeństwo uroczystości.

Robert Howell Lee wraz ze swoimi agentami FBI odpowiadał za zabezpieczenie obiektu i nadzorował wszystkie porozumienia między lokalnymi, stanowymi i federalnymi stróżami prawa. Wśród dalekich przodków miał Richarda Henry'ego Lee, człowieka, który przyjechał z Wirginii na pierwszy Kongres Kontynentalny z rezolucją wzywającą do ogłoszenia niepodległości. Był ambitnym pięćdziesięciolatkiem, który z pewnością miał szansę zostać następnym szefem FBI albo nawet Bezpieczeństwa Krajowego.

Drugi mężczyzna, Linden Brierly, był równie skupiony na karierze i brał udział w kilku kluczowych fazach przechodzenia Secret Service pod kierownictwo Bezpieczeństwa Krajowego po jedenastym września. To Brierly miał nadzorować bezpieczeństwo osobiste pierwszej damy i jej otoczenia.

Obaj byli potężnymi ludźmi, patriotami, a jednocześnie doświadczonymi agentami i politykami. Jedno niewłaściwe posunięcie, a nie tylko zagrozilibyśmy bezpieczeństwu imprezy, ale też moglibyśmy wpakować się w tarapaty tak wielkie, że nawet wpływy Churcha nie ocaliłyby WDN. Było to ryzykowne z paru ważnych przyczyn – kariery zawodowej wszystkich powiązanych z WDN, jak również przekonania – które teraz podzielałem – że żadna inna organizacja rządu USA nie jest zdolna tak dobrze jak WDN przeciwstawić się zagrożeniom w rodzaju tych, którym stawialiśmy czoło przez ostatnie

kilka dni. Jedno niewłaściwe słowo do któregoś z tych dwóch gości i sytuacja mogła się wyrwać spod kontroli.

Ale żadnej presji, prawda?

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Grace.

Rozdział dziewięćdziesiąty szósty

Amira, Bunkier, Afganistan

– Nadjeżdża!

Amira odwróciła się od wielkiej szklanej klatki w centralnym laboratorium, gdy do środka wpadł Abdul. Jedyłą jej reakcją na jego wybuch był uśmiech.

– Słyszałaś mnie? – spytał ostro.

Przez ramię miał przerzuconego kałasznikowa, a na jego twarzy malował się gniew.

– Słyszałam cię, Abdulu – powiedziała głosem miękkim i rozmarzonym.

– I... jakie są twoje rozkazy? Mam go zabić?

Amira zamrugła powoli, raz, dwa razy.

– Zabić Sebastiana? – Zaśmiała się nagle, jakby to był cudowny żart. Zasłaniała przy tym usta jak nastolatka. – Jest sam?

– Ma ze sobą asystenta i kierowcę.

– Dobrze. Wpuść ich.

– Wpuścić ich? Tutaj? – powtórzył z niedowierzaniem. – Amira... on musi być świadom tego, co robimy. Przyjechał, żeby nas zamknąć!

– Zamknąć nas? – Znow się zaśmiała.

Abdul gapił się na nią. Oczy Amiry były niemal szkliste. Wyglądała jak pod wpływem narkotyków. Albo gorzej, pijana! Ale nie, to nie do pomyslenia.

– Na pewno nie chcesz, żeby tu przybył. Nie teraz. Nie, kiedy wie.

Pokręciła głową.

– Ile minie czasu, zanim tu dotrze? Do bunkra?

– Trzydzieści minut.

– Zbierz personel w jadalni.

– Z jakiego powodu? – spytał, a wtedy senne spojrzenie Amiry na chwilę się wyostriło.

Z jej pięknych oczu patrzyło na niego coś zimnego i gadziego. Abdul odruchowo cofnął się o krok.

Amira wygięła wargi i odwróciła się, by spojrzeć przez szkło na potwory, które stworzyła. Cztery, a każdy z nich drapał ściany ze wzmocnionego szkła. Ich oczy płonęły jak czarne gwiazdy.

– Masz rozkazy, Abdulu – powiedziała, nie odwracając się.

Cofnął się do drzwi, gniew walczył w nim z wątpliwościami. Patrzył, jak Amira przyciska dłoń do szkła, a później pochyla się tak, że jej policzek dotyka chłodnej powierzchni. Cztery potwory po drugiej stronie odpychały się nawzajem, by do niej dotrzeć.

Abdul uciekł.

Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 Upca, 10:28

Staliśmy w Centrum Dzwonu Wolności, które znajduje się przy Market Street między Piątą a Szóstą Ulicą w starej części Filadelfii. Ze względu na udział oddziału specjalnego w ochronie uroczystości, przez ostatnie kilka miesięcy miałem okazję kilka razy zwiedzić ten gmach i dobrze orientowałem się w jego rozkładzie. Nowy budynek był sercem wartego trzysta milionów dolarów projektu renowacji okolic Pasażu Niepodległości. W samo Centrum, otwarte w październiku 2003 roku, wtopili prawie trzysta milionów. Budynek miał powierzchnię ponad tysiąca dwustu metrów kwadratowych, był przestronny, dobrze oświetlony i fascynujący dla każdego turysty i wielbiciela historii. Sam dzwon spoczywa w szklanej komorze zaprojektowanej tak, by go powiększać, zatem każdy z ponad miliona odwiedzających rocznie ma szansę mu się dobrze przyjrzeć.

Myślę, że wszyscy czuliśmy się nieco przytłoczeni tym, co symbolizowało to miejsce. Podczas jednej z wycieczek dowiedziałem się, że to tak naprawdę drugi dzwon – pierwszy został odlany w Whitechapel w Anglii, ale pękł wkrótce po odlaniu. Dwaj miejscowi kotlarze, Pass i Stów, odlali go ponownie ze stopu miedzi, cyny i śladowych ilości ołowiu, cynku, arsenu, złota i srebra, ale drugi dzwon również pękł.

To na niego patrzyliśmy. Nazwiska Pass i Stów wytłoczono z przodu dzwonu. Rudy pochylał się i przeczytał resztę inskrypcji: „Oznajmijcie wyzwolenie w kraju dla wszystkich jego mieszkańców^[1] – Księga Kapłańska XXV, w. X. Na polecenie Zgromadzenia Prowincji Pensylwania dla siedziby władz w Philadzie”.

– Zrobili błąd ortograficzny w nazwie stanu – zauważył Kapi.

Pokręciłem głową.

– W tamtym czasie była to jedna z kilku dopuszczalnych pisowni.

– Cholerstwo jest pęknięte – powiedział Królik z uśmiechem.

Za nami znajdowało się drugie duże podwyższenie, które jednak zasłaniał namiot w barwach amerykańskiej flagi, a wewnątrz znajdował się nowy Dzwon Swobody. Ponieważ w ten dzwon miano uderzać przy szczególnych okazjach, nie otoczono go powiększającym szkłem. Jedynie czas miał pokazać, czy ten dzwon okaże się odporny na pęknięcia.

Oba dzwony symbolizowały wszystko, o co WDN walczył, w imię czego cierpiał i za co umierał. Oznaczały nieskalane ideały wolności, demokracji i sprawiedliwości. Mimo licznych wad ojcowie założyciele byli w większości pełni dobrych chęci. Wolność wypowiedzi, wolność wyznania. Prawo do życia. Nawet jeśli założycielom nie udało się znieść niewolnictwa i nadać takich samych praw obu płciom, przynajmniej zaczęli. Wolność dzwoniła nad ziemiami i nad oceanami, aż przynajmniej jej obietnicę usłyszano we wszystkich krajach świata.

Bez odwagi i optymizmu nie stalibyśmy tu razem. Mężczyźni i kobiety, czarni i biali, obcy i miejscowi, zjednoczeni w jednej sprawie – by stawić odpór nienawiści i zniszczeniu.

Mimo wieloletniego praktykowania cynizmu poczułem przypływ szczerego

patriotyzmu.

Stojący obok mnie Rudy powiedział:

– To rzeczywiście zmienia perspektywę, co?

– Tajes – mruknął cicho Starszy.

– Major Courtland...?

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy idącego w naszą stronę potężnego mężczyznę w doskonale skrojonym grafitowym garniturze z cienkiej tkaniny. Wyciągnął rękę, a na jego opalonej twarzy malował się uśmiech. Od razu rozpoznałem go z opisu Grace. Linden Brierly, dyrektor regionalny Secret Service. Podeszliśmy i powitaliśmy go przy podium wzniesionym między dwiema gablotami. Konstrukcja o szerokości trzech kroków ugięła się pod czerwoną, białą i niebieską tkaniną i jeżyła od mikrofonów, z których żaden nie był włączony. Sprawdziłem.

Grace nas przedstawiła i wyciągnęła rękę. Brierly uściśnił ją stanowczo.

– Przepraszam, że wykorzystujemy Secret Service jako naszą przykrywkę, sir – powiedziała. – Prezydent uznał, że w tych okolicznościach to najlepsze rozwiązanie.

Brierly nawet się zawahał.

– Jasne, jasne, rozumiem – powiedział, choć pewnie nie był zachwycony.

Ja na jego miejscu też bym nie był, ale nie zaszedłby tak daleko w karierze, gdyby pokazywał po sobie, że coś mu się nie podoba. Rozejrzał się, żeby się upewnić, że na sali nie ma nikogo poza nim i oddziałem Echo.

– Poznałem pani szefa, pana Deacona. – Przerwał, jego uśmiech nieco spoważniał. – A może Churcha? Są pewne rozbieżności.

– Woli, żeby zwracać się do niego „panie Church”.

– Interesujący człowiek – zauważył Brierly. – Próbowałem go sprawdzić i można powiedzieć, że prawie oberwałem linijką po łapach od naszego głównodowodzącego.

Grace również się uśmiechnęła, ale nic nie powiedziała, Rudy też nie. Ja ćwiczyłem stoicką minę rzeźby.

Brierly zaczął chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– W porządku, rozumiem. Żaden problem, pani major. Proszę mi powiedzieć, co mogę dla państwa zrobić?

Uzgodniłem z Grace, że ona zajmie się Brierlym, a ja Lee, zatem to ona się odezwała.

– Sir – powiedziała – chcielibyśmy omówić kandydatów, których zaproponował pan dla WDN.

Te słowa sprawiły, że uśmiech Brierly'ego nieco przygasł.

– Dlaczego, pani major?

Zamiast odpowiedzieć, spytała:

– Co może mi pan powiedzieć o ludziach, których pan rekomendował? – Wyrecytowała jedenaście nazwisk, w tym sierżanta Michaela Sandersona, jednego z ludzi Dietricha, oraz podporucznika Olivera Browna. Pozostałych jeszcze nie poznałem.

Widziałem, jak Brierly posyła krótkie spojrzenie w stronę Olliego, po czym znów wraca do Grace.

– Czy mogłaby pani mówić nieco konkretniej?

– Po prostu musimy doprecyzować pewne kwestie – odparła z uśmiechem.

– I z takiego powodu machacie rozkazem prezydenta?

Grace nie odpowiedziała.

Brierly cmoknął.

– W porządku – powiedział – tu mnie macie.

Zesztywniałem, ale on natychmiast uśmiechnął się szerzej.

– Parę moich rekomendacji nie było do końca bezinteresownych, muszę to przyznać.

Mike Sanderson to syn mojego starego przyjaciela. Kiedy odszedł z wojska i przeszedł do służb, jego kariera stanęła w miejscu. Sądziłem, że wystrzeli w górę jak rakieta, ale nie został wybrany do ochrony prezydenta, a ci, którym się to nie udało, później zwykle z trudem utrzymują się na powierzchni. Obiecałem jego tacie, że się o niego zatroszczę, a WDN wydawało się szansą na nowy początek.

– A porucznik Brown? – spytała Grace.

Brierly się zarumienił.

– Cóż... to nieco bardziej niezręczne i nie jestem pewien, czy w ogóle powinniśmy o tym rozmawiać.

– Sir, jesteśmy tu na polecenie samego prezydenta.

Brierly westchnął i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń między Grace a mną, napinając mięśnie szczęki. Zastanawiał się, a my mu na to pozwoliliśmy. W końcu stwierdził:

– W porządku, ale jeśli ta informacja wycieknie, to będzie wasza wina, bo ja jestem cholernie pewien, że nigdy jej nie wyjawiałem, poza tym, co tu i teraz. – Skinął głową, podejmując decyzję. – Od czasu WTC Bezpieczeństwo Krajowe i Secret Service przeprowadziły pewną liczbę ściśle tajnych operacji. Niezaksięgowanych, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć.

– Oczywiście, sir – powiedziała Grace.

Pokiwałem głową. Wiele z czarnych operacji nigdy nie zostaje nigdzie opisanych. Wiarygodne zaprzeczenie jest łatwiejsze bez śladów w dokumentach.

– Ollie nigdy nie był w Iraku. To była, no, przykrywka. Przez cztery lata służył w Delta Force i brał udział w ponad dwudziestu operacjach. Wyjątkowych. Zadania związane z wywiadem wojskowym, służbami, Bezpieczeństwem Krajowym i CIA... ostatnio, do chwili przeniesienia do WDN, porucznik Brown oficjalnie był agentem Secret Service, ale wypożyczaliśmy go Firmie.

– Wiemy, że jest z CIA – stwierdziłem. – Chce pan powiedzieć, że jest kimś więcej niż tylko jednym z ich tajnych agentów?

Chrząknął.

– Kapitanie, zanim go przeniosłem, był jednym z najlepszych rządowych agentów. Tajne akcje, infiltracja i szczególne umiejętności... pełen zestaw. – Brierly spojrział w stronę młodego mężczyzny, który stał stanowczo wyprostowany i patrzył w naszą stronę. – A do tego wszystkiego jest najlepszym zabójcą, jakiego kiedykolwiek widziałem.

1 Tłumaczenie na podstawie Biblii Tysiąclecia.

Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy

El Mudżahid

– Jak wyglądam? – spytał Wojownik.

Ahmed odwrócił się na siedzeniu i uśmiechnął szeroko.

– Doskonale! Sama Amira by cię nie poznała!

El Mudżahid wychylił się i po raz ostatni przyjrzał się swojemu odbiciu w lusterku wstecznym forda explorera. Niebieskie szkła kontaktowe, profesjonalna farba, która nadała jego włosom rudą kolor, starannie wymodelowane lateksowe nakładki i makijaż, dzięki któremu miał bladą cerę i piegi – wszystko to sprawiało, że Wojownik wyglądał na nieco wychudzonego młodego Irlandczyka. Saleem użył nawet specjalnej taśmy, by nos El Mudżahida wydawał się zadarty, a nakładki na dziąsłach uwydatniły jego kości policzkowe. Nawet on sam nie widział człowieka pod makijażem.

– Ten chłopak jest czarodziejem – zgodził się Wojownik.

– A teraz... jeszcze jedno – powiedział Ahmed, wyciągnął ze schowka na rękawiczki niewielką torbę, rozpiął ją i wyjął strzykawkę. Płyn wewnątrz był zielono-żółty, w blasku słońca niemal migotał. – Podwiń rękaw.

El Mudżahid zrobił to i wyciągnął rękę. Nawet się nie skrzywił, kiedy Ahmed wbił mu igłę w ciało i wstrzyknął całą zawartość strzykawki.

– Amira powiedziała, że antidotum będzie najsilniej działać po czterdziestu minutach od wstrzyknięcia – powiedział Ahmed – i radziła, żebyś w tym momencie uwolnił zarazę. Powiedziała, że powinieneś być całkowicie chroniony, ale także, że kiedy uruchomisz urządzenie, powinieneś jak najszybciej uciekać. – Odetchnął. – Poza tym bardzo szybko zrobi się tam bardzo brutalnie.

El Mudżahid spojrział na zegarek na nadgarstku.

– Wtakim razie lepiej ruszajmy.

Ahmed pokiwał głową, wyjął drugą strzykawkę i zrobił sobie zastrzyk. Miał na sobie hawajską koszulę w tukany, a antidotum wstrzyknął wysoko na ramieniu, w niewidocznym miejscu. Odłożył torebkę z powrotem do schowka na rękawiczki. Zawiesił na szyi smycz z plastikowym identyfikatorem z napisem „Prasa”.

– Masz tylko dwie dawki? – spytał Wojownik. – A co z twoją kobietą, Andreą?

– Jest kobietą. – Ahmed rozłożył szeroko ręce. – Wszyscy musimy się poświęcić.

El Mudżahid pokiwał głową. Jego poświęcenie dla sprawy również miało związek z kobietą.

– Nie ma Boga prócz Allaha – szepnął Ahmed.

– A Mahomet jest Jego prorokiem – zgodził się El Mudżahid.

Ahmed wrzucił bieg i odjechał.

Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 11:26

Brierly powiedział nam, że nie zmienił zdania w kwestii wysłania do nas Olliego i że gotów byłby postawić swoją reputację na to, że Ollie jest w każdym calu „prawdziwym Amerykaninem”. Frazy tej użył trzy razy.

– Posłuchajcie, mam co robić. Pierwsza dama pojawi się tu za kilka minut.

– Możemy pokręcić się po okolicy, sir? – spytała Grace.

Zmarszczył czoło.

– Mogę się spodziewać dziś jakichś problemów?

Wtrąciłem się.

– Zgodziłby się pan chyba, że od czasu jedenastego września wszystkie ważniejsze wydarzenia polityczne i uroczystości państwowe mogą być zagrożone?

Brierly patrzył na mnie przez chwilę, po czym odezwał się niezbyt przyjaznym szeptem.

– Niech pan sobie nie robi ze mnie jaj, kapitanie. Dziś rano dostałem z Waszyngtonu cholernie enigmatyczną notatkę służbową pod hasłem „mieście oczy szeroko otwarte”, ale nie było w niej żadnych szczegółów, a ja naprawdę nie lubię nic nie wiedzieć. Jeśli wasz oddział jest tutaj z powodu określonego zagrożenia, ja muszę o nim wiedzieć, i to natychmiast.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć w podobny sposób, ale Grace stanęła między nami, wzięła Brierly'ego za łokieć i wyprowadziła go poza zasięg słuchu wszystkich obecnych na sali. Przez trzy minuty stali nachyleni do siebie, a ja widziałem, jak z każdą mijającą sekundą jego ciało sztywnieje coraz bardziej. Później skinął głową i ruszył w stronę drzwi, a szedł takim krokiem, jakby w bokserkach miał pełno odłamków szkła.

– Co mu powiedziałaś? – spytałem, kiedy wróciła do mnie.

– Prawdę – odparła. – A przynajmniej tyle, ile powinien wiedzieć.

– Nie wydawał się zbyt szczęśliwy.

– A ty jesteś?

– Racja.

– Powiedział, że po cichu zwiększy ochronę wokół pierwszej damy. Ma pewną liczbę agentów po cywilnemu, którzy mogą wmieszać się w tłum podczas ceremonii.

– Świetnie. Im więcej, tym lepiej.

Minutę później do sali wszedł inny agent i pośpieszył w naszą stronę. Przedstawił się jako Colby, zastępca Brierly'ego.

– Zostałem poproszony, by zapoznać was z ochroną uroczystości.

Zaprowadził nas do drzwi oznaczonych „Tylko dla personelu”, które były ukryte za parawanem z wydrukowaną Deklaracją Niepodległości.

– Gdybyśmy w nagłej sytuacji musieli zabrać pierwszą damę, agenci odeskortują ją tutaj, a później zamkną za sobą drzwi. Tam są biura i inne pomieszczenia, mamy wyznaczone bezpieczne miejsca, jak również drogę ucieczki.

Kiedy wyszedł, wybrałem numer komórki Roberta Howella Lee, a kiedy zweryfikowałem, że połączenie jest bezpieczne, przedstawiłem się i przeczytałem wiadomość od prezydenta, który nakazywał, by wszyscy zapewnili mi całkowitą i natychmiastową pomoc w śledztwie. Odpowiedzią było długie milczenie, wyobrażałem sobie, że próbował się zorientować, co się, u diaska, dzieje.

Nie powiedziałem mu. Przerwałem ciszę i spytałem, czy mógłby się z nami spotkać w sali z dzwonem.

– Co... teraz? – spytał. – Oszalał pan, kapitanie? Ma pan pojęcie, co się dzieje? Mamy...

– Może mi pan poświęcić kilka minut po przemówieniach – przerwałem. – To nie zajmie długo.

– Może mi pan chociaż powiedzieć, o co, u diabła, chodzi?

Grace wróciła i wraz z Rudym pochylała się w moją stronę, przysłuchując się rozmowie.

„Zagraj tę kartę, Joe” – powiedziała samym ruchem warg.

Tak też zrobiłem.

– Tak, sir, przybyliśmy tu z ramienia Wojskowego Departamentu Nauki.

Pozwoliłem, żeby to przetrawił. Niezależnie od tego, czy był winny, czy nie, informacja była na tyle sensacyjna, że musiał zareagować.

– Jezu Chryste – powiedział. Znów zapadła cisza. – W porządku, dajcie mi kilka minut. Jestem po drugiej stronie Pasażu Niepodległości w centrum komunikacyjnym i muszę znaleźć kogoś, kto mnie zastąpi.

Rozłączył się.

Odwróciłem się do Rudy'ego.

– I jak? Wydawał się przestraszony?

Wzruszył ramionami.

– Wydawał się udręczony.

Grace przytaknęła.

– Bądźmy szczerzy, wybraliśmy sobie kurewsko głupi czas na przybycie.

– Trudno kogoś zaskoczyć, jeśli ma czas się przygotować – zauważył Rudy.

Wzruszyła ramionami, a ja spojrzałem w stronę swojego oddziału. Na twarzy Olliego malowała się absolutna wrogość, tak było od czasu, kiedy zobaczył, że przybyliśmy tu, by porozmawiać z człowiekiem, który skierował go do WDN. Patrzył na mnie tym zimnym wzrokiem snajpera, a ja odpowiedziałem podobnie. Kapi zobaczył wymianę spojrzeń i zmarszczył czoło, a później odsunął się odrobinę od Olliego, jakby nie chciał przeszkadzać. Zauważyłem, że Starszy, Królik i Gus spoglądali od niechcienia to na niego, to na mnie, ale nikt nic nie powiedział.

Drzwi za naszymi plecami otworzyły się i do środka wszedł potężny mężczyzna. Miał na sobie standardowy granatowy garnitur i czerwony krawat Secret Service. Był równie potężny jak Królik, barczysty, rudowłosy, z zadartym irlandzkim nosem.

– Kim pan jest? – spytał ostro Dietrich, ruszając w jego stronę.

– Agent Michael O'Brien – odpowiedział zaskoczony mężczyzna i wyciągnął odznakę. W drugiej ręce trzymał metalowe pudełko. – Zostałem wyznaczony, by sprawdzić salę, zanim wejdzie tu pierwsza dama, by wygłosić przemówienie.

Gus obejrzał identyfikator i zadzwonił, by go sprawdzić, a jednocześnie przeglądał metalowe pudełko. Znajdowały się w nim standardowe elektroniczne skanery i wykrywacze azotanów, które pokazałyby, gdyby ktoś umieścił na sali pluskwy albo materiały wybuchowe. Dietrich pokiwał głową i oddał odznakę.

Sierżant rozłączył się i krótko zasalutował agentowi.

– W porządku, O'Brien... sala jest twoja.

Rozdział setny

Gault; przed Bunkrem, 4 lipca

Rover stał po zawietrznej palmowego zagajnika, około stu metrów od namiotu, który ukrywał wejście do bunkra Amiry.

– A teraz co, sir? – spytał kierowca. – Czy pański kontakt ma się tu z panem spotkać?

– W pewnym sensie – powiedział Gault. – Zabawko? Byłbyś taki miły?

Zabawka bez słowa wyciągnął pistolet i strzelił kierowcy w tył głowy. Siła uderzenia rzuciła mężczyznę na kierownicę, a przednią szybę zalała krew.

– Przepraszam, stary – powiedział Gault, nie patrząc w jego stronę.

Twarz Zabawki była nieruchoma, kiedy wyjął magazynek i uzupełnił nabój. Nie chciał, żeby w kluczowym momencie zabrakło mu jednej kuli. Spojrzał na zegarek.

– Oddział Zellera jest wciąż dwadzieścia minut stąd. Gdzie chcesz na niego poczekać? Nie podoba mi się, że jesteśmy tak odsłonięci.

Zanim Gault zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon satelitarny. Zabawka uruchomił zestaw głośnomówiący. Serce Gaulta zadrżało z nadzieją, że to Amira, ale wtedy rozległ się głos Amerykanina.

– Linia?

– Czysta, przyjacielu. Jak idą sprawy?

Głos Amerykanina drżał.

– Boże... oni wpadli na mój ślad!

– O czym pan mówi?

– WDN... przysłali tu agentów, żeby mnie przesłuchali.

– Chryste! Jak do tego doszło?

– Nie wiem... Sebastianie, musisz coś zrobić.

Gault prawie się roześmiał.

– A czego właściwie ode mnie oczekujesz? Jestem po drugiej stronie świata.

– Muszę się wydostać. Nie udało nam się znaleźć El Mudżahida. Może być gdziekolwiek!

A ci agenci są tutaj... teraz.

– Nie znaleźliście go? – Gault był oszołomiony. – Niech pan mnie posłucha, płacimy panu stanowczo za dużo, żeby pozwalał pan sobie na tak poważne błędy. Niech pan to naprawi!

– Jak? Jedynym, co mógłbym teraz zrobić, byłoby zwrócenie się do zwierzchników, a wtedy wylądowałbym na resztę życia w więzieniu federalnym!

– Pozwolę sobie zasugerować, że aresztowanie będzie najmniejszym z pańskich problemów, nie sądzi pan?

Głos Gaulta był chłodny.

– Co mam zrobić?

– Niech pan zadzwoni, gdzie pan musi, żeby poinformować właściwe władze o zagrożeniu. Niech pan zadzwoni do WDN. Niech pan im powie, że dostał pan anonimową informację, coś w tym rodzaju. Powie im pan o zagrożeniu biologicznym. Tylko niech pan

na litość boską nie wspomina o mnie i spróbuje nie obciążyć również samego siebie. Może uda im się powstrzymać Wojownika, zanim otworzy cholerne wrota piekieł. A później niech pan ucieka jak najdalej. Na jakąś wyspę. Jeśli to coś zostanie wypuszczone, wyspa jest pańską jedyną szansą.

– Boże...

– Ja zamierzam posprzątać po swojej stronie. Sugeruję, żeby pan zrobił to samo. Niech pan będzie bohaterem. Uratuje wszystkich.

Amerikanin wymamrotał coś, co dla uszu Gaulta brzmiało jak Zdrowaś Maryjo, i rozłączył się.

– Kurwa mać – powiedział, wyglądając przez zakrwawioną szybę. – Ten człowiek jest tchórzem i głupcem.

– Dostajesz to, za co płacisz – odparł Zabawka ze zirytowanym westchnieniem. – Oddział Zellera dotrze do Bunkra dopiero za szesnaście minut. Nie możemy tak po prostu tu siedzieć.

– Nie – zgodził się Gault.

Wysiedli z samochodu i wyciągnęli pistolety. Nic się nie poruszyło, więc szybko i cicho ruszyli w stronę szeregu namiotów przy skalnej ścianie. Obóz wydawał się opuszczony, ale kiedy prześlizgiwali się od osłony jednego namiotu do drugiego, znaleźli cztery trupy ułożone w szeregu. Wszyscy mieli związane ręce i kostki i poderżnięte gardła. Ich krew wsiąkła w piasek pustyni, a wokół nich bzyczały muchy. Wszyscy byli ludźmi opłakanymi przez Gaulta.

Zabawka prychnął.

– Tyle w temacie przewagi zaskoczenia.

Rozdział sto pierwszy

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 Upca, 11:47

Agent O'Brien skończył sprawdzanie centrum, zapakował sprzęt do metalowego pudełka i wcisnął je pod podium. Linden Brierly wszedł innymi drzwiami, towarzyszył mu oddział ponurych agentów Secret Service oraz co najmniej czterech członków mojego dawnego oddziału specjalnego. Za nimi podążała połowa kongresmenów, kilkudziesięciu miejscowych polityków, pierwsza dama i żona wiceprezydenta. Cofnęliśmy się pod ścianę i spróbowaliśmy wtopić w tło, jak to zwykle robili agenci Secret Service. Moi dawni koledzy z oddziału patrzyli na mnie dziwnie, ale żaden nie próbował pogadać o starych czasach.

Robert Howell Lee jeszcze nie dotarł. Spojrzałam na Grace, która wzruszyła ramionami.
– Daj mu czas – powiedziała, ale nie było czasu.

Brierly, z wyglądu zdenerwowany i zarumieniony, próbował poprowadzić damy na miejsce między dwoma dzwonami, ale one nie współpracowały. Zatrzymywały się, by się przywitać ze wszystkimi i porozmawiać, a stojący na zewnątrz fotografowie robili im zdjęcia przez wielkie szklane okna. Za nimi całe morze ludzi czekało na rozpoczęcie uroczystości.

W końcu wpuścili do sali około dwustu cywilów, co oznaczało, że wszyscy byli ściśnięci jak sardynki.

Rozejrzałem się dookoła. Starszy i Ollie stali dokładnie naprzeciwko nas, Królik i Kapi byli na mojej trzeciej, a Gus na naszej dziewiątej.

– To będzie cholerny cyrk – mruknęła Grace. – Przygotuj się... Sądzę, że każdy, kto ma garnitur, zamierza wygłosić długą przemowę.

– Cudownie.

Pierwsza dama, wyglądająca bardzo stylowo w ślicznej sukience i absurdalnym kapelusiku, wspięła się na podium i postukała w mikrofon ze zwyczajowym „czy mnie słyszać?”. Co dziwne, jej słowa wywołały śmiech. Zobaczyłem agenta O'Briena przy przeciwległych drzwiach powoli rozglądającego się po tłumie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, skinął mi krótko głową i odwrócił wzrok. Co dziwne, uśmiechał się. Chyba nigdy nie widziałem uśmiechniętego agenta Secret Service. Nie w pracy.

Kiedy pierwsza dama rozpoczęła przemowę, rozejrzałem się po tłumie w poszukiwaniu Roberta Howella Lee, ale moje spojrzenie ciągle wracało do O'Briena. Ten uśmiech mnie niepokoił.

Rozdział sto drugi

Gault; Bunkier

Gault skontaktował się ze swoim oddziałem szturmowym, żeby poinformować ich, że wraz z Zabawką wchodzi do środka.

- Jeśli nie odezwiemy się w ciągu dziesięciu minut, wchodźcie.
- Będziemy na miejscu – zapewnił go kapitan Zeller.

Wtedy Gault i Zabawka weszli do płytkiej jaskini, która prowadziła do śluzy Bunkra. Nie spotkali nikogo, ale nie dali się oszukać i trzymali broń w gotowości. Zabawka stał na straży, a Gault sięgnął do klawiatury ukrytej w ścianie. Nie użył standardowego kodu. Amira była na to zbyt sprytna. Wprowadził sekwencję liczb, która obchodziła zabezpieczenia, wykorzystując furtkę wbudowaną w oprogramowanie. Nowy kod wyłączał wszystkie zewnętrzne kamery monitoringu, w tym te w jaskini i obserwujące tylne wejście. Oddział Zellera mógł teraz podejść niepostrzeżenie.

Gault wpisał drugi kod i drzwi się otworzyły. Nie te prowadzące do wielkiej śluzy – za to na lewo od niego wysoka, wąska skała podniosła się bezgłośnie do góry na siłownikach hydraulicznych, ukazując ciasne przejście. Nikt, nawet Amira, nie wiedział o tym wejściu.

Kiedy drzwi otworzyły się na jego komendę, Gault poczuł, że wraca mu nieco pewności siebie. Amira nie wiedziała wszystkiego o Bunkrze. W końcu to nie był jej obiekt.

Należał do Gaulta.

Rozdział sto trzeci

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 11:59

Pochyliłem się w stronę Grace.

– Nazwij mnie paranoikiem, ale czuję dziwne vibracje od tamtego agenta.

Powiedziałem jej, w którą stronę ma patrzeć, a ona spojrzała ukradkowo na O'Briena, po czym otworzyła klapkę telefonu, żeby zadzwonić z prośbą o rysopis agenta Michaela O'Briena.

– Rysopis się zgadza – stwierdziła, ale wyraz jej twarzy sugerował, że również ma złe przeczucia. Do telefonu powiedziała: – Proszę o bezpieczne połączenie z dyrektorem O'Brierlym.

Zobaczyłem, jak Brierly kręci głową, próbując nas odnaleźć.

– Sir – powiedziała Grace – to może nie być nic ważnego, ale kapitan Ledger ma pewne wątpliwości dotyczące jednego z agentów. O'Brien. Wielki rudy facet przy wejściu dla prasy.

Patrzyliśmy, jak Brierly się odwraca.

– Michael O'Brien? Jest częścią oddziału przysłanego z Waszyngtonu. Chcecie, żebyśmy go usunęli?

– Jeśli uda się wam to zrobić po cichu – powiedziała, a ja się skrzywiłem.

Secret Service umiała zrobić po cichu wszystko. Słowo „tajny” nie pojawiło się przypadkiem, ale rozumiałem, co robiła Grace. Kazała Brierly'emu zrobić coś właściwie, a sposób, w jaki on to załatwi, mógł nam wiele powiedzieć.

– Czekajcie – powiedział i zmienił kanały.

Niemal natychmiast dwaj z jego agentów zaczęli kierować się po obrzeżach sali w stronę O'Briena.

Mój pajęczy zmysł zupełnie sfiksował. Powiedziałem Grace, by znów połączyła się z Brierlym.

* * *

Na podium pierwsza dama zaczęła wygłaszać śmiertelnie nudne przemówienie, które najwyraźniej miało opisywać dzieje Dzwonu Wolności od chwili, gdy ktoś wpadł na ten pomysł, aż po dzień dzisiejszy, minuta po minucie.

– W roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim – wyrecytowała – Zgromadzenie Pensylwanii zamówiło ważący dwa tysiące funtów dzwon, który miał zostać umieszczony na wieży nowej siedziby władz, którą nazywamy teraz Salą Niepodległości.

Jeden z agentów dotarł do O'Briena i pochylił się, by szepnąć mu coś do ucha. Musiał sformułować to jako rozkaz zmiany pozycji, gdyż O'Brien jedynie skinął głową i ruszył w stronę wyjścia, które miał za plecami. Rzędy reporterów sprawiały, że musiał się między nimi przeciskać, dwaj pozostali agenci szli za nim.

– Nie ucieka – powiedziała Grace. – Może się pomyliłeś.

– Jeśli tak, przepraszę – odparłem, ale nadal obserwowałem O'Briena.

– Zamówienie na dzwon zostało wysłane do odlewni w Whitechapel w Anglii – mówiła dalej pierwsza dama – a znany ludwisarz Thomas Lester został zatrudniony, by odlać pierwszy dzwon wolności i wypisać na nim historyczne słowa: „Oznajmijcie wyzwolenie w kraju dla wszystkich jego mieszkańców”. Niestety, pierwszy dzwon popękał wkrótce po zawieszeniu, a dzwon, który miał go zastąpić...

Pierwsza dama mówiła dalej, ale coś, co powiedziała, mną wstrząsnęło, gdy w myślach powtórzyłem te słowa.

„...znany ludwisarz Thomas Lester został zatrudniony, by odlać pierwszy dzwon wolności...”.

– A dziś odsłonimy nowy dzwon, zaprojektowany i odlany przez Andreę Lester, która jest tu z nami. – Wskazała na drobną, poważną kobietę w żółtym kostiumie ze spodniami. –

Pani Lester jest ostatnim potomkiem pierwotnego ludwisarza i mieszkanką Północnej Karoliny. Jest z nami, by pomóc...

Zakręciło mi się w głowie. Rudy musiał też to zauważyć, bo odwrócił się i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

– Bellmaker – szepnął.

Thomas Lester. Ludwisarz, który odlał pierwszy Dzwon Wolności. Jego spadkobierczyni Andrea Lester, twórczyni nowego dzwonu.

Lester... ludwisarz!

Jezu Chryste! Aldin nam powiedział, ale powiedział nam za mało.

Zobaczyłem, jak Andrea Lester szybko przenosi wzrok z pierwszej damy na wejście, w którym agent O'Brien zatrzymał się z dłonią na szklanych drzwiach. Odwrócił się i spojrzał do środka, prosto na Andreę Lester.

Towarzyszący mu agenci położyli dłonie na jego ramionach, by popchnąć go do przodu. Nie marnowali czasu na zamieszanie.

Chwyciłem Grace za ramię tak mocno, że skrzywiła się z bólu i prawie upuściła telefon.

– Grace! Mój Boże... to nie Lester Bellmaker. To Andrea Lester, ludwisarz. Stworzyła Dzwon Swobody!

W chwili gdy się ruszyłem, pomocnicy pierwszej damy pociągnęli za sznury, które podtrzymywały draperie okrywające Dzwon Swobody-czerwień, biel i granat opadły na ziemię. Spadające barwy narodowe stały się dla mnie straszliwą zapowiedzią katastrofy. Po drugiej stronie sali agent Michael O'Brien strząsnął ręce agentów i uśmiechając się jeszcze szerzej, wyciągnął z kieszeni niewielkie urządzenie.

To był detonator.

Rozdział sto czwarty

Amira, Bunkier

Stała na metalowej kładce wznoszącej się siedem metrów nad głównym laboratorium i patrzyła, jak cały jej personel stoi cierpliwie w szeregu z podwiniętymi rękawami, a pielęgniarki przechodzą między nimi, robiąc zastrzyki. Wszyscy wydawali się tacy dumni. Wiedzieli, że są częścią czegoś ogromnie ważnego, że odegrali kluczową rolę w wojnie przeciwko niewiernym.

Amira uśmiechnęła się do nich.

Jedna z pielęgniarek posłała spojrzenie Amirze, uśmiechnęły się do siebie. Nikt nie zauważył, że płyn w butelce, z której ona napełniała swoje strzykawki, miał odrobinę inny odcień. Ślad zieleni, podczas gdy pozostałe były raczej bursztynowe. Ale pielęgniarka używała prawie nieprzezroczystej białej strzykawki i poruszała się bardzo szybko – napełniała strzykawkę, robiła zastrzyk, przecierała igłę watą nasączoną alkoholem, znów nabierała i ruszała dalej wzdłuż szeregu.

Amira spojrzała na własne przedramię i w roztargnieniu potarła miejsce zastrzyku. Ze śladu po wkłuciu zaczęły promieniować czarne linie. Bardzo się pociała, jej ubranie było za grube, pot płynął po plecach i zbierał się w pasie. Chwyciła metalową barierkę, by zachować równowagę, gdy całe pomieszczenie zakołysało się na boki.

– Gdzie jesteś, Sebastianie? – szepnęła.

Na ścianie zegar odliczał sekundy.

Rozdział sto piąty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, południe

Wszystko znieruchomiło w jednym rozpalonym do białości ułamku sekundy, który trwał zadziwiająco długo. Pierwsza dama rozpoczęła oklaski na cześć odsłoniętego Dzwonu Swobody. Stojąca obok niej Andrea Lester sięgnęła do kieszeni. Grace wypuściła telefon z dłoni i odsunęła klapę marynarki, by sięgnąć po pistolet. Agent O'Brien zaczął unosić detonator.

Miałem broń w ręce. Słyszałem, że krzyczę, ale nie miałem pojęcia, co chciałem powiedzieć.

Wszyscy na sali zwrócili się w moją stronę. Agenci sięgali po pistolety.

Nie mogłem strzelić do O'Briena – między nami stała pierwsza dama. Na podium Andrea Lester odwróciła się do żony prezydenta. W jej dłoni coś zabłysło, a ja zorientowałem się, że miała nóż.

Nie stalowy – Secret Service by go wyłapała – ale pewnie było to jedno z tych polimerowych ostrzy, które niemal dorównywały twardością stali, a nie wywoływały reakcji wykrywacza metalu.

-*Allah akbar!* - krzyknęła i rzuciła się na pierwszą damę.

Postrzeliłem Andreeę Lester dwa razy w pierś. Siła uderzenia oderwała ją od ofiary, ale polimerowy nóż rozerwał rękaw pierwszej damy.

Wszyscy zaczęli wrzeszczeć-wybuchła natychmiastowa i całkowita panika. Pobiegłem do przodu, łapałem ludzi i odrzucałem ich na boki, próbując się dostać do podium, z którego mógłbym strzelić do O'Briena. On także rzucił się w tę stronę. Dwaj agenci, którzy mu towarzyszyli, również się ruszyli, jeden próbował go obalić, a drugi zrobił krok w bok i sięgnął po pistolet. Później na drodze stanął mi tłum i już ich nie widziałem.

Z drugiej strony podium rozległa się strzelanina, a kiedy odepchnąłem z drogi Rudy'ego i sekretarza spraw wewnętrznych, zobaczyłem, że agent, który wyciągnął broń na O'Briena przewraca się, a w skroni ma dziurę od kuli. Nie zastrzelił go O'Brien, ale ktoś z mojej lewej.

Odwróciłem się i zobaczyłem pistolet w dłoni Olliego Browna. Na moich oczach porucznik wystrzelił dwa razy, a później zniknął w tłumie. Czy to on zastrzelił agenta? Wydawało się, że wszyscy obecni mają broń palną, wokół mnie świstały kule. Zamieszanie było zbyt wielkie, bym mógł ocenić, kto jest kim, nie wiedziałem też, ilu obecnych w tłumie było agentami Brierly'ego albo członkami komórki terrorystycznej. Panował całkowity chaos.

Obróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę O'Briena, ale kiedy go zlokalizowałem wśród wrzeszczącego tłumy, drugi agent padał właśnie na ziemię z poderżniętym gardłem. O'Brien znów ruszył w stronę podium, a w wielkiej ręce nadal ścisnął detonator.

I nagle zrozumiałem.

Chodziło o dzwon.

– Zamknijcie salę! – ryknąłem i znów uniosłem broń, ale kątem oka zobaczyłem, że

pierwsza dama nadal stoi na podwyższeniu.

Andrea Lester zginęła, podobnie jak jeden z ochroniarzy pierwszej damy. Inni agenci biegli w stronę podium z wyciągniętą bronią, by chronić żonę prezydenta. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy wystrzałów, widziałem, jak agenci w granatowych marynarkach strzelają do cywilów, widziałem mężczyznę w kolorowych szortach strzegącego dwóch kongresmenów, a obok niego agenta Secret Service, który próbował wyrwać plastikowy pistolet z ręki mężczyzny wyglądającego na dziennikarza. Musiałem dostać się na szczyt podium, żeby rozejrzeć się po sali i zlokalizować O'Briena. I powstrzymać go przed naciśnięciem przycisku.

Grace odbiła w lewo i zniknęła w ścisku. Zobaczyłem tłum agentów ściągający pierwszą damę z podium i popychający ją w stronę drzwi z napisem „Tylko dla personelu”, jednakże w całym tym zamieszaniu żona wiceprezydenta nadal była na sali, niemal zagubiona w tłumie kongresmenów, którzy próbowali uciec przed napastnikami. Chroniący ją agenci leżeli zakrwawieni. Kilkunastu ludzi strzelało, a ja nie wiedziałem, czy to zacięta wymiana ognia, czy efekt paniki. Później zobaczyłem, jak jeden z agentów wspina się po schodach, żeby ochronić żonę wiceprezydenta, ale ułamek sekundy później zatoczył się i upadł, a na jego białej koszuli pojawiła się czerwona plama. Drugi agent wskoczył na podium, ale on również oberwał dwa razy w pierś i spadł w tłum. Zobaczyłem cofającą się rękę z pistoletem. Była naga – żadnego rękawa marynarki, jedynie mignięcie hawajskiej koszuli. Jeden z turystów? Reporter?

Cholera... jak wielu tych sukinsynów było w tłumie?

– Starszy! – wrzasnąłem, kiedy zobaczyłem, jak przebija się przez przerażony tłum. – To O'Brien!

Pokiwał głową i znów zniknął w tłumie, ale opór był tak wielki, że nie zaszedł daleko.

Niektórzy z gości próbowali paść na ziemię, żeby uniknąć ostrzału, ale rozszalały tłum ich tratował. Zobaczyłem, jak Rudy wciska grupkę harcerek w kąt, żeby ochronić je przed zmiżdżeniem. Wśród krzyków przerażenia i odgłosów strzelaniny rozlegały się jęki bólu. Słyszałem charakterystyczne rozkazy agentów Secret Service, ale nikt nie słuchał ich poleceń, by paść na ziemię i tak pozostać. Nie miałem pojęcia, gdzie jest Grace i reszta oddziału Echo, ale wciąż przebijałem się w stronę podium. Żona wiceprezydenta skuliła się, osłaniając rękami głowę, a po obu stronach miała trupy agentów. Setki ludzi krzyczały, wrzeszczały i próbowaly się wydostać z Centrum Dzwonu Wolności.

Znów mignął mi O'Brien. Wciąż się uśmiechał, kiedy uniósł rękę, by detonator znalazł się ponad tłumem.

Nie miałem czasu myśleć. Podskoczyłem i ramieniem trafiłem żonę wiceprezydenta w bok. Objąłem ją, a mój pęd zrzucił nas oboje z podwyższenia w chwili, kiedy Michael O'Brien nacisnął przycisk.

Dzwon Swobody wybuchł.

Rozdział sto szósty

Gault; Bunkier

Kucali razem w mroku wąskiego korytarza, który biegł wewnątrz ścian Bunkra. Diody umieszczone w podłodze dawały dość światła, by mogli znaleźć drogę.

– Rozdzielmy się – zaproponował Gault. – Idź do tylnego wejścia i upewnij się, że oddział kapitana Zellera dostanie się do środka. Zabij każdego, kto stanie im na drodze.

– A ty co planujesz?

– Idę do laboratorium.

– I co zamierzasz? – spytał Zabawka oskarżycielskim tonem. – Pamiętaj, że przybyliśmy tu, by ją zabić. Nie dać sobie buzi i się pogodzić.

Gault poczuł falę złości.

– Nie mów mi, co mam robić – warknął. – Dość już mam...

– Czego masz dosyć, Sebastianie? – przerwał mu Zabawka. – Jest zbyt późno, żebyś próbował potwierdzić swoją władzę nade mną. Ten czas minął, kiedy pozwoliłeś, żeby twoja dziewczyna stworzyła broń zagłady.

Gault trzymał pistolet, jego lufa była wymierzona niemal w pierś Zabawki, ale nie do końca. Asystent opuścił na nią wzrok, po czym z uśmiechem wyciągnął rękę i skierował lufę prosto w swoją pierś. Nachylił się, aż jego ciało zetknęło się z bronią.

– Zabij ją albo mnie – powiedział spokojnie Zabawka.

Patrzyli na siebie ponad przepaścią, która otwierała się między nimi.

– Zabawka... ja...

Zabawka odsunął lufę na bok. Pochylił się i pocałował Gaulta w policzek.

– Kocham cię, Sebastianie. Jesteśmy rodziną. Pamiętaj o tym.

Z tymi słowami odwrócił się i zniknął w korytarzu, pozostawiając Gaulta samego w ciemności.

Rozdział sto siódmy

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:01

Zewnętrzna powierzchnia Dzwonu Wolności musiała być cienką warstwą malowanej folii, która osłaniała setki niewielkich otworów. Głęboko wewnątrz dzwonu, w jego metalowym korpusie, sygnał detonatora odpalił niezliczone kieszonki wypełnione bardzo sprężonym gazem. Cała powierzchnia dzwonu rozpadła się, a tysiące malutkich szklanych strzałek wyleciały ze świstem na zewnątrz. Żadnego prochu, żadnych materiałów wybuchowych – sam dzwon był jedną wielką wiatrówką. Każda ze strzałek miała ostry koniec i cieniutkie ścianki. Połowa popękała podczas uderzenia w zewnętrzną warstwę folii i wypuściła zawartość w powietrze. Ale druga połowa – w sumie jakieś półtora tysiąca strzałek-wbiła się w ciała kongresmenów i reporterów, kasała dłonie i twarze turystów, miejscowych ważniaków i ambasadorów kilkunastu krajów. Czuję, jak ich fala przelatuje nade mną, kiedy padłem na ziemię, osłaniając żonę wiceprezydenta. Nie miałem pojęcia, czy zostałem trafiony.

Wszyscy wrzeszczeli. Żona wiceprezydenta krzyknęła z bólu, kiedy uderzyliśmy o betonową podłogę.

Ześlizgnąłem się z niej i ukląknęłam w pozycji strzeleckiej. Nie mam najmniejszego pojęcia, jakim cudem nie upuściłem pistoletu, ale miałem go w dłoni i uniosłem, rozglądając się za O'Brienem, ale nigdzie go nie widziałem.

Widziałem jedynie nogi i torsy ludzi, którzy rozproszyli się, potykali i upadali. Ludzie kopali mnie w biegu, aż musiałem się cofnąć, żeby mnie nie stratowali.

Usłyszałem głos Grace, wysoki i przenikliwy, każący agentom w sali zamknąć wszystkie drzwi. Wiedziała, rozumiała, czemu stawialiśmy czoło – wszystkie szklane paciorki wystrzelone z dzwonu były napełnione patogenem. Jej głos świadczył, że była równie przerażona jak ja.

Seifal Din został wypuszczony na świat. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, wciąż mogliśmy przegrać, gdyby choć jeden zarażony wydostał się na zewnątrz.

Boże...

– Oddział Echo! – ryknąłem i nagle obok mnie znalazł się Królik.

Był blady jak ściana i zakrwawiony.

– Zostałeś trafiony?! – krzyknął.

– Do diabła z tym, musimy zamknąć drzwi!

– Już zrobione! – Dopiero po chwili zorientowałem się, że potworny ryk był głosem Brierly'ego dobiegającym przez słuchawkę w moim uchu. – Drzwi zostały zablokowane. W tej chwili zbliżają się oddziały, które mają zapewnić nam wsparcie z zewnątrz.

Tłum uderzył w szklane ściany jak fala i niektórzy najbliżej drzwi zostali zmiażdżeni pod naporem. Słyszałem krzyki wściekłości, przerażenia i bólu.

– Mam żonę wiceprezydenta – powiedziałem. – Ale nie widzę pierwszej damy, Brierly, udało się ją wydostać?

– Mój zastępca Colby wraz z grupą agentów wyprowadził ją do bezpiecznego

pomieszczenia – powiedział. – Co tu się, do diabła, dzieje, Ledger?

– Jestem za podium. Znajdź mnie – powiedziałem. – Już!

Kiedy zacząłem się rozglądać za nim, odezwał się Królik.

– Szefie, te strzałki...

– Wiem. Miej oko. Jeśli ktoś zacznie się dziwnie zachowywać, strzelaj.

Widziałem, jak ciężar tego, do czego mogliśmy być zmuszeni, przytłaczał młodego mężczyznę, ale pokiwał głową. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że Rudy wciąż towarzyszy harcerkom. Jedna z nich krwawiła, ale z tej odległości nie widziałem, czy trafiły ją strzałki, czy została raniona przez spanikowany tłum.

– Królik, zostań z żoną wice – poleciłem. – I rozglądaj się za agentem O'Brienem. On jest naszym wrogiem. Jeśli go zobaczysz, zabij go. – Chwyciłem go za rękaw. – Królik... widziałeś, do kogo strzelał Ollie?

– Nie. Wszyscy strzelali – powiedział.

Jakby dla podkreślenia tych słów, nad jego głową zagwizdało kilka pocisków, a on się wzdrygnął.

Znów zaczęła się strzelanina i krzyki przybrały na sile.

– Na wszelki wypadek nie stawaj przed nim, jeśli będzie miał broń w ręku.

Królik odwrócił się i popatrzył na mnie uważnie.

– Przyjąłem, szefie.

Przykucnął nad żoną wiceprezydenta, która leżała w pozycji embrionalnej, a na jej twarzy malował się ból. Trzej agenci Secret Service podeszli z różnych stron i razem utworzyli ochronny krąg.

Podniosłem się i zobaczyłem Starszego i Olliego biegnących w stronę jednych drzwi. Współpracowali, żeby powstrzymać tłum przed wydostaniem się. Grace już blokowała inne drzwi, w ręku miała pistolet.

Zobaczyłem, jak Gus Dietrich pochyla się nad gubernatorem Pensylwanii, który był zalany krwią. Dietrich osłaniał go własnym ciałem, a w dłoni trzymał pistolet. Na podłodze obok leżał agent Secret Service, który dostał pełen ładunek szklanych strzałek w twarz. Napotkałem spojrzenie Dietricha, krótko skinęliśmy głowami. Byłem świadom, że kilku telewizyjnych kamerzystów nadal stoi na własnych nogach, a na ramionach trzymają kamery. Nie wiedziałem, jakim cudem zachowali panowanie nad sobą, i mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak pół kraju reaguje na całą sytuację. Miałem tylko nadzieję, że sieci nie nadawały tego materiału.

Zobaczyłem Brierly'ego, chwyciłem go za ramię i przycisnąłem do podwyższenia. Strzały ucichły, ale wciąż rozlegały się wrzaski i krzyki. Musieliśmy nachylić się do siebie i krzyczeć.

– Po cholereę zastrzeliłeś tamtą kobietę? – spytał ostro, a ja zorientowałem się, że właściwie celował we mnie.

Odepchnąłem lufę na bok.

– Andrea Lester była zdrajczynią, sympatyzowała z terrorystami. Sama naszpikowała swój dzwon tymi strzałkami. – Przyciągnąłem go bliżej. – Współpracuje z El Mudżahidem, a twój agent O'Brien jest jednym z nich. To on zdetonował ładunek.

To nim wstrząsnęło.

– Mój... Boże! Prześwietliliśmy ją, została zweryfikowana.

– Ci goście musieli mieć pomoc wewnątrz. Nie ufajcie nikomu.

– Wewnątrz...?

– Nie ma na to czasu. Posłuchaj mnie uważnie. Strzałki z Dzwonu... zawierają patogen, o którym opowiadała ci Grace. Kojarzysz ebolę? To jest sto razy gorsze. – Przyciągnąłem jego ucho na kilka centymetrów do swoich ust. – Jeśli choć jeden człowiek wydostanie się

z tej sali, wkrótce będziemy mieli światową epidemię. Nie ma lekarstwa. – Ostatnie słowa wypowiedziałem powoli, z naciskiem na każde słowo. – Uwierz mi.

Twarz Brierly'ego wykrzywiło takie przerażenie, że spodziewałem się, że zaraz zacznie krzyczeć. Później uchylił się, kiedy w plastikowe ściany wokół Dzwonu Wolności uderzyły kule. Odwróciłem się i zobaczyłem celującego w nas mężczyznę w mundurze filadelfijskiej policji. Wystrzelił ponownie, a ja odepchnąłem Brierly'ego z drogi i odpowiedziałem ogniem.

Falszywy gliniarz poleciał do tyłu.

– Skontaktuj się ze swoimi ludźmi na zewnątrz – powiedziałem. – Nikt nie opuszcza tego budynku. Nikt. Potrzebujemy wojska i jednostki obrony przeciwskażeniowej.

Oblizal wargi i zamrugał kilka razy, kiedy dotarły do niego te druzgoczące wieści, i nagle zobaczyłem na jego twarzy, że człowiek zapanował nad biurokratą.

– Chryste, mam nadzieję, że się mylisz, Ledger.

– Sam bym tego chciał – odparłem. – Ale się nie mylę.

Brierly postukał w mikrofon i zaczął wydawać krótkie rozkazy. Poleciał, by wszystkie oddziały zablokowały wszystkie wyjścia z budynku i broniły ich, podkreślił, że obejmuje to również wyjścia prowadzące z biur i pomieszczeń za drzwiami „Tylko dla personelu”.

– Koliber ma zostać zlokalizowana i zabezpieczona.

Koliber był kryptonimem pierwszej damy. Chrabąszcz – żony wiceprezydenta. Kiedy dotarł do potwierdzeń, popatrzył na mnie.

– W porządku, pierwsza dama jest w bezpiecznym pomieszczeniu. Żony wiceprezydenta pilnuje jeden z twoich ludzi i trzech moi agenci. Za jakiś czas przeniesiemy ją w bezpieczniejsze miejsce.

Wydawało się, że nieco mu ulżyło.

– Brierly, wszyscy muszą zrozumieć, że nie możemy wypuścić stąd nikogo. Nawet żony prezydenta.

Wpatrywał się we mnie rozdarty między odpowiedzialnością za bezpieczeństwo swoich podopiecznych a realiami epidemii.

W końcu pokiwał głową i włączył mikrofon.

– Tu dyrektor Linden Brierly. Alarm dla wszystkich stanowisk. Na rozkaz prezydenta nikomu nie wolno opuścić budynku. Bez wyjątków. Powtórzyć i potwierdzić.

Wszystkie stanowiska potwierdziły, ale wyobrażałem sobie, że wielu z nich drapie się po głowach albo naprawdę zaczyna się bać.

– Lepiej, żebyś miał rację.

Pozwoliłem mu wrócić do pracy, a sam ruszyłem na poszukiwanie O'Briena, ale nigdzie go nie widziałem. Strzelanina przycichła, rozlegały się jedynie pojedyncze strzały, a między nimi wrzaski i krzyki.

Poruszenie po prawej sprawiło, że się odwróciłem. Grace, a za nią Starszy, oboje z wyciągniętą bronią. Grace miała krew na ubraniu, ale kiedy zobaczyła moją minę, spuściła wzrok, a później spojrzała mi w oczy. Pokręciła głową.

– Przede mną stała młoda kobieta – powiedziała tylko.

Strzały ucichły, ale tłum wciąż się kłębił jak przerażone zwierzęta w zagrodzie.

– Grace... musimy uspokoić tych ludzi!

– Idę – powiedziała i obróciła się na pięcie.

Zawołała Starszego i Dietricha, wkrótce całą trójką ruszyli jak byki przez tłum, odpychali ludzi, wykrzykiwali rozkazy, łapali agentów Secret Service i wysyłali ich do pracy. Kapi Tyler stał z tyłu i ładował broń.

– Kapi – powiedziałem, biegnąc do niego – pomóż mi znaleźć O'Briena.

– Tego rudzielca? Przed chwilą wszedł tam.

Wskazał na znajdujące się w kącie drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. Podbiegliśmy, ale drzwi były zamknięte z drugiej strony.

– Pewien jesteś, że tam poszedł?

– Tak, on i Ollie pobiegli za całą bandą agentów Secret Service, którzy odprowadzali pierwszą damę do bezpiecznego pomieszczenia. – Wydawał się zdezorientowany. – Takie są zasady, prawda?

– Skurwysyn – warknąłem i kopnięciem wyważyłem drzwi. – Kapi, pilnuj tych drzwi. Ściągnij Grace albo Starszego, żeby dali mi wsparcie, ale nikt inny nie wchodzi. Słyszysz? Nikt. Liczę, że utrzymasz tę pozycję.

Młody marynarz skinął poważnie głową i przyjął postawę defensywną.

– Jasne, kapitanie.

Wbiegłem przez otwór.

Rozdział sto ósmy

Gault i Amira, Bunkier

Gault uchylił panel ścienny, wyrzwał przez otwór i omal nie sapnął. Amira znajdowała się niecałe półtora metra od niego. Poniżej pielęgniarki kończyły dawać zastrzyki.

Zacisnął zęby, wycelował pistolet i umieścił czerwoną kropkę, lekką jak szept, na plecach Amiry, dokładnie między jej łopatkami. Jeden strzał z takiej odległości przebiłby kręgosłup, wyrwał serce i pozostawił między piersiami krwawy otwór wielkości piłki do golfa. Jeden drobny ruch, a zdradziecka suka byłaby martwa. Może to zrobić. Wiedział, że może.

Niech cię diabli, Amiro, powiedział i wbrew sobie dodał: ukochana.

Łzy w oczach sprawiły, że obraz się rozmył. Lufa pistoletu zadrżała. Oddział szturmowy mógł w każdej chwili wkroczyć do jaskini prowadzony przez Zabawkę. Gault zadrżał, częściowo na myśl o nawałnicy ognia, jaką miał rozpętać kapitan Zeller, a częściowo na myśl o przeobrażeniu Zabawki. Czy jego asystent rzeczywiście tak się zmienił, czy też Gault przez te wszystkie lata zaślepiony hodował skorpiona u boku?

Mijały sekundy. Wkrótce w całym Bunkrze miało się rozpętać piekło. Wkrótce wszyscy zginą. Amira również, niezależnie od tego, czy to on sam ją zabije. Wydał Zellerowi szczegółowe rozkazy.

Zabić wszystkich, bez wyjątku.

Amira.

Boże.

Łzy popłynęły po jego policzkach i nim zdążył się powstrzymać, z jego gardła wydarło się łkanie. Zobaczył, że Amira sztywnieje, ale nie odwróciła się, a Gault zmusił się, by zapanować nad drżeniem rąk, by utrzymać czerwoną plamkę lasera na jej plecach. Bądź pierdolonym mężczyzną, warknął w duchu.

Amira.

I wtedy się odezwała.

– Sebastianie – powiedziała.

Odwróciła się w jego stronę. Pochyliła głowę, spoglądając na czerwoną plamkę lasera na piersi unoszącą się tuż nad sercem. Powoli uniosła głowę.

Gault poczuł, jak w jego piersi zaciska się zimna ręka, zmieniając serce w bryłkę lodu. Oczy Amiry były szeroko otwarte i szkliste, błyszczące od gorączki. Uniosła rękę do *chadri*, wzięła czarną tkaninę w palce i powoli opuściła szal, ukazując uśmiechnięte usta. Jej piękna oliwkowa skóra nabrała niezdrowego piaskowego odcienia, prawie szarego, a pełne wargi plamiła świeża krew.

– Sebastianie – powiedziała cicho. Na jej ustach pojawił się grymas zwierzęcego głodu.

– Mój Boże. – Gault cofnął się przerażony. – Coś ty narobiła?

Amira podeszła do ściany, a Gault nawet przez wąski otwór czuł jej smród. Ohydny odór gnijącego mięsa, którym emanowała jak piekielnymi perfumami.

– *Seifal Din* – szepnęła i nachyliła się, żeby spojrzeć przez otwór.

– Jesteś zarażona! – Dłoń drżała mu tak bardzo, że prawie upuścił broń. Gault poczuł, że zalewa go pot, a jego puls gwałtownie przyspieszył. – Coś ty narobiła? – powtórzył przerażonym szeptem.

Pokręciła głową, wciąż uśmiechnięta.

– Nie, Sebastianie, nie jestem zarażona. Zostałam odrodzona. Jestem teraz bardziej żywa niż kiedykolwiek.

– To cię zabije!

Znów pokręciła głową.

– Patogen nie jest już zabójczy... udoskonaliłam go. Widziałeś tylko generację siódmą. – Zachichotała. – Tę, która cię przeraziła, Sebastianie. Prawie zacząłeś krzyczeć jak baba.

Amira otarła ślinę z ust.

– Do tej chwili mój piękny El Mudżahid powinien wypuścić generację dziesiątą na Amerykanów. Wkrótce umrą, Sebastianie. Wszyscy. *Seifal Din* jest tak szybki.

Pstryknęła palcami przed otworem i Gault aż podskoczył.

– Generacja dziesiąta? Jesteś szalona!

– Jestem nieśmiertelna! – odparowała. – Widzisz... doszliśmy do przełomu, Sebastianie. Pracowaliśmy ciężko przez tak długi czas, a ty sądziłeś, że męczymy się z generacją trzecią. Ale, och... generacja dziesiąta działa natychmiastowo. Ciało natychmiast się ożywia. Żadnego opóźnienia, nie ma czasu na kwarantannę zakażonych. Generacja dziesiąta to zaraza doskonała.

– Doskonała? – To słowo miało posmak żółci w jego ustach.

Ignorowała go pochłonięta swoimi osiągnięciami.

– Poszliśmy dalej. Generacja jedenasta była rozczarowaniem, ale och... generacja dwunasta! – Przeciągnęła to słowo, napełniając je zadziwieniem i groźbą. – Przebiliśmy się do zupełnie nowej dziedziny nauki. Nad tym właśnie pracowałam przez ostatni rok, kiedy pozostawiłeś mnie w tym bunkrze. Zabójczy patogen został rozwinięty do generacji dziesiątej, zanim ty w ogóle dowiedziałeś się o drugiej.

Zaśmiała się na widok zaskoczenia i bólu na jego twarzy.

– Mieliśmy zarazę, ale nie mogliśmy jej użyć, póki nie mieliśmy lekarstwa. A teraz... Och, Sebastianie, to ogień w mojej krwi! Czuję, jak mnie przepełnia.

– Ty... użyłaś go sama na sobie! Zmieniłaś się w jednego z tych przeklętych potworów...

– Czy wyglądam na potwora? – spytała. Cofnęła się od otworu i przez szatę objęła piersi. – Czy uważasz mnie za potwora, Sebastianie?

– Boże...

Twarz Amiry natychmiast się zmieniła. Kobieta cofnęła dłonie od piersi i uderzyła nimi w ścianę po obu stronach otworu. Zupełnie jakby za jej oczami pojawiła się inna osobowość.

– Bóg? Jak śmiesz o Nim wspominać! Twoim bogiem są pieniądze, ty bezwartościowy śmieciu!

Gault cofnął się i uniośł pistolet.

– Ty nawet nie rozumiesz, co to znaczy wielbić Boga. Nie wiedziałbyś, Sebastianie, jak to jest czuć Go w każdej myśli, w każdym oddechu, słyszeć Jego słowa płynące nad piaskami pustyni.

Udawałaś, że czytasz pisma Proroka, żeby oszukać El Mudżahida, ale brakowało ci głębi pojmowania, by te słowa dotarły do twojej duszy! Myślisz, że zmieniłeś mnie w swoją dziwkę? Myślisz, że naprawdę zdradziłabym swojego męża, swój lud, swoją wiarę, dla ciebie?

Splunęła na niego, a on się cofnął przerażony tym, co mogło kryć się w plwocinie. Uniośł pistolet i umieścił czerwoną kropkę na jej czole. Świeciła na nim jak hinduskie

bindhi.

– Kochałem cię – powiedział słabo.

A wtedy jego umysł powtórzył te słowa i Gault zorientował się, że powiedział „kochałem”, nie „kocham”. Niemal go to złamało. Oczyma duszy widział, jak unosi lufę pistoletu do własnej skroni. Lepiej zgasić tę stratę niż znosić jej nieobecność.

Choć jego dłonie drżały, pistolet się nie poruszył.

Amira zignorowała go.

– W końcu zrozumiałeś? Musiałeś, bo inaczej dlaczego byś tutaj był, Sebastianie? – Używała jego imienia jak bicia, a za każdym razem, kiedy to robiła, bolało go. – Sądziś, że nas odnalazłeś, ale my szukaliśmy cię od lat. Nie ciebie jako takiego, nie jesteś aż tak ważny, nie, szukaliśmy chciwego niewiernego psa, który miałby odpowiednie środki. To było takie proste! – Zaśmiała się i pokręciła głową, radując się bólem, który mu zadawała. –

Tak łatwo było cię zwabić zawołowanymi sugestiami przez twoją siatkę szpiegów, przyciągnąć cię do nas krok po kroku, zorganizować wszystko tak, żebyś zawsze czuł, że panujesz nad sytuacją, choć przez ten cały czas był to plan mojego męża i mój. Tak... mój mąż. El Mudżahid, największy z Bożych wojowników na Ziemi. Prawdziwy obrońca wiary, człowiek, który żyje słowami Proroka każdej minuty każdego dnia.

– Ale... ty... my...

Znów splunęła, ale tym razem na podłogę.

– Co? Kochaliśmy się? To chciałeś powiedzieć? – Ton jej głosu sprawił, że te słowa zabrzmiały paskudnie. – Nie jestem mężczyzną, Sebastianie. Nie mogę ruszyć do bitwy z pistoletami i nożami jak mój mąż i jego żołnierze. Jestem kobietą, co zmusza mnie do używania innych broni... niezależnie od tego jak obrzydliwe i upokarzające było oddawanie ci mojego ciała.

– Nie – warknął ze złością Gault. – Wiem, że mnie kochałaś. Wiem.

Widział, jak szaleństwo w jej oczach przygasa na chwilę i ta druga osobowość, ta rozmarzona, jakby wracała. A Gault wiedział – był pewien – że wciąż widzi w jej spojrzeniu ogień miłości. Albo może tylko węgielki, gdyż po chwili powróciła twarda, mordercza osobowość.

– Każdego dnia padam na kolana i błagam Allaha o odpuszczenie mi tego, co zrobiłam, nawet jeśli to Jego wola i służy Jego celom. Zrobiłaś ze mnie ladacznicę w oczach Boga, Sebastianie. Na ile śmierci zasługujesz?

Za Amirą rozległ się dziwny dźwięk. Zebrani naukowcy i laboranci krzyczeli głośno, jedni w zaskoczeniu, inni z wściekłością. Amira cofnęła się, by Gault mógł zobaczyć, co się dzieje.

– Myślą, że dostali antidotum – powiedziała cicho, a poniżej prawie dwie trzecie zgromadzonych padało na kolana albo osuwało się na stoły. – Myślą, że są bezpieczni przed *Seifal Din*.

– Co ty narobiłaś?

Odwróciła się do niego.

– Podałam swoim najlepszym ludziom, paru wojownikom, paru naukowcom, generację dwunastą. Tę, którą sama dostałam.

Uniosła rękę i odsunęła rękaw, by ukazać ślad po igle na ramieniu. Promieniowały z niego czarne linie zakażenia jak ciemna pajęczyna.

– Zabiłaś swoich ludzi.

– Ależ nie... wcale. Reszta dostała generację dziesiątą, a ja wkrótce otworzę drzwi Bunkra, oni zaś rozprzestrzeniają się po Arabii jak zaraza, którą są. Wielki Szatan nie ma dość kul, by powstrzymać fale, które nadejdą.

– Oszalałaś! Skazałaś nas wszystkich na zagładę!

Amira pokręciła głową.

– Nie... generacja dwunasta jest inna. Nie umieramy tak jak oni. My... się wznosimy. Ja już się wzniosłam. Umarłam, nie umierając, Sebastianie, nie ucierpiałam z powodu śmierci mózgu, utraty funkcji motorycznych czy intelektualnych. Jestem sobą, Amirą, naukowcem, żoną El Mudżahida, lojalną służebnicą Allaha, służącą słowu Proroka... ale teraz nie mogę umrzeć. Odrodziłam się. *Seif al Din* przeszył mnie jak oczyszczająca kosa. Moje grzechy, moje ziemskie przywiązania zostały odrąbane Mieczem Wiernych. To, co pozostało, jest czyste. To, co pozostało, jest narzędziem Boga na Ziemi.

– Och... Amiro... moja księżniczko – szepnął Gault, a po jego policzkach płynęły łzy. – Coś ty narobiła? Coś ty narobiła?

– Zaczynając od dziś, tysiące dawek generacji dwunastej zostanie wysłanych stąd do tych wojowników, którzy udowodnili swoją wiarę. Oni, kiedy wstąpią, podzielą się tym darem z rodzinami i najbardziej zaufanymi przyjaciółmi, a później będziemy siedzieć i patrzeć, jak reszta bezbożnego świata się pożera.

– Nie pozwolę ci!

Amira sięgnęła do krawędzi otworu. Podciągnęła się bliżej i szepnęła jak dziecko zdradzające wielką tajemnicę.

– Wiem wszystko o Bunkrze, Sebastianie. Wszystko. Znam wszystkie twoje tajemnice.

Gault wpatrywał się w nią zaskoczony. Wtedy z ciemności korytarza za plecami dobiegł go odgłos powolnego powłóczenia nogami.

Rozdział sto dziewiąty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:04

Kiedy znalazłem się wewnątrz, odgłosy chaosu przycichły, a ja skradałem się długim, ciemnym korytarzem, który wedle mojej wiedzy prowadził do labiryntu biur i pokoiów do pracy. Centrum nie było aż tak wielkie, ale i tak znajdowała się w nim setka potencjalnych kryjówek. Ruszyłem przez kolejne pomieszczenia, co chwila natykając się na zamknięte na klucz drzwi. Wyważanie każdego z nich byłoby samobójstwem, ale to były zamki wewnętrzne, większość z nich mogłem otworzyć kawałkiem sztywnego plastiku. Wyjąłem kartę stałego klienta księgarni Barnes & Noble. Takie przeszukiwanie każdego pomieszczenia bez wsparcia zajmowało mnóstwo czasu. Zastanawiałem się, dlaczego Kapi jeszcze nie wysłał nikogo za mną.

Miałem nadzieję, że O'Brien i Ollie spróbowali zaatakować pierwszą damę i zostali zabici przez Colby'ego i jego ekipę. Agenci zabezpieczający prezydenta są niewiarygodnie twardzi i pomysłowi. Ale z każdym krokiem moja nadzieja przygasała. Nie wiedziałem, kim był O'Brien, ale jeśli Brierly się nie mylił i Ollie był jednym z najlepszych zabójców na usługach CIA, taka operacja idealnie do niego pasowała – wytropić i zabić.

Jednocześnie czułem się skonfundowany, bo Brierly nie wydawał się człowiekiem, którego szukaliśmy. Po tym, jak z nim porozmawiałem i obserwowałem jego działania, nie mogłbym uwierzyć, że miał jakiś udział w chaosie w głównej sali – a jednak Ollie był z O'Brienem. I ktoś strzelał, co ocaliło O'Briena. Doskonałe celowanie w stresowej sytuacji – to świadczyło o zawodowym spokoju.

Zatrzymałem się, kiedy zobaczyłem plamę krwi na podłodze. Bardzo świeżej. Skradając się dalej, zobaczyłem jej więcej, a później ślady stóp. Dwie pary. Czy ktoś wszedł za O'Brienem i Olliem i wpadł w ich zasadzkę, a może dwaj zdrajcy się pokłócili?

I wtedy przyszło mi na myśl, że jeden z nich mógł być zakażony. A jeśli zaraza sztywnych przeobraziła jednego z nich w potwora? Gonilem dwóch uzbrojonych mężczyzn. A może jednego mężczyznę i zombie? Albo dwóch zombiaków? Ta myśl przeszła mnie dreszczem.

– Joe?

Głos Grace w słuchawce sprawił, że aż podskoczyłem. Uskoczyłem w bok i przykucnąłem za otwartymi drzwiami schowka ze środkami czystości, celując pistoletem w ciemność.

– Joe... gdzie jesteś?

– Wewnątrz centrum – wyszeptałem. – O'Brien wszedł tu z Olliem Brownem. Idę po śladach krwi, ale jeszcze nie natrafiłem na żadnego z nich. Przydałoby mi się wsparcie.

– Starszy Sims już idzie z Kapim. Umieściłam innych agentów przy drzwiach.

– Dobrze. Jak wygląda sytuacja na zewnątrz?

– Kiepsko. Uspokoiłszy tłum, ale wydaje mi się, że niektórzy z nich są już zakażeni. Kilkoro wykazuje objawy choroby. Nasi ludzie przechodzą przez tłum i oddzielają wszystkich trafionych przez strzałki.

– Grace... jeśli zaczną się przemieniać...

– Wiem, Joe – powiedziała głosem pełnym przerażenia. Oboje myśleliśmy o St. Michael's, ale tu było o wiele gorzej. Tu mieliśmy kongresmenów i żonę wiceprezydenta, jak również kamery telewizyjne po obu stronach szkła. – Poprosiłam Churcha, żeby skontaktował się z prezydentem, a ten wydał rozkaz całkowitej blokady dla mediów. Church powiedział, że prezydent ogłosił stan wyjątkowy w całej aglomeracji filadelfijskiej. O mój Boże!

Usłyszałem nowe krzyki.

A później strzały.

I nic, gdy połączenie zostało przerwane.

– Grace... – powiedziałem do milczącego łącza.

Chciałem pobiec z powrotem. Musiałem ruszać naprzód. Byłem rozdarty.

Usłyszałem za plecami stłumiony odgłos i odwróciłem się, ale to tylko jeden z agentów Secret Service stał w cieniu otwartych drzwi. Rozpoznałem go. Agent Colby, zastępca Brierly'ego. Za nim widziałem kilku innych agentów.

– Boże, cieszę się, że was widzę. Czy to bezpieczne pomieszczenie? Czy z pierwszą damą wszystko w porządku?

Colby zrobił krok na korytarz i uśmiechnął się.

Ale to nie był uśmiech.

Wygiął wargi, ukazując zęby, a z jego ust popłynęła krwawa ślina. Z dzikim warczeniem jak u polującej pantery Colby i inni agenci rzucili się na mnie.

Rozdział sto dziesiąty

Bunkier

Abdul wyszedł na korytarz, trzymając w gotowości strzelbę automatyczną. Cieszył się, że znalazł się z dala od sali, którą opuściły wszelkie pozory zdrowego rozsądku. Choć rozumiał plan wymyślony przez El Mudżahida i Amirę, wciąż uważał go za szaleństwo. Nie pasował do jego pojmovania Koranu, ale też Abdul nic nie mógł na to poradzić. Wiedział dość o *Seifal Din*, by zorientować się, że Amira rozprawdza dwie różne wersje, jedną dla większości personelu, drugą dla bardziej wartościowych jednostek. Ana, asystentka Amiry, próbowała dać mu zastrzyk, ale odpędził ją, bo nie chciał brać w tym wszystkim udziału.

Prawie się ucieszył, kiedy rozdźwięczyły się alarmy ostrzegające przed wtargnięciem przez tylne wejście.

Monitory nie działały, ale Abdul miał niezłe pojęcie, co się działo. Gault nie był na tyle głupi, by przybyć samotnie. Dlatego Abdul posłał oddział do tylnego wyjścia, by przechwycili wsparcie, które zabrał ze sobą ten niewierny. Teraz sam śpieszył w tamtą stronę, by objąć dowodzenie.

Zwolnił bezpiecznik i wygodniej chwycił broń, po czym wyszedł z bocznego korytarza na prowadzący do tylnego wejścia.

Zza sterty skrzyń wyszedł Zabawka i przycisnął lufę pistoletu do głowy Abdula.

– Cii – powiedział Zabawka z uśmiechem.

Rozdział sto jedenasty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:05

Colby rzucił się na mnie z niewiarygodną szybkością, wyciągając zakrzywione palce i kłapiąc zębami, choć wciąż znajdował się w odległości dwóch metrów. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło – i co nadal się działo – wziął mnie zupełnie z zaskoczenia. Uniosłem broń, ale za późno, a on w tym czasie skoczył i pchnął mnie na ścianę. Inni agenci byli trzy kroki za nim.

Uderzyłem plecami w ścianę i przez ułamek sekundy w głowie miałem myśl: Jestem trupem. Ale moje ciało już zareagowało. Lata szkolenia sprawiają, że kończyny poruszają się odruchowo, i to właśnie te wszystkie lata treningów, powtarzanych ruchów, mnie ocaliły. Ale byłem o włos od śmierci.

W chwili gdy uderzyłem o ścianę, obróciłem biodra w lewo i trzasnąłem kolbą pistoletu w skroń Colby'ego. Sprawilem, że jego masa obracała się razem ze mną i razem przetoczyliśmy się pionowo wzdłuż ściany, obrót za obrotem, oddalając się od pozostałych sztywnych. Kiedy uderzyliśmy w drzwi, wbiłem lufę czterdziestki piątki w usta Colby'ego i pociągnąłem za spust w chwili, kiedy zacisnął zęby. Masywny pocisk z wgłębieniem wierzchołkowym wyrwał tylną część jego czaszki i wybił otwór wielkości monety w czole agenta stojącego tuż za nim. Obaj zginęli na miejscu, ale nagły upadek ciała Colby'ego w połączeniu z zębami zacisniętymi na lufie wyrwał mi broń z ręki.

Odepchnąłem się i natychmiast uskoczyłem w lewo, gdy trzeci sztywny rzucił się ponad trupami towarzyszy. Zacisnął ręce w powietrzu.

Widziałem jeszcze trzech – w sumie czterech. Ten, który na mnie skoczył, poleciał do przodu. Próbował chwycić mnie za kostkę, ale ja rzuciłem się naprzód, by zaatakować najbliższego sztywnego.

Dzieliły nas niecałe dwa metry. W biegu wyciągnąłem składany nóż RRF z rękawa i szarpnięciem otworzyłem i zablokowałem ostrze. Ruch ten zajął ułamek sekundy, a w chwili, gdy pierwszy sztywny uderzył we mnie, obróciłem się jak tancerz, ale pod koniec piruetu pochyliłem się i ciąłem go pod kolanem. RRF był ostry jak brzytwa i ścięła stwora pękły jak stary sznurek. Kiedy zatoczył się i zaczął przewracać, pchnąłem go w stronę drugiego sztywnego, a sam przeskoczyłem obok ich przewracających się ciał i uderzyłem w trzeciego. Pchnąłem go sztywno wyprostowaną ręką, a później prześlizgnąłem się pod jego wyciągniętymi rękami, uniknąłem zębów i podniosłem się za jego plecami. Chwyciłem go lewą dłonią za włosy i wbiłem nóż w punkt kluczowy – sklepienie zagłębienie u podstawy czaszki. Ostrze przecięło rdzeń kręgowy, a sztywny zatrzymał się gwałtownie i natychmiast poleciał do przodu.

Sztywny, który próbował mnie chwycić tuż po tym, jak zabiłem Colby'ego, ruszył pochyłony w moją stronę. Nożem odepchnąłem jego wyciągnięte ręce, zrobiłem krok w bok jak matador, po czym uniosłem ostrze i opuściłem gwałtownie, wbijając je po rękojeść w ciemną, miękką punkt na szczycie czaszki. Brutalnie przekręciłem ostrze o pół obrotu, po czym wyciągnąłem je i uskoczyłem, żeby uniknąć strumienia krwi i tkanki.

Zostało dwóch.

Ten, którego okaleczyłem, pełzł po podłodze w moją stronę, ale drugi biegł.

Kiedy znalazł się dwa kroki ode mnie, zrobiłem krok do przodu i w bok, tak że minął mnie o centymetr.

Znów płynnie przeszedłem od kroku do obrotu, znalazłem się za jego plecami i spróbowałem trafić w podstawę czaszki, ale włosy miał śliskie od żelu i wyslizgnął się z nożem wbitym nieszkodliwie w kość. Jego obrót wyrwał mi rękojeść z dłoni, a że walka o nią nie miała sensu, puściłem ją, otoczyłem szyję sztywnego ramieniem i potraktowałem rzutem biodrowym w tył. Jeśli walczący są zwrócenii do siebie twarzami, upadek po rzucie biodrowym jest bolesny, ale nie zabójczy – kiedy jednak padający jest odwrócony plecami do rzucającego, wówczas cała ogromna siła skupia się w najsłabszym punkcie ciała. Jego szyja pękła jak garść patyków.

Ostatni sztywny pełzł w moją stronę, ale ja przeskoczyłem nad jego ramionami i wylądowałem na krzyżu. Kręgi pękły z głośnym trzaskiem. Padł na ziemię sparaliżowany od pasa w dół. Nie mogłem go zostawić w takim stanie, więc wyrwałem nóż z czaszki jego towarzysza. Sztywny tym razem nie mógł się wyslizgnąć, gdy ostrze trafiło w cel i go zabiło.

Rozdział sto dwunasty

Grace, Sala Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:05

Grace rozmawiała z Joem, kiedy nagle w powietrzu wokół niej zaświstały kule. Jeden z dziennikarzy poleciał do tyłu, gdy pocisk wbił mu się w pierś. Wpadł na Grace i obalił ją. Padając, widziała trzech mężczyzn wyłaniających się z tłumu.

Wszyscy mieli broń, rozpoznała pistolety z wytrzymałego plastiku, które terroryści przemycali przez wykrywacze metalu na lotniskach. Pewnie strzelali ceramicznymi nabojami. Żadnego metalu, pomyślała, zrzuciła z siebie trupa reportera i wyciągnęła broń.

Pierwszy z trzech strzelców zobaczył ją, ale Grace strzeliła do niego dwa razy – w pierś i głowę – i rzuciła nim o ścianę. Skierowała lufę w stronę drugiego z zabójców, ale w tej samej chwili dwie postacie zaszły ich od tyłu. Gus Dietrich zabił Strzelca po lewej trzema szybkimi strzałami – dwa w plecy, jeden w tył głowy. Towarzyszył mu Królik – nie miał broni, ale też wcale jej nie potrzebował – pięścią uderzył w nadgarstek mężczyzny, zrzucając pistolet na ziemię, po czym chwycił za gardło i krocze, i rzucił nim o róg gabloty Dzwonu Wolności. Cofnął się, a połamane ciało osunęło się na ziemię.

Wtedy z tłumu wyłonił się czwarty mężczyzna i wycelował polimerowy pistolet w tył głowy Królika. Grace nawet nie próbowała ostrzec młodego agenta – wpakowała dwie kulki w mężczyznę, a on poleciał do tyłu, krwawiąc obficie. Królik skinął jej ponuro głową i podniósł plastikowy pistolet.

Wokół pojawili się pozostali agenci Secret Service.

– W tłumie wciąż są wrodzy bojownicy! – krzyknęła Grace. – Przeszukać wszystkich.

Agenci poruszali się bardzo szybko przez tłum, szorstko obmacując zarówno kongresmenów, jak i turystów. Znaleźli ostatniego terrorystę, drżącego młodego mężczyznę w stroju japońskiego turysty. Udało mu się włożyć pistolet do ust, zanim agenci go powalili. Strzał rozwalil mu głowę.

Rudy przecisnął się przez tłum w stronę Grace.

– Wszystko w porządku...? – odezwała się, ale jej przerwał.

– Grace... niektórzy z tych ludzi zaczynają chorować. Już się zaczęło... szybciej niż wcześniej. Musimy coś zrobić. Musimy ich odizolować, zanim będziemy tu mieli kolejne St. Michael's.

W tej samej chwili jeden z reporterów zatoczył się do przodu, padł na kolana i zwymiotował. Popatrzył na nich oczyma, które już robiły się szkliste. Desperacko wyciągnął rękę w ich stronę. – Pomóżcie... mi...

Rozdział sto trzynasty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:07

Wytarłem nóż i schowałem go z powrotem do pochwy w rękawie, a później zabrałem pistolet i pośpiesznie oczyściłem krawatem Colby'ego. Nie miałem pojęcia, ilu agentów poszło z pierwszą damą. Czy istniała szansa, że była gdzieś bezpieczna? Czy mogliśmy liczyć choć na tyle?

Postukałem w mikrofon, ale nie usłyszałem niczego, nawet szumów. Musiał zostać uszkodzony, kiedy uderzyłem w ścianę. Byłem sam.

Byłem również wściekły na samego siebie, że nie zabrałem do Filadelfii większych sił, a może nawet, że nie skłoniłem Churcha do odwołania uroczystości. Obaj uznaliśmy ten scenariusz za prawdopodobny, a jednak nie zrobiliśmy nic, by go powstrzymać. Uświadomiłem sobie, że to jedna z reperkusji WTC.

Przez jakiś czas po jedenastym września każde wydarzenie, które mogło przyciągnąć tłumy, zostawało odwołane, ale później nasza kultura wróciła na swoje tory, a dalszych ataków nie było. Staliśmy się zbyt pewni siebie. Może nawet uwierzyliśmy, wbrew wszelkim dowodom, że zmusiliśmy Al-Kaidę do ucieczki i że tak skutecznie przenieśliśmy walkę na ich terytorium, że w Stanach możemy znów żyć normalnie.

Dziś płaciliśmy cenę za tę pewność siebie. Czy winą powinienem obarczyć siebie? Churcha?

A może całą kulturę? Gdybym przeżył, zamierzałem zastanowić się nad tymi pytaniami, ale filozofia społeczna nie pomaga w ogniu walki, więc ruszyłem dalej.

Wciąż nie widziałem śladów wsparcia, ale nie mogłem czekać. Skradałem się naprzód, sprawdzając kolejne ciemne pomieszczenia. Naciskałem włączniki w korytarzu i kilku pomieszczeniach, ale światło nie działało. Pewnie ktoś wyłączył bezpieczniki. Jedynym źródłem światła było czerwone oświetlenie awaryjne. Musiałem sprawdzić każde kolejne zamknięte pomieszczenie, każdą szafkę, by znaleźć pierwszą damę albo agenta O'Briena, a przez ten cały czas czułem gorącą plamkę między oczami, jakby Ollie Brown miał mnie na swoim laserowym celowniku i tylko czekał na właściwy moment.

Pięć pomieszczeń dalej usłyszałem wilgotne odgłosy dochodzące zza rzędu biurka. Wiedziałem, co oznaczają, i naprawdę nie chciałem patrzeć, ale nie miałem wyboru. Mocniej chwyciłem czterdziestkę piątkę i ostrożnie obszedłem biurka.

Było ich troje, klęczeli z pochylonymi głowami, jak Iwy nad padłą zebra. Tyle tylko, że trupem był agent Secret Service, a Iwami pracownicy biurowi – dwie kobiety i mężczyzna w biurowych strojach, z identyfikatorami Centrum Dzwonu Wolności na szyjach. Ich dłonie i usta były ciemne od krwi.

Poczułem żółć w gardle i zakrzusiałem się. Słaby odgłos, ale wystarczył, by podnieśli głowy jak czujne drapieżniki, którymi przecież byli. Najbliższy z nich, kobieta, zasyczał w moją stronę.

Strzeliłem jej w głowę. Siła uderzenia rzuciła ją do tyłu, padła na martwego agenta w perwersyjnej imitacji bliskości.

Pozostała dwójka podniosła się i rzuciła na mnie, aleja byłem gotów.

Dwa strzały, dwoje zabitych.

Patrzyłem na ciała, a później na zabitego agenta. Jego gardło zostało rozszarpane. Podniesie się czy też to przekraczało zdolności regeneracyjne patogenu? Wycelowałem mu w głowę, ale w chwili gdy opuściłem palec na spust, usłyszałem trzy różne dźwięki.

Daleko z tyłu słyszałem, jak Starszy Sims woła mnie po imieniu. U moich stóp rozległ się pierwszy słaby szelest, gdy potworna siła uruchamiała mechanizmy, które miały zmienić tego powalonego bohatera w nieumarłego zabójcę. A z przodu dobiegł mnie krzyk pierwszej damy.

Rozdział sto czternasty

Gault i Amira, Bunkier

Gault odwrócił się gwałtownie i wycelował w cienie. W wąskim przejściu tłoczyło się pięć postaci, szurały bosymi stopami po podłodze. W słabym blasku diod ich twarze były blade jak u widm, ale oczy i usta były czarne jak grzech.

Rozpoznał jednego z potworów – Khalid, żołnierz, który jako jeden z pierwszych ludzi El Mudżahida zaczął brać pieniądze Gaulta za osobiste przysługi. Gault go lubił. Mężczyzna zawsze był twardy i sprytny, ale teraz wydawał się po prostu martwy. Jego skóra obwisła, a z otwartych ust dobiegł jęk bezmyślnego pragnienia.

– Przepraszam – szepnął Gault.

Jego pierwszy strzał trafił Khalida w ramię i obrócił go tak, że jego wyciągnięte ręce uderzyły drugiego zombie w twarz. Gdyby Gault oglądał tę scenę w filmie, byłaby komiczna jak ponury slapstick – ale to nie była komedia o zombie ani skecz BBC, lecz śmierć i groza.

Stwory z tyłu popychały Khalida do przodu, więc wciąż szedł w stronę Gaulta, choć był zwrócony w przeciwną stronę – jak śmieci unoszące się na falach płynących z głębin piekła. Gault zakrzuszył się i znów wystrzelił. Twarz Khalida rozpadła się na kawałki, a on sam upadł. Dwaj kolejni potknęli się o niego i przewrócili, łamiąc kości na twardym betonie. Gault strzelił każdemu z nich w głowę, ale ostatnia dwójka już wspinała się po nich, a ich usta poruszały się, gdy poczuły smak krwi w powietrzu.

Nie przestawał strzelać. Z tyłu, z wąskiego otworu obserwacyjnego w ścianie, dobiegał szalony śmiech Amiry.

Rozdział sto piętnasty

Grace, Sala Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:11

– Na litość boską... niech mi ktoś pomoże!

Młodszy senator z Alabamy podniósł głowę i spojrzał błagalnie na Grace Courtland. Jego skóra już utraciła odcień zdrowej opalenizny i przypominała teraz stary pergamin. Na policzku miał dwa ślady po ukłuciu – tam trafiły go dwie strzałki.

Grace uniosła pistolet i wycelowała w niego.

– Proszę ustawić się przy ścianie, sir – powiedziała z naciskiem.

– Ja... nie czuję... – Pokręcił głową, jakby próbował pozbyć się waty z mózgu. – Jestem... chory.

– Sir... na miłość boską, niech pan stanie przy ścianie z pozostałymi.

Za jej plecami rozległ się głośny kobiecy głos.

– Agentko... co ty wyprawiasz? Natychmiast opuść broń.

Nie był to pierwszy raz w ciągu ostatnich kilku minut, kiedy żona wiceprezydenta krzyczała na Grace. Angielka nie zareagowała.

Na sali panowała cisza przerywana jedynie jękami rannych. Grace, Królik, Dietrich i Brierly chodzili wśród tłumów, oddzielając wszystkich, którzy zostali trafieni strzałkami. Ponad sześćdziesięciu ludzi, wszyscy chorzy i rozgorączkowani, kuliło się przy ścianie najdalszej od drzwi oznaczonych „Tylko dla personelu”. Rudy przechodził między nimi, pośpiesznie oceniając ich stan wyłącznie na podstawie wyglądu.

Na jego twarzy malował się wstrząs. Agenci Secret Service, łącznie piętnaścioro, stali w szeregu i celowali do chorych i rannych, ale nawet najtwardsi z nich wydawali się dezorientowani i przerażeni. Na zewnątrz, po drugiej stronie ścian z grubego szkła, Gwardia Narodowa rozstawiała stanowiska karabinów maszynowych, a niebo nad Pasażem Niepodległości wypełniały wojskowe śmigłowce bojowe.

Chcąc zapobiec grożącemu wybuchowi paniki, Grace wspięła się na podwyższenie i wystrzeliła w sufit, by przyciągnąć uwagę wszystkich.

– Posłuchajcie mnie! – krzyknęła.

Królik i Dietrich zajęli pozycje u podstawy podium, broń mieli w gotowości. Piętnaścioro pozostałych przy życiu agentów Secret Service stało w szeregu między zakażonymi a pozostałymi, na ich twarzach malowały się ogromne wątpliwości i niepewność, którą czuło każde z nich.

Grace w kilku zdaniach wyjaśniła wszystkim, że Dzwon Swobody został zaminowany przez terrorystów i że każdy trafiony strzałką najprawdopodobniej został zarażony bardzo zakaźną chorobą. To ułatwiło separację, gdyż ci, którzy nie zostali ranni, pośpiesznie się odsuwali. Choroba, jak im wyjaśniła, wywoływała chaotyczne i agresywne zachowanie. Mówiąc, rozglądała się w poszukiwaniu oznak infekcji i tych, którzy nie przyznali się, że zostali trafieni.

I wtedy właśnie Audrey Collins, żona wiceprezydenta, odezwała się nagle w imieniu zakażonych. Collins była chudą kobietą o ostrych rysach twarzy i przenikliwych

niebieskich oczach, i mimo bólu trzech pękniętych żeber zebrała dość autorytetu, by zająć w tym konflikcie pozycję dominującą.

– Opuść broń, agentko, albo, na Boga, upewnię się, że zostaniesz ukarana z całą surowością. Grace zeszła z podwyższenia, a Dietrich odwrócił się i wycelował w zakażonego młodszego senatora.

– Proszę pani – odezwała się Grace – proszę się uciszyć i nie przeszkadzać nam w pracy...

Collins jej przerwała.

– Wiesz, kim ja jestem?

– Tak, proszę pani, wiem, kim pani jest, i doskonale wiem, że pani mąż może mnie wpakować do więzienia, deportować, a pewnie również kazać postawić pod ścianą i rozstrzelać... ale w tej chwili próbuję uratować życie większości ludzi w tym pomieszczeniu i pewnie wszystkich w tym kraju. Jeśli będzie mi pani przeszkadzać albo powstrzymywać przed zrobieniem tego, co muszę zrobić, walnę panią.

– Nie odważyłabyś się.

Grace podeszła bliżej, a jej bezlitosne spojrzenie sprawiło, że ludzie zebrani za żoną wiceprezydenta wycofali się, zostawiając ją sam na sam z Grace.

– Proszę pani, jeśli zrobi pani cokolwiek, by mnie powstrzymać, postawię panią pod ścianą razem z nimi. Proszę mi uwierzyć, nie chce pani tego.

– Proszę pani – powiedział Rudy, podchodząc do Grace. – Błagam panią, by nas pani wysłuchała. – Trochę wolniej, pani major – odezwał się Brierly, podchodząc do Grace z drugiej strony. – Wszyscy są tu przerażeni.

Pozostali agenci ochrony prezydenta krążyli niepewnie wokół pani Collins. Brierly wyjaśnił im sytuację i nawet połączył ich z prezydentem przez łącze oddziału. Głos prezydenta drżał ze strachu i wściekłości, ale jego polecenia były jasne – dowodziła Grace Courtland. Jednakże wysłuchiwanie gróźb wobec ich przełożonej było całkowicie sprzeczne z tym, jak ich wyszkolono.

– Nie tak bardzo, jak ja, sir – powiedziała Grace, ale nie odrywała wzroku od żony wiceprezydenta. – Ale nie jest to kwestia, w której mogę ustąpić. I pan to wie.

Królik podszedł do Grace z prawej, skąd mógł celować do agentów ochrony prezydenta.

– Pani Collins? – spytał błagalnie młodszemu senator.

Audrey Collins była nie tylko żoną wiceprezydenta, ale i zawodowym politykiem, stąd zwykle wydawała polecenia, a nie przyjmowała. Ale nie była też głupia. Przeniosła wściekłe spojrzenie z Grace na młodszego senatora, a na jej twarzy pojawił się wyraz ogromnej troski.

– Zrób, co mówi pani major, Tom – powiedziała do przerażonego kongresmena. – Wszystko będzie dobrze.

Odwróciła się do Grace, a spojrzenia, jakie wymieniły, świadczyły, że nic nie będzie dobrze. Nie w tej chwili i może już nigdy.

– Jeśli się mylisz – powiedziała pani Collins – ja...

– Nie myślę się – przerwała Grace. Jej twarz nieco złagodniała. – Dziękuję.

– Pierdol się – powiedziała żona wiceprezydenta.

Grace prawie się uśmiechnęła, ale wtedy ktoś wrzasnął.

– Mój Boże! Ona go gryzie!

Wszyscy odwrócili się do ściany, gdzie spikerka miejscowego oddziału telewizji ABC pochylała się nad nieprzytomnym turystą w hawajskiej koszuli. Spikerka, drobna kobieta o zadbanych paznokciach, w butach od Prądy, gryzła rękę turysty.

– Nie – powiedział Królik. – Daj spokój... nie!

– Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece – mruknęła Grace i uniosła pistolet.

To, co wydarzyło się później, było nie do opisania.

Rozdział sto szesnasty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 Upca, 12:12

Nie miałem czasu na myślenie. Strzeliłem agentowi w głowę, obróciłem się na pięcie, zanim jeszcze opadł znów na ziemię, i ruszyłem biegiem w stronę, z której dobiegł krzyk. Nie był to koci wrzask sztywnego, wypełniało go zdecydowanie ludzkie przerażenie. Miałem tylko nadzieję, że to nie był jej ostatni krzyk.

Pieprzyć ostrożność – biegłem. Mijałem kolejne pomieszczenia. Dwa razy z cieni wypadły na mnie blade postacie i za każdym razem zabijałem je jednym strzałem, nawet nie zwalniając kroku. Wciąż słyszałem za sobą głosy. Starszy i Kapi wołający mnie po imieniu. Byli dość bystrzy, by kierować się śladem trupów.

Pierwsza dama znów krzyknęła, tuż przede mną, po drugiej stronie zamkniętych drzwi.

Wyważyłem drzwi kopniakiem z wyskoku, który po prostu wyrwał je z zawiasów. Skrzydło uderzyło w sztywnego i zmiażdżyło go. Wskoczyłem do środka i wylądowałem przykucnięty, rozglądając się dookoła.

Pierwsza dama kulila się w kącie biurowego boksu. Jej oddział Secret Service został zmasakrowany. Pozostał tylko jeden agent, którego próbowało powalić siedmiu sztywnych.

Agent krwawił z pół tuzina ran, a jego twarz była blada z bólu i przerażenia. Dwaj sztywni byli agentami, pozostali pracownikami Centrum Dzwonu Wolności. Ani śladu Olliego czy O'Briena.

Otworzyłem ogień i trafiłem jednego ze sztywnych w szyję. Padł do przodu, pociągając za sobą dwóch pozostałych.

– Pomocy! – krzyknęła pierwsza dama. – Na Boga, pomóż nam!

Najbliższy ze sztywnych na odgłos strzału odwrócił się w moją stronę i wszyscy rzucili się na mnie. Zastrzeliłem jednego, ale później za moimi plecami zabrzmiał strzał i sztywny po prawej poleciał do tyłu z dziurą w skroni.

– Na szóstej! – warknął Starszy, a później wraz z Kapim rzucili się z obu stron na sztywnych.

Starszy zawsze strzelał dwa razy, raz w pierś, by ich zatrzymać, a drugi w głowę. Kapi strzelał bardziej przypadkowo i ciągle trafiał sztywnych w korpus, marnując naboje.

– Strzelaj w głowę, do diabła! – ryknął na niego Starszy i odstrzelił sztywnego, który nacierał na Kapiego od lewej.

Jedyny pozostały przy życiu agent Secret Service wystrzelił ostatni pocisk, zupełnie bez celowania, prawie trafiając w Starszego, a później ostatni sztywny rzucił się na niego i obaj wpadli do boksu, lądując na podłodze u stóp pierwszej damy. Wrzasnęła, ale później zdjęła z biurka laptopa i uderzyła nim w tył głowy sztywnego. Żaden z nas nie mógł strzelić, bo była tak blisko, a ona włożyła wszystkie siły w uderzanie potwora, jej strach przemienił się we wściekłość. Sztywny zadrżał i znieruchomiał. Leżący pod nim agent jęknął i błagalnie wyciągnął rękę.

– Roger! – krzyknęła i sięgnęła do niego.

– Nie! – wrzasnąłem i rzuciłem się naprzód, żeby odepchnąć jej dłoń. – Nie! Jest zakażony.

Wokół nas zapanowała nienaturalna cisza, kiedy ucichły echa strzałów. Jedyнным odgłosem był zduszony oddech Rogera, rannego agenta.

– Przepraszam... – powiedział z wielkim trudem.

Pierwsza dama spojrzała na mnie.

– Na miłość boską, pomóżcie mu!

Stałem między nią a Rogerem, a później kucnąłem i podałem mu lewą rękę. Ścisnął ją z gorączkową desperacją, jakby to była lina ratownicza, która mogła wyciągnąć go z piekła.

– Posłuchaj mnie – powiedziałem łagodnie. – Masz na imię Roger?

– Agent... Roger Jefferson.

– Jestem Joe Ledger. Posłuchaj, Roger... doszło do wybuchu epidemii. Rozumiesz? Przez Dzwon Swobody.

Pokiwał głową. Oddychał z coraz większym trudem.

– To właśnie stało się z twoimi ludźmi. Co najmniej jeden z nich musiał zostać zakażony. Ona... zmienia ludzi.

Znów przytaknął.

– Widziałem... Barney... Linus... wszyscy. Boże...

– Przykro mi.

– Czy... czy ona...?

Odwrocił głowę, szukając wzrokiem pierwszej damy, ale wydawało mi się, że już nie mógł jej zobaczyć.

Pierwsza dama położyła dłoń na moim ramieniu i pochyliła się.

– Roger, jestem tutaj.

– Czy... czy pani...?

– Nic mi nie jest, Roger. Nie pozwoliłeś, żeby mnie dopadli.

Roger uśmiechnął się i zamknął oczy, ale wciąż ścisnął mnie mocno. Szepnął coś, a ja musiałem się nachylić, żeby go usłyszeć.

– Kapitanie... – ostrzegł mnie Starszy.

– Widziałem... jak to działa – powiedział Roger. Z kącików jego ust płynęła krew. – Zrób... co musisz zrobić.

– Tak będzie – obiecałem mu. – Spoczywaj w pokoju, Roger. Ocaliłeś pierwszą damę.

Ostatkiem sił uśmiechnął się słabo.

– Taka... robota.

Próbował się roześmiać, ale zabrakło mu sił. Opadł na podłogę.

– Zabierz ją stąd – powiedziałem do Starszego. – I to już.

– O co chodzi? – spytała, kiedy sierżant się do niej zbliżył. – Nie możemy go tu tak zostawić.

– Proszę pani – odezwał się Starszy – widziała pani, co się dzieje. Niech pani pozwoli zrobić kapitanowi to, co jest konieczne. To najlepsze... najlepsze dla Rogera.

– Starszy... zabieraj ją, i to już!

Pierwsza dama wyprostowała się i choć po jej twarzy płynęły łzy, odeszła z wielką godnością. Nie głosowałem na jej męża, ale cholernie ją podziwiałem.

Kiedy wyszli z sali, wysunąłem dłoń ze słabego uchwytu Rogera. Zdjąłem poduszkę z najbliższego krzesła i przykryłem nią jego twarz. Odliczałem sekundy. Poczulem pierwsze drżenie mniej niż czterdzieści sekund od jego ostatniego oddechu, a wtedy przycisnąłem lufę do poduszki i wystrzeliłem.

Być może zrobiłem to, by poduszka nieco stłumiła odgłos wystrzału, dla dobra

pierwszej damy, a może chciałem zakryć jego twarz, żeby dać mu nieco godności. A może po prostu nie mogłem znieść myśli, że kolejny dobry człowiek stał się jednym z tych potworów. Pewnie wszystkie te trzy powody naraz.

Wstałem i spojrzałem na Kapięgo. Młody marynarz nie patrzył mi w oczy. Odwrócił się, a ja wyszedłem za nim z boksu i przeszedłem do następnego pomieszczenia. Pierwsza dama siedziała na skórzanym fotelu biurowym, a Starszy przyniósł jej kubek wody z pobliskiego dystrybutora. Popijała ją, a kiedy mnie zobaczyła, spojrzała na mnie, a ja nie umiałem zinterpretować jej miny.

Biuro było duże, wyglądało na centrum projektowania graficznego, na co wskazywały stoły kreślarskie, szkice reklam przypięte do ścian i drukarki do plakatów. Do głównej sali przylegały dwa biura, drzwi obu były otwarte. Otworzyłem drzwi, by polecić Kapiemiu, żeby je sprawdził, kiedy z cieni biura po lewej wyszły dwie postacie. Szybko i z bronią w ręku.

Ollie Brown i agent Michael O'Brien.

Rozdział sto siedemnasty

Grace, Sala Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:13

– Pani major... uwaga! – ryknął Królik, a Grace odwróciła się w chwili, kiedy spikerka Channel 6 wskoczyła na podium.

Skóra spikerki była blada, a oczy okrągłe i puste jak srebrne dolarówki, ale warczała z głodu, rzucając się Grace do gardła.

– Kurwa mać!

Grace strzeliła kobiecie dwa razy w głowę. Krew spryskała twarze trzech warczących postaci, które wspinały się za nią po schodach.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – wrzasnęła pani Collins.

Szarpnęła Grace za prawą rękę, przez co następny pocisk uderzył w marmurową podłogę i rykoszetem trafił w udo kanadyjskiego ambasadora. Ambasador upadł z krzykiem bólu, a wtedy dwóch sztywnych zeskoczyło z podium i rzuciło się na niego. Grace szarpała się z żoną wiceprezydenta, która okazała się zadziwiająco silna. W końcu musiała zwolnić uścisk lewej ręki i uderzyć panią Collins w bok szyi. Kobieta padła na kolana, a Grace wyrwała prawą rękę w chwili, kiedy rzucił się na nią trzeci sztywny. Grace wpakowała w niego dwie kulki, a trup zatrzymał się kilka centymetrów od pani Collins.

* * *

W Sali Dzwonu zapanowało całkowite pandemonium, kiedy zakażeni, którzy wpadli w śpiączkę, natychmiast obudzili się jako sztywni i zaatakowali tłum. Mimo że agenci Secret Service zostali ostrzeżeni przez Grace, Brierly'ego i Rudy'ego na temat natury epidemii, i tak zawahali się, nie potrafiąc otworzyć ognia do obywateli, kongresmenów i dygnitarzy.

Królik odepchnął na bok oszołomionego agenta w chwili, gdy miał go chwycić dziennikarz *Daily News*. Masywny sierżant wyciągnął rękę, chwycił sztywnego za gardło, przycisnął polimerowy pistolet do jego głowy i wystrzelił. Rzucił trupem w drugiego sztywnego i jego też zabił, ale wtedy zaatakowało go sześciu kolejnych i musiał się wycofać, ciągnąc za sobą zaskoczony agenta.

– Strzelaj, niech cię diabli! – wrzasnął Królik, a agent wyraźnie zapanował nad oszołomieniem.

Znaleźli pusty fragment podłogi i bronili się razem, strzelając z dwóch pistoletów. Królik miał cztery naboje i wykorzystał je wszystkie, agent zaś zmarnował cały magazynek na jednego sztywnego.

Pozostało jeszcze dwóch sztywnych. Królik podszedł bliżej i kopnął pierwszego w brzuch, a kiedy ten zgiął się w pół, uniósł rękę i z całej siły opuszczył pięść na odsłonięty tył czaszki. Sztywny natychmiast padł na podłogę, ale jego towarzysz wciąż się zbliżał. Znajdował się w odległości trzech kroków, kiedy został trafiony w głowę. Królik odwrócił

się i zobaczył, że agent zdążył przeładować i stał teraz z dymiącym pistoletem w obu dłoniach.

* * *

Za nimi Rudy trzymał w ręku drzewce flagi i stał między skuloną grupką harcerek a sztywnym w hawajskiej koszuli w tukany. Sztywny zrobił krok do przodu, ale uchylił się przed ciosem drzewcem. Rudy zmarszczył czoło. Widział nagrania ze wszystkich spotkań WDN ze sztywnymi i zauważył, że tamci nigdy nie wzdragali się, nigdy nie uchylali. Brakowało im zdolności kognitywnych, a nawet ich nienaturalne odruchy nie uwzględniały żadnych reakcji obronnych.

A jednak ten się uchylił, raz, drugi.

I uśmiechał się.

Wskazał palcem na dziewczynki skulone za Rudym i zrobił coś jeszcze, do czego sztywni nie byli zdolni.

– Moje!

– *Dios mio!* – sapnął Rudy, a myśl o sztywnym wciąż zdolnym do myślenia i świadomego działania niemal sprawiła, że stracił ducha.

Jęki dziewczynek dodały sił jego rękom. Nie cofnął się.

* * *

Ahmed, brat Amiry, kochanek Andrei Lester i główny agent El Mudżahida w Stanach patrzył na Rudy'ego i dziewczynki. Czuł się wspaniale, niezmiernie potężny i bardziej żywy niż kiedykolwiek. Generacja dwunasta płonęła jak pożar lasu w jego żyłach, a kiedy przed kilkoma chwilami się ocknął, był oszołomiony jasnością, jaką go napełniła. Choć całe życie przeżył oddany naukom Proroka, nigdy wcześniej nie rozumiał ich tak kompletnie. Wola Allaha płonęła bielą w jego mózgu.

Pochłonięty celem i przepełniony nieśmiertelną mocą rzucił się do przodu, by wypełnić wolę Boga.

Kiedy drzewce opadło w jego stronę, złapał je jedną ręką, a drugą chwycił Rudy'ego Sancheza za gardło.

Rozdział sto osiemnasty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:14

Uniosłem pistolet i wycelowałem w Olliego Browna, który miał w dłoni glocka, choć lufa celowała w podłogę.

– Ty skurwysynu – powiedziałem i opuściłem palec na spust, lecz zanim zdążyłem go nacisnąć, rozległ się strzał.

Ollie uśmiechnął się do mnie krzywo, a kiedy otworzył usta, popłynęła z nich krew. Upuścił pistolet i zatoczył się do przodu, a ja zorientowałem się, że O'Brien go zastrzelił.

Zabójca z CIA zatoczył się i padł na kolana, próbując utrzymać uniesioną głowę. Popatrzył na mnie, a jego oczy się zaszklily.

– P... przepraszam – powiedział z bulgotem. – Ja... ja...

I padł na podłogę.

O'Brien zaczął unosić broń w moją stronę.

– Rzuć broń! – warknąłem. – Już!

– Albo co? – spytał i nagle jego głos brzmiał inaczej, nie mówił już z amerykańskim akcentem jak wcześniej. Teraz brzmiał jak Brytyjczyk. – A co mi zrobisz? Zastrzelisz mnie?

– Zaśmiał się. – A co mnie to obchodzi?

– Powiedz tylko słowo – mruknął zza moich pleców Starszy – a pozbędziemy się tego śmiecia.

– Rzuć ją – ostrzegłem. – Ostatnia szansa.

O'Brien na chwilę przymknął oczy. Był zalany potem, jego skóra miała niezdrowy odcień. Upuścił broń, a później zrobił niepewny krok w bok. Zaraz jednak błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił się framugi, żeby nie upaść.

Zrobiłem ostrożny krok do przodu, nie opuszczając broni i celując w jego szeroką pierś. Agent pokręcił głową, jakby chciał pozbyć się waty z mózgu. Pistolet wisiał mu w dłoni, ale mężczyzna go nie opuścił. Widziałem, jak palce leżącego na ziemi Olliego powoli otwierają się i zamykają. Na plecach miał ranę, z której powoli wciąż sączyła się krew. Nie obchodziło mnie to. Jeśli umierał, niech umrze. Przepraszam niewiele dla mnie znaczyły.

– Rzuć broń – poleciłem.

Za sobą słyszałem zbliżających się Starszego i Kapiego. Mieliśmy nad O'Brienem przewagę liczebną.

A sukinsyn i tak spróbował. Uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie, a ja zorientowałem się, że w jego twarzy jest coś dziwnego. Pot, który go zalewał, jakby zmywał z niej barwy. Jego piegi wyglądały, jakby się topiły, widziałem też niewyraźną poszarpaną linię pod skórą, jakby twarz przecinała ukośnie blizna. Czy był... umalowany?

O'Brien spojrział na mnie, choć z trudem skupiał wzrok. Mięśnie wokół jego oczu napięły się i nagle poderwał pistolet do góry i krzyknął:

– *Allah akbar!*

Strzeliłem mu dwa razy w pierś.

Siła uderzenia wypchnęła go przez drzwi, upadł na ziemię w ciemnym biurze. Uderzył

mocno, słyszałem trzask łokci, czaszki i pięt, gdy zderzył się z linoleum.

Chwila trwała całą wieczność, a dym wystrzału nadał powietrzu szarawy odcień.

Widziałem jedynie podeszwy jego butów, ale po jednym drgnieniu przestał się poruszać. Nie ufałem temu i wciąż celowałem do niego z pistoletu, kiedy wszedłem do pomieszczenia, kucnąłem i przycisnąłem palce do jego gardła.

Nic. Absolutnie nic.

Poczułem, jak opuszcza mnie trochę napięcia, wstałem i wróciłem do głównego pomieszczenia, ale wciąż marszczyłem czoło.

Czubki palców, którymi sprawdziłem mu puls, były wymazane czymś kolorowym. Powąchałem. Miałem rację – makijaż sceniczny.

– Niezły strzał, szefie – powiedział Starszy.

Opuścił pistolet, ale nie schował go do kabury. Ukląkł przy Olliem, ale na jego twarzy malowała się odraza.

– Żyje. Może przeżyje dość długo, żeby zawisnąć. Kutas.

Kapi stał za nim, a patrzył za mnie. Pochylił się, podniósł pistolet Olliego, a później cofnął się i stanął obok pierwszej damy, na której twarzy znów malowało się przerażenie.

– Jezu – sapnął Kapi, wpatrując się w O'Briena. – Naprawdę go zabiłeś.

– Tak już bywa, kiedy się do kogoś strzela – odparłem.

– Szkoda, że nie odbierzesz nagrody – powiedział Kapi.

– Jakiej nagrody?

Uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Za upolowanie El Mudżahida, szefie. O ile mi wiadomo, była za niego nagroda w wysokości miliona dolarów.

Zmarszczyłem czoło.

– O czym ty mówisz, do diabła?

Kapi spojrział za mnie.

– O'Brien. To El Mudżahid. Nie domyśliłeś się?

Odwrociłem się i popatrzyłem na wielkiego trupa, a później znów na Kapiego.

– Skąd to, do cholery, wiesz?

Kapi uniósł oba pistolety. Lufę jednego przycisnął do skroni pierwszej damy, a drugi wycelował we mnie.

– Obiło mi się o uszy – powiedział z błyskiem w oku.

Skurwysyn.

Rozdział sto dziewiętnasty

Gault i Amira, Bunkier

Gault odwrócił się w stronę Amiry. Jej głód i nienawiść były tak silne, że metalowa ściana między nimi wydawała się cienka jak papier. Spojrzał na zegarek i poczuł, że serce przestaje mu bić. Oddział z Global Security powinien już być na miejscu.

– Czekasz na kogoś, Sebastianie? – zamruczała Amira.

– Nie wygrasz – odpowiedział. – Nie pozwolę, żebyś wszystko zniszczyła.

Spochnurniała.

– Nie pozwolisz mi? To, czego chcesz, nie ma znaczenia. Liczy się wola Allaha. To jedyne, co się liczy.

Wściekłość zaczęła wypalać jego żal.

– Wiesz, te religijne tyrady zaczynają mnie cholernie męczyć, moja droga. Może po prostu cię zastrzelę, a wtedy zobaczysz swojego boga.

Zignorowała groźbę.

– Ktoś chce z tobą porozmawiać, Sebastianie.

Zrobił ostrożny krok do przodu, a ona cofnęła się, żeby mógł zobaczyć więcej. Poniżej jęki i krzyki stały się głośniejsze. Ściany plamiła krew, kiedy zarażeni, którzy przeobrazili się jako pierwsi, zwracali się przeciwko tym, którzy jeszcze nie poddali się chorobie. To, co widział, było sceną jak z koszmaru, jak ożywiony obraz Hieronima Boscha, ale nie to chciała mu pokazać Amira. W jego polu widzenia pojawiła się kolejna postać.

Ana, młoda krewniaczka El Mudżahida, tak w każdym razie wydawało się Gaultowi. Na twarzy miała to samo rozmarzenie, co Amira, tę samą szarą skórę, ale jej wargi były splamione krwią, a w dłoniach trzymała coś tak groteskowego, że Gault musiał zacisnąć dłoń na ustach, żeby nie zwymiotować.

Ana niosła głowę kapitana Zellera. Dowódcy oddziału ratunkowego Global Security.

Krztusząc się, Gault wcisnął lufę pistoletu w otwór obserwacyjny i strzelił do Any, w pierś i w twarz, aż cofnęła się do metalowej balustrady, a później przez nią wypadła. Poleciała bez słowa do tyłu i spadła w masę walczących stworów.

– Ty szalona suko! – krzyknął do Amiry i strzelił do niej.

Pierwsza kula trafiła ją w brzuch. Amira cofnęła się, a na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

Nie...

Nie cierpienia. Amira się śmiała. Odwróciła się i pobiegła korytarzem, a Gault strzelał za nią, próbując ją trafić, musiał ją zabić, pragnął jej śmierci. Trafił ją jeszcze co najmniej trzy razy, aż znalazła się tak daleko, że już nie mógł w nią wycelować. Wiedział, że ją trafił, widział, jak jej szaty wybrzuszą się od uderzenia, widział plamy krwi na ścianach. Ale Amira nawet nie zwolniła... a kiedy biegła, z szyderczym śmiechem wykrzykiwała jego imię.

Zamek pistoletu Gaulta pozostał w pozycji tylnej. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, w uszach słyszał głośny szum krwi. Drżącymi palcami wymienił magazynek. Po twarzy

i piersi spływał mu pot.

W nagłym ataku paniki wyciągnął telefon satelitarny, ale Zabawka nie odbierał. Żadna pomoc nie nadchodziła. Był sam. Przepełniało go przerażenie.

Amira wiedziała o tajemnych przejściach, które wbudował w to miejsce. Jeśli ona i El Mudżahid bawili się nim, istniała spora szansa, że zhakowali jego komputer. Miał na nim mapę tajemnych przejść. I, niech to diabli, kody detonujące, które stworzył, by wysadzić to miejsce. W porządku, ta możliwość zniknęła. Podobnie jak szansa na ratunek.

Miał dwa pełne magazynki, plus trzeci w pistolecie, co dawało mu jedną trzecią niezbędnych naboju, nawet gdyby każdy jego strzał zabijał, a to nie było prawdopodobne.

– Strzelaj w głowę, ty cholerny idioto.

Przeklinał się za zmarnowanie szansy zabicia tej wiedźmy.

Wiedźma. Tak wiele razy ją tak nazywał, że teraz zaczęło go to dręczyć. Określenie okazało się bardziej stosowne, niż się spodziewał. To, czego dokonała, było najczarniejszą magią. Prawdziwym paktem z diabłem. Gault pomyślał, że rogi El Mudżahida wcale nie były rogami zdradzonego męża. Byli królem i królową piekła. Niech diabli wezmą ich oboje.

Zatrzymał się przed skrzyżowaniem w kształcie litery T. Po lewej słyszał syk podnośników hydraulicznych, gdy ktoś – Amira albo jeden z jej potworów – otwierał drzwi po jego prawej.

Dobra, pomyślał, to wszystko upraszcza – i skręcił w drugą stronę.

Mógł zrobić jeszcze tylko jedno. Ostatnia szansa, żeby powstrzymać plan zagłady Amiry.

A przynajmniej tę część, którą pragnęła rozpętać na Bliskim Wschodzie. Miał tylko nadzieję, że Amerykaninowi udało się jakoś ostrzec władze, zanim sytuacja wymknęła się tam spod kontroli. Pobiegł korytarzem ze świadomością, że ta jedna szansa nie była wielka i że nie mógł właściwie liczyć, że przeżyje. Bawiła go świadomość, że być może rzeczywiście poświęci samego siebie, by ocalić świat.

– Boże... teraz naprawdę uznają mnie za świętego – mruknął.

Prawie się roześmiał, biegnąc wśród cieni.

Rozdział sto dwudziesty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 Upca, 12:16

Gapilem się na Kapięgo.

– Ty?

– Tak – odparł. – A co... myślałeś, że ten tu Dudley Doskonały?

Wskazał głową na Olliego.

– Ty skurwielu – warknął Starszy, ale wtedy Kapi trącił pierwszą damę pistoletem.

Siedziała sztywno wyprostowana i przerażona, patrzyła mi w oczy i bezgłośnie błagała, żebym coś zrobił. Ale Kapi miał wszystkie atuty.

– Wyjmij broń, szefie – polecił Kapi. – Dwoma palcami, powoli i spokojnie. A teraz kopnij ją. Dobrze. Nóż też. I ty też, Starszy. Jeśli choćby pomyślisz o zrobieniu czegoś głupiego, odstrzelę damę.

– Dlaczego? – spytałem. – O jaką stawkę grasz?

– Cóż – odparł z uśmiechem – jeśli zastanawiasz się, czy przyjąłem nauki proroka Mahometa, to nie. Za to przyjąłem dziesięć milionów na rachunek za granicą.

– Robisz to dla pieniędzy?

– Oczywiście, że robię to dla pieniędzy.

– To nie ma sensu... walczyłeś u naszego boku z tymi stworami.

– Tak, to najlepsza przykrywka na świecie. A cała historia z „paralizatorami” była przygotowana wcześniej. Urocze, co nie? Kiedy wraz z pozostałymi ruszyłeś badać przetwórnice krabów, wślizgnąłem się do ukrytego przejścia. Nie rób takiej zaskoczony miny. Przesłali mi plan całego budynku, zanim w ogóle wyruszyliśmy. Zaplanowaliśmy wszystko przez wiadomości SMS, poszło jak w zegarku. Powiedziałem im, żeby potraktowali jeszcze jedną osobę wodnym paralizatorem, a później sfingowałem własne porwanie. Musiałem użyć zapalniczki, żeby też mieć ślad po poparzeniu, ale wszyscy musimy się czasem poświęcić. Reszta była mydleniem oczu, żeby was zdezorientować. Zastrzeliłem paru sztywnych, wtarłem sobie kurz w oczy, żeby się popłakać, a później czekałem, aż mnie uratują. Powinienem dostać cholernego Oscara. Ta suka Courtland połknęła haczyk. A jeśli zastanawiasz się nad walką w laboratorium, stamtąd też bym się wy dostał.

Za ostatnią szafką z lekami, niedaleko miejsca, przy którym stałem, było ukryte wyjście. Jerry Spencer pewnie je w końcu znajdzie, choć to i tak bez znaczenia. Gdyby ten dupek Dietrich spóźnił się dziesięć sekund, was by zaczęli gryźć, a ja bym zwiął.

– Niezły z ciebie gość.

– Taką mam robotę. Co zabawne, ja nawet nie miałem być frontmanem na tym koncercie. Podpułkownik Hanley miał zostać dowódcą oddziału Echo, a ja miałem być jego wsparciem, ale wtedy pojawiłeś się ty i odstawiłeś Jackiego Chana. Nieważne. Więcej kasy dla mnie.

– Asala dwanaście?

Wzruszył ramionami.

– Nie mogłem pozwolić, żebyście przesłuchali technika z laboratorium w Delaware. Ten atak nie był częścią planu i nie byli na niego przygotowani. Nie miałem nawet szansy wysłać im ostrzeżenia, bo tak szybko wyruszyliśmy. Dlatego otworzyłem salę dwanaście, wpakowałem kulkę w jeńca i wypuściłem sztywnych, żeby się zabawili. Gdybyście nie posprzątała tak szybko, dotarłbym tam i zabawił się w bohatera... ale i tak wyszło w porządku.

– Nie rozumiesz, że ludzie, z którymi współpracujesz, próbują wywołać epidemię, która zmiecie...

Przerwał mi ze śmiechem.

– Daj spokój, kapitanie... chyba nie kupujesz całego tego towaru. Podaliśmy ci wskazówki. Wszystko miało się wydarzyć tuż przed czwartym lipca, żeby pojawiły się pewne obawy związane z tym wydarzeniem. Byłem zachwycony, kiedy dowiedziałem się, że jedziemy tutaj, ponieważ znaczyło to, że wszystko idealnie się układa. Daliśmy wam wszystko, czego potrzebowaliście, żeby powstrzymać zarazę, zanim się rozprzestrzeni. Musicie tylko wydać cholerną kupę kasy na badania i szczepienia. Tamten żółtek z WDN już pracuje nad lekarstwem. W Filadelfii jest dość agentów i gliniarzy, żeby zapanować nad zarazą. Ona nigdy nie miała wyjść poza centrum. Ucieszy cię wiedza, że to ostatnie planowane pojawienie się patogenu. Nie... tu nie chodzi o koniec świata, tylko o hajs. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

– Dziesięć milionów to nieduża cena za twoją duszę, Kapi.

– Wystarczy. Zwłaszcza tam, gdzie się wybieram. Mogę dobrze żyć i przez resztę życia się nie wychylać.

– A co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy zginęli? Agentami WDN, ludźmi zmienionymi w sztywnych w przetwórnii krabów...

Szukałem choć śladów wyrzutów sumienia w jego oczach, ale ich nie znalazłem. W środku był równie martwy, jak sztywni.

– A co to mnie, kurwa, obchodzi? Jestem tylko pionkiem. Chcesz wzbudzić w kimś poczucie winy, szefie, to obwiniaj tego dupka, którego właśnie zastrzelełeś. Tak, to naprawdę El Mudżahid. Upozorowany na agenta Secret Service. Pracowałem nad przygotowaniem jego dokumentów i dowodu tożsamości, zanim szef przeniósł mnie do WDN. I wszystko poszło dobrze.

– Twój szef. Masz na myśli Roberta Howella Lee?

Kapi zamrugał, ale szybko odzyskał spokój.

– Dobra robota. Może jesteś lepszy, niż się spodziewałem, choć to bez znaczenia. Możecie go sobie wziąć. Gówno mnie obchodzi. To gnida. Ja się stąd wynoszę.

– Powiedz mi choć jedno, Kapi – spytałem. – Kto to wszystko zaczął? Stawiam na jakąś firmę farmaceutyczną, z terrorystami zatrudnionymi do pomocy.

Znów zamrugał.

– Punkt dla ciebie. Tak, to wszystko robota wielkiego biznesu.

– Zdradzisz może, jakie firmy?

– Akurat – powiedział, po czym jakby wzdusił ramionami. Nadal celował do mnie z jednego pistoletu, ale drugi opuścił, zrobił kilka kroków do przodu i przycisnął jego lufę do czubka głowy Starszego. – Właściwie nie wiem więcej od ciebie. Powiedziano mi jedynie, że rachunki płaci wielka firma farmaceutyczna.

Znów skinął głową w stronę leżącego w kałuży krwi El Mudżahida.

– Ktoś zarobi na tym kupę kasy.

– Może, ale jej nie wyda. Dopadniemy ich.

Prychnął.

– WDN być może tak, kapitanie, ale ty nie. A nawet jeśli im się uda, co mnie to

obchodzi? Ja zostałem wynajęty. Nie mam żadnych związków osobistych z tą sytuacją, niezależnie od tego, jak się rozwinie, a kiedy granat w końcu wpadnie do szamba, ja będę daleko w krainie „I żyli długo i szczęśliwie”. Założę się, że tam, gdzie będę, cała historia nawet nie trafi do gazet.

– Jeśli to przeżyję, dzieciaku – powiedział cicho Starszy – lepiej oglądaj się przez ramię, bo pewnego dnia zobaczysz mnie za plecami.

– Ojej. Naprawdę się boję. – Znow wbił lufę w czubek głowy Starszego. – Spróbujesz mnie zaatakować, staruszk, a obetnę ci jaja i zmuszę cię, żebyś je zjadł.

Znow rozległy się odgłosy strzelaniny. Od strony korytarza. I Sali Dzwonu.

Grace.

Kapi się uśmiechnął.

– Chyba możemy się domyślać, co się tam dzieje. Szaleństwo zombie, i to w ogólnokrajowej telewizji. Niezły towar. Ale również moja wskazówka, żeby się stąd wynieść w cholere. Odrobina hysterii bywa użyteczna, nie sądzisz, kapitanie?

– Jak na kogoś, kto ma być opanowanym zabójcą, dużo gadasz. Jakiś problem, Kapi? Boisz się wpakować kulkę kumplom z oddziału?

Zaśmiał się.

– A niech mnie. Brzmisz, jakbyś wyszedł z kursu podstawowego psychologii. Spróbuj wpłynąć na uczucia porywacza poprzez nawiązanie więzi emocjonalnej między nim a zakładnikami. Daj spokój. Nie, kapitanie, chciałem się upewnić, że będę mógł ci odpłacić za to, że wtedy skopałeś mi tyłek. Nie jestem wielkim fanem podejścia „wybacz i zapomnij”.

– Masz ochotę na jeszcze jedną rundkę? Pewnie. Walka wręcz, a może na noże? Czytałem twoje akta, podobno nieźle sobie radzisz z nożem...

– Nie żartuj. Uważasz mnie za idiotę? Wiem, że pokonasz mnie w uczciwej walce. A jak myślisz, dlaczego nie walczę uczciwie, dupku?

– Dobra... chyba się zgubiłem, dzieciaku. Co masz na myśli?

– Chcę zobaczyć, jak skopie ci tyłek ktoś, kogo nie pokonasz.

– Naprawdę? A któż to taki?

– Ja... – wyszczał ktoś gardłowo za moimi plecami.

Obróciłem się.

W drzwiach stał El Mudżahid. Tak, był martwy. Nie żeby to miało w tej chwili większe znaczenie. Uśmiechnął się i odsłonił zęby.

Kapi odezwał się szyderczo zza moich pleców.

– Co za kurewstwo.

Rozdział sto dwudziesty pierwszy

Gault i Amira, Bunkier

Gault musiał się przeczołgać przez dwa tunele dostępne i zejść po czterech zimnych metalowych drabinach, by dotrzeć do samego serca obiektu, głęboko pod Bunkrem. Kierował się w stronę zestawu dźwigni, które wbudował w Bunkier na samym początku, jako zabezpieczenie, gdyby wszystko inne zawiodło. Starał się poruszać bezgłośnie, na wypadek gdyby Amira albo ktoś z jej podwładnych – żywych czy martwych – podążył za nim. Było niemal zupełnie ciemno, oświetlenie awaryjne rozmieszczono co około trzydziestu metrów, więc musiał wymacywać drogę. Na dole zrobiło się do tego piekielnie gorąco.

Pod Bunkrem znajdował się głęboki odwiert, który sięgał strumienia lawy zatopionego bardzo daleko pod powierzchnią pustyni. Energia geotermalna, która napędzała Bunkier, była właściwie nieskończona, a sześć kominów – każdy długi na osiemset metrów i wykonany ze wzmocnionych rur – nie pozwalało, by ciśnienie w wymiennikach nadmiernie wzrosło. Gdyby nawet połowa z nich się zawaliła, wentylacja wciąż zabezpieczałaby wymienniki przed krytycznym przeciążeniem. Wszystkie jednak łączyły się w jednym punkcie – ogromnym pionowym szybie, który przewiercono wprost przez wysokie sklepienie tunelu z lawą. Przegrzane gazy wznosiły się w szybie, a później rozpraszaly przez sześć lekko skośnych kominów. Ciepło zawsze się wznosi, dzięki czemu turbiny się obracały. Co jednocześnie było słabym punktem, ponieważ ciepło mogło uchodzić jedynie wtedy, gdy nic go nie powstrzymywało. Gdyby zablokować wszystkie szyby, ciepło zostałoby uwięzione pod generatorami. Lawa wydzielala tyle energii cieplnej, że generatory w ciągu kilku minut stopiłyby się lub wybuchły. Każda z tych sytuacji uruchomiłaby wszystkie zabezpieczenia Bunkra – protokoły, które zostały wbudowane w strukturę obiektu z tak wieloma redundancjami, że nawet celowa próba ich rozbrojenia by je uruchomiła. Po uruchomieniu zabezpieczenia wysłałyby sygnały elektryczne do wybuchowych rygla, które zatrzasnęłyby wszystkie drzwi, a następnie zaspawały je. System zabezpieczeń uruchomiłby następnie szereg pokrytych powłoką azbestową wentylatorów, które wtłoczyłyby przegrzane gazy do każdego pomieszczenia w Bunkrze. Gault zaprojektował Bunkier w taki sposób, żeby nie pozwolić na wydostanie się patogenów.

Naprawdę nie chciał zniszczyć świata. Pragnął jedynie stać się najbogatszym jego mieszkańcem. Czołgał się tunelem, pocąc się obficie i zbliżając do miejsca, które można było odnaleźć jedynie dotykiem – Gault osobiście wygrawerował w stalowej płycie znaki przypominające alfabet Braille'a. Za tą płytą kryło się sześć dźwigni hydraulicznych. Każda z nich zrzuciłaby tonę skał w jeden z kominów. Łatwizna.

Jeszcze dziesięć metrów.

Osiem. Sześć. I wtedy to usłyszał. Głos szepczący w ciemnościach gdzieś za nim.

– Sebastianie! – zawołała.

Cicho, słodko i przerażająco.

Rozdział sto dwudziesty drugi

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:19

Cofnąłem się od El Mudżahida, który wyszedł z ciemnego biura.

– Matko Boska – szepnął Starszy.

Makijaż spłynął z twarzy El Mudżahedina, sprawiając, że robiła wrażenie stopionej. Ukazywał paskudną ranę, przypominającą ślad po ciosie nożem, która przecinała mu twarz na pół. Nigdy wcześniej nie byłem tak blisko niego. Musiał mieć metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i sto dwadzieścia kilo żywej wagi. Zdjął marynarkę, którą nosił jako część przebrania za agenta Secret Service, później rozluźnił krawat i rzucił go na ziemię. Jego biała koszula była przesiąknięta krwią. Dotknął ran wlotowych. Znajdowały się we właściwym miejscu, musiały trafić go w serce. Uśmiechnął się.

– Udało się – powiedział w oszołomieniu. – Moja księżniczka znalazła sposób...

– Oto zachęta dla ciebie, szefie – stwierdził Kapi. – Moi pracodawcy nie chcieli doprowadzić do końca świata... ale ten dupek? Kurwa, to jeden z jeźdźców apokalipsy. Jeśli się stąd wydostanie, gra się rzeczywiście skończy.

El Mudżahid warknął na Kapięgo, a ja kątem oka zobaczyłem, że młody marynarz wpatruje się w wielkiego terrorystę z mieszaniną podziwu i odrazy. Później zauważyłem, że Starszy patrzy mi prosto w oczy, nie mrugając. Dłonie miałem opuszczone wzdłuż ciała, a kiedy odwróciłem się w stronę El Mudżahida, zgiąłem kciuk i mały palec lewej dłoni tak, że pokazywałem tylko trzy palce. Później zwinąłem palec serdeczny i środkowy, wreszcie wskazujący. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Starszy właściwie mnie odczyta.

Nagle rzuciłem się na El Mudżahida i uderzyłem go kantem dłoni w gardło. Nigdy wcześniej nie uderzyłem z taką siłą żadnego człowieka. W tej samej chwili Starszy obrócił się na pięcie, a adrenalina, strach i cholernie wielkie oburzenie dodawały mu szybkości. Jedną ręką chwycił Kapięgo za nadgarstek, a przeciwny łokieć wbił w brzuch młodego mężczyzny. Palec Kapięgo zacisnął się odruchowo, a kula otarła się o skroń Starszego. Sierżant wrzasnął z bólu, ale poderwał się i rzucił na chłopaka. Obaj polecieeli na biurko. Pistolet wylądował w kacie.

Kapi z przekleństwem odepchnął Starszego i machnął ręką, a wtedy w jego dłoni pojawił się nóż. Otworzył usta, żeby zaszydzić ze Starszego, ale sierżant Sims błyskawicznie rzucił się do przodu i wpadł na niego. Razem uderzyli o biurko, przetoczyli się przez nie i zniknęli mi z oczu.

Nie mogłem mu pomóc. Miałem swoje problemy.

Cios, który zadałem El Mudżahidowi, powinien go zabić. A przynajmniej okaleczyć. Tak by się stało z każdym człowiekiem.

Ale El Mudżahid już nie był człowiekiem. Zakaszłał, po czym nabrał powietrza, a ja słyszałem, jak fragmenty zmiażdżonej gnykowej łączą się ze sobą. Dźwięk przyprawił mnie o gęsią skórkę.

– Moja księżniczka uczyniła mnie nieśmiertelnym. Chwała Allahowi! – zawarczał chrapliwym głosem.

Kiedy wyszedł z biura, jego spojrzenie wydawało się oszołomione i oślepiałe, ale teraz widziałem, jak zaczyna się skupiać. Nie rozumiałem tego. Jeśli był sztywnym, to dlaczego wciąż umiał mówić? Albo myśleć?

Ruszył w moją stronę. Pierwszy krok był niepewny, jakby nie wiedział, jak korzystać z ciała. Drugi był już pewniejszy, a w trzecim nie pozostały żadne ślady chwiejności.

Cholera.

Na jego twarzy malował się triumfalny wyraz przemieszany z ogromnym głodem, a w oczach, niczym słoneczny rozbłysk, płonął ogień fanatyzmu.

– Allah jest jedynym Bogiem, a ja jestem jego gniewem na Ziemi!

– Jak sobie chcesz – powiedziałem, uskokczyłem w bok i kopnąłem go w udo stalowym czubkiem buta.

Taki cios okaleczyłby każdego, ale na nim znów nie zrobił wrażenia.

– Zabawne – powiedział w farsi – ale to nawet nie boli. Och, Amiro... jak ja cię kocham.

Próbowałem chwycić leżący na ziemi pistolet, ale El Mudżahid skoczył na mnie. Wszelka niezgrabność, jaka pojawiła się bezpośrednio po jego powrocie z martwych, zniknęła. Mimo masywnej sylwetki poruszał się z kocią zręcznością, stanął mi na drodze i kopnął pistolet pod biurko. Obróciłem się i przykucnąłem. Dobra, pomyślałem, Joe, robiłeś to już wcześniej. Skręć mu kark, a powstrzymasz skurwiela.

Dlatego skoczyłem na niego i próbowałem go chwycić za brodę i włosy. Większość ludzi widziała to tylko na filmach. Nie rozpoznają, kiedy ktoś spróbuje zaatakować ich w ten sposób w rzeczywistości, a ruch jest tak szybki, że zanim się zorientują, giną.

Niestety dla mnie El Mudżahid nie był nowicjuszem. Powstrzymał mój wypad i uderzył mnie w żebra z taką siłą, że uniósł mnie w powietrze, po czym poprawił ciosem prawą pięścią z góry, który prawie pozbawił mnie głowy. Udało mi się unieść ramię i ocalić głowę, ale El Mudżahid był potężny i jego cios mnie przewrócił. Mocno uderzyłem w ziemię i od razu przetoczyłem się na bok, ledwie unikając ciosu nogą, który zmiażdżyłby mi czaszkę.

Pierwsza dama nie przestawała krzyczeć, a ja zastanawiałem się, czy ostatecznie straciła rozum.

Poderwałem się na czubki palców i stóp i próbowałem wyjąć trzydziestkę ósemkę z kabury na kostce, ale on rzucił się na mnie i obaj przetoczyliśmy się po podłodze. Pod koniec udało mi się podciągnąć kolano, oparłem je o jego pierś, kiedy próbował mnie zmiażdżyć w niedźwiedzim uścisku. Gdyby mu się udało, strzaskałby mi plecy. Cofnąłem ręce i wykorzystałem większą siłę mięśni nóg, by się wyrwać. El Mudżahid poleciał do tyłu, a ja znów sięgnąłem po pistolet, tym razem udało mi się go wyciągnąć, ale Wojownik rzucił się do przodu jak delfin wyskakujący z wody na podmurówkę basenu. Ruch był niezgrabny, ale wystarczający, El Mudżahid machnął ręką i wyrwał mi pistolet.

Kopnąłem go w twarz i poderwałem się na równe nogi.

Byłem zwrócony plecami do ściany, a on znajdował się między mną a moimi pistoletami.

Podniósł się powoli, z opuszczoną głową, zgarbionymi ramionami i wyciągniętymi rękami. Ten skurwysyn naprawdę umiał walczyć. Żadnych zasad, jedynie reagować i niszczyć. Zupełnie jak ja.

Za jego plecami widziałem fragmenty walki trwającej za biurkiem. Ręce i nogi, mnóstwo przekleństw. Nie miałem pojęcia, kto zwyciężał.

El Mudżahid napierał na mnie, zachodził mnie to z prawej, to z lewej, próbując zapędzić mnie do kąta. W przypadku większości napastników kąt to niezłe miejsce, żeby się bronić, daje sporo szans, gdy już nie walczy się w tłumie, ale z mięśniakiem takim jak on byłaby to śmiertelna pułapka.

Spojrzał na mnie i kłapnął zębami.

– Mam ochotę na kawałek ciebie – powiedział żartobliwym tonem.

Nie było mi do śmiechu.

Wciąż słyszałem odgłosy strzałów i krzyki dochodzące z Sali Dzwonu. Musiała tam trwać piekielna walka. Czy Grace ją przeżyje, czy już zginęła? Czy powstanie jako jeden z bezmyślnych sztywnych, czy nowy i ulepszony myślący potwór podobny do tego, któremu stawiałem czoło?

Co zrobią Church i prezydent? Pozwolą, by wszyscy obecni w Centrum Dzwonu Wolności powybijali się nawzajem, a później spalą je do fundamentów? Czy prezydent mógł zaryzykować inną reakcję, nawet wiedząc, że w środku jest jego żona?

I wtedy zorientowałem się, że pierwsza dama już nie krzyczy. El Mudżahid również to zauważył, a kiedy się obróciliśmy, zobaczyliśmy, że podniosła moją czterdziestkę piątkę i celowała w wielkiego terrorystę. Wystrzeliła, ale w panice szarpnęła spust, zamiast go nacisnąć, lufa poderwała się do góry, a pocisk wybił dziurę w suficie.

Pobiegłem w jej stronę, chcąc dorwać ten przeklęty pistolet, ale El Mudżahid zaszedł mi drogę, próbując mnie chwycić. Zablokowałem go, ale to był tylko zwód – on sięgnął drugą ręką i chwycił mnie za rękaw marynarki.

Pierwsza dama znów strzeliła, lecz tylko wyrwała kawałek biodra El Mudżahida.

Szarpnął mnie do przodu z taką siłą, że poderwałem się z ziemi, i uderzył mnie łokciem, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Zwisłem w jego uścisku, a on pochylił się nade mną. Czułem jego gorący oddech na odsłoniętym gardle.

Rozdział sto dwudziesty trzeci

Gault i Amira, Bunkier

Gault czołgał się przerażony do przodu, usiłując namacać wyryte znaki. Niesamowity głos Amiry unosił się w ciemnościach w jego stronę i za każdym razem, gdy wołała go po imieniu, wydawał się coraz głośniejszy.

– Sebastianie! – Z perwersyjnym zaśpiewem przeciągała samogłoski.

Jego palce musnęły nierówność na ścianie. Zatrzymał się i zaczął macać. Tak! Wymacał prawy górny róg płyty i uderzył weń bokiem pięści. Róg zagiął się do przodu, a wtedy Gault chwycił za krawędź i wyrwał całą płytę. Wewnątrz zaświeciło nieduże czerwone światelko, ukazując pokryte gumą uchwyty sześciu dużych dźwigni.

– Sebastianie!

– Wiedźma – mruknął, chwycił pierwszy uchwyt i pociągnął.

Okazało się to o wiele trudniejsze, niż się spodziewał, do tego złapał pod niewłaściwym kątem. Musiał stanąć pochylony nad dźwignią i szarpnąć całym ciałem do tyłu, żeby ją poruszyć. Za pierwszym razem przesunęła się o kilkanaście centymetrów.

– Kurwa! – warknął i pociągnął po raz kolejny, krzycząc z wysiłku.

Tym razem dźwignia przechyliła się w jego stronę i zablokowała. Przez chwilę panowała rozczarowująca cisza, po czym gdzieś daleko rozległo się dudnienie, które bardziej poczuł, niż usłyszał.

Chwycił drugą dźwignię, tym razem również potrzebował dwóch szarpnięć, żeby ją opuścić i zablokować.

– Sebastianie!

Jej głos był blisko. Boże, pomyślał... Boże!

W chwili, gdy rozległo się dudnienie skał zamykających drugi przewód wentylacyjny, Gault szarpnął się do tyłu z trzecią dźwignią i tym razem udało mu się zablokować ją za pierwszym razem. Dudnienie zaczęło się natychmiast.

– Sebastianie!

Tym razem jej głos brzmiał inaczej. Może kryła się w nim odrobina wątpliwości? Chwycił czwartą dźwignię i pociągnął. Była tak twarda i sztywna, że opuszczenie jej wymagało pięciu szarpnięć, ale w końcu się udało i rozległo się dudnienie.

– Sebastianie!

Słyszał jej pośpieszne kroki, a w jej głosie zdecydowanie brzmiał niepokój.

Strach, który usłyszał w jej wołaniu, dodał mu sił. Zdecydowanie szarpnął piątą dźwignię i opuścił ją dwoma szarpnięciami. Temperatura już zaczęła rosnąć, gdy przegrzane gazy zaczęły się cofać zablokowanymi przewodami. Stalowe ściany przejścia odbijały ciemnoczerwony blask oblewający go krwawym światłem.

– Sebastianie!

Odwrócił się i zobaczył ją oddaloną o jakieś sześć metrów. Jej szaty były porwane i zakrwawione.

Bóg jeden wiedział, czyja to była krew. W ognistym blasku lawy wyglądała jak potwór

z piekła rodem.

Krew na jej wargach i dłoniach była czarna, a cienie spowijały oczy tak, że bardziej przypominała kościotrupa niż kobietę, której uroda zapierała mu dech po jednym ukradkowym spojrzeniu.

– Posłuchaj mnie, Sebastianie – powiedziała ochryłym głosem. – Przestań... mogę się z tobą podzielić generacją dwunastą. Jeśli szczerze przyjmiesz Koran i nauki Proroka, mogę cię uczynić jednym z nas. Mogę cię uczynić jednym z bożych nieśmiertelnych.

– Oszalałaś, Amiro. Zmieniłaś się w potwora.

Położył dłoń na szóstej dźwigni.

– Jestem *Seifal Din* – odparła, a jej ciemne oczy zabłyśły. – Nie rozumiesz? Jestem zarazą, jestem Mieczem Wiernych. Nie potrzebujemy już laboratorium ani badań. Jestem tchnieniem Boga, które poniesie się nad całym światem. Niewierni zginą, a wierni staną się nieśmiertelni. Jak ja. Jak El Mudżahid. – Wyciągnęła do niego rękę. – Jak ty, Sebastianie... jeśli tylko to przyjmiesz.

Pokręcił głową, a po policzkach popłynęły mu łzy.

– Jestem chciwym skurwielem bez serca, Amiro... ale nie jestem potworem.

Amira rozłożyła szeroko ręce i uśmiechnęła się do niego.

– A czy ja jestem potworem, miłości moja? – powiedziała tym swoim znajomym głosem, który przeszył jego serce jak nóż. Tak bardzo nie pasował do zakrwawionego stwora, którym się stała.

– Tak, kurwa, jesteś! – powiedział ktoś z ciemności za jej plecami.

Zabawka.

Amira obróciła się, by obejrzeć się za siebie, i rzeczywiście, stał tam Zabawka. Był zakrwawiony, w podartym ubraniu, a na jego twarzy malował się ból. Oparł jedną zakrwawioną rękę o ścianę, a w drugiej trzymał wycelowany w nią pistolet. Lufa drżała.

Amira syknęła w jego stronę, a Zabawka uśmiechnął się do niej z trudem i też zasyczał. Popatrzył ponad jej ramieniem na Gaulta i dźwignię w jego rękach. Odetchnął płytko.

– Zrób to – powiedział.

Amira znów odwróciła się do Gaulta.

– Nie!

– Boże – szepnął.

Wokół niego dudniły góry, a powietrze paliło.

– Kochałem cię, Amiro.

– Sebastianie... – Oboje to powiedzieli, Amira i Zabawka.

Gault zacisnął ręce na dźwigni i napiął mięśnie.

– Niech Bóg się nade mną zmiłuje – szepnął – ale zawsze będę cię kochać.

Rzuciła się w jego stronę, w tej samej chwili Zabawka wystrzelił, a Gault szarpnął do tyłu i pociągnął dźwignię. Ich krzyki zostały zagłuszone przez dudnienie, gdy całe tony skał zasypały ostatni przewód. We wnętrzościach ziemi, w piekielnym palenisku, ognista ręka szatana zacisnęła się w pięść i uderzyła od dołu w Bunkier.

Rozdział sto dwudziesty czwarty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 Upca, 12:21

Jego oddech był gorący jak piekielny wiatr. Cofnąłem się, przekręciłem w jego uścisku, błyskawicznie obróciłem biodra. Wbiłem mu kolano w krocze, a jednocześnie uderzyłem czubkami wyprostowanych palców pod jego brodą, miażdżąc tkanki i chrząstki ponad jabłkiem Adama.

Kolejny zabójczy cios, który nie mógł go zabić – ale zmusił El Mudżahida do cofnięcia głowy, a wtedy uderzyłem go nad lewym uchem. Raz, dwa, trzy razy, za każdym wstrząsając całym jego ciałem. Po trzecim uderzeniu usłyszałem zgrzyt kręgosłupa szyjnego, a wtedy El Mudżahid nagle odrzucił mnie na bok. Może kiedy poczuł poruszenia kręgow, zrozumiał, że to jego jedyny słaby punkt.

Wylądowałem na ziemi i spróbowałem zrobić przewrót do tyłu, ale brakowało mi miejsca i wpadłem na szafkę, niemal stając przy tym na głowie. Poczułem ból przeszywający szyję, ramiona i plecy, ale zacisnąłem zęby, oparłem dłonie na podłogę i zeskoczyłem na równe nogi. Nie dostałbym złotego medalu w gimnastyce sportowej, ale udało mi się stanąć na nogach i obrócić, gdy El Mudżahid znów się na mnie rzucił.

Pierwsza dama strzeliła po raz kolejny, spudłowała, a zamek pistoletu pozostał w pozycji tylnej.

Wiedziałem, że długo nie wytrzymam. Męczyłem się, dostawałem w kość, a ten skurwysyn był nieśmiertelny. Był potworem, który nie czuł bólu. Prędzej czy później musiał zwalić mnie z nóg, a wtedy mógłby zacząć działać zębami.

Po drugiej stronie pomieszczenia usłyszałem wycie bólu. Nie wiedziałem, czy to Kapi, czy Starszy, a nie mogłem poświęcić sekundy, by spojrzeć i sprawdzić.

Przesunąłem się w bok, żeby okrążyć El Mudżahida, ale on rzucił się do przodu, by przeciąć mi drogę. I dobrze, bo kiedy się zbliżył, ja uskokczyłem w bok i minąłem go od lewej. Wyciągniętą ręką uderzył mnie w ucho, ale, mimo że mi w nim zadzwoniło, nie zatrzymałem się. Wykorzystałem siłę uderzenia, by obrócić się w niezręcznym piruecie, który posłał mnie przez całe biuro w stronę jednego ze stołów roboczych. Na jego drugim końcu widziałem coś, czego potrzebowałem, ale El Mudżahid już na mnie nacierał. Kłapał zębami, a na jego twarzy malowała się wszechogarniająca wściekłość.

Wściekłość u przeciwnika jest bardzo użyteczna. Sprawia, że bystrzy ludzie robią głupie rzeczy. Przed wściekłym wrogiem nie należy się cofać – wtedy człowiek zostaje po prostu pchnięty na ścianę i pobity – a w tym przypadku rozszarpany zębami. Dlatego się nie cofnąłem, ale rzuciłem mu na spotkanie. Nie piersią w pierś, jak dwa byki. Rzuciłem się do przodu, zwinąłem w kłębek, przetoczyłem i uderzyłem w jego nogi. Trafiłem go centralnie w lewą piszczel, a prawą uderzyłem z boku. Jego środek ciężkości znajdował się wyżej, a ja uderzyłem go z całą siłą swoich dziewięćdziesięciu kilogramów, więc poleciał do przodu i walnął twarzą w rząd metalowych szafek.

Poderwałem się na równe nogi, obróciłem i rzuciłem z powrotem do stołu, chwytając przedmiot, który zauważyłem wcześniej – duża gilotyna do papieru przyśrubowana do

metalowego blatu. Podniosłem ostrze, chwyciłem obiema rękami za uchwyt i szarpnąłem całym ciałem w prawo. Śruba, która mocowała wielkie ostrze do blatu roboczego, nie została zaprojektowana, by wytrzymać siły działające z boku, i po chwili całe ostrze oderwało się z głośnym trzaskiem. Obróciłem się, a El Mudżahid już się ruszał, pędził w moją stronę, morderczy i nieustraszony, zupełnie niewzruszony zderzeniem z szafkami.

Znów rzuciłem się, żeby spotkać się z nim w pół jego skoku, ale tym razem zamachnąłem się nożem gilotyny jak szablą, zakrzywione ostrze ze świstem przecięło powietrze. Trafiłem go w lewy bok szyi, ostrze wbiło się głęboko. Cios sprawił, że El Mudżahid zatrzymał się gwałtownie i wpatrzył we mnie z otwartymi ustami. Wyciągnął palce, żeby pomacać ciężkie ostrze wbite w mięśnie i ścięgna. Nie przebiło jego szyi na wylot, ale sama krawędź musiała zagłębić się w kręgosłupie potężnego mężczyzny.

Centymetr wystarczył.

Jego ogromna siła zaczęła natychmiast znikać, gdy utracił panowanie nad mięśniami. Padł na kolana jak błagalnik gotowy się ukorzyć. Z trudem łapiąc oddech, oparłem stopę o ciało i wyrwałem ostrze.

– Nie powstrzymasz woli Boga... – powiedział niewyraźnie, a z jego ust popłynęła krew.

– Tu nigdy nie chodziło o wolę Boga, ty skurwielu! – warknąłem, uniosłem ostrze nad ramię i z okrzykiem wściekłości znów się nim zamachnąłem.

Ostrze przecięło szyję na wylot, a siła uderzenia wyrwała mi je z rąk. Wbiło się czubkiem w linoleum i tak pozostało, drżąc lekko.

Głowa El Mudżahida podskoczyła, przetoczyła się i zatrzymała, jego oszalałe oczy wpatrywały się z ogromnym zaskoczeniem w niebo.

Zatoczyłem się do tyłu i prawie się przewróciłem.

Pierwsza dama krzyknęła.

Wtedy usłyszałem kolejny okrzyk bólu i odwróciłem się. Moje ciało przepełniało mrowiące napięcie, a umysł cofał się przed tym, co właśnie zrobiłem. Zobaczyłem Kapięgo Tylera idącego w moją stronę z zakrwawionym nożem w ręku. Popatrzył na mnie, a później na terrorystę. Uśmiechnął się, ukazując zakrwawione zęby.

– No, no – powiedział chrapliwie – ale z ciebie pieprzony bohater.

A później jego oczy wywróciły się białkami do góry i upadł na twarz.

W plecy miał wbite sześć ołówków, jeden obok drugiego, na wysokości prawej nerki.

Zza biurka wyłoniła się zakrwawiona, drżąca postać. Starszy był poharatany i zalany krwią.

– Twardy skurwiel – powiedział.

Zakaszła i padł na kolana, jedną ręką złapał się biurka. Ruszyłem do niego razem z pierwszą damą. Ona była pierwsza, pomogła mu niezgrabnie usiąść. Oboje mieli wypieki. Pokuśtykałem w ich stronę, ale nogi się podę mną ugięły i prawie upadłem. Starszy machnął ręką w moją stronę.

– Przeżyję, kapitanie. Ale... daj mi chwilę, żebym złapał oddech.

Opuścił głowę i siedział tak, brocząc krwią na podłogę. Pierwsza dama głaskała go po głowie i przytulała, jednocześnie go pocieszając i znajdując w nim pocieszenie.

– Dorwałeś... go? – spytał ktoś.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Ollie Brown patrzy na mnie przymrużonymi oczyma.

Powlokłem się do niego i padłem na kolana. Był w kiepskim stanie. Spojrzałem na Starszego i pokręciłem głową.

Starszy skrzywił się i zwiesił głowę.

– Hej, dzieciaku. – Położyłem dłoń na ramieniu Olliego. – Trzymaj się.

– Skurwiel mnie zaskoczył. O'Brien... skurwysyn był... – zaczął mówić, ale zaraz się rozkaszał i wypluł na podłogę krwawy śluz. – Powinienem... się domyślić. Przepraszam, że

zawiodłem.

Ledwie mówił. Wziąłem go za rękę i trzymałem tak, jak trzymałem za rękę Rogera Jeffersona, a Ollie, tak samo jak Jefferson, ścisnął mnie, jakby mógł w ten sposób uchwycić się życia.

– Oszukał nas wszystkich. To nie twoja wina. Jeśli już, Ollie – powiedziałem – wina była moja.

Pokręcił głową.

– Czy to... Kapi? Czy to on?

– Tak.

– Jego też dorwałeś?

– Starszy to zrobił.

– Miał tę niewinną buźkę. – Uśmiechnął się słabo. – Pewnie... pewnie łatwiej było uwierzyć, że to ja.

– Przepraszam, że w ciebie wątpiłem, Ollie.

Zakaszła.

– Bywa, kapitanie. – Spróbował odwrócić głowę. – Nie słyszę... strzałów. Czy już po wszystkim?

Nadstawiłem ucha i rzeczywiście, miał rację. W Sali Dzwonu panowała cisza. Znów spojrzałem na Olliego, chcąc go jakoś pocieszyć, lecz dla niego już się skończyło. Oczy miał otwarte, ale patrzyły na zupełnie inny świat.

Pochyliłem głowę i trzymałem go za rękę.

Z korytarza dobiegły nowe odgłosy. Szybkie kroki. Głosy. Wymagało ode mnie ogromnego wysiłku, bym uniósł głowę i popatrzył na kilka osób wbiegających do środka. Królik był pierwszy, na twarzy miał krew, a pistolet trzymał obiema rękami. Tuż za nim biegł Gus Dietrich. I ona.

Grace.

Żywi. Wszyscy byli żywi.

– Joe! – krzyknęła i podbiegła do mnie, a ja pociągnąłem ją do siebie, na podłogę.

– Powstrzymaliśmy to, szefie – mruknął Królik i pochylił się nad Starszym. Na jego twarzy malowała się troska.

Grace mnie objęła, a ja trzymałem za rękę Olliego – człowieka, któremu nie ufałem i którego skrzywdziłem – i płakałem za nas wszystkich.

Rozdział sto dwudziesty piąty

Centrum Dzwonu Wolności, sobota, 4 lipca, 12:28

Jako pierwsi wkroczyli do Centrum Dzwonu Wolności kolejni agenci Secret Service. Ubrani w kombinezony przeciwskażeniowe przeczesywali budynek, aż znaleźli pierwszą damę. Po nas przyszli ratownicy medyczni. Królik tkwił w wejściu do biura, w którym leżały ciała Olliego i pozostałych. Ratownicy zajęli się Starszym Simsem, nałożyli opatrunki na dziesiątki ran ciętych i kłutych, po czym położyli go na noszach. Królik kręcił się przy nich jak kwoka i posyłał im paskudne spojrzenia za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że są zbyt szorstcy. Ruszył za nimi, udzielając im kolejnych porad, jak powinni wykonywać swoją pracę. Pewnie się cieszyli, że kombinezony ukrywają ich twarze.

Później dowiedziałem się, że Kapi Tyler miał szesnaście złamanych kości i pękniętą wątrobę, nie wspominając o wszystkich ołówkach, które Starszy wbił mu w nerkę. Musiała to być niezła walka, ale właściwie nie żałowałem, że ją przegapiłem. Miałem dość przemocy. Może dość na resztę życia. Nawet Wojownik, który krył się w głębi mojej duszy, czuł się nasycony.

Olliego Browna i zabitych agentów Secret Service zapakowano w czarne worki. Kapi i El Mudżahid zostali tam, gdzie padli. Ekipy dochodzeniowe musiały najpierw zrobić im zdjęcia. Jak dla mnie, mogli zgnieć. Wszyscy ratownicy zatrzymywali się i gapili na dwa kawałki El Mudżahida. Patrzyli dziwnie i obchodzili mnie szeroki łukiem.

Grace siedziała obok, trzymając dłoń na moim ramieniu, kiedy ratownicy obkładali mnie bandażami i lodem.

Kiedy skończyli, spytałem:

– Jak bardzo źle było?

Długo nic nie mówiła.

– Bardzo źle – odparła w końcu.

Wziąłem ją za rękę i nie puszczałem. Jej palce były zimne jak lód.

– Rudy? – spytałem, bojąc się odpowiedzi.

– Bezpieczny.

Kiedy poczułem, że mogę wstać, wróciliśmy do Sali Dzwonu. Brierly podszedł do nas.

– Powiedzieli mi, że wraz ze swoim człowiekiem uratowałeś pierwszą damę.

– Ludźmi – poprawiłem go. – Starszy sierżant sztabowy Bradley Sims i podporucznik Oliver Brown. Obaj wypełnili swoje zadanie, a Ollie zginął w akcji. – Zawahałem się. – Chciałbym, żeby pan wiedział, że Ollie zginął, służąc ojczyźnie.

Brierly pokiwał głową.

– Dziękuję, kapitanie. Był dobrym człowiekiem.

– Tak – zgodziłem się.

Uścisnęliśmy sobie ręce, a Brierly odprowadził Grace na bok – czekała ich telekonferencja z Churchem.

– Wróć – powiedziała.

– Wciąż jestem ci winien drinka.

– Tak. – Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. – Jak cholera.

Nie było już tłumów. Ofiary leżały w rzędach, a ludzie w kombinezonach z białego plastiku przykrywali ciała prześcieradłami i szukali dowodów tożsamości. Ktoś zasłonił okna niebieską folią, ale tłumy zniknęły – cały Pasaż Niepodległości został opróżniony, a w mieście ogłoszono stan wyjątkowy. Centrum zajmowała Gwardia Narodowa, a do miasta zlatywały się śmigłowce pełne agentów federalnych, naukowców, personelu medycznego i innych typów.

Rudy siedział na krawędzi podwyższenia, bez marynarki i z podwiniętymi rękawami, a końce krawata zwisały po obu stronach jego szyi. Popatrzył na mnie i wyciągnął rękę, ale obaj mieliśmy zakrwawione dłonie. Cofnął rękę i westchnął.

– *Dios mio*, kowboju.

– Racja.

– Królik powiedział mi, że to jednak był Kapi. Nie Ollie. Myliliśmy się.

– Wszyscy się mylili. Nawet Church podejrzewał Olliego. Ollie najlepiej pasował. Ci skurwiele pewnie wybrali Kapiego na równi z powodu jego niewinnej buźki, jak i chciwego czarnego serca. Oszukali nas, co niemal kosztowało nas wszystkich życie.

Usiadłem obok niego i przez długi czas nie wypowiedzieliśmy ani słowa. Rudy wpatrywał się w coś po drugiej stronie sali, a ja podążyłem za jego spojrzeniem do miejsca, w którym leżał mężczyzna w hawajskiej koszuli.

Ktoś wbił pęknięty koniec drzewca flagi w jego oczodół.

– Nie wiedziałem, że to tak może wyglądać – powiedział w końcu Rudy. – Niby prowadziłem terapię setek gliniarzy, ale...

Pokręcił głową.

Zrozumiałem i usłyszałem głębokie cierpienie w jego głosie. Ale co mogłem powiedzieć? Każdy musiał wypełnić swoje zadanie, wiedziałem też, że czekają nas długie letnie noce, w czasie których będziemy siedzieć na jego podwórku, wpatrywać się w gwiazdy przepływające nad głową, pić piwo i gadać. To jednak nie była właściwa chwila i obaj to wiedzieliśmy. Po drugiej stronie sali agenci Secret Service stali jak duchy, ich twarze były blade, a oczy udreżone, gdy próbowali nie patrzeć na ciała pod prześcieradłami.

– To musiało być dla nich straszne – powiedział Rudy.

– Dla ciebie też.

Pokręcił głową.

– Ja głównie patrzyłem. Ja... nie jestem pewien, czy mógłbym zrobić to, co oni. Musieli strzelać do kongresmenów, cywilów...

– Winisz ich za to, że zastrzelili tych ludzi.

– Boże, nie. Są bohaterami. Każdy z nich.

– Ale wcale tak nie myślą.

– Nie – zgodził się.

– Są naznaczeni – powiedziałem. – O tym właśnie mówiłeś. Wyraz ich twarzy, oczu. Nigdy nie zniknie. Przemoc zawsze zostawia swój ślad. Tego mnie nauczyłeś.

Westchnął.

– O tak wiele prosimy ludzi, którzy nas chronią. Strażaków, gliniarzy, żołnierzy... Zgłaszają się, żeby zrobić coś dobrego, zmienić świat, ale czasem prosimy o zbyt wiele.

– Są wojownikami – powiedziałem cicho. – Niektórzy po dzisiejszym staną się silniejsi. Dla niektórych bitwa to doświadczenie, które rozjaśnia w głowie. Zmusza wszystkie zmysły do przebudzenia, czyni całkowicie świadomym, całkowicie żywym.

– A niektórych to, co się dziś wydarzyło, złamie – dodał. – Nie każdy ma duszę wojownika. Tego mnie nauczyłeś, Joe. Niektórym może zabraknąć odwagi i wytrzymałości,

nawet jeśli walka toczy się w słusznej sprawie. Dla niektórych z nich dziś może być punktem krytycznym. To, co się dziś wydarzyło, może zabić niektórych z nich. Nie od razu, może nawet nie przez najbliższe dwadzieścia lat, ale kilkoro być może nigdy nie otrząśnie się ze wspomnień tego, co musieli dziś zrobić, do czego byli zmuszeni. Będą wiedzieć wszystko o logice i dlaczego musiało do tego dojść, dlaczego nie mieli wyboru, i przez jakiś czas zachowają spokój... ale część tego nie przeżyje. W ostatecznym rozrachunku.

Chciałem się z nim kłócić, ale wiedziałem, że miał rację. Bycie bohaterem nie oznacza jeszcze, że człowiek czuje się swobodnie z byciem również zabójcą.

– Będą cię potrzebować, Rudy.

– Nie pomogę im wszystkim.

– A oni nie uratowali wszystkich tutaj – odparłem.

Rudy zamknął na chwilę oczy, po czym wstał i spojrzał na mnie.

– A co z tobą, kowboju? Dotarłeś już do granicy?

Kiedy nie odpowiedziałem, westchnął i pokiwał głową. Poklepał mnie po ramieniu, po czym odwrócił się i podszedł do grupy agentów. Odprowadzałem go wzrokiem i obserwowałem przemianę, jaka zachodziła, kiedy zmieniał się z mojego przyjaciela Rudy'ego w doktora Sancheza. Zawsze wtedy wydaje się większy, wyższy. Jak skała dla tych, którzy potrzebują się czegoś uchwycić. Ale ja znałem prawdę – on również był naznaczony i podobnie jak reszta z nas będzie to dźwigał do końca.

A... co ze mną? Zamyśliłem się. Czułem, jak powoli opuszcza mnie wstrząs. W miarę, jak adrenalina zniknęła z krwiobiegu, smutek i przerażenie malały. W trzcinach w głębi mojego umysłu Wojownik znów zaczynał ostrzyć nóż. Czułem to.

Popatrzyłem na agentów. Wszyscy wydawali się tacy młodzi i zranieni. Tylko jeden odpowiedział spojrzeniem i popatrzył mi w oczy. Był pod trzydziestkę, niewiele młodszy ode mnie, ale jego oczy zdawały się starsze od twarzy. Jego mina wydawała się mniej wstrząśnięta niż u pozostałych. Odczytał moją twarz, a ja odczytałem jego, i wymieniliśmy krótkie skinienie, którego nikt z pozostałych nie zobaczył, a nawet gdyby je zobaczyli, i tak by go nie zrozumieli. Należeli do innego gatunku. Młody agent znów się odwrócił, by wysłuchać Rudy'ego, ale byłem pewien, że w głowie już rozważa to doświadczenie. Tak jak ja to robiłem. Jak to robią wojownicy. Obaj nie zostaliśmy naznaczeni przez swoje doświadczenia. Już się urodziliśmy z tym znamieniem.

Epilog

1.

W sumie w Centrum Dzwonu Wolności zginęło dziewięćdziesiąt jeden osób, wśród nich czternastu kongresmenów. Odpowiedzialnością obarczono, rzecz jasna, terrorystów, ale w oficjalnej wersji historii nie było mowy o apokaliptycznej epidemii. Gwałtowne zachowanie wywołał „gaz bojowy”. Nagrania na żywo, które wydostały się na zewnątrz, były koszmarem dla działu public relations, ale choć świadkowie opowiadali o agentach Secret Service strzelających do nieuzbrojonych cywilów, prezydentowi udało się ściągnąć kilkudziesięciu znanych naukowców, którzy nawijali o epizodach psychotycznych wywoływanych przez gaz bojowy. Nikt, kto brał udział w walce w centrum, nie został pociągnięty do odpowiedzialności za swoje działania. Winą obarczono El Mudżahida i jego siatkę terrorystów, co doskonale się sprawdziło jako sposób na skanalizowanie ogólnonarodowego oburzenia. Po śmierci stał się bardziej znieawidzony od Osamy bin Ladena. Upolowanie go przypisano agentom Secret Service. W końcu rozdano medale, żadnego dla WDN. Ostatni dzień lipca ogłoszono dniem żałoby narodowej.

Nie podjęto żadnej próby odtworzenia Dzwonu Swobody. Kiedy agenci WDN przeszukali mieszkanie Andrei Lester, znaleźli korespondencję i inne dowody wiążące ją z Ahmedem Mahoudem, terrorystą, którego ciało zabezpieczono w Centrum Dzwonu Wolności. Był jednym z zarażonych, a Rudy zabił go złamanym drzewcem amerykańskiej flagi. Gdyby to wyciekło do prasy, stałoby się symbolem, ale nikt o tym nawet nie wspomniał.

Mahoud został później zidentyfikowany jako szwagier El Mudżahida, a śledztwo wyraźnie wykazało, że Lester i Mahoud byli kochankami. Ona przed ponad trzema laty, na długo, nim została zatrudniona do odlania Dzwonu Swobody, przeszła w tajemnicy na islam. Church spekulował, że być może to jej powiązanie z tym projektem zainspirowało cały plan terrorystów. Wydawało się to prawdopodobne, ale pewności nie będziemy mieć nigdy.

Dyrektor Brierly zaczął polowanie na Roberta Howella Lee. Znaleźli go w sypialni jego domu.

Po rozmowie ze mną w Centrum Dzwonu Wolności pojechał do domu, wziął z szafki należąca do żony fiołkę środków nasennych, napisał list pożegnalny, w którym błagał o wybaczenie, i połknął całą zawartość buteleczki. Ludzie Brierly'ego dotarli do niego w ostatniej chwili. Ratownicy zrobili mu płukanie żołądka, a Church nacisnął kogo trzeba i upewnił się, że karetkę skierowano do bezpiecznego miejsca. Sam wyruszył jak najszybciej i kiedy Lee otrząsnął się ze skutków przedawkowania środków nasennych, obudził się i zobaczył przy swoim łóżku pana Churcha. Lepiej by dla niego było, gdyby pigułki zadziałały szybciej. Później przyznał się, że wiedział o bardziej zabójczym szczepie patogenu El Mudżahida, ale nie zrobił nic, by ostrzec władze. Powiedział, że polecił Kapiemu Tylerowi powstrzymać El Mudżahida przed ucieczką, ale nawet to się nie zgodzało. Lee był zdrajcą, tchórzem i cholernym głupcem.

Znaleźliśmy Churcha siedzącego samotnie w opustoszałym przedsionku polowego

biura FBI w Filadelfii. W milczeniu pogryzał waniliowe wafelki.

– Czegoś się pan dowiedział? – spytałem, ale on długo nie odpowiadał.

– Panie Church...? – odezwała się cicho Grace.

Church napił się wody.

– Podał nam nazwisko. – Oparł się wygodniej i wpatrzył w nadgryzione ciastko, które trzymał między kciukiem a palcem wskazującym. – Sebastian Gault.

Grace zbladła.

– Nie...

Powiedziała mi, kim był Gault, ale nawet ja o nim słyszałem. A kto nie słyszał?

– Jeśli to prawda...

Church na nią nie patrzył.

– To prawda. Lee w końcu stał się... – Zawahał się, szukając właściwego słowa. –

Rozmowny.

– Boże. To zrani wielu ludzi.

Church przytaknął.

– Zadzwoń do cioteczki Sallie. Rozpoczęła światowe poszukiwania. Oczywiście po cichu, ale bardzo dokładne.

Grace pokręcił głową.

– Czyli... chodziło tylko o pieniądze?

– Nie – odparł. – Gaultowi zdecydowanie tak, ale nie El Mudżahidowi. Robił to dla swojego Boga. Powiedział tak kapitanowi Ledgerowi, a Lee potwierdził. Powiedział, że Gault finansował terrorystów z zamiarem skłonienia Stanów do wycofania się z Bliskiego Wschodu. Tak pan właśnie sądził, kapitanie, i to by się pewnie udało. Ale El Mudżahid najwyraźniej miał własne zamiary i naprawdę próbował wywołać epidemię, a nawet gorzej: był nie tylko gotów umrzeć za sprawę, ale i w jej imię stać się potworem. Nie potrzebował pieniędzy Gaulta. Na co by mu się przydały? Temu, czym się stał?

– A czym był? – spytałem. – Z pewnością nie sztywnym.

– Ależ tak. Znaleźliśmy samochód Ahmeda Mahouda. Wewnątrz znajdowały się dwie zużyte fiołki po innym szczepie patogenu. Hu nazwał go „mutacją przeobrażającą”. Utrzymywała dopływ tlenu do mózgu El Mudżahida, więc nie doszło do utraty funkcji kognitywnych. Hu przypuszcza, że El Mudżahid zamierzał się podzielić tą wersją z innymi fundamentalistami, więc nawet gdyby patogen wydostał się spod kontroli i zostaliby zakażeni, nadal zachowaliby świadomość, a wraz z nią wiarę. – Westchnął. – Hu powiedział mi, że z Dzwonu Swobody wyrzucono jeszcze inny szczep patogenu. O wiele bardziej zjadliwy. – Popatrzył na mnie. – Gdyby nie polecił pan Brierly’emu zamknąć drzwi Centrum Wolności...

– Boże – westchnęła Grace.

Nie miałem nic do dodania.

Church bez słowa popchnął w naszą stronę talerz z ciastkami. Oboje wzięliśmy sobie po jednym.

2.

W afgańskiej prowincji Helmand stumetrowa kolumna dymu wznosiła się nad zagłębieniem, w którym wciąż tlił się ogień. Śmigłowce armii brytyjskiej krążyły dookoła, a satelity skierowano, by sprawdziły ten rejon. Głęboko pod piaskami pustyni wydarzyło się coś, czego nie przewidział żaden sejsmograf.

Naukowcy wiedzieli o ukrytych w głębinach ośrodkach aktywności geotermalnej, ale nic podobnego nie wydarzyło się od ponad stulecia. Odkrycie przyczyny mogło zająć wiele

lat.

3.

Dziesięć dni później spotkałem się z Churchem w jego biurze w Magazynie. Wcześniej usłyszałem, że wracał do Hangaru w parku Floyd Bennett Field.

– Zamyka pan Magazyn?

– Nie... może pan kierować nim z Grace. Potrzebujemy tu bazy.

Podobało mi się brzmienie tych słów, ale powstrzymałem uśmiech. Od katastrofy w Centrum Dzwonu Wolności nie mieliśmy z Grace czasu, żeby się razem napić, ale na ten wieczór zaplanowaliśmy spotkanie. Jej ukradkowe uśmiechy sugerowały, że może chodzić o coś więcej niż tylko platoniczne wspólne spędzenie nocy. Przyciągnąłem sobie krzesło i usiadłem.

– To na czym stoimy? – spytałem go.

Church odłożył papiery, które przeglądał, i rozłożył ręce.

– Uratowaliśmy świat, kapitanie Ledger. Mniej więcej. A z pewnością uratowaliśmy gospodarkę Stanów Zjednoczonych. Rozbiliśmy też dużą siatkę terrorystów. Jesteśmy bohaterami i naród jest nam wdzięczny, choć nikt nam tak nie powie. Ale po drodze zawstydziliśmy wielu ludzi i zyskaliśmy kilku wrogów. Żona wiceprezydenta chciałaby dostać głowę major Courtland na tacy. Z drugiej strony pierwsza dama chciałaby kanonizować pana i sierżanta Simsa.

– Co to dla nas oznacza?

– Nas?

– Dla WDN.

Church wzruszył ramionami.

– Wciąż jesteśmy otwarci.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Kim pan jest, Church?

– Zwykłym rządowym biurokratą.

– Bzdura.

– A za kogo mnie pan uważa?

– Grace sądzi, że trzyma pan w szachu wszystkie ważne figury z Waszyngtonu, bo wie pan, w których szafach są schowane szkielety.

Na jego twarzy pojawił się najbardziej ponury i najsmutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałem.

– Owszem – powiedział cicho. – Wiele ich sam schowałem.

4.

Tamtej nocy, kiedy Grace leżała w moich ramionach, rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Oboje byliśmy nadzy. Nietknięte piwo leżało na podłodze pod stertą ubrań. Część z nich była podarta.

– Zostajesz z nami? – spytała.

Wiedziałem, że miała na myśli WDN, ale jak zwykle sugerowała mnóstwo innych znaczeń.

– Pewnie. Rudy się zgłosił. I Jerry też. – Przerwałem i poruszyłem palcami splecionymi z jej dłonią. – Chyba znalazłem tu dom.

Grace milczała bardzo długo.

– Ja też – powiedziała.

Zamknąłem oczy i przyciągnąłem ją bliżej.

5.

Statek sanitarny HMS *Agatha* kołysał się powoli na leniwych falach Morza Arabskiego. Była gorąca noc w połowie lipca i personel wyprowadził niektórych chodzących pacjentów na pokład, by słaba bryza unosząca się nad falami przyniosła im ulgę. Niektórzy mężczyźni i kobiety byli tak poważnie ranni, że nawet wietrzyk nie dawał im ukojenia, a najbardziej cierpiały ofiary poparzeń. Gorące wiatry, kiepska klimatyzacja pod pokładem i słona piana były dodatkową torturą.

Ale mężczyzna siedzący samotnie w wózku inwalidzkim przy relingu na sterburcie nie wypowiedział ani jednego słowa skargi. Jego twarz i dłonie spowijały grube bandaże, a jedno oko pokrywało bielmo. Lekarze mówili, że dosłownie ugotowało się w czaszce. Nikt nie miał pojęcia, jak mężczyźnie udało się przeżyć pustynię. Nie pozostały mu żadne odciski palców, ale badanie DNA wykazało, że nazywał się Steven Garrett i był ratownikiem medycznym przydzielonym do brytyjskiej jednostki, która została właściwie zmieciona z powierzchni ziemi przez serię samobójczych ataków. Poparzony mężczyzna bełkotał z bólu, a kiedy został ewakuowany do szpitala polowego, a później przetransportowany na *Agathę*, zupełnie zamilkł. Lekarze zgadzali się, że przeżycia go złamały. Biedak.

Statek skierował się na zachód do Zatoki Adeńskiej, a później skręcił na północny zachód na Morze Czerwone. Poparzony mężczyzna patrzył, jak słońce zachodzi nad skalistymi wzgórzami. Zamknął oczy i zwiesił głowę.

Obok niego siedział szczupły młody mężczyzna o kocich zielonych oczach i ciemnych włosach. On również był poparzony, ale nie tak poważnie.

Na twarzy i szyi miał bandaż i choć jego ręce również przykrywały opatrunki, trzymał dłoń drugiego mężczyzny, jak ojciec. Albo brat.

Ciężko poparzony mężczyzna przez chwilę spoglądał na niego, a później znów wpatrzył się w zachodzące słońce.

– Amira... – szepnął.

Towarzysz znów poklepał go po dłoni i uśmiechnął się.

– Ci... – szepnął Zabawka.

Statek wciąż kołysał się na wzburzonych wodach.